32

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ.

DZIEŁA

KLEMENTYNY Z TAŃSKICH

HOFMANOWÉJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcyą

NARCYZY ŻMICHOWSKIÉJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIEŃ.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZÉJ KSIĘGARZY:

GEBETHNER I WOLFF. MAURYCY ORGELBRAND.
MICHAŁ GLÜCKSBERG. G. SENNEWALD.
EDWARD WENDE.

1875.

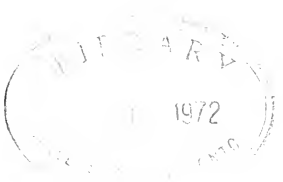

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Января 1875 г.

PG
7158
H64
1875
t. 2

Warszawa. – Druk I. Ungra. – Nowolipki Nr. 2406 (3).

POWIEŚCI MORALNE

DLA

STARSZYCH DZIECI,

UŁOŻONE

W PORZĄDKU ZASTOSOWANYM DO STOPNIOWEGO ROZWINIĘCIA ICH POJĘĆ O MORALNOŚCI.

CZĘŚĆ DRUGA.

Papuga.

Powiastka z niemieckiego.

Choroba Karolinki.

Malarz jeden bardzo zdatny stracił żonę, którą kochał niezmiernie; została mu tylko córka, pociecha jego jedyna. Nie mając majątku prócz talentu malarstwa, niezawsze miał pieniądze; ale skoro przedał który z obrazów swoich, zawsze kupił coś dla córki. Karolinka (takie było imię córki malarza) godną była miłości Ojca: posłuszna, łagodna, praco-

wita, patrzyła mu tylko w oczy, czémby mu się przypodobać. Karolinka bardzo mocno zachorowała, i Ojciec struchlał o jéj życie. Siedział dzień i noc przy łóżku córki, miał największe o niéj staranie, i modlił się gorąco do Boga, aby mu ją zachować raczył. Karolinka przez dni kilka była między życiem i śmiercią; najlepsi lekarze używając napróżno najdroższych lekarstw wyznali, że nic nie poradzą. Biédny Ojciec prawie w rozpacz zachodził. Tymczasem nad ich spodziéwanie, po kilku dniach okropnéj trwogi i niepewności, dziewczynka zaczęła miéć się cokolwiek lepiéj, i lekarze zdziwieni i szczęśliwi oświadczyli Ojcu, iż minęło niebezpieczeństwo, a córka jego przy wielkiéj baczności przyjść może do siebie zupełnie. Lecz powrót do zdrowia bardzo był przykry i długi. Najmniejsza rzecz, zimno najlżejsze, wszystko szkodziło Karolince; prócz tego dziewczynka dawniéj wesoła, żywa, pracowita, zrobiła się smutna, powolna, do niczego. Ojciec dla zabawienia jéj opowiadał różne historye, bajki, pokazywał jéj swoje malowania i rysunki, rysował przy niéj, kupował jéj różne rzeczy; ale to wszystko nic nie pomagało, Karolinka, zawsze była smutna.

Karolinka mówi Ojcu coby ją uzdrowiło.

Ojciec Karolinki bardzo był zmartwiony, widząc ją ciągle słabą i smutną: jednego dnia wziął ją na kolana i powiedział: „Moje dziecię drogie, gdybym zgadnąć mógł, coby ci przyjemném było i rozweseliło cię, poświęciłbym połowę tego co mam, i kupiłbym ci.“ — Na te słowa oczy Karolinki zajaśniały radością, uśmiéchnęła się mile i rzekła: „Kochany Tato! ja sama się wstydzę, żem taka dziwna się zrobiła po téj chorobie; jednak zdaje mi się, że gdybym miała papugę, którąbym uczyła gadać, byłabym weselszą.“

Ojciec poszedł natychmiast do kupca handlującego zagranicznemi ptakami, który miał prześliczną młodą papugę z zielonemi i czerwonemi piórkami. Kupiec zaręczył że była bardzo zmyślna, łagodna i wielką miała zdatność do gadania; ale żądał koniecznie dziesięć dukatów za nią. Malarz, który w czasie choroby córki, przerwał był robotę swoję, a wydał na leki wszystkie dawne zapasy, dwa dukaty tylko posiadał i te dać ofiarował. Ale kupiec ani słuchać chciał i malarz wrócił bardzo zmartwiony do domu.

Kupiec wchodzi w układy z malarzem.

Dochodząc do drzwi domu swojego, malarzowi stroskanemu przyszła myśl do głowy, która mogła wszystkim dogodzić. Wrócił natychmiast do kupca i podjął się, że mu wymaluje tablicę do jego sklepu, na któréj będą najpiękniejsze ptaki w świecie, a tak starannie zrobi ten obraz, iż mu wiele ciekawych i kupujących zwabi. Kupiec przystał na ten układ. Malarz uszczęśliwiony wrócił do domu, zamknął się w mieszkaniu swojém i zaraz wziął się do dzieła. Z jakąż usilnością pracował! Praca jego miała mu dostarczyć sposobności dogodzenia żądaniu ukochanéj córki, Codzień chodził do ptaszarni i uczył papugę tych słów: „Karolinko! Bądź wesołą! Karolinka dobra dziewczynka.“ Papuga słysząc często te same słowa nauczyła się ich.

Radość Ojca i córki.

Tablica z ptakami tak wybornie udała się malarzowi, że jak ją kupiec obaczył, tyle był kontent, iż więcéj dał za nią niż obiecał; bo nietylko odstąpił papugi, ale dołączył do niéj piękną i dużą klatkę.

Co malarz przepowiedział, stało się. Gromadzili się ludzie dla widzenia namalowanéj doskonale tablicy, a wiele

osób kupowało żywe ptaki i kupiec wielkie zarobił pieniądze. Poczciwy Ojciec wziąwszy papugę z klatką udał się ku domowi, a w drodze powtarzał jéj ciągle wiadome słowa. Papuga też, jakby zrozumiała, ledwie ją wniósł do pokoju, w którym córka smutna i zamyślona siedziała, zaraz zagadała: „Karolinko, jak się masz? Karolinko bądź wesoła! Karolinka dobra dziewczynka!“ Karolinka tyle się zdziwiła i ucieszyła tym widokiem, że zaczęła natychmiast skakać wesoło i śmiać się na głos; czego od choroby wcale nie robiła. Od tego czasu, bądź że podobnego wzruszenia potrzebowało jéj zdrowie, bądź że w samotności, w jakiéj zwyczajnie dnie jéj schodziły, koniecznem jéj było choć ptaka towarzystwo i rozmowa, Karolinka wyraźnie do siebie przychodzić zaczęła. Czerstwość, rumieniec, wesołość wracały jéj widocznie. Śmiała się serdecznie, ile razy papuga zagadała: „Karolinko, jadłaś śniadanie? Ja nie jadłam, dać mi trzeba!“ Papuga uczyła się tych słów od malarza, przy którym chętnie siedziała; kiedy on malował, chodziła sobie po całym domu jakby dziecko. Karolinka za wszystkie skarby świata nie byłaby jéj odstąpiła nikomu. Nauczyła ją także kilka rzeczy, a między innemi tych słów, które wyraźnie mówiła: „Ojciec dobry jest, kocham ojca nad wszystko!“

Zmartwienie.

W kilka miesięcy potém, malarz zachorował. Karolinka pilnowała troskliwie Ojca, oddawała mu starania jakie on niedawno koło niéj łożył. Choroba choć nie niebezpieczna, przedłużała się. Malarz nie mogąc pracować nie zarabiał, aż mu pieniędzy brakło. Już Karolinka przedała kolczyki, pierścionki swoje, zegarek, wszystko co miała droższego, dla opłacenia lekarstw i doktora, ale wnet i tego niestało i Karolinka nie wiedziała jak sobie radzić. „Zkąd tu wziąść

pieniędzy—mówiła płacząc — już nic niemam ani przedać ani zastawić, a tu Ojciec lekarstw i wygód potrzebuje!“ W téj chwili papuga zagadała: „Ojciec dobry jest, kocham Ojca nad wszystko. Karolinka dobra dziewczynka!“

Wielka ofiara.

Wtedy Karolinka wielką ofiarę zrobić umyśliła. „Dobrze mówisz, papugo moja — rzekła —. Ojciec dobry jest, Ojca kocham nad wszystko, a zatem nad ciebie. Chcę być jak mówisz dobrą dziewczynką. Rozdzielimy się z sobą, chociaż Bóg sam widzi, ile mnie to kosztuje.“ Wzięła papugę i przez czas, kiedy Ojciec spał nieco spokojnie, poszła do kupca chcąc mu ją odprzedać. Kupiec, który tak dobrze wyszedł na malowanéj tablicy, zapłacił jéj chętnie za ptaka z klatką, owe dziesięć dukatów, które niegdyś od jéj Ojca żądał.

Dobry postępek Karolinki dostaje nagrodę.

Malarz ozdrowiał, ale bardzo mu była bolesna ofiara córki, i wierzyć jéj nie chciał, gdy mu mówiła, że nie tęskni za papugą.

Hrabia jeden bogaty kupił rozkosznego ptaka dla swego dwunastoletniego syna, i bardzo go drogo zapłacił. Panicz nie mało się zdziwił słysząc zawsze papugę krzyczącą: „Jak się masz Karolinko? Karolinka dobra dziewczynka!“ Cała rodzina i domowi radzi wiedzieć co to za Karolinka, o któréj papuga nieustannie gadała. Zapytano się nareszcie kupca, który dał adres mieszkania Karolinki, wychwalając oraz niezmiernie serce córki i talent Ojca. Hrabia przywołał malarza do siebie i kilka robót mu nakazał, które sutó zapłacił; uznawszy w nim dobrego artystę, poczciwego człowieka i Ojca wybrał go za nauczyciela rysunków synowi.

Razu jednego zapytawszy się malarza, czemu pozbył się papugi, ten mu opowiedział ofiarę córki, czém go do łez rozrzewnił. Nazajutrz malarz i córka jego zaproszeni zostali na obiad do hrabiego i bardzo mile przyjęci. Hrabina darowała Karolinie bardzo wiele pięknych rzeczy, w zamian za owe, które w czasie choroby Ojca przedała. Hrabia dał jéj zegarek, a co więcéj, pensyą dożywotnią jéj Ojcu zapewnił. Dwunastoletni panicz nawet, ujęty dobrém sercem Karolinki oddał jéj papugę i z klatką. Do śmierci już u niéj była i powtarzała zawsze te słowa: „Karolinka dobra dziewczynka!“

Garbaty.

Hrabia S. po kilkoletniém mieszkaniu w Warszawie, z rozkazu lekarzy wyjeżdżał wraz z żoną z końcem wiosny w Poznańskie do dóbr swoich.

Oddawna skryta i niebezpieczna piersiowa słabość niszczyła go nieznacznie, ale on przed rodziną swoją taił smutny stan zdrowia i karmił ją nadzieją, którą sam już utracił. Dwoje dzieci jego, Antoś i Julisia, ani się domyślając, jakie nad niemi wisiało nieszczęście, z radością wiekowi ich właściwą patrzyli na przygotowania do podróży, która już ich Ojca ostatnią podróżą być miała. Niecierpliwie wyglądali końca pakowania, już bowiem ich graciki dawno ułożone były, i niewymowną mieli ochotę ruszenia w drogę. Doczekali się nareszcie upragnionéj chwili wyjazdu i śpiewając wskoczyli do obszernego powozu, nim jeszcze Ojciec i Matka zejść ze schodów i pożegnać się z licznemi przyjaciołami zdążyli. Sama podróż nie mniéj dla nich przyjemności miała: co się cierpiącemu Ojcu i troskliwéj

Matce niedogodném zdawało, im bynajmniéj nie szkodziło. Owe obiady i wieczerze naprędce, zimne pieczyste, mleko, jaja, zwyczajne podróżujących w naszym kraju jadło, smakowały im lepiéj od najwykwintniejszych potraw; a trafiwszy na jednym noclegu na chłopskie wesele, serdecznie się z tancerzy naśmieli, i spali wybornie, pomimo rzempolenia grajków i krzyku biesiadujących. W kilka dni stanęli na miejscu. Wieś hrabiego S. w śliczném była położeniu: po jednéj stronie domu płynęła Warta, po drugiéj piękny był ogród, w nim przepyszne drzewa, bardzo wiele owoców i kwiatów. Nie mogły się dzieci dosyć wsią nacieszyć, wisien, porzeczek, truskawek mnóstwo było w ogrodzie; ile więc czasu od nauki i roboty zeszło, trawiły go na przechadzce i bieganiu, a umysły ich tém były weselsze, że zdrowie Ojca, jak zwykle bywa u podobnie chorych, odmiana miejsca i powietrza widocznie sprawiała polepszenie, acz to niedługo trwać miało.

Jednego poranku, właśnie kiedy skończywszy lekcye, grały sobie na dziedzińcu w piłkę, zajechała przed dom porządna bryczka, i wysiadł z niéj mężczyzna pięćdziesięcioletni i niezmiernie od natury upośledzony. Miał garb z tyłu i z przodu, głowę ogromną, ręce długie i cienkie, a nogi krótkie i krzywe. Ten nieszczęśliwy, który we wszystkich sercach litość obudzać był powinien, przeciwny na Julisi i Antosiu sprawił skutek. Przypatrując mu się od stóp do głowy, zaczęli oboje śmiać się tak głośno, że obejrzał się przykrym wzrokiem; nie wymówiwszy jednak ani słowa, wszedł do domu. Wtenczas następująca rozmowa zawiązała się między dziećmi:

Antoś. A to pewno jakiś potomek Ezopa.

Julisia. Niezawodnie: ale on ma jednak z tym garbem pewną wygodę: w największy mróz nie musi mu być zimno, tak zawsze dobrze okryty.

Antoś. Zupełnie taki schylony, jak gdyby świat cały dźwigał na swoich barkach.

Julisia. Z bardzo daleka musiał przyjechać, kiedy tak obładowany.

Zdobywszy się na te niby dowcipne żarciki, pobiegli oboje za gościem do bawialnego pokoju, zastali go samego; hrabina się ubierała; hrabia, któremu swieże powietrze jedyną ulgę w cierpieniach przynosiło, nie wrócił był jeszcze z codziennéj przechadzki; usiedli więc sobie w kąciku pod oknem, a zamiast zastąpić rodziców, i jako prawdziwe polskie dzieci, bawić ile możności gościa, grzeczność mu okazać, szeptali sobie o nim do ucha, i śmieli się serdecznie. Garbaty domyślił się łatwo że z niego wzorki zbierali; ale zamiast gniewu i łajania zbliżył się do nich i rzekł ze słodyczą:

„Paniczu i panienko! pozwólcie żebym wam maleńką przypowieść powiedział?“ — „Bardzo dobrze!“ odpowiedziały cichym głosem zdziwione dzieci. Odezwał się więc w tych słowach: „Jeden człowiek posadził w swoim ogrodzie cztéry płonki; trzy wyrosły prosto, a czwarta zupełnie krzywo; sąsiedzi mu mówili: wytnij to drzewko, na cóż się zda, kiedy takie krzywe. On przecież nie chciał go wyciąć, i czekał cierpliwie co daléj z niego będzie? Nakoniec jednego roku wszystkie cztéry drzewka rodzić zaczęły. Z pięknych drzew wiśnie tak były cierpkie, że je wyrzucić kazał, a krzywe drzewo tak słodkie, soczyste i wybornego smaku wydało owoce, iż tych samych sąsiadów częstował niémi, i przekonał ich, że nigdy z powierzchowności sądzić nie trzeba, bo często niepozorne drzewo, dobry owoc wyda, równie jak niekształtny człowiek piękną duszę mieć może.“

Dzieci zawstydzone spuściły naprzód oczy, potém jakby ukradkiem spojrzały na siebie, gdyż się domyśliły, do czego ta przypowieść zmierzała. W téj chwili nadszedł

hrabia: skoro spostrzegł garbatego, pomimo osłabienia pobiegł ku niemu z wyrazem radości dawno na twarzy jego nie widzianéj: „Witam cię! kochany przyjacielu! — zawołał ściskając go serdecznie;—jakiż to gość miły i niespodziewany! Wieki cię nie widziałem, myślałem że już może nigdy nie zobaczę, a nigdyś bardziéj pożądanym nie był. Jakże mi się miewasz? — dodał z troskliwością: — spodziewam się żeś zdrowszy odemnie? — Jam zawsze zdrów, odpowiedział garbaty z westchnieniem, którego przytłumić nie mógł, spoglądając na zmienioną postać hrabiego; *siła złego dwa na jednego:* przy takiém kalectwie dał przynajmniéj Bóg zdrowie. — Co tam zawsze o tém kalectwie wspominasz? jakże jest małém złém w porównaniu z ciągłéj słabości nieszczęściem!... Ale pójdź do mego pokoju, nim się moja żona ubierze, nim obiad dadzą, napijesz się dobréj wódeczki, i otworzę ci to serce, które oddawna takiego jak ty przyjaciela żąda!... To powiedziawszy spostrzegł dopiéro, że Antoś i Julisia byli w pokoju, tak się dobrze w swój kącik wcisnęli: „A już zrobiłeś zapewne znajomość z memi dziećmi? dodał. Prawda! jak wyrosły przez te lat kilka? Julisię w kolébce widziałeś? Uściskajcież go serdecznie: to Dobrucki; ten najlepszy, najdawniejszy Ojca waszego przyjaciel.“ Na te słowa dzieci osłupiałe ruszyć się z miejsca swego nie śmiały, ale Dobrucki zbliżył się do nich, pogłaskał i pocałował uprzejmie.

Spostrzegł Ojciec pomieszanie syna i córki, obaczył łzy w ich oczach, zgadł odrazu przyczynę, i wychodząc, spojrzał na nich surowo. Strach łzy już płynąć mające osuszył, ale serce im się ścisnęło i Antoś po chwili milczenia powiedział: „Oj Julisiu! źle, bardzo źle: Ojciec pomiarkował żeśmy się naśmiéwali z tego garbatego pana, i rozgniéwał się na nas bardzo. Ale bo któż też mógł zgadnąć że to jest ów Dobrucki, o którym On tak często z Mamą

wspomina, kiedy nigdy ani słóweczka o tym strasznym garbie nie mówili.“

Julisia. A co myślisz o jego przypowieści?

Antoś. Wyraźnie dał nam uczuć, że choć on krzywy a my prości, on daleko lepszy od nas.

Julisia. O! prawda! Z jaką łagodnością nas uściskał przy Tacie, jakby nigdy nic: o włos com się strasznie nie rozpłakała.

Antoś. Moja Julisiu, nie śmiéjmyż się z niego przy obiedzie: Ojciec-by się gorzéj jeszcze rozgniéwał.

Julisia. Nie patrzmy na siebie, myślmy o jego dobroci a pewno wstrzymamy się od uśmiéchu.

W rzeczy saméj, podczas całego obiadu dzieci nic zdrożnego nie zrobiły; i lubo czasem spojrzawszy na Dobruckiego, którego głowa równo była ze stołem, i zdawała się leżeć na talerzu, miały niejaką ochotę do śmiéchu, wstrzymały się i nawet bardzo były grzeczne i uprzejme dla przybyłego gościa.

Wieczorem po długiéj z hrabią rozmowie, z któréj oba wyszli rozczuleni, Dobrucki wyjechał. Przyjaciel jego, lubo bladszéj jeszcze niźli zwykle twarzy, zdawał się zdrowszy i swobodniejszy. Zjadł wieczerzę smaczno, oddychał wolniéj i długo przy stole siedział. Żona i dzieci ożywieni tém polepszeniem zdrowia jego, rozmawiali wesoło, aż nareszcie przyszło hrabiemu zapytać się Antosia i Julisi o przyczynę rannego ich pomieszania. Przyznały się z pokorą do winy. Rodzice widząc ich żal i wstyd, już bardzo łajać nie mieli serca, jednak Matka tak im powiedziała: „Już dawno, moje dzieci, widzę w was brzydką skłonność do wyśmiewania się, i dawno was przestrzegam; wiem że ten wasz zwyczaj nie jest skutkiem złego serca, tylko zbytniéj wesołości i nieuwagi. Bądźcie wesołe, dzieci moje, ale nigdy kosztem drugich; bo łatwo posądzą was o złość, która nie postała

w duszach waszych!“ — „Ale bo kochana Mamo, rzekła Julisia; ja doprawdy nie pojmuję, jak można wstrzymać się od śmiéchu, zobaczywszy piérwszy raz straszydło? A pan Dobrucki bardzo dobry, ale straszny.“ — „Gdyby on sobie umyślnie takie garby porobił, odpowiedziała Matka, jak owe karykatury, któreście w warszawskim teatrze widziały, toby się z niego śmiać można; ale cóż on temu winien, że się takim urodził? Kiedy widzę jak gnie się pod ciężarem swego garbu i ledwie oddychać może, wzbudza we mnie najczulsze politowanie; a kiedy wiem, że pod tak niekształtną powierzchownością piękna ukrywa się dusza, szacunek przewyższa litość i nie pojmuję jakby się z niego naśmiéwać można.“ — „Prawda! przerwał tu żonie hrabia, Dobrucki potwierdza to przysłowie: *Nie sądź z pozorów!* On jest dowodem oczywistym troskliwéj Opatrzności, która zawsze, co jedną ręką ujmie, drugą sowicie nagrodzi. Brzydki prawda, ale najlepszy, najpoczciwszy w świecie człowiek. Znam go od dzieciństwa, byliśmy razem w szkołach. Z ubogich rodziców urodzony, uczciwą pracą zebrał sobie dość znaczny majątek; pomimo szpetności swojéj, od wszystkich jest lubiony i szacowany. Choćby był najkształtniejszym, nie mógłbym kochać go lepiéj; kiedy z nim rozmawiam, ani pomyślę że on garbaty.

I wy dzieci moje przyzwyczaicie się wnet do niego; ani się domyślacie, jak wam kiedyś drogim i potrzebnym być może... Oznajmił mi, że chce resztę swego wieku niedaleko nas strawić. Targuje piękną wieś w tych okolicach; jeśli ją kupi, będziecie go widywać często, a ręczę że wkrótce żadne z was nie dozna ochoty śmiania się z niego!“ — „O! nietylko z pana Dobrukiego, ale z nikogo nie będziemy się śmieli, zawołały dzieci, bo zapewne każdy człowiek szpetny, każdy kaleka, prędzéj politowania jak śmiéchu jest godzien!“ Uściskali rodzice Antosia i Julisię za tę obietnicę z serca uczynioną, a widząc żal ich szczery,

przebaczyli popełnioną winę.—Właśnie było to niedługo po Ś-tym Janie, epoka zawierania wszelkich układów dzierżawy, przedaży; doszły więc w tym czasie do skutku Dobruckiego zamysły, tém łatwiéj, że znając smutny stan zdrowia przyjaciela, i widząc jaką ulgą mu była możność rozmawiania z nim otwarcie, dopłacił, żeby być blisko niego, i kupił ową piękną wieś w sąsiedztwie. Dzieci widując go często, przyglądając się jego dobroci, zaczęły wnet oswajać się z jego garbem a nawet kochać go serdecznie. Ojciec ich zaś nieznacznie, ale codzień siły tracący, tajemne i częste miéwał z nim rozmowy, a z każdéj wychodził nieco spokojniejszy.

Ale nareszcie słabość długo się wlekąca, szybkim krokiem postępować zaczęła; zwalczyła opiérającą się od lat kilku naturę, i po ośmiodniowém gwałtownem cierpieniu, hrabia S. wydarty został żonie, dzieciom i przyjacielowi.

Darmoby się silić na opis ich boleści; tém mocniejszą była, że dla dwojga piérwszych wcale niespodziana. Ach! ileż ich kosztowało poddanie się woli Boga w tak okropnym losie: ileż dni żałoby spłynęło, nim się z nią zgadzać zaczęli! jakże to wiele Dobrucki pracować musiał, używać nawet prawa opiekuna, którém go hrabia przy zgonie swoim obdarzył, nim rozpacz nieszczęsnéj wdowy w spokojny smutek zamienił. Nie długo jeszcze do tak wielkiego strapienia nowy dołączył się kłopot; hrabia miał znaczne długi, wierzyciele dowiedziawszy się, że umiérając żonie na całym swym majątku dożywocie zapisał, zapozwali ją o oddanie należytości.

Nigdzie tak znacznego kredytu znaleźć nie mogła, bliskich krewnych nie miała, Dobrucki na kupno wsi cały swój kapitał wyłożył: idąc za radą jego, pożyczki od rządu zaciągnąć nie chciała, zatradowali jéj więc wszystkie dobra, i wraz z dziatwą prawie bez żadnego sposobu do życia zostawszy, wynieść się nawet musiała z pięknéj wioski swojéj. W tym razie, jak we wszystkich, poczciwy Dobrucki,

prawdziwym jéj się okazał przyjacielem i opiekunem: postępowaniem swojém sprawdził w oczach Antosia i Julisi te słowa mędrca: „*Nie gardź człowiekiem dla postaci jego; mała jest pszczoła między latającémi, a owoc jéj pracy nad inne słodyczą celuje.*“ — Niedosyć że staraniem swojém oszczędzał ile mógł hrabinie wszelkich nieprzyjemności jéj położenia, ale jeszcze tak umiał rzecz tę całą wystawić, że ubarwił przed wdową przyjaciela stan jéj krytyczny, a ofiarując jéj i dzieciom dom własny na mieszkanie, pobyt ich u siebie jako łaskę jemu wyświadczoną uważać kazał. Antoś i Julisia żyjąc z nim pod jednym dachem, doznając codzień rzadkiéj serca jego dobroci, lubo nie wiedzieli części jednéj tego co dla nich czynił, pokochali go jak drugiego Ojca, i równie jak wszyscy, którzy go bliżéj znali, zapomnieli zupełnie o szpetności jego. Pamięć uchybienia, którego się niegdyś dopuścili względem tak zacnego człowieka, niezmiernie im była boleśną, tém bardziéj, że nie zdarzyła się jeszcze pora przeproszenia go wyraźnie za tę winę. Nareszcie jednego razu wśród poufałéj rozmowy, kiedy Dobrucki cieszył hrabinę nadzieją rychłego polepszenia interesów, dzieci niewiedzieć zkąd przypominać zaczęły szczegóły piérwszego z nim poznania i Antoś rzekł z uczuciem: „Ach! kochany panie Dobrucki, jakże często żałuję, żem poważył się wtenczas szydzić z ciebie! Nigdy sobie tego nie daruję, i nigdy z nikogo naśmiéwać się nie będę, bo widzę jak ta pustota gorzką stać się może! Całe życie poświęcę na wynagrodzenie ci tego uchybienia.“ Potwierdziła te słowa Julisia i oboje płacząc, rzucili się na szyję Dobruckiego. Przyjął mile ten ich żal i to wyznanie, uściskał ich nawzajem i powiedział: „Najmniejszego gniewu nie miałem do was i nie mam. Przyzwyczajony jestem do podobnych zdarzeń. Nietylko mali ale i dorośli szydzą często z mojéj postaci. Nie mogę tego zataić, w piérwszym momencie zawsze przykrego doznam uczucia, ale po chwili zastanowienia, nie siebie, lecz ich żałuję,

że tak płocho uważają rzeczy...“ — „A kiedy ci się zdarzy pora, przerwała mu hrabina, zawstydzasz ich przyjacielu, dowodząc im jak piękną duszę pod tą powłoką ukrywasz.“ — To mówiąc ścisnęła go za rękę, i słodkie łzy wdzięczności napełniły jéj oczy.—Wkrótce po téj rozmowie, za staraniem i tajemnym Dobruckiego nakładem, Antoś do szkół oddanym został; wychowaniem Julisi hrabina zupełnie się zajęła. To ciągłe i użyteczne zatrudnienie, złączone z chęcią uprzyjemnienia życia Dobruckiemu, najwięcéj jéj dopomagało do odzyskania w przeciągu lat kilku, jeśli nie wesołości, to przynajmniéj swobody umysłu. Zabiegi przyjaciela zaradzały zupełnie nieprzyjemnościom niedostatku, a delikatność jego tak była wielka, że lekkiém czyniła jarzmo wdzięczności. Niedługo i z dzieci najmilszéj zaczęła doznawać pociechy. Już oddawna hamując zbyteczną wesołość, zaniechali zupełnie szpetnego zwyczaju wyśmiéwania się z drugich. Julisia widząc ile Matka cierpiała zawsze nad stratą męża, starała się żal jéj łagodzić, ucząc się jak najlepiéj, ćwicząc się w cnotach i w pracy. Antoś, ze swojéj strony, tąż samą powodowany chęcią, pragnąc wywdzięczyć się Dobruckiemu, wszystkich towarzyszów szkolnych przeszedł w pilności i w dobrém postępowaniu. Kilka lat tak minęło. Wierzyciele trafiwszy na lata urodzaju, doglądani od Dobruckiego, wybrali wkrótce z intrat należące im się pieniądze. Hrabina mogła wrócić do owéj pięknéj nad Wartą wioski, tém jéj milszéj, iż tam z ukochanym mężem ostatnie dni szczęścia spędziła. W niéj dotąd mieszka, wspomnieniem, dziećmi i przyjaźnią szczęśliwa. Antoś już się ożenił, Julisia poszła za mąż, oboje mają po kilkoro dziatek; w nie wraz z miłością ku Matce, wpajają najczulsze dla Dobruckiego przywiązanie; uczą je także zawczasu, aby nigdy z pozorów o nikim nie sądziły: starsze już wiedzą rodziców przygodę, i przypowieść o cztérech drzewkach na pamięć umieją.

Kapelusz.

Często wynikają bardzo złe skutki z wczesnego zamęźcia. Pani Żerowska poszła w szesnastym roku za mąż, a w siedemnastym już była matką. Będąc tak młodą i mając słodycz i uległość w charakterze, nie mogła dać sobie rady z dziecięciem, które od pieluch okazywało nadzwyczajną do uporu i do gniewu skłonność. Najpierwsze słowo z ust maléj Józi wyszłe było *nie;* za najmniejszém sprzeciwieniem się jéj woli, tupała nóżkami i prawie siniała ze złości; były osoby na które wcale nie chciała patrzéć, i dnie tak nieszczęśliwe, że jéj nikt w niczem dogodzić nie mógł. Matka kochając ją nad życie, uprzedzała wszystkie jéj życzenia, zadosyć czyniła najdziwaczniejszym chęciom, pieściła, a temi pieszczotami wzmagała jéj skłonności. Trwało to lat sześć. W końcu szóstego roku, pani Żerowska powiła drugą córeczkę Teklunię; miała już wtenczas lat dwadzieścia dwa, i więcéj doświadczenia: upór i dziwactwa Józi tak zatruwały jéj życie, iż umyśliła wcale inaczéj Teklunię prowadzić. Z Józią nawet spróbowała odmienić sposób postępowania, ale dziewczynka jeszcze bardziéj dokazywać zaczęła. Pani Żerowska bojąc się zepsuć serca, które u Józi bardzo czułe i dobre było, wróciła do dawnéj słodyczy, zdając na czas i na późniejszy własny dziewczynki rozsądek, pozbycie się złych nałogów. Nie było już podobno innéj dla Józi drogi: tak się w nią wkorzeniły upór i dziwactwa, tak się wzwyczaiła własną wolę czynić, tak mało wreszcie przywykła bać się Matki, że nagła surowość poprawić jéj nie mogła. Józia miała bardzo wiele pięknych przymiotów, duszę do wysokich cnót zdolną, serce jak najlepsze; spodziewała się więc jéj Matka, że przyjdzie chwila,

w któréj te przymioty zwalczą przywary. Od lat dwunastu zaczęła się szala ważyć widocznie i trafiały się momenta, w których Józia najprzyjemniejszą była dziewczynką.

Wesoła, dowcipna, każdemu przypodobać się chciała; zapominała o sobie dla drugich, okazywała jak najwyższe przywiązanie Matce; z macierzyńską troskliwością trudniła się siostrą, słuchała z słodyczą zdania przeciwnego swemu: radę od każdego przyjąć była gotowa. Lecz niestety! te chwile nie długo trwały i chorągiewka na dachu nie zmienia prędzéj kierunku swego, jak zmieniała humor Józia. Można było sądzić, że nagle w zupełnie inną przeistoczyła się osobę: zasadę którą dopiero co gaiła, utrzymywała potém z największym uporem; rzecz, któréj wcale nie lubiła, chwaliła; dla osób które najbardziéj kochała, była najprzykrzejszą; oburzała się za najmniejszą rzeczą i za jedno słówko, godzinę całą sprzeczać się potrafiła. Lecz co było szczególniejszego w Józi? przy obcych te nagłe zmiany nie następowały. Józia znała doskonale jak śmiesznemi w oczach wszystkich są dziwactwa i upór; wiedziała, że w młodéj panience słodycz, uleganie, każdy najwięcéj ceni, i chęć zyskania powszechnego szacunku, takiéj jéj dodawała mocy, że wszystkie swoje przywary w przytomności osób, którym się podobać pragnęła, pokonać umiała, i niemożna było dojrzeć cieniu owego ducha sprzeczności, owych złych humorów, które tak okazywała, kiedy była sama z Matką, z siostrą i z domowemi. Tą pozorną dobrocią tak wszystkich omamiła mimowolnie, iż ją za wzór swym córkom rodzice dawali. Któraż tkliwa Matka wyjawia bez potrzeby i przed każdym wady swoich dzieci? Każda przed sobą samą ukryćby je rada: nie mówiła więc nic przed nikim pani Żerowska o wadach córki, ale szlachetnie myślącą korciły przecież nieraz te niezasłużone pochwały! „Chciałabym, powtarzała często Józi, żeby te osoby, które cię ze słodyczy i dobroci wysławiają, w chwili dziwactw widzieć cię

mogły: zmieniłyby zdanie.“ Te słowa przykre były Józi, duszę mając piękną, czuła że źle postępuje, ale nie posiadała wytrwałości potrzebnéj temu, który chce zawsze wady swoje przezwyciężać: pobożnie chowana, wiedziała: że nietylko dla oka ludzkiego dobrym być należy, ale ta prawda jeszcze jéj ciągle obecną nie była.

Jedną z osób, których Józia pragnęła najmocniéj pozyskać szacunek, był pułkownik Żerowski, brat rodzony nieboszczyka jéj Ojca (gdyż biédna Józia już od dwóch lat Ojca straciła). Pułkownik właśnie przed kilkoma miesiącami przyjechał był na czas jakiś do Warszawy. Pokochał Józię, bo niezmiernie przypominała Ojca; pokochał ją i dla tego, że upatrzył w niéj podobieństwo do swojéj małéj córeczki Maryni, nie tyle jeszcze w twarzy, ile w ułożeniu i w przymiotach. „Mam nadzieję, mówił do niéj często, że moja Marynia będzie kiedyś tak przyjemną, tak słodką jak ty jesteś.“ Nieraz opowiadał o swojéj Maryni różne dowcipne kawałki, szczególniéj wspominał z upodobaniem o dobroci jéj serca, o słodyczy z jaką ulegała trzechletniemu bratu, i zawsze kończył opowiadanie pieszcząc się z Józią i mówiąc: „Oby moja Marynia sprawdziła to wszystko, co wróży! Oby zupełnie tobie podobną była!“ Gdyby pułkownik nie był żywy i roztargniony, za każdą taką pochwałą byłby dostrzegł pomieszania Józi; byłby widział jak spuszczała oczy, rumieniła się i unikała wejrzenia Matki; ale on tego wszystkiego nie uważał, a dopiero gdy wyszedł, pani Żerowska mówiła córce upokorzonéj w duszy tym niezasłużonym szacunkiem: „Od ciebie zależy pozyskać go słusznie i słuchać tych pochwał bez wstydu.“ „I na cóż, odpowiedziała Józia, zmieniając się nagle, kiedy mnie stryjaszek i tak kocha.“ „Mylisz się moje dziecię, on kocha w tobie swoją Marynię, do któréj sądzi, że jesteś podobną. On lubi rozsądek, uprzejmość: czy są to twoje zalety? Wierzaj mi, ułożenie które masz w istocie, zupełnieby mu było przeciwne.

A kiedy oświadcza, jakie przymioty w tobie ceni, to właśnie jakby mówił, że ciebie wcale nie kocha. Na twojém miejscu będąc, te jego słowa raniłyby serce moje.“ Na takie uwagi Józia nie mogąc nic znaleźć na swoję obronę, milczała i najczęściéj w jak najgorszym była humorze, póki stryj lub kto obcy nie nadszedł. Pułkownik, jak wszyscy niemal Polacy bardzo miał otwarty charakter; w każdéj okoliczności pogardę dla obłudnych pokazywał. Pani Żerowska zawsze spoglądała na Józię, kiedy on zdanie swoje w téj mierze odkrywał. Podobne wypadki często powtarzane, nareszcie zaczęły robić wrażenie na umyśle dziewczynki; bo ona obłudną nie była, téj krzywdy czynić jéj nie można; ale miłością własną wciągniona do obłudy została, bo jakże to wiele wad miłość własna źle zrozumiana w nas rodzi?...

Józia dostała była niedawno bardzo piękny kapelusz biały perkalowy z zielonym wieńcem, tém milszy był jéj ten podarek, że właśnie Zielone Świątki nadchodziły i Matka jéj obiecała, że pojadą w drugie święto na Bielany. Wiadomo wszystkim, jak to miejsce zawsze piękne, zdobi się i ożywia w ten dzień mnóstwem osób, powozów i koni, które tam odwiecznym zwyczajem jakby z powinności dążą; jakie żyjące i nadobne obrazy składają te różne stany tak blisko siebie będące; jak miło patrzéć na tę powszechną wesołość, na te rozliczne zabawy, i jaką nareszcie w tym dniu w umysłach wielu młodych panienek gra ważną rolę kapelusz. W tym roku wszyscy sobie wróżyli świetniejsze, niż kiedykolwiek Bielany; obiecywano że Monarcha swoją obecnością zaszczycić je raczy: Józia téż tak się cieszyła tą przejażdżką, że jéj się aż co noc przeszkody do niéj śniły. W sobotę rano oglądała właśnie swój ładny kapelusz, dobierając do niego wstążki na pas stosownéj, kiedy odebrała od jednéj ze swoich przyjaciółek bilet w następujących słowach:

„Ty, co jesteś tak dobra, taka nieoszacowana, taka

uczynna; ty, którą mi Mama zawsze na przykład przedstawia, kochana Józiu, pozwól mi twego perkalowego kapelusza: zachciało mi się koniecznie mieć taki sam na Bielanach; nasza służąca nie może nic zrobić bez wzoru; przyślijże mi go, moja jedyna, na dzień jeden, przyślij zaraz, bo ja niestety! nie taka jak ty rozsądna, i zgadzająca się: kiedy mi się czego zechce, muszę mieć natychmiast. Bywaj zdrowa, i nie śmiéj się ze mnie. Ale nie: śmiać się nie będziesz, bo kto tak doskonały, jak dobra Józia, to pobłażanie łączy do innych przymiotów.“

Aniela S.

Józia odebrała ten list w przytomności pułkownika; zmieszał ją, gdyż chcąc utrzymać dobre o niéj mniemanie stryja i przyjaciółki, nie śmiała odmówić; a wiedząc że Aniela wielki trzpiot i zapominalska, niezmiernie się bała, czy jéj nie pogniecie kapelusza, i czy na czas odda? Starała się jednak ukryć swoje nieukontentowanie, i zapytała się Matki z niespokojnością: „Cóż mam zrobić?“ — „Zrób co chcesz,“ odpowiedziała pani Żerowska (która wiedziała dobrze, że cokolwiekbądź powié, Józia zawsze swojéj woli zadość uczyni). „To go dam“ wyrzekła z przykrością. Siostra jéj Teklusia, bardzo dowcipna dziewczynka, widząc że marszczy czoło mówiąc te słowa, powiedziała: „Wiész co! odpisz tak Anieli: I ja mam swoje dziwactwa: w téj chwili takie mnie napadło, że nie mam najmniejszéj ochoty dać na wzór mego nowego kapelusza.“—„Właśnie téż! zawołała z żywością Józia, nie zrobię tego, nie jestem tak nieuczynną! Niech się już co chce z nim stanie, dodała z wdzięcznym uśmiechem (dostrzegłszy że stryj na nią spogląda) z największą ochotą poślę go Anieli.“ I posłała. Pułkownik przez cały ten czas nic nie mówił, ale z większą czułością niż zwyczajnie patrzył na Józię: uwielbiał w duchu zwycięztwo, które nad sobą odniosła; taki ładny i zupełnie nowy kapelusz narazić na zgniecenie, była to w istocie wielka ofiara,

którą cenić umiał. Wkrótce potém wyszedł na miasto. Pani Żerowska przewidywała co nastąpi po téj udanéj grzeczności. Cały dzień i w następującą niedzielę, Józia była nieznośną; raz wraz się frasowała i mówiła: „Zniweczą mi go, usmolą! pogniotą! popruć go chyba musieli, kiedy dotychczas nie odsyłają!“ W poniedziałek świąteczny od szóstéj z rana wyglądała przez okno posłańca z kapeluszem; lecz gdy jedenasta wybiła, a jeszcze go nie było widać, posłała do Anieli. Nim lokaj wrócił, dziwy wyprawiała; nakoniec o dwunastéj przyszedł, ale bez kapelusza! „Służąca panny Anieli wyszła do kościoła, powiedział, zamknęła go w szafie i klucz wzięła z sobą; ale jak tylko wróci, to go natychmiast odeślą.“ Józia to usłyszawszy tak dalece się zapomniała, iż zaczęła tupać nogami ze złości i wygadywać na Anielę. „Kiedy się tak gniéwasz, powiedziała na to Teklusia, pocóż go pozwoliłaś? wszak mówiłam nie pożyczaj! jabym swego nie była dała.“ — „Miałabyś się też z czém drożyć?“ zawołała Józia, i porwawszy z szafy słomiany kapelusik Teklusi, rzuciła go o ziemię. Widząc to dziewczynka, zaczęła płakać; przybiegła na jéj płacz Matka; spostrzegłszy co się dzieje, spojrzała na Józię a zdobywszy się na postępowanie surowe rzekła: „Choćby ci zaraz Aniela odesłała kapelusz, nie będziesz go dziś miała na głowie: nie pojedziesz na Bielany!“

Przelękniona i zdziwiona tą groźbą, Józia zaczęła swój gniéw hamować, gdy wszedł lokaj mówiąc: „Jakaś dziewczyna przyszła z pudełkiem, i chce się widzieć z panną Józefą.“ Pani Żerowska kazała ją przyprowadzić do pokoju. Gdy weszła, oddała list od Pułkownika w tych słowach:

„Kochana Józiu! Obawiając się, czy będziesz miała na czas kapelusz zwrócony, kupiłem ci inny, jak mi mówiono najmodniejszy. Ubierz się w niego dzisiaj; niech będzie pamiątką twego rozsądku, twéj uprzejméj uczynności, a oraz dowodem, jak wysoko w tobie te przymioty cenię. Wszy-

scy dészcz wróżą, ale pomimo tego wszyscy się jechać wybierają. O piątéj godzinie zajadę po was nowym koczem, cztéréma rumakami, i ruszymy suto na Bielany.“

Kiedy Józia ten list czytała, dziewczyna z magazynu pani H... wyjęła z pudełka kapelusz krepowy niebieski, w dziwnie pięknym kształcie i kolorze; chciała go przymierzyć Józi, ale pani Żerowska wyprawiła ją spiesznie dawszy jéj na śpilki, żeby nie dostrzegła widocznego pomieszania jéj córki. Ta raz blada, drugi raz czerwona, nie wiedziała sama co czyni. Upuściła bilet stryja, i patrzyła na kapelusz nie widząc go. Pani Żerowska podniosła bilet, przeczytała go głośno i powiedziała: „Żadnych rad nie zasięgaj odemnie, czyń co ci się podoba; po twojém postępowaniu sądzić będę, czy cię obchodzi cokolwiek Matki szacunek, czy słuchasz głosu sumienia?“ Józia zaczęła rzewnie płakać, i zakrywszy sobie twarz chustką mówiła łkając: „Co na to stryj mój powié?“ Ta myśl do rozpaczy ją przywodziła; a poddając się zawsze piérwszemu wrażeniu, biegała jak szalona po pokoju i narzekała. Dobra i domyślna Teklunia, co chwila zaglądała do przedpokoju czy Pułkownik nie nadszedł? Nakoniec wbiegła wołając: „Stryjaszek idzie!“ Józia uciekła do przyległego gabinetu, Matka poszła za nią pytając się:

„Cóż powiedzieć Stryjaszkowi?“ Józia powtarzała tylko te słowa: „Wielki Boże! cóż ja mam czynić?“ Przez ten czas Pułkownik wszedł do bawialnego pokoju i zapytał się Tekluni, gdzie jest Mama i siostra?—„Cóż mam mu powiedzieć?“ powtórzyła raz jeszcze pani Żerowska. Józia, która usłyszawszy głos Stryja w ziemię schowaćby się chciała, rzekła: „Mamo! powiédz co chcesz, bylem ja się nie widziała ze Stryjaszkiem.“—„Nie idzie tu o to, czego ty chcesz; nie o moję, ale o twoję szczerość i uczciwość tu idzie. Ostatni raz ci się pytam: mamże powiedzieć prawdę?“—„Powiédz, powiédz Mamo, bylem ja nie widziała Stryjaszka:“—Pani

Żerowska wyszła, zostawiwszy drzwi uchylone; gdy się przywitała z bratem, powiedziała smutnie: „Józia jest bardzo zmartwiona, bo nie sądzi się być godną ślicznego podarunku, który jéj przysłałeś.“ — Jakto? zapytał się zdziwiony Pułkownik; zkądże ta skromność? Cóż może być nadto pięknego dla Józi.“

„Z przykrością przychodzi mi wyznać przed tobą, bracie, błąd mojéj córki; nie odesłano jéj kapelusza na czas wyznaczony, dąsała się i złościła. Nie była więc ani rozsądną ani uprzejmie uczynną; nie może zatem przyjąć nagrody.“ „Czyż to być może? zawołał zdziwiony Pułkownik, cóż jéj się to stało?“ i zasmucił się; cieszył się bowiém od soboty przyjemnością, którą miał sprawić Józi: przykro mu także było wadę w niéj postrzedz. Po chwili milczenia zapytał się bratowéj: „Czyś jéj kazała nie przyjmować tego podarku?“ — „Nie! ona sama w duszy tak się osądziła.“— Józia słysząc, że Matka cały zaszczyt tego postępku jéj przywłaszcza, rozczulona taką dobrocią, głośno płakać zaczęła. Pułkownik to usłyszawszy wszedł do gabinetu. Józia zasłoniła sobie twarz rękami; on zaś tak mówił do niéj łagodnie: „Jeszcze tego nie pojmuję, jakim sposobem tak zapomnieć się mogłaś; zapewne to będzie twoje piérwsze i ostatnie przewinienie. Nie chwalę cię, żeś nie zataiła przedemną tego błędu, bo serce takie jak twoje inaczéj postąpićby nie mogło; ale ta sama szczerość mnie przekonywa, że te wady nie są nałogiem.“ Na te słowa Józia rzuciła się na łono pani Żerowskiéj, z takim wyrazem rozpaczy, że zadziwiła Stryja, rozczuliła Matkę. Mówiła do niéj cicho dziewczynka: „Mamo, powiédz wszystko jak najdokładniéj Stryjaszkowi.“—Przekonawszy się, że taka była szczera wola córki, pani Żerowska tak mówiła: „Kochany bracie! nie wiész jeszcze wszystkiego, pozostaje nam uczynić przed tobą wyznanie bardzo przykre, ale Józia na to się odważa. Nie jest ona wcale taką, za jaką ją sądziłeś; chęć pozyska-

nia twego szacunku sprawiła, że kryła przed tobą wady swoje, ale często poddaje się złym skłonnościom; jest gniewliwą, uporną, sprzeczną i przeto często błądzi; co więcéj, pomimo szlachetności serca swego, przez zbytek miłości własnéj, śmiała dotąd przyjmować niezasłużone pochwały. Jednak sama byłam świadkiem, jak nieraz z téj przyczyny miéwała wyrzuty sumienia; i to, co się w téj chwili z nią dzieje, przeświadcza mnie, że głosu jego już przytłumiać nie będzie.“—Józia zawstydzona, nie śmiała podnieść głowy; Stryj patrzał na nią z boleścią. Przykro mu było odstąpić do tego stopnia od dobrego mniemania, bo tak gorzko w podobnéj omylić się rzeczy; nareszcie wziął ją za rękę i powiedział: „Józiu, to czegom się o tobie dowiedział, mocno mię zmartwiło, ale wiem że się poprawisz.“— „Ach! uczynię co tylko będę mogła!“ zawołała, gdyż dobroć Stryja otworzyła jéj usta.—„Skoro zechcesz szczerze, potrafisz, dodał, jestem tego pewny; przyjmiesz nawet ten kapelusz w zakład zaufania jakie pokładam w twojéj obietnicy. — „Więc (mówił daléj z zwykłą sobie żywością) otrzyj oczy, bądź wesoła; po obiedzie pojedziemy na Bielany, i niech już nie będzie wzmianki o téj przygodzie.“ To powiedziawszy poszedł do salonu przeczytać gazety, a Matka sama z córką została.

Podniosła wtedy Józia śmielsze na nią oczy; malowało się w nich mocne przedsięwzięcie poprawy. „Józiu! zapytała jéj się Matka, czy przyjmiesz kapelusz? czy pojedziesz na Bielany?“ „Nie chcę kapelusza, nie postanę nigdy na Bielanach, wyrzekła z zapałem.“ „A ja z twoim stryjem trzymam, powiedziała na to z czułością Matka,“ pozwalam ci przyjąć kapelusz, pozwalam jechać na Bielany, bo znam twoję duszę, i wiem, że ujęta naszą ufnością, nie zawiedziesz jéj...—„Ale moja Mamo, przerwała Józia, oblewając ręce Matki łzami; wiész dobrze, jak łatwo żywością się

umoszę, jak skłonna jestem do gniewu, jak się sprzeczać lubię, jak mi trudno siebie zwyciężyć!“—„A przecież przy twoim Stryju znajdowałaś zawsze moc dostateczną.“—Bom się bała, żeby źle o mnie myślał.“ — „To więcéj kochasz Stryja, jak Matkę i Boga?“—„O, Mamo! krzyknęła boleśnie Józia, jak możesz tak o mnie trzymać?“—„Nieraz ci to samo mówiłam, ale dotąd te słowa moje nie wiele na tobie wrażenia czyniły...“—„Prawda! prawda! zawołała po chwili milczenia Józia, dopiéro teraz ta uwaga trafiła do mego przekonania. Mamo! miałaś prawo sądzić, że innych ludzi nad ciebie przenoszę; nie pamiętałam na to, że Bóg zawsze na nas patrzy, że czyta w skrytościach serca, że pozory nic nie znaczą; nie myślałam nigdy, Mamo! ile samą dobrocią swoją zasługujesz, żebym lepszą była dla Ciebie niżeli dla wszystkich; teraz sama religia i serce wskazują mi co mam czynić; czuję dostateczną do poprawy siłę, będę wzywała pomocy Boga, pójdę za radami twemi i tak pewną jestem, że się wnet poprawię, iż w téj chwili mogłabym śmiało przyjąć kapelusz z rąk samego Stryjaszka.“ Rozczulona Matka uściskała ją serdecznie i poszła do brata.

Po obiedzie pojechali na Bielany: Józia piękny kapelusz niebieski włożyła, miała czerwone oczy i niejaką ciężkość na sercu: zajął ją jednak bardzo wesoły widok Bielan, ożywiony przytomnością łaskawego MONARCHY, gęste i głośne wykrzyki ludu, mnóstwo ludzi, namiotów, powozów i koni, kobiet tyle pięknie wystrojonych — ale rozweseliło ją prawdziwie świadectwo własnego sumienia, zaspokojonéj Matki uśmiéch, i zawsze równie czułe obejście się Stryja. Przecież przez parę tygodni była względem niego nieśmiała i upokorzona: odzywają się też w niéj dotąd dawne złe nałogi, ale zaraz w piérwszym zapędzie stara się je hamować. — Pamięć obecności Boga, pamięć anielskiéj dobroci Matki, chęć odpowiedzenia jéj i Stryja zaufaniu, zapewne

z czasem zupełnie jéj wady wykorzenią, i ile w dziecinnych latach przyczyną była Matce do smutku, tyle bez wątpienia w późniejszych przyniesie jéj chluby i pociechy.

Suknia perkalowa.

Antosia Nelicka pełna była dobroci, słodyczy i uprzejmości; miała wielką zdatność do wszystkiego, lecz nigdy nic nie przedsięwzięła gorliwie, nic wytrwale nie czyniła. Z dzieciństwa chorowała często, troskliwa Matka nie śmiała jéj przymuszać do ciągłego zatrudnienia. Włożyła się zatém Antosia w nałóg próżnowania, lubo ją próżniactwo nudziło i wbiła się w przekonanie, że czego jeszcze nie robiła, tego nigdy nie potrafi. Kiedy dwunasty rok zaczęła, umarł jéj Ojciec; połowę majątku swego zadłużoną zostawił, a o drugą nie bardzo pewna toczyła się sprawa. Pani Nelicka niemal do ubóstwa przywiedziona, niezmierną oszczędność w dom swój zaprowadzić musiała; odprawiła wszystkich służących, jednę tylko zatrzymując kucharkę, pożegnała wszystkich metrów córki, a sama dręczona smutkiem po stracie męża i kłopotami towarzyszącemi długom i pieniactwu, nie mogła się zająć edukacyą córki. Zapędzała ją wprawdzie do roboty, zalecała żeby sama grała na klawikordzie, czytała, pisała, ale dopilnować jéj i wejrzéć w jéj zatrudnienia nie miała czasu.

Biédna Antosia rosła w gnuśności swojéj, i wszystko jak przez sen robiła. Brała codzień kolejno książkę, pióro, igłę, zasiadała do klawikordu; lecz nigdy kartki jednéj nie przeczytała z uwagą, nigdy nie odczytała pisma swojego, nigdy się nie poprawiła grając, nigdy zaczętéj nie skończyła roboty. Zamiast więc czynić jakie postępy w tych wszyst-

kich wiadomościach i większe w pracy znajdywać upodobanie, codzień mniéj umiała, codzień się więcéj nudziła. Tak minęły dwa lata. Wtém panią Nelicką, która dla sprawy swojéj w wielu miejscach bywać musiała, zaproszono wraz z córką na balik dziecinny. Dawał go jéj obrońca w dzień imienin żony; uchybić mu nie chciała, ile, że wielkim przejęta była ku niemu szacunkiem; przyrzekła więc że będzie z Antosią, któréj jeszcze w tym domu nie znano.

Gdy się dziewczynka o tém dowiedziała, zasmuciła się bardzo. „Ja być nie mogę na balu, rzekła, bo nie mam w czém.“ — „Jakto?“ zapytała się zdziwiona Matka, przecież tyle masz sukien?“ „Kiedy złe i podarte,“ odpowiedziała z nieśmiałością Antosia. — „To być nie może! pokaż mi zaraz wszystkie.“ Antosia zapłakana poszła uskutecznić ten rozkaz. To z szaf, to z komód, to z rozmaitych kątów, powyciągała pogniecione suknie i przyniosła Matce z wielkim strachem.

Antosia miała kilkanaście par sukien. Rodzice dawniéj sądząc się majętnemi, sprawiali jéj aż nadto, ale od śmierci Ojca, żadna nie przybyła prócz żałobnéj, która się zdarła oddawna; leniwa zaś i nieporządna Antosia, jak wzięła jednę suknię, to ją nosiła ciągle, póki z niéj prawie sama nie zleciała, nie naprawiając nigdy: zniweczyła więc w krótkim czasie zapas swój cały.—„O niedobra dziewczyno! cóżeś to zrobiła? zawołała z gniewem pani Nelicka zobaczywszy te gałgany; czyż nie wiész w jak smutném jesteśmy położeniu? Zkądże ci wezmę na inne suknie? powinnabyś pociechą i pomocą być moją, a ty jeszcze trujesz mi życie, i na niepotrzebne chcesz mnie wyciągać wydatki, wtedy kiedy ja zaledwie nędzę moję przed ludźmi ukryć mogę!“—Tu słuszny gniéw Matki w żal się zamienił, i łzy puściły się z jéj oczów. Antosia która jak najlepsze miała serce, widząc to wpadła w rozpacz, zanosiła się prawie od wielkiego płaczu, przepraszała Matkę, całowała jéj kolana,

przyrzekała, że się poprawi.—„Bardzobym rada, powiedziała pani Nelicka, żeby te obietnice twoje były prawdziwe i te łzy skuteczne; ale tymczasem musisz być na tym baliku. Naprzód obiecałam, że cię przywiozę; powtóre, niedbalstwem twojém zasłużyłaś na tę pokutę.“ Wybrała więc z tych wszystkich sukien najlepszą, perkalową białą, i tę córce włożyć kazała. Ta sukienka była jeszcze dosyć nową, ale źle zrobiona, trochę przykrótka, poswędrzona, nieładnie wyglądała.—Musiała jednak Antosia ją włożyć, i pojechać na bal. Byłaby wolała siedzieć miesiąc cały zamknięta o chlebie i wodzie; ale obraziwszy tak Matkę, posłuszeństwo jedynym było sposobem do jéj przeblagania.

Gdy przyjechały, gospodyni domu przywitawszy się z panią Nelicką, zaprowadziła ją do drugiego pokoju, i zasadziła do wista; Antosię zaś dwóm córkom swoim w opiekę oddała. Antosia przelękniona, zawstydzona, jeszcze się więcéj zmieszała spojrzawszy koło siebie. Salon rzęsisto oświetlony, pełny był młodych osób płci obojéj; ładnie i porządnie poubiérane dziéwczęta siedziały wkoło, i patrzyły na nią ciekawie; trzy siostry tam będące, źle wychowane, zaczęły się śmiać, trącać i pytać się wzajemnie: „Cóżto za *Szurgołek?*“ — Panienki domowe grzeczne i dobre, nie zważając na nikczemny jéj ubiór, posadziły Antosię między sobą, i rozmawiać z nią chciały; ale ta sama ich dobroć, tak ją rozrzewniła, że ledwo parę słów cichuteńko wymówić zdołała.

Zaczęły się tańce. Antosi nikt nie zaprosił. Roznosili różne dobre rzeczy, herbatę, ciasta, cukierki, pączki, owoce, ona i jeść nie śmiała. Zdawało jéj się, że wszystkich oczy na nią były zwrócone, i nie myliła się zupełnie, gdyż jéj ubiór niepozorny, a więcéj jeszcze smutek i zalęknienie, wszystkich dziwiły. Nakoniec dwóch młodzieńców bardzo niegrzecznych, usiadło umyślnie naprzeciwko niéj, a wytykając ją prawie palcem, wyśmiéwali się z niéj na

głos. Już tego znieść nie mogła biédna dziewczyna, i rozpłakała się rzewnie.

Spostrzegłszy to córki gospodyni, młodsza z nich imieniem Krystyna, wyszła z rozpoczętego mazurka, inną tancerkę postawiła na swojém miejscu, i przybiegła do Antosi. „Chodź ze mną! mówiła, chodź! do naszego pokoju!“ i wziąwszy ją za rękę, wyprowadziła z salonu. Anioł z Nieba nie mógłby się Antosi w téj chwili milszym wydać od dobréj Krystyny; ale nic mówić nie mogąc, ściskała ją tylko serdecznie. W tym wieku i w takowém położeniu zawiązanie przyjaźni nader jest łatwe, ile że Krystyna otwartą, wylaną i szczebiotliwą była; nie wyszło też i pół godziny, kiedy już zdawało się Antosi, że ją zna oddawna; wydobyła z niéj Krystyna opowiedzenie całéj jéj przygody, wyczytała w jéj sercu żal szczery, niezmienną chęć poprawy i obietnicę żywego dla siebie przywiązania. „O kochana Antosiu! zawołała wtedy, jakże mi ciebie żal serdecznie; ale daruj, że ci to powiem, zasłużyłaś na tę pokutę, i twoja Matka użyła wybornego sposobu do poprawienia cię na zawsze. Wiem pewno, że odtąd zupełnie się odmienisz. Jeśli mi tylko Matka pozwoli (o czém ani wątpię, bo Mama niezmiernie dobra) natychmiast jutro z moją starszą siostrą Anną przyjdziemy do ciebie; z niéj krawiec wyśmienity, ona ci wnet twoje sukienki poprzerabia, bo i my nie jesteśmy bogaci. Tata się dopiéro majątku dorabia; wszystko co na mnie widzisz: ta suknia, te falbanki, to moją ręką uszyte, wydziergane; te przedziwne ciasteczka, których ty podobno i nie jadłaś, to Anny roboty: my i metrów bardzo mało mamy, tylko dwóch, i to nie codzień, jeden do muzyki, drugi do polskiego języka, ale same pracujemy. Tata zawsze mówi, że i dziesięciu metrów nic nie pomoże, kiedy kto sam nad sobą pracować nie chce, i słusznie mówi, bo nikt nie miał mniéj metrów od Anny, a nie uwierzysz jak wiele rzeczy umié i mnie nawet uczy. Ale też od dzieciństwa sama szczerze

przykładała się do wszystkiego.“—Antosia słuchała Krystyny z wielkiém upodobaniem; piérwszy raz w życiu zdawało jéj się, że byle tylko chciała, to wszystko potrafi. Ale czas upływał; Antosia namawiała koniecznie Krystynę, żeby wróciła do tańca i do gości swoich: Krystynie dobre serce nie pozwalało prowadzić Antosi na nowe przykrości. „Wiész co? powiedziała nareszcie, pójdę i opowiem wszystko Mamie, ona uprosi u pani Nelickiéj, żebyś ty już do końca balu w naszym pokoju została; ja tu z tobą będę siedziéć, przyniosę ciast, cukierków, będziemy jeść i gadać sobie.“—„A twój taniec? A twoja zabawa? zawołała Antosia, nie! ja na to nie pozwolę, wróćmy lepiéj obiedwie do salonu.“—„Wielka rzecz! krzyknęła Krystyna! dopiéro Nowy rok, sam początek zapust, jeszcze się wytańcuję dowoli.“ — I to mówiąc wybiegła z pokoju i wnet z panią Nelicką wróciła.—Ta nieszczęsna Matka wielki gwałt sobie zadała karząc w ten sposób córkę; ale czegoż Matka nie czyni dla dobra dziecięcia swego? Uległa więc chętnie woli Krystyny, a skończywszy właśnie trzy robry wista, pożegnała cicho Gospodynią domu, i poszła z jéj córką. Antosia zalana łzami, ponowiła obietnicę poprawy. Krysia ręczyła za nią. Matka odjechać natychmiast chciała; ale musiała zaczekać póki Antosia nie zjadła różnych dobrych rzeczy, które jéj naznosiła Krystyna, i póki powóz gospodarstwa nie zaszedł. Dopiéro gdy odjechała pani Nelicka z córką, Krystyna wróciła do salonu, straciła wprawdzie dwa mazurki i polskiego tańca, ale zyskała przyjaciółkę i przekonanie, że dobrze sobie postąpiła. Do końca téż balu bezustanku tańcowała, i wszyscy się jéj wesołości dziwili.

Antosia zaś pełna zbawiennych przedsięwzięć, przejęta wdzięcznością ku Krystynie, wróciła do domu. Od téj chwili odmieniła się zupełnie. Stosownie do danéj wczoraj obietnicy, nowa jéj przyjaciółka przyszła nazajutrz z siostrą. Cała garderoba Antosi przejrzaną została; odkryły się w niéj

skarby wielkie: w tydzień miała sześć par sukien nie paradnych, ale bardzo porządnych. Skończywszy tę pracę, Antosia z równą gorliwością zabrała się do nauk, szlachetna chęć wyścigu zajęła i jéj i Krystyny serce; też same książki czytały, tych samych kawałków muzycznych się uczyły; a gdy się zeszły, Anna sądziła, której treść wypisana była lepsza, której granie równiejsze? Nie wyszło sześciu tygodni, kiedy Antosia była do niepoznania; ona sama poznać siebie nie mogła. Podsycona chęcią podobania się Matce, i nagrodzenia jéj dawnych błędów, ożywiona przyjaźnią Krystyny, dbając niezmiernie o pochlebne świadectwo jéj siostry, gorliwie się brała do każdego zatrudnienia, i z równą gorliwością doprowadzała go do końca. Z początku nie przychodziło jéj to łatwo, często dawna gnuśność, dawne lenistwo ją napadało; ale wtedy wzywała wyższéj pomocy, i nią wsparta, przezwyciężyć się umiała. W niedługim czasie, słodka rozkosz jaką użyteczne i ciągłe zajęcie się zwykło nieść za sobą, snadném jéj to zwycięstwo uczyniła. Nietylko robotą, nauką i graniem, ale i domem zajęła się Antosia. Pani Nelicka oddana zupełnie sprawom, nie miała czasu i głowy na trudnienie się porządkiem domowym i gospodarstwem: kucharka wszystkiemu wystarczyć nie mogła. Antosia i do tego wzięła się ochoczo, bo z postępem rozumu, przekonała się, że to jeden z piérwszych obowiązków każdéj kobiéty. Wkrótce zaczęło być w małym ich domku jadło smaczniejsze, a mniéj wychodziło pieniędzy; pokoiki skromne, lecz porządnie uprzątnione, milszą postać przybrały: wszystko szło jak w zegarku.

Kiedy dnia jednego Matka nie mogąc się nacieszyć tą pomyślną odmianą, ściskała serdecznie córkę, weszła do pokoju Krystyna z prośbą, ażeby w dniu następującym raczyły być obie u jéj rodziców na baliku. Już były ostatki, chciało się dzieciom wyskakać jeszcze. Tą razą Antosia chętnie zaprosiny przyjęła: w tę samą nawet ubrała się suknię per-

kalową a przecież z radością pojechała, śmiało i wesoło weszła do salonu. Suknia ślicznie była uprana, wszystkie plamy wywabione; przerobiona na krój modny i kształtny, wybornie leżała; piękny ślak w robótki przydłużał ją w miarę; i chociaż na tym baliku też same co na piérwszym były osoby, nikt jéj sukni nie poznał. Były takie osoby co i Antosi nie poznały! i zdarzyło się, że jeden z tych młodzieńców, którzy tak nielitościwie z niéj się śmieli, widząc ją tak wesołą, w takiéj przyjaźni z córkami gospodarstwa, zaprosił ją najpiérwszą do tańca i z nią bal otworzył.

Antosia bardzo dobrze tańcowała, nie sztucznie, bez min i pretensyi żadnych, ale w takt ochoczo i skromnie, nie brakło jéj więc tego wieczoru na tancerzach, i zabawiła się wyśmienicie; nikomu nie przyszło na myśl śmiać się z niéj, owszem wielu mężczyzn chwaliło ładne jéj ułożenie, wiele kobiét uważało kształtną robotę jéj sukni, i piękny ślak ją zdobiący. Na samym końcu zabawy, na odpoczynek, zaczęła młodzież grać kolejno na klawikordzie; proszono i Antosię żeby siadła: nie wzdragając się długo, zagrała wyraźnie, równo, bez omyłki, i z pewną metodą taniec Kurpińskiego, bo wielką miała od dzieciństwa zdatność do muzyki, wprawy jéj tylko dotąd niedostawało. Gdy się podniosła i słuchała z skromnością pochwał, które jéj granie zyskało, zbliżyły się do niéj trzy panienki, właśnie te same, które niezbyt dawno *Szurgotkiem* ją nazwały.

„Jakeś dobra! mówiły do niéj, powiedz nam czy doprawdy jesteś tą dziewczynką, która tu, w tym samym salonie tak smutną grała rolę, z któréj prawdę powiedziawszy, śmiałyśmy się trochę? Wzrost ten sam, twarz ta sama, ale zupełnie inne ułożenie, inna mina, ubiór inny. To chyba jakaś cudowna przemiana.

„Oto anioł, który tę przemianę sprawił—zawołała Antosia wskazując na Krystynę. — Ta dziewczynka dziś tak wesoła — mówiła daléj — wierzcie mi, jest taż sama, która

parę miesięcy temu, siedziała tam w kącie na téj żółtéj sofce i połykała łzy gorzkie. Na tamtą gniéwała się Matka, tamta była gnuśna, próżniaczka, leniwa, nieporządna, niekontenta z siebie i dla tego taką smutną miała postać. Tę, którą dziś przed sobą widzicie, Matka chwali; ta stara się być czynną, pracowitą, dbałą, gorliwą i pilną i dla tego jest wesołą.“

I słusznie mówiła Antosia: bo swobodę umysłu sumienie zaspokojone daje, a kto z siebie nie kontent, ten smutną wszędzie gra rolę.

Niewidoma.

Nie ma doskonałego na tym świecie szczęścia; mało któréj prawdy od kolébki tyle można napatrzyć się dowodów. Spójrzmy tylko na rodziców, na tych zwłaszcza, którzy liczną dziatwę mają: prócz kłopotów wynikających z jéj wychowania niéma prawie takich, którzyby nieopłakali śmierci nie jednego dziecięcia, i rzadko nad jakim domem tak jest widoczne Nieba błogosławieństwo, ażeby wszystkie dziatki zdrowo i dorodnie wyrosły. Jeden z tych tysiącznych przykładów widzieć można było u państwa Ledowskich.

Troje dzieci ślicznych umarło w ich oczach; z czworga pozostałych, dwóch synów i jedna córka odchowali się szczęśliwie, ale najmłodsza słabowita z dzieciństwa, w trzecim roku wielkiego dostała wyrzutu. Ten źle leczony, schował się nagle, humory spadły jéj na oczy, i w krótkim czasie ociemniała zupełnie. — Zdrowszą była wprawdzie od tego czasu; twarzyczka jéj dotąd ściągła i blada, napełniać się i rumienić cokolwiek zaczęła: ale to okropne kalectwo, któremu przez dni piérwsze dziwiła się tylko, wielkości jego

pojąć nie mogąc, wskroś przeszyło serce jéj rodziców. Widzieć dziecię w wieku wesołości i swobody, nie mogące używać prawie żadnych zabaw, przewidywać przyszłość jego, było to srogą dla nich boleścią; a lubo z innych miar najszczęśliwszemi byli rodzicami, i przymioty każdego z ich dzieci, tysiączne ich sercu wróżyły roskosze, przecież to szczęście zdawało im się bardzo drogo okupione.

Lecz dobroczynna Opatrzności ręka, umié często same nieszczęścia na dobre obrócić, i nieraz ze smutku niespodziana wypłynie pociecha.

Państwo Ledowscy boleli nad ślepotą córki, truła ona ich życie; chcąc jéj zaradzić, nie ominęli żadnéj sposobności wezwania pomocy najsławniejszych lekarzy i okulistów; każdy ich wyrok nowym zupełnie żalem napawał ich serca, bo każdy niepewną i daleką podawał im nadzieję; ale przecież gdyby nie to kalectwo młodszéj córki, nigdyby ze starszéj tak słodkiéj pociechy nie mieli, nigdyby serca obydwóch nie były tak pomyślnie się rozwinęły, tak ściśle spoiły.

Jadwisia miała lat siedm, kiedy Ludwini oczy się zaćmiły; choć w dziecinnym jeszcze wieku, uczuła tak mocno jéj nieszczęście, że przez kilka czasów, rodziców swym smutkiem trwożyła. Nareszcie znalazła ulgę w tych słowach powtarzanych jéj często przez rozsądną Matkę: „Bóg osądziwszy za rzecz potrzebną kalectwo Ludwini, mówiła do niéj, przeznaczył jéj ciebie na osłodzenie téj niedoli. Powinnością jest zatem twoją zamiast płaczu i narzekania, pracować nad uprzyjemnieniem jéj życia. Takie są nasze względem bliźnich powinności; każdemu udzielać mamy czego mu niedostaje, a w co sami zasobni jesteśmy: bogaty powinien zasilać ubogiego, możny wspierać słabego, uczony niewiadomych oświecać, widzący prowadzić niewidomego.“ Trafiła ta mowa do tkliwéj duszy Jadwisi.

Pani Ledowska zajęta mężem, kłopotami znacznego

gospodarstwa, utrzymaniem synów, przyjmowaniem gości, nie mogła oddać się zupełnie biédnéj Ludwini, zaledwie parę godzin codziennie córkom poświęcała. Jadwisia więc opiekowała się siostrą bezustanku, i nigdy nie spuszczała jéj z oka. Pomimo ślepoty swojéj, Ludwinia mniéj miała szkodliwych przypadków od wielu dzieci jéj wieku; bo Jadwisia za nią patrzyła, przewidywała, ułatwiała wszystkie zawady. Równie troskliwa o rozrywki siostry, wymyślała jéj różne zabawy i zatrudnienia: opowiadała jéj różne powieści, śpiéwała piosnki, grała na klawikordzie małe sztuczki muzyczne, których się umyślnie dla niéj uczyła. W lat kilka z pomocą rodziców, do ważniejszych się rzeczy wzięła. Ojciec przywiózł jéj z Warszawy całą książkę wypukłemi literami napisaną i Jadwisia po wielkiéj i długiéj pracy doszła do tego, że Ludwinia za dotknięciem poznając słowa, czytała w téj książce dość gładko. Piérwéj jeszcze nauczyła ją różnych na drutach robótek: z niewypowiedzianą cierpliwością prowadziła jéj paluszki po klawiszach klawikordu i nie może być nikt szczęśliwszy, jak była szczęśliwą dobra Jadwisia, kiedy Ludwinia w dzień imienin Matki taniec Kościuszki zagrała, i na wiązanie darowała jéj parę pończoch własnéj swojéj roboty.

Udzielenie tych umiejętności ileż trudów Jadwisi zadawało? jakiegoż wymagało ciągłego starania; nie zrażała się przecież niczem dobra siostra. Czułość stwarzała w niéj pewny rodzaj geniuszu i nieraz sami rodzice dziwili się dowcipnym sposobom, których używała. W niczém jednak takiéj nie rozwijała zdatności, tak delikatnego czucia, jak w rozmowach swoich z Ludwinią. Dwoje jest drzwi do umysłu naszego: oczy i uszy; piérwsze zawarte były dla biédnéj Ludwini: ale drugie stały otworem. W rozmowach więc największego światła, najtkliwszéj pociechy jéj udzielała, bo z książek wszystkiego czerpać nie mogła. Nie mamy dzieł umyślnie dla niewidomych pisanych!....

Oto jest jedna z tych rozmów, którą wysłuchał niechcący przyjaciel domu państwa Ledowskich. Obie siostry wyszły były do ogrodu w pięknym dniu Majowym, trzymając się pod ręce. Ludwinia miała wtenczas lat dziesięć, Jadwisia lat czternaście.

Ludwinia. Ach! jakże czuję miłe i ciepłe powietrze! Słyszysz ptaszki, jak przyjemne ich śpiewanie! A jak kwiaty pachną!

Jadwisia. Prawda, śliczny poranek: słońce tak pięknie świeci, wiosna wróciła w całéj swéj ozdobie, i ptaszki wesołe, powrót jéj śpiéwają.

Ludwinia. Mój Boże! czemuż ja widzieć nie mogę, co to jest śliczny poranek, jak to słońce świéci? *Wszystko to nie dla mnie.*

Jadwisia. Nie mów tego, Ludwiniu, i dla ciebie jest wszystko. Nie widzisz prawda jak słońce świeci, ale dobrodziejstw jego używasz. Słońce sprawia to ciepło, które cię miłe ogrzewa; słońce ptaszki do śpiewania pobudza, słońce rozwinęło te kwiatki, które wąchać lubisz, i dla ciebie więc świeci.

Ludwinia. Prawda, nie powinnam narzekać, osobliwie kiedy mi Bóg dobry takich dał rodziców i taką siostrę; przyznam ci się jednak, żebym przynajmniéj rada wiedziała co to jest *widzieć*, co to znaczą tysiączne wyrazy, które często słyszę, a dla kalectwa mego wcale zrozumiéć nie mogę. Naprzykład wytłumacz mi, co to jest *ładne* i *brzydkie?*

Jadwisia (po krótkiém namyśleniu). Uważaj tylko, a zdaje mi się, że pojmiesz tych przymiotników znaczenie. Oto mam w jednéj ręce bzu gałązkę, a w drugiéj kwiat berberysowy: powąchaj!

Ludwinia. O! bez pachnie, a berberys przeciwnie, to wiem. Bez miło wąchać, a berberys przykro.

Jadwisia. Otóż to i oczy czegoś podobnego doznają:

kiedy obaczą co *ładnego*, to im miło; kiedy co *brzydkiego*, to im przykro.

Ludwinia. Ach! to ty bardzo ładna być musisz, Jadwisiu, bo mnie tak byłoby miło, gdybym ciebie obaczyć mogła.

Jadwisia. Nie jestem ja ładna Ludwiniu, ale twoim oczom zawszebym się taką zdała; ty mnie kochasz, a kogo kochamy, na tego zwykliśmy oczyma serca patrzeć: ten zawsze nam jest miły.

Ludwinia. Mnie też to bardzo zdziwiło, gdy wczoraj ktoś powiedział o jednéj panience: *nie dziwnego że jest kochaną, bo taka ładna.* Może dlatego, żem niewidoma, ale pojąć tego nie mogę, jak można kogo kochać za to, że na niego miło patrzeć; bo ja kocham, choć nie widzę, i jedynie tych kocham, którzy są dobrzy, którzy mili sercu mojemu.

Jadwisia. I w tém moja Ludwiniu, szczęśliwszą jesteś i sprawiedliwszą od wielu widzących. Serce lepszy znawca od oczów, nie omyli się nigdy; kochać będziesz osoby godne kochania, i wiele przykrości sobie oszczędzisz! A jeśli kiedy Bóg wzrok ci przywróci, czyń wtedy dobrowolnie co teraz z konieczności czynisz. W wyborze przedmiotów przywiązania twego, nie słuchaj oczów, lecz serca; bo inaczéj wielebyś na przejrzeniu swojém straciła.“

Tak i podobnie Jadwisia często z siostrą rozmawiając, razem jéj umysł i duszę zdobiła i słodką niosła pociechę; gorliwość jéj nie ustawała na chwilę: żadne zabawy oderwać ją od Ludwini nie potrafiły. Kiedy ich bracia, przyjechawszy ze szkół na wakacye do domu, tysiączne wymyślali rozrywki, ona tych jedynie używała, których siostra uczestniczką być mogła. Często wybrali się wszystko czworo na przechadzkę; bracia obaczywszy kwiat szczególny lub pięknego motyla odbiegali daleko. Jadwisia nigdy nie opuszczała Ludwini, wolała z nią chodzić pomału, rozmawiać,

jak gonić się i ubiegać z braćmi. To nieustanne zajęcie się kim innym nie sobą, te nauki, które Jadwisia od młodego wieku siostrze dawała, zamiast przeszkodzić, dopomogły jéj owszem do nabycia cnót i wiadomości, najwięcéj zdobiących młodą osobę. Nie masz nic zbawienniejszego, jak wzrość z tém przekonaniem, że nie dla siebie, lecz dla drugich żyjemy; i myśl że wiadomości nasze komukolwiek użyteczne będą, niezmiernéj do nauki dodaje ochoty.

Trudnoby téż było znaleźć milszą i więcéj prawdziwie umiejętną panienkę, od Jadwisi Ledowskiéj. To zupełne zapomnienie o sobie dla siostry, ta chęć wynagrodzenia jéj tego, że więcéj od niéj obdarzoną była, to pragnienie osłodzenia jéj niedoli, nadały jéj sercu, jéj całemu ułożeniu niepojęte powaby. Uczyła się każdéj rzeczy pilnie i gruntownie, żeby miéć czego uczyć siostrę; i jéj biegłość w nauce religii i dziejów świata, znajomość literatury, korzyść jaką z każdego czytania wyciągnąć umiała, rzetelne jéj zdanie o wszystkiém, zręczność w muzyce, w robotach kobiécych były prawdziwie zadziwiające; lecz nie dziwiły tych, którzy wiedzieli w jak szlachetnym celu ich nabywała. Do tych wszystkich przymiotów i zalet, łączyła jeszcze Jadwisia skromność niezmierną. Kiedy obce osoby uczęszczające w domu jéj rodziców, obsypywały ją pochwałami, ona tych pochwał z zadziwieniem słuchała, nie pojmując, jakby, w jéj położeniu inną być można. Wreszcie tak sowicie za postępowanie swoje nagrodzoną była, że nie czuła żadnéj pochwał potrzeby. Długi serca, jedno serce tylko wypłacić potrafi; Ludwinia całą duszą przywiązana była do siostry, a ta jéj miłość starczyła za wszystko. I serce ma wzrok swój; ten często lata uprzedza, i bystrzejszy jest od oczów wzroku. Zawczasu dostrzegła biédna Ludwinia ile winną była siostrze, i wdzięczność rozwinęła w niéj najwyższe uczucia.

Wszystko z ręki Jadwisi dobrém jéj się zdawało, jéj głos był dla niéj najmilszy; oddalona od niéj na chwilę

tęskniła, przeczuwała ją gdy się zbliżała; przy niéj nie ciężyło jéj prawie wcale jéj srogie kalectwo: nikt tak nie umiał rzeczy każdéj jéj wytłumaczyć, pytań zaspokoić; a zgadując od lat najmłodszych czem starania i zabiegi siostry najlepiéj wypłaci, korzystała z każdéj jéj nauki, i tak była mimo kalectwa swojego wesołą i spokojną, że kiedy Jadwisia i rodzice ośmieleni jéj swobodą, skarżyli się czasem na jéj niedolę, ona ich pocieszała. Jakże często takowe mówiła do nich słowa:

„Moje kalectwo wcale mi nie jest przykre, tak mi je osładzać umiecie! Możebym nawet żadnego nie miała żądania, gdybym mogła wystawić was sobie, kochani Rodzice! i ciebie luba Jadwisiu! To mnie najwięcéj w kalectwie mojém trapi, że was myśl moja uchwycić nie może. Prawie żadnych nie zachowałam wyobrażeń z tych lat dziecinnych w których widziałam, i często kiedy chcę koniecznie, żeby mi pamięć moja te czasy wystawiła, tak mi się w głowie miesza, tak coraz większe otaczają mnie ciemności, że muszę tych myśli zaprzestać: wtenczas przyznaję, iż czasem puszczą się łzy z oczów moich: ale to i dobrze, bo moje oczy jedynie do płakania potrzebne, a inaczéj możeby i płakać zapomniały!“—Kiedy to jéj zgadzanie się z losem, tak tkliwe w tak młodym wieku, westchnienie dobywało z serc jéj rodziców i siostry, ona słysząc go, takie jeszcze wymawiała słowa:

„Nie smućcie się, o wy! których ja tak kocham! wasza boleść przykrzejsza mi nad wszystko: nadziei nigdy tracić nie trzeba. Kto wié, może ja jeszcze kiedy i przejrzę? wszak o tylu podobnych słyszałam przykładach. A jeżeli nie taka wola Boga, to czekać będę cierpliwie téj chwili, która niezawodnie kiedyś nadejdzie, chwili, w któréj przejrzę na wieki! będę czekać tego mieszkania, gdzie jak mówi Jadwisia, oczy moje przestaną płakać, tylko wiecznie widzieć będą.“

Lecz nie czekała tak długo Ludwinia: wejrzał Bóg na nią, na jéj rodziców, na siostrę, i wcześniéj zdjąć zasłonę z jéj oczów pozwolił.

Wsławił się był w Warszawie i w Polsce całéj, uczony lekarz L. Biegłość jego we wszystkich gałęziach nauki, któréj był zwolennikiem, a szczególniéj jako okulisty, powszechnie uznaną była; posłyszeli o niéj państwo Ledowscy i natychmiast opuścili dom swój, podróż kilkadziesiąt mil odprawili, ażeby zasięgnąć rady jego względem młodszéj córki swojéj. Właśnie Ludwinia cztérnasty rok zaczęła, kiedy przyjechali do Warszawy. Szanowny lekarz po długiém badaniu przyczyn jéj kaléctwa, powiedział, że katarakta całą jéj ślepotę sprawia: podjął się spróbowania operacyi, lecz widząc Ludwinię niezupełnie zdrową, przepisał piérwéj dosyć długie leki. Dla większego ich skutku, namówił państwa Ledowskich, ażeby nie w samém mieście, lecz gdzie niedaleko osiedli w świéższém powietrzu. Ze wszystkich okolic Warszawy najlepiéj sobie upodobali wspaniały Willanów. Najęli u jednego wieśniaka dwie izdebki, i tam co dni kilka odwiedzał ich biegły lekarz. W krótkim czasie przywiązał się nadzwyczajnie do téj zajmującéj rodziny; pokochał serdecznie dobrą Jadwisię i biédną Ludwinię, bo on przyjacielem chorych swoich być umiał, i dla tego takie wzbudzał zaufanie, tak leczył szczęśliwie! Po upłynionych kilku tygodniach nadszedł dzień naznaczony na operacyę. Może ze wszystkich osób tę rodzinę składających, dzień ten Ludwinię najspokojniejszą zastał. Miała cokolwiek nadziei, ale tak od dzieciństwa z wolą Nieba zgadzać się nauczyła, że wszystko przyjąć była gotowa, a czy dobry, czy zły koniec dnia tego przewidywała, prawie więcéj o szczęściu, lub o boleści rodziców i siostry, niźli o własnych uczuciach myślała. Gdy stanął powóz sławnego okulisty przed skromnym domkiem, zmieszali się niezmiernie wszyscy, i ze drżeniem witać go poszli. On zaś urzą-

dziwszy stosownie izdebkę, po chwili przystąpił do operacyi. Pani Ledowska nie czując dostatecznéj siły do patrzenia na córkę, a nie chcąc oddalać się od niéj, skryła się w najciemniejszy kąt izdebki. Blada i drżąca, ręce i oczy wzniosła w górę, ale ani jéj usta jednego słowa, ani jéj oczy jednéj łzy wydać nie mogły. Jadwisia tłumiąc gwałtowność pomieszania swego, starała się okazywać zmyśloną spokojność.

Oczy jéj były suche, uśmiech na twarzy, słowa pocieszające w ustach, a zimny pot okrywał jéj czoło, dreszcz nieustanny przebiegał wszystkie żyły, i bicie serca przez suknię widać było.

Klęczała przy siedzącéj siostrze, obiema rękami swemi ręce jéj trzymając. Pan Ledowski stał za krzesłem Ludwini i podpiérał jéj głowę; słabym głosem odwagę jéj zalecał, lubo sam truchlał ile razy okulista instrument do oczów córki przytykał. Ona zaś spokojna i cierpliwa ani drgnęła na krześle swojém, ani razu się nie poskarżyła. Dopiéro po upłynionych kilku minutach, wydała naprzód jęk słaby, a potém krzyknęła: „Ach Boże! Cóżto? czy ja widzę? — Na te słowa zachwycające, Matka pobiedz do niéj chciała, lecz zmysły nie mogąc wystarczyć wzruszeniom duszy, opuściły ją nagle, i padła zemdlona. Pobiegł mąż do niéj, dając znak Jadwisi, żeby nie odstępowała siostry, i wyniósł ją do drugiéj izdebki. Słowa Ludwini, zemdlenie Matki, tak przejęły długo wytrwałą dziewczynę, że już nie mogąc wytrzymać zalała się łzami i zawołała przerywanym głosem: „Czyż widzi doprawdy?“ — „Cicho! cicho!“ odpowiedział jéj lekarz, i umilkła. Ludwinia wymawiała niewyraźne słowa, kiedy okulista ukończywszy operacyę, zawiązał jéj oczy czarną chustką, a wziąwszy ręce obudwuch siostr, te słowa tylko wyrzec zdołał: „O Boże! dziękuję Ci!“ — „Ach! to będzie widzieć!“ krzyknęła Jadwisia, odchodząc od siebie z radości, i rzuciła się do nóg lekarza. „Prawie pewny jestem,

że zupełnie wzrok odzyska!“ odpowiedział. — Usłyszawszy ten wyrok pomyślny, Jadwisia łkać od wielkiego płaczu zaczęła. — „Jadwisiu! Jadwisiu! wołała na nią siostra, nie płacz, uspokój się. I mnie się zdaje, że widzieć będę, bo coś dziwnego mi się działo, nim mi tę chustkę zawiązano; zdawało mi się żem czuła oczami. Nie płacz, owszem cieszmy się nadzieją i dziękujmy Bogu! Ale gdzież Tata? gdzie Mama? nie słyszę ich!“ W téj chwili wszedł pan Ledowski; gdy się o szczęśliwéj wróżbie dowiedział, uścisnął ze łzami szanownego lekarza. Jadwisia pobiegła do Matki; już przyszła była do siebie: opowiedziała jej co się stało, i wróciły wnet obie. Ludwinia leżała na łóżku, zupełnie ciemno było w izdebce. Okulista zalecił, ażeby najmniejszego nie było światła; odebrawszy dziękczynienie całéj rodziny, szczęśliwy że mu się udało, odjechał, obiecując przyjeżdżać często. I przyjeżdżał. Coraz łżejszą kładł zasłonę na oczy Ludwini i większego światła w izdebce dopuszczał; nareszcie gdy już wzmocnił się jéj wzrok dostatecznie, zdjął zupełnie zasłonę. — Któżby opisać tę scenę potrafił? któżby zdołał wierne dać wyobrażenie dziwnych i zachwycających uczuć, których doznała Ludwinia obaczywszy Rodziców i siostrę, ich rozkosz gdy ją widzącą ujrzeli! Długo przyzwyczaić się do szczęścia swojego nie mogli; długo Jadwisi szczególnie złudzeniem się zdawało. Dłużéj jeszcze Ludwinia nie umiała wzroku swojego używać; przez czas znaczny więcéj ufała dotknięciu niźli oczom: kiedy szła sama przez pokój, tak jak dawniéj, wyciągniętą naprzód ręką torowała sobie pewną drogę; kiedy obaczyła nowy przedmiot jaki, dotknąć się go musiała, a lubo Jadwisia obok niéj siedziała, nie wierzyła zupełnie jéj obecności, jeśli jéj nie trzymała za rękę, lub nie głaskała po twarzy. Minął także czas bardzo długi, nim się obeznała z cudami przyrody. Niema słów w żadnym języku do opisu jéj zachwycenia, kiedy piérwszy raz ujrzała niebo, słońce, księżyc,

gwiazdy; kiedy zobaczyła szeroką Wisłę toczącą wspaniale brunatne wody swoje, piękny ogród Willanowa i te drzewa ręką Sobieskiego sadzone, dziś obłoków sięgające. Najmniejszy robaczek, kwiatek każdy w zadumienie ją wprowadzał. Raz godzinę przypatrywała się róży, rachowała jéj listeczki obrywając po jednemu, i ledwie się nie rozpłakała, gdy ogołoconą gałązkę w ręku swojém spostrzegła... Nieraz mówiła do Jadwisi: „O! jakże ten człowiek nikczemném jest stworzeniem! ja o tych wszystkich cudach słyszałam, umiałam je nazwać, zdawało mi się, że je rozumiem, boś mi tak dobrze wszystko tłumaczyła, a przecież nic sobie takiego nie wystawiałam!.. Bóg to wszystko jedném słowem stworzył.“

Lecz najdłuższego czasu potrzebowała do połączenia dawnych wyobrażeń, z temi, które po odzyskaniu wzroku nabywała: tak rozliczne nasuwały jéj się myśli, rozum jéj w takim był często odmęcie, iż zwykła była mawiać: „Serce moje, w którém też same co i dawniéj znajduję uczucia, głos osób miłych, który zawsze jednakowo o moje uszy się obija, przekonywają mnie, żem jest ta sama, na tym świecie: ale gdyby nie to, sądziłabym, żem już do drugiego życia się przeniosła, a ze snu powstawszy, nowe pasmo dni rozpoczęłam! Ach Boże!.. to wszystkich ludzi podobne mojemu obudzenie czeka; ja już mam jego wyobrażenie. Żebyś wiedziała Jadwisiu, jak to miłe, jak słodkie uczucie, cieszyłabyś się zawczasu na nie.

Dzień każdy nowego dodawał światła, nowe przynosił rozkosze; nietylko rodziców i siostrę, ale wszystkich dziwiła szczególnością myśli swoich i sposobem jakim je wyrażała. Iluż wrażeń i przyjemności przyczyną dla niéj były odwiedzenie Warszawy i powrót do domu? Jedyném wtedy zmartwieniem było rozstanie się z szanownym lekarzem, którego sztuki i ręki Bóg użył na przywrócenie im utraconego szczęścia; wywieźli pamięć jego w sercach, a w częstych li-

stach do saméj śmierci jego pisywanych, wyrażali mu tkliwą wdzięczność i przyjaźń. Skoro Ludwinia czytać drukowane książki i pisać się dobrze nauczyła, użyła najprzód pióra swego na napisanie modlitwy dziękczynienia za wzrok odzyskany, a zaraz potém list nakreśliła do szanownego lekarza. Chciała także opisać dla Jadwisi cały ciąg życia swego, a bardziéj historyę uczuć swoich, szczególniéj téż uwielbienie ku siostrze, które zwiększać się codzień zdawało, bo go codzień lepiéj okazać mogła; lecz tu nie chciało jéj usłuchać pióro: zaprzestać téj pracy musiała; a oddając zaczęty rękopism powiedziała do Jadwisi: „Tego co dla ciebie czuję, chociaż już widzę, opisać nie mogę; niech to lepiéj w sercu zostanie.“ I zostało niewygładzone. Żyje dotąd miła Ludwinia i zawsze jednako siostrę uwielbia.—Już od lat kilkunastu poszła za mąż. Tak jak gdyby niewidomą jeszcze była, w wyborze dozgonnego przyjaciela, nie oczy ale serce przewodnikiem jéj było; piérwéj jeszcze weszła w podobneż związki dobra Jadwisia: obie są szczęśliwe, lubo dosyć daleko od rodziców i od siebie mieszkają. Kiedy po piérwszém rozstaniu się z siostrą, Ludwinia piérwszy raz do niéj pisała, list jéj od tych słów się zaczynał: „Od chwili, w któréj odjechałaś, zdaje mi się żem znowu niewidoma; znikła dla mnie największa wzroku mego korzyść: widzieć ciebie nie mogę.“

Często jednak używa téj lubéj korzyści Ludwinia, skoro im okoliczności pozwalają, obie zjeżdżają się u rodziców; najmilsza jéj wtedy rozmowa jest przypominać sobie lata kalectwa swego. Przejęła męża i dziatki uwielbieniem dla Jadwisi, i zwykła powtarzać: „Srogie kalectwo moje było przecież źródłem szczęścia, nauczyło mnie jak można być kochaną.“

Magdusia i Julisia.

„Wspomóż mnie, choć na ten raz moja śliczna panienko!“ mówiła mała dziewczyna drżąca od zimna, nędzną odzieżą okryta, tuląc się w sieni wspaniałego pałacu na Krakowskiém Przedmieściu. „Moja Matka chora, już pracować nie może, moi mali bracia umiérają z głodu!“ — „Nie dam ci nic—odpowiedziała Julja Lutyńska, wsiadając z Ojcem do eleganckiéj karety,—odejdź ztąd i nie piszcz mi nad uszami.“—„A to córka téj waryatki, co się za moję krewnę udaje“ — zawołał z gniewem jéj Ojciec — „idź precz włóczęgo!“ —„Niestety! zlitujcie się i dajcie choć kilka groszy!“— „Nic nie dostaniesz — odezwała się Julja — jeszcześ zamała do żebrania.“ — „Tomaszu! krzyknął na Szwajcara pan Lutyński, wypchnij tę dziewczynę: a ty Janie ruszaj!“ — Pojechali. Biédna Magdusia oddaliła się dobrowolnie, nie czekając, żeby ją Szwajcar wypchnął: szła i płakała. Piérwszy raz w życiu prosiła o jałmużnę dla posilenia zgłodniałéj i choréj Matki: prosiła! i jeszcze kogo? i tak jéj się źle udało!...

Matka jéj mieszkała na Grzybowie, w jednym z najnędzniejszych dworków; poszła więc przez Saski ogród, a znużona, pomimo tęgiego mrozu siadła na ławce w bocznéj ulicy i jeszcze rzewniéj płakała. Patrząc smutno w ziemię, postrzegła na śniegu coś świecącego; wstała, a przyjrzawszy się lepiéj obaczyła srebrny woreczek; podniosła go, otworzyła, i pełno dukatów w nim znalazła. Uradowała się niesłychanie. „Wielki Boże! krzyknęła, jakże moja Matka będzie szczęśliwą! już nie będzie musiała u tych niegodnych ludzi żebrać.“ Lecz ta radość nie długo trwała. Magdusia pobożnie wychowana, wiedziała że cudzego dobra przywłaszczać sobie niemożna.

„Ale te pieniądze nie moje! powiedziała wkrótce ze smutkiem, ktoś je zgubił; może tu jest gdzie niedaleko.“ Obejrzała się na wszystkie strony: nie było nikogo w ogrodzie. „Cóż ja zrobię?“ dodała. „Oto najlepiéj pobiegnę do Matki, i jéj się zapytam.“ Pobiegła więc jak najprędzéj. „Patrz Matko, co ja to znalazłam! zawołała wchodząc. Woreczek srebrny z dukatami; powiedz mi co z nim mam zrobić?“—„Oddać do kogo należy, odpowiedziała bez najmniejszego namysłu Matka. Jesteśmy ubodzy, ale poczciwi; cudza własność nie przyniosłaby nam korzyści. Idź więc natychmiast, moje dziecię, do wydawcy Warszawskiego Kurjera, pokaż mu coś znalazła; on ogłosi tę zgubę w swojém piśmie i znajdzie się właściciel. Ale nie oddawaj woreczka komu innemu, tylko jemu w ręce.“ Magdusia opowiedziawszy Matce jak nielitościwie od pana Lutyńskiego i od jego córki przyjętą była, rozgrzawszy się trochę przy wiórach tlejących na kominie, poszła dopełnić jéj rozkazu.

Nie wiedząc dobrze gdzie wydawca Kurjera mieszka, pyta się kilku przechodzących; jeden z nich bardzo porządnie ubrany i już w wieku, szedł właśnie do niego, i powiedział jéj miłe: „Chodź ze mną, dziewczynko! ja cię zaprowadzę!“ — W drodze zapytał jéj się, jakiby interes miéć mogła? Opowiedziała mu całą swoję przygodę. „Pokaż ten woreczek!“ rzekł do niéj. Magdusia wyjęła go z pod chustki. „Ach! to ten sam! zawołał skoro go zobaczył: ja wiem do kogo on należy!“ „Doprawdy? powiedziała Magdusia; tobym już nie potrzebowała chodzić do wydawcy Kurjera, ale cóż? kiedy Matka nikomu innemu oddać go nie pozwoliła.“ — „Wielką słuszność w tém miała, odpowiedział nieznajomy; ale powiedzże mi, moje dziecię, kto ty jesteś? jak się zowiesz? rzadka w waszym stanie taka uczciwość i taki rozsądek!“—„Jestem Magdusia, biédna dziewczynka, i mam bardzo dobrą Matkę.“—„Gdzie ona mieszka?“—„W dworku

na Grzybowie.“ —„Zaprowadź mnie do niéj.“ „O! chętnie, chodź W. Pan.“

Widok okropnéj nędzy przejął litością serce nieznajomego, a rzetelność obok takiego niedostatku, wzbudziła w nim największy dla téj rodziny szacunek. Zapytał się Matki Magdusi jak dawno była słabą? i dlaczego się nie udała do Towarzystwa dobroczynności, albo do któréj wielkiéj pani? „Mości panie! odpowiedziała, mam krewnego bogatego, któryby powinien myśléć o mnie i o moich dzieciach; wstydziłam się u obcych szukać pomocy.“ —„Jak się nazywa ten krewny?“ spytał się jeszcze nieznajomy. „Z trudnością przychodzi mi wyznać jego imię... Lutyński.“ — „Co mówisz? Lutyński! jeden z najbogatszych obywateli warszawskich!“—„Tak! nieinaczéj; on jest bardzo bliskim moim krewnym. Jego Ojciec mojego był rodzonym bratem, odumarł go w dzieciństwie. Moi rodzice trzymali małą dzierżawę, wzięli go do siebie i do szesnastu lat był w naszym domu. W tym wieku zdarzyła mu się służba u wielkiego pana, wyjechał z nim za granicę, bawił lat kilka; wygrał los na Berlińskiéj loteryi, wrócił do Polski, ożenił się z bogatego kupca córką, i teraz ma wsie, pałace i jest bardzo majętnym. Ja zaś tymczasem poszłam za mąż do Lublina; zaślubiłam sobie urzędnika, ubogiego wprawdzie, lecz bardzo poczciwego człowieka. Póki żył, pensya jego wystarczała na nasze potrzeby; ale zachorował, jego słabość trwała kilka miesięcy i śmiercią się zakończyła.... Rodzice téż moi od lat trzech nie żyją!... Zostałam więc bez sposobu do życia z trojgiem dzieci. W tak okropném będąc położeniu, rady sobie dać nie mogłam. Sądząc po sobie o stryjecznym bracie, myślałam, że skoro się dowie o mojéj nędzy, nie odmówi mi swego wsparcia, lubo od czasu zbogacenia się swojego, nie zgłaszał się wcale do nas. Zabrałam się więc z dziećmi i przybyłam do Warszawy; wstyd wyznać, że brat

mój w przytomności domowych swoich zaparł się mnie, a tajemnie powiedzieć mi kazał, że jeżeli mu się naprzykrzać poważę, odeśle mnie do Bonifratrów, a dzieci odda do Dzieciątka Jezus! W największéj rozpaczy wróciłam do tego dworku, gdzie zaraz przyjechawszy najęłam była izdebkę. Umyśliłam w Warszawie czas jakiś pozostać, w nadziei że mój krewny zastanowiwszy się pożałuje, iż sobie tak niegodziwie z stryjeczną siostrą, z córką dobroczyńców swoich postąpił; ale widzę że wielki majątek serca zatwardza, już do sześciu tygodni czekam nadaremnie; napróżno kilka razy przypominałam mu się, napróżno opisałam mu moję nędzę, dawne i ścisłe wystawiałam związki!... Póki mi zdrowie służyło, pracowałam wraz z Magdusią; lecz w czasie tak przykrym nie mając za co drew kupić, tę biédną izdebkę osuszyć, romatyzm rozebrał mi kości, i nic robić nie mogę. Przez ten czas nasza śpiżarnia się wypróżniła, reszta pieniędzy wyszła, i dziś rano wysłałam Magdusię do Stryja o jakiekolwiek prosząc wspomożenie; lecz on wypchnąć ją kazał, a jego córka zamiast litości zelżywémi słowy ją złajała!...“ Tu łzy przerwały jéj mowę. „Nie płacz, powiedział jéj nieznajomy: Bóg nigdy wdów i sierot nie opuszcza. Woreczek który Magdusia znalazła, należy do Księżnéj*** Przechodząc dziś rano przez Saski ogród, zgubiła go: wysłała mnie właśnie ażebym go szukał, a jeżeli nie znajdę, podał do Kurjera wiadomość o téj zgubie. Pójdź ze mną Magdusiu, oddasz sama Księżnie ten woreczek; to najlepsza w świecie pani! dobroczynność jest dziedziczną cnotą jéj rodu, serce jéj od Ojca tę puściznę dostało: pójdź a pewny jestem, że skoro przygodę waszą usłyszy, weźmie was pod swoję opiekę.“

Magdusia poszła chętnie z nieznajomym. Był to zasłużony kamerdyner Księżnéj*** zostawiwszy ją w przedpokoju, poszedł do pani swojéj. Wrócił niedługo i wprowadził dziewczynkę do prześlicznego pokoju. Piękna jeszcze

pani siedziała przy stoliku, i pisała; ale chętnie przerwała swą pracę i wstała do Magdusi. Pogłaskawszy ją po twarzy, tak do niéj mówiła: „Moja kochanko, nie mogę ci wyrazić ile mnie ucieszyło wasze uczciwe postępowanie; tak miło sercu, kiedy cnotę spotka! Opowiedział mi wszystko mój kamerdyner. Zostaniesz ze mną moje dziecię! będziesz używać różnych wygód i przyjemności.“ — „Dobra Księżno! odpowiedziała zdziwiona Magdusia, bardzom Ci wdzięczna za ofiarowanie mi łaski, ale nie mogę odstąpić choréj Matki. Jak wyzdrowieje, i będzie mogła pracować, to wtedy dopiéro, jeżeli ona pozwoli, korzystać będę z Twojéj dobroci!“ Na to szczere wyznanie czarne oczy Księżnéj napełniły się łzami, uśmiechnęła się mile i zawołała: „Jakto? wolisz wrócić do nędzy, cierpieć niedostatek, niżli mieszkać przy mnie w pięknym domu, jeść przysmaczki i jeździć karetą? „Zapewne że wolę, odpowiedziała dziewczynka, bo jakżebym mogła przełknąć przysmaczek, myśląc że Matka i bracia umiérają z głodu: i jeździć karetą wtenczas, kiedy ona ledwie chodzić może. Nie! nie mogę opuścić Matki!“—„Kochane dziecię! rzekła Księżna, ściskając ją, ja żartowałam; nie opuścisz twojéj Matki, póki tylko słabą będzie: wróć się do niéj, pilnuj i pocieszaj! Dopełniaj obowiązków dobréj córki, te są najsłodsze, najwięcéj pociechy i zaspokojenia sercu przynoszą!... Ja o was nie zapomnę!“ Zadzwoniła Księżna: weszła jéj panna służąca, szepnęła jéj coś do ucha, wyprowadziła kamerdynera, i w krótkim czasie wrócili oboje, a dwóch ludzi wniosło dwa kosze. Jeden był napełniony żywnością, drugi bielizną i sukniami. Dała prócz tego Księżna Magdusi pięć dukatów z znalezionego woreczka. Dziewczynka patrząc na te wszystkie dary, tak była przejęta radością, że mówić nie mogła. Padła na kolana, złożyła ręce, wzniosła oczy w niebo, a potém całowała ręce i nogi swojéj dobrodziéjki. Ta ją podniosła i kazała ją odprowadzić do Matki. Magdusia nie szła przez

ulicę, ale skacząc wbiegła do dworku. Zadziwienie i wdzięczność biédnéj wdowy trudnoby opisać; dzieci chodziły wkoło koszów przypatrując im się wesoło. Cała rodzina posiliwszy się, nie zaraz się uspokoiła nad niespodziewanem szczęściem swojém. Wkrótce Matka Magdusi wyzdrowiała, Księżna oporządziwszy ją wraz z dziećmi, odesłała do jednego ze swoich folwarków, żeby tam była gospodynią; Magdusię zaś polubiwszy niezmiernie, wzięła do siebie: młoda dziewczynka dobrém postępowaniem umiała zasłużyć na coraz większe przywiązanie Księżnéj. Rozsądna jéj dobrodziéjka wychowała ją podług jéj stanu. Magdusia dobrze wyćwiczona w religii, umiała doskonale czytać i pisać po polsku, znała rachunki i wszystkie kobiece roboty. Gdy doszła do lat szesnastu, Księżna dla większéj wprawy powierzyła jéj w części zarząd domu swojego. Magdusia lubo młoda tak sobie umiała radzić na tym urzędzie, iż pozyskała zawczasu dobréj gospodyni imię. Ten przymiot, który stać może za posag ubogiéj dziewczynie, zwabił jéj kilku zalotników; między nimi był młody i uczciwy szlachcic, który własną wioskę posiadał. Tego wybrała nie dla wioski, lecz dla rzadkich duszy zalet. Księżna jéj dała porządną wyprawkę, i dziewięć tysięcy złotych posagu; podjęła się także utrzymywać własnym kosztem dwóch jéj braci w szkołach.

Skoro osiadła Magdusia w nowém siedlisku swojém, natychmiast z wolą męża ofiarowała Matce przytułek u siebie; uwolniła ją Księżna od służby, sprowadziła się więc do dzieci, i wielką była pomocą córce w zarządzaniu wiejskiém gospodarstwem.

Płynęły dni Magdusi swobodnie, pracowitością i rządem przymnażała majątku mężowi. Dał jéj Bóg kilkoro dziatek, które się zdrowo chowały: często donosiła dobréj Księżnie o szczęściu swojém, a ta cieszyła się niém jako własném dziełem. W pięć lat po jéj zamęźciu, bracia Magdusi zjechali do jéj wioski na święta Bożego Narodzenia.

Po smacznéj Wigilii jéj ręką i Matki przyprawionéj, cała rodzina obsiadła wkoło kominek, na którym suty palił się ogień: Matka dzieciom i wnukom znaczniejsze życia swego opowiadała przygody, kiedy Magdusia zawołała nagle: „Cicho! cicho! słyszałam głos narzekający!“ Umilkli wszyscy, zaczęli nadstawiać ucha, i usłyszeli jęczenie pod oknem. Magdusia wybiegła na podwórze. Niebo było iskrzące, bo mróz był tęgi; spostrzegła pod ścianą kobiétę leżącą; zawołała męża i braci: przyszli, wzięli nieszczęśliwą, która zdawała się być zemdlona i wnieśli do domu! Magdusia pobiegła do apteczki po wino i po białe krople, a jéj Matka posadziwszy nieznajomą blizko ognia, rozcierała jéj skronie kolońską wodą. Pomaleńku zaczęła przychodzić do siebie, otworzyła oczy, i krzyknęła przeraźliwie zobaczywszy ją przed sobą! — „Niegodna jestem twojéj litości, słusznie mnie Bóg skarał!“—„Nieszczęśliwi są zawsze godni litości“ odpowiedziała dobra kobiéta, któréj rysy téj twarzy nie zdawały się obce. Na te słowa nieznajoma zalała się łzami i ze łkaniem rzekła: „Ach! nie tak ja się niegdyś z twoją córką obeszłam!“ O Boże! zawołała Matka Magdusi, byłażebyś ty?... „Tak! przerwała, jestem ową dumną Julią Lutyńską, twoją bratanką!...“ To wyrzekłszy, takie było jéj wzruszenie, że w nową mdłość wpadła. Zdumiała jéj Ciotka na te słowa. „Magdusiu! Magdusiu! zawołała na wracającą córkę. Co za szczególne zdarzenie! Czy uwierzysz? oto twoja stryjeczna siostra. Oto Julia!“ Z trudnością uwierzyła słowom Matki Magdusia: lecz ta wiadomość zamiast ostudzić jéj litość podwoiła ją, gdyż jako prawdziwa chrześcianka, dobrém za złe płacić lubiła. Kazała zanieść zemdloną Julię do swego pokoju i położyć na własném łóżku; mąż jéj posłał do poblizkiego miasteczka po lekarza: całą noc czuwali przy chorój, a gdy przyszła zupełnie do siebie i przepraszać ich chciała, mówić jéj nie pozwolili, ale widzieć mogła po czułych staraniach Matki i Córki, że naj-

mniejszego żalu do niéj nie miały.—Długo ciągnęła się słabość Julii; gdy do sił wracać zaczęła, słuszną ciekawość ciotki i stryjecznéj siostry opowiadaniem swoich przygód zaspokoiła. Treść ich była taka:

Julja Lutyńska jedynaczka i bogata, straciwszy Matkę w dzieciństwie, przez sługi i nierozsądnego Ojca od kolébki psutą była. Wzrosłszy w największych dostatkach i zbytkach nieczułą się zrobiła na nędzę ludzką, i z tak źle prowadzonego dziecięcia, stała się późniéj nieposłuszną córką. Ledwie dorosła, kiedy się pokochała w człowieku niepewnéj sławy, a gdy Ojciec sprzeciwiał się tak nierozsądnym związkom, przyzwyczajona od pieluch własną czynić wolę, dała się wykraść, i wziąwszy z kochankiem ślub potajemnie, ujechała z nim do Krakowa. Ten postępek tak rozgniewał pana Lutyńskiego, że nawet listu żadnego od córki czytać nie chciał. Tymczasem mąż téj nieszczęśliwéj, żył z nią lat kilka dosyć zgodnie póty, póki im pieniędzy stało. Lecz raz zgrawszy się zupełnie, (gdyż karty jedynym były jego sposobem do życia), umknął za granicę, zostawiwszy żonę w największym niedostatku i słabą. Nie wiedząc co począć biédna Julja, pomimo słabości swojéj i przykréj zimy, wybrała się pieszo do Warszawy, w nadziei że jéj okropne położenie wzbudzi litość w sercu Ojca; zaszedłszy z trudnością do wioski męża Magdusi, nie wiedząc wcale kto był jéj właścicielem, zdrożona, zimném wskroś przejęta, chciała szukać ratunku we dworze, lecz już wejść nie mogła i przed progiem upadła bez zmysłów.

Ten wypadek tak napozór smutny, stał się narzędziem szczęścia Julii. Już dosyć ucierpiała za winy swoje, nie chciał Bóg dłużéj jéj karać. Starania pieczołowite Magdusi i jéj Matki, przywróciły jéj zupełne zdrowie. Przykład tylu cnót domowych, zbawienne na jéj umyśle uczynił wrażenie, i pomyślną w niéj sprawił odmianę. Magdusia w czasie jéj słabości, starała się zmiękczyć przez Księżnę pana

Lutyńskiego. Udało jéj się. Księżna opisawszy tkliwie niedolę Julii, żal jéj że obraziła Ojca, trafiła do serca jego, tak jak do wszystkich trafić umié. Namówiony przez nią, pojechał do domu męża Magdusi, pogodził się z córką, siostrę przyznał, a nagradzając dawną nieludzkość, błagał, ażeby mu pozwoliła zająć się zupełnie losem dwóch jéj synów. Odtąd najściślejsza przyjaźń zawiązała się między dwiema kuzynkami. Julja idąc za radami Magdusi, i wziąwszy ją za wzór swego postępowania, używać zaczyna swobody umysłu.

Mąż jéj umarł za granicą. Magdusia zaś uwielbiona od wszystkich, wśród męża, Matki, dzieci, rodzeństwa i krewnych szczęśliwe wiedzie życie. Jéj dobrodziejka co rok odwiedza ją w jéj wiosce, i zapewne dzień ten jednym jest z najpiękniejszych dni życia Magdusi.

Chrzciny.

„Ej! mówiła stara Petronella do młodéj Anielki, którą ubiérała; jeżeli panna będziesz się tak kręcić, to jéj dzisiaj ubiérać nie skończę: zaszznurowałam gorset zupełnie krzywo.

Anielka. Kiedy mego brata nie widać!

Petronella. Niech panna będzie cierpliwa, dopiéro dziesiąta godzina, a chrzest ma się odbyć o jedenastéj; przyjedzie wnet pan Feliks. Pojechał dziś raniuteńko konno, może gdzie wstąpił, ale pewno na godzinę naznaczoną powróci. I on także z wielką niecierpliwością wygląda spełnienia tego religijnego obrządku. Dla takich dzieci jak wy jesteście, bardzo przyjemnie być piérwszy raz chrzestnym Ojcem albo chrzestną Matką.

Anielka. Bardzo cię przepraszam, moja Petronello, ale ani Feliks ani ja, już wcale nie jesteśmy dziećmi.

Petronella. Nie jesteście dziećmi? O zapewne! Dziewczyna w dwunastym roku, chłopiec w piętnastym, to prawdziwie już są dorosłe osoby. Za moich czasów panna do dwunastu lat mogła się bawić lalką, i nikt się temu nie dziwił; ale w teraźniejszym wieku, ledwie dziewczęta umieją chodzić, jużci nie chcą być dziećmi. Jak kto z gości przyjedzie, natychmiast chowają zabawki, zasiadają w krześle, słuchają rozmowy, wtrącają się do niéj; na balu chcą koniecznie, żeby sami słuszni kawalerowie z niemi tańcowali... Ale cóż téż panna dziś wyrabia?“

Anielka nie zważając na tę całą Petronelli perorę, skoczyła i pobiegła do okna: usłyszała, że powóz jakiś przed dom zajechał. Ale nie był to Feliks! tylko dzierżawca pana Amińskiego, Ojca Anielki; przyjechał z mamką i z córeczką, któréj miały odprawić się chrzciny. Anielka smutna wróciła na swoje miejsce; Petronella dokończyła ją ubiérać: zbiegła potém dziewczynka do ogrodu, narwała pęk róż białych i różowych,—połowę przypięła do boku, połowę w ciemne włosy włożyła. Poszła potém do pokoju Matki, gdzie zastała mamkę z dzieckiem. Wzięła na ręce dziewczynkę obwiązaną w poduszkę, i pieściła się z nią. „Patrz Mamo! mówiła, jak śliczna moja chrzestna córka: muszę prosić jéj rodziców, żeby ją tu w każde święto przywozili, będę się miała czem bawić.“ — „Moja Anielko! powiedziała na to pani Amińska, ty widzę uważasz trzymanie dziecka do chrztu za źródło zabawy, i zdaje się jakbyś nie znała wcale jakie powinności wkłada. Są większe, niżeli wystawić sobie możesz. Jest to niejako przysposobić sobie dziecię, a tym sposobem dziś jeszcze Matką zostaniesz.“ Anielka patrzyła na panią Amińską z niedowierzającym uśmiechem. „Co ci tu mówię, rzekła daléj, nie jest żartem; będziesz winna téj dziewczynce rady i pomoc Matki.

Urodzona z rodziców rozsądnych i dobrze się mających, może nie będzie potrzebowała nigdy, ani napomnień twoich,

ani zasiłku w potrzebie; ale gdyby przypadkiem została sierotą lub ubogą, twojéjby pomocy wezwała z ufnością. Dziś więc przybierasz obowiązki jéj opiekunki, i jéj drugiéj Matki.“ „Kochana dziecino! zawołała Anielka, kiedy takie będą względem ciebie moje powinności, to już czuję, jak przez to samo, kochać cię będę. Obaczysz Mamo, że nigdy téj rozmowy nie zapomnę i powtórzę ją co do słowa bratu, skoro powróci.“ To powiedziawszy, położyła ostrożnie dziecko na łóżku, pocałowawszy je delikatnie i usnęło sobie.

Tymczasem Feliksa jak nie było, tak nie było widać. Niecierpliwość wzmagała się w sercu Anielki, a pani Amińska zaczęła być trochę niespokojną o syna. Kilku sąsiadów z dziećmi, zaproszonych na te chrzciny zjechało się, wrócił i pan Amiński z pola; poszła go córka przywitać. Dojrzał odrazu smutek na jéj twarzy, i spytał się jakieby miała zmartwienie?

„Ach Tato! odpowiedziała, Feliks jak pojechał raniuteńko, tak dotąd nie wraca.“ „Czy to ma być tak późno? rzekł pan Amiński dobywając zegarka z kieszeni; on mi mówił, że kilka godzin zabawi, bo chciał wszystkie nasze wioski objechać; ale w saméj rzeczy już jest kwadrans na dwunastą!“ „Czy mu się tylko co nie stało w drodze? zawołała Matka; ja zawsze nie lubię, kiedy on sam jeden konno się wybierze.“ „Przecież chłopiec, odpowiedział pan Amiński z uśmiechem, przyjechał do nas ze szkół na parę tygodni, już ma rok piętnasty; trzeba żeby zaczął używać trochę wolności. Pewnie wstąpił do Gruszyna, do przyszłéj kumy swojéj, naszéj dzierżawczyni, i tam się zabałamucił.“ „O! jeśli nie przyjedzie do dwunastéj, odezwała się pani Amińska, poślę tam umyślnego!“ Dwunasta wybiła, nie było Feliksa! wysłała Matka umyślnego do Gruszyna. Stara i troskliwa Petronella przyszła namówić Anielkę, żeby się rozebrała. „Splamisz panna nową suknię, mówiła, trzeba ją świeżą do chrztu zachować, a już dziś chrzcin nie będzie, bo ksiądz

proboszcz wyjechać musi.“ Anielka poszła do siebie na górę; ze łzami w oczach zdejmowała muślinową białą sukienkę, i nadwiędłe odpinała róże. Matka nadeszła i pocieszać ją zaczęła. „Co się odwlecze to nie uciecze, kochana Anielko, mówiła do niéj; proboszcz ma dziś na noc wrócić i jutro będziesz trzymała to dziecko do chrztu. Teraz zaś staraj się twój smutek przezwyciężyć, a uprzejmością i innemi rozrywkami, nagrodź młodym gościom twoim, mimowolny zawód i nieobecność brata. Mam nadzieję w Bogu, że aby jemu nic złego się nie stało, niebawnie powróci.“ Anielka przy dosyć wielkiéj żywości, miała bardzo dobre serce, uległość niepojętą i wiele mocy nad sobą. Natychmiast Matki usłuchała, wróciła z wesołą twarzą do gości swoich, i była nad wszelki wyraz przyjemną. Prosili ją żeby siadła do klawikordu i śpiéwała. Głos Anielki był miły, nie uczony ale wdzięczny. Kiedy Anielka przypadkiem zapomniała którego wiersza, wszystkie towarzyszki nagradzały to zapomnienie, powtarzając na wyścigi opuszczone słowa. Gdy skończyła śpiéwać, obsiadło ją wkoło młode grono, i czytali kolejno też same śpiewy głośno, przypatrując się jeszcze, tyle już razy widzianym obrazkom. Z żalem przerwali to miłe zatrudnienie, gdy służący dał znać że obiad na stole.

Nad wieczorem wrócił umyślny wysłany do Gruszyna, z niedobrémi wiadomościami. Był tam Feliks w rzeczy saméj o dziesiątéj godzinie z rana, ale i kwadransu u dzierżawczyni nie zabawiwszy, pojechał spiesznie, żeby się stawić na chrzciny. Dowiedziawszy się o tém pan Amiński, tak był niespokojny, iż choć się już zmierzchać zaczęło, chciał sam jechać szukać syna. Żona jeszcze może niespokojniejsza, nie puściła go jednak, obawiając się, żeby przy ciemnéj nocy nie popadł także jakiemu nieszczęściu.

Oboje więc zgodzili się na wysłanie na wywiady poczciwego Tomasza; miał jeździć po blizkich wioskach i pytać się wszędzie o Feliksa. — Od kilkunastu lat już służył

Tomasz u państwa Amińskich; w każdéj okoliczności był skory do usług, ale z szczególną téż ochotą podjął się wynalezienia młodego panicza, bo na rękach swoich go piastował i kochał serdecznie. Zjadłszy co tchu wieczerzę, wsiadł na konia i ruszył w drogę. Goście się rozjechali; został tylko dzierżawca z córeczką. Anielka i jéj rodzice poszli spać smutni. Anielka niespokojnie spała; przykre sny jéj się roiły: koło szóstéj godziny, właśnie kiedy smaczniéj usypiać zaczęła, przebudzoną została mocném stukaniem do bramy dziedzińca. Wyskoczyła z łóżka, rozsunęła firanki od okien i z wielką radością zobaczyła brata z Tomaszem. Siedział Feliks na koniu, i trzymał jakieś zawinięcie; ostrożnie oddał je Matce, która była wyszła naprzeciwko niego. Feliks zsiadł z konia, był blady, z żywością mówił do Matki i wszyscy weszli do domu. Ciekawość Anielki zrównała się z radością: szlafroczek ranny włożyła, i z pośpiechem zbiegła na dół do rodziców. Rzuciła się bratu na szyję, tysiączne robiła mu wymówki i pytania, gdy wtém usłyszała płacz dziecka. Zdziwiona, myślała najprzód, że to córeczka dzierżawcy: pobiegła do łóżka Matki, zkąd ten głos wychodził... Jakież było jéj zadziwienie, gdy w tém samém zawinięciu, które Feliks trzymał w ręku przyjechawszy obaczyła inne dziecię. Zaczęła się znowu dopytywać: Co to znaczy? czyje to dziecko? i nareszcie dała opowiedzieć bratu przygodę swoję w tych słowach:

„Kiedym wczoraj spiesznie wyjechał z Gruszyna, czas był tak piękny, a ja tak wesół i tak szczęśliwy, żem sobie sam na ładnym koniu jechał, iż mi się zachciało ułożyć wierszami tę przechadzkę. Poeta łatwo zabłąkać się może; i to mi się właśnie przytrafiło. Pamiętacie Państwo, że kary koń na którym jechałem, niedawno w Kaliszu kupiony; alem ja o tém zapomniał: puściłem mu cugle, i zatopiony w mojéj poezyi, nie zważałem, że on prosto wraca do dawnéj siedziby. Zdziwiłem się więc mocno, spostrzegłszy się

nagle na gościńcu Kaliskim. Zły na siebie i na moję muzę, troskliwy czy nie uchybię naznaczonéj na chrzest godziny, przyglądałem się okolicy, chcąc najkrótszą puścić się drogą, kiedy stękanie nadzwyczajne obiło się o moje uszy; zbliżam się do rowu z którego ten głos cierpiący wychodził, i spostrzegam kobiétę bladą, trzymającą dziecię w fartuchu. Otworzyła oczy i chciała do mnie przemówić, ale głos jéj tak był cichy, że nie mogłem i słowa usłyszeć. Zsiadłem z konia, przywiązałem go do drzewa i zbliżyłem się do niéj. Prosiła mnie o trochę wody, chcąc ochrzcić syna, który przed godziną na świat przyszedł. Mówiła po niemiecku, i bardzo byłem szczęśliwy, że znam ten język, bom mógł ją zrozumieć. Właśnie studnia była niedaleko. Pobiegłem do niéj, naczerpałem wody w kapelusz, i przyniosłem téj nieszczęśliwéj Matce. Chciała sama ochrzcić dziecię, ale tak była osłabiona, że ręki podnieść nie mogła: widząc to, prosiłem jéj, żeby mi powiedziała co trzeba zrobić, a ja ją zastąpię. Kazała mi przeżegnać dziecię, i oblać wodą główkę jego. Gdym to uczynił, biédna Matka wznosząc omdlałe oczy ku Niebu, rzekła: „Kiedy już jest Chrześcianinem, Boże zabierz go z tego świata, bo ja czuję że umiéram, i nikogo nie ma, ktoby się nim opiekował...“ Ja będę jego Opiekunem, przerwałem jéj; powtórzę ten chrzest w kościele, i nigdy go nie opuszczę. Jestem wprawdzie bardzo młody, ale mam dobrych Rodziców i dobrą siostrę; nie wątpię że mi dopomogą do spełnienia téj obietnicy.“—Na te słowa nieszczęśliwa ścisnęła rękę moją na dowód wdzięczności, i modlić się zaczęła. Widziałem że potrzebuje nagłego ratunku, przyznaję, żem zapomniał wtenczas i o chrzcinach i o domu i o wszystkiém, a zająłem się cały tą nieznajomą i jéj dzieckiem. Powiedziałem jéj, że pojadę szukać dla niéj schronienia, i wnet powrócę. Wyjechawszy na środek gościńca, spostrzegłem niedaleko tę wioskę, w któréj doktor tutejszéj okolicy mieszka; ruszyłem do niéj tak prędko jak

koń mógł wyskoczyć, i trafiłem zaraz do domku doktora. Wchodzę, zastaję tylko jego żonę, on sam pojechał był niedaleko; opowiadam jéj moję przygodę, przedstawiam stan okropny nieznajomej kobiéty. Poczciwa Pani kazała zaraz zaprządz do bryczki, wysłała ją materacami i poduszkami i wsiadła wraz ze mną. Przyjechaliśmy po nieszczęśliwą, i z wielką ostrożnością przewieźliśmy do mieszkania doktora. Mimo tego, kilka razy w drodze zemdlała. Dziecko płakało, Pani domu wykąpała go, powinęła, kazała zgotować rumianku i sama go napoiła.

Przez ten czas służące położyły w wygodném łóżku cierpiącą kobiétę. Przybliżyłem się do niéj trzymając na ręku jéj syna związanego w poduszkę. Na ten widok uśmiéchnęła się cokolwiek, i prosiła żebym go przy niéj położył. Ściskała go; pieszcząc się z nim, łzy obfite płynęły z jéj oczów: nie mogłem wstrzymać moich.—„Dobry Paniczu! rzekła do mnie słabym głosem, przy powtórzonym chrzcie nazwiesz go Franciszkiem, było to imię jego Ojca. Ja się nazywam Anna, nazwisko Rodziców moich Remens; oto jest metryka moja i akt pogrzebowy mego męża: urodziłam się w Szlązku, sierotą w młodym wieku zostałam. Poszłam za żołnierza Polskiego Franciszka Pietraszka, on niedawno umarł w Warszawie w lazarecie, i zostawił mnie słabą i w największéj nędzy. Nie mając żadnego sposobu do życia, nie umiejąc nawet po polsku, wracałam do mojéj ojczyzny; tam zostawiłam kilku krewnych: zaslabłam niespodzianie w tém miejscu, gdzieś mnie Pan znalazł: i gdyby nie jego opieka, i ja i to dziecię, które mi dał Pan Bóg, zginęlibyśmy byli oboje, bez żadnego dla ciała i dla duszy ratunku!“ „Mam nadzieję, że wyzdrowiejesz dobra Anno powiedziałem jéj; wtenczas w naszéj wsi zostaniesz: poproszę moich rodziców, dadzą ci przytułek; i choć ja wrócę do szkół do Kalisza, oni o tobie i o twoim synie staranie miéć będą!“

Kiedym tak mówił nadjechał doktor, poznał mnie, lubo

znalazł żem bardzo wyrosł; ale powiedział odrazu że dla choréj już żadnego nie ma ratunku. Pomiarkowała Anna z wyrazu jego twarzy, że nie miał nadziei! „Trzeba umiérać, wszak prawda? dobry paniczu? zapytała mi się płacząc.—Uspokój się! uspokój! odpowiedziałem jéj. Doktor to samo powtórzył, i dał jéj zażyć jakichciś kropli w winie. Mały Franuś usnął przy Matce, ona wypiwszy z trudnością lekarstwo, zamknęła oczy, i na chwilę się uspokoiła; ale wkrótce zawołała mnie i mówiła nie otwiérając oczów; „Czuję że już umiéram! dobry paniczu! sprowadź mi Księdza, żebym się wyspowiadała i wzięła od niego błogosławieństwo na tę wielką podróż.“ Oświadczyłem jéj życzenia doktorowi; natychmiast posłał po tamecznego Proboszcza. Nadszedł niedługo, włos jego siwy, wyraz słodyczy na twarzy przemawiał za nim; przystąpił do łóżka choréj, zaczął do niéj mówić łagodnie, ale się zmieszał mocno, gdy Anna powiedziała że nie rozumie po polsku, on zaś nie mówi wcale po niemiecku. Biédna Anna zmartwiła się jeszcze mocniéj tém zdarzeniem, i zaczęła rozpaczać. Ksiądz rozczulony wyrzekł te słowa, i kazał mi wytłumaczyć je konającéj: „Moja duszo! nie trać odwagi. Bóg który widzi szczerą chęć twoję, przyjmie ją za skutek. Czyż nie wiesz, że On jest dobry i miłosierny? Wyznaj twoje winy w duchu, żałuj za nie serdecznie, ja ci dam rozgrzeszenie, i nie wątpię, że Bóg potwierdzi je w niebie.“ Uspokoiła się zupełnie tą mową Anna. Uklękliśmy wszyscy, Ksiądz czytał głośno piękne psalmy i modlitwy. Przez ten czas biédna kobiéta uczyniła ciche grzechów swoich wyznanie; spojrzałem na nią kilka razy: nadzwyczajny miała wyraz na twarzy, i łzy płynęły po bladych jéj policzkach. Dobry Ksiądz dał jéj rozgrzeszenie, opatrzył Sakramentami, i te słowa kazał jéj jeszcze powiedzieć: „Błogosław Boga za wszystkie dobrodziejstwa, których ci w ostatnich godzinach twoich udziela. Uwielbiaj Opatrzność Jego. Zesłał duszy twojéj niespodziewany ra-

tunek, i pozwala ci cieszyć się nadzieją szczęśliwéj przyszłości dla twego dziecięcia.“

Płakała Anna słuchając tych słów, i tak tkliwe dzięki składała Bogu, żem myślał iż mi serce pęknie od żalu. Potém zdawała się być zdrowszą, napiła się jeszcze wina; Ksiądz odszedł, błogosławiąc ją i obiecując że powróci. Wkrótce potém zaczęła się czuć słabszą; prosiła mnie żebym jéj czytał modlitwy z jéj książki, którą wraz z papiérami miała w zawiniątku. Siadłem w oknie i czytałem modlitwy przy konających, bo takie było jéj życzenie; gdym kończył, usłyszałem jęk! zbliżyłem się do łóżka: śmiertelna bladość Anny, jéj milczenie, przeraziły mnie; przywołałem doktora, który był w drugim pokoju: wziął ją za rękę i powiedział że już skonała!..

Porwałem dziecko z jéj łóżka, bo nie chciała pozwolić żeby na chwilę ją opuściło, i zacząłem ściskać je serdecznie. „Biédny sieroto, zawołałem, nie znałeś ani Ojca ani Matki! lecz ja w obliczu Boga i ludzi, biorę na siebie obowiązek zastąpienia rodziców twoich, i opiekowania się tobą przez całe życie.“ Doktor częstował mnie wieczerzą, ale tak byłem wzruszony, żem prawie nic jeść nie mógł. Wkrótce położyłem się spać, przez noc całą nie zmrużyłem powieki. Stała mi w oczach konająca Anna, obowiązki jakie przybrałem względem jéj dziecięcia: trwożyć mnie także zaczęła niespokojność Państwa. Te myśli rozmaite oddalały sen z moich oczów. Zastanowiłem się jeszcze nad Opatrznością, która mnie w to miejsce sprowadziła. „O! jaki to dobry ten Bóg! myślałem sobie. On o żadném dziecięciu swojém nie zapomni! a jakżem szczęśliwy i dumny, iż mnie obrał za narzędzie miłosierdzia swego!“ — Wstałem przededniem, kilka złotych co miałem przy sobie dałem ludziom doktora; dobry Proboszcz, który w kilka minut po skonaniu Anny przyszedł jeszcze do niéj, obiecał ją pogrzebać; prosiłem żeby naznaczył grób jéj, bo tam choć drzewko na jesień

zasadzić muszę: odwiedziłem go w jego plebanii, a potém wziąwszy Franusia na ręce, którego poczciwa żona doktora tak powinęła, ruszyłem w drogę. Mój koń lepszy miał nocleg odemnie, dobrze się najadł, ruszył więc tęgim kłusem. Ledwiem ćwierć mili ujechał, wskazaną mi przez doktora drogą, kiedym spotkał szukającego mnie Tomasza. Otóż macie, kochani Rodzice; masz droga siostro, wierny opis mojéj przygody. Znając wasze serca, spodziewam się że się na mnie nie gniewacie. Zamiast jednego dziecka, będziemy dwoje do chrztu trzymać, bo zapewne nie odmówisz Anielko, memu Franusiowi téj chrześciańskiej usługi.“

Anielka nic nie odpowiedziała, ale obtarłszy łzy, które często w czasie tego opowiadania napełniały jéj oczy, pobiegła do dziecięcia i pieściła się z niém. Państwo Amińscy rozczuleni, pochwalili postępek syna; troskliwa Matka kazała mu przynieść dobre śniadanie, a potém go namówiła, żeby poszedł się przespać parę godzin. Feliks usłuchał chętnie. Pan Amiński wysłał Tomasza z pięknym podarunkiem dla doktora i dla Proboszcza, którzy tyle miłosierdzia i dobroci biédnéj Annie i Feliksowi okazali; obiecał wraz z żoną opiekować się sierotą. Anielka przyrzekła doglądać go troskliwie i dopełniać względem niego wszystkie chrzestnéj Matki obowiązki. Sąsiedzi powtórnie zaproszeni, zjechali się wszyscy przed południem. Petronella zaczęła nanowo ubiérać Anielkę, która stała spokojniéj niźli wczoraj. Poczciwa sługa wystarała się Franusiowi o dobrą mamkę, prosiła także żeby mogła zanieść go do kościoła, chcąc być uczestniczką tego miłosiernego uczynku. O dwunastéj godzinie poszli wszyscy do Świątyni Pańskiéj. Proboszcz ochrzcił najprzód córeczkę dzierżawcy, któréj dano imiona Anieli i Anny, potém odprawił się chrzest z ceremonii małego Franusia, i przydano mu imię Feliksa. Oboje dzieci krzyczały niezmiernie podczas całego obrządku: a Petronella mówiła: iż to znak pewny, że się wychowają.

Wróciwszy do domu, młode grono przedziwnie się zabawiło; Feliks zaczął opowiadać wszystkie szczegóły przygody swojéj, ale gdy widział, że bardzo zasępił towarzystwo, chcąc się sam rozerwać, gry różne wprowadził, i wnet wszyscy zapomniawszy o Annie, rozweselili się. Zabawy do późnéj nocy trwały, dopiéro koło jedenastéj godziny rozjechali się goście.

Feliks z większym jeszcze jak zazwyczaj żalem dom rodzicielski opuścił, gdy czas powrotu do szkół nadszedł, bo bardzo do Franusia się przywiązał. Nim wyjechał zalecił go kilkakrotnie staranności Matki i Siostry. Zbyteczne były te zalecania, bo Franusiowi Bóg dobry w miejscu utraconych rodziców, czułych i prawdziwych udzielił opiekunów. Wychował się też zdrowo, i im bardziéj wzrasta, tém więcéj się okazuje godnym dobrodziejstw, których jest celem. Niedawno skończył lat sześć. W ten dzień Feliks i Anielka zaprowadzili go piérwszy raz na grób Matki, a potém zawieźli go do rowu w którym się urodził, i opowiedzieli mu w szczegółach historyę jego, bo dotąd wiedział tylko, że jest siérotą. Płakał nad grobem Matki chłopczyna, łzy wdzięczności płynęły mu z oczów nad rowem; dziękował najprzód Bogu za Jego opatrzność, potém Feliksowi i Anielce za ich czułą opiekę. Córeczka dzierżawcy, pomimo wróżb Petronelli umarła: bardzo się tém zgryźli jéj chrzestni rodzice, bo już ją w myśli za żonę Franusiowi przeznaczyli.

Smutne skutki niemądrego figla.

Powiastka w liście Babuni do wnuczki.

„Kochana Lucynko! Mama, która mi wszystko o sobie i o was donosi, skarży się przedemną w ostatnim liście swoim na ciebie; od jakiegoś czasu masz mieć szczególne upodobanie w psotach, straszeniach, wymysłach, chowaniach, słowem w tak zwanych figlach: bawi cię to i zajmuje, ale nieznośném czyni pożycie z tobą, i już rodzeństwo i domowi mniéj kochać cię zaczynają. Moja Lucynko, póki czas jeszcze, póki ta wada nie wkorzeni się w ciebie, popraw się, zaniechaj tych niemądrych żartów; tém więcéj cię o to proszę, że lękam się, aby ta skłonność nie była w tobie dziedzictwem po mnie, bo wyznać ci muszę, iż w dzieciństwie mojém miałam także niesłychane upodobanie w figlach; lecz ciężko odpokutować mi je przyszło. Czytaj jak się to stało, a zapewne poprawić się nieomieszkasz, bojąc się skutków podobnych. Trudno to dziś wystawić sobie, znając mnie starą Babunią, widząc twarz moję bladą, wyschłą i zmarszczoną, suchą i nachyloną kibić, włosy białe a zęby czarne, że ja niegdyś byłam dzieckiem i dzieckiem bardzo ładném; twarz miałam pełną, gładką i rumianą; figurkę kształtną i okrągłą, włosy czarne, a zęby równe i białe jak perełki; przytém, ja, która dziś tak pomału chodzę i tak poważnie napominam, usiedzieć nie mogłam na miejscu: wszędzie mnie było pełno, a w koncepta niemądre, w figle i psoty byłam nieprzebrana. Lubiłam osobliwie, tak jak i ty lubisz, chować pokryjomu rzeczy najpotrzebniejsze w domu; i czas jakiś udawało mi się tak to robić, że nikt się ani domyślił. Chowałam się nie u rodziców, bom straciła Ojca i Matkę jeszcze w kolebce będąc,

ale u Ciotki już w wieku osoby. Ciotka była bardzo zacną, kochała mnie, i jak sobie dziś przypominam jéj słowa, prawdziwie dobrze mi życzyła; ale wtedy jéj napomnienia zdawały mi się zbyt ostre i częste, a czego teraz codziennie żałuję (modląc się za jéj duszę przy wieczornym pacierzu), poważyłam się razy kilka jéj saméj wyrządzić psotę. Tak raz wzięłam jéj okulary i zarzuciłam na bardzo wysoką szafę; przerzucono dom cały, ale nikomu nie przyszło na myśl tam ich szukać; Ciotka powiedziała: „Musiałam je zgubić w kościele,“ i kupiła sobie nowe. Podobało mi się to bardzo. W kilka dni, książkę jéj do nabożeństwa rzuciłam na szafę, potém woreczek z pieniędzmi, nareszcie tabakierkę złotą.

Wielki hałas powstał w domu, zwłaszcza po téj ostatniéj zgubie, i kto wié, czybym była potrafiła dochować tajemnicy, gdyby się właśnie tak nie zdarzyło, iż tego samego dnia, kiedym zarzuciła tabakierkę, jakaś przyjaciółka Ciotki wzięła mnie z sobą na parę tygodni na wieś. Za moim powrotem już wszystko było cicho, tylko nie zastałam mojéj piastunki Balbiny. Pytałam się Ciotki, pytałam się służących, coby się z nią stało? odpowiedzieli mi: „Odprawiła się.“ I skończyło się na tém.

Przecież długo niezmierny żal miałam po Balbinie; ona mnie wychowała od pieluch, ona rodziców moich znała, mówiła mi o nich, i podobno na całym świecie ją najlepiéj ze wszystkich kochałam. Jéj oddalenie tyle nawet mnie odmieniło, żem już prawie wszelkich psot i figlów zaniechała i zrobiłam się rozsądną panienką.

Tak minął rok: w téj porze wypadło Ciotce zmienić mieszkanie, i zaczęły się przeprowadziny. Bawiło mnie to bardzo. Żadnego ładu nie było w pokojach: wszystko przestawiali z miejsca, wszystko ruszać było można; portrety i obrazy, które widziałam od tak dawna wiszące wysoko na ścianie, teraz stały na podłodze i dotykałam się ich sukien

i twarzy; za komodami, pod sofami znajdywałam różne stare zabawki i książki, o których wiecznie zapomniałam. Właśnie cieszyłam się elementarzem z obrazkami wydobytym z pod komody, i pokazywałam go Ciotce, kiedy wszedł z pośpiechem służący i położył przed nami na stole zakurzone okulary, książkę, woreczek i tabakierkę.

Zadrżałam, obaczywszy to wszystko.

„Któż odniósł te rzeczy?“ zapytała się Ciotka z podziwieniem.

„Nikt: znaleźliśmy je na szafie z sukniami, w kobiét pokoju.“

„Któż je tam mógł zarzucić?“

„Ja, Ciociu“—odpowiedziałam spuszczając oczy. Już tak dawno to się stało, żem myślała, iż niebardzo łajaną będę.“

„Nieszczęśliwa moja godzina!“—krzyknęła przeraźliwie Ciotka—Niegodziwa dziewczyno, idź mi precz z oczu!“ dodała spojrzawszy na mnie surowo — i wpadła w płacz serdeczny, który długo uspokoić się nie dał.

Gdy przyszła do siebie, napisała dwa listy, co jéj się rzadko trafiało; posłała potém po proboszcza parafii, i po jakiegoś prawnika. Widziałam po tém wszystkiém, iż stało się coś bardzo okropnego, ale nie śmiąc się pytać i domyślając się mojéj w tém winy, stałam w kąciku płacząc.

Przywołała mnie Ciotka po chwili i tak mówiła: „Widzisz, jakie to mogą być okropne skutki dziecinnych psot i figlów. Twoja piastunka Balbina raz skłamała przedemną, nie ufałam jéj przeto zupełnie, i kiedy te wszystkie rzeczy poginęły, posądziłam ją o kradzież. Biédna dziewczyna zaklinała się z płaczem, przysięgała na niewinność swoję; wierzyć jéj nie chciałam i odprawiłam haniebnie. Może ona tam już gdzie umarła z żalu i z nędzy, albo obróciła się jaknajgorzéj. Może już nie będę mogła wynagrodzić złego, któregoś ty przyczyną.“

Jak też byłam nieszczęśliwa słuchając słów Ciotki, wypowiedzieć nie potrafię; myślałam że pęknę z żałości; przez kilka dni i nocy niemal ciągle płakałam. Ani przenosiny, ani nowe mieszkanie, nic przez długi czas mnie nie bawiło; zawsze mi stała w oczach moja poczciwa Balbina, chora, nędzna, pogardzona: a jak na nieszczęście, mimo wszystkich starań i nakładów Ciotki, znaleźć jéj nie było można, jakby w ziemię wpadła.

Ten jéj los niewiadomy, wymówki ztąd moje, gdyby kamień ciążyły mi na sercu: wyrosłam słuszna, straciłam Ciotkę, poszłam za mąż, a nie było prawie dnia, żeby mi choć raz moja Balbina gorzko nie przyszła na myśl. Pojechaliśmy z mężem na zimę do Warszawy. Zaczynały właśnie wchodzić w modę kwesty po domach na szpitale, które dotąd jeszcze się utrzymują. Panny z matkami, młode mężatki pierwszego towarzystwa, zbierały się u szanownéj kasztelanowéj połanieckiéj i tam wyciągały na losy, w któréj części Warszawy zbierać pieniądze mają. Mnie wypadło Stare-Miasto. Młoda, żywa, obchodziłam wiernie najciaśniejsze uliczki, najwyższe piętra, i jak dziś pamiętam, na Zapiecku, w małém i brudném podwórku, na czwartém piętrze, w izdebce odrapanéj, na barłogu, zeszliśmy kobietę chorą i w takiéj nędzy, że widzieć ją trzeba było, żeby w nią uwierzyć. Nie stara jeszcze, ale wyżółkła, chuda, zdawała się w ostatnim stopniu suchot. Zamiast prosić ją o składkę, właśnie dobywałam kilku złotych z własnego woreczka chcąc poratować ją, kiedy tymczasem przemówiła. Głos jéj lubo słaby i zmieniony obił się dziwnie o moje uszy i natychmiast przyszła mi na myśl Balbina. Jakoż ona to była. Odprawiona przez moją Ciotkę i posądzona o kradzież w Krakowie, gdzieśmy mieszkali, nigdzie miejsca znaleźć nie mogła; powędrowała więc do Warszawy, ale i tam dziewczyny bez zaświadczenia, obdartéj, bez grosza, nikt przyjąć nie chciał; puszczała się przeto na żebraninę

Czego Ojciec nie miał serca uczynić, do tego potrzeba przymusiła syna, lubo przez czas długi za wielkiego uchodził pana. Bo w Polsce podobnie się przytrafiało, jak to niegdyś w Egipcie: z lat bogactw niesłychanych, wypłynęły lata niepojętéj nędzy, a obecny niedostatek przeszłą obfitość pochłonął. Im kogo w owych leciech za bogatszego miano, tém on w następujących uboższym się okazał; i zacny ów puhar, ów starożytny rodoszczep mój, owe arcydzieło złotnickiéj sztuki, ów dar królewski, owa szanowna pamiątka, w gminném towarzystwie łyżek i półmisków, zaniesiony został do gmachu mennicą zwanego, do prawdziwego kruszców cmentarza: bo jak w tych smutnych miejscach ciało książęcia, w jednaki proch z ciałem chłopka się zmienia; tak w mennicy po krótkich zachodach, z podłéj łyżki, i ze znakomitego puharu, wypadł pieniądz jednaki; a ja, ja gałązka tak świetnego szczepu, dziś maleńka, okrągła, karbowana wkoło, z popiersiem na jednéj stronie, z opisem nikczemnéj wartości mojéj i rokiem urodzenia na drugiéj, mam tysiące podobnych sobie, i nikt prócz mnie nie wié, że mój początek w wiekach się gubi!... Nikt mnie i stu siostr w tym natłoku rozeznać nie potrafi! Dwuzłotówka, któréj kruszec przed kilkoma laty w tymże kraju wykopano, która żadnéj dawności, żadnego zaszczytu nie ma, dziś, tyle co ja znaczy!...

O boleści! urodzić się w wieku, w którym się nie pytają, czém był ród twój, ale czém ty jesteś? byle istotną wartość uznali, o resztę się nie pytają, i ważą na jednéj szali tegorocznego z kilkowiecznym... Lecz chociaż żyć w takim wieku i do gminu policzonym zostać, poniża starodawną miłość własną; przecież wyznać należy, że w tém ocieraniu się między ludźmi, więcéj przez lat kilka widzieć i poznać można, niż przez kilka wieków świetnego wprawdzie, lecz nic nie uczącego wyniesienia.

Rodoszczep mój, zacnéj pamięci puhar, przez półtrze-

cia wieku bytu swego, nie nabył tyle doświadczenia, ile ja w tych dziesięciu leciech. Gdziem się nie toczyła, czegom nie widziała? zgadnąć to będzie można z tego tygodnia bytu mojego; bo opisać dokładnie wszystko co mi się przez dziesięć lat zdarzyło, i nie można i nie wypada. Gotowiby ludzie żal mieć do mnie. Wkrótce po narodzeniu się mojém, a raczéj po wyjściu z pod stempla, oddano mnie wraz z innemi w worku do publicznego skarbu; było to we czwartek, pierwszego dnia, któregoś miesiąca: zaraz więc kassyer tego wydziału posłał mnie i czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć mnie podobnych, już podeszłemu w leciech urzędnikowi. Ledwie nas na swém biórze zrachować zdążył, kiedy może tym miłym brzękiem zwabiona, wbiegła do pokoju piękna młoda kobieta. Była to żona urzędnika, był to rok pierwszy ich małżeństwa; jak zaczęła gadać o potrzebach domu, o tém, jak jéj wielu rzeczy koniecznych niedostaje; jak zaczęła prawić o swojéj oszczędności, o przywiązaniu do męża, o jego niepojętéj dobroci; ujęty małżonek najprzód sto, potém dwieście, nakoniec trzysta z nas oddalił: ona w okamgnieniu całą tę kwotę, białą swą rączką w chusteczkę batystową zgarnęła, rzuciła mu się na szyję, a wołając na głos: „Co to za mąż! co to za mąż!“ wybiegła z pokoju. Widząc tę radość, słysząc tak miłe słówka, cieszyłam się niezmiernie nadzieją przemieszkiwania u tak wesołego aniołka, ale inaczéj się stało. Kwadrans nie upłynął, już połowy z nas w jéj ręku nie było. Zastałyśmy w jéj pokojach osób kilka: była tam modniarka, za dwa kapelusze gazowe, trzy takież czepeczki i jakieś garnirowania, których szczątki już w śmieciach leżały, wzięła towarzyszek moich dziewięćdziesiąt. Żydowi, który za obszycie białe puszkowe bral w zamian takież nieco wytarte z soboli, dodała czterdzieści. Chłopcu z księgarni za pół tuzina francuzkich romansów, i prenumeratę na dziennik mód paryzkich, dała ich pięćdziesiąt; ogrodnikowi, któ-

ry od kilku miesięcy stroił jéj gabinet kwiatami, tyleż; a zresztą, jakby nie słysząc wcale służących domagających się zatrzymanych im zasług, nalegań rzeźnika, piekarza, mleczarki, lotem strzały wsiadła do powozu, i pod filary jechać kazała. Ja byłam z liczby siedmiudziesiąt ocalonych, ale przewidywałam, że i mnie wnet z jéj woreczka wytoczyć się przyjdzie. W pierwszym sklepie za dwa wieńce róż, pęk gwoździków włoskich, kilkanaście łokci wstążek i trzy długie pióra, zostałyśmy wszystkie, i jeszcze kupiec domagał się więcéj, bo mu dziesięć razy tyle winną była.

Zawarta wraz z innemi pieniędzmi w zdawkowéj szufladzie, jeszczem bynajmniéj nie pojęła teoryi procentu, cła, zarobku, kiedy przyszedł do sklepu młodzieniec miłéj postaci, miał jedynego talara, i długo dumał coby kupić za niego? Stargował nareszcie parę zimowych rękawiczek, a kupczyk chcąc mu zdać resztę, mnie z szuflady wyjął. Wziął mnie młodzieniec i zaniósł do skromnego mieszkania: przez resztę dnia świadkiem byłam jego ciągłéj pracy i swobody umysłu: pisał, przepisywał lo późnéj nocy, nucąc wesołe piosnki, i chleb z serém z największym zajadając smakiem. Nazajutrz raniuteńko wyszedł na miasto, wziąwszy mnie i papiery z sobą: wszedł do jednego domu, i tam od jakiegoś mężczyzny także nad papierami siedzącego, odebrał pochwałę i dziewięć mnie podobnych. O! jakże był szczęśliwy! Zawinął nas starannie w biały papier wraz z rękawiczkami, i raczéj pobiegł niż poszedł na daleką jakąś ulicę, do nędznego dworku, do małéj izdebki, gdzie go stara kobieta przywitała z niewymowną radością, a on jéj powiedział: „Winszuję ci kochana Babuniu dzisiejszych imienin, przyjm to małe wiązanie; oby Bóg dobry lat kilkanaście życia ci udzielił, oby pozwolił, żeby co rok dar mój mógł być sutszy.“ Rozrzewniona Babunia, uściskała go serdecznie i zawołała: „O! drogi mój Józiu, obaczysz, że ty kiedyś

bogatym będziesz, bo błogosławi niebo młodym, którzy pracują i zarobionym uczciwie groszem z biédniejszymi krewnymi się dzielą.“ — Odszedł wkrótce dobry młodzieniec, spieszył się do nowéj roboty; a poczciwa kobiéta, gorącą za niego zmówiła modlitwę; jéj oczy napełniły się łzami, i jedna upadła na mnie: zdało mi się że ta łza dodała mi wartości. „O! kochane dziecię, mówiła Babunia, czemuż ja tych pieniędzy, które mi on daje, jak w zakład brać nie mogę; znalazłby je po mojéj śmierci i przydałyby mu się: ale stara, niedołężna, z tych pończoch, które od rana do nocy robię, ledwie głód opędzam; gdyby nie on, nie byłoby czém pomieszkania opłacić, za co drew kupić: i tym dzisiejszym darem jego, (bezwątpienia piérwszym potrzebom ujętym) nie długo cieszyć się będę.“ A wziąwszy kij i wszystkie darowane sobie pieniądze, poszła naprzeciwko do szynkarskiéj izby. „Panie Abrahamie! powiedziała wychodząc, już mnie od wczoraj o wypłacenie komornego sekujecie, macież za całe zeszłe pół roku!“ i wyłożyła wszystkie dziesięć dwuzłotówek na stół. „Nu! a czy tylko nie fałszywe?“ zawołał żyd, stawiając zapleśniały mosiężny lichtarzyk, który cegłą tartą i śliną czyszcząc, miał zamiar przedać za nowy. I włożył okulary, i przyglądał się każdéj z nas z osobna, i ważył ją na brudnym palcu, i rzucał na stół nadstawiając pilnie ucha, na dźwięk jaki wydawały. Gdy na mnie koléj przyszła, obruszyła mię ta nieufność do żywego: ale wiedząc jak za niesłuszne podejrzenie mścić się należy, potoczyłam się i brzęk pełny, który wydał kruszec czysty z któregom złożona, żydowskie czoło rozmarszczył, niewiarę jego przekonał. „Ej wéj! krzyknął radośnie, a zkąd to waspani ich wzięła, a może ich masz więcéj, a daj, boć to wszędzie i u Goimów, drożéj i z góry komornego płacą!“ I ciągnął poczciwą kobiétę za suknię. „Dajże mi święty pokój, powiedziała, co ci do tego; nie masz prawa wymagać innéj płacy, tylko takiéj na jaką ugoda była.“ To wy-

rzekłszy poszła, a jam została u brudnego żyda. O! jakże przykrém to upodlenie było, chociaż wiele towarzyszek i towarzyszów dzieliło go ze mną, bo Abraham miał pieniądze. Ale na szczęście moje, nie gościłam i dnia u niego; użył mnie wprawdzie i siostr moich niegodziwie; bo śpiesząc się przed wieczorem szabasu, wydał nas z tuzinem fałszywych dwuzłotówek: nasze przymioty istotne, ich zalety zmyślone pokryły: jam się temu nie oparła, bo jakżeż to miałam uczynić? niech ludzie co mówić umieją, wstydzą się, kiedy podobnie użyci bliźniego nie ostrzegą: mnie niemej istocie wyrzucać tego milczenia nie można... Tym więc żydowskim sposobem dostałam się do ekonoma, który mu baryłkę wódki był przedał. Gdy na drugi dzień stanął ów ekonom przed państwem swojém, i skórzany trzos wypróżnił, pan obaczywszy tyle fałszywych pieniędzy, wyłajał go, mruknął pod nosem: *jaka pracą taka płaca:* i ze wstydem do biórka nas schował. Osobno włożył złą, osobno dobrą monetę, bo oko doświadczone snadnie złych od dobrych rozróżni. Rada byłam temu rozdzieleniu; przykro prawemu z fałszywym przebywać... Zaraz nazajutrz, w niedzielę, wyjęto mnie z biórka, i przeszłam w ręce wyrobnika; słyszałam, że dla mnie i drugiéj takiéj jak ja, cały tydzień w pocie czoła pracował, zdawało się więc, że tu szanowaną będę; owinął ci nas wprawdzie w brudną szmatę, schował za pazuchę, ale zaraz wyszedłszy z kościoła, w którym ksiądz bardzo na pijaństwo powstawał, a on bardzo płakał, przysiadł się do woza kumy i sąsiada, jadącego z korczykiem zboża do Warszawki. Przyjechaliśmy późno, już było prawie ciemno. Pan mój dostrzegł jednak gałązkę hoinki, wiszącą nad jednym sklepikiem, wszedł tam i z kumem, a tak dobrze wywdzięczał mu się za podwodę, tak pił do niego, to piwem to wódką, żem została u szynkarki. Wytoczyłam się ztamtąd po jednodniowym pobycie. Moja pani nickoniecznie okrzesana, bardzo była skrzętna i poczciwa, pracowała od rana do wie-

czora, ale nie wiem wcale dlaczego córki jedynaczki nie wzywała do pomocy, tylko kazała jéj siedzieć nad książkami i zeszytami. Panna Małgorzata miała kilku nauczycieli, między innemi do francuzkiego języka. Temu się dostałam, on mnie natychmiast przyszedłszy do domu, córce sześcioletniéj darował. Dotąd jeszcze nikogo moja istota tyle nie uszczęśliwiła. Ta luba dziecina skakała z radości, biegała do wszystkich, pokazywała im skarb swój: nigdym nie sądziła, aby *dwuzłotówka* tak wiele miała wartości. Ludwinia pewną była, że za moją pomocą całą Warszawę zakupi; idąc spać wzięła mnie z sobą, a obudziwszy się w nocy usnąć nie mogła, bo ją strach brał, czy złodziéj po jéj majątek nie przyjdzie: długo mnie tuliła do siebie, kryła w małéj rączce, aż nareszcie wstała, poszła na palcach do łóżka Matki, i włożyła mnie pod jéj poduszki: wtedy o skarb swój spokojna, wróciła i wnet usnęła.

Następującego poranku wyszła z Ojcem na miasto; chcąc jéj jeszcze radości przysporzyć poradził jéj, aby mnie zmieniła na grosze: usłuchała go, ale bardzo się troszczyła czy wekslarz nie będzie na tém szkodował iż sześćdziesiąt pieniędzy za jeden daje... Tego samego dnia pan jakiś kilkadziesiąt dukatów u wekslarza zamieniał, i ja miejsce znalazłam w odrachowanéj mu srebrnéj monecie; przez noc poleżałam w jego szkatułce z wielą towarzyszami; przy jego łóżku stojąc, usłyszałam te słowa, które obracając się z boku na bok głośno wyrzekł: „Dałbym ją całą, za snu smacznego godzinę!...“ Nazajutrz zły, tęskny, wyprawił przyjaciołom małe jak mówił śniadanie. Za pięćset obrzydliwych zwierzątek w skorupach i za dwadzieścia butelek szumiącego wina, poszło nas czterysta, a uczestnicy tego śniadania niemniéj dlatego, jakem słyszała, obiadu i wieczerzy potrzebowali.

Kupiec, który mnie i towarzyszki moje niósł do schowania, napotkał w sieni jakąś kobiétę, bardzo ubogą, ale

czysto ubraną. „To ty poczciwa Antonino! powiedział, jakże ci się powodzi?“—„Już z łaski Boga i pana, wykupiłam zastawione przez nieboszczyka sprzęty i szaty — odpowiedziała; ale też grosza nie mam przy duszy, i sześcioro dzieci moich jeszcze dziś nic w ustach nie miały. Wolałabym umrzeć w raz z niemi, niźli żebrać po ulicach, ale tu odważyłam się przyjść, i błagać o jaki zadatek na wziętą od Imości robotę.“ — „Masz trzy dwuzłotówki, powiedział kupiec, nie wejdą one do porachunku, ale ciągle pracuj, i miéj żebraninę w ohydzie.“—Odeszła uradowana; jam była w téj jałmużnie; drugą z nas trzech mnie wydała: jakże mi dziwno było, mnie, któram dopiéro widziała, iż za czterysta mnie podobnych, wielki pan z przyjaciółmi małe zjadł śniadanie, że za jeden takiż sam pieniądz, uboga i pracowita wdowa z sześciorgiem dzieci przez całe dwa dni wyżyła. Co więcéj, weselszą była od niego, i smacznie spała... Ja z jéj rąk dostałam się do piekarza, ten mnie tegoż samego dnia w podatku odniósł, i tak właśnie w tydzień po urodzeniu mojém, znowu do skarbu wróciłam. Tam... ale ja tylko tydzień bytu mego opisać przedsięwzięłam, nie trzeba zapędzać się daléj; powiém więc tylko, że różnych i daleko dziwniejszych jeszcze doznałam kolei; ileż jam to drzwi zamkniętych, rogatek spuszczonych jakby czarami otworzyła; jakże mi się często trafiło, żem traciła lub nabywała w własném mniemaniu wartości: raz zdarzyło mi się, że ten któremu mnie i kilkaset innych dać chciano, odrzucił nas wszystkie, i powiedział dającemu: „Schowaj je dla tych, którzy pieniądze wyżéj od honoru cenią!“...

Zdarzała mi się także częściéj rzecz inna; osoby którym mnie, i więcéj takich jak ja dawano, kilkakrotnie ręką sięgały, nim się odważyły nas wziąść, i ze wstrętem nam się przyglądały. Jakby śpilkami nadziane albo rozpalone w ogniu, tak karciłyśmy posiadaczy naszych, a przecież nas brali; ale podobne wypadki coraz rzadziéj mi się zdarzają,

i uważałam nawet, że gdy mi się przytrafi być powtórnie u takich osób, coraz mniéj ja, i podobne mnie je dolegamy. Bo nieraz już bywałam kilkakrotnie w jednymże ręku. Tak, byłam przeszłego roku u owéj ładnéj mężatki; i położenie jéj i piękność okropnie się zmieniły: jéj zbytki wtrąciły męża do grobu; i jednéj *druzlotówki* po nim nie zostało; ona teraz bawi się przy wielkiéj jednéj pani, a raczéj tę panią bawi, czy jéj się chce, czy nie chce; dłużéj teraz mieszkałam u niéj sama w sypełku od płóciennéj chustki, niż niegdyś trzysta z nas w batystowéj chusteczce, i lepiéj mnie użyła, bo mnie na dobrą polską zamieniła książkę. Do poczciwego Józia zatoczyłam się także po kilka razy, zawsze w pensyi coraz znaczniejszéj, którą od rządu pobiera; dobra babunia mieszka przy nim, ciągle robi pończochy dla wnucząt, które zarówno z ich Matką kocha.

I do Antoniny się dostałam, ledwiem ją poznała, gdyż teraz inaczéj mieszka, inaczéj się ubiera, a nawet inaczéj ją zowią. Za pomocą dobroczynnego kupca, założyła dom szwaczek, chodzi do niéj kilkanaście dziewcząt, ma wiele roboty, córki téż podrosły i pomagają jéj, chłopców posyła do szkoły. Pobyt u niéj był ostatnim kursem moim; ztamtąd zatoczyłam się już od pół roku do szczególnego człowieka: dzień i noc chodzi koło tego i myśli jakby najwięcéj zebrał pieniędzy? a nie używa ich tak jak inni; lada czém się obywa, w wytartych sukniach chodzi, jé bardzo mało, nikomu nic nie daje, tylko zupełnie kocha się w srebrnéj i złotéj monecie, nie dla tego co przynieść może, ale dla niéj saméj.

Piérwszych dni gdym mu się dostała, nosił mnie przy sobie, wyjmował często, przyglądał się; jużem kilka razy myślała, że mnie między ludzi puści, ale nie: obejrzawszy, włożył napowrót do kieszeni. Od kilku zaś miesięcy zsypał mnie z innemi w worek i zamknął do skrzyni; rzadko kiedy otwiera ją i to zawsze w nocy: dukaty myje, talary

i dwuzłotówki rachuje. Ani nadziei wydostać się od niego, jedna śmierć jego, uwolnić mnie i towarzyszów moich może; a téj mówią, że nikomu, nawet skąpcom i złym ludziom życzyć nie należy — lubo śmierć u nich pierwszym jest korzystnym dla ludzkości czynem.

Ludwika i Helena.

Powieść.

Dźwięk zégara ogłosił pensyonarkom znakomitego Zakładu koniec nauk na ten dzień. Młode panienki, jak rój pszczół na wiosnę, sypały się szerokiémi drzwiami sali naukowéj do obszernego ogrodu, jako do miejsca przeznaczonego na ich gonitwy i zabawy. Prócz zwykłéj chęci wytchnienia i rozrywki po kilkogodzinnéj pracy, wabiła je dziś jeszcze ciekawość. Nowa pensyonarka oczekiwana od miesiąca, przyjechała przed godziną; była w ogrodzie, i w czasie rekreacyi miały z nią zabrać znajomość.

Ludwika S., takie było jéj imię, odbywszy zwyczajne przedstawienie się Przełożonéj klasztoru i Mistrzyni pensyonarek, przechadzała się po ogrodzie z Ojcem czekając na przybycie towarzyszek; oczy jéj łez pełne zwracały się na Ojca, trzymała go za rękę i całowała ją z tkliwym wyrazem uszanowania; słuchała pilnie przestróg jego: przyjmowała z rozrzewnieniem ostatnie pieszczoty. „Pamiętaj córko!—mówił do niéj—że jeżeli dotąd sam trudniłem się twojém wychowaniem, przychodzi wiek, w którym ręka kobiét musi nadać wdzięk i polor charakterowi i ułożeniu młodéj panienki; jabym ci tylko cnót męzkich udzielić potrafił: trzeba żebyś tu nabyła przymiotów niewieścich, kiedy los

nieszczęśliwy pozbawił cię Matki. Masz lat trzynaście, nie mogłem czekać dłużéj; będziesz przez trzy lata w tym zacnym i zawołanym domu; potém wrócisz do mnie i póty przy mnie będziesz, póki cię poczciwemu mężowi nie oddam.“

Ludwika ścisnęła rękę Ojca w milczeniu, ale nie mogła wstrzymać głębokiego westchnienia, spojrzawszy na okna i na wysokie mury ogród otaczające. Pamięć nieograniczonéj prawie wolności, jakiéj dotąd używała na wsi, przy Ojcu i bracie, zajęła żywo jéj umysł.—Pan S. nawykły czytać w sercu córki, odgadł jéj wzruszenie: „Uspokój się — powiedział czule — zobaczysz, i tu życie twoje wyda ci się miłe, bo zajętą będziesz; ciekawe nauki, muzyka, rysunek, robotki płci twojéj przyzwoite, napełnią użytecznie i przyjemnie dzień cały. Wreszcie, wszak ci to już nieraz mówiłem: nie dla zabawy i próżnowania Bóg nas stworzył; każdy wiek, każdy stan ma powinności i przykrości swoje, ale téż każdy ma właściwe sobie korzyści i zasługi. Ucz się pilnie, korzystaj z udzielanych ci wiadomości, szanuj przełożonych; bądź dobra, grzeczna, uczynna dla towarzyszek swoich; a jeżeli tylko będzie można, upatrz sobie między niémi przyjaciółkę: ten skarb osłodzi tobie wszystkie przykrości, podwoi słodycze, i nietylko tu spędzone lata, ale całe życie twoje ozdobić potrafi; lecz bądź baczna w wyborze: strzeż się łudzących przymiotów, szukaj dobroci i rozsądku. Ja tu co pół roku dojeżdżać nie omieszkam, i pewien jestem, że przyjdzie czas, kiedy dziękować mi będziesz za to, iż w téj chwili za nas oboje miałem męztwo i odwagę.“

Ludwika rzuciła się w objęcia dobrego Ojca; obraz przyjaciółki dzielącéj prace jéj, troski i zabawy, złagodził cokolwiek jéj smutek; nie mając siostry od dawna pragnęła przyjaciółki: otarła przeto co prędzéj łzy, a z dziecinną ciekawością obróciła się ku drzwiom głównym; już bowiem słychać było szmer zwiastujący zbliżanie się przyszłych jéj towarzyszek, a wraz z niemi upragnionéj przyjaciółki.

Pan S. przedstawił córkę pensyonarkom i nauczycielkom im towarzyszącym, a poleciwszy ją przyjaźni piérwszych, staraniom drugich, pocałował ją serdecznie i odszedł spiesznie, powiedziawszy jéj piérwéj napół stłumionym głosem! „Nie płacz, wszystko będzie dobrze.“ Ludwika chciała koniecznie panować nad sobą i nie okazać żalu, jaki jéj serce napełniał; przywiodła sobie na myśl męztwo Spartanek, o którém jéj nieraz brat z uwielbieniem mówił; sprobowała więc uśmiechu; ale widząc oddalającego się Ojca, słysząc trzask zawierających się za nim drzwi klasztornych, nie mogła wytrzymać: żal dusić ją zaczął, nie opierała mu się i łzy gorące i obfite twarz jéj zalały. Młode panienki prawie wszystkie patrzyły na nią z bezwzględną ciekawością. Jedna z nauczycielek przystąpiła, wyrzekła słów kilka o powinnościach dzieci względem rodziców, o potrzebie ulegania ich woli zawsze życzliwéj i roztropnéj; a potém namawiając Ludwikę, żeby rozsądniejszą była, kazała jéj bawić się z drugiemi. Dwie śmielsze pensyonarki wzięły ją pod rękę i zaczęły oprowadzać po ogrodzie; niemal wszystkie poszły za niémi: pokazywały jéj swoje ogródki i kwiaty, mówiły o grach różnych i chciały jednę z nich rozpocząć. Ale Ludwika nie bardzo sposobna do rozmów i gier w téj chwili, słuchała bez uwagi i należéć do niczego nie chciała.

Zbliżyła się z nieśmiałością do kilku starszych panienek, które udając poważne, usiadły pod drzewem i rozmawiały; w tém gronie dosyć uprzejmie ją przyjęto: jedna z nich nadzwyczaj żywa i dowcipna imieniem Eliza bawiła zwykle całą gromadkę. Ta zajęła się szczególniéj Ludwiką, a chcąc ją rozerwać zaczęła różne rzeczy mówić; przypięła łatkę każdéj nieobecnéj pensyonarce, niby je opisując nowo przybyłéj; toż uczyniła z nauczycielkami, i z samą nawet Mistrzynią: niektóre z tych osób wydrzeźniała i udawała tak wybornie, że uśmiech wzbudziła powszechny. I Ludwika

zapomniawszy łez pomagała do śmiéchu; i mówiła w sobie: „Jakby mi dobrze było taką mieć przyjaciółkę, nigdybym smutku nie znała.“ Niedługo jednak sprzykrzyła jéj się ta zabawa, uczuła jakiś niesmak wewnętrzny i powiedziała w sobie: „Nie, ta przyjaciółką moją nie będzie.“ Między panienkami, które dowcipnie i śmiésznie, ale bez litości obmawiała Eliza, może najdotkliwiéj i najczęściéj dotykała dziewczynkę miléj postaci, ale bardzo nieśmiałą, na boku samotnie siedzącą. „Oto sensatka, przemądra, dzikus, mruk“ mówiła na nią wskazując ją Ludwice.—Jak jéj na imię? spytała się tamta.—„Helena.“—„Cóż za jedna?“—„Uboga sierota!“ i śmiać się zaczęła z jéj ubogiego ubrania, z jéj ochrony i oszczędności.—Bardzo się to nie podobało Ludwice i odstręczyło do reszty od Elizy, a natomiast skłoniło ku Helenie. Zaczęła ją uważać pilnie, lecz w rzeczy saméj dziką ją także być uznała, gdyż wcale nie bawiła się ze wszystkiemi. — Nazajutrz w godzinach rozrywki zobaczyła znowu Helenę siedzącą samą pod drzewem; plotła sobie wieniec z bławatków: niedaleko niéj jednak jedna z najmłodszych pensyonarek zakładała sobie ogródek i grodziła go patyczkami, a Helena odpowiadała z łagodnością na częste jéj pytania. Wczorajsze towarzyszki Ludwiki już z nią prawie obznajmione, chodziły wszerz i wzdłuż ulic przechodząc koło drzewa: Ludwika z zadziwieniem dostrzegła, iż jedna z nich przechodząc zawsze coś zepsuć musiała w ogródku małéj dziewczynki, a Helena z niezmęczoną cierpliwością zawsze naprawiała szkodę; nareszcie złośliwa towarzyszka z umysłu obiema nogami wstąpiła w ogródek i zepsuła go zupełnie: dziewczynka rozpłakała się na głos, Ludwika stanęła a towarzyszki jéj, zwłaszcza Eliza śmiać się zaczęły. Wtedy Helena przybiegła i uspokoiwszy dziecię datkiem wieńca z bławatków, przedstawiła z żywością panienkom: jak to niepięknie i niegódnie sprzeciwiać się młodszym, i odeszła wraz z maleńką. — Dziewczęta odpowiedziały jéj

przycinkami i żartami, ale Ludwika, którą oburzyło bardzo ich postępowanie, pochwaliła obejście się Heleny; a rzucając nierozsądne towarzyszki pobiegła jéj szukać, chcąc w tém piérwszém wzruszeniu ofiarować jéj serce swoje i jéj serca żądać w zamian.—Ale w całym ogrodzie już nie było Heleny; poszła do pokojów, chcąc zapewne nową jaką zabawką strapioną dziewczynkę pocieszyć.

Odtąd Ludwika miała nieraz ochotę zbliżenia się do Heleny, ale to jéj z trudnością przychodziło. Helena choć mało co starsza, wysoko już się posunęła w naukach. Była zatem w innéj klassie, sypiała w innym pokoju, jadała u innego stołu; prócz tego sierota, uboga, przeznaczona na pozostanie na zawsze w tym domu wychowania; z rozsądku i z gustu stroniła od zabaw i ludzi: wszyscy, same nawet mistrzynie i nauczycielki brały to jéj postępowanie za skutek jakiéjś ostrości charakteru i oziębłości serca. Helena tymczasem była słodka, łagodna, uczynna i tkliwa, lecz nikt dotąd na niéj się nie poznał; bez rodziców, bez krewnych, zupełnie na łasce zakonnic będąca, wyłącznie żadnéj z nich nie oddana, nigdy przez nikogo ośmieloną, zachęcaną nie była, nigdy jéj nikt prawdziwie nie kochał; a młode serce żeby wydać się mogło, potrzebuje koniecznie czuć i wzbudzić życzliwość i przywiązanie.

Atoli Helena była wysoko szacowana w całym domu; piérwsza w dopełnieniu zadanych prac, opiekunka młodszych i słabszych, zawsze prawdę mówiąca, daleka od plotek, psot, szeptów; dawano ją drugim za przykład: i przez to samo nie jedna z jéj towarzyszek jéj nie lubiła.

Ludwika podobała jéj się na piérwsze wejrzenie; już w téj chwili, kiedy z Ojcem żegnała się, tak czule ujęła była jéj serce. „Ona kochać umié—pomyślała sobie wtedy—szczęśliwa, ma kogo kochać! może téż przyjaciółkę w niéj znajdę.“ Ale widząc zaraz potém Ludwikę śmiejącą się i żartującą z innemi, a jak miarkowała z niéj saméj, za-

mknęła przed nią serce swoje, i równie od niéj jak od innych stroniła.

Byłyby zapewne tak zeszły te trzy lata, które Ludwika przepędzić miała w Zakładzie, i byłaby może z niego wyszła bez przyjaciółki, gdyż żadna z panienek jéj serca nie skłaniała; gdyby nie okoliczność następująca: Już czwarty miesiąc upływał od dnia, jak Ludwika opuściła dom Ojcowski; jeszcze bardzo za nim tęskniła i nie wiele przykładała się do nauk, kiedy jednego poranku, w czasie klass jedna pensyonarka zaczęła użalać się głośno, jakoby jéj zginął bardzo piękny złoty ołówek, który wczoraj od ciotki dostała. „Włożyłam go—tak mówiła—w książkę rysunkową spać idąc: dziś zastałam książkę otwartą, a ołówek przepadł.“—Wielkie powstało w klassach zamieszanie; wszystkie pensyonarki broniły się z zapałem: jedne płakały, drugie posądzały się wzajemnie. Mistrzyni rozkazała wszystkim pójść do ogrodu i tam czekać chwili przywołania; oświadczywszy, że tym czasem przegląd szufladek nastąpi. — Rozkaz i słowa Mistrzyni zdawało się, że zaspokoiły wszystkich: wszystkie panienki wstały, jedna tylko Helena zarumieniła się, i chciała coś wyjąć nieznacznie ze swojéj szufladki. Dostrzegła to Mistrzyni i powtórzyła rozkaz wyjścia natychmiast. Helena usłuchała, lecz niechętnie i wyszła w raz z drugiémi oglądając się. Gdy już wszystkie zebrały się na głównym trawniku ogrodowym, ułożyło się kilka gromadek osobnych; w każdéj rozmawiano z żywością o zaszłym wypadku, a wnet wszystkie prawie oczy i domysły zwróciły się ku Helenie, która rozmawiając z jedną z uczennic miała wyraz niespokojności na twarzy.—Te panienki co rade były każdéj sposobności upokorzenia biédnéj sieroty, a jak ją zwały, przemądréj, zaczęły głośno mówić o niéj jak najgorzéj. — Wspaniała dusza Ludwiki oburzyła się na tę złość; wiedziała, że pochwały dawane Helenie przez nauczycieli ściągały jéj nienawiść tych pensyonarek,

które wyższe od niéj urodzeniem i majątkiem, pełne próżności, sądziły, że wszystkie pochwały i pierwszeństwa im wyłącznie należą. Mówiły więc bez ogródki: „Trzeba domagać się koniecznie wypędzenia téj dziewczyny, zakałem jest całéj pensyi. Już dosyć długo cierpiałyśmy w naszém gronie ten wstyd.“ Napróżno Ludwika wznosiła głos swój za obwinioną, powstawały i na nią; pobiegła wtedy Ludwika do Heleny, a biorąc z żywością jéj rękę: „Wszak prawda— powiedziała z zapałem — żeś ty nie niewinna! Powiedz im to sama, bo one takie niegodziwe, wierzyć mi nie chcą!..“— „O! Boże! Boże! — zawołała Helena przelękniona, czyżbym posądzoną była?“—„One—odpowiedziała Ludwika wskazując na towarzyszki—one cię obwiniają: ale ja ręczę za ciebie, jak za siebie samą. Nie płacz Heleno — mówiła daléj, widząc twarz sieroty zalaną łzami—nie płacz, ja ciebie przeciw ich złości obronię.“ A to mówiąc ściskała czule drżącą dziewczynę. Tymczasem, Przełożona zakonu uwiadomiona o tém całém zdarzeniu, zeszła sama do ogrodu, ażeby skarg wysłuchać i osądzić winną. Grono obwiniające cisnęło się naprzeciw niéj. Widząc to Ludwika porwała Helenę za rękę, a ciągnąc ją za sobą uklękła przed Przełożoną: „Pani!— wymówiła z uczuciem—nie potępiaj jéj, póki mnie nie wysłuchasz. Niema żadnego dowodu przeciw niéj, a pomimo tego one wszystkie chcą ją miéć za występną; ją najgodniejszą szacunku, najlepszą z nas wszystkich.... Niech odstąpią wszystkie, które jéj dobroci i uczynności doznały, a zapewne nie będzie komu oskarżać i posądzać.“

„Uspokójcie się dzieci moje — powiedziała Przełożona z łagodną powagą—każdemu sprawiedliwość wymierzę. Poszukiwania czynione w téj chwili oświecą mnie; którabądź z was okaże się winną, bezecny jéj postępek dla honoru Zakładu utajonym będzie, ale ona karę odbierze. Piérwéj zaś mam sobie za obowiązek oświadczyć tu przed wami, iż nie mam na Helenę żadnego posądzenia; zawsze dobre mie-

wa świadectwa, żadne kłamstwo nie pokazało się nigdy na niéj; niepodobna więc, zdaniem mojém, aby się dopuściła takowéj podłości... Wyznać atoli muszę, iż dała niejaki powód do posądzenia siebie, gdyż nie usłuchała odrazu Mistrzyni. Dlaczego, kochanko—dodała obracając się ku Helenie — zmieszałaś się na rozkaz przejrzenia szuflad? dlaczego chciałaś coś dobyć ze swojéj?“

Helena spuściła oczy, łzy jéj płynęły obficie: nie mogła odpowiedzieć. Ludwika była na mękach, bo widziała złośliwe uśmiechy w około; w téj chwili Mistrzyni pokazała się we drzwiach głównych; ręka jéj trzymała w górze ołówek złoty, przedmiot całéj sprawy. Zbliżyła się z pośpiechem do właścicielki jego mówiąc z żywością: „Na drugi raz bądź uważniejsza, a zwłaszcza nie tak skora do posądzania towarzyszek. Ołówek był w twojéj własnéj szufladzie, w piórniku. — A ty dobra Heleno — dodała mile—kiedy odrabiasz zadanie leniwéj towarzyszki, nie zatrzymuj jéj zeszytu u siebie; chciałaś ukryć przed wszystkiemi dobroć i uczynność twoję, a ta chęć szlachetna mnie saméj stała się powodem do posądzenia cię.“ — „Także to było?—przerwała Przełożona — kochane, zacne dziecię!“ I pocałowała Helenę w czoło.

„Tak było, nieinaczéj — powiedziała owa panienka, z którą Helena rozmawiała pocichu na początku téj sceny— chcąc mnie wstydu oszczędzić, sama naraziła się na posądzenie.“ „A cóż — zawołała radośnie Ludwika — czyż nie mówiłam, że ona z nas wszystkich najlepsza? Podnieś głowę, Heleno; bądź odtąd najdumniejsza, najweselsza z nas wszystkich. Jam cię nie posądziła ani na chwilę, i kochana Przełożona nasza oddała ci sprawiedliwość.“

Przełożona uściskała serdecznie Helenę i Ludwikę, pochwaliła publicznie dobre serce jednéj i wspaniałość drugiéj, zganiła surowo posądzające skwapliwie; naznaczyła karę winniejszym i zaleciła baczność i pobłażanie nadal.

I zganione i ukarane upokorzyły się szczerze i obiecały poprawę.

To zdarzenie związało na zawsze szlachetne serca Ludwiki i Heleny; najsłodsza, najrzetelniejsza przyjaźń bo na szacunku, wdzięczności i zgodności uczuć oparta, powstała między niemi, i wkrótkim czasie okazały się korzystne jéj owoce. Ludwika polubiła jednostajne i zamknięte życie pensyonarskie; uczyła się pilnie, nawet z zapałem, ażeby jak najprędzéj doścignąć Heleny, i być w jednéj klassie z nią; już nie tyle tęskniła za Ojcowskim domem; Helena zaś zapomniała prawie zupełnie o sieroctwie i ubóstwie swojém. Znalazłszy przyjaciółkę, opiekunkę w czułéj, w bogatéj Ludwice, nie była już opuszczoną, ani pogardzoną; zaczęła upatrywać wdzięk w życiu, w przyszłości swojéj; zaczęła należeć do wszystkich zabaw: twarz jéj, cała postać swobodną, wesołą barwę przybrały. — Ten związek miał równyż wpływ na dalsze życie dwóch tych panienek. Gdy trzy lata naznaczone przez Ojca Ludwiki minęły, ulegając chętnie prośbom córki, pan S. wziął Helenę do siebie, los jéj zapewnił i w jednym dniu co i Ludwikę wydał za mąż.

Żyły ciągle nierozdzielne sercem, przypisując sobie wzajemnie przymioty i zalety, które je zdobiły.

Złotówka.

Powiastka.

Bruk był śliski, ściany domów mokre, z rynien i dachów woda kapała, a przecież słońce jasne świeciło nad Warszawą; bo działo się to w końcu Marca, i już pewno po raz dwudziesty zmieniała się w tym dniu pogoda.

Młody jakiś panicz w sutéj czamarce stojąc oparty o filar na Miodowéj ulicy przypatrywał się wystawionym rycinom i litografiom, a prawie naprzeciwko przy bramie dawnego pałacu biskupów krakowskich, chłopiec blady i wynędzniały, ubogo odziany, wyciągał jednę rękę do przechodzących prosząc o jałmużnę, a drugą jakby ze wstydu, twarz sobie zasłaniał. Wtém przeszły koło bramy dwie kobiety: jedna miała piękny płaszcz szkocki, kapelusz aksamitny czarny z kwefem, i widać było że ładna i młoda; druga w czarnéj salopie na uczciwą pannę służącą wyglądała.

„Moja jedyna, pożycz mi pieniędzy — powiedziała panienka do służącéj obaczywszy biédnego chłopca — nic niemam przy sobie.“

„I ja nie mam tylko złotówkę, a Panna wié, że musimy wsiąść w piérwszą dorożkę, i jechać na Elektoralną ulicę do owéj pani.“ „Moja droga, już pójdę piechotą, a daj temu chłopcu: patrz jaki biédny! „I tak będziemy jeszcze miały kawał z Elektoralnéj na koniec Leszna, i zabawimy się długo; pani będzie niespokojna.“ „Już proszę cię, nic nie mów—a daj.“

I złotówka dostała się w dłoń schudzoną biédnego chłopca. Młody panicz jakimciś trafem zwrócił był oczy swoje ze sklepów na stronę przeciwną, i widział z daleka tę całą scenę, lubo słów i głosu nie słyszał. Zajęła go dobroczynna panienka, ile że nóżka ładnie obuta, ubiór staranny, mile także przemawiały; przejść chciał na drugą stronę, ażeby przypatrzyć jéj się lepiéj; lecz właśnie kilka zebrało się powozów, i nim się rozjechały, już ani panienki ani jéj służącéj nie było, i choć młodzieniec wybiegł na Senatorską ulicę dopatrzyć jéj nie mógł.

Cokolwiek zły a przynajmniéj nie kontent, zbliżył się do biédnego chłopca, który jeszcze trzymał w ręku złotówkę, wziął mu ją i dał na to miejsce dukata w złocie.

Spostrzegłszy tę zmianę chłopiec krzyknął radośnie:

„Boże! Boże! jakaż opatrzność Twoja; właśnie dwudziestu złotych nam trzeba do opłacenia półrocznéj stancyi. Już nas miał dziś gospodarz wyrzucić na ulicę, bo już drugi kwartał nam czeka. Mój chory Ojciec byłby pewnie zamarł. Jaśnie Wielmożny Pan życie Ojcu wraca.“ A to mówiąc tak był wzruszony, że aż o ścianę oprzeć się musiał.

„Czemże jest twój Ojciec? moje dziecko, i dlaczego tak biédni jesteście?“ „Mój Ojciec był woziwodą: jeszcze w jesieni, w czasie piérwszych mrozów schodząc do Wisły upadł i coś mu w krzyżu pękło. Od tego czasu nie wstał z łóżka, wóz i konik poszły do ludzi. Matki już dawno nie masz; Jam jeden przy nim. Dotąd łataliśmy biédę jako tako; usłużywszy Ojcu robiłem sąsiadom, com mógł: nosiłem piasek, wodę, i przecież z głoduśmy nie marli; ale na komorne nie można było nic uzbiérać. Ojciec już mnie dawno wyprawia w służbę, ale któż mnie weźmie bez butów, bez koszuli; a takąbym miał ochotę iść w służbę, i zarobić co dla Ojca. Żebrać nawet nie umiem i wstydzę się...“

Tu płakać zaczął.

„Gdyby twój Ojciec na to przystał, wziąłbym cię do siebie; właśnie potrzebuję chłopca, któryby za mną jeździł konno i za powozem.

Ale będzieszże wierny i posłuszny?“

„O będę! byle tylko Ojcu co z tego przyszło.“

„Zaprowadźże mnie do Ojca.“

I poszli obadwa na Bednarską ulicę, gdzie w podwórzu w domu jednego stolarza mieszkał, a raczéj leżał woziwoda kaleka. — Chętnie zezwolił na to, żeby Tomek syn jego poszedł w służbę do panicza; ucieszył się nawet tém mocno z razu, i dziękował mu błogosławiąc; ale wnet zamyślił się i powiedział: „Co ja tu stary i kaléka bez niego poczne!“

„Gdybyś chciał — rzekł na to panicz — wkupiłbym cię do szpitala Ś. Kazimierza: tam chorym bardzo jest dobrze.“

„Nie koniecznieć to ludzie są za szpitalami, ale ja sam słyszałem jakoby u Ś. Kazimierza lepiéj było, niż gdzieindziéj. — Jeśli łaska pańska, tobym już tam i poszedł.“

Dobry panicz zajął się natychmiast umieszczeniem Ojca i oporządzeniem syna; nie wyszło trzech dni, stary woziwoda leżał w wygodném i czystém łóżku, i obiecywali mu doktorowie i Siostry Miłosierdzia, że będzie jeszcze mógł chodzić o swojéj mocy: a Tomek w pięknym surducie piaskowym, w butach z wyłogami i w kapeluszu okrągłym z czarną kokardą, patrzył tylko w oczy swemu panu, w czémby mu usłużyć i podobać się; i słuchał napomnień i nauk zasłużonego lokaja jego.

W parę tygodni jednego wieczora, kiedy zasłużony lokaj trochę był słaby, i Tomek sam pana rozbiérał, zapytał go się panicz: czy kontent ze swojéj służby? „Ale jak, wypowiedzieć nie umiem. Wczoraj, jak pan wié, byłem u Ojca i on zdrowszy daleko: Siostry takie dobre, tak go pilnują; kazał panu nogi uściskać i błogosławił go stokrotnie.“

„A tobie na niczem nie zbywa?“ „Na niczem, panie, mam wszystkiego do sytości. Już tylko przed śmiercią jednejbym pragnął rzeczy?“ „Czegóż takiego?“ „Oto, żebym jeszcze kiedy obaczył tę dobrą panienkę, co mi tę złotówkę dała. Ona mojego szczęścia przyczyną, bo gdyby nie ona, panby mnie był nie obaczył. Pan ją zna zapewne? Przepraszam za śmiałość moję, że o to pytać się ważę.“

„Nie znam wcale i nie poznałbym jéj nawet, choćbym zobaczył.“

„O! jabym ją poznał i z twarzy i z głosu; tak mile do téj statecznéj pani mówiła!—Muszę dać z zasług moich na Mszę do Pana Jezusa, to może ją gdzie zdybiemy.“

Pochwalił tę intencyą panicz i mimowolnie złożył także życzenie, aby wysłuchaną została. Ale nie zanosiło się na to, ile że wnet zabrawszy Tomka, rzucił Warszawę i pojechał do wioski swojéj w Krakowskie.

Dobra panienka ze swoją panną służącą właśnie wychodziła z Orléj ulicy na Leszno, i spieszyła się bardzo, kiedy zawróciła w tęż stronę pędem jadąca kareta, cztérma końmi pocztowemi zaprzężona, tak nagle, że ledwie umknąć się z drogi potrafiły. Przelęknione i zmęczone doszły nareszcie do domu, i zaraz na wstępie usłyszały wymówki Matki: „Jak téż można było tak długo się bawić! od godziny wrócić należało. A tak byłaś tu potrzebna Amelko!... Kto wié—dodała wprowadzając córkę do swego gabinetu — kto wié może tém spóźnieniem szczęście całego życia straciłaś.“—O Mamo! nie zdaje mi się: bo żeby Mama wiedziała dlaczegom się spóźniła...“ — I opowiedziała Matce przygodę z biédnym chłopcem. „Wszystko to pięknie i dobrze—odpowiedziała Matka — ale tymczasem twój kuzyn Gustaw był u nas.“—„Gustaw z Wiednia! A czy to nie on pędził dopiero pocztą? Zkądże się tu wziął?“—„Niema pięciu minut jak pojechał daléj; wysłany kuryerem do Petersburga, godziny w Warszawie nie bawił: i bardzo grzecznie z jego strony, że mimo tego o ciotce nie zapomniał. Dopytywał się mocno o ciebie; odżałować nie mogę, że cię nie zastał. Wiesz dobrze, iż w nim cała moja nadzieja twego przyszłego losu. A prawie cię nie zna. Oj! nieszczęśliwe spóźnienie!“

„Zobaczy Mama, że nie wyjdzie mi na złe.“ „Mam takie przeczucie.“

„Daj Boże! jednak wolałabym, gdyby cię był widział.— Tak ci ładnie w tym kapeluszu z tym rumieńcem.“—I zamyśliła się Matka. —Wdową będąc po wysokim urzędniku, dziś prawie uboga, troski swoje nad przyszłością jedynéj córki koiła myślą dawno ułożonego jéj małżeństwa z synem siostry swojéj, z owym Gustawem, który znaczny posiadał majątek, i postępował wielkim krokiem na drodze łask i urzędów.

Amelii nie uśmiéchały się tyle te widoki, a raczéj mało niemi zajęta była. Gustaw nie chował się w kraju, piętnaście lat był od niéj starszy, widziała go kilka razy dzieckiem będąc, i nic w tém dziwnego, że jéj zupełnie był obojętny.

W trzy miesiące potém Matka Amelii siedziała znowu w swoim gabinecie; już teraz nietylko zamyślona ale zapłakana była. List otwarty leżał przed nią. — Wbiegła na to Amelia i strwożyła się mocno obaczywszy łzy Matki.

„Mamo! cóż takiego się stało! czy wiedzieć mogę?“ „Nietylko możesz ale trzeba, żebyś wiedziała. Oto list Gustawa; żeni się ale nie z tobą: majątek i piękność jakiejś Angielki go ujęły. Pisze do mnie z prośbą, żebym go uwolniła od danego niegdyś słowa: i bardzo na to nastaje: iż kuzynka żalu do niego mieć nie może, kiedy nie miał szczęścia widzenia jéj od lat siedmiu i nie zna ją tylko dzieckiem.

„Widzisz, moje przeczucie było lepsze od twego; nie wyszło ci na dobre owo spóźnienie.“ „Kto to jeszcze może wiedzieć, moja kochana Mamo? Ale trzeba odpisać jak najprędzéj Gustawowi; i niech mu Mama dobrze powié, że najmniejszego żalu do niego niemam. Szkoda tylko, że z cudzoziemką się żeni, i że Mama płacze.“ „Jak płakać niemam moje dziecię; widzę cię pozbawioną losu, a z taką pewnością na to liczyłam.“ „Widać że już Mamie zawadzam, kiedy chce się mnie pozbyć tak prędko i koniecznie. Moja Mamo, cóż nam tak bardzo złego, przecież biédy nie znamy, a jesteśmy razem. Coby mi tam było po tych bogactwach i honorach, gdyby dla nich trzeba było Mamę porzucić! Dopiéro mam lat siedemnaście, i jeszcze poczekać mogę.“ A takiemi i podobnemi słowy ukoiła wnet Amelka żal Matki; sama zaś swobodniejsza niż kiedy namówiła ją, aby pójść wieczorem na most, użyć przechadzki.

Była to wigilia Ś. Jana. Słowiański i odwieczny zachowując zwyczaj mieszkańcy Warszawy cisnęli się na most. Mała cząstka biegła badać przyszłość i rzucać wianki, ale szli jedni dla tego, żeby przypatrywać się drugim, szli drudzy, żeby być widzianymi: inni jeszcze, jak Amelia z Matką, szli ażeby rozerwać się i odetchnąć świeżém powietrzem po dniu bardzo gorącym. Święto-Jańskie interesa zwabiły i z dalekich okolic osób nie mało; a między powozami stojącemi z obu stron koło mostu, był i lekki koczyk podróżny, z którego był wysiadł dopiéro co młody panicz w czamarce. Chłopiec porządnie ubrany słuchał właśnie jego rozkazów względem powozu i koni, kiedy obiły się o jego uszy te słowa: „Ostrożnie, Mamo!“ a wnet chwytając pana swego za rękę szepnął mu do ucha: „To jéj głos, to ona.“ — Młodzieniec obejrzał się, nie dokończył już rozkazów swoich, i przez cały czas rzucania wianków chodził nieznacznie za dobrą panienką i za jéj Matką.— Spotkawszy na moście kilku znajomych dowiedział się wnet, kto była; same pochwały jéj słysząc, widząc starania koło Matki, ubiór schludny i gustowny, ułożenie skromne, wnet zapragnął wprowadzonym być do ich domu; a po kilku miesiącach bywania uzyskawszy wzajemność młodéj Amelii oświadczył się o jéj rękę. Wprawdzie nie był on ani w jednéj części tak bogaty, jak Gustaw: miał tylko jednę wieś w Krakowskiem, i żadnéj nadziei urzędów ani godności; przecież i Matka Amelii poznawszy jego charakter i sposób myślenia, powierzyła mu z chęcią szczęście córki. W dzień ślubu, który w dzień Trzech Króli miał się odbyć, kiedy Amelia skończywszy ubranie weszła do pokoju bawialnego, gdzie tylko najbliżsi krewni się znajdowali, jedna z poważnych matron zapytała się misternie: „A pieniądz ślubny czy jest?“

— Ach! zapomniałam“ — odpowiedziała. — „To ja się o niego postaram!“ zawołał Pan młody, i to mówiąc wybiegł

z pokoju. Wnet wrócił prowadząc chłopca bardzo licho ubranego, który wyciągał rękę, i w niéj była złotówka. Stanęli oba przed zdziwioną Amelią, a wdzięczny Tomek powiedział: „Niech to będzie wasz pieniądz ślubny, lepszy on od dukata, bo pewno szczęście wam przyniesie.“ — Widząc to rumiana i szczęśliwa Amelia domyśliła się wszystkiego i rzuciła się Matce na szyję mówiąc: „A co! czy nie wyszło mi na dobre owo spóźnienie?“

Listy Monisi***

Do Przyjaciółki swojéj Karoliny.

List piérwszy.

Z Warszawy, 20 Lutego.

Wyjechałaś, droga Karolino i to na same ostatki! wielka szkoda! tak nam dobrze było razem! tak mi się długim tydzień od twego wyjazdu wydawał! Już teraz nie będę się tak wybornie, jak przy tobie bawić! Nie dobra twoja Mama, że zawsze w téj Litwie ma interesa. A właśnie jakby na złość, niezmiernie częste dziecinne bale, już były dwa w tym tygodniu. W ostatni wtorek będzie także u nas bal dziecinny, prawie cała Warszawa na niego zaproszona. Strój mi robią prześliczny, bo to będzie bal *kostiumowy:* będę ubrana za dawną Polkę, Władzio za Polaka i Emilka jak Krakowianka. Mama jeździ codzień do kupców i różne zwozi towary.

Jaka szkoda, że ciebie tu niema, miałybyśmy pewno jednakowe stroje... Tak mam temi balami głowę zajętą, że lekcye jeszcze gorzéj jak zazwyczaj idą, a Ojcu znowu

Dzisiaj bardzo wiele książek przyniesli i mnie się niektóre dostały. Wiesz, że Ojciec chciałby koniecznie, żebym ja tyle umiała jak on. Z jednych dzieł kazał mi treść wyciągnąć, z drugich wypisać niektóre wyjątki; nie wiem czy to potrafię i kiedy do tego czas znajdę? chyba koło Wielkanocy. Mam także nowych nut mnóstwo, których nie gram i dziesiątéj części. Jednak zaczynam nabiérać trochę więcéj gustu do muzyki, od czasu jak panna D..... lekcye mi daje; ona tak pięknie gra sama, że zachęca, ale cóż kiedy to nie przychodzi bez wielkiéj pracy, a ja do pracy nie stworzona. Panna D..... mówi, że chcąc dobrze grać, trzeba się kilka godzin na dzień wprawiać; dziękuję za tę łaskę! Wreszcie cóż nam *pannom* po muzyce? gramy jedynie żeby téż grać i jak pójdę za mąż, będę zapraszać do siebie najsławniejszych artystów, będę ich słuchać; ale żebym miała sama się męczyć, tégo potrzeby nie widzę. I z rysunkiem podobnież uczynię, bo i ten nie łatwo mi przychodzi; prawie zawsze metrowie wszystko za mnie robią: ja nie mam talentu i nic dziwnego! Bóg sprawiedliwy ubogim dał talenta, bogatym pieniądze. Jednak Mama życzy sobie koniecznie, żebym rysowała; mówi że to z czasem przyjdzie i dlatego prócz tych dwóch metrów, których miałam do miniatur i do drzew, jeszcze mi trzeciego do kwiatów przyjęła; to już ich będzie ogółem ośmiu: jeden do tańca, drugi do muzyki, trzeci do polskiego, czwarty do francuzkiego, piąty do angielskiego języka, i trzech do rysunku. Wielkie szczęście, że nie wszyscy codzień przychodzą; bo nie wiem, jakbym sobie dała radę; często się téż zdarza, osobliwie w zapusty, że bilet wziąwszy odchodzą: nie sposób wszystkiemu wystarczyć.

Jednak to moja Karolinko, wygodnie być bardzo bogatym; pamiętam, że jak u was był ten balik dziecinny, to i ty i siostry twoje i Mama byłyście niezmiernie zajęte; my zaś wcale nie. Już za trzy dni ma być ten wielki bal, tylu

rzeczy, tyle strojów potrzeba: my o niczém nie wiemy. Tata się trochę kręci, sześć naszych kobiet szyje w garderobie: trudniejsze szczegóły robią u modniarek: marszałek i kamerdynery rozmaite rzeczy od kupców znoszą. Mama gości przyjmuje, których zawsze mnóstwo bywa, a ja cały dzień z metrami, albo w salonie. Lecz nie pojmuję, dlaczego przy tém wszystkiém Mama i Tata niezmiernie są smutni, jeszcze bardziéj jak przy was. Póki są goście to weseli, ale kiedy sami, to niech Bóg zachowa; dziś właśnie rano zastałam Mamę płaczącą, Tata chodził zamyślony po pokoju: chcąc ich rozerwać, pokazałam im śliczny szal tyftykowy, który jedna kobieta na przedaż przyniosła. Mama i patrzeć na niego nie chciała; Tata wyszedł i zamknął drzwi z trzaskiem: jednak po obiedzie przywołali kobietę, i Mama szal kupiła. Dali jéj jakieś stare srebra brzydkie i pierścień brylantowy, okropny antyk. Mama powiada, że ten szal jak znaleziony taki tani; sześćdziesiąt dukatów rachowała go sobie ta kobieta, a ogromny, i prawie nowy. Często także, bardzo często, jacyś Ichmoście i jakieś Imoście się schodzą; Tata kiedy tylko może zmyka co tchu przed niemi: a choć czasem jest w domu, każe mówić, że go niema. Jedna kobieta osobliwie, codzień przychodzi: jak ją Tata zobaczy, zawsze zblednie, tak się zmiesza!... — Ach! żebyś wiedziała, jak Frani ładnie w krakowskim ubiorze? Emilce nie tak, bo śniada, i mnie dosyć do twarzy w moim kołpaczku; a co Władzio, to do zjedzenia w swoim polskim stroju: taki poważny, taki wspaniały! prawdziwie na wielkiego pana już wygląda. Nie zawstydzi naszego rodu. Nie każdyby dzieci swoje tak ubrać potrafił!

Mama wzięła za 30 dukatów samych korali u jubilera, a co inne rzeczy kosztują? Ręczę, że nikt nie będzie tak suto jak my ubrany; nic dziwnego, bo téż i bardzo mało będzie nam równych!... O szkoda! jeszcze raz szkoda! że ciebie tu niema! z tobą chętnie byłabym w parze; prawda, że

nasz majątek nie jednaki, ale urodzenie prawie takie samo, a wreszcie przyjaźń naszych Matek i nasza.. Bywaj zdrowa! przyszedł jak na złość ów metr od kwiatów; wielkąbym miała ochotę go odprawić i dać mu bilet, lecz pierwsza lekcya! wstydzę się. Bywaj więc zdrową, Kochana Karolino, pisuj do twojéj Monisi.

List drugi.

Z Warszawy, 27 Lutego w Sobotę.

Już tedy i po naszym balu. Sławny bal. Cała Warszawa ma dotąd cuda o nim prawić. Że było suto i wspaniale to nie sekret; do białego dnia tańcowali; ale nasze stroje wcale nie były najbogatsze: znajdowały się na nim dzieci daleko kosztowniéj ubrane, i jeszcze jakie dzieci! A przed balem co się działo, to strach! Wystaw sobie, że nasz kucharz upił się, i nic wiem co porobił, ale całą kolacyę popsuł, najkosztowniejsze rzeczy, wszystko zmarnował. Tata musiał co tchu drugą kolacyę u Szowota obstalować, ledwie się podjął, i to za niezmierne pieniądze. Pożyczyli kilka zwierciadeł od kupców, dla większéj salonów ozdoby, i chłopiec kredensowy, zawieszając stłukł największe. Kamerdyner Taty powiadał, że to na siedemdziesiąt dukatów szkoda. Bardzo rzecz piękna dawać bale, nawet koniecznie wypada takim panom jak my, ale ci się przyznam, moja Karolino, że to kłopot wielki. Biédna Mama tak się tym kucharzem, tém zwierciadłem zgryzła, a potém przystrajaniem stołów tak się umęczyła, że aż zesłabła; leżała całe poobiedzie, i dopiéro wstała na dwie godziny przed balem. I co szczególnego! jeszcze nigdy tylu Ichmościów nie było jak w ten dzień! Tata który zawsze taki dobry, jednego z nich ze schodów zepchnąć kazał; musiał też to być waryat, bo historye wygadywał na nas, że bale wydajemy.

A jemu co do tego?... Jak się goście zaczęli zjeżdżać, wszystko się uspokoiło i już było dobrze. Po Mamię nie znać było słabości, ani kłopotów, taka była ładna i uprzejma. Słyszałam mówiących, iż nikt jeszcze téj zimy takiego nie dał balu. Dzieci narachowałam do dwudziestu, starszych osób nie równie więcéj; ja téż tylko i Władzio cośmy trochę tańcowali. Emilka i Frania szczególnie raz mazurka poszły: bo się nie można było dzieciom przed słusznemi pannami, a osobliwie przed mężatkami do koła docisnąć.— Przynajmniéj żeśmy mieli wyborny podwieczorek: ananasy, winogrona, wszelkie owoce, cukry, ciastka, lody; Frania się tak najadła, że jeszcze na żołądek słaba. Co kolacyi, to żadne z nas nie doczekało, a miał Szowot pysznie wystąpić; jak się tylko inne dzieci rozjechały, natychmiast Frania i Emilka spać poszły: ja, jako najstarsza, chciałam zostać z Władziem do końca, ale nie mogąc tańcować, usnęliśmy szczęśliwie na stołkach... Lecz o czém zapominam.... Ach! żebyś wiedziała jaką ja miałam parę! Wystaw sobie, że na tym balu, obok najpiérwszych w kraju osób, obok całéj elegancyi, były cztery figury, których nikt nie znał. Ojciec, Matka, i dwoje dzieci, dziewczyna i chłopiec. One to były z nami w parze, i nierówno kosztowniéj od nas ubrane. Pomimo tych wszystkich świecidełek i klejnotów, wszystko czworo okropnie wyglądali, bez żadnego tonu, bez żadnéj edukacyi; każdy się o nich pytał i dziwiono się bardzo dowiedziawszy się o ich nazwisku. Tata zaś i Mama niesłychanie byli dla nich grzeczni; mnie i Władziowi kazali się zaprzyjaźnić z ich dziećmi, a nieznośne dzieci o samych pieniądzach gadały. Przyznam ci się, że mi bardzo było przykro, w takiéj być parze. Już to prawdę mówiąc, jakiś nieszczęśliwy był ten bal: nietylko Frania ale i Mama od niego słaba, a Tata okropnie zmizerniał. Mnie saméj nadzwyczajnie smutno; może dlatego, że post, a najpewniéj dlatego, że ciebie tu nie ma.—A kiedyż wrócicie? moja Ka-

rolino, donieś mi. Tęskno mi bardzo bez ciebie; nie mam nawet z kim otwarcie pomówić; Mama zawsze zatrudniona albo słaba; Władzio rad nie rad siedzi nad naukami. Frania i Emilka jeszcze małe; wracajże prędko Karolino, do szczerze kochającéj cię

Monisi.

List trzeci.

Z Warszawy, 13 Kwietnia we Wtorek.

Już sześć tygodni nie pisałam do ciebie, droga Karolino, bom była bardzo chora. Wszyscyśmy mieli odrę; ja zaczęłam, najmocniéj i najdłużéj chorowałam: dotąd nawet biorę lekarstwa, kaszlę jeszcze, oczy mnie bolą i niezmiernie osłabiona. Kochana Mama! co téż z nami miała biédy! ale panom to i o zdrowie łatwiéj jak innym ludziom; dwóch doktorów codzień u nas po dwa razy bywało, trzymali nas jak w piecu, a cośmy lekarstw wyżyli, to nie do pojęcia: musieliśmy koniecznie ozdrowieć. Bardzo mi smutno post zszedł. Dopiéro onegdaj w pierwsze święto Wielkanocne wyszłam do salonu; paradne było u nas święcone: mnóstwo ludzi! lecz cóż? kiedy były i owe nieszczęsne figury; a tak duszno, żem mocniejszego kaszlu dostała, i teraz Bóg wié, kiedy wyjadę na powietrze i w kościele będę. Dopiéro to w słabości prawdziwie uczułam, jak źle, że ciebie tu niema! okropniem się nudziła; a żebyś wiedziała jakie dziwne i smutne słyszałam rzeczy? Kobiéty nasze pilnując mnie, historye między sobą gadały. Myślały pewno, że ja śpię, a ja dobrze wszystko słyszałam. Mówiły że my jesteśmy prawie ubodzy; że nic nie mamy prócz długów po uszy; że jak Tata z Mamą dłużéj tak wspaniale żyć będą, to wyjdziemy na galganów. Poczciwa nasza Bona aż płakała przy téj rozmowie. Niezmiernie się tém zmartwiła, alem o nic się ich nie wypytywała, bo wiész że

Mama zabrania wdawać się ze sługami; ułożyłam sobie, iż skoro wyzdrowieję, zaraz Mamy się zapytam? ale nie przyszło do tego; i wreszcie muszą to być bajki. Wszystko tak jest u nas, jak było dawniéj: tyle służących, tyle koni, takie obiady, takie wieczory; metrowie już rozpoczęli lekcye, Mama się zawsze tak pięknie ubiera, Tata książki i obrazy skupuje.

Bajki więc kobiéty kleciły: ale to pewna, że Mama i Tata coraz smutniejsi: zapewne z jakiéj innéj przyczyny, bo gdzieżby to być mogło, żebyśmy kiedy bogatymi być przestali. Żegnam cię, luba Karolinko, kończyć muszę; ćmi mi się w oczach: bywaj zdrowa. Dziękuję ci za twoje listy, były moją pociechą w słabości.

List czwarty.

*Z** 15 Maja w Sobotę.*

Znowu miesiąc upłynął, a jam do ciebie nie pisała. Nic nie wiesz, że od dwóch tygodni jesteśmy u siebie na wsi. Tak my dzieci osłabione byłyśmy po téj odrze, ja szczególniéj, że się doktorowie suchot obawiać zaczęli, i kazali wyjechać ze mną na świeże powietrze. Mama natychmiast przywiozła nas tutaj; z samych doktorów namowy, zaprzestałam wszelkich lekarstw, chodzę tylko wiele; rano wstaję, piję mléko, znacznie do sił przychodzę, już nawet tyć zaczynam. Bardzo nam tu wesoło, chociaż na wsi, bo czas śliczny, i gości mnóstwo. Wiész że nasza wieś niebardzo od Warszawy daleko, zjeżdżają się więc codziennie; i nawet ci Ichmoście przed którymi Ojciec radby uciec, tu do niego trafiają; ale mało co w domu siedzi. Nie wiem jak się to stało, żem do ciebie przez te dwa tygodnie nie pisała, bo na okazyach do Warszawy nie zbywa; codzień marszałek wysyła furę po kuchenne potrzeby, po pietruszki,

szparagi, sałaty i t. p. rzeczy, bo tu nic niema. Ogrodnik Francuz nie dba o te drobiazgi. Ale za to bardzo ładnie: ogród angielski niezmiernie się rozkrzewił; nie poznałabyś klombów, takie gęste; teraz prawdziwy gaik w tém miejscu gdzie nasza kanapka prawie jeszcze cała, i litery na drzewach znać dobrze. Szkoda tylko, że kanały które Ojciec kopać kazał, zarosły, a wiatr altankę chińską wywrócił, i ten most napowietrzny zerwał. Tu jakieś okropne muszą bywać wiatry, bo i stodoły, i obory, i chałupy się walą. Oranżerya śliczna, tysiące jest najrzadszych roślin i kwiatów. Do końca Czerwca tu zabawimy. Cieszę się niezmiernie; czas piękny, tak zielono: już bzy kwitną. Żadnych nie mam lekcyj, bo mi doktorowie odpocząć kazali; czytam tylko te książki, które mi Ojciec dał jeszcze w zapusty, i trochę więcéj roboty robię; jednak ten kobierczyk jeszcze nie skończony; przyznam ci się, że nie lubię bawić się igłą: zdaje mi się zaraz żem sługa. Władzio także mniéj się uczy, i bardzo z tego kontent; wiész, że on nie chce przykładać się do niczego; mówi zawsze i słusznie: „Będę panem, będę bogatym, obejdę się bez nauki.“ Bądź zdrowa, kochana Karolino. Kiedy też i tutaj te nieznośne figury trafiły, przyjechały; Mama mnie wołać każe, żebym się z ich dziećmi bawić przyszła. Muszę iść i ciebie porzucić.

List piąty.

20 Czerwca w Niedzielę.

Już też teraz nie własną, ale twoją winą nie pisałam tak długo do ciebie; może mnie już nic nie kochasz: jeszcze po odrze żadnego listu od ciebie nie odebrałam, a już trzeci piszę. To wcale nie pięknie. Za pokutę słów tylko kilka odemnie odbierzesz. My za trzy dni wracamy do Warszawy z całym taborem; zbliża się ten nieszczęśliwy św. Jan, który

co rok wszystkich tylu kłopotów nabawia. Jakem dziś Mamie wspomniała, że już ten dzień blizki, tak zbladła żem się aż przelękła. Ojciec od czterech dni w Warszawie, przez czas cały pobytu naszego na wsi, mało w domu gościł, jeździł ciągle, jak słyszałam po pieniądze. Obiecałam że mój list krótki będzie; dotrzymuję obietnicy, bo doprawdy że się gniewam.

List szósty.

Z Warszawy, 25 Czerwca w Piątek.

Ach! moja Karolino! co się też wczoraj u nas działo! nie wiem doprawdy jak ci to opisać potrafię? Przyjechałyśmy tu około południa; okropny był nasz przyjazd. Stanęliśmy przed naszym pałacem. Ojciec blady i pomieszany wyszedł naprzeciwko nas: „Toś się zmięła z moim posłańcem? biédna żono! powiedział do Mamy, wysadzając ją z karety, próżne są wszystkie moje zabiegi!“ Dopiero wszedłszy do domu zrozumiałam, co te słowa Ojca znaczyły. Ach! cóżeśmy tam zobaczyli!.. Wystaw sobie te ogromne salony i pokoje tak pięknie umeblowane, zupełnie ogołocone i puste: dwa łóżka, stoliki drewniane i stół kuchenny, to w sypialnym pokoju stało. Owe kanapy, bióra, szafy mahoniowe, te bronzy, kolumny, alabastry, marmury, wszystko znikło; zwierciadła, obrazy, draperye pozdejmowane, same ćwieki i dziury w murze pozostawały.—Moje nawet rzeczy, ów ładny stoliczek, owa szafeczka od twojéj Mamy, nic tego nie ma!.. Mama zobaczywszy te straszne pustki, oprzéć się aż o ścianę musiała, bo byłaby padła: my dzieci pytałyśmy się wszystkie: „Cóż się to znaczy?“ — „Nie były te rzeczy nasze, odpowiedział nam Tata z okropnym uśmiechem, ci, do których należały, odebrali jako swoje!“ „Jakto?“ zawołałam zdziwiona. „Tak! tak! odebrali jako swoje! nic natu-

ralniejszego!“ I to mówiąc rozśmiał się jeszcze okropniéj, i spojrzał na nas takiemi obłąkanemi oczyma, żeśmy się wszyscy zlękli. I Władzio i Frania i Emilka przytulili się do łóżek, poszłam i ja za niemi, a widząc że Mama płacze, i my płakali! Tata chodził szybkim krokiem po pokoju, i sam do siebie jakieś niewyraźne mówił słowa; to było okropnie, ale wnet inna scena nastąpiła. Zaczęli się schodzić Bóg wié nie jacy Ichmościowie: kupcy; modniarki, metrowie, rzemieślnicy, przekupki i inni; jedni prosili, drudzy wołali, żeby im Tata oddał ich pieniądze; byli i tacy, którzy nawet okropnie klęli, aż dreszcz przechodził słuchając. Jedna kobiéta mnie niezmiernie rozczuliła (ta sama o któréj ci raz pisałam); przyszła do tego miejsca gdziem stała, zaczęła mnie całować w nogi, i mówić: „niech się panienka za mną wstawi. Rok temu pożyczyłam Wielmożnym państwu krwawo zebrane sześć tysięcy złotych: pan dał mi słowo i zapewnienie na piśmie, że na zawołanie moje odda mi tę summę. Już od pół roku prawie codzień tu chodzę, i błagam go; jeżeli mi w trzech dniach nie odda, zginę! bo dworek z ogrodem trzymam na Gęsiej ulicy w arędzie: jak się nie wypłacę, wypędzi mnie właściciel, i z ośmiorgiem dzieci osiądę na bruku.“ Płakała niezmiernie to mówiąc: i mnie tak serce ścisnęło, żem wyjść z pokoju musiała. We drzwiach spotkałam się z naszą szafarką: już wytrzymać nie mogąc, spytałam się jéj: „Co się to znaczy? Kto tak wszystko pozabierał? Co to za ludzie?“—„Wierzyciele, odpowiedziała mi spokojnie, zwyczajnie jak na św. Jan, to prawie tak co rok bywa: czy panna nie pamięta? tą razą trochę gorzéj, ale to nic nie szkodzi. Pan dostanie zkąd pieniędzy, odda im; nakupi mebli, obrazów, i będzie wszystko dobrze!“ Pocieszyły mnie te jéj słowa, i zeszłam na dół do ogródka.

Prawdę mówi szafarka, pomyślałam sobie; jak pamiętam, zawsze ten św. Jan okropny: ludzie różni się schodzą,

chcą pieniędzy; Tata się gniewa, Mama płacze, przez czas jakiś nietyle sobie i nam sprawiają, nietyle rzeczy skupują, mniéj bywa gości, ale potém wszystko wraca do dawnego porządku, i do samego Czerwca ani wzmianki o św. Janie. Pewno to samo i w tym roku będzie. Kiedym się tak pocieszyła, Władzio, Frania i Emilka przyszli do ogródka; z początku byliśmy smutni, ale ogródek taki ładny, tyle róż i innych kwiatów, żeśmy się rozweselili. Nabiegawszy się, wróciliśmy do pokoju. Już nie było nikogo z obcych. Tata nie miał obłąkanych oczów, Mama nie płakała, owszem jakiś wyraz szczególnéj radości jaśniał na jéj twarzy. „O! już pewno mają pieniądze!“ szepnęłam do Władzia. Tata nam dał znak żebyśmy wyszli, i długo jeszcze z Mamą rozmawiał. Przyszedł potém pan T** ten prawnik, którego tak szacuje, naznosili mnóstwo papierów, pisali, radzili.

Mama wyszła do nas i powiedziała: że pojutrze raniuteńko pojedziemy do Krakowa. Nie wiem wcale po co tam pojedziemy? ale wiem że się cieszę, bo wszelkie podróże bardzo lubię; a wreszcie ani sposobu tu mieszkać, póki Tata nie wymebluje domu na nowo: teraz niema na czém siedzieć, i ja ten list piszę do ciebie na kuchennym stole. Tak cebula śmierdzi, że ledwie wytrzymać mogę.. Ale, ale przepraszam, żem się gniewała na ciebie, kochana Karolino: zaległy wasze listy na poczcie, dwa razem oddała mi Mama. Już cię nigdy posądzać nie będę, i skoro staniemy w Krakowie, donieść ci o tém nieomieszkam.

List siódmy.

Z Krakowa, 1 Sierpnia we Czwartek.

Miesiąc minął, a jam do ciebie nie pisała; bo nie wiem doprawdy jak i pisać, nie mam tyle śmiałości: nie wiem wreszcie, czy zechcesz jeszcze żyć ze mną w przyjaźni?...

Ach! moja Karolino! jakżem nieszczęśliwa; cały nasz dom shańbiony, spodlony! Oj! nie bajki, ale szczerą prawdę kobiety nasze mówiły, kiedy ja chorowałam na odrę; tak w saméj rzeczy... O Boże! jakże ja te słowa napisać potrafię?... tak, wyszliśmy na gałgany. Wystaw sobie, że już nic nie mamy, to jest tylko tyle, że nie żebrzemy po ulicach. Tego jedynie brakuje... Ojciec z Mamą zrzekli się wszystkiego dla panów wierzycieli, wsie, pałace, srebra, klejnoty przedali, wszystkich ludzi odprawili. Stoimy tu w Krakowie na przedmieściu, w maleńkim dworku jak szewcy: mamy jednę służącą, jednego lokaja i kucharkę: aż mi się źle robi.. Ekwipaża żadnego! i już tak zawsze będzie, jużeśmy bez nadziei!... Czy uwierzysz? Mama sama spiżarnią trzyma, sama się z kucharką rachuje, mnie każe się czasem wyręczać, do piwnicy chodzić, i inne równie podłe czynić usługi; oddała mi bieliznę Frani i Emilki . . mnie? i ja muszę ją rachować, naprawiać, pończochy cerować! Doprawdy żebym sto razy umrzeć wolała. My, których rachowali między pierwszych panów Polski, ja, któréj zawsze słudzy i metrowie mówili, że będę miała przynajmniéj milion posagu, i pójdę za jakiego księcia, ja, mam chodzić do piwnicy, pończochy cerować? To zniewaga, to hańba, to nieszczęście! Żebym przynajmniéj wiedziała dlaczego się to stało? kiedy przez tyle lat byliśmy bogaci, jakżeż się tak odrazu wszystko urwać mogło? wszak nas nikt nie okradł? pogorzeli nie było. A co mnie więcéj jeszcze zastanawia? Mama nierównie teraz zdrowsza i weselsza, tak rano wstaje, i tak pracuje i nic jéj nie szkodzi. Czasem sumienie mnie trochę gryzie, że jéj niechętnie pomagam; ale gdy ją widzę swobodną, krzątającą się około gospodarstwa, jak gdyby do niego stworzoną była, żałuję tylko że i ja tak obojętnéj nie mam duszy!... Frania i Emilka także nic téj okropnéj zmiany nie czują, prawda, że jedna ma sześć, druga siedm lat, a ja prawie tyle co one obiedwie

razem. Jeden Władzio, który zupełnie moje uczucia dzieli i rozumie; skoro się zejdziemy i jesteśmy sami, płaczemy gorzko. Władziowi najwięcéj o to idzie, że ród od tak dawna w Polsce świetny, plamimy zupełnie; on powiada, i słusznie mówi, że gdyby powstali nasi dziadowie z grobu, a obaczyli naszą zniewagę, umarliby drugi raz ze wstydu. Ciekawam bardzo, jak Tata tę hańbę znosi: Tata, który nam zawsze tyle o sławie naszych poprzedników mówił! Jeszcze go tu nie ma! jeszcze w Warszawie te śliczne interesa układa. Dopiero za parę tygodni się obiecuje. Nie ma do czego się spieszyć. Żebym sto lat żyła, nigdy nie pojmę jak można było dobrowolnie z bogactwa przyjść do ubóstwa, z takich honorów do takiéj zniewagi? W co my się teraz obrócimy? ja w głowę zachodzę: jak tu patrzeć na ludzi, na panów? Czy był kto odemnie nieszczęśliwszy? Ach Boże! dobry Boże! zlituj się! a ty, Karolino nie pogardzaj mną, tak jak ja sobą pogardzam. Nie wiem czybym twoję pogardę zniosła, choć widzę, że zniosę wszystko, kiedy żyć mogę w takiém upodleniu.

List ósmy.

Z Krakowa, 4 Sierpnia w Niedzielę.

Żebyś wiedziała, co się z twoją Monisią zrobiło? ale nie będę o niczem mówić przed czasem; wolę wszystko porządkiem opisać, powiem ci tylko:

„Ciesz się! już nie żyję w upodleniu!“ Ach! moja jedyna! jakich ja mam rodziców! jaka ta Mama dobra! a jak ja i Władzio byliśmy nierozsądni! ale zapominam o obiecanym porządku, przystępuję do niego.

Trzeba ci najprzód wiedzieć, że Mama dawniéj w Warszawie i na wsi, tak była zawsze zajęta, że nie miała czasu czytywać listów, które ja do ciebie pisywałam.

Kiedy pieczętowała swój list do twojéj Mamy, ja mój przynosiłam, i kładła go w kopertę nie czytając. Ale w Krakowie wszystko inaczéj się dzieje. Mama na wszystko ma czas, sama zatrudnień moich dogląda, sama lekcye mi daje, a kiedym jéj trzy dni temu list mój do ciebie przyniosła, otworzyła go i do czytania się zabrała. Pojmiesz łatwo co się ze mną działo, gdym to zobaczyła. Uciekłam do drugiego pokoju, a zasłoniwszy sobie oczy, siadłam w kąciku, drżąc cała jak listek. Wkrótce Mama mnie zawołała: ledwiem znalazła siłę do wstania, poszłam jak na śmierć; Mama kazała przyjść i Władziowi, zamknęła drzwi na klucz, i mówiła do nas te słowa:

„Dzieci moje! oddawna widzę z boleścią jak nierozsądnie stan nasz obecny znosicie: wasze skargi i narzekania już nieraz obiły się o moje uszy, i serce ciężko zraniły; jednak nie sądziłam nigdy, aby wasz nierozsądek do tego posuwał się stopnia, jak się z listu Monisi dowiaduję. Pochlebiam sobie, że młodość i niewiadomość wasza, jedyną jest tego zaślepienia przyczyną, i dlatego serce moje przed wami otworzę, postępek Ojca waszego usprawiedliwię. — Chcielibyście wiedzieć dlaczegośmy z bogactwa do ubóstwa dobrowolnie przyszli? powiem wam. Dawne nasze bogactwo było mniemane i niesłuszne.“—„Jakże to być może?“ krzyknęliśmy oboje z Władziem.—Tak jest! odpowiedziała poważnie Mama, przekonacie się o téj prawdzie; posłuchajcie tylko całéj naszéj historyi.

Jam się urodziła z bardzo majętnych napozór rodziców; jedynaczką będąc, odebrałam wychowanie książęce, i wzrosłam w mniemaniu, że wielką będę panią. O takowe zdarzenie w Polsce nietrudno; znalazłam więc męża będącego zupełnie w podobnych okolicznościach, i skorośmy się pobrali zaczęliśmy szumieć. Przepychowi ekwipażów, liberyi, pokojów, stołu naszego, wszyscy się dziwili, a my mniemaliśmy, że tak nam żyć koniecznie wypada. Lecz gdy po śmierci

rodziców odziedziczyliśmy cały majątek, okazał się obciążony długami, a przeto nasz sposób życia przenoszący dochody. Wypadało wtenczas spuścić z pańskiego tonu, stosować wydatki do przychodów; ale tę sztukę rzadko kto zna w Polsce, i my jéj nie znali...

Ulegając narodowéj słabości, wiedliśmy daléj równie szumne życie, nie przewidując jego skutków. Nie ubył ani jeden służący z przedpokoju, ani jeden koń ze stajni, nie odprawiliśmy Francuza kucharza, ciągle bywały u nas bale, uczty; utrzymywał się zbytek niesłychany w ubiorze moim, w edukacyi waszéj, w całym obchodzie domowym.—Patrzyłyście na niego, dzieci moje: lecz żadne z was go nie widziało, nie domyślałyście się, ile ten zbytek pieniędzy, ile łez kosztował! Nie pojmuję dotąd, jakeśmy mogli żyć tak długo w takowém położeniu? jakeśmy mogli spoczynkiem, swobodą, a nawet honorem mniemane bogactwo opłacać; bo wkrótce przyszło do tego, iż z pożyczonych pieniędzy, albo na kredyt większą część roku żyliśmy: a przy największych zbytkach, czasem w domu na obiad nie było. Trwało to lat kilka, długów coraz przybywało: każdy Święty Jan nabawiał nas niepojętéj trwogi, każdy co rok był okropniejszy, a skoro minął, z szczególną ślepotą, zapominaliśmy o następującym. Lecz nareszcie tegoroczny przeszedł wszystkie; już nas bowiem ogłoszono za bankrutów, i ktokolwiek miał co u nas, gwałtem chciał odebrać. W ten dzień pamiętny, w którym weszłam do ogołoconego przez wierzycieli domu, nasłuchawszy się ich skarg, przekleństw i obelg kiedym sama z Ojcem waszym została, kiedy nie odpowiadał na pytania moje, a z wielkiéj rozpaczy od rozumu odchodzić się zdawał, rzuciłam mu się do nóg i zawołałam: „Jestże jeszcze jaka ofiara, którąby nas mogła wyrwać z téj toni? mów! wszystko uczynić jestem gotowa!“ „Czy doprawdy? rzekł zdziwiony podnosząc mnie.“—„Widzę cię w rozpaczy, widzę cię blizkim szaleństwa, odpowiedziałam z boleścią,

jakże wątpić możesz?“ Na te słowa obłąkane oczy Ojca waszego błysnęły radością i powiedział: „Tak! jest ofiara, którąby nas wyprowadziła z téj niedoli; jam dotąd najwięcéj dla ciebie nie miał odwagi jéj uczynienia, lecz jeśli ty mi dopomożesz, znajdę dostateczną siłę. Jeszcze teraz jest czas na nią, za rok już byłoby zapóźno!“ — Mów, cóż mam czynić? wołałam na niego; jakaż to ofiara?—„Większa nierównie od ofiary życia, powiedział; jesteśmy zniszczeni, długi nasze zrównały się prawie z ogromnym niegdyś majątkiem, trzeba więc w oczach całego kraju przyznać się do naszego ubóstwa, trzeba się pozbyć tych pałaców, tych wsi, które od kilkuset lat do rodu naszego należą!“ — „A będziesz-że wtedy wesół i swobodny?“ spytałam się. „Będę, odpowiedział, gdyż ten jest sposób jedyny ocalenia mego honoru; a wiesz co droższego prawdziwemu Polakowi: honor czy majątek? Jeśli teraz tego sposobu nie użyjemy, wkrótce moje imię okryję hańbą, stracę na zawsze dobrą sławę i spokojność sumienia, i zapewne nie przeżyję tego ciosu...—„Czyń więc, co tylko zechcesz, mówiłam, ja na wszystko z radością przystanę. Ja najwinniejsza moim zbytkiem, mojemi strojami, a nadewszystko niedbalstwem, nie wglądaniem w domowe sprawy; zginął nasz majątek; godnam kary: żądam jéj nawet!“ — „Obojeśmy winni! rzekł wasz Ojciec z dobrocią, a męztwo które dziś okazujesz gładzi twoję winę... Ale biédne dzieci nasze! dodał kryjąc łzy dobywające mu się z oczów. Zapłakałam gorzko na to wspomnienie, i słowa odpowiedzi wyrzec nie mogłam!“.. „Byłby sposób, mówił daléj, ocalenia dla nich części jednéj majątku, możnaby okazać w sądzie jakie szczególne dla nich, rodziców naszych zapisy; lecz wstręt czuję do takowego postępku: byłby on z krzywdą naszego honoru i sumienia.“ — „Ach! to nie dopuszczaj się go! krzyknęłam odzyskując mowę; niech nasze dzieci nic nie mają, ale niechaj na nich zemsty nieba nikt nie wyzywa; nic im nie zostawmy — lecz niech się pamięci

rodziców nie wstydzą!“ — Uściskał mnie wasz Ojciec gdym te słowa wyrzekła, i odtąd niezmienne uczyniliśmy postanowienie. Zacny i biegły prawnik, przyjaciel nasz prawdziwy, przywołany został; on wskazał najlepsze sposoby do spełnienia jego. Mogę śmiało powiedzieć, że pierwsza na wszelkie nastawałam ofiary, bo żadnéj nie upatruję zasługi. Możeż być trudną jaka ofiara dla żony, kiedy idzie o ocalenie honoru jéj męża?... Po ścisłém przejrzeniu długów naszych, okazało się, że wypłaciwszy je rzetelnie i uczciwie, zaledwie nam kilka tysięcy złotych rocznéj intraty pozostanie. Żadne z nas tém się nie ulękło: mało ludzi i tyle ma swego! Obraliśmy Kraków na siedlisko, jako miejsce gdzie swobodnie, przyjemnie i małym kosztem żyć można. Zamieniliśmy dobrowolnie bogactwo nasze w ubóstwo, i wymagała tego sprawiedliwość sama. Bo jakież mieliśmy prawo cudze trwonić dobro?

Ten majątek już nie był naszym, był on wierzycieli, którzy dobytek swój w nasze i w rodziców ręce, w dobréj wierze złożyli. Wy tę zmianę, ten postępek równie słuszny jak konieczny, *zniewagą*, *hańbą*, *nieszczęściem* zowiecie! a wiecież wy, dzieci moje, co to jest prawdziwie zniewagą, hańbą, nieszczęściem? Oto kiedy wasz Ojciec bogatym będąc w oczach waszych i w oczach świata, pożyczył od kogo pieniędzy, dał słowo honoru, że odda na dzień naznaczony, i zawód uczynił: to było *zniewagą*. Kiedy na zaspokojenie potrzeb domowych, i tego zbytku, do któregośmy nawykli, na ogromne procenta brał pieniądze, oszustów zachęcał, kiedy piérwszego lichwiarza w dom swój przyjmował, pochlebiał mu, wam się z jego dziećmi zaprzyjaźniać kazał; to trzeba było zwać *hańbą*.

A kiedy schodzili się wierzyciele, kiedy który z nich jak wtenczas ta wdowa, ze łzami się domagali własnych pieniędzy; kiedy nasz nierząd poczciwych ludzi w nędzę pogrążał, kiedy rzemieślnik klął, że mu zatrzymujemy nagro-

dę krwawéj jego pracy, na nas i na dzieci nasze gniewu wzywał Boga: to było *nieszczęściem*. Lecz dziś, kiedy sumienie, honor waszego Ojca zupełnie są czyste, kiedy zachował dobrą sławę u ludzi; kiedy niczyjéj łaski nie potrzebujemy, kiedy nikt nam nie złorzeczy: w prawdziwéj chwale, w szczęściu żyjemy! Gdyby nawet powstali pradziadowie nasi, nie bój się Władziu, nie pomarliby drugi raz ze wstydu; wiedzą oni, że nie ubóstwo, ale niecnota rodziny upadla i hańbi. Miliony liczył ten lichwiarz, a czemuż Monisiu wstręt miałaś z córką jego być w parze? *Honor nieskażony to zaszczyt prawdziwy!*“

Z takim zapałem wyrzekła Mama te słowa, iż ten zapał do serc nas obojga przeszedł. Zdawało mi się, żem dotąd ślepą była, tak mi się nagle otworzyły oczy! pojęłam w jednéj chwili i potrzebę i wielkość ofiary rodziców naszych, i tak byłam upokorzona, żem zaledwie nogi Mamy całować śmiała. „O Mamo! wołałam wraz z Władziem, daruj! przebacz! nie gardź dziećmi, które tak niegodne rodziców swoich się okazały“... Więcéj nie mogliśmy mówić, bo nam łzy mowę przerwały. Podniosła nas Mama, uściskała serdecznie i powiedziała:—„Nie pogardzam wami, moje dzieci, wszak i ja zbłądziłam!... a wreszcie wiem, że przyjdzie czas, w którym więcéj się chlubić będziecie z tego czynu Ojca waszego, jak gdyby wam miliony zostawił.“—„O Mamo! zawołałam, już ten czas przyszedł, jużem się przekonała że nierównie więcéj znaczy cnota od bogactwa!“—„Wiem także, mówiła jeszcze Mama, że będziecie nam słodzić zubożenie nasze, że cnoty wasze i zalety jeszcze uzacnią piękne imię, które nosicie. Nie jest to żadną sztuką po rodzicach odziedziczyć majątek i godności, ale dojść do nich uczciwą pracą i cnotliwém życiem, to jest chlubą, to prawdziwém do dobréj sławy prawem. Tego się po tobie mój Władziu spodziewam.—Dotąd przeszkodą ci było w naukach przekonanie że bogatym będziesz, i przejąłeś się tém fałszywém zdaniem,

że wielki pan niczego nie potrzebuje; pamiętaj iż teraz wszystko samemu sobie winien być musisz; pamiętaj i pracuj: ćwicz się w cnotach i w nauce. Ty zaś, córko moja, dodała obracając się ku mnie, wkładaj się w zatrudnienia właściwe płci twojéj; staraj się być rządną, pracowitą, pielęgnuj i rozwijaj te drobne zawiązki nauki i talentów, które z takim kosztem nabyłaś, a nie wątpię, że jakiekolwiek Bóg ci przeznaczenie gotuje, będziesz zawsze rodziców pociechą.“ To powiedziawszy uściskała nas Mama raz jeszcze i długo z nami rozmawiała o tém jak sobie teraz postępować mamy.

Od téj chwili, droga Karolino, zupełnie inną jestem; miałabym ci jeszcze z godzinę co pisać o téj mojéj odmianie; ale już i tak list ogromny: kończę go. Chciałabym żebyś się dowiedziała jak najprędzéj o szczęściu mojém, chciałabym żeby ten list uprzedził odpowiedź twoję na mój ostatni, który Mama na pocztę posłała, bo mnie pewno za niego łajać będziesz. Ale łaj, to nic nie szkodzi: czuję jakem winną była.

List dziewiąty.

Z Krakowa, 14 Sierpnia w Sobotę.

Odebrałam w ten moment list twój, kochana Karolino, przyjeżdżacie tu, przyjeżdżacie umyślnie dla nas. Ach! jakie to szczęście! jaka dobroć! a jak ją cenić umiemy. Będziesz więc naocznym świadkiem swobody naszéj, zupełnego przeistoczenia się twojéj Monisi; w sercu jéj nawet znajdziesz odmianę, bo teraz nierównie więcéj i ciebie i wszystkich kocha. Żebyś wiedziała z jaką pilnością ja się teraz uczę, jak żałuję chwil straconych. Ach! jakże ciemną byłam!

Ale kiedy masz przyjechać, nie będę ci napróżno opi-

sywać tego co się u nas dzieje: powiem tylko, że wierzyciele w rozmaite korzystne wchodzą układy, i że pan T*** ma nadzieję, że daleko znaczniejszą część majątku naszego ocali, niżeli się z razu spodziewał. Ojciec tak zdrów i wesół jak nigdy nie był. Mama opowiedziała mu wszystko; już ze mną nie jak z dzieckiem się obchodzi; obiecał że ile mu czasu od domowych zatrudnień zostanie, tyle będzie ze mną czytywał różne piękne dzieła, bo bibliotekę prawie całą zachował. Bywaj zdrowa! jak to miło napisać te słowa: *Do rychłego zobaczenia.*

Zakończenie.

W tydzień po odebraniu tego listu, przyjechała Karolina z Matką do Krakowa: ledwie poznała Monisię. Zajęta robotą, gospodarstwem, małemi siostrami, kilka tylko godzin naukom i talentom poświęcić może; przez to samo więcéj smaku w nich znajduje, a zatem znaczne postępy czyni: pracuje sama, pracuje szczérze, i więcéj korzysta, jak kiedy ośmiu metrów miała. Uleczona zupełnie z dawnych uprzedzeń, okazuje zalety i cnoty, których nikt w niéj nie zgadywał, póki się bogatą mieniła. Władzio po odbytym nieźle egzaminie, już zaczął chodzić do szkół, i z takim zapałem się uczy, że zapewne na przyszły rok wielu bogatych paniczów prześcignie. Frania i Emilka zupełnie szczęśliwe, bo mają ogródek, krowę, gołębie, kurczęta; pozbawione cukrów, korzennych potraw i pieszczot babskich, nierównie są zdrowsze i grzeczniejsze. Rodzice ich z łatwością nadspodziewaną do mierności przywykli, i ta zmiana tak znaczna ich bytu, w połowie nie jest im tak przykrą, jak się obawiali. Obiad przez prostą kucharkę sporządzony, nie jest wprawdzie wykwintny, ale swoboda umysłu dodaje

im apetytu; a wiemy z dawna, że to kucharz najlepszy. Sprzęty w pokoikach stojące, nie są paradne ale miłe: bo wiedzą że komornik nie przyjdzie ich zabierać; z jedną służącą i z jednym lokajem nie jest tak paradnie jak wtenczas kiedy sześć kobiet uwijało się w garderobie, marszałek stał za stołem, dwóch kamerdynerów roznosiło półmiski, i czterech lokajów drzémało w przedpokoju; ale daleko w domu spokojniéj i ciszéj, i ów jeden lokaj regularnie płacony i nie spuszczając się na drugich, lepiéj prawie usługuje, od tamtych sześciu nieopłatnych próżniaków.—Bolały ich z początku nogi chodząc po Krakowskim bruku; ale już uznali, że przechadzka daleko musi być od przejażdżki zdrowsza, bo nigdy obojgu za czasów największéj ich świetności, tak zdrowie nie służyło jak teraz. Nie dając uczt i balów, nie miewają wielu gości; ale za to sami życzliwi, sami zacni ludzie ich odwiedzają, i dla każdego są w domu, przed nikim uciekać nie mają potrzeby. Szacunek zaś zyskali sobie powszechny, wszyscy cenią ich ofiarę: i przy kilku tysiącach dochodu, daleko więcéj są poważani, lepszą mają u ludzi sławę, jak kiedy krocie corocznie trwonili.

Matka i syn.

Powieść w listach.

List piérwszy.

Już więc daleko od starania i dozoru mego, puszczony zostałeś tak młodo, kochany Wacławie, między ludzi zupełnie tobie nieznanych. Ale wymagały tego okoliczności.

Ten, na którym cały los życia Matki, cała jéj przyszłość spoczywa, ten musi koniecznie umieć i znać wiele, ażeby potrafił zadosyć uczynić swemu przeznaczeniu.

Gdzież lepiéj jak w stolicy, możesz się wydoskonalić w tych naukach, do których od dzieciństwa tyle okazujesz ochoty i zdatności. Troskliwy rząd zgromadził w Warszawie wszystkie sposoby ćwiczenia i oświecania młodzieży, dobroczynność jego, zarówny do skarbcu nauk ubogim jak bogatym przystęp daje. Ach! niech osoby, które do tak wielkiego dobrodziejstwa się przyczyniły i nad utrzymaniem go szczerze i gorliwie pracują, niech pewne będą błogosławieństwa nieba; modlitwy wdzięcznych Ojców i Matek ściągać je zwykły... Cóżby naprzykład było za nieszczęście moje, gdybym śmiercią męża pozbawiona sposobu do życia, utrzymująca się jedynie pracą rąk własnych; gdybym mówię, takowéj łatwości nie miała dać ci dobréj edukacyi: już żadnych dla mnie nie byłoby widoków, boś ty jest wszystkich jedynym celem. Obdarzony wielką zdatnością, bogaty w chęć dobrą, pobożny, szlachetnie myślący, pracowity, wiem że przy takiéj zręczności nabycia nauk, ozdobisz się niemi: za tą pomocą dojdziesz kiedyś do uczciwego, do zaszczytnego kawałka chleba, i podzielisz się nim z Matką.

Takiemi od śmierci Ojca twego pocieszałeś mnie obietnicami, miłe są dla mnie i wierzę im zupełnie. Już minęły te czasy, kiedy wyłącznie ludzie urodzeniem i majątkiem znakomici, rozbierali godności, zaszczyty, urzędy; dziś uznano, że cnota, światło, dobre wychowanie, na równym stopniu dwóch ludzi postawić mogą, choćby jeden z nich w chacie, drugi w pałacu się rodził: nie wątpię więc, że i syn mój dosłuży się kiedyś uczciwéj a może i znakomitéj posady, i odda mi stokrotnie owe zachody, ową często i w nocy pracę, która miła dla mnie, jego zawsze korciła i korci. O! wierzaj mi, kochany Wacławie, jeśli tylko ciągle cnotliwym, pilnym będziesz, wypłacisz mi się sowicie

z długu wdzięczności, który tak serce twoje napełnia, który nawet, kiedy mówisz, ciężałby ci nieco, gdybyś nie miał pewności uiszczenia się z niego. Za trochę trudów i pracy, nabędę szczęścia i chluby; ojczyznie przysposobię użytecznego obywatela, sobie byt błogi zapewnię: któż kiedy lepsze kupno upatrzył? — Ale jakiż mimowolny strach serce moje ogarnia?... Pókiś wraz ze mną w naszém mieszkał miasteczku, póki za każdym powrotem ze szkoły, mówić, rozmawiać z tobą mogłam, i przemawiać do tego serca, które często w klasach niewiele żywiołu dla siebie spotyka; póty byłam zupełnie spokojną: zdawało mi się, żeś już dojrzały, że cię nic zmienić, zepsuć nie potrafi. Teraz wszystko niebezpieczeństwem mi się wydaje. Na stancyi z cztérma innymi studentami, prawie bez dozoru, w tak wielkiém mieście, z tak małym funduszem, drżę cała... Przypominają mi się owe chwile, kiedyś sam chodzić zaczynał, kiedym truchlała, żebyś nie upadł; lecz jakże ówczasowe obawy drobne były w porównaniu do téj, któréj dziś doznaję... jakieżto nierównie większe niebezpieczeństwa dziś tobie grożą!... Pokrzepiam się jednak nadzieją, że z temi zasadami prawdziwéj pobożności, którą serce twoje od dzieciństwa wzmacniałam, z temi prawidłami honoru, który narodową naszą jest cechą; z tym chlubnym celem, jakiś sam życiu twojemu naznaczył, nie zbłądzisz, i dojdziesz do pożądanéj mety, chociażbyś przeszkody na drodze spotykał.

List drugi.

Jakże mnie uszczęśliwił list twój, kochany, drogi Wacławie; oswobodził on serce moje ze wszelkiéj bojaźni, zastąpiła ją słodka, zupełna ufność. Ucieszyło mnie nawet obruszenie się twoje, na myśl samą, że mogłam na chwilę nie być pewną ciebie; zachowaj na zawsze ten gniéw szla-

chetny: dowodem on jest wstrętu do złego, a kto go czuje, znać, że tchnie miłością cnoty. Jakżeś mnie rozrzewnił tkliwemi wyrazy, które jakby niechcący z pióra twego się wymknęły! „Na żadnego z towarzyszów moich nie chciałbym być miejscu, lubo prawie wszyscy bogatsi odemnie, bo żaden takiéj Matki niema.“ Toż samo i ja ci powiem o sobie. Siedzę teraz w mojéj izdebce, przy cienkiéj łojowéj świeczce; choć już dwunasta, dopiéro co robotę złożyłam, a przecież nie mieniałabym się z żadną księżną, bo żadna takiego syna niema, a przynajmniéj żadna w dziecięciu swojém tyle nadziei pokładać nie może... Wyborny rozkład twoich godzin; jak dobrze, iż każdą naukę odebraną w klasach, rozważasz potém w domu, i że prócz zadań czytasz jeszcze i piszesz. Mówisz: „gdyby nie praca domowa, małobym czynił postępów.“ Snadno temu uwierzę: w szkołach stawiają przed młodemi naukę, jak potrawę na stole; może odejść głodnym, kto jéj sobie nie przysunie, kto nie weźmie tyle, ile dla niego przystoi, kto sam nie pomyśli o sobie; bo małe tylko dzieci karmić rzecz przyzwoita. Dzień twój tak cały zajęty pracą, iż nie masz na nic złego chwili wolnéj; to najlepsza cnoty tarcza; trapisz się tylko, że o mnie myśleć mało masz czasu. Ten kłopot zbyteczny; bo skoro syn powinnościom swoim zupełnie jest oddany, i gorliwie ich dopełnia, dowodzi tém samém, że pamięta o Matce, że ona jest myśli jego przytomną. Rodzice we wszystkiém wizerunkiem są Boga, a czy wypełnienie obowiązków naszych nie jest najlepszą, najskuteczniejszą modlitwą? I tak, należy mi się zapewne, abyś czasem wspomniał o mnie, abyś pisywał jak można najczęściéj, tak jak należy się Bogu, codzień rano i w wieczór do Niego przemówić, oddawać Mu czysty hołd w Jego domu, a z resztą chwalić Go i wyznawać cnotliwą pracą. Czyż nie powiedział Apostoł: „*Czy jécie, czy pijecie, czy co innego czynicie, wszystko to możecie ku chwale obracać Bożéj.*“—„Przedziwny twój opis owego

milionowego jedynaka, który w równym z tobą wieku, i w jednejże klasie będący, choć ma i guwernera i korepetytora, mniéj daleko umié od ciebie, niżéj siada, bo nigdy uwagi nie przyłoży. Patrząc na niego radujesz się, żeś nie bogaty: o! zapewne; majątek bywa bardzo często największém dla młodego nieszczęściem. Nie jeden panicz myśli sobie w duszy (chociażby się do tego przyznać wstydził) „niech się mozolą i męczą nad nauką te biédaki, co z pracy oczekują imienia i chleba; ja będę bogaty, noszę piękne imię, czegoż się mam męczyć?“ I zostanie w ciemnocie, jakby do utrzymania wielkiego majątku i sławnego imienia, nietrzeba było często więcéj światła, niźli do ich utworzenia? jakby dziś ludzi nie z istotnéj ale z pozornéj ceniono wartości. Bardzo źle, że trafiają się w klasach tacy, którzy nie z przyjaźni, ale z interesu, za podobnych paniczów zadania ich wypełniają: ucieszyło mnie to, lecz nie zdziwiło bynajmniéj, żeś swojéj usługi odmówił, zręczną nawet do niéj przyłączywszy naukę: wyrządziłeś mu tém prawdziwą przysługę. W swoim z cienkiego sukna mundurze, i płaszczu z sobolowym kołnierzem, z zegarkiem paryzkim w kieszeni, zapewne się ani spodziewa, że ubogi student w farbowanym surduciku, lituje się nad nim, i nie chciałby za wszystkie skarby być na jego miejscu. Wszystkie hrabiego Augusta wady przypisujesz temu, że w kolébce będąc, Matkę utracił, a Ojciec kłopotami wielkiego majątku zajęty, niema czasu doglądać syna. Upatrujesz w nim jednak wiele przymiotów: grunt pobożności, dobre i wspaniałe serce, rozum otwarty. Dziwi cię, że przy tém żadnéj dla professorów niema wdzięczności; kochany synu! zapewne go nikt względem téj powinności nie oświecił. Panicze wzrastają zwykle w tém przekonaniu, że kto płatny, temu już wdzięczność się nie należy. O jakże się mylą! bardzo mało rzeczy złotem wynagrodzić można! a wreszcie to nie oni, ani ich rodzice tych nauczycieli płacą, niczem więc od wdzię-

czności i względów nie są wolni. Kochany Wacławie! odróżniaj się ciągle innem postępowaniem, uważaj nauczycieli twoich jako zastępców twéj Matki, dla każdego miéj synowską miłość; tych zwłaszcza którzy niezmęczeni, gorliwi, którzyby radzi umiejętność swoję przelać w uczniów, (jak mi piszesz o kilku), tych nietylko synowie, ich rodzice czule kochać powinni, tych Bóg jeden, te starania w ich własnych dzieciach płacąc, wynagrodzić może... — O zdrowie moje nie troszcz się bynajmniéj — wyborne; pieniężne sprawy muszą także iść dobrze, kiedy, prócz zwyczajnéj pensyjki, mogę ci jeszcze na ten miesiąc cztery złote na papier przesłać.

List trzeci.

Z jakąż teraz niecierpliwością oczekuję nowego miesiąca, piérwsze dni każdego przynoszą mi zawsze długi list od ciebie, a każdy taką mi sprawia pociechę. Przyjemności częstszego odbiérania listów od dzieci. trochę zazdroszczę bogatszym rodzicom; ale może w czterech odezwach synów swoich tyle nie mają powodów do radości, ile w téj jednéj. Twoje postępowanie coraz mnie więcéj uszczęśliwia. Jakże pochlebne te nauczycieli świadectwa:

Nauka religii — dostateczna: obyczaje celujące: postępy w naukach — bardzo znaczne; — te miłe wyrazy brzmią w uszach moich jak najmilsza harmonia: kładąc się, mam je w myśli, budząc się, stoją mi na pamięci. O! czemuż, kochane dziecię, pociecho, nadziejo, chwało moja, czemuż cię w téj chwili przycisnąć do serca mego nie mogę? czemu widzieć nie możesz, jak tobą Matka szczęśliwa? Wiesz, że dzięki tobie, nawet lepsza bo pobożniejsza jestem: dawniéj bywały chwile, kiedy nie śmiejąc szemrać, nie wielbiłam jednak jak przystało Opatrzności: myśląc o przyszło-

ści twojéj, opędzając z mozołem skromne nasze potrzeby, niegdyś w lepszym bycie, myślałam sobie: dlaczegoż to mnie jednéj Bóg dał tak mało? dziś, zdaje mi się, że mi dał wszystko, dając takiego syna: dziś, już niczego nie żądam, tylko ciągłéj z ciebie pociechy... Piszesz mi, że w szkołach zepsućby się można łatwo, że są do tego tysiączne sposobności, bardzo złe przykłady; że wielu z młodzieży uczącéj się, niedosyć że sami źli i niepobożni, wyśmiewają tych, którzy takimi nie są. I ten opis kończysz temi słowy: „Ja z takimi się nie spiéram, ani się też ich postępowaniem gorszę, lecz ich żałuję serdecznie; a nie zważając bynajmniéj na wszelkie sarkania i śmiechy, swoje robię: już też codzień mniéj ich wzbudzam.“ Jakżeby mnie takie słowa uszczęśliwić nie miały... Zbawiennie także robisz, synu mój, że nie wymieniasz nazwisk tych, którzy źle czynią; zachowaj ten zwyczaj na zawsze: miéj złe w obrzydzeniu, chroń się błędów i powstawaj na nie, ale o błądzących milcz zawsze. — Wiesz że pan August mocno mnie zajmować zaczyna, zamiast się urazić otwartością twoją, polubił cię i wyżéj od innych towarzyszów cię ceni: jak mówisz, gdyby nie grube sukno twego munduru, byłby ci może i przyjacielem.—Pominąwszy to dzieciństwo, szacunek jego maluje szlachetne skłonności; kogo nagana od niższego nie rozgniewa, ten musi mieć zaród dobrego: ile możności twojéj, zbliżaj się ku niemu, zachęcaj go, napominaj, delikatnie prowadź. O! jakby mi było miło, gdyby ubogi syn mój bogatemu paniczowi mógł tak wielką, tak znakomitą uczynić przysługę; bo możeż być większa, jak młodego na dobrą naprowadzić drogę? Matka jego, która zapewne z niebios na to jedyne dziecię troskliwie spogląda, jakżeby ci wyjednała u Boga błogosławieństwo... O drogi mój Wacławie! rozważ, jakim to nieocenionym skarbem jest cnota; tak młodym będąc i nic nie mając, możesz dobrze czynić,

wielkie świadczyć przysługi; bo ten, który bliźniemu dobry przykład daje, lepiéj czyni jakby złoto sypał, a podobny rodzaj dobroczynności w najuboższego jest mocy.

List czwarty.

Jak wszystkich rad moich słuchasz tak i ostatniéj usłuchałeś; jak ze wszystkiemi tak i z tą ci dobrze, kochany mój Wacławie!... Młody August, już ci przyjaźń okazywać zaczyna, a co więcéj, zachęcony twoim przykładem, wsparty radami, bierze się do nauki i znaczne w niéj czyni postępy. Za niego robić zadania podłością zwałeś, pomagać mu, gdy on sam nad niémi pracuje, masz za szlachetną przysługę. Zaprasza cię do siebie, bywasz u niego prawie codzień, guwerner łaskawém okiem na ciebie patrzy, i jak widzę nie tracisz na tym związku bynajmniéj, bo ci dobrych książek udzielają, bo w ciągłéj będąc na siebie baczności, nabierasz ułożenia przyzwoitego, owéj ozdoby młodzieńca, któréj rubaszność szkolna, często samych paniczów pozbawia. Zazdroszczą ci szczęścia tego towarzysze twoi. O! synu mój, niech powodzenie nie odbiéra ci drogiego skarbu miłości powszechnéj, niech ci nieprzyjaciół nie czyni: nie okupuj go tak drogo!... Bądź teraz, jeśli można jeszcze uprzejmiejszym jak dotąd dla towarzyszów twoich; niech nie czują przykrego wyższości twojéj ciężaru, bo inaczéj ciężałby i tobie... Mówisz, że do zbawiennéj i zadziwiającéj Augusta odmiany, najwięcéj się przyczyniły listy moje, z których mu czytałeś wyjątki; widząc mnie tak szczęśliwą dobrém postępowaniem twojém zapragnął stać się Ojcu podobnéj pociechy przyczyną. Będzie nią niezawodnie—pewna jestem, że za powrotem swoim do Warszawy, ujrzawszy w synie pomyślną odmianę, dozna téj radości, którą w mocy tylko *cnotliwego syna rozweselić serce*

Ojca... Nie piszę dziś długo do ciebie, oczy mnie trochę bolą... nie troszcz się jednak, przy pomocy Boga ten ból szczęśliwie przeminie, a zresztą zupełniem zdrowa.

List piąty i ostatni.

O! Boże! wielki Boże! jak nie wielbić dobroci Twojéj!.. Nie zatrwóż się, synu mój, że do napisania tego listu obcéj uprosiłam ręki, to jeszcze te oczy tego przyczyną; już są lepiéj, ale jeszcze zawiązane. Było jednak bardzo źle koło mnie, a raczéj koło wzroku mego; teraz wyznać to mogę, bo już mi tylko oczy dla przyjemności potrzebne, bo mi Bóg dobry kilka chwil trwogi niespodzianém, niepojętém szczęściem nagrodził. Właśnie we dwa dni po napisaniu ostatniego mego listu, kiedy oczy moje w najgorszym były stanie, kiedy lekarz powątpiewał, a ja tylko prosiłam Boga, żeby mi pozwolił nie myśleć o tém, co to z tego będzie? oddają mi list z poczty: przelękniona, boś niedawno pisał był do mnie, zawołałam: „Pewno i Wacław chory i znać mi dają.“ Okropność téj myśli wnet zmieniło w najwyższą radość, wysłuchanie tego listu, który mi poczciwy lekarz przeczytał, i który ci tu przyłączam w kopii: „Lubo nie mam wcale szczęścia być znanym, Waćpani darujesz zapewne, że się do niéj tak wprost udaję. Przed sześcioma miesiącami wyjechałem był z Warszawy, syna jedynaka, całą nadzieję i podporę znakomitego rodu, przyszłego dziedzica kilku milionów majątku, w szkołach zostawiwszy. Po długich namysłach, do szkół posyłać go zacząłem w téj nadziei, że zdolności jego umysłowe uśpione w domu, chęć wyścigu obudzi, a równość szkolna przytrze nieco owéj zbytecznéj może dumy tak naturalnéj dzieciom możnych, a z duchem dzisiejszym już niezgodnéj. Długo nie otrzymałem pożądanego skutku mojéj ofiary, syn mój znajdował i w klasach

nieproszoną protekcyę i pochlebców. Odbierałem co poczta równie niepocieszające wiadomości od jego guwernera, równie zaniedbane i czcze listy od syna; ucieszyłem się mocno, kiedy nagle wszystko odmieniać się zaczęło, i jakby nowy duch w mego Augusta wstąpił. Chcąc téj szczęśliwéj przemiany naocznym być świadkiem, pośpieszam do Warszawy, przyjeżdżam i zastaję więcéj jeszcze niżem wyobrażał sobie. Syn mój wita mnie z nigdy dotąd nieokazywaną radością, tkliwemi otacza mnie względami, mówi że szczęście moje chce sprawić; widzę w nim uprzejmą dla nauczycieli wdzięczność, zapał do pracy niezmierny, widzę go zdrowszym, weselszym. Zdziwiony, pytam się skwapliwie jaki cud tę zmianę sprawił? August prosi mię o cierpliwość i obiecuje sprawcę tego cudu pokazać; ja go naglę, on mi przyprowadza syna Waćpani.“ „Oto mój prawdziwy przyjaciel, mój dobroczyńca!“ woła ściskając go czule, i mnie prosi bym go uściskał. Opowiada mi potém, jak uderzony słusznością jednéj nagany tego młodzieńca, z piérwszego razu nieco nią obrażony, po chwili zastanowienia przejęty szacunkiem ku niemu został; jak wkrótce zapałem jego do nauki i pracy zagrzany, zachęcony przykładem, radami wsparty, a nadewszystko rozczulony do głębi serca listami szczęśliwéj Wacława Matki, zapragnął stać się jemu podobnym, podobnież Ojca uszczęśliwić!—Dusza tkliwa Wać Pani uczuje to wszystko com wtedy uczuł, słów dobierałbym tu napróżno: takowych wrażeń wysłowić nie można. — Lecz kto wielkiego dobrodziejstwa dozna, czuje natychmiast potrzebę dziękowania dobroczyńcy swemu; najszczersze dzięki są téż do tego listu powodem, i ośmielam się prośbę moją przyłączyć. — Pozwól WaćPani niech jéj syn dokończy dzieło tak chlubnie rozpoczęte, pozwól mu mieszkać wraz z moim synem, jednychże starań i nauk być uczestnikiem; ciągły przykład jego, ta przyjaźń na szacunku ugruntowana, męża godnego znakomitego rodu z mego Augusta uczyni, ze mnie

najszczęśliwszego z ojców. WaćPani zaś nie gardź małym upominkiem od tego, któregoś szczęście zrządziła. Ja zawsze dłużnikiem Twym będę, jam Ci winien pociechę z jedynaka.“

Do tego listu przyłączone było zapewnienie dożywotniéj pensyi dwóchset dukatów co rok na imię moje. — Wystawże sobie kochany synu, co się ze mną działo, co się dotąd dzieje? jak serdecznie dziękowałam niebu. Téj saméj ręki która ten list kreśli, użyję do odpisania hrabiemu; złożenia mu dzięków wzajemnych. Skoro moje oczy nieco lepiéj będą, przeniosę się natychmiast do Warszawy: wszak się o to nie rozgniewasz? Kiedy już nie będę potrzebowała zarabiać na utrzymanie twoje, jakiżby cel i wdzięk życie moje daleko od ciebie mieć mogło? Upatruj mi pomieszkania dogodnego: pisz do mnie jaknajprędzéj: opowiedz jak się to wszystko stało, coś ty mówił... W radości mojéj zdaje mi się często, że to sen zwodniczy, ile że mając jeszcze oczy zasłonione, w dziwném jestem położeniu... Bywaj zdrów, kochany synu: niedługo doprawdy cię uściskam.

Kamień grobowy.

Już prosta, czarna trumna na samém dnie głębokiego dołu spokojnie leżała; już garście ziemi rzucane na jéj wieko przez synów, krewnych, kumów, sąsiadów zmarłego mieszczanina, zupełnie zasute zostały od hojniejszéj dziadów kościelnych ręki; już nawet maleńka mogiła usypaną była, i mało co różnił się ten grób świéży od innych dawniejszych. Już głos żałobnych dzwonów ustał, już rozszedł się w powietrzu i znikł dźwięk smutnego za umarłych śpiewu; już Pleban miejscowy, pokropiwszy ziemię i przytomnych świę-

coną wodą wrócił do kościoła, a osoby temu obrzędowi obecne, nakrywając długo odkryte głowy, opuszczały zwolna cmentarz, chcąc powrócić do mieszkań i do przerwanych prac swoich. Nie była jednak śpieszną żadnego droga, owszem każdy oglądając się na grób nieboszczyka, jakby niechętnie odchodził; i kilkanaście kroków uszedłszy, wszyscy zwalniając coraz chód swój, zatrzymali się nieznacznie, i na różne podzielili się gromady. Tu prawie przy saméj cmentarza zagrodzie, kilku dobrych znajomych, jedni z tegoż miasteczka, drudzy z poblizkich wiosek do téjże parafii należących, nie mogąc rozmawiać z sobą podczas Mszy św. i obchodu pogrzebowego, witali się teraz, a wyrzekłszy słów kilka cicho i z tajemnicą, pytali się wzajemnie o zdrowie i powodzenie nieprzytomnych krewnych? Tam, pod blizkim jaworem, małe grono starszych mieszczan rozmawiało bez przesady o cnotach i poczciwości tego, którego zwłoki w grobie złożyli; przypominali sobie jego uczynność, wesołość, opowiadali okoliczności ostatniéj jego choroby, a to mówiąc, zniżali głos, i ze znaczącym wyrazem na cmentarz patrzyli. Nieco daléj liczniejsza stała gromada, a ta na małe dzieliła się grona; tam przedmiotem rozmowy już nie był ani pogrzeb, ani zmarłego cnoty, ale cena zboża na ostatnim targu, nadzieja pomyślnych zbiorów, zmiana burmistrza albo ekonoma, nadchodzące odpusty i jarmarki; jednak lubo w tak obojętnéj rozmowie, była w głowie i w ruszeniu mówiących, jakaś przyzwoita układność, sprawiona zapewne wrażeniem świeżo odbytego obrzędu, tylu grobów sąsiedztwem, cieniem wysokiéj wieży i poważnych ścian domu Bożego. Dwóch tylko ludzi zostało na cmentarzu; stali oba nad świeżo usypaną mogiłą, w postawie głębokiego, lecz nieporuszonego żalu. Byli to dwaj bracia, jedyni synowie tego, którego pochowano. W ich położeniu musiało być coś osobliwszego, bo oczy obecnych, i w czasie pogrze-

bowego obrzędu i teraz jeszcze zwracały się na nich; onito przedmiotem byli tych szeptów tajemniczych, a ich smutek nie nosił pospolitego smutku cechy. Tak też było w istocie, ci dwaj bracia od lat już kilku poróżnili się, a słowa, które przy grobie Ojca koniecznie wymówić do siebie musieli, były jedynemi słowy, które od lat kilku z ust swoich wzajemnie usłyszeli.

Żadna krwawa lub gwałtowna kłótnia nie zaszła między tymi dwoma braćmi, i żaden z nich nie byłby umiał wymienić prawdziwéj przyczyny tego poróżnienia. Może jakaś mniemana Ojca niesprawiedliwość w ich wyposażeniu? może niezgodne z sobą obudwóch braci ułożenie? może bujniejsza u jednego niż u drugiego pszenica? może głos donośniejszy w czasie sejmików, i większa dla którego uprzejmość marszałka? Może nareszcie jakie słowo źle wzięte lub przystosowane, albo inne podobne do tych powody, tak łatwo powstać mogące w sercach do zazdrości skłonnych, stopniowo zaraziły ich dusze nienawiścią: nietylko że nie bywali u siebie, ale kiedy się spotkali na weselu jakiém lub na chrzcinach, kiedy na jednéj ławie w radzie miejskiéj siedzieli, a co większa kiedy w kościele zdarzyło się, że razem w czasie procesyi, baldachim nieśli nad głową miejscowego plebana, odwracali od siebie twarze: a jeśli spotkały się ich wejrzenia, zdawało się, jakoby każdy z nich znienawidzonego cudzoziemca spotkał.

Bezwątpienia nic snadniéj serc tych zastygłych poruszyć ku sobie nie mogło, nad ten uroczysty wspólnego Ojca pogrzeb, i to stanie w milczeniu na ziemi, która zimne zwłoki jego okrywała. Poruszone też były ich serca. Ale pycha, co najświętszym uczuciom, tak często zaporą się staje, a na któréj żadnemu sercu ludzkiemu nie zbywa, silnie zamykała wrota zgodzie. Stali w milczeniu obok siebie; każdy był w pogotowiu na piérwsze brata wejrzenie, na

podanie ręki, na najmniejsze słowo, rzucić się w jego objęcia, zapomnieć o wszystkiém; ale żaden nie chciał piérwszy podnieść oka, wyciągnąć ręki, ust otworzyć.

Już to był dzień trzeci od śmierci Ojca. W miasteczku gdzie mieszkali znajdował się sposobny kamieniarz, wygotował więc rychło grobowy kamień, i gdy jeszcze oba bracia na tém miejscu stali, czeladnik go przyniósł. Był to prosty głaz, dosyć dobrze ociosany; trupia głowa, dwie kości nakrzyż, i napis w kilku słowach, te były jego ozdoby.

Młodszy brat spojrzał na kamień i na czeladnika pomieszaném okiem, a nareszcie wzrok swój ubocznie ku bratu zwracając powiedział: „Panie bracie! bardzoć to z waszéj strony nie pięknie. Jam tak kochał Ojca jak wyście go kochali. Prawdać, że pan brat starszym, a może i ukochanym synem, ale przecież należało się, ażebyśmy wspólnym kosztem wspólnemu Ojcu kamień położyli.“ W czasie wymówienia tych słów, czeladnik postawił kamień, chcąc go wmurować w ścianę kościoła, przy któréj grób był położony, a kilkanaście osób wróciło z drogi na cmentarz, chcąc go zobaczyć. Starszy brat czując się być winnym, iż syna Ojca swego nie wezwał do oddania ostatniéj czci pamięci jego, stał milcząc; czeladnik wmurowywać kamień zaczął: odgłos kielni gładzącéj glinę, powolne i nie odrazu wierne przez przybyłych napisu odczytywanie, jedynie przerywały głuchość milczenia.

Napis ten wyrażał imię, nazwisko i wiek zmarłego, i oznajmiał, że ten kamień położonym został Ojcu *przez kochających go synów*. Na te słowa ułagodził się gniew ponury urażonego brata i rzekł: „Prawda, byliśmy kochającymi go synami; a kiedy imię moje stoi napisane na tym kamieniu, już się na was nie gniewam bracie. Od kilku, a bodaj—czy nie od kilkunastu lat, nie żyjemy z sobą jakby braciom przystało; dziś więc w przytomności kumów i sąsiadów naszych, dajmy sobie rękę; a jeśli miłości bra-

terskiéj nakazać sercom naszym nie możemy, nie bądźmyż przynajmniéj bliźnich zgorszeniem: żyjmy w zgodzie choćby dla oka ludzkiego, i dajmy razem dobrodziejowi na Wotywę.“ Kiedy tak mówił, z za kościoła ubocznemi od zakrystyi drzwiami wyszedł pleban miejscowy; złożywszy kropidło i krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, zdjąwszy długą albę i żałobną kapę, odmówiwszy modlitwy swoje, stanął w zwyczajnym ubiorze z księgą Ewangelii w ręku, przed dwoma braćmi, którym na cmentarzu czekać na siebie był kazał. Usłyszał on ostatnie słowa młodszego brata, i na obydwóch spojrzał surowo; potém zmieniając surowość twarzy w powagę, rzekł: *Człowiek widzi co się pokazuje, ale Pan na serce patrzy!* Dla Niego niczém są błędne pozory, nikt Go nie oszuka, i od serca najmniejszą nienawiścią zarażonego, żadne Mu dary nie miłe. Wszak znacie owe słowa Jego zapisane w téj księdze: „*Jeśli ofiarujesz dar twój na ołtarzu, a tam wspomnisz, że brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw dar twój przed ołtarzem, a idź pierwéj pojednać się z bratem.*“ Czas, miejsce, te święte słowa, wskróś przejęły serca obydwóch braci; oba razem wyciągnęli ku sobie ręce, oba w jednéjże uściskali się chwili, a szmer radości przez obecnych wydany rozległ się po cmentarzu.—Obok grobu Ojca dwóch braci, był grób dawno zmarłéj Matki: już porosła gęstą trawą jéj mogiła, już ziemia pożrzeć musiała trumnę okrywającą niegdyś jéj ciało, i proch złączył się z prochem; dwaj bracia ściskając się wzajemnie, zsunęli się na wązką ścieżkę, grób Ojca od grobu Matki dzielącą, kapłan zaś stanął na świeżo usypanéj mogile, i z wyrazem uroczystym tak mówił: „Muszę dotrzymać obietnicy Ojcu waszemu przy śmiertelném jego łożu uczynionéj. Muszę wam przeczytać te słów kilka, które z trudnością napisał, kiedy już język jego wymawiać ich nie mógł. Gdy, tydzień temu, naruszył go nagły paraliż, nie było was obydwóch w domu; po piérwszéj słabości przyszedł on nieco do siebie, ale w wie-

ku podeszłym będąc, wiedział dobrze, iż już dla niego nie ma zdrowia i życia nadziei. Przez całe trzy dni napół odjętym językiem o synach swoich bełkotał, naruszony umysł dla was tylko związać myśl był zdolny. Dla was znalazły się łzy w osłupiałych oczach, i te łzy jeszcze były na licach, kiedy już tchnienia w ustach nie było. Skonał z tém pismém w ręku, a piérwéj wyraził mi znakami, ażebym je wam na jego grobie przeczytał. Usłucham go więc:

„Synowie moi! jeżeli chcecie bym spokojnie tu spoczywał obok Matki waszéj, nie odchodźcież z tego miejsca, póki według tego jak Zbawiciel nauczył, jeden drugiego miłować nie będzie.—Kochani synowie, niech błogosławieństwo moje będzie z wami!“

Kilku z przytomnych odwróciło głowy, chcąc ukryć łzy, których wstydzić się nie było przyczyny, a gdy bracia po powtórném uścisnieniu odczytali razem ostatnie słowa Ojca, kilku zbliżyło się do nich i więcéj wyrazem twarzy, mocném ręki trząsaniem, aniżeli mową, radość z téj zupełnéj zgody tłómaczyli. Bracia trzymając się pod ręce poszli do gospody, na kieliszek wódki zaprosiwszy przytomnych. W następującą niedzielę, w téj saméj ławce wraz z żonami swemi w kościele siedzieli, z jednéj książki pieśni nabożne śpiewali, na jednych paciorkach modlitwy różańca liczyli. W tęż samą niedzielę jako w piątą po Zielonych Świątkach przypadła Ewangelia o *sprawiedliwości*, i były w niéj właśnie słowa wyrzeczone na grobie starca przez kapłana. Stojąc na środku kościoła wykładał je jasno i tkliwie; łzy były i w jego i w słuchaczy oczach, a kiedy podczas świętéj ofiary mężczyzna i niewiasta chodząc po kościele, na ubogich parafii tamecznéj zbierali, zakryły się ich tacki miedzią, bo miłość i litość są siostry. — Odtąd serca dwóch braci były jak jedno serce — nic ich już poróżnić nie zdołało.

Tęcza.*)

W początkach Lipca, sześć lat temu, w dzień pochmurny, młody lecz smutny podróżny, na parę mil od Tarnowa wysiadł z pocztowego wozu, którym był z Wiednia przyjechał; zostawił rzeczy swoje w pewnych rękach, a sam z małym tłómoczkiem na plecach ruszył piechotą, bo tak jak zszedł góry Szkocyi i Szwajcaryi, tak chciał obejść tę nadobną własnego kraju stronę. Smutny i nie bez słusznéj przyczyny, szukając napróżno pod obcém niebem pociechy, wracał teraz do wsi rodzinnéj, chciał w niéj już osiąść na zawsze; ale nie wracał do niéj z pośpiechem, nie upatrywał w niéj szczęścia; nie czekał nikt na niego w obszernym dworcu, nie wyglądał go nikt z utęsknieniem chodząc po szerokich i obfitych łanach: rodzice oboje zmarli, Ojciec już oddawna, Matka przed rokiem, a podwójny sierota braci i sióstr nie miał.—Kiedy smutnie zamyślony nad przyszłością swoją, z smutniejszą jeszcze przeszłości pamięcią, szedł sam nie wiedząc jak przez doliny i góry, stanąwszy na szczycie jednéj z tych, zatrzymał się i spojrzał przed siebie. Już dawno zeszło słońce z południa; od zachodu wyjaśniało się niebo, promienie przezierały przez chmury, a z przeciwnéj strony zwolna tęcza składać się zaczynała; piękném było to widowisko, i piękność jego zajęła mocno wędrownika; dotknęła mu nawet serce błogiém, oddawna obcém dla niego uczuciem. Kolory tęczy nabywały stopniowo mocy i jasności, miłe uczucie jego wraz z niemi rosło; a gdy nareszcie łuk powietrzny doszedł zupełnéj doskonałości, gdy złączył niebo z ziemią jakby godową wstęgą,

*) Ta powieść pisana była w końcu 1827 r.

i dusza jego napełniła się weselem. Właśnie oba końce tęczy kryły się za równoległe góry, a to, co widać z niéj było, wydawać się mogło świetną bramą do jakiegoś innego świata. Boki i krawędzie tych gór porozparane nie jednym potokiem, uszkodzone nie jedném urwiskiem, odbijały jasne tęczy kolory, jaśniejsze słońca promienie; i mógłbyś sądzić, że góry szkarłatem są odziane, że złoto potoki toczą. Gdy po krótkiém panowaniu téj świetności, łuk zwolna rozchodzić się zaczął, barwa jego światłą uczyniła całą tę część nieba, którą opasywał; na kilka chwil obie góry przybrały świetną i jednostajną zasłonę, ale wnet zgasła, błyszczały moment wierzchołki ich światłem, lecz i to znikło. Jednak drzewa i trawa jaśniały odżywioną świeżością, ptaszki śpiewały, bydło ryczało radośnie, kruki i kanie wzbijały się w powietrze. Wszystko było w godowéj postaci, a samotny podróżny, który stał ciągle na szczycie góry, rzekł: „Pójdę w tę krainę, do któréj natura tak wspaniałe lubo znikome utworzyła wejście; przejdę pod tym niedawno zgasłym łukiem jéj tryumfu: w téj krainie szczęście być musi.“ I poszedł; wnet zdybał kamienny potok, szedł długo brzegiem jego, szedł na dół; potok coraz wolniéj płynął, coraz szerzéj się rozkładał, nareszcie, w cichy zamienił się strumień, a wędrownik ujrzał przed sobą obszerną dolinę, pola i łąki uprawne, chatek wiejskich kilkanaście wśród drzew rozrzuconych; w jednym końcu wioski w wieńcu lip dwór porządny, a w drugim, na znacznym wzgórku, kościół murowany z drewnianą dzwonnicą i wieżą, świerkami osadzony. Szedł ciągle brzegiem strumyka, ufając mu jakby żyjącemu przewodnikowi; wtém gęsta olszyna zasłoniła mu i dwór i wioskę i kościół; szedł jednak i nie stanął, aż ujrzał się zdziwiony przy bocznem wejściu na dziedziniec, przed samym dworem. W cieniu stoletniéj lipy siedziała wygodnie w średnim wieku niewiasta, z wyrazem spokojnego smutku na twarzy, pilnie ręczną robotą zajęta; obok niéj, na niskiéj

ławeczce, najwięcéj dwanaście lat mająca dziewczynka, tak przynajmniéj sądzić było można po gładko założonych włosach, po dwóch jasnych warkoczach na szczupłą spadających kibić, po zielonym z kieszonkami fartuszku, i po cienkim i niepewnym jeszcze głosie, jakim z małéj książki czytała. Przychodzień stał u wejścia, i sam nie wiedział co począć? wtém oczka niebieskie dziewczynki patrzyć w książkę przestały: spojrzały na niego, a usta wyrzekły wesoło: „Babuniu! gość jakiś!“ Wstała z pośpiechem niewiasta, i zbliżyła się ku wędrownikowi, dziewczynka prędzéj jeszcze przybiegła. Nieznajomy opowiedział w krótkich słowach zkąd i dokąd się udaje: wspomniał z lekka o umyślném prawie zbłądzeniu, a przepraszając za mimowolne uchybienie, oświadczył, że natychmiast w dalszą chce puścić się drogę. Starowne wychowanie, szlachetny sposób myślenia, wyciskają na człowieku piętno, którego nic zetrzeć nie może; dostrzegła je niewiasta w wędrowniku, a po krótkiéj z nim rozmowie zbliżona ku niemu tą styczności, już go za obcego nie uważała. „Proszę usiąść, rzekła uprzejmie, prowadząc go pod lipę; trzeba przecież odpocząć i czém się posilić. Zosiu! zawołała na przysłuchającą się i patrzącą ciekawie dziewczynkę, każ dać kawy, śmietany i ciasta.“— Zosia wzięła klucze i pędem strzały do dworu wbiegła.— Podróżny usiadł i mówić poufale zaczęli; już dawno tak mu dobrze nie było. Pani téj wioski (bo nią była ta przy któréj siedział) jednego zdawała się być wieku z Matką jego, a jak mógł sądzić ze słów i z wyrazu twarzy, równie przykrych jak on, lubo odmiennych pocisków losu doznała. W piérwszych latach najszczęśliwszego pożycia, śmierć małżonka jéj wydarła, wiele przebyła i miała dotąd zmartwień i kłopotów z urządzeniem i z utrzymaniem majątku; a nie dawno, trzeci rok dopiéro się kończył, poniosła cios tak okropny i srogi, że nawet mówić o nim nie miała siły; wszystko odrazu i niespodzianie odjętém jéj zostało: stra-

ciła wdzięk jedyny życia, cel wszystkich prac i zabiegów, podporę starości. Zosię, biedną sierotkę przybrała sobie: nie chciała, żeby kto już Matki imię jéj dawał, Babunią nazywać się kazała; i rada jest temu nazwisku, choć jéj się drugie kobiety dziwią, bo kto nieszczęśliwy, ten stary. I podróżny powiedział jéj także, że jużby młodym zwać go nie należało, choć dopiéro lat miał 24; bo niema rodziców, rodzeństwa, niema na przyszłość nadziei, a w przeszłości jego tkwi okropny, nigdy nie złagodzony smutek, którego pamięć wszystko żałobą odziewa... Wśród tych wzajemnych wynurzeń, wróciła Zosia z podwieczorkiem; wrodzona jéj żywość, nadobna wesołość, bynajmniéj obecnością nieznajomego niewstrzymane, rozjaśniły nieznacznie czoło niewiasty, roztworzyły śmiechem usta jéj gościa; umysły smętne zdolne są do nagłego przyjęcia wrażeń wesołych: takim przynajmniéj okazał się w téj chwili umysł wędrownika. Ożywiony szczególnością swego położenia, może cokolwiek pod urokiem tęczy, strumyka, marzonéj szczęścia doliny, oddał się cały przyjemności obecnéj chwili; zasłoniła ona smutek wspomnień i niedostatek nadziei: zdawało mu się, że nie jest już sam na świecie, że Matkę odzyskał i siostrę znalazł.

Lecz wtém barwa coraz ciemniejsza otaczających przedmiotów i powietrze ochłodzone przypomniały mu, że wieczór się zbliżał; stanęła przed nim myśl nagła i smutna, że jako przywędrował obcy do téj miłéj ustroni, tak jako obcy odejść będzie musiał; czuł jednak, że pamięć tych dwóch godzin, tych dwóch istot, zostanie już z nim na zawsze i miłą mu będzie. Bo między ludźmi, nie z każdym trzeba czekać lat i miesięcy, ażeby się upodobać wzajemnie: jest czasem jakieś podobieństwo zdań, uczuć, położenia, które odrazu tkliwe zrodzi porozumienie, jak owe kwiaty, co jednego promienia słońca, jednéj kropli rosy do rozwinięcia potrzebują.

Ale znał dobrze młody wędrownik konieczność odej-

ścia; pod jakimżeby pozorem, dla jakiéj przyczyny miał zostać? a gdy uprzejma pani i żywa Zosia jak najwolniejszym krokiem do bramy dziedzińca go odprowadzały, czuł aż nadto, że już nigdy do tych miejsc nie wróci.

Dziwném wydawać się może, że ci, którzy przed dwiema godzinami nie wiedzieli wzajemnie o sobie, że żyją, teraz z żalem do rozstania przystępują i ile możności spóźniają tę chwilę. Nareszcie wędrownik wyrzekł: „Nigdy nie zapomnę dnia i miejsca tego; będę pamiętał o tych, które tu mieszkają, póki smutnym będę, a smutnym będę do śmierci... Bywajcie zdrowe! Oby tobie pani, Bóg zesłał pociechę! oby téj wesołéj dziecinie oszczędzał smutku! Bywajcie zdrowe!“ Gdy tak powiedział i już miał odejść, czarna chmura ogarnęła niebo, wiatr świsnął między lipami i grzmot daleki zaryczał w górach. „Babuniu! zawołała Zosia, i uśmiech powstał na jéj twarzy, choć jeszcze łza była w oku. Babuniu, będzie burza; nigdy na taki czas gości nie puszczamy z domu.“ „Prawda! dodała mile poważna niewiasta, byłoby to przeciw polskiéj gościnności dozwolić komu w taką porę iść w podróż. Wróć z nami.“ A w téj chwili grzmot silniejszy poparł jéj prośbę. „Samo niebo z nami prosi!“ krzyknęła radośnie dziewczynka. Lecz i tego nie było trzeba; dosyć miał wędrownik na słowach uprzéjmej pani, na łzie i uśmiechu nadobnéj dzieciny. Wrócili szybkim krokiem: zaledwie stanęli w domu, puściły się nagle jakby wstrzymane wody; deszcz potopny lać zaczął, grzmot nastawał po grzmocie: wezbrał wnet strumień, i dwór stał się jak wyspa wśród rzeki. Ale ten dwór, chociaż drewniany, był mocny: z modrzewia stawiany, już od stu lat opiérał się burzy i wiatrom; i teraz pomimo niepokoju całéj natury w nim pokój panował. Pani jego żyła niegdyś między ludźmi, wiele czytała, widziała więcéj jeszcze; mogła rozmawiać z gościem o krajach, z których powracał, mogła powiedzieć mu wiele o wspólnéj ich Ojczyźnie.

I klawikord się odezwał; Zosia miała głos czysty i piękny; czucie, którego jeszcze nadać mu nie umiała, zastępowało pełne wyrazu granie téj, co towarzyszyła jéj pieniom, téj, co ją wszystkiego tego w tém wiejskiém zaciszu uczyła, czém wychowanki miasta się szczycą. Jako wracającemu z obcych krajów grały mu i śpiewały same narodowe tańce i pieśni; żałości dum niektórych dobrze wtórował świst wiatru i grzmotów łoskot: przychodzień był w zachwyceniu. Po wieczerzy, gdy już dawno dziesiąta wybiła, wstał i życząc im dobréj nocy powiedział: „Dla uzupełnienia szczególności dnia tego i znajomości naszéj, pozwólcie, żebym Wam dopiéro jutro nazwisko moje wyjawił, a dziś powiedział tylko, że noszę imię Leona.“ „A! Leon, zawołała Zosia klaszcząc w ręce; przedziwnie choć to wiedzieć. Ale proszę ani o Babuni ani o moje nazwisko się nie pytać, dodała z pośpiechem, póki go same nie powiemy. Babuni na imie Johanna, a mnie każdemu wiadomo, że Zosia.“ Rozśmiał się Leon i odszedł, a za godzinę wszyscy w domu spali. Jednak nie wszyscy: wędrownik usnąć nie mógł; pomimo zawsze trwającéj i okropnéj burzy, był jakiś wdzięk niezwyczajny w myślach jego, jakiś pokój w sercu; a gdy nareszcie ukołysany świstem wiatru i szumem potoków, usypiać zaczął w dziwnych marzeniach, które w podobnéj chwili tak silnie umysł zajmują, przyszłość jego zjednoczyła się z tęczą, i blask jakiś uroku padł na nią. W głębokim śnie pogrążony, gdy się obudził, postrzegł jasny dzień słoneczny. Przypomniał sobie gdzie jest, powstał czemprędzéj i zbliżył się do okna; widział jak wsiąkała woda, zostawując tylko na ziemi jakby rysunek swego biegu; jak powstawały obwisłe drzew gałęzie i schylone trawy, a pozostałe jeszcze chmurki kryły się za góry, odsłaniając czysty i wesoły błękit niebieski. Był to dzień niedzielny; i ta dolina, wczoraj widowisko zamieszania, stała się miejscem spoczynku natury i ludzi. Nie słychać było pasterzy

po górach, nie widać kosiarzy na łące, sieć rybacka wisiała na słońcu. Gdy Leon zaproszony na śniadanie przyszedł do bawialnego pokoju, z układu jego, z świeżych kwiatów w koszykach, z ubioru starannego służących, saméj nawet pani, z białéj sukienki Zosi i związanych niebieską wstążką warkoczy, poznać było można niedzielę. „Leonie! wszak będziesz z nami na Mszy?“ spytała się niewiasta. Leon nic nie odpowiedział, tylko głowę skłonił, a gdy iść już miała podał jéj rękę. „Dosyć daleko do kościoła i pod górę, rzekła, ale kiedy tylko mogę, idę piechotą: ten dzień i ludziom i zwierzętom na odpoczynek był dany.“

Dla Polaka, który już dawno ziomków swoich zblizka nie widział, zajmującą mogła być ta droga: kilka wiosek tę parafię składało: ze wszech stron dążyli pobożni to z doliny, to z góry, gościńcem, uboczną drożyną, krętemi ścieżkami; a gdy się zeszli, witali się przyjaźnie zwykłém pozdrowieniem. Wzorzyste wstęgi, spodnice dziewek, korale ich i uploty, dobrze odbijały przy ciemnych gospodarzy czamarach, przy białéj górali odzieży. Powózek było tam mało; kiedy niekiedy ekonom, młynarz jaki, albo też karbowy jechał pomału konno, okrywszy sukmaną grzbiet jego; lub dziecię bogatego gospodarza wieźli do chrztu kumowie wózkiem jednokonnym. Tak zwolna doszli do kościoła; dzwon zabrzmiał, twarz dziedziczki smutniejszy jeszcze niż zwykle wyraz przybrała; ustało szczebiotanie Zosi z wieśniakami których spotykali, wypytywanie się jéj o zdrowie, o powodzenie niejednego: weszli, każdy zajął miejsce swoje; przychodzień siadł w ławce obok pani, Zosia przed niemi uklękła: śpiew i organy słyszéć się dały i nabożeństwo zaczęto. Nauka nie była górna, lecz tkliwa i jasna; zawierała prosty wykład Ewangelii dnia tego: o ludzkości i win przebaczeniu. Wyraz szczególnéj radości zajaśniał na te słowa w oczach młodego Leona; piętno zaspokojenia wyryło się na twarzy poważnéj niewiasty: spojrzała w górę i czytać

można było z tego wejrzenia, że miała co przebaczyć i przebaczyła. W czasie Mszy wędrownik zaczął się przypatrywać kościołowi, rzucił okiem na pomnik grobowy w ścianie będący niedaleko wielkiego ołtarza, i wyczytał te słowa: „Pamiątce jedynego syna Wacława Winowskiego. Umarł w Londynie 3 Sierpnia 1818 r., miał lat 24.“ Zimno śmiertelne przeszło żyły jego, boleść niepojęta ścisnęła serce, a w téj męczarni byłby chciał paść trupem na miejscu, albo przynajmniéj o tysiąc mil uciec. Jak gdyby ciężar jaki dźwigał na powiekach, z taką trudnością je podniósł, i spojrzał na nieszczęsną tego jedynaka matkę; z nowym wstrętem dostrzegł podobieństwa, które dotąd uszło jego uwagi, i czuł coraz mocniéj, coraz dotkliwiéj, że dałby chętnie swe życie, gdyby niém ożywić można było tego, który leżał pod tym kamieniem. On więc, on sam siedział w domu Boga, obok Matki tego, którego zabił własną ręką. Miejsce, nazwisko, dzień żadnego nie dozwalały powątpiewania. Inne jeszcze okoliczności stanęły mu w pamięci; przypomniał sobie słowa wczorajsze i te wyrazy: „nie chciała żeby kto już Matki imię jéj dawał.“ A ten, który ją tego nazwiska pozbawił, jakby przez wrogi wiedziony, przyszedł zmieszać odzyskaną z pracą spokojność, podszedł przyjazne jéj względy, przyszedł usiąść na mogile ofiary swojéj. Wszyscy byli nabożeństwem zajęci, nikt nie zważał bladości i pomieszania nieszczęśliwego młodzieńca; czuł jak stopniowo zwyczajny bieg krwi jego powracał; i gdy Msza się skończyła, potrafił wstać i wyjść z innymi z kościoła.— Jednak tak był blady i drżący, że kiedy stanął obok poważnéj niewiasty, Zosia spojrzawszy na niego, wyrzekła z przestrachem: „A panu Leonowi co jest? czy słaby?“ Nic nie odpowiedział, lecz gdy o kilka kroków odeszli: „Na miłość Boga, zawołał, upatrz pani jakie miejsce samotne: muszę z nią pomówić!“ Zdziwiona niewiasta, przelękniona Zosia przyśpieszały kroku, a udając się w bok, zeszły na dół;

tam pod górą na brzegu strumienia, była wierzba ogromna, a w jéj pniu wydrążonym ławeczka z kory. „Tu siądźmy, powiedziała Matka, tu miejsce samotne, a ty Zosiu umocz chustkę w strumieniu i przyłóż do czoła panu Leonowi, może go ten chłód orzeźwi.“ Dziewczynka usłuchała; a gdy przychylną ręką trzymała chustkę na czole jego, czuł że mu się polepszyło. Wtedy powstając z miejsca, złożył dłonie ukląkł i rzekł: „Powiedziałem wczoraj, że dziś dopiero nazwisko moje wyjawię: usłysz je teraz ze zgrozą: jam jest Liwelski.“ Matka wydała krzyk boleśny i byłaby padła na ziemię, gdyby nie dobroczynnego drzewa podpora. Obcy człowiek zawsze klęczał, zawsze miał dłonie złożone, zawsze oczy jego litości wzywały.

Nareszcie niewiasta, zasłaniając sobie twarz rękoma, wyrzekła niewyraźnie: „O nieszczęsne nazwisko! O Boże! pocóżeś stawił przedemną zabójcę mego Wacława? ochroń że przynajmniéj serce moje od nienawiści.“ „Przebłagaj ją ty za mnie, wyrzekł przychodzień, obracając się do osłupiałéj Zosi, ty niewinna jeszcze, szczęśliwa istoto! Bóg świadkiem moim, że od tego nieszczęścia dnia spokojnego nie miałem i miéć go nie będę“... To wyrzekłszy powstał i odszedł; ale wstąpiwszy na kładkę rzuconą przez strumień, stanął i zwrócił raz jeszcze oczy na osieroconą Matkę, na miłą dziecinę: obaczył niebieskie oczy Zosi zalane łzami i w niebo wzniesione; a na Matki twarzy ginął wstręt i zwolna występował na nią wyraz łagodniejszego uczucia. „Przebaczaj jeśli chcesz, żeby tobie przebaczoném było! wyrzekła nareszcie; Leonie wróć, masz przebaczenie Matki, i oby dusza twoja tak była wolną od zgryzot jak moja od nienawiści!“

Już trzeci rok się kończył od dnia, kiedy syn jéj, poróżniwszy się o słów kilka z towarzyszem podróży swojéj po Anglii, umarł z pojedynku: dusza téj pobożnéj niewiasty już doszła rezygnacyi szczytu: już przebaczyła sprawcy swojéj niedoli. W chwili jednak, kiedy stanął przed nią

zabójca jéj syna, nie mogła od wstrętu się wstrzymać; lecz potém żal jego, pamięć, że i on równie jak jéj Wacław poledz mógł w téj walce; wspomnienie na szczegóły tego pojedynku dla niego zaszczytne, wiadomość pewna, iż syn jéj zaczepił go piérwszy, pogodził się z nim na łożu śmiertelném i skonał rękę jego trzymając; a nadewszystko prawdziwa pobożność, sprawiły, iż pomimo rozjątrzonéj rany, uważała go już jako brata obłąkanego, któremu przebaczyć było powinnością. Duch dnia Pana rozlał téż był wpływ swój na jéj duszę; wracała z domu Boga pokoju, słyszała naukę o ludzkości i win przebaczeniu; w kościele stosowała ją z radością do siebie, a teraz miałażby jéj nie słuchać. Stanęły jéj jeszcze w myśli dalsze słowa dnia tego Ewangelii: „Zgódź się z przeciwnikiem twoim rychło, pókiś z nim jest w drodze;“ i rzekła sama w sobie: „Czegóż mam nienawidzieć tego młodzieńca; gdyby mógł, wróciłby życie memu synowi, z radością którąby tylko radość moja przejść mogła; zbłądził, ale tak żałuje, tyle cierpiał i tak cierpi jeszcze: i on mógł zginąć w téj nieszczęsnéj walce, a wtedy jakżeby mi było drogie Matki jego przebaczenie.“ Podobne myśli, gdy raz zajmą tkliwą niewiastę, coraz mocniéj w jéj umyśle się krzewią. Wyciągnęła więc ręce ku Leonowi i rzekła wyraźniéj niż spodziewała się sama: „Pójdź z nami, bądź jeszcze gościem naszym.“ Poszli, ale wędrownik nie śmiał jéj podać ramienia; oparła się na Zosi i żadne z nich przez drogę całą jednego nie wyrzekło słowa. Gdy przyszli do domu i usiedli w bawialnym pokoju, najprzód było milczenie, potém westchnienia, nareszcie łzy obfite; a dopiero po nich niewyczerpana rozmowa. Przerwali ją zwykli niedzielni goście, pleban, blizki dzierżawca, ekonom z drugiéj wioski; ale mieli czas rozpocząć ją na nowo, bo nie tak prędko wędrownik dwór modrzewi opuścił.

Tego samego wieczora już mu się zdawało, że obowiązkiem jest jego zastąpić tego syna, którego życia pozba-

wił; że tym jedynie sposobem złagodzi przewinienie swoje; że do krainy łaski i zadosyć uczynienia, owa tęcza bramą była. Tak myślał i dni następnych i tak uczynił; przedał dalekim krewnym obszerne i żyzne za Bugiem łany; i dziś zdaje się osierociałéj Matce, że dwóch synów miała, że Bóg się z nią podzielił: zabrał starszego, młodszego zostawił. Zosia już ośmnaście lat skończyła, zawsze nadobna, tkliwa, wesoła; mówią w sąsiedztwie, że chociaż dotąd Leona bratem nazywa, wkrótce inne między niemi nastąpią związki; ale czyż można wierzyć temu wszystkiemu co mówią?

Palma kwietniowa.

Powiastka.

Jednéj niedzieli kwietniowéj, dzierżawca maleńkiéj wioski poszedł z żoną i starszemi dziećmi do blizkiéj wsi parafialnéj na nabożeństwo. Anusię najmłodszą córkę, zostawił w domu, pod strażą staréj Moniki. Wielkanoc obchodzono późno w tym roku, czas był piękny, ale droga do kościoła była błotnista; mała Anusia-by jéj przejść nie potrafiła. Rozsądna dziewczynka usłuchała rodziców bez szemrania, lubo miała wielką ochotę iść z nimi; a Matka w nagrodę dała jéj bułeczkę pszenną i śliwek suszonych.

Anusia schowała bułeczkę na potém, a jedząc śliwki po jednéj, siedziała spokojnie obok staréj Moniki, która wiele rzeczy świętych umiejąc, opowiadać je lubiła. Mówiła tedy Monika dziewczynie o Zbawicielu, jak dzieteczkom kazał przychodzić do siebie, jak im błogosławił; mówiła jak dojrzałym już ludziom prostotę i niewinność dziecinną zalecał; mówiła jak miłosiernym być kazał, jako powiedział:

„Kto ubogiemu daje, mnie daje; a kto da się napić biédnemu kubek zimnéj wody, wielką nagrodę mieć będzie.“ Mówiła jeszcze Monika Anusi, jako w dzień podobny dzisiejszemu, w niedzielę kwietniową, Zbawiciel wjazd swój odprawił do miasta Jeruzalem, a wielu słało odzienia swoje na drodze, a drudzy rąbali gałązki z drzew palmowych i rzucali je przed Nim; dla pamiątki czego i dziś palmy po kościołach święcą i do domów przynoszą.

Gdy już śliwek zbrakło, i Monika zajęta inną robotą opowiadań zaprzestała, Anusia wybiegła na podwórze pobawić się trochę z psem domowym; goniąc za nim przeszła wrota, i na drugiéj stronie drogi się ujrzała. Tam nad rowem rosły różne krzewiny, które już rozwijać się zaczynały; narwała sobie zieleniejących się gałązek, a dostrzegłszy kupki ziemi świéżo przez kreta poruszonéj, wtykała weń gałązki wkoło i w środek, i cieszyła się że ogródek swój miéć będzie. — Kiedy tak była zajęta, usłyszała dzwonek i wnet zobaczyła wychodzącego z zapłota dziadka ubogiego, przy którym biegł piesek z dzwonkiem na szyi. Starzec szedł pomału drogą, i zbliżając się ku Anusi, kij, na którym się opierał, wetknął właśnie w ogródek jéj i kilka gałązek obalił.

„Moglibyście téż uważać — powiedziała dziewczynka z płaczem—tyle jest miejsca na drodze, a wy mi ogródek psujecie.“

Dziadek. Darujcie moja panienko, nienaumyślnie tę szkodę zrobiłem, bom ślepy.

Anusia. Ślepy, a oczy macie otwarte?

Dziadek. Otwarteć są, ale nie widzą. Już dziesiąte lato mija jak zawsze ciemno koło mnie. Gdyby nie pies mój, umarłbym z głodu, bo i chodzićbym po żebraczce nie mógł. Oto tak i dziś, jeszczem nic nie jadł; byłem od rana w kościele, a teraz gdzie pójdę, to nikogo w domu nie ma.

Anusia. Usiądźcie tu sobie na trawie, a ja wam coś przyniosę.

I pobiegła dziewczynka do dworu, a wnet wróciła ze swoją bułeczką.—Widząc, jak dziadek zajadał smacznо, milszém jéj się to zdawało, jak gdyby sama jadła, i przypomniały jéj się słowa Zbawiciela: „Kto ubogiemu daje, mnie daje.“

Dziadek. Gdybym jeszcze miał czém popić tę bułeczkę, choćby wodą zimną! Mam ci kubek mój drewniany, ale nie wiem kędy woda.

Anusia uradowana, że i drugie słowa Chrystusowe wypełnić będzie mogła, wzięła kubek i wnet pełnym go przyniosła. Dziadek wypił ze smakiem większą połowę wody, a resztę dał psu swemu z kawałkiem bułeczki; potém powiedział: „Niech cię Bóg błogosławi, dobra panienko! rośnij zdrowo na chwałę Jego i rodziców pociechę; oto mam w zanadrzu palmę dziś święconą, weź ją odemnie, nic innego dać ci nie mogę: załóż ją nad łóżeczkiem swojém, a sny miłe miewać będziesz. Anusia przyjęła chętnie palmę, dziadek poszedł daléj, a ona wróciła do Moniki i opowiedziała jéj wszystko. Przybyli wkrótce rodzice i pochwalili co uczyniła. Poświęcona gałązka była zawsze odtąd nad łóżeczkiem Anusi, i sprawdziły się słowa dziadka; bo ile razy na nią spojrzała, przyjemne uczucie ją napełniało, i sny jéj były słodkie i miłe.

Paweł Koczmara.

Niech nikt nie mówi, że w kmiecym stanie nie ma wyższych uczuć, żywego przywiązania; niech nikt nie utrzymuje że wszyscy włościanie panów swoich, jak tyranów nad sobą uważają, a najlepsze obejście z niémi obudza w nich tylko

hardość i niewdzięczność. Inaczéj częstokroć się dzieje — ale już przyjęty został między ludźmi ten dziwny obyczaj, iż więcéj o złych czynach, niźli o cnotliwych mówimy. I dobrze, snadź, nie przeważył jeszcze występek na ziemi, kiedy więcéj podziwienia sprawia i wrażenia czyni; snadź pospolitszą od niego jest cnota, kiedy mało kogo zastanawia...

W jednéj z najmilszych wiosek województwa lubelskiego mieszka dziedzic pełen dobroci i rozsądku; on włościan swoich jest razem Ojcem i Panem; nie psuje ich zbyteczną łagodnością i pobłażaniem (z których to zwykle hardość i niewdzięczność kmiotków wynika), ale utrzymuje ich w przyzwoitéj karności, wzbudza w nich szacunek dla siebie, i przywiązanie, rzetelnym sprawiedliwości wymiarem; bo ten jest sposób jedyny, ale bardzo trudny, utrzymania w właściwym obrębie i pozyskania serc i starszych i dzieci i prostaków i oświeceńszych. Ten dziedzic kilka lat temu, mocno zachorował; przywołany lekarz oświadczył, że choroba jego bardzo niebezpieczna, i gwałtowny tylko ratunek i wielkie starania wyratować go od śmierci mogą; osiadł więc już przy łóżku chorego, a uważając pilnie na postęp choroby, stósownie do niego zmieniał lekarstwa, moc ich podwajał, a w jak najlepszém ich sporządzeniu i najrychlejszém dostarczaniu, całą nadzieję uleczenia zakładał.

Z Lublina, jako z miejsca gdzie dobre są apteki, umyślono wszystkie przywozić lekarstwa; a ponieważ Lublin o cztéry mile od téj wioski odległy, dzień i noc w dwóch karczmach przy drodze, czekały *stójki*, czyli chłopi na koniach; jeden drugiemu podawał przepis lekarza, albo już zrobione lekarstwo: i tak prędzéj dochodziły miejsca swego przeznaczenia i ratunek był śpieszniejszy. Właśnie w dniu trzecim choroby, kiedy walczyła dzielnie śmierć z życiem, kiedy sam lekarz wątpił, czy nie ona zwycięży, i całą swą sztukę na ostatni jakiś zaradczy środek wysilił, przepis jego dostał się do rąk kmiotka *Pawła Koczmary*, na którego

koléj stójki na ten dzień przypadała. Paweł Koczmara był jednym z uboższych owéj wioski gospodarzy, Ojciec sześciorga drobnych dzieci; całym prawie majątkiem jego był koń, którego kupił źrebakiem, a który wyrósł na bardzo pięknego rumaka. Strzegł go téż jak oka w głowie, i kochał niemal jakby siódme dziecię; już mu za niego pan sąsiedniéj wioski dawał 30 dukatów, a on chciał równo sześćset złotych, żeby mieć po setku dla każdego z dziatek. Zadziwił się nie jeden, gdy Paweł Koczmara na tym koniu na stójkę wyjechał, ale każdy dobre serce jego pochwalił; on zaś z rąk saméj pani przepis odebrawszy z zaleceniem najprędszego sprawienia się, przy kilkakrotném tych słów powtórzeniu: *życie pana od pośpiechu zależy*—pędem wiatru ruszył. Dojeżdża wnet do karczmy, gdzie piérwsza stójka czekała, i patrzy na swego rumaka: „Jeszcze wcale niespieniony, powiedział sam w sobie; zdrowo mu będzie, niech się do drugiéj przegoni.“ I ruszył nie zatrzymując się wcale. Przyjeżdża na drugą, stawa w karczemnéj stajni, przygląda się troskliwie czekającemu koniowi; nędzny mu się wydaje: „Coś wasza klacz, panie kumie nie tęgo patrzy, a życie pańskie od pośpiechu zależy.“—„Cóż ja temu winien, odpowie tamten, że nie mam tęgiego rumaka. Ale przecież i moja nie taka znowu lichota; da Pan Bóg, w godzinę, to i do Lublina zabieży.“ — W godzinę! powtórzy Koczmara, ja na moim gniadoszu byłbym tu za godzinę... Ej! wysapał się trocha, panie kumie... napaście tu dobrze waszą klaczkę, a ja jeszcze do Lublina ruszę.“ I ścisnął rumaka kolanami i ruszył. Ledwie dobijała godzina, kiedy gospodarz dosypujący sieczki klaczy swojéj, usłyszał z daleka prędkie stąpanie konia. „To mi zuch! krzyknął, już wraca!“ a odprowadzając klacz od żłobu, wsiadł na nią co tchu, i wyjechał naprzeciw Koczmary.

„Panu Bogu dzięki, wołał tamten zdaleka, aptekarz duchem zrobił lekarstwa, mam wszystkie; jedźcież z niemi

co żywo, bracie; ale czy mi się zdaje, klacz wasza coś utyka.“ „Ponoć, prawda, odpowie tamten, a to kiego wyrwała licha, dodał z gniewem zsiadając. Tam do kata, podkowę zgubiła! czy złe nadało? Ale tu jest kowal, w chwilce temu zaradzi.“— „A życie pańskie od pośpiechu zależy! powtórzył poczciwy Koczmara; ja téj przewłoki nie ścierpię. Jeszcze mój rumak bokami nie robi—niech rusza.“—I ruszył.—Niedaleko będąc ostatniéj stójki, tak mówi sam w sobie: Już jeno półtoréj milki do doma, a koń każdy do swego żłobu ochoczo wraca! Mnie się tam we dworze spodziewają, tylem już drogi ujechał, a oni o tém i wiedzieć nie będą,—ciekawym też przytém okrutnie, jak się tam nasze panisko miewa?...“ a nie myśląc więcéj, minął stójkę, i ruszył raz jeszcze. Kiedy już zobaczył z daleka dwór murowany, i wystawił sobie konającego pana, klasnął na konia już nieco zwolniałym idącego krokiem, pogłaskał go, przemówił do niego; ścisnął tęgo kolanami i koń jakby nowym zagrzany ogniem, ruszył. W jednéj chwili stanął na podwórcu; ale zaledwie stanął, zaledwie zdziwiona tak prędkiém przybyciem jego pani, zradością lekarstwo odebrawszy, pobiegła do męża pokoju, dzielny rumak padł, a okrutnie bokami kilka minut porobiwszy, szyję wyciągnął, oczy zamknął i żyć przestał... Wyrazy żalu i litości zbiegłych domowych, wnet słyszeć się dały; Paweł Koczmara stał sam w milczeniu nad swoim koniem bez życia, ale nareszcie zawołał: „Jużci dobry i sprawiedliwy pan wart więcéj, jak nieme, choćby najurodziwsze bydlę... Jeśli Bogu się tak spodobało i mimo mój pośpiech pan zamrze, to przy onéj większéj stracie, ta małą mi się wyda, a jeśli zaś Bóg dobry da, że mu te leki życie i zdrowie przywrócą, bierz tam licho i drugiego takiego konia, gdybym go jeno miał...“ Z takiém sercem przywiezione lekarstwo, jakże pomódz nie miało?... Pomogło..., sprawiło więcéj pożądany, niźli spodziewany skutek. Wnet życie śmierć zwalczyło—w krótkim czasie dziedzic do zdrowia po-

wracać zaczął. Do łez go rozrzewnił postępek Pawła Koczmary; kazał go przywołać do siebie, dziękował mu jako zbawcy swemu; chciał mu darować sześćset złotych, ale poczciwy kmiotek podziękował, mówiąc: „Niech mi Wielmożny Pan téj krzywdy nie robi, co z serca wyszło, worek nie zapłaci.“ Lecz właśnie jarmark w Łęczny nadchodził—już zupełnie zdrów dziedzic pojechał do tego miasteczka, a z największém staraniem dobrawszy takiego samego dla Koczmary rumaka, sam mu go do chaty odprowadził.—Cieszył się odzyskanym koniem przywiązany rolnik, ale może więcéj jeszcze go cieszyła czerstwa twarz pana, nadobny uśmiéch dziękującéj mu pani, i wesołe koło Ojca rumianych paniątek pląsy.

Przeczucie.

Powiastka.

Pani N. wdowa po zacnym ale ubogim wojskowym, była od lat trzech w najokropniejszym niedostatku. Położenie jéj, wspólne wielu nieszczęśliwym, smutniejsze było od losu ulicznych żebraków, bo ona wyciągać ręki nie śmiała, i nikt o jéj rzetelnéj nędzy nie wiedział, prócz Boga. Pani N. niegdyś wiodła życie wcale inne; przy jéj rządzie i pracowitości żołd męża wystarczał na skromne ale uczciwe utrzymanie; była nawet i sługa, bywali niekiedy i goście. Tém boleśniejszym wydawał się jéj stan obecny; a tém ciężéj go znosiła, iż zostało jéj po mężu dwoje dzieci, z których starszy Józio miał dopiéro lat pięć, a młodsza Zosia półczwarta roku. Bez wątpienia pani N. w samym kwiecie wieku będąc pracować mogła; z pracy téż własnéj

utrzymywała się wraz z dziećmi; przez całe trzy lata żyła z igiełki: ale jakież to było nędzne życie i jaki trudny zarobek! — Nie wszystkim to jest wiadome, (gdyż mało kto wystawić sobie umie, czego sam nie doświadczył) jak mało ma czasu do roboty kobieta, która bez żadnéj będąc usługi, jakotako domek swój i dzieci dwoje codzień opatrzyć chce; same zachody koło koniecznego ochędóstwa, sama naprawa biédnéj odzieży, już połowę dnia zajmą; jednak pani N. częściéj jeszcze na brak roboty, niźli na brak czasu narzekała; i zwała te chwile szczęśliwemi, kiedy miała jéj tyle, iż w nocy szyć musiała, a kosztem zdrowia i oczów jeden złoty na dzień zarobiła.—Złoty! jakiż to pieniądz mały, zwłaszcza w Warszawie, gdzie wszystko drogie; i kiedy trzeba za niego opatrzyć wszystko dla trojga osób, mieszkanie opał, światło, ubiór, pranie; a przecież i jeść trzeba, zwłaszcza drobnym dzieciom, które rosnąc częstego i pożywnego wymagają pokarmu.

Biédna pani N. ledwie dziesięć groszy miała dzień na dzień na swoje i dzieci wyżywienie; pomyślna téż była ta niedziela, kiedy z funta mięsa rosół ugotowała, albo kaszy grubéj z mlekiem dała dzieciom; reszta dni na kartoflach z solą i suchym razowym chlebie schodziła.—Przyszła pora, że téj nędznéj strawy brakło. Zosia ciężko zachorowała w początkach wilgotnéj wiosny, i zdawało się, że nie przetrwa zapalnéj gorączki i okropnéj w piersiach duszności.—Wiedzą dobrze Matki, co się dzieje w ich sercu, kiedy jedno z ich dzieci niebezpiecznie zachoruje. Wszystko znika, wszystko jest niczém obok chęci uratowania dziecka, obok nieszczęścia jego straty. Pani N. nie myśląc téż bynajmniéj, co potém będzie, ani co da jeść córce, gdy wyzdrowieje, wydała do ostatniego grosza, zastawiła niemal ostatnią koszulę, na pijawki, lekarstwa, ulepki; a gdy lekarz, który bez zapłaty codziennie przychodził, oświadczył jéj że już żadnego nie widzi niebezpieczeństwa, w radości

swojéj wzniosła dziękczynne ręce do Boga, szczęśliwszą była od królowéj na tronie, i żałowała tego jedynie, iż poczciwego a ubogiego lekarza złotem obsypać nie może. Ale wnet nędza ukróciła tę czystą radość. Przy chorém dziecku tyle jest zajęcia; z trudnością wielką dokończyła pani N. zaległéj roboty, a gdy przyszło starać się o nową, jeszcze z większym oporem szło dostanie jéj, dla tego, że z dawną nie stawiła się na słowie. Były tedy dnie takie, w których przychodząca do zdrowia Zosia na troszce mleka i kawałku suchéj bułki przestać musiała; Józio miał skibkę chleba czarnego, a Matka nic prócz wody. Już pani N. w rozpaczy pasowała się z sobą, czy nie wyjdzie z dziećmi na ulicę i żebrać nie będzie; lecz cała jéj dusza wzdrygała się na tę myśl samą: szukała więc innych jakich sposobów ratunku, modliła się gorąco do Boga, aby ją natchnąć raczył; i jednego wieczora właśnie w dzień Ś. Bonifacego, bądź we śnie bądź na jawie, powstało w niéj jakieś głębokie przeczucie: iż w Czerniakowie skończy się nędza jéj; a skoro pielgrzymkę do tego świętego miejsca odprawi, własne i dzieci szczęście znajdzie. Każdemu prawie jest wiadomo, że niedaleko Warszawy, w Czerniakowie jest kościół założony w siedmnastym wieku przez hetmana Lubomirskiego, a w nim złożone są kości Ś. Bonifacego, przy których modląc się, zwłaszcza w czasie dorocznego odpustu, wiele już osób doświadczyło różnych dowodów łaski Boga; ale nie każdy wiedzieć może, jakie szczególne nabożeństwo miała pani N. do tego miejsca.

Sierota od samego dzieciństwa wychowana była jakby z łaski u dalekiéj krewnéj, i chociaż dosyć obfity, bardzo gorzkim był jéj chleb ten. W ośmnastym roku życia zdarzyło jéj się być piérwszy raz w Czerniakowie na odpuście, i tam poznała porucznika N. On wkrótce pokochawszy ją, ożenił się z nią i najlepszym był mężem. Rachując szczęście swoje od Mszy słuchanéj w Czerniakowskim

kościele, jeszcze za życia męża co rok zbiérała się odprawić pielgrzymkę pieszo do tego miejsca: słabości częste, zmiany kwatery ciągłą przeszkodą jéj były, aż nareszcie zaskoczyło ją nieszczęście i o wszystkiém zapomniała. Dopiéro owego (jak wspomnioném było) wieczora, stanął jéj nagle Czerniaków i Ś. Bonifacy na myśli, a obok tego obrazu wzbiły się najmilsze przeszłości wspomnienia i jakaś błoga na przyszłość nadzieja. „Niech się dzieje, co chce— powiedziała sama w sobie — „ja iść muszę do Czerniakowa wraz z dziećmi; właśnie początek jest Maja, czas dorocznego odpustu, dni piękne, moja Zosia już zdrowsza: pójdziemy, i Bóg nas pocieszy!“—I jak powiedziała, tak zrobiła. Dokończyła danéj roboty, dostała za nią parę złotych, posiliła dzieci i siebie, ubrała je jak mogła najlepiéj a dwunastego Maja, prawie o wschodzie słońca wyruszyła z Warszawy Czerniakowskiemi rogatkami. Z początku podróż udawała się bardzo dobrze, nawet mała Zosia szła chętnie piechotą; czyste powietrze wiosenne ożywiało ją: lecz wkrótce narzekać na nóżki zaczęła i płakać mówiąc, że daléj iść nie potrafi. Wzięła ją pani N. na ręce, lubo sama zmęczenie czuła; w takim niedostatku życie, bez snu dostatecznego, bez pożywnego jadła, osłabiło kwitnące niegdyś jéj zdrowie; wlokła się więc z trudnością odpoczywając często, i słońce już na pół nieba się wzbiło, kiedy ona jeszcze napół drogi nie była.—„O Boże!—mówiła—daj aby tyle siły, żebym przed nocą u drzwi kościoła Czerniakowskiego stanęła; cóż poczne, jeśli tu na gościńcu zostać do jutra przyjdzie!“ — Nie wiedziała, iż Bóg na każdém miejscu ratunek ześle, skoro zechce. Jakoż słońce zaszło, a pani N. mimo całéj usilności swojéj jeszcze daleko była od Czerniakowa, gdyż zaledwie dostrzegła dzwonnicy kościoła. Zupełnie z sił wycieńczona, ani sama iść kroku jednego, ani tém bardziéj dziecka dźwigać nie była w stanie; Józio także dotąd rzeźki, upadł

zmęczony; zsunęli się więc wszystko troje do rowu obrosłego świeżą murawą, i pani N. już nic przed sobą nie widząc, prawie bez przytomności, pewna, iż tak im umrzeć już przyjdzie, tuliła tylko dzieci śpiące koło siebie mrucząc więcéj sercem niż ustami słowo: „Boże! o Boże!“ kiedy nagle usłyszała nad sobą przychylną i litościwą mowę. Dwoje ludzi w wieku, prosto ale porządnie ubranych, mężczyzna i kobieta, idąc ze strony pola ku gościńcowi, obaczyli tę Matkę z dziećmi i odgadli jéj nieszczęście.—Byli to dawni dworscy zamożnego tamtych okolic pana; w nagrodę długich i wiernych usług dostali od niego wieczném dziedzictwem, niedaleko Czerniakowa, kawał gruntu i porządną chatę; w niéj od lat kilkunastu mieszkali, a ich pólko, które właśnie kartoflami obsadzali, dochodziło do gościńca. „Jakażto nędza—mówiła kobieta—patrz Ignacy, a to temu niebożątku mało co się należy; oczy zamknięte, usta sine, blada jak chusta.“—„Podnieść ją trzeba co żywo, Krystyno, dodał mężczyzna—i do naszéj chaty zaprowadzić. Pewno na odpust dążyła pobożna dusza i z robaczkami.“ A to mówiąc wołać zaczęli na wracającą do zmysłów panią N., i dźwigać ją z całych sił. „Jutro nam powiecie, coście za jedne, moja pani, i co was do tego stanu przywiodło—mówił stary—dziś, przenocujcie i posilcie się w chacie naszéj i z dziećmi waszemi. „Bóg wam zapłać;“ to tylko wyrzec potrafiła pani N. a zbierając ostatki sił wyszła z rowu i wsparta na ramieniu poczciwego Ignacego powlokła się do chaty.—Dobra Krystyna wzięła na plecy śpiącą Zosię, a zbudziwszy Józia, obietnicą smacznéj wieczerzy zachęciła go do ujścia kawałka drogi. Przyszli zatém szczęśliwie do kresu. Na świeżém sianie starym kobiercem przykrytém, na dobrych piérzowych poduszkach położyli najprzód zmęczoną matkę; wnet posilona wyborną polewką piwną usnęła smaczno. Józio zjadł jeszcze miseczkę klusków z mlekiem

i zasnął obok Matki. Zosię stara Krystyna wzięła do swego łóżka, nakarmiwszy ją pierwéj dobrze kaszą z masłem, i przez noc całą, jak gdyby nad córką i wnukami, tak nad niémi wszystkiémi czuwała.—Ledwie dzień zajaśniał i wstał Ignacy, kiedy oboje starzy zaczęli cicho z sobą rozmawiać, i widać było, że jakieś ważne układali rzeczy. Jakoż koło południa, kiedy pani N. wzmocniona snem smacznym i pożywném śniadaniem, opowiedziała im przygody życia swego, a widząc dobre ich serce, piérwszy raz przed oczyma ludzkiemi wykryła obraz rzetelny swéj nędzy; Krystyna zapłakana wyszła z izby szepnąwszy pierwéj Ignacemu: „Już jéj oświadcz," a Ignacy powstawszy tak przemówił: „Jeszczemy to wczora oboje dostrzegli, żeście wy moja pani, coś uczciwego i do rzeczy, i że ta nędza wasza nie jest zwyczajna; posłuchajcie cośmy uradzili z żoną, nimeśmy się dowiedzieli o nazwisku i godności waszéj: jeśli wam się to zdawać będzie, to przyjmiecie, jeśli nie, to się nie urażajcie. Oto dotychczas obchodziliśmy się bez nikogo do pomocy w pracy naszéj koło domu i pola, ale téj zimy podstarzało mi się bardzo moje babsko; widzę że jéj już z trudnością wydołać wszystkiemu i chatę zamieść, i jeść ugotować, i drób nakarmić i krówkę wydoić, a prócz tego jeszcze mnie i siebie obszyć. Gdyby to nie było z ubliżeniem godności waszéj, moja pani, gdybyście chcieli być poręką mojéj Krystyny i zostać tu z nami, tobyśmy was mieli zupełnie jakby za córkę, a wasze dziatki byłyby nam jako wnuki: Bóg nam nie dał dzieci, krewnych téż tu żadnych nie mamy, bośmy oboje rodem z daleka aż z pode Lwowa, to i po śmierci naszéj wszystko co mamy, byłoby wasze". Rozczulona i przejęta temi słowami pani N. uchwyciła rękę poczciwego starca, a całując ją mówiła wśród łez: „Całém sercem i całą duszą będę wam córką, Ojcze kochany i Matko—(bo Krystyna usłyszawszy to jéj przyzwolenie przybie-

gła była natychmiast) — Będę wam służyć, pomagać, pilnować was: ale co z zapisem to się nie kwapcie, dopókąd nie przekonacie się, że zasługuję na tyle dobroci.“

I została pani N. z poczciwymi ludźmi, dziękując Bogu, iż sprawdzając jéj przeczucie, w pielgrzymce do Czerniakowa szczęście znaleźć jéj pozwolił. Wprawdzie to szczęście nie było świetne, ale było pewne i spokojne; a sama myśl, że jéj dzieci głodu nigdy cierpieć nie będą napawała niepojętą radością. — Zaraz trzeciego dnia, nim oktawa Ś. Bonifacego się skończyła, poszła wraz z dziećmi na Mszę do Czerniakowa i dziwiła się z wdzięcznością dobroci Boga, który w tém samém miejscu najprzód sierotę mężem opatrzył a potém Matce i wdowie rodziców obmyślił. Nie jedna bogaczka ziemska, otoczona wszelkiemi słodyczami życia, nie dziwi się podobnie i nie dziękuje niezasłużonéj Opatrzności nad sobą!

Dwa lata przebyła szczęśliwie pani N. z starym Ignacym i Krystyną, i była, jak obiecała córką najtkliwszą. Dzieci jéj ciągle na świeżém powietrzu, wśród różnych prac ręcznych, do których wcześnie je wprawiała, sił nabrały. W zimowe wieczory uczyła je czytać i pisać, i opowiadała im różne użyteczne rzeczy, których i przybrani jéj rodzice słuchali ciekawie. Ale zeszłéj wiosny stary Ignacy powietrzem ruszony został, i po kilku miesiącach choroby umarł. Krystyna równego prawie co mąż wieku i kochająca go nad życie, zapadła bardzo po jego śmierci, a gasnąc zwolna, w początkach ostatniéj zimy żywot swój zakończyła. Oboje umierając błogosławili przybranéj córce i urzędowy zapis mająteczku swego jéj zostawili. Większym się okazał nad spodziewanie, bo w różnéj monecie srebrnéj i złotéj, w rozmaitych woreczkach i supełkach, znalazło się w ich chacie do pięciudziesiąt dukatów. Tych użyła pani N. na zakupienie krów, a nie rzucając chaty i pracowitego życia, prze-

dając mleko do miasta, utrzymuje się uczciwie wraz z dziećmi, błogosławiąc codzień pamięć Ignacego i Krystyny i modląc się za ich dusze.

Do Czerniakowskiego kościoła uczęszcza ile tylko może.

Łoże śmiertelne starego Szymona.*)

W dniu przykrego jeszcze zimna, choć już Marzec był w połowie, wędrownik samotny przebiegałem pieszo, piękną w mych oczach, nawet w téj porze okolicę. Niwy, lasy, góry, między niemi jeziora i doliny, napozór jednostajnością śniegu zrównane, dla mnie miały rozmaitość; a choć wiatr ostry ciął mnie w twarz, i dech tamował, przecież szedłem ochoczo i nie czułem zmęczenia: bom dążył do wioski rodzinnéj, bom po siedmiu leciech niebytności, uściskać miał dobroczyńcę mego... Niekiedy téż wiatr ustawał, słońce wyglądając z pod obłoków blask rzucało świetny; wtedy milczenia powietrza nic nie przerywało, nawet szmer dobrze mi znanéj rzeczki, gdyż jeszcze zmarzniętą była.—

W tych chwilach uciszenia, rzucałem okiem wokoło, przyglądałem się chciwie wszystkiemu: rozpoznałem góry, lasy świerkowe, tak często przezemnie zwiedzane; nie był mi obojętnym gaik, płotek żaden, ani ślady stóp ludzkich zostawionych na śniegu, bom w nich upatrywał kroki znajomych sobie; a gdym téż ujrzał wioski i osady sąsiedzkie, stanęły mi w pamięci obrazy życia wiejskiego w zimie, któ-

*) Ta powieść i trzy następujące są jakby wyjątkami z pamiętnika jednego młodzieńca, który po długiéj niebytności, wioskę rodzinną w starych Prusach położoną odwiedza.

rych tyle niegdyś przesunęło się przed umysłem moim. Myślałem o ciężkiéj lecz wesołéj w stodole pracy, o naprawie rolniczych narzędzi przy świetle komina: o kołowrotku nogą pracowitéj babuni obracanym, więcéj jeszcze z nałogu niźli z potrzeby; o starownéj Matce, stwarzającéj z starych szczątków, całą i ciepłą odzież dla dziatek; o ulubionéj i dawnéj piosence, którą śpiewała urodziwa dziewczyna, cienkie motając nici: gdy ją zaczęła, nikt jéj nie słuchał, a teraz wszyscy umilkli. Myślałem także o niespodzianych sąsiada odwiedzinach, o ciekawéj dalekiego wędrownika powieści; kończy ją śpiesznie, bo ruszy w dalszą drogę, skoro zamieć ustanie; a nadewszystko myślałem o tych godzinach pobożnéj modlitwy, które takim wdziękiem domowe życie wieśniaków téj okolicy zdobią: o wieczornem czytaniu słowa Bożego uroczystym głosem ojca rodziny; o tkliwym śpiewanych Psalmów odgłosie, którego szum wiatrów zagłuszyć nie może, i o tym całym dni świątecznych obchodzie, które w dnie słotne, kiedy do kościoła iść trudno, chatkę rolnika w dom modlitwy zamieniają.—Tak miłe, ale ogólne piastując w umyśle obrazy, uszedłem kawał spory, i prędzéj niźlim się spodziewał, ujrzałem wieżę kościoła wioski mojéj, i tę schludną plebanię, gdziem zostawił dobroczyńcę i przyjaciela. Znikła wtedy wszelka myśl obca; bojaźń napełniła me serce; bo cóż mi ręczyć mogło, że żył jeszcze opiekun mojéj młodości, ten któregom zwał ojcem? ten, który cnotami i wiekiem szanowny, już od lat czterdziestu czuwał nad tą małą lecz szczęśliwą trzodą... Gdy w tych myślach na pagórek wstępuję, spostrzegam niedaleko starca na koniu: wiatr obwija jego długie i siwe włosy o twarz sędziwą, on jednak jedzie spokojnie: to mój Ojciec, nie kto inny? bo on jest z tych pasterzy, którzy się nawałnic nie boją; zbliżam się, jadący krzyk zadziwienia wydaje, stawa, wyciąga rękę, którą ja z poszanowaniem całuję, wita mnie błogosławiąc. „Synu! mówi po chwili, w uroczystą godzinę

przybywasz; jadę odwiedzieć człowieka przy zgonie, człowieka, którego zapewne pamiętasz: Szymona Kościelnika;*) już jego siwa głowa widzianą nie będzie w domu Bożym, gdzie żadnéj nie ominął niedzieli; pobożny człowiek bał się Stwórcy w każdy dzień swój: nie opuści go zapewne Stwórca w tym dniu ostatnim.“

Pamiętałem dobrze Kościelnika Szymona, pmiętałem i domek jego samotny, tak pięknie położony za rzeczką w dolinie nad jeziorem obok świerkowego lasu; od chwili jak siebie zapamiętam, widywałem go zawsze, na jego zwyczajném pod kazalnicą miejscu; i nieraz z uroczystą trwogą, patrzyłem na poważną jego w czasie nabożeństwa postawę. Wracając tak myślą do dziecinnych lat moich, zapragnąłem pomodlić się wraz z plebanem, przy śmiertelném łożu jego; a używając tego przywileju, którego Opatrzność ludziom użyczyła, iż przyjaciele i znajomi mają przystęp do konających łoża, prosiłem żeby mi wolno było zawitać także do domu smutku i śmierci. Wtedy pierwszy raz spostrzegłem, koło konia plebana, chłopczynę może dziesięć lat mającego, który patrzył często w twarz starca, oczyma łez pełnemi. Przemienny wyraz smutku i nadziei, blademi uczynił policzki zwykle świeżością i zdrowiem ubarwione; i poznałem w drobnych rysach i w gładkiém czole dziecięcia, jakieś podobieństwo z tym, który już tak blizkim był śmierci. „Poczciwy Szymon, powiedział tu pleban, przysłał po mnie wnuka swego Ludwika; naparł się on sam tego polecenia, i przybył prędko pomimo śniegu, bo miłość i sercu dziecięcia doda odwagi; i jest Ten, który wiatr do strzyżonéj owieczki stosuje..“

Spojrzałem na odważne dziecię; rumiane w téj chwili policzki jego, oczy niebieskie, włosy jasne i kręte, nie do smu-

---

*) *Kościelnik* jest to stróż porządku kościelnego i składek pieniężnych w téj stronie Prus.

tku stworzone się zdawały, a jednakże słychać jeszcze było w piersiach jego łkania tłumionego żalu. „Już teraz pewno Dziadunio ozdrowieje, powiedział nareszcie, kiedy nasz pleban do niego jedzie. Bardzo mało miałem nadziei, jakem biegł sam z pagórka na pagórek do wsi, ale teraz mam jéj więcéj. Ach! jak Dziadunio ozdrowieje, jak téż będę Bogu dziękował! będę wstawał w nocy, będę się modlił, klęcząc na gołych kamieniach...“ Tu głos jego ustał, oczy wlepiły się w twarz plebana, jakby słowa zachęty i pociechy żądał.

Zeszliśmy z gościńca, udając się w stronę zupełnie bezdrożną: mały nasz przewodnik biegł przed nami, a z dowcipem do zmyślności podobnym, natrafiał na ścieżkę prawdziwą, chociaż znaku jéj nie było, prócz niemal zupełnie zawianych śladów stóp jego, kiedy biegł do plebanii. Przebywszy małą zmarzniętą rzeczkę, kilka pagórków, spuściliśmy się w dolinę, i ujrzałem domek samotny umierającego Kościelnika. Na widok tego domku, cały potok dni spłynął z umysłu mego. Już ósmy rok mijał od czasu, kiedym był ostatni raz w téj dolinie: było to w Sierpniu, podczas wakacyi, właśnie w dzień obchodu urodzin starego Szymona. Grono wesołych uczniów, mających na czele łaskawego plebana, tu przybyło z powinszowaniem. Tańcowaliśmy na téj łące, wykręcaliśmy gniazda z tych drzew. Lubo surową zdawać się mogła twarz Szymona w kościele, my młodzi wiedzieliśmy dobrze, że i on miewał dni swoje wesołe, a każdy z nas na skrzydłach radości, leciał w ten dzień doroczny do domku jego, na wyborną śmietanę i mléko. Wśród zabaw schodził ten dzień szybko; pamięć jego trwała w nas od Sierpnia do Sierpnia, a wspomnienie o nim rozweseliło nieraz okopcone szkolne mury...

Gdyśmy dochodzili do domku szeroką ścieżką, która dla smutku panującego w domu umiecioną nie była, obaczyłem przed drzwiami dziewczynę służebną; ta wnet znikła, i pokazała się w progu urodziwa niewiasta: jéj oczy w gó-

rę wzniesione, złożone ręce, dowodziły z jaką wdzięcznością widziała, że dobry pasterz prędzéj jeszcze do nich dążył w smutku, niżeli w radości.

Skoro szanowny pleban zsiadł z konia, czynny chłopczyna zaprowadził go do małéj stajenki, a my weszliśmy do domu. W długiéj piérwszéj izbie w największym porządku zastawionéj, nic słychać nie było prócz wielkiego zegara. Niewiasta, która milcząc w progu nas przywitała, drżącą ręką otworzyła drzwi do pokoju chorego Ojca; wszystko w tym pokoju było tak schludne, świeże i czyste, jak gdyby w zdrowia i swobody mieszkaniu. Nie mogę pominąć czystéj porcelany ustawionéj na kominie, ani krzaku miesięcznéj róży w oknie; wierzchołek jéj dotykał się pułapu, a piękne kwiaty rozweselały pokój cały.

Układ tego pokoju, sprzęty w nim będące, mile wpadały w oko; i zdawało się że sama żałość nie mogła odjąć wdzięku i smaku ręce starannéj niewiasty.

Choroba Ojca, choroba bez nadziei, pozwalała jéj jednak mieć pieczę o przedmiotach, które on w zdrowiu lubił i cenił; i ta sama ręka pokój jego w chwilach szczęścia zdobiąca, strzegła go od nieładu i w godzinach smutku. Ostrożnie i wprawnie odsłoniła firanki łóżka, gdzie na poduszkach jak śnieg białych leżał umierający. Czytać było można śmierć z téj twarzy: wyraźnie przemawiała, że już się wysnuło pasmo dni jego na téj ziemi. Pozdrowił plebana lekkim uśmiechem i skłonieniem głowy, gdyż córka tak mu poduszki usłała, że raczéj siedział niż leżał. Oczywistém było, iż widział, że wnet umrze, i że dusza jego w zupełnéj gotowości czeka téj wielkiéj odmiany. Jednak pomimo zgadzania się z wolą Nieba, chrześcianina żyjącego zawsze w zgodzie z Bogiem i Zbawicielem swoim, po wyrazie pełnym uszanowania, z jakim przywitał kapłana widać było, że bez modlitw i słów pociechy jego, nie byłby błogo umarł... W kilku słowach pleban opowiedział, kto był ob-

cy człowiek; a umierający, zowiąc mnie Krystynie! wyciągnął wyschłą rękę, na znak, że mnie poznaje. Usiadłem opodal od łóżka, bliższe miejsca bliższym zostawiając osobom. Pleban siadł w głowach, u nóg stała niewiasta; piękna twarz jéj w smutku tkliwszéj jeszcze piękności nabrała. Łzy, które się naturze wymykały, wstrzymywała religia. Nauki pokory i poddania się woli Boga, tyle razy od Ojca słyszane, teraz w ćwiczenie obracała; a serce jéj lubo ziemskiéj nadziei próżne, i trwogi pełne, w milczeniu i ze słodyczą cierpiało, bo prawdziwie była pobożną.—Gdyśmy tak trwali milcząc, piękny chłopczyna, który nas przyprowadził, otworzył drzwi cicho, a włosy mając jeszcze zmarzniętym szronem okryte, pobiegł ucałować rękę Dziadunia. Już nie płakał, nadzieją napoiło się serce jego, nadzieją ustaloną przybyciem męża, którego modlitwom ufał, jakby wstawieniu się nadludzkiéj istoty. Teraz stanął przed starcem i tak pilnie i nieruchomo wpatruje się w niego, i starzec z taką czułością weń patrzy, iż tworzą się dwa obrazy żywe: hłopczyny oko powtarza wybladłą twarz starca, a w omdlewającéj umierającego źrenicy, odbija się świéża dziecięcia postawa.. Ale chociaż dziecię spokojném się zdaje, serce jego mimowolna bojaźń dręczy, i widać, że jednego tylko tkliwego słówka potrzeba, a popłynie ten strumień łez, który piersi jego tłoczy... „Jeśli szaruga nie ustanie, powiedział tu konający, z przykrością będzie przyjaciołom moim odprowadzić mnie na cmentarz.“

To nagłe i nieochybnéj śmierci wspomnienie, jak bryła lodu padło na serce chłopczyny, westchnął ciężko i skrył bladą twarz w posłanie starca. Starzec dźwignął bezwładną rękę i położył ją na głowie wnuka. „O mój Ludwiku! rzekł, bądź błogosławiony!“ Chłopczyna wtedy ryknął wielkim płaczem, i zalał się łzami; płakaliśmy wszyscy; Pleban nawet płakał, chociaż żal siedmdziesiąt-letniego człowieka, nie zwykł się łzami objawiać; a w całym pokoju, oczy tylko

umierającego suche były. „Bóg był łaskaw na mnie grzesznika! powiedział; przez trzydzieści lat byłem Kościelnikiem w naszéj parafii, i nie opuściłem żadnéj Niedzieli... Kiedy mi żona umarła, było to we Wtorek.... odprowadziliśmy ją w Piątek, do niechybnego wszystkich żyjących mieszkania... W Niedzielę, jużem należał do publicznego Nabożeństwa... jednak śpiewać Psalmów téj Niedzieli nie mogłem, bom nie słyszał jéj w Chórze... potém uspokoiło się serce moje a Ten, którego przez zasługi Zbawiciela spodziewam się oglądać téj nocy, Ten wie, żem o niéj dotąd nie zapomniał!...“ Starzec przestał mówić, gdyż zmęczył się i rozrzewnił; wnuk jego nieco w łzach ulgi doznawszy, wstał, z małego stoliczka wziął kubek z wzmacniającym napojem, i trzymał go przy ustach dziadka. Wypił i powiedział: „Chodź bliżéj do mnie Ludwiku, i pocałuj mnie za Ojca i za siebie!“ A gdy dziecię przyłożyło różane swe usteczka do zsiniałych ust starca, łzy potoczyły się z tak długo suchych oczów jego, i spadły na złotowłosą głowę chłopczyny. „Ludwiku, mówił daléj, Ojciec twój zapomniał o tobie w dzieciństwie twojém, o mnie w starości mojéj ale ty, będziesz zawsze czcił Ojca i Matkę twoję, bo umiesz, i dopełnić chcesz Przykazanie Boskie!“ — Pełne serce chłopczyny odpowiedzi wydać nie mogło; zbliżył się tylko więcéj jeszcze do ukochanego dziadka, a tonąc we łzach, leżał na jego łonie. Matka padła na kolana, i zasłaniając twarz rękoma, zawołała: „O gdyby mąż mój wiedział, co się tu dzieje, przybiegłby do umierającego Ojca!“ Jam spojrzał wtedy na starca, i domyśliłem się, że on boleje i modli się nad nieposłusznem dziecięciem. Przypomniałem sobie, że syn jego jedyny, był pięknym młodzieńcem pełnym przymiotów, lecz oraz gwałtownych namiętności, zbyt śmiałych zdań, i że mój dobroczyńca często powtarzał: *Życie Henryka nie spłynie bez burzy!...* Gdy mi to wszystko w myśli stawało, Pleban zbliżył się do stołu, na

którym Biblia leżała, i powiedział: „Zaśpiewajmy na cześć Panu, Psalm piętnasty!“ i zanucił drżącym głosem te słowa:

„Kto będzie w Twojém mieszkaniu przebywał?
Kto będzie Twego pałacu świętego,
Wieczny mój Boże! wesela zażywał?
Człowiek niewinny, człowiek uprzejmego
Serca, który sprawiedliwość miłuje,
Który nie mówi słowa fałszywego,
Który bliźniego swego rad szacuje,
Nie szuka z cudzą szkodą swéj korzyści.
Przeciw obmówcom sąsiada ratuje,
Ma niepobożne ludzie w nienawiści;
Dobrym, gdzie może pomocy dodawa,
A co przyrzecze, by najcięższéj ziści:
Pieniędzy w lichwę nikomu nie dawa,
Nie bierze darów przeciw niewinnemu:
Kto się tak rządzi, kto przy tém zostawa,
Śmiele niech ufa pokojowi swemu.“

Małe zgromadzenie śpiewało ten Psalm cały. Umierający łączył nawet kiedy niekiedy, głos swój do téj świętéj harmonii; a kiedy gasnące tchnienie nie mogło się dobyć z piersi jego, powtarzał te słowa pocichu; czysty zaś i srebrny głos dziecięcia dobitnie po całym pokoju się rozlegał; dziecię leżało na łonie starca, a mnie patrzącemu i słuchającemu z daleka, nigdy nie zdarzyło się widzieć tak blisko i wyraźnie, poczynające się życie, grób i kolebkę...

Właśnie gdy przedostatni wiersz śpiewali, drzwi się otworzyły i wszedł młodzian dorodny, lecz smutkiem, nędzą i żalem pokryty. Zawstydzony, zmieszany odgłosem świętych i żałobnych pieni, usiadł, i oczów podnieść nie śmiał. Gdy dokończono Psalmu, umierający rzekł uroczystym głosem: „Synu mój! jeszcze wczas przyszedłeś; jeszcze cię Ojciec pobłogosławić zdoła... Oby pamięć tego, co w tych

ścianach się stanie, nim noc dolinę zakryje, zwrócić cię mogła z twéj błędnéj drogi.. Tym jedynie sposobem odzyskasz łaskę Tego Boga, któregoś zapomniał...“ Pleban patrząc poważnie na przybyłego młodziana, który słowa powiedzieć nie mógł rzekł: „Henryku! już od trzech lat nie widziano twego cienia na podwojach otwartych domu Bożego: lecz ten, który się piorunu nie boi, często zadrży głos usłyszawszy słaby... Oto godzina żalu... ulatujący duch Ojca uprosić może dla twéj duszy wybawienie od grzeszników rady...“ Tu młodzian zbliżył się nieco do łoża, i z trudnością wyrzekł: „Ojcze! nie jestem bez serca... przybiegłem tu, skorom posłyszał, że wezwano Plebana. Mam nadzieję że jeszcze zdrowie odzyskasz. Gdybym zaś miał być tak nieszczęśliwym... błagam twego przebaczenia!... Mogliśmy inne mieć zdanie w wielu rzeczach ale i ja mam serce... Ojcze! mogłem zbłądzić, ale złym nie byłem nigdy... Błagam twego przebaczenia...“—„Przystąp bliżéj, Henryku, powiedział Ojciec, połóżcie rękę moję na głowie mego syna, bo jakiś mrok oczy mi zasłania. Tyś był moim pierworodnym, ty jesteś jedynakiem moim. Wszyscy twoi bracia i siostry leżą na cmentarzu, obok téj, któréj twarz miłą, twoja twarz tak przypomina... Długo byłeś radością, chlubą duszy mojéj; mogę powiedzieć chlubą, bo w całéj parafii nie było takiego syna, takiego męża, jak mój Henryk... Jeśli obłąkało się serce twoje, Bóg sprostować go zdoła! Obym mógł umierać dla ciebie! obym śmiercią moją mógł cię wybawić!... ale już to uczynił Ten, któregoś ty zaparł... O! często płakałem nad tobą, jak Dawid nad Absalonem wołając: Henryku! synu mój! Synu mój Henryku!“ Głębokie westchnienie jedyną było odpowiedzią klęczącego młodziana; ale łzy jego, wyraz gwałtownego cierpienia i żalu, w całéj jego osobie, zadosyć mówiły. Pleban patrzył na niego z surowością niezwyczajną łagodnym swym oczom, i rzekł: „Poznajesz rękę leżącą na buntowniczém twém

czole? Ale cóż znaczy ręka i mowa Ojca, dla tego, który się wyrzekł Boga, wszystkich ludzi Ojca?...—„O! nie nastawaj na niego tak srogo, (zawołała z płaczem niewiasta, wychodząc z za firanek łóżka, gdzie ukryć przed sobą chciała żal swój, wstyd i trwogę); ochraniaj, ochraniaj męża mojego!.. on nigdy tak występny nie był!“—A przystępując do niego, klękając przy nim, zarzuciła swe okrągłe i białe ramiona koło szyi jego.—„I ty także! mały mój Ludwiku, wymówił umierający, uklęknij koło téj Matki i Ojca, ażebym mógł was wszystkich jedną poblogosławić modlitwą.“ Dziecię uklękło z nieśmiałością obok Ojca, on przytulił do serca syna, który lubo zaniedbany, zawsze miał miejsce w tém sercu. „Niech syn mój, rzekł starzec, weźmie słowo Boże, i niech przeczyta umierającemu Ojcu 25-ty, 26-ty i 27-my wiersz jedenastego Rozdziału Ewangelii, według Jana Świętego.“ Pleban płakał nad klęczącemi, a podając otwartą Biblię, temu *Marnotrawnemu Synowi*, głosem litości i przebaczenia powiedział: „Był czas, Henryku, kiedy nikt Pisma lepiéj nie znał od ciebie; ach! jakże mógł syn przyjaciela mego zapomnieć tych nauk?“... Nie zapomniał ich przecież młodzian, i dla wypełnienia woli Ojca, nie miał potrzeby odwrócenia oczów z twarzy jego! Święty strumień Ewangelii miał niegdyś łożysko swoje w tém sercu, wysuszył występek zbawienne wody, lecz teraz znowu płynęły. Wyraźnym lubo cichym głosem powiedział z pamięci: „*Rzekł Jezus: Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyw będzie. A wszelki, który żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz temu?— odpowiedziała mu: Wierzę Panie: wszakem uwierzyła, żeś Ty jest Chrystus, Syn Boży, któryś na świat przyszedł.*“ „Ten głos nie jest niewiernego głosem! zawołał umierający z radością; nie, Henryku, ty niemasz niewiernego serca. Powiedz, że wierzysz temu coś wyrzekł, a Ojciec twój umrze szczęśliwy!“ „Wierzę! odpowiedział głośno młodzian; i jak

ty mi przebaczasz, bodajby mi tak i Ojciec Niebieski przebaczył.“

Starzec zdawał się jakby nowém życiem natchniony; zgasłe oczy zajaśniały, blade policzki okryły się rumieńcem, bezwładne ręce nabrały siły, głos był niekiedy tak pełnym jak u młodzieńca w swéj wiosnie. „*W ręce Twoje, o Boże, oddaję ducha mego*“ zawołał nareszcie; a to powiedziawszy, padł zwolna na poduszki; i zdało mi się, żem usłyszał jakby dwa ciche westchnienia; żem dostrzegł jakby lekkie dmuchnięcie, jakby przezroczystą parę. Nastąpiło potém głębokie, długie, z niczém nieporównane milczenie; było to milczenie śmierci. Ojciec, Matka i dziecię powstali zwolna. Oczy wszystkich nas wlepione były w bladą i nieruchomą twarz zmarłego, a bez łkań żadnych, lecz w cichych łzach zgadzającéj się z wolą Nieba duszy, staliśmy na około łoża śmierci pobożnego Kościelnika.

Syn Koszykarza.

Coraz bardziéj i w naturze i w pamięci nikły wszelkie ślady zimy, a wiosna w coraz większe stroiła się wdzięki; codzień łąki i pola grubszym okrywały się kobiercem, codzień liść gęstszy odziewał drzewa, codzień przybywał kwiat nowy.

Kilka miesięcy przepędziwszy ciągle w mieście, i to większą część czasu, w ciasnym pokoiku nad książkami, podzielałem wesołość przyrodzenia; a jak na błękitnym i jasnym widnokręgu, tak i w sercu mojém żadnéj nie było chmury.—Już nie jednę odbyłem przechadzkę z szanownym Plebanem, już niemało nagadałem mu o sobie, nie mniéj usłyszałem o parafianach jego, nie jednego wraz z nim od-

wiedziłem, kiedy dnia jednego po obiedzie oświadczył, że mnie zaprowadzi do bardzo zajmującéj i ukochanéj od niego rodziny, jeśli rodziną zwać można, Matkę i jedynaka syna. „Domek ich, jest odległy od innych domostw, rzekł: ułożenie odmienne od innych mieszkańców, a prawie ze wszystkich parafian, oni najbliżéj serca mojego.“—„Czyżbym ich znać nie miał?“ zapytałem się.—„O! znałeś zapewne, odpowiedział, ale nie wiem czy dobrze pamiętasz? Ojciec był koszykarzem; na kilka mil w około słynęły koszyki jego, rozwożono je nawet daleko: żył i umarł w domku, gdzie dziś wdowa jego i syn goszczą. Był to człowiek bez nauki, ale rozsądny, nawet dowcipny; a jak cnotliwy!... Utrzymywał się jak tylko można najskromniéj, ubiór jego choć czysty, był niemal ubogi; od towarzystw i wydatków stronił; dnie całe, czasem i noce ciągłéj poświęcał pracy, a tyle miał na swoje koszyki odbytu, że nigdy nastarczyć ich nie zdążył. Słyszałem nieraz innych parafian mówiących (bo tak jesteśmy skłonni do radzenia o sąsiadach): to nie pojęta rzecz, co ten Ernest z pieniędzmi robi? nie pije, nie balamuci się, nie gra, na żonę i syna nie traci, owszem krótko ich trzyma, oszczędnie żyje, pracuje jak wół, a przecież majątku uzbierać nie może; wszak nie darmo robi? każdy mu za robotę płaci i suto, bo piękna. To w tém coś dziwnego święcić się musi? jakieś licho ukryte?“ I każdy trząsał głową, ruszał ramionami, nie śmiał mówić nic wyraźnego, bo nic nie wiedział! ale rad był, żeby kto nareszcie uczynił jaki wniosek, wyrzekł jakie słówko, na którychby troskliwość sąsiedzka już śmiało budować mogła. Mnie samemu (Boże odpuść) czasem niedobre myśli przychodziły do głowy; ale po dwutygodniowéj chorobie umarł Ernest, i ten, który na pogardę zasługiwać się zdawał, okazał się godnym uwielbienia; śmierć wyjawiła tkliwą tajemnicę cnotliwego życia... Nie sama miłość pracy pobudzała go do niéj we dnie i w nocy, nie przez skąpstwo żył on

tak oszczędnie, nie na wydatki naganne i skryte rozchodziły się zarobione pieniądze: miał on prawdziwie piękne i szlachetne do takiego postępowania powody; żonie i synowi, których jako wyższe i lepsze od siebie istoty uważał, których kochał nadewszystko, lubo dosyć surowym dla nich się wydawał, chciał w przypadku śmierci swojéj (jakby ją przewidując) byt niepodległy i miły, życie bez zachodów, mozołu, chleb pewny i łatwy zabezpieczyć. Ta była niezmęczonéj jego pracy, niezmiennéj oszczędności jedyna przyczyna. O! jakże to odkrycie usprawiedliwiło, podniosło w oczach naszych zmarłego Ernesta! Wspomnienie owych długich dni lata, dłuższych jeszcze nocy zimowych, pamięć cierpliwego znoszenia tylu żarcików, twarze nasze rumieńcem wstydu okryły, serca napełniły żalem... Choć już pięć lat od téj chwili minęło, jeszcze bez rozczulenia wspomnieć go nie mogę... ta niepoznana a tak stała cnota, ta niezmęczona nie dla siebie praca, to życie całe zupełnie drugim poświęcone, i to bez żadnéj chluby, pochwały, ma w sobie wielkość, która mnie przejmuje...—„Prawda, zawołałem tu, niemniéj rozczulony; jakiż to był człowiek, ten Ernest; a ileż jest bez wątpienia na ziemi, podobnych jemu nieznanych bohatérów cnoty, których ani życie ani imię nie jest światu wiadome, którzy innych widzów prócz sumienia i Boga nie mają. Ale tenże syn, ta żona, godniż byli tego poświęcenia?“ — „Zupełnie odpowiedział starzec; odkrycie jego (bo żadne z nich o niém nie wiedziało) podwoiło żal ich nad stratą takiego męża i Ojca, i dotąd zatrzeć go zupełnie nie dozwala; jego imię często jest w ich ustach, jego pamięć zawsze w sercach. — Ją wszyscy zowią dobrą Moniką: piękniejszéj duszy niewieście ciało okrywać nie może. Zacny jéj Ojciec był urzędnikiem w poblizkiém miasteczku, i miał się dosyć dobrze, ale krajowemi okolicznościami zubożał zupełnie, i w zupełném umarł ubóstwie. Ona jedynaczka jego, w któréj umysł otwarty i serce tkliwe, głębo-

kie myśli i delikatne uczucia od dzieciństwa wrażał, przymuszoną była po jego śmierci, wejść w służbę do jednego z tutejszych rzemieślników; wtedy stósując się zupełnie do obecnego stanu, bez wstrętu, nawet z wdzięcznością, przyjęła rękę prostego lecz cnotliwego Ernesta: nie widziałem szczęliwszego stadła, i ręczę, że nie postało nigdy w myśli Moniki, aby świetniejszy los należał jéj się od Nieba. Przyjemna, tkliwa, pracowita, skromna, wszystkie mająca przymioty, innego w sobie prócz pobożności nie widzi, i ten nie przypisuje swéj duszy, ale naukom Ojca i przykładom męża.. Lecz jeśli ona godna uwielbienia, równa część należy się jéj synowi. Nie ma jeszcze lat ośmnastu, a w mém długiém życiu nie widziałem podobnego jemu. Od piérwszego dzieciństwa niepospolite skłonności objawił; kierował je ku dobremu surowy Ojciec i rozsądna Matka; dziecię rosło w karności i posłuszeństwie: zawczasu wprawianém było do nauki i pracy. Pamiętać go musisz w szkółce tutejszéj, jak lubo najmłodszy, najstarszych przeganiał. Dwunastu lat nie doszedł, gdy więcéj od dwudziestoletnich umiał. Właśnie w tym czasie umarł cnotliwy jego Ojciec, a Matki jedyną pociechą po tak wielkiéj stracie, była myśl, że Bóg niepospolitém dziecięciem pobłogosławił domek jéj samotny. Stosownie do życzenia męża, na śmiertelnéj pościeli wyjawionego, umyślila tę drogą latorośl wyłącznie dla chwały Boga hodować, i te usta już wymowne, poświęcić opowiadaniu nauki wiary i zbawienia. Podobne rodziców zamiary, często zbyt śmiałe, tu zupełnie usprawiedliwionemi były rzadkiém usposobieniem dziecięcia, jego gorliwością w nauce, a nadewszystko czystą, łagodną pobożnością. Już on nieraz dawniéj jeszcze odpowiadając na moje badania, tkliwością wyrazów, serce ostudzone wiekiem poruszył, a trafnością postrzeżeń doświadczony umysł zdziwił... Ale idźmy do nich, wiem, że miło ci będzie odnowić z niemi znajomość"...—Poszliśmy; a minąwszy piękną osadę, przeszedłszy

kawał pola, stanęliśmy na wzgórzu. Sędziwy pleban zmęczył się nieco; na wzgórzu leżało kilka kamieni, usiadł na jednym, a wskazując na lewo powiedział: „O! jak mi błogo i miło patrzeć na tę okolicę... tu zdaje mi się, że wolniéj oddycham. Poznajesz ten luby domek w dolinie?“ „Poznaję, zawołałem, to domek Ernesta, taki sam jak i dawniéj, równie skromny i chędogi; tak ogrodzony dziedzińczyk, tak zawsze dwie w okólniku krowy; drzewa tylko w sadzie, i wierzby na podwórzu znacznie podrosły: zgęstniało także i to zarośle z rokiciny, które w téj nizinie za domkiem na tém bagnisku rośnie!“ „Już od lat pięciu powiedział starzec, niczyja ręka go nie przerzadza; młody Edward tylko dla zabawy czasem koszyk uplecie, i już raz śmiałem się z niego, że zręczności nie odziędziczył po Ojcu. Patrz, jaki suty dym z komina się wznosi, troskliwa Matka zapewnie lekarstwo jakie synowi przyrządza; ale siądź koło mnie, a dokończę ci mojéj o nich powieści...“ Usiadłem a szanowny mój dobroczyńca tak mówił daléj: „Edward więc uczył się w naszéj szkole, i nie tylko współuczniów ale i mistrzów zaczął prześcigać. Wystarałem mu się o grecką i hebrajską biblię, a tyle pracował, że stosując je do łacińskiéj, którą miał w ręku, oba te języki rozumieć zaczął. Pięknym był widok dziecięcia, dumającego głęboko nad prawdą i pięknością chrześciańskiéj wiary i stosującego już jéj przepisy do obrębu powinności swoich. Serce Matki rosło patrząc na takiego syna; a jeśli dumną była z cnót i nauki jego, ta duma coś bogobojnego miała w sobie bo nie znam Matki, którąby więcéj pamiętną na te słowa była: *Oto dziatki są dziedzictwem Pana.* Co święto bywała z nim w kościele a ubiór jego starowny, dowodził, że go nie przeznacza do żadnego rzemiosła.—Jak dawniéj prostota i oszczędność Ojca, tak wtedy wyższe Matki widoki nie uszły języka niektórych sąsiadów; za złe mieli dobréj Monice, że się pyszni synem, że nie każe mu przerywać zarośla z rokiciny, że go na

przemądrego panicza kieruje; ale już teraz przekonali się wszyscy, iż nie tylko Matka ale i parafia gdzie się rodził, chlubić się nim powinna.—Gdy trzynaście lat skończył, sam uznałem, że do wyższych szkół oddać go należało. Pojechała z nim Matka do miasta, najęła porządną izdebkę; cnotliwa Ojca praca, jéj rząd i staranność, pozwoliły dosyć znaczne koszta opędzić. Dziecię o niczém inném nie myślało, tylko o nauce; Matka wzięła na siebie wszystkie kłopoty i zachody; a skromna izdebka światłem była dla niéj i niebem, bo mieszkał przy niéj syn ukochany, bo za jéj staraniem nie marniał zbiór Ojca potém jego oblany, i Bogu rosła chwała. Wszystkie przymioty umysłu i duszy młodego Edwarda, więcéj nabywały dzielności; celujący we wszystkich klasach, tak co do nauki jak do obyczajów, zawsze na wszystkich egzaminach piérwsze otrzymując nagrody, po trzech latach ciągléj pracy, przyjętym został do akademii. Tam, już uczęszcza rok drugi, we wszystkich naukach i w teologii się ćwiczy; szacunek nauczycieli, uwielbienie i miłość spółuczniów pozyskał. Ale téj zimy zbyt wiele pracował, i mizernieć zaczął; troskliwa Matka wezwała najbieglejszego lekarza: ten przerwać mu kazał na parę miesięcy umysłowe prace, użyć świeżego powietrza i wiosennych leków. Przywiozła go natychmiast do rodzinnego domku, o którym ja przez ten czas miałem pieczę; już tu goszczą od trzech tygodni: dobra Monika mlékiem i ziołami syna karmi, książek mu broni, i już mu jest daleko lepiéj... Mam nadzieję w tym miłosiernym Bogu, że ten młodzieniec tylą obdarzony cnotami, żyć będzie długo dla przykładu i dobra współbraci; że ten zdrój czystego i prawdziwego światła nie ustanie tak prędko... Matka sobie podobno uroiła tę obawę, obfite w nią serca matek, i zwyczajnie tak u nich bywa, że im lepsze dziecię, tém łatwiéj o nie się troszczą... Lecz ile dojrzeć mogę, otóż i on; patrzaj, wyszedł z domku i siada na ławce; zdaje mi się, że książkę ma w ręku; dobra

Monika musi być bardzo zajęta, kiedy tego nie upatrzyła. Idźmy przerwać mu czytanie...“ Zeszliśmy z wzgórka, z takim pośpiechem, jakiego tylko krok siedmdziesiątletniego starca dozwolić potrafił i wnet stanęliśmy koło ogrodzenia domku. Edward tak głęboko się zaczytał, że nas ani spostrzegł, ani nawet usłyszał; rad byłem temu, bom mógł się jemu dobrze przypatrzéć. Nie wiem czybym go był poznał, tyle znaczenia przez te siedm lat piękne jego rysy nabrały, tyle myśli na bladém wyryło się czole; stałem w zadumieniu, chociaż jeszcze nie widziałem jego oczów, które wlepione miał w książkę; gdy zaś na głos plebana obejrzał się i powstał, gdy te oczy wyrazu pełne błysnęły radością, gdy mnie poznawszy, wdał się w rozmowę o naukach, o przeznaczeniu człowieka, gdy przy najskromniejszém ułożeniu, przy pełnéj prostoty postawie, tak z ust jak z oczu skry światła się sypały, wtenczas dopiero zupełném było zdumienie moje, wtenczas przyznałem słuszność Matczynéj obawy... Krótką była ta rozmowa, przynajmniéj mnie zdała się taką, lubom może nigdy nie objął tyle nowych co w téj chwili myśli; przerwała ją dobra Monika. Nie wiedząc wcale, że ma gości, szukała syna z czarą trunku zbawiennego, który sama z ziół i z mléka sporządziła. Gdy nas, a raczéj sędziwego przyjaciela postrzegła, piérwszém jéj słowem było skwapliwe zapytanie: „Jakże wygląda?“ Ileż ją uradowała potwierdzająca starca odpowiedź, ile ucieszyło zapewnienie, że już wnet zupełnie zdrów będzie. „Doprawdy! powtarzała, z uśmiechem nadziei; bo ja co zawsze na niego patrzę, zawsze mizernym go widzę.“ — Wtedy dopiero przywitała się z nami, i mnie poznała; wtedy powtórnie zajmująca wszczęła się rozmowa, nastąpiło gościnne, wesołe częstowanie. Bawiliśmy z niemi dwie godziny, tak miłych nie pamiętam. Zdziwiły mnie znowu nieraz światłe pomysły Edwarda, rozrzewniły pieczołowite koło niego Matki starania, jéj miłość i tak słuszna duma, którą w ka-

żdém widać było słowie; ujęła mnie wdzięczność, uległość jego, to zupełne ich uczuć zjednoczenie, zdań zgodność, szczęście czyste i tkliwe o cnotliwym Ojcu wspomnienie. Kiedy Monika osądziła wieczorne powietrze zbyt chłodném dla syna, weszliśmy do domku; Edward zaprowadził mnie do przybocznéj izby, tam pokazał mi stołeczek i okno, gdzie Ojciec kilkanaście lat pracował. Mocne wzruszenie te przerywane słowa wyrzec mu tylko dozwoliło: „I to było dla mnie.. a ja, cóż podobnego uczynić potrafię?..“ Odeszliśmy; w drodze szanowny pleban zwierzył mi słodką i prawie pewną serca nadzieję, (o ile nadzieja ziemska pewną być może) iż Edward, skoro przyjmie kapłańskie święcenie, będzie po nim téj owczarni pasterzem; cieszył się cnotliwy starzec, że godniejszego od siebie następcę zostawi; i dawnom już tak żywéj radości w oczach jego nie widział.

Pogrzeb Kościelnika.

Jak miłą oku, jak ujmującą serce, jest okolica wiejska, kiedy śnieg jeszcze się bieli u stóp jéj pagórków, a ich wierzchołki już zieloność zdobić zaczyna. Parę dni słonecznych promieni, parę nocy ciepłego wiatru, lubą wiosnę z głębi zimy wyprowadzić zdołają. Trudno pojąć, jak mogła tak żywa zieloność, tak długo śniegiem być obleczoną. Z odżywioną przyrodą, dusza nasza nowego życia nabiéra. Szczęście zdaje się milsze, umysł bogatszy w myśli, sam smutek przywdziewa niejaką barwę radości, i cieszy się widokiem otwartego łona wszechrodnéj ziemi. Wtedy młodzież się weseli, wiek dojrzały uważa, sędziwy zgadza się ze swym losem. Jasne włosy dziecięcia igrają przy pląsach jego, wiek dojrzalszy wita rok nowy z wdzięcznym uśmie-

chem, a oko, na które już mrok zachodzi, w téj powszechnéj radości na grób spoziera. Takowym dniem wiosennym był dzień, kiedy ci, którzy odwiedzili Kościelnika Szymona na łożu śmiertelném, poszli do domku jego, chcąc towarzyszyć szanownym zwłokom, na miejsce pogrzebu. Noc dnia w którym on umarł, zdawała się być nocą zgonu zimy. Poranek dnia, kiedy pochowany został, zdawał się być porankiem narodzenia wiosny. Sędziwy Pleban i ja, szliśmy sami doliną ponad brzegiem rzeczki; już jéj wody, gdzie niegdzie tylko szronem, w podobieństwie piany okryte, płynęły szybko. Wierzby i brzozy z drzew najrychlejsze zdawały się już z lekka zielonością ubarwione, a pod niemi tu i owdzie wyglądała w radości nowego bytu, niebieska przylaszczka, sama lub w kępkach. Niektóre owady już igrały w powietrzu, a kiedy niekiedy ptaszek, wskróś przejęty tém naglém ciepłem, odzywał się z miłosną piosnką, siedząc na ubogich jeszcze gałęziach. Był to właśnie dzień taki, jakiby człowiek poważny i starowny obrał do zwiedzenia pola swego, do upatrzenia szkód zimy i nadziei lata. Natrafił téż na tę myśl Pleban, gdyśmy na chwilę stanęli, chcąc się okolicy przypatrzyć. „W podobnych to dniach, powiedział, zwykł był poczciwy Szymon obchodzić małe państwo swoje z synową lub wnukiem, a najczęściéj sam z Pismem Świętem w ręku.“ Wtém dostrzegliśmy domek jego; przyłączać się téż do nas zaczęły osoby z różnych stron, równie jak my na pogrzeb dążące; wszyscy byli poważni; ale nikt smutnym: jeden witał się z drugim łagodnie i w pokoju. Kościelnik Szymon umarł pełen dni i nikt z najbliższych jego, rozpaczać nad tym zgonem nie mógł. Długie i pobożne życie pięknie zakończył, i każdy z tych, który dążył by ciało jego oddać ziemi, pewnym był ile istota ludzka pewną czego być może, iż dusza jego już była w niebie. Idąc tak razem, niejaka nawet ogarnęła nas swoboda; cieszono się z mego przybycia, pytano o moje po-

dróże, przygody? opowiadano mi nawzajem, co się przez te siedm lat stało? kto się ożenił? kto umarł? wiele dzieci się narodziło? jakim był nowy bakałarz? zgoła, ożywiona, lubo bez żartów i śmiechu rozmowa, zajmowała nas dopóty, dopóki nie stanęliśmy w zagrodzie domku, pod osłaniającemi go, grubemi konarami nagich jeszcze jesionów. — Wtedy milczenie nas ogarnęło i tak weszliśmy do mieszkania śmierci. Przyjął nas syn zmarłego w progu, z twarzą pokorną lecz spokojną, a w jego sposobie powitania Plebana, widać było skruchę, wdzięczność i poddanie się woli Boga. Siedliśmy wszyscy w długiéj izbie, a syn przyjmował każdego u drzwi, wskazując mu jego miejsce. Było tam wiele głów siwych, wiele siwiejących, więcéj jeszcze świetnych młodością i siłą. Lecz ta sama uroczystości powłoka wszystkich przyodziała, i siedzieliśmy skojarzeni tym samym duchem pobożności i wiary. Podano wino wokoło a syn patrzył na Plebana, który powstał, podniósł zwiędłą rękę, i zaczął błogosławieństwo i modlitwę. Tyle było powagi w całym starca układzie, tyle tkliwości w głosie jego, że skoro mówić zaczął, każde piersi, każde usta, mimowolnie dech i tchnienie w sobie wstrzymać chciały. — Wszyscy stali jak wryci, a oczy wszystkich wlepione były w tę spokojną i patryarchalną postawę, w te oczy spuszczone i długi włos srebrny. Nie było nic smutnego w jego słowach, owszem, jak zwykle w wyrazach Wiary i Nadziei, jaśniała w nich jakaś radość. Mówił o cnotach zmarłego, acz zapewne niedoskonałych w oczach wielkiego Boga, przecież mogących otworzyć mu Niebo przez zasługi Zbawiciela.

„Oby! (tak modlił się daléj) to błogosławieństwo Boskie, które tak długo spoczywało nad tą siwą głową, przejść mogło na tego, co teraz wodzem i ojcem tego domu będzie. *Bo zaprawdę, powiadam wam: większa będzie radość w Niebie nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niźli nad dziewięćdziesiąt dziewięć sprawiedliwych, którzy nie potrze-*

bują pokuty. Gorliwie i rzewnie modlił się jeszcze Pleban za tę, która w samotnym zamknięta pokoju przybranego Ojca, jak rodzonego płakała i za jedyne jéj dziecię. Nie zakończył też modlitwy bez wspomnienia na siwe włosy swoje i na bliski już dzień, kiedy obecni zwłokom jego do grobu towarzyszyć będą. Gdy przestał mówić, lubo wszystkie serca były rozrzewnione, jedno tylko głośném odezwało się łkaniem, i wszystkich oczy zwróciły się na małego chłopczynę stojącego obok syna Szymona. Miłość wzajemna żyjącego Ojca zastąpiła wnet miejsce téj, którą dla zmarłego dziada był przejęty; bo dziecię kochać tylko pragnie mało bając na kogo. Dopuszczano go przez te dni ile razy chciał, do łoża, na którém zwłoki dziadka spoczywały; a dziecię patrząc na łagodną i spokojną twarz jego, pogodziło się ze śmiercią. Matka i Pismo Święte kazały mu być posłusznym Bogu, bez żadnego wyjątku, i dziecię tak w swéj prostocie czyniło. Jednak koniec tkliwéj Plebana modlitwy, wydobył łkanie z serca jego; lecz łzy roszące teraz okrągłe jego policzki, odmienne były od tych, które mi się zalewał w dzień śmierci dziada. Sędziwy Pleban położył w milczeniu rękę swoję na złotowłoséj głowie chłopczyny, i szmer uprzejméj litości powstał w izbie. Wnet uspokoił się i wszystko wróciło do porządku i cichości. W sieni tylko przytłumiony hałas, kroki ostrożne choć ciężkie kilkunastu ludzi słychać było. Nareszcie ktoś wszedł i wyrzekł te słowa: „Już gotowe!“ a syn i Pleban przewodnicząc obecnym wyszli z domu. Trumna stała przed drzwiami na przygotowanym całunie. Odbijały się promienie słońca w blasze, na któréj cyfrę, dzień i rok śmierci zmarłego wyryto, a lekki wietrzyk poruszając gałęzie wspaniałego jesionu, okrył kroplami rosy trumnę, wóz i powłokę żałobną. Poczet cały jednym duchem tchnący razem ruszył.

Kiedym się obejrzał, chcąc pożegnać ten piękny domek, puszczony nazawsze przez tego, który go wystawił i ozdo-

bił, ujrzałem w okienku drugiéj izby, bladą twarz nadobnéj niewiasty, która zasyłała pożegnanie szczątkom śmiertelnym Ojca, zamieniającego długie obok niéj mieszkanie, na dłuższe grobów siedlisko. Szliśmy przez doliny i pagórki, obok jeziora, przez most stary nad rzeczką, a po godzinie myślącego dumania, doszliśmy do małéj bramy cmentarza. Rozbijał powietrze głos żałobnego dzwonu, stanęliśmy wszyscy koło wozu, według porządku przez uczucia nasze wskazanego... Po kilku minutach leżał Kościelnik Szymon w grobie ojców, obok żony i dzieci, w dawno obraném przez siebie miejscu. Rozeszli się wnet jeden po drugim przytomni, i wkrótce nie było nikogo nad świeżo usypaną mogiłą, prócz syna zmarłego z małym chłopczyną, Plebana i mnie. Jam zaczął przyglądać się wokoło; lubo już dzień trzeci gościłem w Plebanii, jeszczem się nie zebrał pójść na cmentarz; a teraz każda mogiła, każdy kamień grobowy, na który tak często w dziecinnym wieku patrzyłem, odświeżał się w pamięci mojéj i czytałem gładko napisy dla kogo innego już nieczytelne. Cały pozór tego miejsca był prosty i bez wykwintnych ozdób, jednak z nowszych pamiątek umarłym położonych, mogłem poznać z łatwością, że przez czas niebytności mojéj, byt żyjących się polepszył.

W tych pomnikach prócz uczucia, i smak dobry przebijał niekiedy. Na niektórych kamieniach obok wieku i imienia zmarłego, czytałem i wyroki z Pisma: bo miłym stało się dla duszy pobożnéj zwyczajem, kiedy już na to życie z przyjacielem się rozdziela, mieszkanie szczątków jego uczcić słowem wyjętém z téj księgi, która życie wieczne obiecuje. Spostrzegłem także wiele nazwisk tych, o których mi w drodze mówiono, których zostawiłem pełnych siły i zdrowia; obaczyłem i młodszych od siebie a napisy nad ich grobami, już nie wszystkie były wyraźne... Wiejski cmentarz nierównie lepiéj prawdziwą koléj rzeczy, od głazów i miedzi, od miejskich katakumb wystawia; te malują iako obe-

ene, żal i uczucia oddawna wygasłe; tu zaś jest rzetelny obraz tego, co na świecie się dzieje, tém rzetelniejszy, że sama układa go natura, usypana świeżo mogiła niedługo od innych się różni, kamień na niéj położony, czas krótki sterczy i jaśnieje; trawa, mech, wnet je obrastają i w rok już ich znać mało, już się z dawniejszemi równają, już nowe obok nich powstały! Tak jak w życiu, nieustanne odnowienie i nieustanny upadek, próżne usiłowania, by coś trwałego uchwycić, a czas wszystko niszczący, razem zaciera i uczucia żalu z serca i napis z kamienia... Cmentarz dla wiejskich mieszkańców jest miejscem, gdzie często zwracają się ich oczy i serca. Przed rozpoczęciem nabożeństwa, zwykli rozmawiać o niedawno tam położonych; a każdy z nich wié, że czy późniéj czy prędzéj legnie w téj ziemi, i także i o nim przez niedziel kilka mówić będą!.. — Ci, których przeznaczenie wrzuciło w zgiełk i niebezpieczeństwa świata, ci nie wiedzą, gdzie głowę położą. Żołnierz, wędrownik, miejsca grobu swego nie zna; ale spokojny ziemianin, zagon ojcowski orzący, wié, że w jakim kościele był ochrzczony, w tym i pogrzebany będzie, i dla niego to prawdziwie jeden krok jest tylko, od kolebki do grobu!.. — Takie myśli mnie zajmowały po skończonym pogrzebie Kościelnika Szymona. Już trawka sąsiedzkich mogił, przydeptana stopami obecnych, podnosić się zaczynała, a jam jeszcze odejść nie myślał. Jakiż to skromny był obchód! Proch oddano prochom i nic więcéj...

Lecz umysł mój oderwanym został od nowych dumań, głębokim jękiem; spojrzałem, a na grobie Szymona postrzegłem klęczącego syna; całował ziemię z zapałem: „Zasmuciłem Ojca w późnym wieku jego, wołał; żałowałem, on mi przebaczył na śmiertelném łożu, lecz Bóg czyż mi przebaczy?..“

Sędziwy Pleban stał niedaleko; nic nie mówił, ale spoglądał z litością na schylonego młodziana; przewinienie

jego było wielkie, dał się uwieść fałszywym zdaniom, naprzód zwątpił, potém bluźnił, nareszcie namiętnościom się oddał, żonę i dziecię zaniedbał, był głuchym na głos Ojca, na głos sumienia. Te wszystkie występki swoje widział przed sobą, lecz nie ciężyły mu już tyle na sercu; łzy, które dotąd przytomność sąsiadów wstrzymywała, teraz obficie płynęły, jakby chciały przenurtować ziemię i dojść do skrzepłego już serca rodzica. Żaden z nas go nie podnosił, żaden łez jego nie tamował, gdyż żal ten był pożądany, błogi.

Jednak po chwili, gdy już sam uciszać się zaczął, Pleban wyrzekł łagodnym głosem:

„Nie bój się synu—i Ojciec i Bóg ci przebaczył; wszak czujesz to przebaczenie w uspokojoném sumieniu?“

Na te słowa podniósł głowę ten drugi syn marnotrawny i z pełnych łez oczu, pogodne błysnęło wejrzenie; lecz klęczał jeszcze, bo człowiek Boży, ręce nad nim wyciągnął, jakby błogosławiąc go; a tymczasem piękny i miły chłopczyna, a który strwożony jękiem i łzami Ojca, oddalił się był nieco, przystąpił do niego; jedną rączką głaskał go po twarzy, w drugiéj trzymał nadwiędłe przylaszczki, które idąc za trumną Dziada, pomimowolnie przy drodze był zerwał.

Rodzina występna. *)

Usiądźmy na pochyłości téj góry, pod tych świerków cieniem! powiedział raz do mnie sędziwy pleban, kiedy ob-

---

*) Ta powieść umieszczona jest tu dla tego, ażeby poprzednia lepiéj się wydała; są one jakby dwa obrazy jednéj wielkości, ram jednych, których sprzeczność cały skutek sprawia: obok siebie być muszą.

szedłszy część jednę jego parafii, zaszliśmy do odległéj od całéj osady okolicy, lecz nie mniéj od innych powabnéj. — „Usiądźmy, powiedział daléj, usłyszysz powieść łez, o przedostatnich mieszkańcach tego pięknego domku topolami obsadzonego, który tu widać z daleka po prawéj stronie; oni dawniéj przez lat kilkanaście w téj nędznéj chatce mieszkali, co tam na dole w tém gronie świerków się kryje, i wtedy szczęśliwsi byli... Luboś ztąd rodem, synu mój, i tu wiek dziecinny i piérwsze lata młodości spędziłeś; luboś znał tych ludzi zdaleka, nie wiesz zapewne ze szczegółami ich smutnéj przygody: nigdym ja tobie nie mawiał o tych parafianach moich, którzy ciężko serce moje ranili... błędy tych duchownych dzieci moich radbym ukrył przed samym sobą.. Już trzeci rok mija, jak się spełnił ten cios najboleśniejszy życia mego, a jeszcze ile razy w to miejsce przyjdę, na tę górę wstąpię i spojrzę na ten domek, na tę chatkę, tyle razy okropne czuję wzruszenie, i cała okolica kirem żałobnym okrytą mi się wydaje. Oto i dziś takie piękne niebo, tak świetne drzewa, ptasząt i kwiatów tyle, a dla mnie tu wszystko i czarne i smutne.“

Gdy tak mówił starzec z goryczą, niewiasta zaledwie odziana, wiekiem czy niedołężnością schylona, wyszła z pomiędzy świerków nędzną chatkę cieniących. Postępowała zwolna, z głową na dół spuszczoną i dzbanek trzymała w ręku; przeszła koło stóp góry, niedaleko nas, lecz nas nie spostrzegła; zdawało się, że ta głowa spuszczona, te oczy wklęsłe nie podnoszą się nigdy: stanęła nareszcie pod starą wierzbą, obok któréj z pośrodka kilku gładkich kamieni tryskało czyste i obfite źródło, podstawiła dzbanek pod płynącą wodę, a sama wlepiła w to miejsce oczy. „Na tych kamieniach, powiedział cichym głosem pleban, wyryte są imiona jéj męża i jedynego syna; obadwa już nie żyją!..... a bezdzietna wdowa szuka tych liter, które codzień bardziéj mech zakrywa. Patrz! blade jéj usta cicha modlitwa poru-

sza; lubo już tyle płakała, jeszcze są łzy w jéj zbolałém sercu! Spadło ich kilka na poorane lica, ale ich nie czuje, tak już do łez przywykła...“ Niewiasta stała tak jeszcze chwil kilka, już dawno przepełnił się dzbanek, woda z niego na wszystkie strony płynęła, a ona go nie odsuwała; nareszcie podniosła zapadłe oczy w Niebo, złożyła wychudłe ręce i zawołała na głos: „Ty! któryś krew swoję za grzeszników wydał, zmyj ich winę, bądź miłościw duszom!“ Wtedy dźwignęła dzbanek, ulała z niego trochę wody na błękitne niezapominajki rosnące w około, ruszyła z miejsca i szła zwolna, dopókąd w pośród świerków nie znikła.— „Widziałem tę niewiastę na łonie pomyślności, rzekł starzec, a teraz biédna, samotna, zbolała, i jéj boleść jest z rodzaju najokropniejszych boleści; w każdéj innéj, religia wspiera i pociesza, ją zaś sama wiara lęka i trwoży..“ Umilkł tu pleban, jakby przejęty tych słów okropnością, cień od obłoku, który w tę chwilę słońce zakrył, padł na nas, i nie wiem czy wietrzyk chłodny powstał, czyli téż mnie dreszcz skryty przeszedł, alem czekał ze drżeniem i w milczeniu, obiecanéj powieści. Tak ją zaczął sędziwy mój przyjaciel:

„Ta nędzna chatka, dziś samotne nieszczęścia mieszkanie, która już nie bieli się pomiędzy świerkami, jaśniała przed laty; czyste jéj okna czerwieniały się z daleka światłem wesołego ogniska, a gdy ciebie jeszcze nie było na świecie, teraz zoraną i zgarbioną srogim losem wdowę, wtedy hożą i wesołą oblubienicę wprowadził w te progi mąż młody i kochający. Dwadzieścia lat w téj chatce mieszkali. Nie byli oni chlubą i wzorem parafii mojéj ani téż zakałem, jéj saméj zwłaszcza, prócz chęci zbytecznych wydatków, a nie zupełnéj, jak przystoi niewieście skrzętności, nic do zarzucenia nie było; owszem pobożność jéj nieraz uwielbienie moje wzbudziła. W przeciągu lat kilku czworo umarło im dzieci, a nie słyszałem jéj szemrania; prawda, że nie

umarł syn, którego od urodzenia najwięcéj od wszystkich kochała, ale bodajby ten nigdy się nie rodził!..

Syn ten wszystkie jéj zajął uczucia, wszystkie ogarnął pieszczoty; wszystko mu wolno było: dziecię téż krnąbrném się stało, a nie dotknęła go ani Matki, ani Ojca ręka. Do szkoły ledwie go zaczęli posyłać za moją namową, lecz nie chodził długo bo mu się przykrzyło, a Matka przykrości sprawić mu nie chciała. Jak wyrósł, nie był to chłopiec bez zalety, przynajmniéj napozór; śmiały, otwarty, wrodzony dowcip zastępował w nim naukę; przytém zdrów i silny, kiedy tylko miał ochotę pracował dzielnie, i nieraz patrząc na niego myślałem sobie ze smutkiem: coby to było z tego młodzieńca, gdyby innych miał Rodziców? Ale właśnie gdy do lat ośmnastu dochodził, zaczęły na tę rodzinę różne padać klęski, to ogień, to zaraza, to nieurodzaj; może Bóg tym sposobem wołał ich do siebie, bo w nieszczęściu bliżéj nieba jesteśmy, lecz oni nie zrozumieli téj mowy... Ojciec miał w tejże saméj osadzie brata, dawnego dziedzica owego ładnego domku między topolami, który wraz z bogatą wziął żoną; ten brat wdowiec już od lat kilku, umarł właśnie w tym czasie po długiéj chorobie; miał on tylko jedynaka syna, który bez woli Ojca przystał do wojska, raz szczególnie był potém u niego, i w dalekie ruszył strony. Nie było od tego syna żadnéj wiadomości; wielu mówiło że gdzieś zginąć musiał; jednak niemało zdziwiła się parafia, kiedy nazajutrz po pogrzebie zmarłego, brat pozostały okazał testament. Na mocy jego objął urzędownie ładny domek i majętność całą, obowiązując się tylko z własnéj wspaniałości, składać corocznie w ręce rządu dwieście złotych, dla wyklętego i wydziedziczonego syna, w przypadku, gdyby ten żył jeszcze, o czém zupełnie wątpiono. Wiele było między parafianami gadania: niektórzy potępiali wydziedziczonego syna, drudzy litowali się nad nim, i ganili Ojca; wielu zazdrościło nagłego zbogacenia się ludziom, którzy nie byli

bardzo lubieni; kobiety zwłaszcza żal miały wielki, że téj, która najmniéj skrzętną była, najładniejszy dostał się domek, a na młodzieży uczącéj się w szkole, to dojście do majątku młodzieńca, który uczyć się nie chciał, nie zrobiło dobrego wrażenia; mnie samemu to szczególne zdarzenie przeszkodziło do nauki moralnéj nie jednego kazania, i dziwiłem się niepojętym drogom Opatrzności. Ale te wszystkie gadania i skutki ustały zwolna, i zapomniano prawie zupełnie o całéj téj przygodzie. W tym czasie, tyś wzrosł, mój synu, a gdyś ztąd wyjeżdżał, ta rodzina używała bogactw swoich spokojnie i swobodnie. Tak przynajmniéj myśleli wszyscy; jednak jam dostrzegł najpierwszy, że nie było w tym pięknym domku ani pokoju ani swobody. Twarz Ojca orał czas przed wiekiem: kiedy się przechadzał wieczorem po obszernych swych polach, rzekłbyś, że nie po własnéj, ale po zazdroszczonego nieprzyjaciela roli się przechadza, tak patrzył ponuro: i syna postawa dotąd otwarta i wesoła, zaciemniła się jakby gniewem. Już mało co pracowali oba, liczną wyręczając się czeladką; nie uczęszczali co niedziela na nabożeństwo, a kiedym ich gdzie spotkał, albo w ich domku odwiedził, nie patrzyli na mnie śmiało; skoro się wszczęła rozmowa o Bogu, poczciwości i cnocie, syn ją przerywał, Ojciec spuszczał lub zamykał oczy jak obłudnicy czynić zwykli; Matka tylko jedna była taka jak dawniéj; widziałem przecież częste ślady łez na jéj twarzy, a ubiór jéj niedzielny zdawał mi się zbyt kosztowny. Przyznaję, że jakieś podejrzenia dręczyć mnie zaczęły: wymawiałem je sobie, nie chciałem im wierzyć... a możeby lepiej było, gdybym był uwierzył... Lecz prawdę mówiąc, mało oni ważyli słowa moje: doszło mnie, że syn ich stał się niezmiernie rozwięzły i rozpustny, a tak jak za błędy dziecinne, tak i za występki młodości, żadnéj od rodziców nie słyszał nagany. Przestrzegałem ich, rozgniewali się; jam téż przestrzegać zaprzestał...

Tak zeszło lat kilka; nareszcie trzeci rok od dnia tego już minął, a ja go jeszcze zapomnieć nie mogę. Jednego sobotniego poranku, właśnie kiedym na niedzielne kazanie się sposobił, stawa przedemną ów syn wydziedziczony, w oficerskim mundurze, z czerwoną wstążką u guzika, stawa, piorunuje na stryja, wymawia mi dosyć żywo, że w mojéj parafii taka niegodziwość stać się mogła; pokazuje kopię testamentu Ojca, którą mu sam wręczył, gdy go widział po raz ostatni: tam przebacza mu, dziedzicem jedynym go mianuje, wkładając tylko obowiązek płacenia do śmierci dwieście złotych stryjowi, i wspomina, że oryginał testamentu w swojém ręku zatrzymuje.... „Jam różne przeszedł koleje, mówi do mnie rycerz, byłem daleko, Bóg wié nie gdzie: ranny i długo chory, jużem myślał, że na obcéj ziemi głowę położę, ale niespodzianie wróciło zdrowie; zapragnąłem wrócić do wsi rodzinnéj, do starego Ojca, do ładnego domku i do tych topoli, które Matka sadziła... Przebywam morza i lądy, staję w poblizkiém miasteczku; aż tu wszyscy mnie się dziwią, i mówią mi, że Ojciec już dawno w grobie, majątek jego w ręku zbrodniarza, a imię moje shańbione. Nie byłbym godzien tego znaku, który pierś moję zdobi, gdybym nie dbał o Ojca, o swój własny honor, gdybym nie obstawał za sprawiedliwością; wolno będzie każdemu zedrzeć mi tę wstążkę, jeśli ich głowy na rusztowaniu nie legną!...“—Drżąc cały towarzyszyłem mu do domu stryja. Jakież to były okropne odwiedziny! Rodzina dopiéro co do obiadu siadła, a Ojciec podniósł rękę do zwyczajnego błogosławieństwa. Rycerz wszedł pierwéj odemnie i stanął w progu.— Kiedy stryj jego ujrzał nagle przy życiu bratanka, o którym sądził, że już dawno od życzliwéj kuli zabity, skamieniał: oczy kołem mu stanęły, usta jego się otwarły, suchéj i żylastéj ręki nie opuścił. „Bezczelny obłudniku, krzyknął przychodzień, śmiesz wzywać błogosławieństwa Nieba na chleb wydarty sierocie!.. Ale ten Bóg, któremu bluźnisz,

Bogiem jest sprawiedliwym; sprowadził mnie z dalekich krajów, wyrwał z łona śmierci, ażeby ciebie w ręce oddać katowskie.“

Przez jednę chwilę któréj okropności nikt nie wypowié, wszystko było w milczeniu; nareszcie dało się słyszeć głębokie łkanie, a ta którąś tu przechodzącą widział, blada jak śmierć, drżąca jak listek, powstała z miejsca swego i padła do nóg rycerza. Całe podziwienie nad odkryciem nieznanéj sobie zbrodni, cała boleść żony i Matki, wszystko to było w jéj oczach, w jéj twarzy, w całéj jéj postawie; lecz nie mówiła i słowa, a łkania jéj rozdartego serca do jęków konających podobne były. „Nie sam mój Ojciec tę zbrodnię popełnił, powiedział wtedy syn zbliżając się śmiałym krokiem do stryjecznego brata; jam do niéj należał, jam do niéj był powodem, jam zginąć powinien.“ Na te słowa, niewiasta odzyskała mowę, ale jéj głos tak był zmieniony, żem długo wątpił czy z jéj ust wychodzi. „Jeżeli pragniesz miłosierdzia w wielki dzień sądu, zawołała przeraźliwie, pozwól niech uciekną, milcz dni kilka, a pojedziemy daleko... Chceszże widzieć stryja i brata w katowskiém ręku?...“ Przychodzień stał w milczeniu: nie było ani litości ani okrucieństwa na rycerskiéj twarzy jego; obrażonym był tém, co miał najdroższego w świecie, powinnością swoją być sądził żądać sprawiedliwości. „Sfałszowaliście rękę Ojca mojego, rzekł, narzuciliście niesprawiedliwość najsprawiedliwszemu z ludzi, shańbiliście imię moje; żołnierz bliznami okryty, krzyżem zaszczycony, miał żyć na starość z jałmużny waszéj!... Uciekajcie jednak, jeśli uciec zdołacie; pomogę wam nawet, lubom zacniejszych od was ludzi, w ręku widział katowskiém... Ale po co klęczysz, kobieto, a mąż twój gdzie się podział?“

Spojrzeliśmy w około trwożliwie, nie było go; przelękniona żona wybiegła z domu przez inne pokoje, my za nią. Drzwi od obory były otwarte, a gdy Matka i syn tam

weszli, rozległ się krzyk straszliwy. Stary wyszedł był nieznacznie w czasie téj okropnéj rozmowy, i rękę sprawiedliwości uprzedził... Lecz jeszcze był czas, syn oderżnął postronek, a wziąwszy Ojca na ramiona poniósł go na dziedziniec i położył na murawie. Poruszyła się wnet martwa, zsiniała twarz starca, oczy krwią zaszłe otwarły się i patrzyły w obłąkaniu na nas i na żonę. „Nędzni ludzie, powiedział rycerz zmiękczonym głosem, jakżeście za waszą zbrodnię skarani! Stało się, lecz wolałbym drugie lat dwadzieścia biédować, niźli ściągnąć taką hańbę na te siwe włosy!“ I tu łza padła na wąsy żołnierza...

Ale zdawało się, że kruki i sroki wyskrzeczały tę okropną tajemnicę najodleglejszym téj parafii osadom: w przeciągu godziny zeszła się gromada ludzi; ujrzeliśmy wkrótce, że ucieczka była niepodobną, że syn i Ojciec muszą zginąć publicznie...“ Tu ustał na chwilę głos starca, a łzami zalane oczy spojrzały mimowolnie na zdrój pod wierzbą będący. „To była ostatnia ich praca, powiedział, skończyli ją na dzień jeden przed wykryciem téj niesłychanéj zbrodni. Może szukali w tém zatrudnieniu rozerwania umysłu dręczonego niespokojnością; może też w tém samotném miejscu chcieli mówić a nie być słyszani... może tu i żal przejmował ich niekiedy!.. oba na tych kamieniach swoje imiona wyryli. W to miejsce osiérocona wdowa, którą prawo zupełnie niewinną uznało, codzień przychodzi; tu modli się za duszę tych, których zawsze kocha! ztąd czerpa wodę utrzymującą ją przy nędznem życiu, i rada temu, że ją winna tym drogim dla niéj rękom, które dziś bez ciała, bez kości w proch się rozsypały... Jako ich pasterz, dodał po krótkiéj chwili, zostawiwszy na czas jakiś trzodę moję, poszedłem za zgubionemi owieczkami, szukałem, pókim nie znalazł. Bóg miłosierny dopomógł mi w téj pracy... z Ojcem trudna była sprawa, z synem łatwiejsza; były zarody dobrego w téj duszy, ale je wytępiły Matki pieszczoty

i przykład Ojca... Ujrzałem nareszcie żal w sercu obudwóch, a Ten, który łotrowi powiedział na krzyżu: *Zaprawdę, ty dziś będziesz ze mną w raju!* Ten może przyjął ich dusze... może boleść, jaką mi ten cios sprawił, zechce poczytać w miłosierdziu swojém jako niejakie zgładzenie błędów moich; bo chociaż tyle już łez nad tém nieszczęściem wylanych było, jeszcze w mojém przekonaniu ta plama nie jest zmytą ani z owczarni ani z jéj pasterza... A, tu z oczów sędziwego plebana puściły się znowu łzy gorzkie i obfite, łzy tym oczom niezwyczajne.

Cnotliwe ubóstwo.

Stanisław Inoski przeznaczony był z dzieciństwa na dosyć majętnego człowieka, ale w młodym wieku zubożał zupełnie, i o mało co bardzo ubogim po wszystkie dni życia swego nie został; bo już nachylała go starość, a on jeszcze żadnego polepszenia w obecnym bycie się nie spodziewał.

Urodził się szlachcicem i dziedzicem wioski, któréj cząstkę najlichszą dziś od wierzycieli rodzicielskich dzierżawił; dziad i Ojciec jego zasiadali w piérwszéj ławce tego samego kościoła, w którym on teraz w dnie świąteczne zaledwie w ostatniéj, szczupłe mógł upatrzyć dla żony miejsce. Kiedy był małym chłopczyną, i z zabawką w ręku biegł przez wieś igrając, umykały mu się dzieci wiejskie z drogi, włościanie stawali zdejmując czapki, a ich żony skłaniały się do nóg małego panicza; dziś szedł poważnym krokiem, włos siwy okrywał mu czoło, spracowaną ręką cepy lub kosę dźwigał, albo li też pług z wołami prowadził przed sobą, a nikt mu się nie umykał z drogi, i zaledwie który z sę-

dziwych gospodarzy dotknąwszy się czapki, witał go słowy: *Niech będzie pochwalony....*, Stanisław Inoski nie był przecież nieszczęśliwym, ani też nie poniżał szlachetnego rodu; pracował, potem swoim oblewał ziemię; lecz kogoż uczciwa, choćby najcięższa i najprostsza praca zniweczy lub upodli? Nie urosł wprawdzie na rolnika, nie nawykł odrazu do pługa i do radła, ale kiedy starego Ojca wierzyciele wyzuli ze wsi, i wypędzili ze dworu, kiedy z całego majątku został mu tylko kawał nieurodzajnéj dotąd ziemi i nędzna chatka, piętnastoletni Stanisław wyrzekł: „Ja pracą rąk własnych Ojca wyżywię!“ i dotrzymał słowa. Nie mogąc opuścić sędziwego starca, który ani żony, ani innych dzieci, ani przyjaciół już niemiał, nie mógł iść w świat szukać chleba; i wreszcie na cóżby za nim gonił daleko, mając go pod ręką? Wziął się więc do najprostszego i najprędszego sposobu wyżywienia Ojca: uprawiał pilnie kawał jałowego gruntu, który ich chatę otaczał; odpowiedziała staraniom jego wdzięczniejsza często od ludzi ziemia. Ojciec do śmierci nie poznał, czém jest niedostatek i praca? ale poznał co to są wyrzuty sumienia? bo dręczyła go przy zgonie myśl sroga, iż takiego syna bezrządem, majątku i wyższego w towarzystwie miejsca pozbawił.

Czas ze wszystkiém człowieka oswajać umié. Stanisław, ledwie lat dwadzieścia skończył, kiedy zapomniał prawie zupełnie, że kiedyś był paniczem; praca ciężka, praca koło roli, zdawała się być przyrodzoném jego rzemiosłem; a chociaż los tak zmiennym dla niego się okazał, on przecież Opatrzność wielbił, i tak pod pogodném niebem swobodnego dzieciństwa, jak w pośród chmur i nawałnic późniejszego wieku, żył dzień za dniem, rok za rokiem, w tém lubém zaspokojeniu, które rozweselać zwykło mieszkanie cnotliwego ubóstwa. Własnemi rękami już czterdzieści razy zorał i zasiał grunt niegdyś jałowy i nikczemny; już przyłączył do niego łan przyległéj ziemi, z którego dzierżawę

nowym dziedzicom wioski swojéj płacił; już od lat kilkunastu pomagali mu do téj pracy dwaj dorodni synowie, dla których w dziecinnym jeszcze wieku szczęściem było największém, dzielić z Ojcem zatrudnienia jego. Stanisław bowiem nigdy nie próżnował; łopatka i kosa, nożyce i cepy, radło i płużyca, kolejno obejmowała ręka jego, i nie było w domu zrzynku odzieży, którychby on nie zapracował krwawo. Gdzieżby więc szukać uboższego człowieka? cały jego majątek był w rękach, a taki każdy posiada; wszyscy go téż niemal nędznym zwali, każdy nad nim ubolewał, wspomniawszy szczególnie na ród jego; on jeden nędzy i nieszczęścia w przeznaczeniu swém nie widział: twarz jego była zawsze wypogodzona, uśmiéch szczery, a modlitwy wieczorne i poranne dziękczynieniem kończył.

Latwo wystawić sobie obraz żony podobnego człowieka. Ta, która chciała podzielić los zubożałego panicza, i życie całe ciężkiéj poświęcić pracy, musiała być jak on uboga, szlachetnie urodzona i myśląca, skromna, cnotliwa, pracowita. Taką téż była Krystyna.

Mąż jéj patrząc na nią mówił, *że skarb prawdziwy w niéj znalazł*, i w jéj sercu *pociech nad wszystkie pociechy używa*. Łagodna i rozsądna, a przecież żywa i wesoła, dom był dla niéj światem i niebem; a jeśli słabsze choć zawsze czynne jéj ręce, dostatków w niego wprowadzić nie mogły, odpychały nędzę, i wszelkie jéj pozory. Jak owa dzielna niewiasta, *chleba w próżniactwie nie jadła: szukała starannie lnu i wełny: pracowała przemysłem rąk swoich, a łuczywo robocie jéj przyświęcające, często i w nocy nie gasło. Nie bała się téż dla dziatek swoich słoty i mrozu: każde z nich po dwie suknie miało: a ochędostwo i cnota własnym jéj strojem były.* Z dziesięciorga dzieci, które mężowi powiła, Bóg zabrał im troje; jak żyjące trudem i pracą wyżywić, odziać, nawet wyuczyć wielu rzeczy potrafiła, tak umarłe za jéj staraniem uczciwie i przyzwoicie pogrzebane zostały, a śmierć

każdego z nich taką boleścią i jéj i męża przejmowała serce, jak gdyby bogaczom jedynak umarł. Mile też i jedyne były te dzieci. Ród szlachetny i dawna rodziców zamożność, nie dając im próżnéj i chełpliwéj dumy, uchroniły ich jednak od wdawania się z wiejskiemi dziećmi. Nikt nie zobaczył żadnego z nich grzebiącego w piasku przy drodze, albo szczującego psami obdartego żyda lub dziada. Daleko pracowitsze od chłopiąt, równie czerstwe i silne, nie miały tego co one prostactwa, a biegłość w czytaniu i w Piśmie Świętém, prawdziwa pobożność, czystość mowy, ochędostwo odzieży, przy najprostszéj pracy wyższy początek zdradzały. Już dwoje średnich, syn i córka służyli w sąsiedzkich dworach, a dwie córki i trzech synów, jedni dorośli, drudzy dorastający, byli w domu. Uboga prawda, ale szczęśliwa, bo pobożna, pracowita i kochająca się rodzina! Wiele jest w Polsce chatek podobnych napozór do chatki Stanisława, ale niestety! nie wielu tak pobożnych, rozsądnych i pracowitych rolników pod słomianym ich dachem mieszka; nie wiele istot jak on szczęśliwych gruba sukmana przykrywa.

Wędrownik zwiedzający lewy brzeg Wisły i piękne Janowca rozwaliny, (w których to stronach mieszkał) tysiące podobnych chatek i rolników w wioskach tamecznych spotyka, i mija ich nie zważając; gdyby się jednak lepiéj przypatrzył, wnetby rozróżnił Stanisława i chatkę jego. Stoi ona opodal odewsi nad czystym strumieniem, niegdyś była młynem; niema już śladu kół, upustu, mostów, słoma dach gontowy zastąpiła, ściany na pół łokcia wpadły w ziemię, ale okna w niéj większe jak w innych chatach, wszystkie szyby całe i jednakowe, sień i podwórze czysto wymiecione; nie trzeba się schylać stanąwszy w progu, a wchodząc do izby nie uderza zaduch, ale zapach liści tatarakowych, któremi przez całą piękną porę wysypana, twardo i równo ubita podłoga. Na ścianach co rok świeżo bielonych, nie wiszą żadne gryzmoły, jeden tylko jest obraz Świętéj Dziewicy

z Boskiem Dziecięciem, i prawie zawsze wieńcami z kwiatów zdobiony. Ławy, stoły i stołki z prostéj olszyny lecz co tydzień myte: w szafie stoją dwoma rzędami miski polewane, między każdą z nich sterczy drewniana łyżka, a te sprzęty lubo proste, obudzają apetyt czystością swoją. Na piérwsze wejrzenie zdawać się może, iż ta chatka wśród nieurodzajnych łanów stoi: po jednéj stronie bagniste zarośla, po drugiéj wzgórza piaszczyste, jałowcem, berberysem, wrzosem, gdzie niegdzie świeżą hoinką okryte, ale przypatrzywszy się lepiéj, korzystniejsze można powziąść o jéj położeniu mniemanie. Od tych jałowych obszarów, od tych bagnistych zarośli, dzieli ją sad, ogródek i rodzajne pole. Odmienna na zagonach ziemia świadczy o cierpliwym przemyśle tego, który niepłodne i spalone piaski w żyzną rolę zmienić potrafił. A kiedy zachodzące słońce to miejsce oświeca, kiedy ptaszki gnieżdżące się w sadzie odzywają się ptaszkom mieszkającym w bagnistéj zaroślі; kiedy skowronek z pośród bujnéj pszenicy, która tam dotąd nigdy nie rosła, wznosi się w górę i nuci piosnkę swoję; kiedy najmłodszy syn Stanisława siedząc oklep na koniu, woły i krówki z pola przygania, najmłodsza córka pędzi przed sobą prostych owiec stado, druga wieczerzę przyrządza, Matka stojąc we drzwiach drób domowy zwołuje, Ojciec z workiem zboża na plecach wychodzi ze stodoły, a starsi synowie śpiewając z roboty wracają: wtedy to miejsce rajem ubóstwa, mieszkaniem cnotliwéj pracy, ułamkiem patryarchalnych wieków się zdaje...

Ale nie zawsze ta luba chatka tak miły stawiała widok; to siedlisko pracy, wesołości i zaspokojenia, mieściło także nieraz smutek w ścianach swoich. W mieszkaniu ludzkiém najlepiéj strzeżoném, nieszczęście drzwi otwarte upatrzy.

W zeszłym roku, przed samemi żniwami, najmłodsza córka Stanisława i Krystyny, wesoła Justysia, na mocną zapadła gorączkę: już od tygodnia nie pędziła w blizkie

wrzosy owieczek swoich, i w srogich leżała cierpieniach. Był to sobotni wieczór, i dziewiąty dzień jéj choroby. „Czy będzie żyła, czy umrze?“ ta okropna wątpliwość zaczynała w umyśle jéj rodziny powstawać! Już się zdawało, że zaledwie godzin kilka tę niewinną istotę od nieba przedziela; już wszystkie oznaki zgon blizki zwiastowały!.. Rodzice, którzy kilkoro dzieci stracili, wiedzą najlepiéj jak się zmienia zupełnie twarz ludzka, w owéj ciężkiéj chwili, kiedy dusza od ciała się oddziela; a i Stanisławowi i Krystynie, stojącym nad łóżkiem zmienionéj Justysi zdawało się, że widzą jak cień zbliżającéj się śmierci na twarz ich dziecka zachodzi, i z okropném ściśnieniem serca myśleli sobie: „Umrze, jak tamte pomarły!“ Lekarz téj okolicy, o dwie mile mieszkający, spodziewany był co chwila, i nie jedne oczy łez pełne zwracały się często ku jałowcom, z pośród których miał przybyć. Córka będąca w służbie, przyszła ze wsi poblizkiéj pilnować siostry przez tę noc; przyszła na tę jedną noc, bo ubogi musi pracować, nawet w żalu swoim, a sługa płatny służyć musi temu, którego chléb jé, czy ciało jego, czyli serce chore. Druga z córek, siedząc smutnie ze zwieszoną głową, obierała jarzynę na wieczerzę; syn najmłodszy i za siebie i za siostrę bydło i owce przypędzał z pola, starsi wraz z Ojcem przyrządzali na poniedziałkową pracę narzędzia rolnicze. Duch życia panował w chatce, lubo śmierć już czatowała na jednego z jéj mieszkańców, lubo dziewczę nadobne zniknąć miało z téj ziemi, jak niknie świeżość zerwanego kwiatu, albo dźwięk śpiewu słowika... Pomimo gorzkiego smutku i szczerego przywiązania, bracia i siostry Justysi czynili przecież zadosyć codziennym powinnościom, jak gdyby zdrową była. Ubogi opuścić rąk nie może, w największém zmartwieniu pracować musi, i w tém chociaż napozór nieszczęśliwszy od bogatego, szczęśliwszym jest w istocie. W ten więc sobotni wieczór, rodzeństwo konającéj Justysi pracowało jak codzień,

ale coraz jedno z nich zaglądało do komory, gdzie na łóżku Matki leżała, a załamując ręce, patrzyło choć moment na tę lubą dziewczynkę, która przed kilku dniami żywa i płocha jak motyl, nie dłużéj jak motyl na miejscu usiedzieć mogła, a teraz leżąc prawie bez duszy, nie słyszała słów koło niéj wymawianych, nie czuła pocałowań i łez, które rodzeństwo na gorące i schudzone jéj ręce składało!..

Nędza uczucia ostudza, bo serce upadla, ale cnotliwe ubóstwo wzmaga je i czyści. Ta konieczność pracowania wspólnego, ta potrzeba sił i pomocy wzajemnych, łączy ściśle męża z żoną, rodziców z dziećmi, braci z siostrami, a kiedy rodzina uboga w czasie zimowego wieczoru obsiędzie ognisko, i niema którego z jéj członków, mocniéj takową stratę czuje, jak pan w złocistych pokojach. Lecz z drugiéj strony ciężar pracy, dzień każdy z trudnością opędzony, broni ubogich od zbytniego w tém życiu zamiłowania, i jest w smutku cnotliwego ubóstwa mądre umiarkowanie, które czyni, że spokojnie na śmierć patrzy, i zwolna do drugiego gotuje się życia.

„Jak się panu zdaje? ona umrze!“ zapytał Stanisław dosyć pewnym głosem lekarza, który na zmęczonym koniu od innego chorego przyjechawszy, stał nad łóżkiem choréj dziewczynki, a złożywszy ręce patrzył w nią pilnie, jak gdyby wskróś ją chciał przejrzéć. Lekarz znał dobrze rodzinę, w pośród któréj się znajdował: znał odmianę jéj losu, nieszczęścia których doznała, a wziąwszy rozpaloną rękę dziewczynki w swoje, i zważając pilnie bicie krwi w jéj żyłach powiedział: „Póki jest życie, póty powinna być i nadzieja; ale jednak tego zataić nie mogę, że późno daliście mi znać: dziecię już prawie kona!“ Żadne głośne jęki nie odpowiedziały tym słowom: wyrok ten, o którym każdy wiedział, lubo nie przyznawał go przed samym sobą, ścisnął tylko mocniéj już ściśnięte serca, zbladły bardziéj blade już twarze, łzy sączące się dotąd popłynęły strumieniem, ale

gwałtowna, na nic nie uważająca rozpacz słyszéć się nie dała; wiedzieli oni, *że kto rozpacza w dzień ucisku, umniejsza się siła jego; wznieśli oczy ku niebu i rozszerzyły się ich serca:* a śmierć i nieszczęście już znane w tym domu, jak pierwéj tak i teraz świętą trwogę, nie zaś srogi postrach wzbudziły. Tymczasem dziwne wyobrażenia roić się zaczęły w miotanym coraz gwałtowniejszą gorączką umyśle dziewczęcia: marzyły jéj się codzienne jéj zatrudnienia i zabawy; wymawiała różne słowa, a te które zrozumiéć można było, rozrzewniały przytomnych: zdawało się raz dziewczęciu, że w zielonych jałowcach wśród gęstych wrzosów owce swoje pasie, i zasłoniwszy główkę białą chustką, siedzi na piasku ognistém słońcem wygrzanym; to znowu do obrazu Świętéj Dziewicy z pachnących gwoździków i wrzosu kształtne plotła wianeczki; to od Ojca Pisma Świętego się uczyła, to znowu jakby śpiewać chciała. Tak była wycieńczona, tak mało krwi było w jéj żyłach, i tchu w piersiach, że głośno i wyraźnie śpiewać nie mogła; przecież niekiedy wymykały się ułamki z ulubionych jéj śpiewek i pieśni, a sam lekarz zasłoniwszy sobie twarz rękoma, odejść od łóżka musiał, kiedy dziecię zamknąwszy czarne oczy, które dotąd błędne i otwarte tu i owdzie patrzyły, zanuciło te słowa z Psalmów Dawida:

Mam wszystko, bo mnie mój Pasterz pasie;
Chodzę, gdzie bujna pasza wzmogła się,
Gdzie płyną źródła niezamącone:
W tę duszę moję obracam stronę...

„Wyjdźmy wszyscy ztąd, powiedział lekarz, może lepiéj będzie; niech Matka sama przy niéj zostanie!“ Wyszli wszyscy i siedli w milczeniu na wiejskiéj ławie przy piecu będącéj. Pomału powstali wszyscy prócz lekarza, i każdy wrócił do przerwanéj na chwilę jego przyjazdem roboty. Córka będąca w służbie, wyręczając Matkę, wzięła szkopek

i poszła wydoić krowy; druga wystawiła stół na środek izby, obstawiła go stołkami, dobyła z szafy misek i łyżek, odsunęła od ognia gotujące się kartofle, odcedziła wodę, wlała smażącą się w rynce okrasę, potrząsnęła kilka razy i wysypała na wielką misę; bochen ogromny razowego chleba i nóż z kościanym trzonkiem położyła na stole, i do wieczerzy cichym głosem wezwała. Stanisław rzekł do lekarza: „Panie! może nie wzgardzisz ubogiego strawą? Kasiu! dajno jeszcze dzbanek mléka i séra krajankę!“ Usłuchała Kasia, zbliżył się lekarz do stołu, usiadł; Stanisław i jego dzieci przeżegnawszy się usiedli także. Próżny a najwyższy stołek stał przy stołku Ojca, nikt go nie zajął; Kasia przez nieuwagę go postawiła, a już odstawić nie śmiała... Głębokie milczenie trwało w czasie skromnéj wieczerzy, zjedli i wstawać mieli, kiedy człowiek konno jadący wpadł na podwórze, stanął przed drzwiami chaty, wołał głośno, że ma list do Stanisława Inoskiego, a klnąc straszliwie, domagał się choć kieliszka wódki za drogę. Koń lubo zgrzany, rżał i twardą ziemię nogą skrobał. Najstarszy syn wypadł do sieni, a schwyciwszy konia za cugle, odprowadzić go chciał odedrzwi; posłaniec może przelękniony rozgniewaną postacią młodzieńca, rzucił mu list, a zakląwszy raz jeszcze, pojechał. Stanisław odebrał list z rąk syna, i spojrzał na niego surowo. „Bałem się, powiedział młodzieniec, żeby krzyki jego i stąpanie konia Justysi nie zlękły!“ Stanisław trzymał list w ręku, wahając się czy go otworzyć? „Mój Ojciec wszystkiego odstąpił, powiedział do lekarza siedzącego jeszcze wraz z nim przy stole; wszystko mu zabrali na wypłacenie długów, cztérdzieści lat żyłem spokojnie w ubóstwie mojém, odkrył się niedawno wierzyciel dotąd niewiadomy, i ten mnie prześladuje; chciałby mi zabrać tę chatę, ten łan gruntu, te liche sprzęty: już miałem pozew jeden, obawiam się drugiego!“ To mówiąc odpieczętował list, i zaczął go przebiegać oczyma. Wtém

Krystyna uchyla zcicha drzwi komory, blada i bez tchu nówi: „Już kona!“ Lekarz i Ojciec wstają, biegną; rodzeństwu cisnącemu się za niemi zostać w izbie rozkazują. Posłuszni siadają w milczeniu i płaczą. Starsza córka wstrzymać się już nie mogąc, zaczyna płakać głośno; wychodzi lo niéj Ojciec i strofuje ją: „*Pan dał, Pan odjął*, mówi, *iako się Panu upodobało, tak się stało! niech będzie Imię Pana błogosławione!..*“

Kiedy tak mówi, otwiérają się drzwi od sieni, i ten który od lat dwudziestu pokój i pociechę do chat włościan niesie, stawa przed nim. W wieczór sobotni pleban wioski, v któréj Stanisław mieszkał, gotując się na niedzielną nakę nie wychodził z domu, nie odwiedzał nikogo, chyba konających łoże. Właśnie Stanisław dziękując mu za dobroć ego, mówił z boleścią, że już dziecię dogorywa, gdy wyszedł lekarz z komory i powiedział: „Zdaje się, jakoby ręka Boga trzymała to dziecię między śmiercią i życiem; kto wié? może strona życia przeważy; teraz nieco spokojniejsza, usypia: jeśli uśnie, ręczę, że jéj nic nie będzie.“ Wszyscy v gotowości byli do przyjęcia nieszczęścia i śmierci, ale do radości i do życia nikt usposobionym nie był; i te słowa pocieszające lekarza, więcéj zamieszania sprawiły, niźli piérwszy wyrok jego. Siostry Justysi zaczęły łkać na głos cały; stara Salomea, Krystyny jeszcze piastunka, padła i zemdlała; najmłodszy brat wyskoczył z za pieca na środek izby, a wołając na psy, głaskać je zaczął i mówił do nich: „Podnieście uszy, nasza Justysia żyć będzie!“

Tymczasem dziewczynka zasnęła, i sen jéj był spokojny i głęboki. Lekarz ręczył, że jéj nic nie będzie; pleban widząc że niepotrzebny, odszedł; Stanisław wtedy powiedział: „Dzieci! nasze szczęście całe jest w naszéj wzajemnéj miłości, i w poddaniu się zupełném woli Pana; *jako w ogniu próbują złoto, tak Pan różnemi sposobami serce człowieka;* tak i dziś obszedł się z nami, zmartwił i pocieszył; okazał

nam nadewszystko, jak wiele więcéj ważą skarby, które w sobie posiadamy, od wszelkich bogactw. Powrót do życia naszéj drogiéj Justysi, nie jestże większym darem, jak byłby powrót do majątku? Czyż każdy z nas, gdyby tylko był tak bogatym, nie zasypałby chętnie złotem jéj grobu, byle ją od niego okupić?“ Nie było nawet odpowiedzi na to zapytanie, tak wiele zgodności panowało w uczuciach całéj rodziny; ale jednak ta mowa Ojca podała im dziwne myśli i najstarsza córka spytała się: „A ten list? czy pozew? O! niechby sobie przyszedł teraz zabiérać wszystko, byle Justysi łóżka nie tknął: mniejsza o resztę. Jeszcze są kartofle w polu, jeszcze jest woda w zdroju, jeszcze jest Bóg w niebie, nie umarlibyśmy z głodu!“ — „Nie pozew, wcale nie pozew!“ odpowiedział Stanisław z uśmiechem, a stojąc we drzwiach komory, dał znać żonie żeby przyszła. Ona siedziała przy łóżku córki, i z radością przechodzącą wszystkie radości, patrzyła na jéj sen spokojny, i na coraz jednostajniejszy jéj oddech; nie chciała odejść, ale mąż cichym głosem wyrzekł: „Chodź! konieczna jest tego potrzeba!“

Wstała więc i poszła, oglądając się jeszcze na dziecię. „W chwili, kiedy nasza Justysia konała, odebrałem list ważny, powiedział Stanisław, ale cóż wtenczas ważnego być mogło? Przeczytawszy go więc naprędce, schowałem; teraz, kiedy o nasz skarb najdroższy spokojni być możemy, chcecież bym go raz jeszcze głośno i uważnie przeczytał?“ „Dobrze!“ zawołali wszyscy. Zabrał więc głos, i list ten zdziwieniem mieszkanie ubóstwa napełnił. Daleki krewny Stanisława Inoskiego, który go się wstydził za życia, w testamencie swoim 10,000 złotych mu zapisał. „Ta summa, powiedział Stanisław, nie jest tak znaczna, ażeby nam miała zawrócić głowę, i wbić tę myśl, żeśmy znowu na panów wyszli; ale za jéj pomocą, zapłacę wierzyciela, te kilka morgów, z których dzierżawę płacę, kupię, chatkę naszą poszyję i wybielę, obórkę nową postawię, dwie krowy i dwa-

dzieścia owiec dokupię, jaki tysiąc złotych od przypadku gradu, mrozu albo ognia schowam, i nasz byt znacznie się polepszy. Oby tylko Bóg, którego Opatrzność tak jawnie dziś nad nami się okazała, dopomógł ażebyśmy Go i w smutnéj i w weselszéj doli zawsze jednako wielbili!“

„Ojcze! może teraz mnie oddasz do którego miasteczka do szkoły? powiedział najmłodszy syn, jabym się chciał uczyć, być potém stolarzem?“—„A z ciężką robotą w polu, już się na synów spuszczać będziesz, powiedział najstarszy. Do zagona, ty Ojcze, orz zawsze, bo jeszcze żaden z nas tak równo skib odwracać nie umié, ale inne prace zostaw silnym ramionom naszym, a sam częściéj na ławie koło komina spoczywaj!.. Już téj zimy nie damy ci młócić przy łuczywie, jakeś tamtego roku robił; już czas, żeby synowie pracowali za ciebie!“—„A Justysi, sprawisz Ojcze spódniczkę w czerwone paski, zawołała Kasia: już tak dawno jéj sobie życzy!“ „Dobrze! dobrze!“ odpowiedział Stanisław, spoglądając na rozrzewnionego lekarza. Krystyny już dawno koło niego nie było: zdało jéj się, że Justysia się ruszyła, i słowo „Matko!“ szepnęła; i jeszcze mąż listu czytać nie skończył, kiedy już do niéj pobiegła.—Mało snu było téj nocy w chacie Stanisława, ale ten wieczór sobotni na zawsze im pamiętnym został; a gdy nazajutrz mała Justysia obudziła się przed świtem blada, słaba, niezdolna obrócić się o swéj mocy w łóżku, ale bez obłąkania w oczach, bez gorączki w żyłach, z pamięcią w umyśle, z rozsądkiem w słowach, z uczuciem w sercu; kiedy poznała Matkę i Ojca, po imieniu na rodzeństwo wołała, rodzina cała prawdziwie była szczęśliwą; a Stanisław przy Mszy parafialnéj pierwéj dziękował Bogu za powrót dziecięcia do życia, a dopiero potém za niespodziane obecnego bytu polepszenie.

Kominek.

Ogień od dwóch godzin suto się palący na obszernym kominku, już nieco wolniał; już głownie spłonione rysując się na różne strony, padały jedna za drugą i kruszyły się w węgle; już coraz czerwieńsze, a mniéj jasne i mniéj pewne światło, przy spóźnionéj wieczornéj porze, niedokładnie oświecało przedmioty, kiedy przyjazna ręka wrzuciła na żarzące się węgle, wiązkę suchéj brzeziny: wnet skry się sypnęły, biała kora pukać i odstawać zaczęła, płomień jasny i wesoły ogarnął drzewka, oświecił dużą, czystą, porządnie zastawioną izbę. Nie mógł być jednak ten płomień jaśniejszym, ani też weselszym od twarzy tych, co kominek otaczali. Był to poczciwy i zasobny rękodzielnik z żoną, z czworgiem dorosłych już dzieci, i z dwiema małemi sierotami które był wziął w opiekę; po sześciu dniach ciągłéj i ciężkiéj pracy, używał swobodnie dnia siódmego: siedział na wygodném krześle, w ciepłéj czamarze; w lewéj ręce trzymał już tylko kęsek jeden ze sporéj przylepki świeżego chleba, kawałkiem białego indyka okrytéj; a prawą nadstawiał żonie szklenicę, w którą ona z dopiero co odetkanéj butelki, lała z góry pieniące się jak bita śmietana, tłuste jak oliwa piwko. Trzech synów dorodnych siedząc na ławce, zajadali z równym smakiem jak Ojciec, większe jeszcze chleba i indyka kawałki, a młodsza od nich piętnastoletnia siostra, już po drugim, dwom małym sierotom krajała.

„Niech żyje Niedziela!“ — zawołał tu Ojciec, wychylając jednym tchem nalaną sobie przez żonę szklenicę. „Niech żyje!“ powtórzyli razem synowie jego; a każdy z nich powstawszy, z wierzchu komina zdjął szklankę i skłonił się Matce, prosząc żeby i im wybornego udzieliła piwka. „Niech

żyje dzień spoczynku! — zawołał jeszcze Ojciec, ale po sześciu dniach pracy; ten, który przez cały tydzień jé takiego indyka, pije takie piwko, i ma czasu tyle, że może tak codzień założywszy ręce, kilka godzin przy kominku z żoną i z dziećmi strawić, ten zapewne uciechy niedzielnéj, tak jak my nie czuje; bo po czémże ma spocząć ten, który się niczem nie męczył? ale my Bogu dzięki, nie na próżniaków się urodzili; każdy kęs chleba, własną ciężką zarobiony pracą, dla tego też smaczny. — Jużem miał lat trzydzieści, już mi ta moja Małgosia wpadła w oko, a jeszczem nic nie miał — ale dał Bóg rąk parę, zdrowie i ochotę. Jam pracował, Małgosia może jeszcze więcéj, dotąd pracujemy, i oto mamy w tém mieście domek własny, fabrykę sukna znaczną i dobrze opatrzoną; a możeby i w kantorku kto co znalazł, gdyby szukać umiał?“ — „Jednak mnie to zawsze trapi, kochany Ojcze, przerwał tu syn najstarszy Karol, że wy się tak męczycie. Od tylu lat pracując, jużby wam czas było spocząć.“—„Uwija mi się to po głowie, dziatki moje, czuję że sił potrochu ubywa, siódmy krzyżyk już człowiek znaczy; a jak po sześciu dniach roboczych Bóg pozwolił ludziom siódmy dzień odpoczynkowi i modlitwie poświęcić, tak też może i po sześciu dziesiątkach pracy, starości spocząć wolno, i już nie pracą, ale samą modlitwą Najwyższego chwalić: kto wié, może starość Niedzielą jest życia?.. Rad więc jestem, iż przy tylu innych rzeczach, o których dziś gawędziliśmy przy tym kominku, i do téj przyszło. Jużeście wszyscy trzej synowie moi dorośli, Bóg wam dał zdrowie i rozgarnienie, posyłało się też was do szkoły, umiecie, co człowiekowi uczciwemu umieć przynależy, czytać, pisać, rachować, po niemiecku; od dzieciństwa zawsze koło mnie w fabryce, przy warsztatach, jużeście obeznani z rzemiosłem sukiennika, jak moja Polusia ze spiżarnią Matki; przytém kochacie się szczerze; nie słyszałem między wami kłótni, słów przykrych; do posługi trzech was, do

posłuszeństwa i zgody jakby jeden; prócz tego każdy ma jakby szczególną zaletę swoję: Henryk wié najlepiéj, jaką i kiedy skupować wełnę; przy Ludwiku farbowanie niemal tak dobrze idzie jak przy mnie, a kiedym w zeszłym roku na ten ból suchy dwa tygodnie w łóżku leżeć musiał, pod dozorem Karola jeszcze żywiéj szła fabryka, bo on całéj czeladce przykład dawał z siebie, żadnéj nie dosypiając nocy. Wam zatém chcę powierzyć fabrykę moję, od téj Wielkanocy. Właśnie na ten nowy rok tak mi się udało, że co było dłużków, spłaciłem; zasób wełny jest znaczny, gotowych postawów kilkadziesiąt, zamówionych tyleż, czeladników kilku mam walnych chłopaków: wszystko więc idzie jak w zégarku, tylko ciągłego oka, częstego nakręcania potrzeba. Przez trzy lata, jeśli Bóg da życia tyle, będziemy tu mieszkać z wami, fabryka będzie jeszcze pod mojém imieniem i ja o wszystkiém chcę wiedzieć, bo to będą trzy lata próby dla was, a spoczynku dla mnie..." „Nic słuszniejszego—powiedział Karol—każdy z nas od chwili urodzenia swego, z jakie lat dziesięć spoczywał, to jest nic nie robił, a wy Ojcze pracowaliście na nas; oby dobry Bóg nagradzając ten każdy synów twoich dziesiątek, jakie trzydzieści lat życia wam jeszcze użyczył!"—

„A czemuż, bracie, i mego dziesiątka nie rachujesz?" wyrzekła z słodką wymówką, łagodna Polusia? „Bo ty siostro, nie tak długo jak my — odpowiedział Karol — nieużyteczną rodzicom byłaś; dopiero masz lat piętnaście, a my podobno nie nosili innych pończoch tylko twojéj roboty, i jak cię zapamiątam, ty zawsze koło domu się krzątasz, Matkę wyręczasz, Ojcu usługujesz." — „Tak, ale ja téż nigdy pracować za niego nie będę mogła..." „Przestańcie tych sprzeczek kochane dzieci — zawołał tu Ojciec — Bogu i poczciwéj waszéj Matce dzięki, która zawsze mało mówiła, a robiła dużo, wszystkieście jak Bóg przykazał; i każde z was to wypełnia co do niego należy. Niech tylko tak daléj z wami

będzie, a wszystko dobrze pójdzie. Tak dziatki moje, już rzecz ułożona, od Wielkanocy, wyście wspólnie na czele fabryki; każdy weźmie na siebie wydział jeden. Polusia gospodynią waszą, a ja chcę tylko wiedzieć o wszystkiém i być kassyerem; bo co pieniążków, chłopcy moje, to wam jeszcze nie oddam, aż za lat trzy: wtedy już fabryka zupełnie będzie waszą pod firmą *trzech Braci*, a ja nawet z żoną ztąd się usunę. Przez te trzy lata za te pieniądze, co to spoczywają w kantorku, postawię sobie domek szczuply ale wygodny, i tam z moją Małgosią Boga chwalić, piwko spijać będziemy, patrząc na szczęście i na zgodę waszą. Tymczasem zaś, każdy z was już od téj Wielkanocy pensyjkę stósowną do naszych dochodów pobierać będzie; co się zaś w piérwszym roku od wydatków domowych okroi, to będziemy zbierać dla Matki waszéj; młodsza ona odemnie o lat dziesięć, oczywiście że ja pierwéj od niéj umrę: niechże ma wtedy jaki taki swój grosik, choćby na bułki dla przyszłych wnucząt. Co w drugim zbierzemy, schowa się na wyprawę dla Polusi; tylko patrzeć rychło nam to dziewczę jaki chłopak porwie; co zaś w trzecim roku uciułamy, odłoży się dla tych dwóch sierot, którym przy łóżku konającego przyjaciela obiecałem opiekę.“—Cała rodzina jednogłośnie pochwaliła zamiary starego sukiennika, synowie ze szlachetną dumą, żona ze łzą w oku, Polusia z żywym rumieńcem, ucałowali ręce jego, a dwie małe sieroty choć nie wiedziały dobrze o co rzecz idzie, ściskały także jego kolana; stary nawet pies domowy, Bryś wierny, widząc tę radość, cieszył się i lizał nogi pana. — No! Bogu dzięki, zawołał Ojciec, iż się wam mój układ podobał... Żono, dawaj piwka, i sama naléj sobie szklankę pełną; wypijmy jeszcze raz na wiwat: daléj chłopcy do szklenic, i ty dziewczyno, nie wstydź się, i nie sznuruj buzi.

Szklanki w górę! Pijmy wiwat mądry układ, wiwat przyszłość!“ I wypili tcbem jednym; głośne śmiechy, puste

żarciki rozległy się po izbie, a ognisko kominka, ogniskiem swobody i wesołości się zdawało. Kiedy się ciągnęły w najlepsze, zégar z kukułką w rogu izby będący, bić zaczął; Ojciec nakazał milczenie i rachował godziny na palcach. Gdy już ostatni przyłożył: „Czy być może? zawołał, dziesiąta! dzieci spać, jutro o czwartéj wstać trzeba; ostatnie to już dwa miesiące panowania mego, trzeba dobry przykład następcom swoim zostawić... Polusiu, dołóż-no jeszcze wiązkę suchéj brzeziny, niech nam na *dobranoc* suty ogień zaświeci, a im prędzéj, im jaśniéj zabłyśnie, tém lepsza noc, tém szczęśliwsza przyszłość będzie...“ Jasny jak promienie słońca ogień objął w jednéj chwili wiązkę całą; poszła spać wesoła rodzina, pełna najlepszych nadziei, z równą szybkością sen smaczny każdego z nich ogarnął; ale pomimo tego, noc dobrą nie była... Koło północy dym i swąd nadzwyczajny przebudził Matkę; zaczęła wołać na męża, i wnet zmiarkowali co się to znaczy! ogień był w domu, i niestety! już nie do ugaszenia. Zajął się pod strychem, jak się zdaje od źle wytartych w kominie sadzy; pomimo najgorliwszego ratunku policyi, wojskowych i wszystkich niemal miasta mieszkańców, ów zasób wełny, owe postawy sukna, a co większa, machiny, warsztaty, wszystko zgorzało, zaledwie rodzina i czeladź z życiem uciekła; i to Karol w wielkiém był niebezpieczeństwie, bo kiedy już cały dom ogarnęły płomienie, on rzucił się w ogień dla wyratowania dwojga sierot spokojnie w łóżeczku śpiących. Wyratował je: mógł był wtedy i pieniądze wyjąć z kantorka, bo ten stał obok; ale w radości, że dwom istotom ludzkim życie ocalił, zapomniał zupełnie o pieniądzach; a trzymając zdrowe dzieciny, pewny był, że już innych skarbów na świecie nie ma... Poszły więc z dymem te pieniądze, gdyż po ugaszeniu pożaru napróżno ich szukano, ściągnęła je pierwéj jakaś chciwością ośmielona ręka...

O! znikomości rzeczy ludzkich! jeszcze jedna doba nie

upłynęła, kiedy przy tém samém ognisku, gdzie wczoraj tak wesołe i pełne nadziei spełniano wiwaty, stały téż same osoby wybladłe, ze spuszczoną głową, z opuszczonemi rękoma, zaledwie okryte, i patrzały na ten kominek rozwalony, na te belki okopcone, na te szczątki sprzętów, na szkła opalonego kawałki, słowem na to okropne i wymowne zniszczenia widowisko, które pożar zniszczonego domu, obojętnym nawet, a cóż dopiero właścicielom wystawia. „Bóg tak chciał!“ wyrzekła nareszcie Matka; ale, pójdźmy ztąd— dodała, wiatr mroźny powstaje, już się ściemnia.“ „I gdzież pójdziemy? mamyż gdzie pójść? mamże gdzie spokojnie starą głowę położyć?“ wyrzekł z goryczą Ojciec. — Wiesz, że ocalał lamus murowany, tam jest izba osobna, tam głowę spokojnie położysz...“ I zaprowadziła do lamusa całą rodzinę. Zdziwił się stary Ojciec, zdziwili się synowie widząc go już do mieszkania usposobionym. Kiedy oni dzień cały strawili nad rozpoznawaniem niepowetowanych szkód, Matka wraz z Polusią wyczyściła izbę przy lamusie będącą, dobrzy sąsiedzi, przyjaciele, na których poczciwym ludziom nigdy nie zbywa, naznosili sprzętów, pościeli; i w téj izbie był kominek, bo tam Polusia w lecie mléko na séry ogrzewała, tam na jesień różne z Matką przysmaki suszyła: tam więc i teraz suty nałożyła ogień, i rozpalił się równie wesoło jak w dniu wczorajszym. Obsiadła kominek rodzina; z początku smutne oświecał twarze, zapadłe oczy wlepione w niego były; słychać było każdéj iskry pryśnięcie, tak głębokie panowało milczenie: ale zwolna rozjaśniać się zaczęły czoła, słowa z ust wychodziły nieznacznie. „Nieco odmienniéj wyglądamy jak wczoraj!“—odezwał się najprzód Ojciec z przyciskiem, patrząc w około.“ „Ale wszyscy jesteśmy!“ wyrzekła z czułością Matka: i tu jéj oczy spojrzały najprzód na Karola, potém w niebo; on zaś mimowolnie pocałował tulące się do niego sieroty... „Aleście wy zdrowi, Ojcze—powiedziała z nieśmiałością Polusia, a Matka

tak się bała dla was przestrachu i zaziębienia.“—„Aby też to nam zostało!“ wymówił jeszcze z goryczą starzec, wpatrując się znowu w ogień. „Alboż to mało, mówiła Matka; prawda, żeśmy majątek stracili, ale wszak on był nabyty: czyż go raz jeszcze nabyć nie można? a pamiętasz te słowa, któremi mnie cieszył twój Ojciec, kiedy się te dzieci rodziły: *Byłem młody, a teraz jużem się zestarzał, a nigdym tego nie widział, ażeby dzieci sprawiedliwego żebrały chleba*,“ nie troszcz się więc, nie wyjdą dziatki nasze na nędzarzy...“—„O, bez wątpienia! zawołali tu trzej bracia i Polusia. „Jeszcze żaden z nas, dodał Karol, nie miał pory okazania, co może; ale zobaczycie Ojcze, jak wiele te ręce potrafią! Wszak był taki czas w waszém życiu, kiedyście nic nie mieli, a przecież byliście spokojni; dziś macie trzech dorosłych synów!..“ „Słusznie mówisz, przerwał mu ożywiony starzec; wczoraj prawie o tym samym czasie, układałem przyszłość i swoję i waszą; chwaliliście mądrość moję, i ja chwaliłem ją więcéj jeszcze sam w sobie. Pokazał Bóg, co znaczą układy człowieka, i zapewne ta nauka Jego lubo surowa, na dobre nam wyjdzie... Ja chciałem dla was, synowie moi, trzechletniéj próby; zapewne ta, którą obmyśliłem, niedostateczną była, kiedy jéj Bóg nie potwierdził; snadź, większéj i trudniejszéj wam potrzeba. Bez wątpienia dom rodzicielski nie jest dostateczną dla młodego szkołą, potrzeba mu świata i ludzi. Idźcie więc w świat, synowie moi, idźcie do ludzi, idźcie z błogosławieństwem Ojca waszego; bądźcie pobożni i pracowici, a dorobicie się kawałka chleba: za trzy lata, jeśli nam Bóg wszystkim życia udzieli, stawcie się tu wszyscy... a obaczymy...“—„A z wami Ojcze i Matko, z Polusią, z temi sierotami, cóż się przez ten czas dziać będzie?“ zapytali się trzej bracia. „Nie, dodał Karol, jeden z nas tu zostać musi i na was pracować.“ „Na to nie pozwalam, wyrzekł uroczyście Ojciec — nie myślcie o nas, my sobie damy radę. Zdarzona przygoda oświeciła mnie zupełnie; mylne było

wczorajsze moje o starości zdanie; niema widzę, w życiu człowieka *niedzielnéj* pory, on do końca działać, pracować powinien: w drugim dopiéro żywocie spoczynek go czeka.“ „O! zapewne tak jest — powiedziała Matka — my tu sobie otworzymy szkółkę, ja z Polusią będę uczyła dziewczęta miejskie robót.“—„A ja, dodał Ojciec, czytać, pisać, rachować, i będziemy chléb mieli. Żeby tylko czeladź nasza służby dostała rychło!“ „Zdarzy im się, powiedziała Matka, a tymczasem głodu nie będą mieli: Bogu dzięki, lamus dobrze opatrzony.“ „Więc nas wszystkich trzech w świat wyprawicie?“ zapytał się Karol, po krótkiém milczeniu.— „Wszystkich, odpowiedział Ojciec, a za trzy lata, szóstego Lutego, daj Boże doczekać, zejdziecie się tu wszyscy.“

Stało się zadosyć woli starego sukiennika; w kilka dni trzej bracia, jak można było najlepiéj opatrzeni w drogę przez rodziców i siostrę, puścili się na różne strony; nim się rozeszli, dali sobie słowo, w przytomności saméj tylko Polusi, że pracą i ochroną będą się starali tyle przez te trzy lata uzbierać, żeby Ojciec mógł przed śmiercią nową założyć fabrykę. Pracowici, trzeźwi, wierni, znający się dobrze na sukienników rzemiośle, wnet znaleźli korzystne miejsca. Henryk i Ludwik pracując jak najgorliwiéj, a żyjąc oszczędnie, dostawszy się do zasobnych fabryk, wysoko cenieni od naczelników, przez trzy lata po trzy tysiące złotych zebrali. Karolowi jeszcze się lepiéj udało. Trafił na majętnego sukiennika już w wieku, który szczęśliwy z tak zdatnego i poczciwego czeladnika, w krótkim czasie tyle mu zaufał, że cały dozór fabryki mu oddał. Ten sukiennik był wdowcem, miał córkę jedynaczkę; domowe i pobożne wychowanie, pracowitość, czerstwe zdrowie, lat ośmnaście, takie były Emilii zalety; zachęcona przykładem Ojca, serce swoje Karolowi oddała: on jéj piérwéj jeszcze swoje był poświęcił. Stary fabrykant patrzył na tę miłość z upodobaniem; rad był w duszy temu, że w zięciu następcę znajdzie,

a tymczasem płacił suto Karola, i młodzieniec się spodziewał, że może pięć tysięcy do składki przyniesie. Jakoż gdy minęły trzy lata i nadszedł szósty Lutego, przyniósł je, i więcéj jeszcze; miał bowiem list od starego fabrykanta do rodziców, w którym chęć dania mu córki i odstąpienia fabryki oświadczał; miał i podarki od Emilki dla Matki, dla Polusi i dwóch małych sierot.. O! jakiż to był dzień szczęśliwy ten szósty Lutego, kiedy się zeszli przy kominku w lamusie trzej bracia; rodziców w dobrém zdrowiu, Polusię raz jeszcze milszą niż była, sieroty wyższe o głowę, zastali. Ileż było łez radości wylanych, kiedy zacząwszy od młodszego, każdy zaczął opowiadać przygody swoje, i z nieśmiałością, w fartuch Matce sypał pieniądze! jakie zadziwienie, kiedy Karol dobył podarki od narzeczonéj, i list jéj Ojca... Gdy z piérwszego wzruszenia wszyscy nieco ochłodli; gdy łzy radości otarli, znowu ogień komina szczęśliwe twarze oświecił. Polusia tylko była zasmucona. „Cóż to Polusi?“ spytał się głośno Karol:—„Nic nie mów!“ szepnęła dziewczyna kładąc mu palce na ustach. „Ale chcę wiedzieć koniecznie!“ wołał Ojciec; Matka, drudzy bracia pytać się także zaczęli. Polusia wzbraniała się długo, nareszcie zakręciła się po izbie, otworzyła skrzynkę, i z nieśmiałością mały woreczek w fartuch Matce włożyła. „Wiedząc o zamiarze braci, powiedziała cicho i z spuszczoną głową, i ja chciałam także trochę pieniędzy uzbierać. Widzi Bóg, że com tylko mogła ująć chwil szkółce naszéj i gospodarstwu, pracowałam pilnie, szyłam, robiłam siatki, pończochy, często i w nocy; ale... oto wszystko com uzbierała: nie całe sto złotych...“ I to mówiąc, zalana łzami rzuciła się do nóg Matce i Ojcu, jakby przepraszając ich. „Wszak szeląg ubożuchnéj wdowy Zbawiciel wyżej ocenił nad bogatych dary! zawołała z rozczuleniem Matka, a mybyśmy twoim krwawym zarobkiem pogardzać mieli!...“ A w czasie tych słów i ona i Ojciec nad klęcząca u nóg ich córką, ręce pod-

nieśli, i błogosławili ją tém błogosławieństwem, jakiém szczęśliwi rodzice, dobre dziecię błogosławią. Uklękli obok siostry trzej bracia, i tegoż samego błogosławieństwa uczestnikami zostali.

Rok nie upłynął, a na tém samém miejscu co i dawniéj, z pieniędzy zebranych, z zapomogą rządu, i z pomocą Ojca Emilii, wzniósł się dom nowy, i szła jak przedtém fabryka, pod dozorem dwóch młodszych braci, bo Karol mieszkał przy teściu, a wymurowany napowrót kominek oświecał żywsze jeszcze miłości, zgody i swobody obrazy. Zamierzone niegdyś trzechletnich dochodów zbywających rozporządzenie, spłnioném zostało. Odłożone pare tysięcy dla Matki, za jéj prośbą, na wybudowanie domku użyto, bo nie spodziewała się i nie życzy sobie dłużéj żyć od męża; Polusia już swoich na wyprawę użyła, gdyż bardzo dobrze poszła za mąż; sierot zaś rok był najobfitszy, i każda z nich uczciwy los mieć będzie, ile że Karol z Emilią przyłożyć się do niego obiecują.

ANEGDOTY PRAWDZIWE O DZIECIACH.

Karmelki.

Klemensia L. trzy lata wówczas mając, bawiła się jednego razu ze swoim braciszkiem. Jedli oboje karmelki i Klemensia całe kładła do buzi. „Nie rób tego! — mówił jéj braciszek — możesz się udawić i umrzeć.“ — „Co to umrzeć?“ spytała się dziewczynka. — „Umrzeć! — odpowiedział poważnie starszy rokiem braciszek, jest to być nie żywym; jużbyś wtenczas ani jeść, ani pić, ani bawić się nie mogła.“...—„Ja nie chcę umrzeć!“ zawołała Klemensia, wyjęła karmelek z buzi, i na płacz jéj się zbierać zaczęło. Siedząca opodal starsza obojga dzieci siostra, mieszając się wtedy do téj rozmowy, rzekła: „Dla grzecznych dzieci nie jest nic tak złego umrzeć: ty możesz i dziś umrzeć, Klemensiu, ale jeśli będziesz dobra, to pójdziesz prosto do takiego dobrego Boga!...“—„O, szkodaby! przerwała Klemensia—jeszczem wszystkich karmelków nie zjadła, jeszcze mam nawet czerwony.“

Szczęśliwy wieku, w którym tak drobne rzeczy ściśle przywięzują do życia! Lecz i trzy następujące równie znikomą słodyczą uwodzone bywają.—Człowiek cały już się ukrywa w dziecięciu; rośnie lecz się nie odmienia, a przedmioty

przywiązania jego, inne tylko przybierają nazwisko. Sława, miłość, honory, bogactwa, to są późniejszych lat naszych *karmelki.*

Oleś P.

Oleś P. w Białymstoku się chował przy Babce, która była dziedziczką tego miasta. Jednego dnia, w czasie obiadu stryj chciał mu trudną odpowiedź nastręczyć, wziął jabłko z wetowego kosza i powiedział:—„Olesiu, dam ci to jabłko, a powiedz mi gdzie jest Bóg?“—Oleś bez długiego namysłu sięgnął po kosz z jabłkami i wyrzekł:—„A ja stryjowi dam wszystkie, ale mi powiedz gdzie Go niema?“

To dziecię obiecujące żyło lat siedm. Długa i bolesna choroba przerwała dni jego. Lekarze do końca robili co mogli, żeby go ratować. Kiedy przedostatniego wieczora otoczywszy jego łóżeczko o nowych lekach radzili, on im powiedział: „Wiem, że żyć nie mogę i wy dobrze o tém wiecie; zróbcie więc, żebym prędzéj umarł i męczyć się przestał: doktorowie umieć to powinni.“

Naiwność.

W jednéj rodzinie przypadło święto Babuni. Ponieważ nie była obecną, dzieciom wszystkim pisać do niéj kazano; Matka chcąc się poszczycić z umiejętności synów i córek swoich, prosiła ich nauczyciela, żeby piękne od nich wymyślił listy. Bronił się długo rozsądny nauczyciel; przedstawiał, że byłoby nierównie lepiéj, gdyby dzieci same w krótkich i prostych słowach, z własnéj głowy życzenia swoje napisały; że te ich wyrazy milsze będą Babuni od jego nudnych i jednostajnych konceptów. Nie chciała przystać Matka, ulegając prawie powszechnemu zwyczajowi, musiał jéj dogodzić choć nie chętnie. Znudził się niezmiernie

nad czterma powinszowaniami; jeszcze mu piąte zostawało od sześcioletniéj Zosi. Długo dumał; nareszcie zniecierpliwiony napisał następujące:

„Nadchodzące imieniny Babuni dobrodziejki, podają mi sposobność wynurzenia jéj szczerych życzeń, które codziennie składam o jéj pomyślność i zdrowie. Niech kochana Babunia przyjmie łaskawie te wyrazy, które mi serce dyktuje, i niech raczy wierzyć przywiązaniu z którém jestem,

Jéj najniższą podnóżką i wnuczką.“

Ukończywszy nudną powinność, nauczyciel wziął pięć pół arkuszów złoconego papieru, porobił na każdym po kilka linij, zatemperował pięć piór, i wołając po starszemu dzieci, dyktował każdemu z osobna napisane powinszowanie. Gdy na Zosię koléj przyszła, stawiała pięknie i prosto litera po literze, i wszystko szło dobrze, póki jéj nauczyciel tych słów nie podał: „*które mi serce dyktuje.*“—„Ja tego nie mogę napisać?“ zawołała. „A to dlaczego?“ zapytał jéj się.—„Bo to mi nie serce dyktuje, tylko Nauczyciel.“ Na tę uwagę tak słuszną, rozśmiał się szanowny mistrz, a biorąc list poszedł z Zosią do jéj Matki. Opowiedziawszy jéj całe zdarzenie: „Widzisz pani, dodał, że zwyczaj pisania konceptów dzieciom, fałszu i kłamstwa nauczyć ich może.“ Przyznała mu słuszność Matka; i odtąd wszystkie jéj dzieci jak umiały i jak mogły powinszowania swoje i listy pisały. Mniéj były wysadzone, ale przyjemniejsze osobom, które je odbierały, i zamiast w kłamstwo, wprawiały wcześnie dzieci w sztukę pisania.

Szczera odpowiedź.

Jeden Ojciec zapytał się raz czteroletniego syna: Coby mieć wolał, siostrzyczkę czy braciszka? „Jeśli to Tacie

wszystko jedno. odpowiedział chłopczyna po chwili namysłu, tobym najlepiéj wołał konika.“

Dobry gust Gucia.

Pięcioletni Gucio miał Mamę ładną i młodą, a Babunię dosyć już starą: obiedwie kochał bardzo i one jego nawzajem. Przypadły urodziny Babuni; Gucio odmawiał swój pacierz poranny i piastunka mu powiedziała: „Módl się, żeby Bóg pobłogosławił Babuni i dał jéj wszystko dobre, a módl się także i za Mamę, żeby doczekała lat sędziwych, i była kiedyś tak starą jak Babunia!“ — „O! co o to, to nie będę się modlił, zawołał Gucio, ja daleko wolę Boga prosić, żeby Babunia była tak młodą jak Mama.“

Przedziwne zapytanie.

Pięcioletni Bronisław S. chowany na wsi, przyjechał pierwszy raz w życiu z rodzicami do stolicy. Skoro stanęli w mieszkaniu na ludnéj ulicy będącém, natychmiast, jak to zwykle bywa, pobiegł z ciekawością do okna i patrzył. Po chwili milczenia i uwagi, widząc że pojazdy przejeżdżały jeden po drugim, nie zatrzymując się wcale, zawołał zdziwiony: „Mamo! dlaczego w Warszawie tyle gości jedzie, a nikt nie wstąpi?“

Igraszka słów mimowolna.

Mały jeden chłopczyk piérwszy raz był w kościele w Dzień Zaduszny; usłyszawszy w końcu kazania te słowa księdza: za duszę Pawła, za duszę Michała, za duszę Marcina, i t. d. powiedział przelękniony do Matki: „Mamo! idźmy prędko do domu, bo on nas tu wszystkich zadusi.“

Słuszne rozumowanie.

Dziadunio małéj Julci B. wyszedł w pole, kiedy przyjechało do niego kilka osób wyższego tonu z sąsiedztwa. Usiadłszy w ganku, zaczęli rozmawiać w sposób, do którego nawykli byli. Słuchała ich ciekawie Julcia, ale nareszcie zasępiona odeszła; a gdy dziadunio spotkawszy ją w ogrodzie, spytał się, jacy to goście przyjechali? tak odpowiedziała: „To jakieś Francuzy! nie wiem czy dwa słowa umieją po polsku.“

Michaś S.

Czteroletniego Michasia S. pytał się niedawno opiekun, kiedy dużym będzie? „O! już niedługo — zawołał radośnie chłopczyna — na Święty Michał!“ — „A to jakim sposobem?“ zagadnął go tamten ciekawie. „To moje imieniny, Mama ostrogi mi kupi!“ — Czyż nie jeden ze starszych podobnie jak to dziecię sądzi? przywdzieje jaką wieku lub zasługi oznakę, już myśli, że w lata i cnoty zamożny.

Niepotrzebne żądanie.

Mała Zosia C. ledwie trzy lata skończyła, kiedy już miała braciszka i siostrzyczkę młodszych od siebie. Jako od najstarszéj z rodzeństwa, wymagano od niéj, żeby bardzo grzeczną była. Skoro tylko zaczynała płakać, napierać się czego, skoro nie chciała braciszkowi i siostrzyczce zabawek odstąpić; skoro na ziemi siedząc piaskiem się bawiła i walała sukienki, natychmiast mówiła jéj Matka: „Trzeba żeby Zosia była bardzo grzeczną, żeby dobry przykład rodzeństwu dawała; oni jeszcze maleńcy: Zosia, taka duża, oni

mogą wiele rzeczy robić, których Zosi już nie wolno.“— „Mój Boże! — odpowiedziała na to Zosia z płaczem — kiedy ja też będę maleńką?“

Dar mały lecz prawdziwy.

Pani P. była słaba, wychodzić z domu nie mogła; zawołała więc raniuteńko do siebie pięcioletniego synka i tak mu powiedziała; „Zygmusiu! weź ten koszyk jabłek, pójdź i ofiaruj go Babuni, bo dziś są jéj urodziny; ładnie jéj powinszuj, a to jabłko zjédz sam na śniadanie.“—To mówiąc, dała mu śliczne czerwone jabłko. Zygmuś pocałował Matkę w rękę, wziął koszyk, włożył jabłko do kieszeni i zestarym lokajem poszedł do Babuni. „Babuniu! Babuniu!— wołał wchodząc — winszuję ci urodzin!“ — i podając jéj koszyk owoców, powiedział. „To od Mamy!“ wyjmując zaś z nieśmiałością swoje jabłko z kieszeni, dodał: „A to od Zygmusia.“

Franuś M.

Franuś M. niezmiernie grzecznym jest chłopczykiem i przedziwnie się uczy; kochają go też bardzo rodzice, kocha go i nauczyciel pan J..... a on im najczulszą wzajemnością się wypłaca. Jednego razu zasłabł i Matka mu powiedziała: „Wiesz co, Franusiu, słaby jesteś, uczyć się nie możesz, dam znać panu J....., żeby napróżno dziś nie przychodził.“ „O! Mamo—zawołał chłopczyna—nie posyłaj; niech przyjdzie, niech go się przynajmniéj napatrzę.“ Jakże te wyrazy malują wymownie przywiązanie ucznia, jaką są pochwałą nauczyciela, który podobne wzbudzić umiał.

Klemensia.

Klemensia Ł. z bratem dwoma laty od siebie starszym,

wystawiała raz w dzień imienin Matki, ową śliczną Brodzińskiego poezyę pod tytułem: Brat i siostra,*) w któréj wdzięcznym i łatwym wierszem poeta odmalował z taką tkliwością i prawdą, obojga płci przeznaczenie. Uczyła ją téj roli starsza jéj siostra Anielka, a chcąc by ją lepiéj pojęła, tłómaczyła znaczenie każdego wyrazu. Przedostatniéj strofy gdzie są te wiersze:

Liczba motylów nie mała,
Płocho się każdy z nich bawi;
W domu ja będę czekała
Póki się dobry nie zjawi.

wytłómaczenie było najtrudniejsze; ale nareszcie zrozumiała dziewczynka, że to o mężu mowa, i że skromna panienka ubiegać się za nim nie powinna: powtarzała więc sobie z wyborną minką:

W domu ja będę czekała,
Póki się dobry nie zjawi.

kiedy nagle zamyśliła się, i po krótkiém milczeniu zapytała się z nieśmiałością, siostry: „A jak dużo lat minie, i on nie przyjedzie, to co? Anielko, to co?“ Czyż nieprzedziwna ta sześcioletniéj dziewczynki troskliwość?

Helenka.

Czteroletniéj Helence T. zdarzyło się często coś dowcipnego powiedzieć. Raz mówiąc o osobach bywających w domu jéj rodziców, nazywała je poprostu, nie dodając tytułu *Pani* ani *Pana* do ich nazwiska. Zganił jéj tę poufałość Ojciec: „Helenko—powiedział—tyś jeszcze maleńka,

*) Obacz Tom I, pism Brodzińskiego str. 5.

wszystkich starszych szanować powinnaś, i zawsze dodawać *Pan* i *Pani* do każdego nazwiska.“—„A przecież ja nigdy nie mówię ani *Pan* Tata, ani *Pani* Mama!“ odpowiedziała dziewczynka.

Trafność.

Oswald S. czwarty rok mający, pytał się niedawno piastunki, wskazując na księżyc w pełni: „Co to jest?“ „To księżyc,“ odpowiedziała. „Ja wiem dawno, że to się zowie księżyc, ale co to jest“—„To Bóg“, wyrzekła, chcąc się go pozbyć. „Co ty też gadasz, zawołał Oswaldek, ja widziałem Boga malowanego, wisi na krzyżu nad łóżkiem Mamy, wcale inny.“ „A to niechże Panicz sam powie co to jest księżyc“ „To jest słońce nocne,“ powiedział chłopczyna.

Dziecię czasem starszych zawstydzi.

Już słońce zaszło, chmury się zbierały, a pani K. śpiesznie do końca podróży swojéj dążąca, wjechała w las ciemny. Powszechne było mniemanie, że rozbójnicy kryją się w tym lesie i napadają na podróżnych. Pani K. dwóch tylko miała służących, wiozła dosyć pieniędzy i bardzo się bała czy napastowaną nie będzie. Wtém okropna burza podwoiła jéj trwogę, i gdy pioruny bić zaczęły, gdy wiatr wywracał drzewa, a świst jego zdawał się być powtarzaném rozbójników świstaniem, prawie zupełnie odeszła od siebie ze strachu i płacząc rozpaczała. Jechał z nią synek jéj, mały Antoś; widząc Matkę płaczącą, płakał także, ale popłakawszy chwilę, zamyślił się i nareszcie zapytał: „Mamo! czy tu nie ma Boga w tym lesie?“—„Jakżeby tu być nie miał, odpowiedziała Matka, wszak wiesz, że jest wszędzie!“—

„A dlaczegoż się tak boisz Mamo i mówisz, że jesteśmy sami?“ Te słowa zawstydziły panią K. ale oraz uspokoiły ją zupełnie. Wspomniała, że jest Bóg, który wybawia z wszelkich niebezpieczeństw tych, co Go wzywają szczerze; przestała więc rozpaczać i trwożyć się, zaczęła się modlić i szczęśliwie wyjechała z lasu.

Wyraz prawdziwego żalu.

Małemu Franusiowi Bóg zesłał jedno z największych nieszczęść, które człowiek ponieść może: umarła mu dobra Matka. W kilka czasów po jéj śmierci, ktoś go namawiał, żeby ciotkę, która się nim opiekowała, nazywał *Mamą*. — „O! nie, odpowiedział chłopczyna, tak nie można, bo zawsze tylko jedna *Mama*.“

W y m ó w k a.

Małéj dowcipnéj Antolce G. w czasie skończenia już zapust, zwinięto ładne włoski w papiloty i tak się bawiła w Ojca pokoju. Wtém przyszedł jeden z przyjaciół domu, a widząc takie przygotowanie do stroju, powiedział z uśmiechem: „Pięknie Antolku, to post, a tak wiele masz papilotów!“—„Cóż to szkodzi, odpowiedziała natychmiast dziewczynka, papiloty nie z mięsem.“

J e d y n a k w y m o w n y.

Chłopczyk pięcioletni, syn jedyny u Matki zbyt tkliwéj, od kolébki nawykł do téj myśli, że on sam jeden celem jéj pieszczot i kochania być winien. Zdarzyło się raz, iż Matka będąc wraz z nim w ogrodzie publicznym, obaczywszy obce dziecię nadzwyczaj miłe, nie mogła się oprzeć

chęci uściskania go serdecznie. Postrzegł to syn jéj bawiący się opodal, przybiegł z pośpiechem z oczyma gniewem zaiskrzonemi, a nadstawiając Matce zapłonione zazdrością policzki, wyrzekł z przyciskiem: „Mamo! odkochaj mnie zaraz! odcałuj!“ — Ten nowy sposób wyrażenia chęci wynagrodzenia krzywdy, jaką zdawało mu się, że poniósł, czyż nie jest wymowny? ale gniéw ten czyż nie dowodzi, jak często niebezpiecznie dla dziecięcia być jedynakiem i nadewszystko kochanym? Chłopczyk ten umarł w młodym wieku, może gwałtowność uczuć skróciła dni jego, bo każda namiętność, zwłaszcza téż zazdrość, wysusza kości i życie przerywa.

Roztropna uwaga.

Maleńka Felusia B. wyjeżdżając w podróż z rodzicami, zabrała z sobą najdroższe dziecinnego wieku skarby: lalki, gałganki, zabawki. Jednego poranku, gdy już kawał spory od miejsca noclegu odjechano, postrzegła, że w karczmie lalki swoje zostawiła. Zmartwiła się bardzo, ale po chwili tak się odezwała: „Jak téż to dobrze, że ja jeszcze dzieci nie mam, mogłabym ich tak gdzie zapomnieć.“

Dowcipny wykręt.

Ignaś J. dwóch lat jeszcze nie miał, kiedy już wielkie pojęcie i nadzwyczajną pamięć okazywać zaczął. Kupił mu Ojciec książkę z ptaszkami, i Matka bawiąc się z nim, nazywała mu każdego; tych ptaszków było kilkadziesiąt, każdego nazwisko spamiętał. Kiedy skończył lat trzy, dostał piérwszy Tom *Pielgrzyma z Dobromila:* w momencie wszystkich królów poznał, i nigdy się nie mylił w nazwaniu każdego. Ktoś chciał się przekonać o téj jego umiejętności; pokazuje mu więc jednego z królów i pyta się: „Jakże się

ten zowie?“ „Michał Korybut!“ odpowie chłopczyna, i tak było. „A ten?“ dodał badacz, udawszy że przewrócił kilka kartek, a wskazując na tegoż samego króla. „Wiśniowiecki!“ zawoła Ignaś z dowcipną minką.

Czułość Ewuni.

Nie trudno o dowcip u dzieci; ta iskierka umysłowa najpierwéj w ich główce jaśnieje: wiele też mamy ich słówek dowcipnych, odpowiedzi trafnych, mniéj nierównie wyrazów czułości, lecz za to więcéjby je cenić należało. Czyż na przykład, nie ma więcéj zalety nad najdowcipniejszy wyskok, następujące dziewczynki jednéj postępowanie i słowo.—Ewuni S. w niebytności Ojca zrobił się wrzodek za uchem: zbiérał się właśnie z wielkim bólem, kiedy Ojciec wrócił do domu, a witając się z dziećmi, gdy koléj na Ewunię przyszła, o cierpieniu jéj nie wiedząc, wziął ją, jak miał zwyczaj, obiema rękami za głowę, podniósł w górę i ucałował serdecznie. Dziewczynka ani pisnęła: ale gdy ją Ojciec postawił na ziemi, pobiegła do drugiego pokoju, skryła się w kąciku i płakała rzewnie, bo ją naciśniony wrzodek okropnie bolał. Spostrzegła to Matka, lecz długo wypytywać się musiała nim jéj Ewunia wyjawiła prawdę. „Czemużeś nie krzyknęła i nie powiedziała Tacie?“ spytała się rozczulona. „Kiedy mnie całował“ odpowiedziała dziewczynka.

Delikatność Stasia.

Stasiowi Ł., któremu Bóg nie wiele dał zdolności umysłu, lecz serce delikatną czułością uposażył, sprzeciwiał się brat młodszy; biédny Staś jak mógł się bronił, prosił go, błagał: nic nie pomagało. Nareszcie już nie wiedząc jak sobie radzić, uczynił mu groźbę, którą (po sobie sądząc)

najokropniejszą być mniemał: „Poczekaj—powiedział—będą niedługo moje urodziny, nic od ciebie nie przyjmę.“

Myśl tkliwa.

Dla różnych osób w rozmaitych razach zwykły dzieci zrywać miłe *niezapominajki*, inaczéj kwiatkami pamięci zwane; ale żadne podobno nie rwało ich w takiéj myśli, jak ów pięcioletni chłopczyna, którego przygodę pan A. S. w tych wierszykach opisał:

„Mój Boże! Mama tak chora,
Mówił siostrom Henryś mały,
„Cały dzień jęczała wczora!“
Wtém łezki twarz mu zalały.
„Już się kończy tydzień trzeci,
„Jak leży Mama kochana.
„Ach! nie płaczcie moje dzieci,
„Rzekła do mnie dzisiaj z rana.
„Ja się bardziéj rozpłakałem,
„Aż mię Mama uściskała;
„Długo przy jéj łóżku stałem,
„Wreszcie odejść mi kazała.
„Idź, rzekła, kochane dziecię,
„Zobacz, gdzie są siostry twoje;
„Niechaj do mnie przyjdą przecie,
„Niech zatrzymają łzy swoje.—
„Czyż dzisiaj lepiéj ci Mamo
„Żeś płakać nie pozwoliła?
„Nie, drogie dziecię, tak samo—
„I twarz chustką zasłoniła.
„Wyszedłem z płaczem od Mamy,
„Krzyczę:—siostry! Mama woła!
„Biegnę, widzę was u tamy;
„Zkądże idziecie?—„Z kościoła.“

„Dawno Mama na was czeka,
„Biegnijcie więc całą siłą;
„Lecz niech żadna nie narzeka,
„Bo by Mamie przykro było.“
„Ja pójdę na mszę, by Mamę,
„Bóg dobry uzdrowić raczył.“
Poszedł i biegnąc przez tamę,
Kwiatki pamięci zobaczył.
„Ach! słyszałem to od Matki,
Pomyślał chłopczyna sobie,
„Ten, któremu dasz te kwiatki,
„Będzie pamiętał o tobie.
„Więc ja na ołtarzu złożę
„Wieniec tych kwiateczków mały;
„Nie zapomnisz o nas Boże!..“
Zawołał głośno w łzach cały.
A ponad rowem schylony
Rwie chciwie dwiema rączkami,
Łzą jest powtórnie zroszony
Każdy kwiatek i z listkami.
Biegnie chłopczyna zdyszana:
Bramę zastał odemkniętą,
Bo kapłan tajemnic Pana
Odprawiał Ofiarę świętą.
Na kolana Henryś pada,
Oczęta ku niebu wznosi;
Rączyny drobniuchne składa
I o zdrowie Matki prosi.
Całuje krzyża podnóże,
Skromnie je kwiatkami stroi:
„Przyjm, mówi, te kwiatki Boże!
„*Pamiętaj* o prośbie mojéj!“
Z łatwością Boga przenika
Łza niewinności z prostotą;

Wejrzał na modły Henryka:
Nie uczynił go sierotą.

Któż téj myśli tkliwości nie przyzna? Kogóż nie wzruszy ten obraz niewinnego dziecięcia, które o Bogu po sobie sądząc, kwiatki Mu rwie, kwiatkami chce Go ująć i pamięci Jego stać się obecnym? Kogóż nie rozrzewni ta dobroć Stwórcy, który i takim darem nie wzgardza, i takiéj słucha modlitwy?

Tkliwe zapytanie.

Dobréj Jadwisi L. powtarzała zawsze Matka, że Boga nadewszystko kochać należy; ta pobożna Matka razu jednego zachorowała i bardzo była cierpiąca; przejęta jéj cierpieniem dziewczynka, czując że litość i obawa podwajają w niéj zwykłe przywiązanie, spytała się: „Czy nawet kiedy Mama chora, Boga więcéj kochać trzeba?“

Mały kalemburzysta.

Czteroletni Gucio T. jadł obiad z rodzeństwem; wtém siostra jego Helenka powiedziała służącemu: „Janie, proszę piwa!“—Któż tak dziękuje? *ja nie* proszę piwa; zapytał chłopczyna z dowcipnym uśmiechem.

Ten sam Gucio pytał się raz, co to *pojutrze?* zaczęto mu tłómaczyć. „A! rozumiem—powiedział—to *drugie jutro!*“

Michaś M.

Często są między dziećmi przykłady owego prawdziwego męztwa, które najwięcéj na tém zawisło, żeby cierpienia znosić z łagodnością i w milczeniu. Z takich dzieci zwykli dzielni wyrastać żołnierze i zacne niewiasty. Tak

obok cierpliwéj Ewusi S. godzien stanąć wytrzymały i dobry Michaś M. — Na Ukrainie, w obecności Ojca bardzo skłonnego do gniewu, służący, a raczéj poddany, niosąc ogromną tacę ze srebrem, samym rogiem ugodził w głowę siedmioletniego Michasia. Chłopczyna zbladł z wielkiego bólu, ale nie wyrzekł i słowa, ani puścił łzy jednéj; a widząc trwogę służącego, gniew powstający Ojca, zaczął mu całować ręce i kolana, prosząc by nie karał winowajcy, zaręczając, że go prawie nic nie boli.

Sprawiedliwe porównanie.

Pięcioletniemu i grzecznemu Adasiowi K., rodzice sprawili futerko; właśnie piérwszy śnieg okrył nierówno ziemię i widać ją było jeszcze gdzieniegdzie, gdy on ubrawszy się w zimową odzież swoję, wyjechał z Matką za miasto. Obaczywszy pola tak napół okryte powiedział: „Śnieg to jest futerko dla ziemi; ale biédna ziemia, będzie jéj zimno w tym roku, bo ma bardzo dziurawe futerko.“

Anusia G.

Było to w Piątek, mała Anusia G. uczyła się katechizmu i Ciocia jéj tłómaczyła co to *prorocy*. „Byli to ludzie—mówiła—którzy wiedzieli co będzie za sto, za dwieście lat i daléj jeszcze; ale wiedzieli to jedynie przez Boga, bo człowiek sam z siebie nie wié co się stanie. Wieszże ty co będzie jutro?“—„Wiem!“—zawołała Anusia.—“A cóż takiego?“—spytała się zdziwiona Ciotka.—„Sobota.“

Taż sama Anusia siedziała raz cichuteńko nad robotą, bo jéj Ciocia zatrudniona była, a ona wié że dzieci wtenczas starszym przeszkadzać nie powinny. Sprzykrzyła się jéj ta praca w milczeniu i jakby samotna. Stał w pokoju zégar bijący, odezwała się więc dziewczynka z nieśmiało-

ścią: „Ciociu! ja będę robiła na wyścigi z zégarem!“ — „I owszem“ odpowiedziała jéj Ciotka, rada tak dobremu pomysłowi, i wyznaczyła jéj robotę, któréj wiedziała, że skoro zechce, dopełnić potrafi; jakoż właśnie biła umówiona godzina, kiedy Anusia przybiegła z ukończoną robotą i zawołała radośnie: „Ciociu! Ciociu! a ja razem z zégarem!“ O! bodajby tym wszystkim, którzy użytecznie pracują, tak ze śmiercią się udało!

Józio L.

Ukochany Dziadunio trzechletniego Józia zachorował mocno; strapiona Matka ufna w modłach niewinności, dodała do codziennego pacierza dzieciny, te słowa: „Proszę Bozi, żeby dziadunio był zdrów!“ Józio nie zapomniał o tym dodatku, codzień rano i wieczór na tych słowach kończył modlitwę swoję, a nawet raz w ciągu dnia wszedłszy do Dziadunia pokoju, i spostrzegłszy na stoliku obok łóżka stojący *krucyfiks*, ukląkł, złożył rączki i powiedział: „Proszę Bozi, żeby dziadunio był zdrów!“ — Rozczulony Dziadunio ucałował go mówiąc: „Dobrze robisz, że się modlisz za mnie; ale trzeba, żebyś wiedział, że Bóg tylko grzecznych dzieci modlitw słucha.“ Usłyszawszy to Józio, zbliżył się do krzyża, spina się na paluszki, podnosi główkę, i mówi pocichu: „Boziu, dziś Józio bardzo był grzeczny: wszystkie zabawki oddał siostrzyczce.“

Ten sam Józio, raz prosił Matki o coś bardzo usilnie. „Potém dostaniesz — odpowiedziała — teraz nie można.“ — Odszedł chłopczyna, ale w parę minut wraca i mówi: „Mamo, już jest potém.“

Dowody przywiązania.

Pięcioletni Zenonek L. chował się u troskliwéj Babuni; ta przez dzień cały go pielęgnując nie zapomniała

o nim i w chwili spoczynku: kiedy się już położył, przychodziła do niego i zalecała żeby leżał wyciągnięty i prosto, bo tym sposobem duży wyrośnie. Zenonek jak we wszystkiém, tak i w tém słuchał Babuni.—Raz niewiadomo zkąd przyszło mu się zapytać: „Czy i Babunia umrze?“—„Umrę, moje dziecię, odpowiedziała mu. „A kiedy Babunia umrze?—ponowił Zenonek ze smutkiem.—„O! już ty wtenczas duży wyrośniesz.“ Chłopczyna nic na te słowa nie odpowiedział, ale gdy w wieczór według zwyczaju Babunia przyszła do jego łóżeczka, zastała go skurczonym, i chłopczyk zawsze posłuszny, dziś na jéj wezwanie żadnym sposobem wyciągnąć się nie chciał. „Cóż ci się stało—mówiła mu—poczekaj, kiedy nie słuchasz, nie urośniesz.“—„To dobrze, odpowiedział ze łzami Zenonek, ja nie chcę urość, żeby Babunia prędzéj nie umarła.“

Adaś C.

Adaś C. stracił dobrego Ojca; lubo pięć lat miał dopiéro, uczuł przecież mocno to nieszczęście, tém więcéj, że nie on sam był sierotą, ale wraz z nim, sześć siostr i Matka ukochana, bez podpory i opieki zostały. Po tak okropnym ciosie, dom cały okrył się żałobą, przywdziały ją i dzieci, ustały zabawy, wesołość znikła. Dobra Matka zbierała jednak resztę sił swoich, żeby dziatkom nauki zbawienia udzielać. Raz kiedy sama w tym obrazie moc i pociechę czerpiąc, tłómaczyła małemu Adasiowi co to jest niebo, jaka tam radość dobrych czeka; on tak przerwał jéj słowa: „O mamo! ja wiem dobrze jakie to niebo; tam żałoby nie ma: tam sierot nie będzie.“

Zastósowanie nauki.

Taidzie S. tłómaczyła dobra Ciocia, ucząc ją katechizmu: co to są duchy;—mówiła, że to istoty, które są, ale

których widzieć nie można. Taida słuchała pilnie, a nazajutrz prosiła Cioci o papier, mówiąc, że rysować będzie. Dostawszy arkusz, po chwili przyszła i prosiła o drugi. „Czy już tamten zarysowany?“ spytała się Ciocia.—„Już“—„Pokażże!“ Pokazała: nic na papierze nie było. „Cóż to znaczy?“ „Ja duchy rysuję!“ powiedziała mistycznie dziewczynka.

Wanda B.

Mała Wanda ma często swój własny sposób oddania tego, co czuje i myśli. Kiedy kto w domu chory, kładzie rękę na sercu, mówiąc, że i ją tu boli; a kiedy raz Matka jéj się spytała: „Co to serce?—Ja nie wiem—odpowiedziała, bo nie widziałam — ale to jest coś co Bóg dał, żeby tém kochać.“

Piękny postępek Maryni S.

Stryj sześcioletniéj Maryni S., wyjeżdżając do Karlsbadu, obiecał jéj przywieźć ztamtąd cały sprzęt do śniadania ze szkła czeskiego. Dwa miesiące naprzód cieszyła się i oczekiwała niecierpliwie tych cacek. Nakoniec stryj przyjeżdża, sprzęt szklany przywozi i jeszcze zapakowany oddaje szczęśliwéj Maryni. Odwija go ostrożnie, za każdą dobytą miseczką, za każdym kubeczkiem okrzyk nowy; ustawia wszystko na szklanéj tacy i nie posiada się z radości. Wtém Babunia Maryni, w drugim pokoju będąca, woła na nią, żeby jéj te piękne rzeczy przyniosła; dziewczynka bierze tackę, idzie pomału i tak pomału, że Babunia wymawia jéj tę przesadzoną powolność, a wychodząc naprzeciw niéj, chce odebrać z jéj rąk sprzęt cały; ale przez prędkość wytrąca go: pada na ziemię piękna tacka, i wszystkie miseczki, kubeczki, imbryczki na drobne kawałki się tłuką!... Marynia ani krzyknęła, ani zapłakała, tylko zaru-

mieniwszy się mocno, pocałowała Babunię w rękę i te słowa wyrzekła: „A widzi Babunia, że to dobrze czasem być powolną.“—Po chwili Babunia, zmartwiona wyszła z pokoju, chcąc zapewne wynaleźć dar jaki, dla wynagrodzenia Maryni; ona zbierała smutnie szczątki swego skarbu, rozrzucone po podłodze, przymierzając jedne do drugich, kiedy wszedł stryj. Zobaczywszy z zadziwieniem podarunek swój już potłuczony, zaczął łajać dziewczynkę za taką nieostrożność. Tu serdecznie się rozplakała, lecz nie powiedziała słówka na swoje usprawiedliwienie. Dopiéro za powrotem Babuni, cała rzecz się wydała: a Marynia w uściśnieniach i pochwałach zacnéj Matki i krewnych, w uczuciu własnego serca znalazła postępku swego wynagrodzenie.

Dosłowne wyrazów zrozumienie.

Państwa B. wielka spotkała szkoda: nagłym pożarem spłonęło w ich wsi całe zabudowanie gospodarskie, całoroczny dobytek; zniechęcony pan B., przez czas jakiś nie miał ochoty trudnić się niczem. Prosiła go żona, żeby nie tracąc serca do dawnéj czynności powrócił. „Nie opuszczaj rąk, mówiła mu, bo cóż się zemną, z dziećmi naszemi stanie?“ Synek ich czteroletni usłyszał te słowa, i odtąd pilnie Ojca uważać zaczął; gdy ten w ciągu dalszéj rozmowy, spuścił obie ręce, przybiegł do niego chłopczyna z pośpiechem: „Tato! Tato! zawołał, nie opuszczaj rąk, bo cóż się z Mamą, cóż się z nami stanie?“

Prosty a głęboki pomysł.

Czteroletnia Kostunia C. siedziała sobie raz w kąciku, a zatykając uszy obiema rączkami powtarzała: „Ach! mój Boże! żebym ja téż tego nie słyszała!“ „Czegóż takiego?“ spytała jéj się Matka. „A tego co ja sobie myślę.“ Odpo-

wiedziała dziecina. Luba Kostuniu! w niewinnéj prostocie twojéj jakiż głęboki wyjawiłaś pomysł. Jakżeto często własne myśli są natrętnemi i słyszeć ichby się nie chciało.— W niespokojności, w smutku, mimowolnie ściga nas myśl nieustanna. O! jakby dobrze było, gdyby zatkawszy uszy, przystępu zabronić jéj można.

Tytuł i stopień.

Dwaj mali bracia, w dzień Nowego roku nową grę sobie wymyślili. Brali po jednemu, bez wyboru, bilety przysłane rodzicom, i jakby kartami, który wyższéj godności wyciągnął osobę, ten zabijał bilet drugiego. Długo ta gra szła bardzo dobrze: bił wojewoda kasztelana, prezes assessora, mecenas patrona; ale nareszcie jeden wyciągnął bilet hrabiego, drugi pułkownika: rozprawa wielka, który z nich ma starszą figurę? Zapytany Ojciec tak im odpowiedział: „*Hrabia* jestto tytuł, który urodzenie przynosi, *Pułkownika* stopień, którego dosłużyć się trzeba.“ Ledwie tych słów dokończył, kiedy chłopczyna trzymający bilet hrabiego sam pułkownikowi się poddał.

Dziecinne wyobrażenie.

Dzieci często zupełnie inaczéj rzeczy rozumieją, jak my tłómaczyć im chcemy, bo ich umysł słaby, wszystko do swego pojęcia stosuje. Tak raz sześcioletniéj Anusi Ciotka tłómaczyła przy nauce: „że Bóg do wszystkiego dobrego człowiekowi dopomaga, i że z Jego łaską, najtrudniejszéj pracy łatwo dopełnić można, byle gorąco o tę pomoc Go prosić.“ Anusia słuchała tych słów uważnie, a po nauce wzięła się do pończoszki, chcąc dopełnić zadanéj na ten dzień roboty; po krótkiéj chwili jednak odbiegła od niéj, poszła do służących pokoju i tam chodzić sobie zaczęła.

„Czemu Anusia nie robi? spytano jéj się, Ciocia gniewać się będzie, jak zadanéj roboty nie dopełnisz.“ „O! zupełniem o to spokojna, odpowie misternie dziewczynka; Ciocia mnie dziś nauczyła, że Bóg do wszystkiego dobrego pomaga, byle prosić Go szczerze; ja téż tak pięknie się modliłam i umyślnie wyszłam z pokoju: On mi tam pewnie kilka drutów zrobi.“

KOMEDYJKI.

OBCHÓD URODZIN.

ZABAWA NAPRĘDCE.

OSOBY:

MATKA.
CIOTKA.
MARYNIA.
KRYSIA.
KOSTUŚ.
ADAŚ.

(*Scena na wsi, w ogrodzie*).

SCENA I.

MARYNIA, KRYSIA.

(Teatr wyobraża piękne miejsce w ogrodzie opasane drzewami; zdobią go kwiaty w doniczkach, kanapki).

KRYSIA do MARYNI, (*stojącej smutnie pod drzewem.*)

Otóż stało się, jak mówiłam; nadszedł dzień urodzin Mamy, a myśmy nic nie wymyśliły. Gadałyśmy o nich od

Nowego roku, miały być komedye, balety, obrazy, widowiska i skończyło się na niczém.

MARYNIA.

Gdzietam na niczém! skończyło się na tragedyi; doprawdy, że ja dziś w nocy prawie nic nie spałam, budziłam się co chwila, wstałam przededniem i tak się martwię, że téż Mamie żadnéj niespodzianéj przyjemności nie sprawimy.

KRYSIA.

Dobrze wam tak, czemuście mnie nie słuchali? Już cztery tygodnie jak mówiłam: grajmy Sielankę Tańskiego, albo Powrót Posła; już Adaś był za mną, aleś ty z Kostusiem nie chciała.

MARYNIA.

Jakże? kiedy nam brakowało strojów, teatru i osób.

KRYSIA.

Wielkie rzeczy! można sobie było poradzić; a wreszcie mniejszą sztukę wybrać, albo dać: *Co kto lubi*, to także bardzo ładne. Radziłam żeby wziąć Scenę z Barbary, Scenę z Krakowiaków, Scenę z Jadwigi; ty masz piękny głos, Kostuś tak ślicznie wiersze mówi i byłoby!

MARYNIA.

O zapewne! w twojéj głowie wszystko się zmieści; ale czyż podobieństwo, żeby na wsi we cztéry osoby, bez muzyki, dekoracyi, ubiorów, można z takiém widowiskiem wystąpić!

KRYSIA.

Już co się tyczy osób, to bardzo cię przepraszam, ale

mamy ich więcéj jak cztéry, bo i Ciocia byłaby chętnie do nas należała: ona tak nas kocha!

MARYNIA.

Jakże chcesz, dopiero wczoraj przyjechała; nie było już czasu.

KRYSIA.

Gdzietam czasu! nie było zgody, a gdzie niema zgody, tam nic dobrego być nie może...

SCENA II.

Też same, KOSTUŚ, ADAŚ.

ADAŚ, *który wchodząc usłyszał słowa siostry, mówi za nią poważnie:*

„Gdzie niema zgody, tam nic dobrego być nie może!“ Prawdziwie, sentencya wyborna i prawdziwa. Nigdym się nie spodziewał, żeby z ust takiego trzpiota wyjść mogła.

KRYSIA.

Ani wątpię,—bo w waszém mniemaniu tylko wy chłopcy możecie miéć rozum, i coś do rzeczy powiedzieć. Ja się nie uczę łacińskich sentencyj, ale za to sama stwarzam polskie. Ciekawam w czém większa sztuka?

KOSTUŚ.

Jak wy dzisiaj sprzeczać się możecie, i mówić o czém inném, kiedy my w takim jesteśmy kłopocie?

MARYNIA.

Zwyczajnie pustki w głowie; ale ja wiem dobrze, że oni w sercu zarówno z nami cierpią.

ADAŚ.

Bo i prawda. Dziś Mamy urodziny, te szczególnie raz na rok bywają, mieliśmy więc cały rok do namysłu, taką długą zimę, i niceśmy nie wymyślili; a przecież zawsze dawniéj bywał jakiś koncept.

KRYSIA.

A co najgorsza, żadnego roku nie było tak wiele projektów i szeptów. Mama przekonana, że my z prześliczną komedyą wystąpimy, a tu nic! O! będzie miała prawdziwe zdziwienie.

(Śmieje się i Adaś toż samo).

MARYNIA.

Przynajmniéj się nie śmiejcie, bo mnie doprawdy płakać się chce. Wam jeszcze nic, ale ja najstarsza!

KOSTUŚ.

Prawda, że to wielka biéda! najbardziéj, że wiém zawczasu, jak to Mamie przykro będzie... Ach! gdyby jeszcze można co wymyślić?

KRYSIA.

Trzebaby do tego kogoś prędzéj myślącego od ciebie, mój bracie! bo ja nieraz widzę jak ty godzinę nad jednym wierszem myślisz. Ktoby nam mógł w momencie coś poradzić, to Ciocia! tylko nie wiem czy już wstała? zobaczę. (*Chce wychodzić, spotyka się z Ciotką*). Ach! otóż i ona.

SCENA III.

Ciż sami, CIOTKA.

Dzieci biegnąc ku niéj i całując ją.

Ach! Ciociu, kochana Ciociu! wymyśl nam co dla Mamy.

CIOTKA.

Czegóż chcecie?

KRYSIA.

Jakiéj komedyi naprędce.

CIOTKA.

Komedyi? to już trochę zapóźno. Szkoda, żeście do mnie nie napisały, byłabym wam przysłała jaką z Warszawy. Ale dzisiaj, w sam dzień urodzin?

KRYSIA.

To nic nie szkodzi! My się jeszcze nauczymy. Moja Ciociu, co wiejskiego! ja mam taki ładny różowy gorsecik, byłyby ubiory.

ADAŚ.

A jabym pożyczył sukmany od ogrodniczka, jużem ją raz przymierzał, wyborna, i byłbym pasterzem.

KOSTUŚ.

Ej! wstydzilibyście się takie baśnie klecić! Cóż wy chcecie? żeby Ciocia wymyśliła, napisała komedyą, my jéj się nauczyli, i to wszystko dzisiaj? Oj! dzieci! dzieci!

MARYNIA.

Żeby to przynajmniéj można choć maleńką przyjemność Mamie sprawić? Żeby wstawszy miała jakie miłe zdziwienie! żeby wiedziała, żeśmy o niéj, o jéj urodzinach pamiętali. Moja Ciociu, pomyśl trochę!

CIOTKA.

Oto wiecie co zrobić?

(*Wszystkie dzieci otaczają ją*).

Ach! co? co? mów kochana Ciociu!

CIOTKA.

Moja siostra bardzo to miejsce lubi, co rano tu przychodzi; przynieście dary które jéj ofiarować macie: ja was między temi drzewami ustawię. Mam wieńce z kwiatów, przyozdobią się wasze ubiory; ona tu przyjdzie, zadziwi się, powiecie jéj powinszowania, i będzie mała *zabawa naprędce*.

(*Dzieci skaczą, klaszczą w ręce i ściskają Ciotkę.*)

O ślicznie! ślicznie! Dziękujemy Cioci!

MARYNIA.

Ale zabierzmy się zaraz do tego; ja idę po mój podarek.

INNE DZIECI.

I my to samo.

CIOTKA do KOSTUSIA.

Mój Kostusiu, ty ze mną zostań, pomożesz mi trochę; pójdziesz potém po swój podarek.

(*Krzątają się oboje, ustawiają doniczki, Ciotka wieńce z kwiatów przynosi*).

KOSTUŚ (*ustawiając*):

Ach! dziękuję Ci, kochana Ciociu, żeś nam tę myśl podała. Pewny jestem, że Mama będzie kontenta. Ale jakie powinszowanie jéj powiedzieć? Ja dosyć myślę, i bardzo wiele czuję; lecz kiedy mam najwięcéj myśli w głowie i uczucia w sercu, wtenczas właśnie słów mi niedostaje.

CIOTKA.

Wielu osobom podobnie się zdarza; i ja przewidując ten nowy wasz kłopot, napisałam dla każdego z was po cztery wierszyki; są one stosowne do darów, które ofiarować macie: będzie czas do nauczenia ich się na pamięć, bo gdym z domu wychodziła, Mama jeszcze spała.

KOSTUŚ.

Kochana Ciociu! dawaj! dawaj! biegnę wołać siostr i brata, a przez drogę, sam się moich nauczę.

(*Ciotka daje mu karteczkę, on wybiega*).

SCENA IV.

CIOTKA (sama).

Domyśliłam się jeszcze wczoraj kłopotu tych biédnych dzieci, i jakże mi miło, żem im tę radość sprawiła. Nic dziwnego, iż chciałyby Matce dzień urodzin uprzyjemnić. Ach! któreż dziecię dobrą Matkę mające, podobnego dnia nie błogosławi? któreżby go upiększyć nie pragnęło? Szkoda tylko, że zdatniejszego doradcy nie mają. Ale spodziewam się, że i tę drobnostkę przyjmie ona miłe. Matce tak mało potrzeba, żeby z dzieci zadowolniona była.

SCENA V.

CIOTKA, KRYSIA, MARYNIA, ADAŚ.

(Marynia niesie pęk kwiatów, Krysia kosz cukrów i przysmaczków, Adaś ptaszka w klatce).

DZIECI WSZYSTKIE RAZEM.

Ciociu! Ciociu! Kostuś nam powiedział: dawaj wiersze! prosimy! oto masz nasze dary.

(Ciotka odbiera od każdego co przyniósł, i daje karteczki. Dzieci rozchodzą się po całym teatrze: Marynia siada, Krysia chodzi, Adaś opiera się o drzewo, i uczą się głośno: Ciotka jeszcze ustawia: wtém Kostuś powraca z koszem jabłek i mówi:)

Oto mój dar; i moje wiersze już umiem.

DZIECI.

I my umiemy.

CIOTKA.

Co, już?

KRYSIA.

O! już, takie łatwe; a wreszcie mamy je napisane, będzie można sobie przypomnieć.

MARYNIA do CIOTKI.

Ciociu! zacznij nas ustawiać!

KOSTUŚ.

O! zacznij! bo mi kredencerz powiedział, że Mama już się obudziła.

DZIECI.

Ach! spieszmyż się!

(*Ciotka ustawia dzieci: dwie dziewczynki ubrane w białe sukienki, połączone wieńcami z kwiatów, stoją na wyniesieniu, jedna wyżéj, druga niżéj, wśród kwiatów i krzewów. Adaś tuż przy nich, prawą ręką oparty o drzewo, lewą wskazuje klatkę stojącą na ziemi: Kostuś z drugiego boku klęcząc na jednem kolanie, w obydwóch rękach kosz z jabłkami trzyma. Ciotka ustawiwszy ich, oddala się i przypatruje, a spojrzawszy w bok spostrzega zbliżającą się Matkę.* „Mama idzie!“ *woła i wybiega. Wraca wnet z siostrą na scenę, a dzieci stoją spokojnie na miejscach swoich*).

SCENA VI i OSTATNIA.

WSZYSCY.

MATKA.

Cóż ja widzę? cóż się to znaczy?

MARYNIA.

Obchodząc dzień tak szczęśliwy,
Zebrały się twoje dziatki;
Rzuć na nie wzrok twój życzliwy:
Przyjmij od córki te kwiatki.

KRYSIA.

Niechaj całe twoje życie
Wolne będzie od goryczy!
Niechaj każde twoje dziécię,
Doda mu wdzięku, słodyczy.

ADAŚ.

Jak ja ptaszka, tak ty zdrowie
Ułów sobie na wiek długi,
I niech ci kiedyś kraj powie:
„Mają twe syny zasługi!“

KOSTUŚ.

Po długich zabiegach, pracy,
Jabłoń owoc mi wydała;
I my także będziem tacy,
I z nas Ciebie czeka chwała.

(*Powiedziawszy wiersze, dzieci podnoszą się z miejsc swoich, biegną ku Matce, oddają dary, rzucają jéj się na szyję; ona kolejno ich i Siostrę ściska, kolejno im dziękuje, i zasłona spada*).

Już raz w miejscu zwykłéj *Powieści* czytałyście w tém piśmie, dzieci drogie, małą *komedyjkę:* mile od was przyjęta, graną nawet w kilku domach była: zachęcona tém spełnieniem życzeń moich, dziś *drugą* wam niosę: milszą od piérwszéj być dla was powinna, bo prawdziwy czyn jest jéj treścią. Czytałyście opis jego w wspomnieniu o *Tadeuszu Czachim.*

SZKÓŁKA.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

MATKA.
TADZIO jéj syn 12-sto-letni.
BAKAŁARZ.
TOMASZOWA, siostra Bakałarza.
ANTEK, JÓZIO, MARYNKA, } celniejsi uczniowie Szkółki.
MICHAŁ, stary lokaj.
Kilkunastu uczniów płci obojéj.

(*Scena w Porycku, miasteczku na Wołyniu, d. 28 Sierpnia 1777 roku*).

SCENA I.

BAKAŁARZ, TOMASZOWA, WSZYSCY UCZNIOWIE.

(Teatr wyobraża izbę szkolną; z obudwóch stron są stoły, zá niémi ławki, na których siedzą uczniowie: każdy z nich zajęty nauką. — Bakałarz na przodzie sceny wraz z siostrą, tak do niéj mówi:)

A! jakiémże to dla mnie szczęściem dzień dzisiejszy znaczony, *albo calculo dies notata*. Dziś obchodzimy Urodziny kochanego panicza naszego i Bóg sprowadził mi siostrę, którą już od tak dawna widzieć pragnę, któréj od roku oko moje nie oglądało. Prawdziwie nie posiadam się z ukontentowania.

TOMASZOWA.

I ja, Bóg widzi, przyjść do siebie nie mogę z podziwienia i radości: rok temu, zostawiłam cię w nędzy, kochany bracie, z całą twoją łaciną i mądrością. Właśnie odprawiwszy się od państwa, u których służyłam, miałam ci tu przywieźć kilkanaście złotych z zasług uzbieranych, żebyś przynajmniéj nie umarł z głodu, kiedy odbieram list twój. Przeczytawszy go z trudnością, dla drobnego pisma i łaciny, dowiaduję się, żeś w dobrym bycie, że dla mnie nawet masz kawałek chleba; nie chcę wierzyć oczom moim, przyjeżdżam i zastaję więcéj, niżem sobie wystawiała. Kontusz porządny, pas bogaty, czapka z barankiem, bóty żółte, mieszkanie chędogie, a nadewszystko twarz wesoła i rumiana; doprawdy, nie pojmuję...

BAKAŁARZ.

Wszystko to Boskiéj Opatrzności cuda, i owoce owéj łaciny i mądrości, z któréj tylko niewiadomi szydzą. Ona to, Mościa Pani, postawiła mnie na tych nogach, na których mnie widzisz, bo kto w Boga wierzy i po łacinie umie, temu biéda nigdy długo dokuczać nie śmie.

TOMASZOWA.

Dokuczałać ci ona, panie bracie, czas niemały; Bogu dziękować, że jéj się naprzykrzyło; ale powiedzże mi, jak się to stało, jaką służbę masz dla mnie, bo ja dalipan, jak w rogu jestem i schnę z ciekawości.

BAKAŁARZ.

Opowiem ci wszystko porządkiem, od początku, *ab ovo*. Wiesz dobrze, do kogo *Poryck* należy; wiesz, że to państwo bogate, zacne, wspaniałe, wysokiego urodzenia; wiesz, że

mają potomstwo, ale wiedzieć nigdy nie możesz, co to za dziecię, najmłodszy ich syn...

TOMASZOWA.

O! słyszałam ja już wiele o nim; mówią, że to panicz rozumny, jakich mało...

BAKAŁARZ.

Mów lepiéj, jakich wcale niema; to *nec plus ultra!* Paniątko dobre, jak Anioł, a mądre jak Salomon; co on już książek poczytał, co nauk posiadł, co dobrego zrobił, a jak gładko po łacinie umié! Wszak ci to książki, których ja stary nie rozumiem, on *ex abrupto* tłómaczy; już prawo zna lepiéj od palestrantów naszych, historyę polską od kronikarzy, a jakie serce! On to, nie kto inny, mnie staremu, niegdyś w dobrym bycie, późniéj bez sposobu będącemu, podał szlachetny i uczciwy kawałek chleba, boć niema powołania nad powołanie nauczycielskie: *Nec est munus, nisi munus praeceptorum.*

TOMASZOWA.

Panie bracie, nie mieszaj łaciny, a opowiedz rzecz jak się przytrafiła.

BAKAŁARZ.

Oto właśnie na ten Nowy rok byłem sobie jak zwykle w tutejszym kościele, klęcząc obok ławek (bo dla nędznéj odzieży wejść do żadnéj nie śmiałem), modliłem się gorąco na mojéj łacińskiéj książce. Wiele było w ten dzień gości, zasiedli zwykle kollatorów miejsce, i zdarzyło się, że młodszy panicz wejść musiał do téj, przy któréj ja klęczałem. Zastanowiła go wnet moja łacińska i staroświecka książka, a może wreszcie i moja osoba; swój łatwo pozna swego: *similis simili gaudet.* Prawie nie spuścił z niéj i ze mnie

żywych oczu swoich, a nim wyszedł z kościoła, prosił mnie, żebym tego samego dnia przyszedł do niego do pałacu. Przyszedłem, wybiegł do mnie na dziedziniec: pomimo tego, że czamara moja równie jak i książka, którą trzymałem w ręku, w szmatki podartą była, zaprowadził mnie do swego pokoju, i tam tak mówił przerywanemi słowy: „Oddawna pragnę gorąco, żeby dzieci domowników naszych, ubogich mieszkańców Porycka, mogły jakiegoś nabywać światła, żeby nie rosły w grubéj ciemnocie... mnie tyle szczęścia nauki przynoszą... mnie tylu rzeczy uczą, a ich niczego... oni tacy nieszczęśliwi!... ale chciałbym, żeby nikt o tém nie wiedział; mam dużo pieniędzy, kochani rodzice tyle mi ich dają; na pomocniku tylko dotąd mi zbywało... Ty umiesz po łacinie, masz twarz poczciwą, takeś się modlił gorliwie... Ty widzę potrzebnym jesteś, będziesz więc pomocnikiem moim; wszak prawda? upatrzysz w mieście dom jaki z dużą izbą; ty niby założysz szkółkę, a ja prawdziwym jéj założycielem będę.“

I to powiedziawszy, nie zważając na nędzne szaty moje, rzucił mi się na szyję, całował mnie jakby Ojca, a czarne oczy jego, jak dwie gwiazdy jaśniały... Wnet ułożyliśmy wszystko, *mądréj głowie dość na słowie:* przyrzekłem mu sekret, i chowam go wiernie; ty pierwsza z ust moich go słyszysz, bo mam w tém pewne widoki; wreszcie wiem, że choć kobieta, gadułą nie jesteś; kocham cię z serca, a kochającym się wszystko wspólne: *Amicis omnia communia...* Nie wyszło i miesiąca, już była izba najęta, książki zakupione, kilkunastu uczniów płci obojga; mnie wszyscy mieli i mają za założyciela szkółki; powiedziałem, żem znalazł pieniądze w ziemi, i pospólstwo łatwowierne uwierzyło; bo mądremu wierzyć należy: *Sapienti credere fas est.* Nieźle też na tém wychodzą, złamanego szeląga dziatek nauka ich nie kosztuje; kochany panicz na wszystko łoży; jakich tylko pieniędzy udzielą mu rodzice, on je nie strwoni na łakotki, choć je bardzo lubi, ale wszystkie używa na wynagrodzenie

pracy mojéj, i broń Boże! nic od nikogo innego wziąć mi nie pozwala... sam zaś mówił już kilka razy do mnie, żebym się o jaką kobiétę dorzeczną wystarał, któraby o śniadaniach i podwieczorkach tych dzieci myślała i przytém dziewczęta robót uczyła, a to wszystko za przyzwoitą nagrodą. Oczywiście, że mi zaraz pani Siostra na myśl przyszła...

TOMASZOWA.

O! jakież to dobre i zacne dziecię! Jakżebym go jak najprędzéj widzieć rada!

BAKAŁARZ.

Będziesz miała wnet to szczęście, on dnia nie ominie, ażeby się nieznacznie nie wymknął do naszéj szkółki. Chwil rozrywce i zabawom poświęconych, on lepiéj używa. Po zabawach jego poznać dziecię: *ex studiis suis intellegitur puer.* Przybiega tu, wypytuje się o wszystko, więcéj ochoczych pochwala, obdarza ich własnym podwieczorkiem; mniéj pilnych napomina, zachęca, a słów jego jak wyroków ta dziatwa słucha; więcéj może, kto więcéj znaczy; *plus potest, qui plus valet.*—Dziś zwłaszcza przyjdzie nieochybnie, dziś dzień jego urodzin, dwanaście lat skończył; a cóżby to było za święto, gdyby on nas, a my jego nie widzieli? Jużby tu nawet być powinien... ale wiem dlaczego nie przychodzi? huk gości zjechało się do naszego państwa: obiad był suty, musiał trwać długo; chodziły téż zapewne i kielichy wkoło za zdrowie solenizanta... O! mają wprawdzie czego zacnym rodzicom winszować! Mądry syn rozwesela Ojca: *Filius sapiens laetificat patrem.* Mają komu szczęścia i zdrowia życzyć. O! niechby żył sto lat! Cnotliwy i mądry nigdy dość długo nie żyje: *vir probus et sapiens nunquam satis vivit.*

TOMASZOWA.

Ach! niechże tu przyjdzie jak najprędzéj! chciałabym ucałować nogi i ręce takiego paniątka.

BAKAŁARZ.

Co z tego to nic nie będzie, moja pani siostro; broń Boże! żeby cię znienacka obaczył; muszę go pierwéj przygotować zręcznie, a potém chwilę uchwycić pomyślną. Skoro tylko usłyszymy że nadchodzi, musisz się schować do alkierza.

TOMASZOWA.

A to go dziś nie zobaczę?

BAKAŁARZ.

Jak się ze mną rozgada, uczniami zajmie, wejść możesz do izby, i stanąć gdzie w kąciku: on cię nie spostrzeże, wzrok ma krótki, ale rozum jego daleko widzi: przytém bardzo często roztargniony bywa, bo młody, bo żywy, i to jedynie przed sobą widzi, o czém myśli... Ale doprawdy, korcić mnie zaczyna, iż nie przychodzi. Uczniowie moi i ja sam, mamy go oracyami przywitać, miesiąc cały smażyłem się nad niémi; z jednéj szczególnie myśli, nad wyraz kontent jestem... Antku! powiedz-no te cztery wiersze, któremi panicza przywitasz; ale zupełnie takim tonem, z takiemi giestami, jak cię nauczyłem.

(*Antek wychodzi z za stołu, stawa jak zwykle żaki przed nauczycielami, i podnosząc i spuszczając po kolei ręce mówi*):

Niech nasz kochany panicz póty żyje,
Póki mucha z komarem morza nie wypije.
A ty, mucho, pij powoli.
Niech się nasz dobroczyńca nażyje do woli.

BAKAŁARZ.

Dobrze chłopcze; pani siostro, czyś wiedziała jakim twój brat wierszopisem! a ty Józiu, pamiętasz twoję oracyę:

(*Józio podobnież czyni jak Antek*).

Fortunnych pociech, szczęścia wszelakiego,
Życzęć winszując roku dwunastego.
Żyj ośmkroć lat tyle, czerstwéj sędziwości
Doczekaj, mojéj podporo młodości.
Niech cię fortuna na ręku piastuje,
Niechaj przed tobą zawsze kredensuje!
Zażywaj długo szczęścia pomyślnego,
Póki nie dojdziesz kresu śmiertelnego!
Potém zasiadaj w kryształowém Niebie,
Kiedyć Król wieków każe przyjść do siebie.

BAKAŁARZ.

Dobrze, wyśmienicie; i to powinszowanie nieźle mi się udało; tylko w tém bieda, że pewny nie jestem, czym go sam z głowy napisał, czyli téż spamiętał. (*Do Mąrynki, która wstaje i chce także odmówić swoję*). Poczekaj, dziewczę, pozwólcie, niech ja sobie moję oracyę powtórzę... Pani siostro, nie gniewaj się na mnie, i schroń się już do alkierza; zostaw drzwi otwarte; a ja tu już wszystko na przyjęcie jego urządzę. (*Tomaszowa odchodzi, widać ją jednak często we drzwiach*).

BAKAŁARZ (*po krótkim namyśle*).

No! raz jeszcze moję oracyę przepowiem sobie; dla odmiany, mową nie wiązaną ją ułożyłem. (*Napusza minę, czapkę zdejmuje i mówi pompatycznie*): „W nieodmienny

prawie prognostyk poszło to u ludzi, iż jaki poranek wschodząca pokaże jutrzenka, taki sobie całego dnia czas przyobiecują, i pomyślna to wróżba, kiedy rzec można: już wschód jaśnieje. *Jam Oriens splendet!* Poranek dni twoich o Tadeuszu! tak wesoło i świetnie jaśniejący, jakież złotem płynące czasy życia twojego przyobiecuje? jakiegoż starania, jakiéjże życzliwości nie ma się spodziewać po tobie w wieku dojrzałym młodzież, kiedy w pierwszych twych latach już nieugaszone są płomienie twojéj ku niéj miłości; krzewina już pod cień swój dobroczynny przyjmuje, cóż drzewo uczyni? cóż dąb, kiedy fijołek taki! *Quid de quercu, dum viola tanta!* a przeto..." Ale już jako widzę, pamiętam ją co do słowa, lepiéj ustawić tę młodzież, boć pewno niedługo nadejdzie. (*Obraca się do uczniów.*) Chłopcy i dziewczęta! wiecież jak się sprawić macie?

WSZYSCY (*powstają*).

Wiemy.

BAKAŁARZ.

Jednak dla pewności, powtórzę wam raz jeszcze. Skoro nasz kochany panicz wejdzie, staniecie wszyscy w szeregu jak wryci... Oto najlepiéj już teraz wyjdźcie z za stołów. (*Wychodzą i stają, po jednéj stronie chłopcy, po drugiéj dziewczęta*). Tak, dobrze: ani się ruszyć... Skoro wejdzie, ja najprzód wystąpię z moją oracyą; gdy skończę, każde z was po kolei wychodzić będzie z szeregu, i mówić swoje wyraźnie i pomału; potém... ale otóż nadchodzi... Dziatki, ani mrumru!

SCENA II.

Ciż sami. TADZIO.

(*Tadzio wbiega zadyszany, dzieci zaledwie go postrzegły, biegną wszystkie ku niemu, wołając*): „Kochany nasz panicz!

winszujemy! winszujemy! Żyj długo!“ (*Otaczają go, cisną się do nóg jego, suknię całują. Bakalarz napróżno do dyscypliny się bierze, nią grozi, krząta się, woła:* „Ad ordinem, ad ordinem; do porządku, do porządku! malefrugi, improbi, scelesta capita! Lichoto, niecnoto, smarkacze; poczekajcie, dam ja tu wam! (*nic nie pomaga. Tadzio z największém rozczuleniem te oznaki przywiązania przyjmuje: słychać powtarzane z ust jego te słowa:*) „Dzieci moje, kochane dzieci!“

BAKAŁARZ.

No! psotniki, uspokójcież się raz przecie; niechże powiem moję oracyę...

TADZIO (*wyciągając do niego rękę*)

Co mi po oracyi, kochany przyjacielu; wiem bez oracyi, że mi dobrze życzysz.

BAKAŁARZ

Ale bo i tę lichotę z taką pracą wyuczyłem; każde z nich miało coś powiedzieć, a tak nasz panicz nie będzie nic wiedział...

TADZIO.

Wiem wszystko, widzialem że mnie kochają, łzy wdzięczności skropiły ręce, suknie moje... zupełniem kontent... Nigdy tak szczęśliwym nie byłem jak w téj chwili, bo widzę w tych dzieciach, w ich przywiązaniu do mnie, początki zapału do nauk i cnoty...

BAKAŁARZ.

Ale możeby panicz tak był łaskaw, i teraz wysłuchać nas raczył. (*Stawa i zaczyna*). Nieodmienny...

TADZIO (*przerywając mu*).

Gdybym miał kilka minut wolnego czasu, wysłuchałbym cię chętnie, ale zaledwie wymknąć się z pałacu po-

trafiłem; wracać muszę prawie natychmiast: już więcéj jak godzina, jak tu biedz chciałem, a nie mogłem upatrzéć chwili... Niespokojność moję Matka dostrzegła, i pytała się kilka razy, co mi jest? Boję się nawet bardzo, żeby cała nasza tajemnica się nie odkryła, gdyż niedaleko ztąd widziałem starego Michała, który jakby mnie wypatrywał... Jabym chętnie z wami resztę dnia strawił, tu mi tak miło; nic nie wiem jak wczorajsze nauki poszły?..

BAKAŁARZ.

Bardzo dobrze. W wigilię święta dobroczyńcy swego, jakże się przykładać nie mieli? a prócz zwyczajnych nauk oracyj i powinszowań nauczyli się jak pacierza. Nieodżałowana szkoda, że...

TADZIO.

Nie żałuj tego, proszę: zupełnie jakbym je słyszał. Wreszcie na przyszły rok zdać ci się mogą.

BAKAŁARZ (*na stronie*).

Wyborna myśl! lepiéj późno jak nigdy: *Melius sero quam nunquam.*

TADZIO.

A ja rozdam między was, com z sutego obiadu, ciast, cukierków, łakotek i owoców mógł zebrać. (*Idzie za drzwi i koszyk napełniony przynosi*). Sam doprawdy nic tego nie jadłem, żebyście wy więcéj mieli; może i tém obudziłem niespokojność kochanéj Matki. (*Dzieli uczniów, a najprzód butelkę wina z kosza dobywa i kilka małych jabłuszek*). Zacząć trzeba od najstarszego, i dać każdemu co lubi, co mu przystoi. (*Najmniejszéj dziewczynce daje butelkę, Bakałarzowi jabłuszka, ci patrzą się zdziwieni, i on omyłkę swoję postrzega*). A to nieszczęśliwe roztargnienie moje, wcale

przeciwnie zrobić chciałem. (*Odmienia dary*). Niech kto już rozda resztę; bo co tego, to nie umiem. (*Marynka bierze koszyk i dzieli. Dzieci ze smakiem zajadają.*) Kiedyż, przyjacielu, wystarasz się o tę kobiétę, o któréj ci już kilka razy mówiłem; bardzoby nam się przydała.

BAKAŁARZ (*uradowany*).

Ach! jabym mógł téj minuty stawić tu taką, jakiéj panicz żąda.

TADZIO.

Co mówisz?

BAKAŁARZ (*wyprowadzając Tomaszowę z alkierza*).

Oto jest.

(*Tomaszowa ściska kolana Tadzia*).

TADZIO.

Zupełnie taka, jakiéj nam było potrzeba. Któż ona jest?

BAKAŁARZ.

To siostra moja.

TADZIO.

Tém ci lepiéj. Jutro przybiegnę tu rano i rozmówimy się, teraz odejść muszę. (*Chce wychodzić, wtém jedna z uczenic, która przed chwilą była wyszła, wraca z pośpiechem i woła*). Dla Boga! dla Boga! sama Pani idzie!

(*Dzieci, Tomaszowa, Bakałarz chcą uciekać, ale Tadzio ich wstrzymuje i mówi*).

Kiedy się już rzecz odkryła, lepiéj czekać śmiało, niźli uciekać; wreszcie nic tu złego nie robimy, bać się więc nie mamy przyczyny.

SCENA OSTATNIA.

Ciż sami, MATKA, MICHAŁ.

MICHAŁ (*otwierając drzwi*).

Tu, tu, Jaśnie Wielmożna Pani, oto jest zbieg nasz.

MATKA (*patrząc wkoło*).

Cóż tu dzieci, książek! a to widzę szkółka! O Boże! serce moje zgaduje tę całą tajemnicę; Synu! mój kochany Synu! (*Wyciąga ręce do Tadzia, on się rzuca w jéj objęcia*).

TADZIO.

Cóż kochana Matko, nie gniewasz się? Ten sekret przed wszystkiemi?..

MATKA.

Ja, gniewać się na ciebie? ach! owszem słodką napełniasz mnie pociechą; a jakaż będzie Ojca twego radość! Kryć dobre uczynki swoje zawsze wolno; bodajby tylko takie tajemnice były!.. Tu więc tonęły owe pieniądze, podarki, któreś od nas dostawał, a jam się martwiła, że je trwonisz... Żal tylko mam do siebie, żem dawniéj twego serca nie odgadła...

TADZIO.

A ja żałuję teraz, żem się dotąd przed rodzicami taił, bom jeszcze nigdy w życiu podobnie nie był szczęśliwy.. Ukochaną Matkę widzieć przejętą radością, któréj się jest sprawcą, to szczęście najwyższe... (*Całuje ją w ręce*).

MATKA (*ściskając go*).

Synu! kochany synu! Oby kiedyś, gdy lata przyniosą ci szczęście być ojcem, oby kiedyś mówię, syn tobie podo-

bny taką ci sprawił pociechę, jaką ty w téj chwili napełniasz serce moje!.. O! jakież to dziecię dałeś mi Boże! w dobroci Twojéj! jakże ten piękny czyn dwunastoletniego młodzieńca, pomyślną przyszłych przeznaczeń jest wróżbą! — Dopomóż mu tylko Panie! a uczyni dla Ojczyzny, co dziś dla rodzinnego miejsca uczynił. (*Obracając się do Bakalarza, do Tomaszowéj i do uczniów*). Wy, poczciwi ludzie, którzy synowi memu dopomagacie do tak dobrego uczynku, zechcecie przyjąć jakąś nagrodę; a wy dzieci idźcie do pałacu, tam smaczną każę wam sporządzić wieczerzę. Chodź synu mój, zaprowadzę cię do Ojca z tym chlubnym orszakiem; o! jakże będzie szczęśliwy! Cnota dzieci, najdroższym jest skarbem rodziców.

DOBRE SERCE STASIA.

KOMEDYJKA. *)

OSOBY:

Pani wsi.
Wójt gminy.
MAŁGORZATA, uboga wdowa.
STAŚ,
ANKA,
KAZIO,
JÓZIO,
RÓZIA,
JAŚ,
} jéj dzieci.

(*Scena na wsi przed chatą Małgorzaty*).

SCENA I.

WSZYSTKIE DZIECI MAŁGORZATY.

(Staś plecie koszyki, Anka przędzie, Kazio struże patyczki, Józio z dwóch kłębków zwija na jeden nici, Rózia z Jasiem kwiatkami i piaskiem się bawią).

STAŚ (*po chwili milczenia*).

O Boże! Matki nie widać, już tak dawno poszła. Może jéj żadna sąsiadka, ani kuma, chléba pożyczyć nie chce. Jaka téż to wielka u nas biéda!

*) Już nieraz słyszałam żalących się, że niema prawie komedyj w polskim języku dla dzieci, i że dlatego zmuszone są grywać francuzkie. Gotowa zapobiegać ile możności mojéj podobnym niedostatkom, umyśliłam kłaść tu ciągle przez czas jakiś w miejscu *powieści* komedye, bądź oryginalne, bądź naśladowane. Dzisiejszej, myśl wzięta jest z Berkina.

ANKA.

Oj prawda! od samego wstania niceśmy w ustach nie mieli; mnie aż w żołądku się zwija, tak mi się bardzo jeść chce.

INNE DZIECI.

I nam także tak bardzo głód dokucza.

(*Tu Rózia i Jaś zaczynają płakać*).

STAŚ (*obracając się ku nim*).

Moje dzieci, nie płaczcie, utulcie się; możeć Bóg da, że Matka chléba przyniesie; a choćby nie przyniosła, nie mówcież przy niéj, że wam się jeść chce: ona już i tak dosyć nieszczęśliwa!

ANKA.

Zapewne; od tego czasu jak Ojciec umarł, Matka prawie zawsze płacze. Żal jéj Ojca! taki był dobry. A na jego chorobę i pogrzeb wszystkie pieniądze wydała. I krowa poszła. O! nietrzeba jéj więcéj zasmucać.

KAZIO.

Choć mi się tak bardzo chce jeść, że doprawdy niewiem, czy wytrzymam, nic jéj nie powiem.

JAŚ i JÓZIO.

I my to samo.

STAŚ.

Dobrze, moje dzieci, nic a nic nie mówmy. Zobaczycie, że ten Bóg dobry, który, jak Matka mówi, o ptaszętach, nie zapomina i o nas pamiętać będzie. Chłopak wójta obie-

cał dać mi trochę kartofli, jak mu ten koszyk uplotę; będę się spieszył, skończę przed wieczorem. Czemuż ja jeszcze nie taki duży jak był nasz Ojciec? poszedłbym do młocki albo do kosy, zarobiłbym ze dwa złote! mielibyśmy co jeść na dni kilka.

ANKA.

A jaka szkoda, że ja nie większa! poszłabym do żniwa, i za wszystkie pieniądze nakupiłabym mąki, kaszy, grochu, słoniny i chleba...

MAŁE DZIECI (*prawie z płaczem*).

Oj! chleba, chleba!

STAŚ.

Utulcie się dzieci i bądźcie cicho; widzę Matkę, już idzie.

SCENA II.

Ciż sami i MAŁGORZATA.

(Wszystkie dzieci biegną ku niéj wołając):
Matka! Matka!

MAŁGORZATA (*rozkładając fartuch*).

Moje dzieci! obiegłam wieś całą, odniosłam przędzę Franasce, ale taka wszędzie biéda, żem tak mało dla was jedzenia dostała. Na wam, obchódźcie się tém jak możecie.—*(Dzieli na sześć części chleb, który przyniosła w fartuchu).* Nie po wielkim kawałku wam się dostanie, ale przynajmniéj aby dziś nie pomrzecie z głodu. O jutrze Bóg dobry pomyśli!... *(Rozdaje chléb, zaczqwszy od najmniejszych)* Ty, Stasiu najdłużéj czekałeś, masz za to część największą; boś też ty i najstarszy i najlepszy. Wykapany nieboszczyk Ojciec.

STAŚ (*z przymusem obracając w ręku koszyk*).

Dziękuję ci Matko, ja jeść nie mogę... zjédz sama ten kawałek chleba, albo daj go małym dzieciom.. ja jeść nie mogę.

MAŁGORZATA (*przelękniona*).

Wielki Boże! cóż ci się stało? tyś zawsze równie bywał gracki i do roboty i do jadła. Czyś chory?

STAŚ.

O! tak... jestem chory, bardzo chory.

MAŁGORZATA.

Maszże tobie! tego mi tylko brakowało. I cóż ci jest? Powiédz prędko co cię boli? czy głowa?

STAŚ.

Tak, głowa.

MAŁGORZATA (*biorąc go za głowę i ręce*).

Gorące... pewno jakich złych krost dostanie. Idź do chaty, Stasieńku, połóż się na mojém łóżku. Jak się prześpisz, to może da Bóg, że to minie.

STAŚ.

Jabym wolał tu zostać.

MAŁGORZATA.

No! to się połóż na téj ławce. Anko, przynieś bratu poduszkę. (*Anka idzie do chaty; za jéj powrotem Staś się kładzie*). A ty Kaziu, pójdź do pańskiego ogrodnika; proś, żeby pozwolił narwać liści orzechowych w sadzie; przynieś mi ich dobrą płachtę; obłożę mu głowę: to czasem pomaga.

KAZIO.

Dobrze, Matko, pójdę zaraz (*wychodzi*).

MAŁGORZATA.

Wy małe dzieci, bądźcie cicho, może Staś uśnie; a ty Józiu siądź przy braciszku i z much go oganiaj, żeby mu do spania nie przeszkadzały. (*Biorąc Ankę na bok*). Czy narzekał na głowę, jak mnie nie było?

ANKA.

Nie, Matko, nic o tém nie mówił.

MAŁGORZATA.

Dziwna rzecz, zkąd mu tak nagle przyszło? Dziś rano zdrów był zupełnie. A to najgorsze te nagłe choroby... O Boże! że téż tu we wsi ani państwa, ani lekarza nie masz. Ale pobiegnę do Mikołajki, ona już nie dzisiejsza; zna różne zioła i ich skutki: może co dobrego memu Stasieńkowi narai. (*Chce wychodzić, Wójt ją spotyka*).

SCENA III.

Ciż sami, WÓJT.

WÓJT.

No! Małgorzato! czyście wy oszaleli! Zapomnieliście widzę ze szczętem, żeście jeszcze za nieboszczyka męża 13 złt. czynszu winni, kopę jaj i cztery kapłony. Ba! i dni kilkanaście macie do odrobienia we dworze. Przysięgam Bogu, że z wami to czyscowe męki. Ledwie głowa nie pęka, tyle winni w każdéj chacie; a parę butów zedrzéć trzeba, nim się trzy grosze odbierze. Przeklęta robota!

MAŁGORZATA *(ściskając go za nogi).*

O mój Panie Wójcie! zlitujcież się nademną! Zkąd ja wezmę tych pieniędzy, téj daniny? jak ja te dni odrobię? krowa, wieprzak, gęsi, kaczki, wszystko poszło, i jednéj kury nie mam. Żyję miłosierdziem Bożém; ledwie po ciężkiéj w dzień i w nocy pracy, mam bochenek chleba dla sześciorga dzieci.

WÓJT.

Co mi do tego. Ja swojéj służby patrzeć muszę. Jak nie zapłacisz, babo, widzisz ten bat, plecy odpowiedzą.

MAŁGORZATA.

Wielki Boże! i cóż ja poczną? Choćbym dnie odrobić z duszy rada, nie mogę tego drobiazgu odstąpić... Oto właśnie najstarszy syn mi zapadł... Wszystko się na mnie zwaliło!... Oj! prawda, że sierotom i wdowie, życie cięższe jak kamień! *(płacze).*

WÓJT.

Jużcić ja choć na tym wysokim urzędzie, przecież mam serce i żal mi was biédaków. Ale proszę jak tu zrobić, żeby i wilk był syty i owca cała? Salomonem byćby trzeba. Wiemci ja, że kobiecisko nic nie ma, ale dwór piérwszy, dwór zaspokojony być musi, bądź co bądź. Idzie mi téż i o moję sławę, o łaskawe oko pańskie. Chciałbym, żeby Jaśnie Wielmożny Pan wszystko porządnie zastał: rachunki skończone i dokładne, worek pełny; a tu wieś cała dłużna... Już posłaniec przyjechał, że Państwo lada moment tu przybędą.

MAŁGORZATA *(z radością).*

Co, doprawdy? czy oboje? przyjedzie tu i nasza młoda Pani? O! możeć się nademną zlituje!

WÓJT.

Tak, tak. Nasz Pan ożenił się niedawno w Warszawie, objeżdża z żoną swoją a Panią naszą wszystkie dobra, chcąc sobie którą wieś na mieszkanie obrać.

MAŁGORZATA.

Oj! żebyć sobie upodobali wieś naszą! Małoć znam naszego Pana, ale mówią o nim ludzie, że sprawiedliwy. A wreszcie i nam włościanom zaraz lepiéj, kiedy Państwo we dworze mieszkają. Zdaje się każdemu, jakby rodzonych miał jeszcze. Czy w biédzie, czy w chorobie, jest do kogo się udać!... Możeby nasza Pani i memu Stasieńkowi co poradziła?... Ci Państwo to choć młodzi, to więcéj umieją od nas starych prostaków...

(Tu słychać trzaskanie z bicza).

WÓJT.

Co słyszę? pewno Państwo jadą. Nie bałamuć mnie próżnemi słowami. Jużcić przecie musisz mieć choć kilka złotych; bo wy to zawsze piszczycie, choćbyście pełną kiesę mieli. Dawaj babo zaraz, bo inaczéj... *(Podnosi bat).*

MAŁGORZATA.

Kiedy wam na Boga przysięgam, że nie mam grosza przy duszy. Opiszcie moję nędzę Panu...

WÓJT.

Zapewne... To ja Panu z mego urzędu zamiast rachunków przyzwoitych, będę podawał takie androny... On tam wiele dba o twoję nędzę... Daj zaraz pieniędzy!

MAŁGORZATA.

Dajcie już pokój, panie Wójcie. Ja sama pójdę do dworu, jak skoro Pani przyjedzie, skłonię jéj się do nóg

i będę prosiła o miłosierdzie. Zobaczycie, że wskóram: prawie zawsze panowie od sług lepsi.

WÓJT.

To idźże babo i gadaj sama; ale mi się nie waż słówka na mnie pisnąć: wszakżem ci się nie tknął, a mogłem... *(na stronie)* i będę mógł jak z Bogiem pojadą *(wychodzi)*.

SCENA IV.

Ciż sami prócz WÓJTA.

MAŁGORZATA.

Chociaż Wójt grozi, przecież mi lżéj na sercu. Kiedy państwo tu przyjechali, możeć jak im padnę do nóg, zlitują się nademną. Może mi i cały dług darują, dla nichby to mój Boże! było małą rzeczą, a dla mnie tak wielkiém szczęściem! Biegnę do dworu Anko! dajno mi fartuch czerwony. *(Kładzie go na szyję)*. Żeby tylko mój Stasieńko był zdrów! *(Zbliża się do niego i przygląda mu się)*. Śpi moja jagódka, śpi spokojnie; jakoby kwiateczek wygląda; może mu téż nic nie będzie. Anko, nie waż mi się ztąd odchodzić, pilnuj małych dzieci... Podziel między nich jego kawałek chleba.

ANKA.

Dobrze, Matko.

SCENA V.

STAŚ śpiący, ANKA, JÓZIO, JAŚ, RÓZIA.

(Anka bierze chléb Stasia, kraje go i dzieli między troje małych dzieci, mówiąc: *Na wam!* jedzcie. Dzieci biorą i jedzą chciwie. Wtém Staś otwiera oczy, podnosi głowę, i z radością na ten widok spogląda).

ANKA.

Obudziłeś się bracie! możebyś teraz zjadł kawałek chleba?

JÓZIO (*odejmując swój chleb od ust*).

Naści Stasiu, jédz; ja już bardzo wiele jadłem.

STAŚ.

Dziękuję wam, jeszcze jeść nie mogę, ale mi już daleko lepiéj... o daleko lepiéj... Czy Matka nie wróciła od Mikołajki?

ANKA.

Toś ty spał na dobre, i nic nie słyszałeś. Wystaw sobie, Państwo nasi oboje przyjechali, był tu Wójt, chciał koniecznie pieniędzy, batem Matce odgrażał. Matka znowu płakała, teraz poszła do dworu prosić młodéj Pani, żeby się nad nami zmiłowała.

STAŚ.

O! zapewne się zmiłuje. Jabym przynajmniéj tak zrobił, gdybym był panem.

ANKA.

O i ja to samo. A wiecie cobym zrobiła, gdybym była panią? otobym i wam i sobie śliczne na jarmarku pokupowała wstążeczki, paciorki... jadłabym codzień kluski ze słoniną, a Matce tylebym dała pieniędzy...

SCENA VI.

Ciż sami KAZIO (*wpadając z hałasem*).

Słuchajcie! słuchajcie! Państwo przyjechali. Widziałem ich w takim prześlicznym domku na kołach, w karecie.

Cztery konie skarogniade były u niéj, a kozioł jak pokryty! oto jakby najsutszą kapą. Pan i pani siedzieli sobie w karecie, jak gdyby w jakiéj kapliczce, bardzo pięknie ubrani. Ale ci co stali za karetą, to jeszcze piękniéj wyglądali. Takie mieli koło rąk i koło szyi złociste szerokie wstęgi, ja myślałem, że to także panowie, a to lokaje.

ANKA.

I gdzieżeś widział te wszystkie śliczności?

KAZIO.

Oto tak. Jakem ztąd wyszedł, spotkałem Sobka i Pietraszkowéj chłopaka; ci mi powiedzieli, że im ekonomski syn mówił, że państwo wnet gościńcem przyjadą; wybiegliśmy na drogę, i z rowu widziałem wszystko; dałem potém susa przez płot, i piérwéj od karety byłem na dworskim podwórcu. Widziałem jak zajechali, jak wysiedli; ekonom tak się kłaniał, i wójt, i włódarz i karbowy. Pani śliczna i młodziusieńka, chłopstwa było dosyć; ale spostrzegłem Matkę i tu przybiegłem.

ANKA.

A liści orzechowych dla Stasia przyniosłeś?

KAZIO.

Na śmierć zapomniałem, ale teraz biegnę.

ANKA.

Biegnijże co tchu i wracaj, bo Matka gniewać się będzie. (*Kazio wychodzi*). Gdyby mi Matka nie była przykazała siedzieć tu, tobym i ja do dworu pobiegła. Ja jeszcze nie znam karety; ja i panów tylko raz na odpuście zdaleka widziałam. Ale nie pójdę... Matki trzeba słuchać.

KAZIO (*wracając z pośpiechem woła*).

Pani tu idzie! Pani tu idzie!

(*Wszystkie dzieci powstając:*)

Pani tu idzie? czy to być może!

KAZIO.

Doprawdy, już jest przy Sobkowéj chacie.

ANKA.

O! dla Boga! gdzież ja się skryję. (*Anka i wszystkie dzieci tulą się i kryją jak mogą: młodsze chowają się za siostrę. Rózia płakać zaczyna. Anka ją tuli*).

SCENA VII.

Ciż sami, PANI, WÓJT, MAŁGORZATA.

PANI (*wchodząc*).

Ach! jakaż to po tych wsiach nędza! Gdzie spojrzéć, to nieszczęśliwi! Cóż tu dzieci! Ale czegóż się mnie boicie? i ty mała, czemu płaczesz? ja wam nic złego nie zrobię. Ja bardzo kocham dzieci. Któreż to z was chore?

MAŁGORZATA (*biorąc Stasia za rękę*)

Ten chłopiec, Jaśnie Wielmożna Pani. (*Do Stasia.*) Ukłoń że się.

PANI.

Cóż ci to, moję dziecię? Twoja Matka mówiła mi, że cię głowa bardzo boli, że nic jeść nie możesz. Zażyj tych

kropli: pomogą ci pewno. Czy masz gorączkę? (*Bierze Stasia za rękę i daje mu flaszeczkę z kropelkami*).

STAŚ (*nie chcąc wziąść lekarstwa*).

Nie! ja żadnych kropli nie zażyję.

(*Przez ten czas Rózia ciągle płacze, Matka ją wynosi z chaty*).

PANI (*zdziwiona*)

Jakto nie zażyjesz? a to dlaczego?

STAŚ.

Niech mnie się Wielmożna Pani nie pyta, bo ja nie mogę powiedzieć.

PANI.

Nie możesz? a to ty widzę uparty, mój chłopczyku.

STAŚ.

Doprawdy, żem ja nie uparty.

PANI.

Spytam się twojéj Matki, ona mi powié, dlaczego lekarstwa zażyć nie możesz?

STAŚ (*przelękniony*).

O! niech Wielmożna Pani nic Matce nie mówi; niech ona o tém nic nie wié!

PANI.

A to szczególne dziecko! Ja muszę twojéj Matce powiedzieć; ty musisz te krople zażyć, bo inaczéj nie ozdrowiejesz; i to bardzo brzydko dla takiego dużego chłopca nie słuchać. (*Do wracającéj właśnie Małgorzaty*). Moja kobiéto, rozsądź tę sprawę.

STAŚ (*z pośpiechem kłaniając jéj się do nóg mówi pocichu*).

O! już wszystko Wielmożnéj pani powiem, ale niech Matka i nikt nie słyszy.

PANI (*zdziwiona*).

Cóż to z tego będzie? (*do Małgorzaty*). Oddalcie się wszyscy, ja muszę sama z tym chłopczykiem pomówić.

(*Wszyscy się oddalają w głąb teatru, okazując znaki zadziwienia*).

SCENA VIII.

PANI, STAŚ.

Już teraz jesteśmy sami, mów więc prędko, moje dziecię.

STAŚ (*skrobiąc się w głowę*).

Kiedy się bardzo sromam.

PANI.

Nie wstydź się, choćbyś co złego zrobił, skoro się przyznasz, darowaném ci być może. Mów tylko.

STAŚ (*przerywanym głosem*),

O! to zapewne Wielmożna pani już wié, że jesteśmy bardzo biédni; ojciec nam umarł... Matka wszystko a wszystko posprzedawała, nic nie ma; dzień i noc pracuje, żeby nas wyżywić... Ledwie na dzień bochenek chleba zarobić może, po małym kawałku każdemu z nas się dostaje, a sama dla siebie nic prawie nie zostawia. Serce mnie boli, kiedy widzę, że moim braciom i siostrom, tak bardzo jeść się

chce... Ja, najstarszy, zdrowszym od nich, wolę nie jeść, ażeby oni i Matka więcéj mieli...

PANI (*rozczulona*).

O! kochane dziecię! jakież to dobre serce!.. Takaż to była twoja choroba?

STAŚ.

Tak. Ja z umysłu powiedziałem, żem chory, bom nie wiedział jakby to inaczéj nie chcieć jeść. (*Ściskając panią za nogi*). Ale niech Wielmożna Pani nic Matce o tém nie mówi.

PANI.

Czy chce ci się jeść, moje dziecię?

STAŚ.

Okrutnie. Aż mnie głód wewnątrz ściska, i jużem osłabł... Gorzéj mi jednak przykro było, kiedy na ich głód patrzyłem.

PANI.

Ale tybyś umarł wkrótce, gdybyś tak długo nic nie jadł.

STAŚ.

Ja to sobie już myślałem. I cóż? Matka miałaby mniéj jedném dzieckiem do żywienia; a jakbym był u Boga, tobym Go prosił, żeby dał chleba Matce, siostrom i braciom, i mnieby tam dobrze u Niego było.

PANI (*głaszcząc go po twarzy*).

Nie, kochane dziecię, ty nie umrzesz tak prędko. Bóg, Ojciec nas wszystkich, nagrodzi twoje dobre serce. Opa-

trzność Jego tu mnie sprowadziła! O! jakżem rada temu szczęśliwemu zdarzeniu!.. Poczciwa kobiéto, przychodź. (*Małgorzata się zbliża i wszyscy za nią*).

SCENA IX.

WSZYSCY I WÓJT, który zdziwiony stawa w kącie.

PANI.

Szczęśliwa Matko! ciesz się! masz cnotliwego syna. Staś nie chory, udał słabość, żeby tobie i rodzeństwu nie ujmować chleba.

MAŁGORZATA.

Czyż to być może! mój Stasieńko i zdrów i dobry... Ale niech ci Bóg nie pamięta jakeś mnie nastraszył. Patrzcie no! wej! zkąd mu to do głowy przyszło. Poczekaj-no chłopcze. (*Niby mu grozi*).

STAŚ.

Czy doprawdy się gniewacie, Matko?

MAŁGORZATA.

Jużcićbym chciała, ale Bóg widzi nie mogę; takem szczęśliwa!

PANI.

O i ja szczęśliwa, rozrzewniona jestem. Jakiż to skarb być możnym, módz dobrze czynić. Teraz już widzę dlaczego Bóg na ubóstwo pozwolił; rachował na serca bogatych: chciał dać złotu wartość prawdziwą. Poczciwa kobieto! już ci nigdy ani biéda, ani głód nie dokuczy; będziesz miała i krowy, i kury i gęsi, i wszystko, na czém ci zbywa. Panie Wójcie, zapisz WCPan w rachunkach, że ta kobieta nic nie

winna dworowi; już ja to biorę na siebie. (*Małgorzata i dzieci ściskają jéj nogi*).

WÓJT (*kłaniając się pokornie*).

Dobrze, Jaśnie Wielmożna Pani.

PANI.

Spodziewam się, że mój mąż chętnie te obietnice i rozkazy potwierdzi; spodziewam się nawet, że mi i większéj nie odmówi łaski. Jabym najchętniéj tę wieś na mieszkanie obrała, tu dom wygodny, ogród piękny, a nadewszystko tu Bóg błogosławić musi, kiedy tak dobre są dzieci.

WSZYSCY.

O! zapewnie! niech Państwo tu mieszkać raczą.

PANI.

Stanie się to zapewnie. A teraz, kochane dzieci, idźcie ze mną do pałacu. Będziecie mieli dobry obiad. Daj mi rękę Stasiu; sama ci jeść dać muszę, sama cię zaprowadzę do mojego męża i opowiem mu jak masz *dobre serce*.

LIST I PIOSNKA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE. *)

OSOBY:

EMILJA,
LUDWIKA, } pensyonarki starsze.
RÓZIA,
ANIELKA, młodsza.

(*Scena na pensyi płci żeńskiéj, w Stolicy*).

SCENA I.

(Teatr wystawia ogród. Na prawéj stronie jest ławka).

EMILJA, LUDWIKA (*wchodzi śmiejąc się*).

EMILJA.

Już mnie gniewasz tym śmiechem! Powiedzże mi z czego?

LUDWIKA (*śmiejąc się zawsze*).

Niech trochę odpocznę, a powierzę ci zabawną tajemnicę.

---

*) Ta komedya równie jak te, które następnie umieszczone będą, naśladowana jest a raczéj tłumaczona z dziełka wyszłego w Paryżu: Théatre de l'Enfance, par Mde de la Faye-Brèhier.

EMILJA.

Tajemnicę? nie powiesz mi więc z czego się tak śmiejesz od pół godziny.

LUDWIKA.

I owszem, właśnie chcę ci to powiedzieć.

EMILJA.

Ale miałaś koło siebie ze dwanaście panien.

LUDWIKA.

O! zaleciłam im też mocno, żeby nic nie mówiły, i ty musisz mi to samo przyrzec.

EMILJA.

Bardzobym chciała, żeby one tak były wstrzymałe jak ja będę, ale zdaje mi się, że twoja tajemnica niepewna.

LUDWIKA.

Wierzaj mi, że pewna: przyrzekły mi wszystkie zupełne milczenie. I niech Bóg broni, żeby mnie zdradziły; byłabym w rozpaczy, gdyby to doszło do uszów Rózi; bo rzecz cała idzie o piosnkę, którą mój brat na nią zrobił.

EMILJA.

Czyż ta piosnka ją krzywdzi?

LUDWIKA.

Niezupełnie. Naśmiewa się tylko trochę z jéj tańca. Wiesz, że ona nie ma dobrego ucha, tańcuje bez taktu i nie-

bardzo pięknie. Oto jest ta piosnka, przyznasz sama, że przedziwna:

Patrz na Rózi zgrabne skoki,
Istna Terpsychory córka!
Trzeba się trzymać za boki,
Widząc jak tańczy mazurka.
Bo to śmieszna awanturka,
Bez taktu tańczyć mazurka.
Raduje się wszystkich dusza!
Jaki wdzięk, jaka figurka!
Niedźwiadek zgrabniéj się rusza,
Niż ona, tańcząc mazurka.
Bo to śmieszna awanturka,
Bez taktu tańczyć mazurka.
Ach! Róziu, twojego czoła
Żadna nie zasępi chmurka;
Chciéj tylko być mniéj wesoła,
I nigdy nie tańcz mazurka.
Bo to śmieszna awanturka,
Bez taktu tańczyć mazurka.
(*Śmieje się*).

EMILJA (*z gniewem*).

Przyznam ci się, że to może śmieszna ale niełądna piosnka; to bardzo niepięknie ze strony twego brata. Cóż mogło mu być powodem do napisania takich uszczypliwych wierszy na dobrą Rózię?

LUDWIKA.

Wiesz, że była z liczby tych panienek, które Mama zaprosiła na wieczór do siebie, i mój brat powiada, że nie chciała pójść z nim tańczyć mazurka, a z kim innym poszła.

EMILJA.

I za to tak nieprzyzwoitą piosnkę napisał?

LUDWIKA.

Wszystkie panienki za przedziwną i zabawną ją uznały, ty jedna się nie śmiejesz?

EMILJA.

Ja mam się śmiać z rzeczy, która mnie oburza? Ta piosnka rozejdzie się po całéj pensyi, i nie sposób żeby do Rózi nie doszła: ona się zmartwi, a ona tak dobra jak anioł. Jeśli twój brat źle zrobił że ją napisał, ty gorzéj jeszcze robisz że ją wszystkim czytasz. Dziwi mnie to nawet, bom myślała, że kochasz Rózię? Wszak mianujesz się zawsze jéj przyjaciółką od serca?

LUDWIKA (*zakłopotana*).

Ja ją bardzo kocham... i nie widzę co w tém tak złego być może, pośmiać się trochę z kogo, zwłaszcza kiedy o tém wiedzieć nie będzie.

EMILJA.

Właśnie téż; pewna jestem, że wnet o wszystkiém się dowié: ktokolwiekbądź przez złość, bądź przez nieuwagę, powie jéj o téj piosnce.

LUDWIKA.

Ale kiedy mi wszystkie panny przyrzekły...

EMILJA.

Proszę cię, dlaczegóżby wszystkie panny miały być wstrzymalsze od ciebie: wszak nie mogłaś zachować w sobie tajemnicy, chociaż wyjawieniem jéj narażasz na pośmiewisko ukochaną przyjaciółkę.

LUDWIKA.

Gdyby to było coś ważnego, byłabym zataiła; ale taka mała rzecz, tańcować źle lub dobrze, to prawie na jedno wyjdzie.

EMILJA.

Mieć włosy rude albo czarne, to także prawie jedno, bo to się nie tyczy ani serca, ani rozumu, i nikt temu nie winien; a przecież mała Eliza zawsze płacze, kiedy się kto z niéj śmieje?

LUDWIKA.

Bo jeszcze dziecko.

EMILJA.

Zapewne; ale ci, co się z niéj śmieją, jeszcze większe dzieci. Kto rozsądny i dobry, nie uważa, czy warto było albo nie, gniewać się o żart jaki? tylko chroni się zabaw, któreby drugich rozgniewać mogły.

LUDWIKA.

Mnie się zdaje, że będąc na miejscu Rózi, niebym się nie gniewała o tę piosnkę.

EMILJA.

A któż to rok cały miał żal do mnie, za to, żem kilka razy mowę przeciągała po litewsku? Już przestałaś tak mówić, a jeszcześ się gniewała.

LUDWIKA.

To już tak dawno.

EMILJA.

Pewna jestem, że i dziś byłoby ci bardzo przykro, gdyby kto śmiał się z ciebie. My wszyscy tak jesteśmy, i ja nieraz słyszałam, iż nie jedenby wolał żeby go o co złego posądzono, jak gdyby kto śmieszność w nim upatrzył. Wreszcie, bądź pewna, że gdybym była, tak jak ty, przyjaciółką Rózi, mój brat nie śmiałby nawet oddać mi piosnki przeciw niéj wymierzonéj.

SCENA II.

EMILJA, LUDWIKA, RÓZIA (*z koszykiem w ręku*).

RÓZIA.

Nie wiem jaka tajemnica dziś wszystkich zajmuje, wszędzie spotykam mówiących pocichu; nuta jakiéjś dawnéj piosnki do uszu moich dochodzi..... Cóż to znaczy, nie wiecie?

LUDWIKA (*z żywością*).

Ja nie wiem ani słowa: przysięgam.

RÓZIA (*uśmiechając się mile i biorąc ją za rękę*).

Po co masz przysięgać, kochana Ludwiko, ja ci i tak wierzę. Ale Emilja nic nie mówi, pewno coś wiedzieć musi?

EMILJA.

Nie lubię trudnić się tajemnicami towarzyszek moich; jużem się przekonała po razy kilka, że tego nie są warte.

RÓZIA.

Dobrze mówisz: zapewne i dzisiejsza taką wnet się

okaże; bo jak sobie przypominam, nigdy żadna dłużéj nad 24 godzin ukryć się nie potrafiła.

LUDWIKA (*z udaną obojętnością*).

Może też wcale tajemnicy niema.

RÓZIA.

O! że jest jakaś, to rzecz pewna, i mogłam była jéj się dowiedzieć, alem nie chciała: mała Anielka miała niezmyśloną ochotę odkryć mi wszystko, widziałam to z jéj oczu: ale że to zapewne co przeciw którejz nas, nie chciałam do plotek ją wprawiać.

LUDWIKA.

Anielka taka gaduła, któż jéj też kiedy co powierzył?

RÓZIA.

Nie wiem jak się to dzieje, jednak ona zawsze wié wszystko.

EMILJA.

Najlepiéj byłoby zaniechać tych tajemnic i szeptów, z których zwyczajnie niesnaski powstają. Mamy tyle innych przedmiotów do rozerwania umysłu po naukach: robótki, czytania zabawne, gry różne...

RÓZIA.

O! zapewne, kochana Emilko, i ja jeszcze dotąd pojąć nie mogę, jaka może być przyjemność w zabawie kosztem drugich podjętéj, i przyznaję, że nie mam żadnéj w tém zasługi, iż unikam takowych.

LUDWIKA.

Ale w zamian tak jesteś surową: u ciebie najmniejszy żart występkiem.

RÓZIA.

Wiesz, że nie potępiam nikogo, ale nie mogę się śmiać, kiedy kto przymawia komu, że ma rude włosy, albo źle się kłania, lub co podobnego. Nie mogę także należeć do tych, które wyśmiewają niewiadomość panienek świeżo tu przybywających. Gdybyć były uczone i mądre, pocóżby je oddawano na pensyę?

EMILJA.

Już jeżeli śmiać się z kogo, to z tych, co tu są długo, a nic nie umieją. (*Patrząc złośliwie na Ludwikę*). Bo są takie między nami, które po kilku leciech nauki, listu napisać nie potrafią. I dlatego też nie piszą wcale.

LUDWIKA (*urażona*).

Jeżeli nie piszą wcale, to trudno wiedzieć czy umieją lub nie.

EMILJA.

Ale bo tu już weszło w zwyczaj sądzić, że kiedy która z panien nie chce należeć do zabaw piśmiennych i korrespondencyj, to znak, że niewiele umie.

LUDWIKA.

Bardzo niesłuszny wniosek: tysiąc innych może być przyczyn. Wreszcie cóż tu pisać do tych, których widujemy codziennie? To prawdziwie śmieszny zwyczaj.

EMILJA.

To wszystko co nam starsi czynić radzą dla wprawy i nauki, nigdy śmiesznem nie jest; ale byłoby śmiesznem wyjść z pensyi i nie umieć napisać listu.

RÓZIA.

Wierzaj mi Emilko, że wiele panienek przez nieśmiałość od tych zabaw naszych stroni. Naprzykład Anna, ona najuczeńsza między nami; a któżby to zgadł? ust nie śmie otworzyć: tchu jéj brakuje kiedy co swojego czyta, i najwięcéj dlatego woli nie pisać.

EMILJA.

Ja téż nie o niéj mówię, tylko o takich, które dla niewiadomości od wszelkiego popisu stronią.

LUDWIKA (*z przyciskiem*).

Co do mnie, to wyznaję, że się zawsze od tych zabaw i korrespondencyj wymawiam, bo mojém zdaniem są zbyteczne; jednak kiedy tego potrzeba, prawdziwe pisuję listy: oto w dowód mój dzisiejszy liścik do brata.

EMILJA (*złośliwie*).

A! to zupełnie coś nowego; pokażno, pokaż. Nie zapieczętowany, wszak pozwolisz go przeczytać.

LUDWIKA (*wyrywając liścik*).

O nie! nie pozwolę!

EMILJA.

To przeczytaj go sama.

LUDWIKA.

Nie mogę.

EMILJA.

Dlaczego? wszak mnie zaszczycasz niekiedy swojém zaufaniem, a Rózia jest twoją najlepszą przyjaciółką.

RÓZIA.

Pomimo tego, nigdy mi Ludwika listów swoich nie udziela.

EMILJA.

Przyznam się, żeby mnie ta nieufność gniewała. Cóż może tak ważnego pisać do brata? Już ja mogłabym czytać wszystkim moje listy.

RÓZIA.

I ja to samo. Ale czegóż mam gwałtem zaufanie Ludwiki zdobywać? Wreszcie ona wié dobrze, że ani wątpię o jéj przywiązaniu.

LUDWIKA (*zakłopotana*).

O! zapewne, Róziu... Choćbym co przez płochość napisała, na serce zawsze rachować możesz.

EMILJA.

Tyś taka dobra Róziu, wszyscy powinni cię kochać, a Ludwika najwięcéj; czuję, jakiebym miała wyrzuty sumienia, gdybym cię w czém obraziła. (*Cicho do Ludwiki*). A w tobie nic się nie dzieje? (*wychodzi*).

SCENA III.

LUDWIKA, RÓZIA.

(*Ludwika stoi zamyślona*).

RÓZIA.

Cóż ci to? kochana Ludwiniu? takeś zesmutniała?

LUDWIKA *(udając uśmiech przyjemny)*.

Mylisz się; cóżby mi stać się mogło?

RÓZIA.

Emilka wychodząc powiedziała ci coś do ucha; może...

LUDWIKA.

To nic... ale ta Emilka to pełna złości; uważałaś jak patrzała na mnie, mówiąc o tych, które pisać nie umieją. Chciała mnie zmartwić.

RÓZIA.

Uważałam i dziwiłam się. Pierwszy raz tak złośliwą ją widziałam; i nie pojmuję, zkąd jéj się to wzięło?

LUDWIKA.

Ona to umie oddawna; a któż się to śmiał z mego przeciągania?

RÓZIA.

Kilka razy powtarzała przedemną, że nie przez złość to uczyniła, i możesz dobrze pamiętać, że przestała, spostrzegłszy, że się o to gniewasz. O! bardzo często się nam zdarzy, mimowolnie kogo obrazić. Ja naprzykład na tym wieczorze u twojéj Mamy, czyż nie rozgniewałam twego brata? a tak niechcący.

LUDWIKA. *(skwapliwie)*.

A to jakim sposobem?

RÓZIA.

Zapraszał mnie do mazurka, odmówiłam mu, bom była zmęczona. W ciągu tańca przyszedł ktoś inny mnie prosić,

i ja z nim poszłam, zapomniawszy o twoim bracie. Przepraszałam go potém, lecz ozięble przyjął moje wymówki, i pewna jestem że się na mnie gniewa. Ale ja ci już o tém mówiłam.

LUDWIKA.

Prawda: przypominam sobie.

RÓZIA.

Zastanawiałam się z téj przyczyny, jak to źle o ludziach z małych rzeczy sądzić: twój brat wziął mnie pewno za niegrzeczną i źle wychowaną; a jam tylko nieuwagą zgrzeszyła.

LUDWIKA *(ze spuszczonemi oczyma)*.

Wątpię téż, aby mój brat miał się o to długo gniewać.

RÓZIA.

Wreszcie, możeć da się przebłagać; a na zupełną zgodę, patrz co dla niego robię. (*Dobywa woreczek do pieniędzy z koszyka*).

LUDWIKA.

Co? to dla mego brata?

RÓZIA.

Tak, umyślnie dziś przed piątą wstałam i spieszę się z tą robotą; bo mnie korci to uchybienie bratu mojéj najlepszéj przyjaciołki.

LUDWIKA *(na stronie)*.

Ach! jak mnie zawstydza.

RÓZIA.

Czy myślisz, że mu ten podarek miłym będzie?

LUDWIKA (*rozrzewniona*).

O! dobra Róziu.

RÓZIA.

Co widzę? ty płaczesz.

LUDWIKA.

Twoja dobroć do łez mnie porusza... prawdziwie... nie warciśmy... (*Na stronie*). Wyjść muszę, bo nie wytrzymam.

SCENA IV.

RÓZIA (*sama*).

Poszła, zkąd to nagłe rozczulenie? Płacze nad tém, że dla jéj brata woreczek robię? to jakaś tajemnica; pójdę za nią, i musi mi wszystko powiedzieć... Ale nie; wymuszone powierzenie nic nie warte: lepiéj czekać na dobrowolne. Siądę ¡tu sobie i robić będę (*Siada*). Mama często powtarza: „Chcesz mieć przyjaciółkę, wiele czyń dla niéj, a mało wymagaj!“

SCENA V.

RÓZIA (*siedzi nad robotą*), ANIELKA (*wbiega nucąc*).

„Bo to śmieszna awanturka,
Bez taktu tańczyć mazurka.“

(*Zatrzymuje się nagle spostrzegłszy Różię*).

RÓZIA.

A! i ty już umiesz tę nutę. Zkąd się wam wzięło ją śpiewać? Od rana nic innego nie słyszę.

ANIELKA.

Bo na tę nutę jest nowa piosenka.

RÓZIA.

Jeśli piosenka nie piękniejsza od nuty, to nie ciekawa. Ty ją umiesz Anielko?

ANIELKA.

O! co do słowa.

RÓZIA.

Siądźże przy mnie i zaśpiewaj.

ANIELKA (*śmiejąc się*).

O! co tego to nie mogę.

RÓZIA.

Żartujesz.

ANIELKA.

Nie chcę być echem złych ludzi.

RÓZIA.

Cóż to się ma znaczyć?

ANIELKA (*siadając obok Rózi*).

Oto ta piosenka jest wymierzona przeciw jednéj panience tu będącéj, która mi nigdy nie zrobiła nic złego; czegoż ją mam rozgłaszać?

RÓZIA (*całując ją*).

Przedziwnie, kochana Anielko; już ani chcę jéj słyszeć. Ale wiész co, lepiéj jeszcze było nie uczyć jéj się nawet.

ANIELKA.

Zrobiłam to jedynie przez figiel. Nikt mi jéj nie chciał pokazać; ja téż dorwałam się sama, przeczytałam kilka razy, mam ją i umiem. O! ja jeszcze więcéj wiem, coś więcéj od nich wszystkich.

RÓZIA.

Okaż im twojém milczeniem, że choć młodsza, rozsądniejszą jesteś. Nic szpetniejszego, jak wyszydzać towarzyszki swoje.

ANIELKA.

A jeszcze najlepszą przyjaciółkę. (*Na stronie*). Ani wié niebożątko na kogo ta piosenka. (*Głośno*). Czy téż nie zgadniesz którą z nas wyśmiano?

RÓZIA.

Nie, doprawdy.

ANIELKA.

A radabyś wiedzieć?

RÓZIA (*uśmiechając się*).

Może nietyle ile tybyś rada powiedzieć. Ale bądźmy obie rozsądne i wstrzymałe, i dajmy pokój temu. Tak się szerzą wszystkie złośliwe plotki. Jedni je powtarzają umyślnie, drudzy niechcący, aż się rozejdą. Zajmijmy się lepiéj czém użyteczniejszém. Gdzież szelki, któreś zaczęła dla twego Ojca?

ANIELKA.

Zostawiłam je w pokoju... Ale ty, co znowu robisz ładnego?

RÓZIA.

Woreczek dla brata Ludwiki.

ANIELKA (*wstając*).

Dla brata Ludwiki? czy doprawdy?

RÓZIA.

Doprawdy: na przeprosiny za małe uchybienie.

ANIELKA (*z zapałem*).

Co słyszę? schowaj dla kogo innego dary twoje: oni ich niegodni.

RÓZIA (*wstając także*).

Co chcesz mówić, Anielko? zkąd to wzruszenie twoje?

ANIELKA.

Nie; nie ścierpię takiéj niesprawiedliwości. Dowiédz się, że ten któremu robotę twoję przeznaczasz, jest autorem wiadoméj piosenki i ciebie w niéj wyszydza. Oto jest: przeczytaj.

RÓZIA (*zdziwiona*).

Czy podobna? (*Czyta piosenkę i smutek maluje się na jéj twarzy*).

ANIELKA (*całując ją*).

Przykro mi żem cię zmartwiła! ale czyż można było wytrzymać?

RÓZIA (*z żalem*).

Bardzo uszczypliwe wierszyki. Szkoda, że mnie nie ostrzegł o śmieszności mego tańca, nie byłabym nogą ru-

szyła. Wystawiać mnie na śmiech wszystkich: to nie pięknie. Jeśli Ludwika wié o tém, musi się gniewać na brata...

ANIELKA.

Jeśli wié? a wszak ona rozgłosiła tę piosenkę.

RÓZIA (*z żywością*).

Co śmiesz mówić? Anielko, o! już teraz nic ci nie wierzę.

ANIELKA.

Może saméj Ludwice uwierzysz. Czytaj list jéj własny do brata: znalazłam go na ścieszce.

RÓZIA.

Nie powinnaś była go czytać i jabym niepowinna; ale chcę się przekonać, bo zdaje mi się niepodobieństwem, żeby mnie Ludwika zdradzała.

(*Czyta*).

„Jusz mój bracie, twoja piosenka znana cały pensii; wyrywaio ją sobie; wszyscy oddaio mi straszne dziękowanie za to, żem ją dała poznadź; troszkie mi żal, że się śmieio na koszta biednéj Ruzi, ale musiały panny na milcka przyżeknąć, i tak śmiejemy się jeszcze lepi, dla tego samego, że to sekret.“—Czegoż się dowiedziałam? o niewdzięczna Ludwiko!

ANIELKA.

A jak pisze pięknie na 14 letnią panienkę! Ja dwunastu lat nie mam, a doprawdy żebym lepiéj potrafiła.

RÓZIA.

Mniejsza o styl i o pisownię. Ale jakież to serce!

ANIELKA.

O! prawda: mieć złe serce, to jeszcze gorzéj jak źle pisać; ale téż w tym wieku tak pisać, to daleko gorzéj jak źle tańcować. Kochana Róziu, wybornie za piosenkę wypłacić się możesz. Pokaż tylko ten list wszystkim pannom; jaki to śmiech będzie *ze strasznych dziękowań*, *z troszkie*, *z przyżeknąć*, *z milcka* i ze wszystkich omyłek pisowni, których tyle w tym liście.

RÓZIA.

Nietrzeba krzywdą mścić się za krzywdę.

ANIELKA.

Tyś nadto dobra, Róziu; ja nie taka, pokażę więc ten list wszystkim.

RÓZIA.

A dopiéro mówiłaś, że nie chcesz być echem złych ludzi.

ANIELKA.

Ale Ludwika jest niewdzięczna; ochraniać jéj niewarto. Oddaj mi list, proszę cię.

RÓZIA.

A jeśli ci przyrzekę, że go użyję na pomszczenie się, czyż mi go nie zostawisz?

ANIELKA.

Jeśli tak, to chętnie.

RÓZIA.

Dziękuję ci, ale nie mów o tém nikomu; przed koń-

cem dnia dotrzymam ci słowa: teraz pozwól, niech się namyślę.

ANIELKA.

Zostawię cię samą; namyśl się dobrze i zemścij się... Tyś taka dobra, wszyscy cię tak kochają (*Ściska ją i odchodzi*).

SCENA VI.

RÓZIA sama (*ze smutkiem*).

Wszyscy mnie kochają! a ta niewdzięczna Ludwika, którą ja tak kochałam, zdradza mnie... Ach! gdyby nie ten list, nie wierzyłabym jeszcze. Pojąć takiéj złości nie mogę. Już nie chcę mieć przyjaciółki. Ludwika będzie żałować, będzie ją gryzło sumienie... cóż mówię, ona już żałuje!... czyż nie widziałam łez w jéj oczach? I ja od nich wstrzymać się nie mogę. (*Siada na ławce i płacze*).

SCENA VII.

RÓZIA, LUDWIKA. (*nie widzi jéj i szuka czegoś*).

Nie mogę go znaleźć: ani wiem gdzie go zgubiłam.

RÓZIA (*na stronie*).

To ona: ach! jak mi serce bije... co tu jéj powiedzieć?

LUDWIKA.

Jeśli ten list wpadnie w ręce któréj z panien, zgubionam! będą się śmiały, bo nic pewniejszego, że pisać nie umiem.

RÓZIA *(wstając).*

Ludwiko! ty szukasz czegoś?

LUDWIKA *(przelękniona).*

Ach!... nie wiedziałam wcale, że tu jesteś. Szukam listu mego do brata; muszę go znaleźć koniecznie. Czy nie wiesz co o nim?

RÓZIA *(wachając się).*

Podobno... że wiem.

LUDWIKA *(z żywością).*

Oddaj mi go, zaklinam cię! Znam wstrzymałość twoję, wiem pewno, żeś go nie czytała.

RÓZIA.

Ale kiedy to nie ja: Anielka go znalazła.

LUDWIKA *(przelękniona).*

Anielka! to już po mnie... biegnę... Muszę jéj go wydrzeć!

RÓZIA *(zatrzymując ją).*

Nie potrafisz: ona go już nie ma.

LUDWIKA *(z żywością).*

A! ja nieszczęśliwa! Ta plotka, już go pewno komu dała; wszyscy go czytać będą i wyśmiewać się ze mnie. O! będę prosiła rodziców, żeby mnie ztąd odebrali; ja tu nie zostanę: ja tu nie wytrzymam.

RÓZIA *(z przyciskiem).*

Czyż było co w tym liście, czegobyś się wstydzić miała?

LUDWIKA (*zakłopotana*).

Może i tak, ale nietyle mi o to idzie; wiem że więcéj na słowa jak na rzecz uważać będą. Pisząc do brata, któż myśli jak pisze: mogły się wsunąć błędy, omyłki, których mi te panny nie darują.

RÓZIA.

Więc boisz się tylko ich śmiechu?

LUDWIKA.

Jedynie, ale to na mnie dosyć; jabym nie zniosła tego, żeby one wszystkie szydziły ze mnie za rzecz tak małą.

RÓZIA.

Jeżeli towarzyszka nieszczęścia może ulżyć trochę twojéj boleści, pociesz się Ludwiko: i ze mnie w téj chwili cała pensya się śmieje.

LUDWIKA (*osłupiała patrzy na nią, nie śmiejąc słowa wyrzec*).

RÓZIA (*wręczając jéj piosenkę*).

Ta piosenka uszczypliwa, na mnie wymierzona, jest całą przyczyną owych tajemniczych rozmów, owych śmiechów..

LUDWIKA (*niby czytając*).

Doprawdy... nie pojmuję... to wcale niegrzecznie... (*na stronie*) Ani wiem co mówię, takem pomieszana.

RÓZIA.

I cóż ty na to? wszak zapewne poznajesz pismo twego brata?

LUDWIKA.

Prawda... bardzo podobne... ale ludzie tacy są źli...

RÓZIA (*z uczuciem*)

I jak źli, nad pojęcie moje... Wystaw sobie, ta piosnka nietylko ma być przez twego brata napisana, ale jeszcze mówią, żeś ty sama udzieliła jéj wszystkim towarzyszkom naszym; pierwszaś się z niéj śmiała; a dla chwili nieprzyzwoitéj zabawy, poświęciłaś przyjaciółkę...

LUDWIKA (*prawie z płaczem*).

Róziu! co mówisz?

RÓZIA.

Ja téż temu wierzyć nie chciałam. Jabym miała tak źle myśleć o tobie? I cóż ci zrobiłam, żebyś podobnie obchodziła się ze mną? Czegóżby się można od obojętnych, od nieprzyjaciół spodziewać, gdyby najdrożsi przyjaciele nas tak krzywdzili? Tyś mnie zawsze kochała, ty wiesz, że ja cię kocham; i gdzieżby...

LUDWIKA (*z głośnym płaczem*).

Nie mów już więcéj: twoje słowa rozdzierają mi serce... Róziu! prawda; zupełna prawda... przewiniłam...

RÓZIA (*z godnością*).

Czytałam to już własną twoją ręką napisane, potwierdzasz ustnie to wyznanie; spodziewam się, że przyznasz sama, że już cię kochać nie mogę... (*Tu Emilka i Anielka wchodzą zcicha i słuchają z daleka*).

LUDWIKA (*zawsze z płaczem*).

O! Róziu, jakże błąd mój czuję. Nie mogę mieć nadziei przebaczenia, ale będziesz miała zemstę zupełną: czeka, mnie większe jeszcze upokorzenie.

RÓZIA.

Czeka cię, lecz inne jak myślisz. Oto jest ten list, który cię tak niespokojną czyni; mam go z rąk Anielki: nikt prócz niéj i mnie nie widział go jeszcze... Oddaję ci go... Innéj zemsty nie chcę...

SCENA VIII i OSTATNIA.

RÓZIA, LUDWIKA, EMILJA, ANIELKA.

EMILJA.

Ja pewna byłam, że taką Rózia obierze; widzisz Anielko, że znam ją dobrze.

ANIELKA (*do Rózi*).

Nie to mi przyrzekłaś przed chwilą.

RÓZIA.

I owszem; dobrém za złe płacić, jestto zemsty najlepszy i najpewniejszy sposób.

LUDWIKA (*z rozczuleniem*).

O! zapewne, jéj szlachetne obejście się ze mną, więcéj mnie od największych obelg dotyka. Nigdy się nie pocieszę, żem taką przyjaciółkę obrazić mogła... Nauczcie mnie sposobów przebłagania jéj; ja żyć nie potrafię bez jéj przyjaźni: nie zniosę jéj gniewu. Róziu bądź pewna, że pójdę natychmiast i oskarżę się przed wszystkiemi.

RÓZIA (*ściskając ją*).

Otrzyj łzy twoje, Ludwiko; będę uważała winę twoję jako płochość, do któréj nie przyłożyło się serce.

(*Ludwika całuje ją i płacze*).

EMILJA.

Kochana Rózia!... Nie dziwię się Ludwice, że płacze, bo taką przyjaciółkę obraziwszy, gorzko żałować trzeba.

ANIELKA (*do Rózi*).

Już o liście nie powiem nic nikomu, ale gdyby kto piosnkę śpiewać się poważył... zobaczy!

RÓZIA.

Twoje groźby dobra Anielko, nie zamkną ust nikomu.

LUDWIKA (*z żywością*).

O! już o to się nie troszczcie, ja naprawię złe które uczyniłam. Chcę żeby autor piosnki, i te, które ją powtarzają, podzielili zgryzoty moje; i stanie się to niezawodnie, skoro im powiem, jak sobie Rózia ze mną postąpiła

(*Rzuca się w objęcia Rózi*).

(Zasłona spada).

ODWET.

KOMEDYJKA W DWÓCH AKTACH.

OSOBY:

OJCIEC.
STRYJ.
LEON.
ELIZA.
JÓZEFEK, służący LEONA.
ZUZIA, służąca ELIZY.

Scena na wsi.

AKT I.

SCENA I.

Teatr wystawia pokój bawialny.

OJCIEC sam (*w ubiorze podróżnym*).

Czytałem gdzieś to zdanie, że człowiek zawsze najgorszych rzeczy spodziewać się powinien, i być do nich przygotowanym; dobrze byłoby tém zdaniem się przejąć ojcu rodziny, wracającemu do domu po długiéj niebytności! mimowolnie różne nasuwają się obawy. Jakżebym rad wiedział, jak tu syn mój i córka sprawiali się przez ten czas! Eliza, to dobra dziewczyna: ale Leon, dumny i hardy: bardzo się lękam czy nie zasłużył na karę? Chciałbym z domowemi o tém pomówić (*ogląda się*). Nikogo nie widać;

ufają trochę zbytecznie wiejskiéj pewności. (*Patrzy przez okno*). Lecz widzę w ogrodzie Józefka służącego mego syna.—Józefku! chodźno tu, ale zaraz.—Zdaje mi się że płacze.

SCENA II.

OJCIEC, JÓZEFEK.

JÓZEFEK.

Ach! mój Boże! a to pan nasz! (*kłania mu się*). A którędyż pan weszedł?

OJCIEC.

Oczywiście że drzwiami, zwłaszcza, że otwarte. A dzieci moje czy zdrowe?

JÓZEFEK.

Jak rybki paniątka. Wyszły właśnie do ogrodu: pobiegnę do nich.

OJCIEC.

Poczekaj i odpowiedz mi pierwéj na wszystko. Czy nasza poczciwa Bona dobrze tu pilnowała dzieci? czy lepiéj jak domu?

JÓZEFEK.

O! nie odstąpiła ich nigdy, i zawsze łajała; ale to nie byłoby jéj winą, choćby się i co stało, bo jéj słuchać nie chciano. A o te drzwi otwarte, co ona się nazrzędziła nieboga! ale cóż? kiedy to na złość przyjdzie i otworzy.

OJCIEC.

I któżto tak dokazuje?

JÓZEFEK.

O! już nie ja, ani Zuzia moja siostra, ani też panna Eliza.

OJCIEC.

To więc pan Leon.

JÓZEFEK.

Dobrze Pan powiedział.

OJCIEC (*na stronie*).

Domyślałem się tego. (*Do Józefka*). A ty, czegoś płakał?

JÓZEFEK.

Ja? tak sobie...

OJCIEC.

Nikt nie płacze bez przyczyny: powiedz mi zaraz prawdę!

JÓZEFEK (*na stronie*).

Gdybym śmiał powiedzieć, możeby i dobrze było... ale się boję.

OJCIEC.

Cóż mruczysz pod nosem?

JÓZEFEK.

Może Pan płaszcz zdejmie?

OJCIEC.

Ale ja chcę wiedzieć czegoś ty płakał!

JÓZEFEK.

Już przepomniałem.

OJCIEC.

Aha! wiem o co rzecz idzie, filucie; pewnoś co zbroił, co ruszył?

JÓZEFEK (*płacząc*).

Nie, ja poczciwy chłopiec: nie ruszam cudzego: nie kradnę...

OJCIEC.

To chwała Bogu; ale jeżeli nie chcesz żebym cię posądzał, powiedzże mi prawdę: czegoś płakał?

JÓZEFEK.

Jeżelić tak, to już powiem: pan Leon dał mi policzek!

OJCIEC.

Co? mój syn? a to jakiém prawem i za co?

JÓZEFEK.

Upuściłem jego puzderko z prochem, ale nic mu się nie stało.

OJCIEC.

Czy podobna? Spodziewam się przynajmniéj, że to będzie pierwszy i ostatni.

JÓZEFEK.

Nie wiem czy ostatni, ale to wiem doskonale, że nie pierwszy.

OJCIEC.

Co? to on tak często cię bije?

JÓZEFEK.

Oj! często; mówi że ludzi prostych kijem prowadzić trzeba.

OJCIEC.

A Bona nie łajała go?

JÓZEFEK.

I jak; cóż kiedy to, jakby groch na ścianę rzucał: jeszcze się z niéj śmieje.

OJCIEC.

Pięknych się dowiaduję rzeczy; czas było żebym powrócił. A panna Eliza... ale widzę twoję siostrę, ona mi lepiéj o swojéj pani opowie.

SCENA III.

Ciż sami, ZUZIA (*ściskając pana za nogi*).

ZUZIA.

A! kochany pan nasz! O! jak dobrze, że nam zdrów powrócił.

OJCIEC.

Jak się masz moja Zuziu? cóż, kontentaś zawsze ze swojéj służby?

ZUZIA.

Jakżeby inaczéj być mogło; panna Eliza taka dobra.

OJCIEC.

Nie dostająż ci się policzki, tak jak twemu bratu?

ZUZIA (*do brata*).

Wstydź się Józefku, takim być plotką.

JÓZEFEK.

Zapewne, łatwo tobie tak mówić; zresztą musiałem usłuchać pana.

OJCIEC.

I dobrześ zrobił. Bardzo jest źle ze strony służących, kiedy obcym rozpowiadają o wadach dzieci pańskich; ale kiedy ich się rodzice pytają, powinni zupełną wyznać prawdę.

ZUZIA.

O! już ja wyznam ją zupełnie i jak najchętniéj. Panna Eliza jak anioł dobra, a jaka rozsądna; jak często napomina brata.

JÓZEFEK.

Prawda, że nic téż do siebie niepodobni. Zeszłego tygodnia pan Leon kazał mi psa swego wykąpać, złe i gniewliwe jak on stworzenie; wziąłem go na ręce bo iść nie chciał, on mnie za ucho złapał: z bólu puściłem go. Jakżeż na mnie panicz wymyślał od ostatnich słów; byłby mnie i wybił, gdyby nie prośby i łajania panny Elizy; wybawiła mnie, a prócz tego opatrzyła sama ranę.

ZUZIA.

A mnie, jakem niedawno chorowała, pilnowała przez całe dwa tygodnie; wstawała w nocy, żeby mi pić dawać.

OJCIEC.

To mnie przynajmniéj pociesza: idźcie i nie powiadajcie nikomu, ani żem przyjechał, ani że wiem o sprawowaniu się dzieci moich.

SCENA IV.

OJCIEC sam.

Mam nadzieję, że jeszcze zdołam Leona poprawić; ale mi to przykro! Boleśnie ojcu słyszeć narzekających ludzi na syna: wstyd dla dziecięcia, kiedy już w tak młodym wieku dokuczać umié... Czuję, że jakaś gwałtowna nauka najlepiéjby mu pomogła... przychodzi mi na myśl jedna... dobrze będzie: — nic lepszego jak postawić się na miejscu drugiego. Ale trzeba temu zamiarowi dać jakieś prawdopodobieństwo... Słyszę ich głos... uciekam: wrócę skoro mój zamiar dojrzeje.

SCENA V.

LEON, ELIZA, (*z kapeluszem na ręku*).

LEON.

Doprawdy, siostro, że znowu nadto czułą się robisz. Aż pocieszniе!

ELIZA.

Jakże chcesz? temu biédnemu chłopcu drzazga weszła w palec: czemuż nie miałam zaraz jéj wyjąć, większego ochraniając mu cierpienia?

LEON.

Jeszcze czego? ci ludzie to jak zwierzęta, sami się uleczą.

ELIZA.

Jak ja nie lubię w twoich ustach tego wyrazu: *ci ludzie:* zdaje się jakbyś ich miał za jakieś odmienne od nas istoty: oni przecież zupełnie tacy sami jak i my, a często więcéj mają przymiotów.

LEON.

O! zapewne: grubszą skórę, strawniejszy żołądek...

ELIZA.

Są cierpliwsi, pokorniejsi. Ja nigdy bez litości pomyśleć nie mogę, że ten służący za lichą zapłatę, znosić musi wszystkie nasze dziwactwa, a jemu żadnego mieć niewolno.

LEON.

A nie wspominasz o tém co my od nich cierpieć mamy? Jacy nieznośni, niezgrabni, niedbali. Ja utrzymuję, że słudzy szczęśliwsi od panów.

ELIZA.

Chciałżebyś się z niemi mieniać?

LEON.

Ciekawa rzecz: jam się nie urodził na sługę.

ELIZA.

Zdawałoby się, że inaczéj Bóg stwarza ludzi na panów a inaczéj na sługi. Czyż nie pamiętasz tego co nam

Ojciec tyle razy powtarzał, że wszyscy ludzie są równi, i w każdym stanie jednakowo godnemi szacunku być mogą.

LEON.

Pamiętam i wiem, czego ty może nie wiesz, że filozof Epiktet był niewolnikiem, a inny jakiś najął się u ogrodnika i wodę mu nosił.

ELIZA.

Wiesz takie rzeczy, i śmiesz służącymi pogardzać..

LEON.

To téż przyczyna; alboż jest tu jaki ukryty filozof? może Józefek..

ELIZA.

Czemu nie? kto wié co jeszcze z Józefka być może? A jeśli filozofia, jakem słyszała, zawisła na cierpliwém obelg znoszeniu, w wybornéj jest szkole.

LEON.

Zapewne, i ty jeszcze bądź za nim; już nie wiem co dokazywać będzie. Czy ja się mieszam do twoich kłótni z Zuzią?

ELIZA.

Kiedy my się nie kłócimy nigdy.

LEON.

To więc Zuzia doskonała?

ELIZA.

Wcale nie: jest trzpiot, zapominalska, ale dobra i bardzo do mnie przywiązana; wiele jéj za to samo wybaczyć można.

LEON.

Józefek jest głupi, niezgrabny, leniwy, łakomy i wcale mnie nie kocha.

ELIZA.

Któż kochać może tych, którzy mu źle czynią? za pieniądze każdy usługę mieć może, ale przywiązania nikt nie kupi.

LEON.

Daj mi już pokój z temi morałami; proszę pamiętać żem ja starszy.

ELIZA.

Nie gniewaj się bracie, wszak Ojciec wyjeżdżając zalecił nam, żebyśmy się wzajemnie pilnowali.

LEON.

Ale co takiego, że Ojciec nie wraca?

ELIZA.

Musiały sprawy jego się przeciągnąć; miał za miesiąc powrócić: już czwarty się zaczął, a jego nie ma. O! gdyby jak najprędzéj przyjechał!

LEON.

O! jakbym rad; jednak mówiąc między nami, jego niebytność mi się nie przykrzy: dobrze to być panem swojéj woli.

ELIZA.

Przywłaszczyłeś sobie to prawo, bo Ojciec nas oddał opiece poczciwéj Bony.

LEON.

Nie mów mi o téj staréj zrzędzie.

ELIZA.

Szkoda mój bracie, że do wszystkich, co ci dobrze życzą, masz żal... Bona bardzo dobra...

SCENA VI.

Ciż sami, ZUZIA (*wbiegając*).

Pan przyjechał! pan przyjechał!

ELIZA i LEON (*z radością*).

Doprawdy! (*Biegną ku drzwiom, spotykają Ojca i ściskają go*).

LEON.

Jakież niespodziane przybycie!

ELIZA.

O! jak dobrze, że Ojciec przyjechał; tak go długo nie było.

OJCIEC.

Wierzcie moje dzieci, że ptakiem przylecieć do was chciałem: myślą byłem tu ciągle.

ELIZA.

Ani wątpimy: wiemy jak Ojciec nas kocha.

LEON.

A sprawa, wygrana?

OJCIEC.

Zupełnie. Dłużéj zabawiłem, ale téż urządziłem sobie dobrze interesa: radbym w domu tak wszystko dobrze zastać.

LEON (*zaturbowany*).

Spodziewam się, że tak będzie.

OJCIEC.

A nadewszystko radbym wasze usłyszeć pochwały. Nie wątpię, że wam tu na dozorze i staraniach nie brakło; bo znam przywiązanie i rozsądek waszéj Bony.

ELIZA.

O! zawsze nieoszacowana; taką miała nad nami opiekę, jak kiedyśmy małemi byli.

LEON (*z niespokojnością*).

Tata jeszcze się z nią nie widział?

OJCIEC.

Owszem, wyszła mnie powitać; alem jéj się nie wypytywał o wasze postępowanie, bo wiem, że mi sami zdacie z niego sprawę.

ELIZA.

Zaszczyca nas ten dowód zaufania: odpowiem mu godnie.

LEON (*chcąc odmienić przedmiot rozmowy*).

A co téż tam nowego słychać w stolicy?

OJCIEC.

Rozeszła się wieść dosyć szczególna, która zapewne i was zadziwi: król rozkazał wznowienie dawnego rzymskiego święta *Saturnalia*.

LEON.

Co? te święta, w czasie których niewolnicy mieli prawo rozkazywania panom swoim, i mówienia im prawdy w oczy.

ELIZA (*uśmiechając się mile*).

Czyżby nasz król, wiek Saturna chciał dla nas powrócić?

OJCIEC.

Któż to wiedzieć może?

LEON.

Ale to rzecz niepodobna, zobaczy Tata, że z tego nic nie będzie.

OJCIEC.

To dobre, a kiedy ja mam rozkaz w kieszeni? (*Dobywa wielki papier i rozkłada go*). Przyśpieszyłem nawet powrót mój do domu o dzień jeden dla téj przyczyny: bo sutą karę zapłaci, kto go w czasie naznaczonym nie spełni.

ELIZA.

I jakiż cel tego szczególnego rozkazu?

OJCIEC.

Żeby przejąć bogatych ludzkością i politowaniem względem tych, których ubóstwo do służby zmusiło: (*Tu czyta*).

„Dzień jeden w roku przeznaczony na taki *odpust* (bo do jednego dnia ograniczył król to święto) złagodzi może surowość tych panów, którzy nic sługom swoim przebaczać nie chcą.“

LEON.

Ciekawy jestem widzieć, jak też Ojciec naszemu woźnicy usługiwać będzie?

OJCIEC.

Uczyniłbym to chętnie, ale król wyłączył od tego prawa Ojców rodzin, bojąc się ubliżenia ich powadze, gdyż w mądrości swojéj, zachował tylko użytek prawdziwy tego święta bez nadużycia żadnego.

ELIZA (*śmiejąc się*).

A! to wybornie; ja na dzień jeden będę na miejscu Zuzi, a Zuzia na mojém. Wszak tak, Tato?

LEON (*z żywością*).

Co bajesz? toby i Józefek... Staremu kucharzowi tobym wreszcie raz usłużył, ale Józefkowi...

OJCIEC.

A właśnie że Józefkowi służyć będziesz, bo on przez cały rok wyłącznie tobie służy.

LEON.

Ale Józefek jest prostak, źle wychowany; gotów sobie pozwalać rzeczy których nie zniosę.

OJCIEC.

Józefek jest dobry chłopiec, rozsądny, który w téj nowéj dla siebie roli będzie po prostu ciebie naśladował; a nie

sądzę ażebyś ty z nim się obchodził jak prostak i źle wychowany.

LEON (*zatrwożony*).

Zapewne, że nie.. ale ci ludzie tacy niezgrabni, że czasem trudno wytrzymać.

OJCIEC.

Kiedy wiesz, co najwięcéj w służących panów gniewa, to będziesz się starał tego unikać. i nie rozgniewasz Józefka.

LEON (*składając ręce*).

Kochany Ojcze! nie dopuszczaj tego upokorzenia.

OJCIEC.

To być nie może.

LEON.

Nikt jeszcze o tym rozkazie nie wié: zatajmy go.

OJCIEC.

A grzywna?

LEON.

Któżby nas wydał?

OJCIEC.

O! to najłatwiéj; taka rzecz ukrytą zostać nie może: służący z sąsiedztwa będą się pytać naszych o święto *odwetu*.

LEON.

Zamkniemy im usta pieniędzmi.

OJCIEC.

To niecny i niepewny sposób. Wreszcie, ja szanuję prawo i rozkazy mego monarchy; dla twego dziwactwa przełamywać ich nie myślę. Prócz tego, cóż ci to ma szkodzić? Czemuż Eliza nie jest zmartwiona? a i ona sługą Zuzi przez jeden dzień będzie.

ELIZA.

Mnie to bynajmniéj nie martwi; owszem cieszę się zawczasu zdziwieniem Zuzi. A kiedyż się ta komedya zacznie?

OJCIEC.

Jutro.

LEON.

Ja spać ze zgryzoty całą noc nie będę.

ELIZA.

Trzebaby naszych służących uprzedzić.

OJCIEC.

Już ja to sam uczynię.

LEON.

Niechże im Ojciec powié, że to tylko taki żart, że to na dzień jeden, że nie powinni się zapominać...

OJCIEC.

Owszem, powinnością moją jest powiedzieć im, że przez ten dzień mogą robić co im się podoba.

LEON (*na stronie*).

Już po mnie! Co ten Józefek wyprawiać będzie ze mną

JÓZEFEK (*wchodząc*).

Wieczerza na stole.

OJCIEC.

Idźmy. Już dawno nie miałem przyjemności jeść z kochanemi dziećmi memi.

AKT II.

SCENA I.

OJCIEC (*w szlafroku*) JÓZEFEK, ZUZIA.

OJCIEC.

Czy rozumieliście dobrze com wam mówił?

JÓZEFEK.

Zupełnie; i mnie się widzi, że nasz król bardzo dobry, kiedy coś tak wybornego dla biédnych służących wymyślił.

ZUZIA.

Jakto? ja mam rozkazywać pannie Elizie; ona mi ma usługiwać?

OJCIEC.

Tak chce prawo.

ZUZIA.

Ja tego nigdy nie uczynię.

JÓZEFEK.

Patrzcie ją, jaka dziwna! Czyż chcesz, żeby pan karę zapłacił?

OJCIEC (*śmiejąc się*).

Józefek widzę lepiéj tę rzecz pojął, i pewno dopełni lepiéj swojéj roli.

JÓZEFEK.

Zapewne; alboż to tak trudna rzecz być panem? Ale pan uprzedził synalka swego, żeby mi w niczém nie przeszkadzał?

OJCIEC.

Oczywiście.

JÓZEFEK.

Bo on trochę dumny, może mu się nie wszystko podoba, co mu powiedzieć mogę.

ZUZIA.

Niech cię Bóg broni, żebyś się poważył...

JÓZEFEK.

Moja kochana, kiedy kto ma być sługą całe życie, a panem przez dzień jeden, nic dziwnego, żeby rad swoje żale zaspokoił, i użył prawa odwetu.

ZUZIA.

Brzydko mścić się.

JÓZEFEK.

Łatwo ci to mówić, bo masz dobrą panią: śpiewałabyś inaczéj, gdyby ci przyszło służyć u pana Leona.

OJCIEC.

Dobrze mówi Józefek, dobrzy tylko panowie dobrych

sług spodziewać się mogą. Teraz idźcie do waszych czynności.

(*Zuzia odchodzi, Józefek za nią, ale wnet wraca*).

JÓZEFEK.

Proszę pana, oto przepomniałem zapytać się, czy mogę obejść się zupełnie tak z panem Leonem jak on ze mną?

OJCIEC.

Możesz i powinieneś go naśladować.

JÓZEFEK (*wracając jeszcze*).

Mogęż go nazwać nieznośnym, niezgrabiaszem, głupim, mazgajem?

OJCIEC.

Jak ci się podoba: prawo zupełną wolność ci daje.

JÓZEFEK (*wracając trzeci raz*).

Jeszcze słówko, proszę pana... Mogęż także oddać pewne długi, jak to... (*pokazuje na twarzy*).

OJCIEC (*po krótkiém zastanowieniu*).

Dziś możesz, ale jutro nie będziesz miał służby.

JÓZEFEK (*na stronie*).

Przeczuwała to dusza moja, że tam jakieś *ale* w téj wolności będzie. (*Odchodzi*).

SCENA II.

OJCIEC (*sam*).

Przyznam się żem ciekawy, jaki obrót ta rzecz weźmie. ek widzę żartować nie myśli—ale otóż idą oba, trzeba sa mych zostawić.

SCENA III.

LEON, JÓZEFEK.

JÓZEFEK *(z pańskim tonem).*

Wiesz Waść, że mi się już sprzykrzyło nań czekać· kto służy, powinien wstać rano.

LEON.

Ja lubię spać długo, a potém z wieczora usnąć nie mogłem, tak mnie martwił dzień dzisiejszy.

JÓZEFEK.

Co to znaczy jedno-dniowa służba, gorzéj temu, co życie całe służyć musi.

LEON.

Aleś ty już do służby się wprawił.

JÓZEFEK.

Jaki mi ze swoją wprawą. Głupi!

LEON *(z powagą).*

Józefku!

JÓZEFEK.

No i cóż! Jużcić głupim być trzeba, żeby powiedzieć, że kto się wprawił do złego. Ten wyraz Waści się nie podoba, gorsze ja od niego słyszałem.

LEON.

Boś mnie niecierpliwił.

JÓZEFEK.

A mnie to dziwactwa pańskie niecierpliwić nie mają? już doprawdy ja lepszy od niego.

LEON.

Winszuję téj dobréj opinii.

JÓZEFEK.

Tylko opowiem. Któryż-to z nas większy leniuch? Kiedy pan ledwie wstaje do śniadania, ja już wyczyściłem suknie, buty, sprzątnąłem pokój, zrobiłem Bóg wié co.

LEON.

To być może, bo ja lubię moje wygódki.

JÓZEFEK.

A któż to gniewa się, rzuca, jak jakie bydlę wściekłe? a kto słucha z pokorą?

LEON.

Trochę żywy jestem, ale ten zapęd trwa krótko i dobre mam serce.

JÓZEFEK.

Co mi tam z serca, kiedy gęba taka szkaradna.

LEON.

Co, moja?

JÓZEFEK.

A zapewne: złorzeczy, znieważa co chwila; głupcze, łajdaku, i inne wyrazy których mi wstyd mówić, sypią się jak z kosza, a i rączka czasem nieźle słowom wtóruje.

LEON.

A ty nie gniewasz się nigdy?

JÓZEFEK.

Cóżby mi z tego przyszło, dostałbym po plecach: wolę więc cierpieć i milczeć.

LEON.

Tak jak ja w téj chwili.

JÓZEFEK.

Tak właśnie; ale różnica między nami szalona: dzień jeden to nie całe życie.

LEON (*na stronie*).

Słusznie mówi, (*głośno*). Bardzoś dziś dowcipny, Józefku?

JÓZEFEK.

Bo mi wszystko mówić wolno. Ciekawa rzecz jak tu ma mieć rozum człowiek który ma usta związane, a choć mu się co zdaje biało, musi powiedzieć że czarno.

LEON.

Już ci przyznam, żeś cierpliwszy odemnie, że mnie trochę zepsuto zbytecznem od dzieciństwa uleganiem. Ale przyznaj żeś strasznie niezgrabny, i że często gniewać się muszę, kiedy mi jaką szkodę uczynisz.

JÓZEFEK.

Już też prawdziwie bez oleju w głowie być trzeba, (*Leon wzdryga się*) żeby nie zmiarkować, że przez czyje ręce wszystko przechodzi, ten czasem co upuścić może. Kto się niczego palcem nie dotknie, wierzę że nic nie stłucze.

LEON *(na stronie)*.

Ten nic dobrego, na wszystko odpowiedź znajdzie i trafną (*głośno*). Nadużywasz trochę prawa nadanego ci nademną urządzeniem królewskiém.

JÓZEFEK.

Nie więcéj jak Waść nadużywasz prawa, które ci bogactwo dało nad mojém ubóstwem.

LEON.

To wcale nie wspaniale tak się obchodzić.

JÓZEFEK.

Co, to i w tém miałbym chcieć Waść przewyższyć? To nie dosyć, że biédny chłopek, który ledwie czytać umié, którego wychowaniem nikt się nie trudnił, nie dosyć, żeby był pracowitszym, lepszym; jeszcze trzeba, żeby był wspaniałym i nie korzystał z jednodniowego odwetu za tyle miesięcy cierpienia?

LEON *(rozrzewniony)*.

Jam nie sądził, żebyś ty był tak bardzo nieszczęśliwy.

JÓZEFEK.

Cóż u licha, żeby zaś nie wiedzieć, że słowa obelżywe, łajania i policzki, chłopaka poczciwego nieszczęśliwym uczynić mogą? Ja ani wiem po co Waść w tych księgach czytasz; kiedy z nich wyczytać nie możesz, jak człowiek z ludźmi obchodzić się powinien. Nasz Pan i panna Eliza, to przecie aż miło: nie żal że czytają.

LEON.

Prawdziwie, widzę, żem był zbyt srogi dla ciebie; już się poprawię, daję ci słowo; ale ty już mi daj pokój na resztę dnia.

JÓZEFEK.

Wybornie. Teraz Panisko się łasi, bo strach na niego: jutro pazury wylézą. Nic z tego: nie głupim. Musisz się przynajmniéj za wszystkie czasy nasłuchać!

LEON.

Ale to niepięknie.

JÓZEFEK.

Ale to wygodnie. Mnie pozwolono iść za pańskim przykładem, wolnoby mi więc i co więcéj powiedzieć i zrobić. A chociaż tyle razy słyszałem żem głupi, przecieżem Panicza o wielu rzeczach przekonał.

SCENA IV.

Ciż sami, ELIZA, ZUZIA.

LEON.

Ach! siostro, jeżeli Zuzia tak dokazuje z tobą jak Józefek ze mną, to cię żałuję serdecznie.

ELIZA.

Gniewam się na nią.

LEON.

O! i ja ledwo żyję, już dłużéj nie wytrzymam.

ELIZA.

Nie dała mi sprzątnąć pokoju, a za najmniejszą przysługę ściska mnie za kolana i przeprasza.

LEON.

I o to się gniewasz?

ELIZA.

A o to, bo nic nie słucha rozkazu Króla i Ojca.

ZUZIA.

Jaćbym rada słuchać, ale cóż kiedy nie mogę; jak tu ścierpieć, żeby panienka taka dobra i łaskawa usługiwać mi miała?

LEON.

Słyszysz Józefku, jaka to twoja siostra dobra?

JÓZEFEK.

Każdy idzie za takim przykładem, jaki ma przed sobą; gdyby pan był dobrym dla mnie, byłbym dobrym dla niego.

ELIZA (*cicho do brata*).

Cóż ty na to?

LEON (*cicho*).

Wściekam się, bo słusznie mówi. (*Głośno*). Ale kiedy mnie tak naśladujesz, dajże mi wytchnąć; wszak ja cię po całych dniach na uwięzi nie trzymam?

JÓZEFEK.

No! to pójdź Waść do drugiego pokoju; ale ja natychmiast zawołam, boć tak codzień ze mną się dzieje.

LEON (*przystawiając sobie stołka*).

Przynajmniéj usiąść wolno...

JÓZEFEK (*odbiera mu stołek i sam na nim siada*).

A to coś nowego; któż to Waści pozwolił siadać w mojéj przytomności?

LEON.

Elizo, prawda, że zanadto sobie pozwala?

ELIZA.

Widzę, że Józefek nie żartuje.

ZUZIA (*do brata*).

Czyż się nie wstydzisz być takim prostakiem?

JÓZEFEK.

Muszę dopełnić wszystko jak należy. (*Na stronie, wstając*). Ale prawdziwie zapomniałem o śniadaniu. (*Głośno do Leona*). Cóż to sobie myślisz i stoisz jak gawron. A śniadanie?

ZUZIA.

Józefku, Józefku, co ty wyrabiasz?

JÓZEFEK.

Cicho bądź, lepiéj oto siądź koło mnie: będziemy zajadać.

LEON.

Spodziewam się, że ja ci usługiwać nie będę.

JÓZEFEK.

Wielka rzecz zrobić raz to, co ja codzień robię. Daléj, ani słowa, przynieść tu śniadanie!

ZUZIA.

Czemuż lepiéj nie pójść do jadalnego pokoju?

JÓZEFEK (*wskazując na Leona*).

Spytaj go się czy miał kiedy wzgląd na moje nogi?

(*Zuzia wychodzi, ruszając ramionami*).

ELIZA (*śmiejąc się*).

Przyznam się, że mnie bawi ten doskonały odwet.

LEON.

Śmiéj się, śmiéj; to bardzo pięknie tak naigrawać się z cudzego nieszczęścia.

JÓZEFEK.

Cóżto, w mojéj przytomności chcesz się Waść kłócić? Milczeć zaraz! Inaczéj nauczę, jak to Józefka uczono... (*na stronie*). Jaka szkoda, że policzki zakazane... (*głośno*). Chcę jeść śniadanie: słyszałeś!

LEON.

Pomóż-że mi przynajmniéj do wniesienia stołu.

JÓZEFEK (*udając gniew*).

A bodajże go... co za niezgrabiasz, mazgaj.. Czy nie wiesz, że służący i nogi połamać powinien, byle prędzéj usłużył panu! Któż to z nas u kogo dziś służy?

ELIZA (*śmiejąc się*).

Bracie! słuchaj bez szemrania; już ja ci pomogę. (*Wychodzi*).

SCENA V.

JÓZEFEK (*sam*).

Dobrze, że mu téż przecie choć raz dokuczę; niech pozna, co to jest za Boskie stworzenie nie być uważanym. Ale co to jutro będzie? aż mnie strach bierze; nadzieja cała w tém, że pan nie da mi krzywdy uczynić: wreszcie choćby mnie pan Leon i wyszturgał trochę, nie żal mi będzie, bom sobie dogodził.

SCENA VI.

JÓZEFEK, LEON, ELIZA, ZUZIA.

(Leon i Eliza niosą stół nakryty, Zuzia chce ich wyręczyć).

ELIZA.

Ale już daj nam pokój, Zuziu; czyż nie dosyć, żeś wszystko przygotowała.

ZUZIA (*płacząc*).

Nie pamiętam dnia tak długiego.

LEON.

Ani ja.

JÓZEFEK.

Nie bądź dziwna, nie płacz; lepiéj usiądź koło mnie i jédzmy.

ZUZIA.

Już co tego, to nie zrobię.

ELIZA.

I owszem, Zuziu, rób tak jak Józefek; ręcze ci że mi to nie przykro.

(*Józefek i Zuzia zasiadają, Eliza chleb dziewczynie podaje; ta jéj nogi chce uściskać. Leon kraje także chleb swemu służącemu, który to ozięble przyjmuje*).

JÓZEFEK (*rzucając chlebem*).

Zawiele ośródka, daj mi inny.

LEON (*na stronie*).

Jeśli ja mam być taki, tom prawdziwie nieznośny. (*Podaje mu inny*).

JÓZEFEK (*rzucając go jeszcze*).

Zawiele skórki, mazgaju!

LEON.

Ale ten trzeci, czy dobry przecie?

JÓZEFEK.

Może. (*Zaczyna jeść*). To nic niewarto, przynieście mi konfitur. (*Leon chce wyjść*). Nie, daj mi pić. Wina białego... nie czerwonego... Wreszcie białego. Jak to ten kieliszek wytarty; ciężkie utrapienie z temi ludźmi; czyste nogi stołowe. No! wytrzyj-że, a prędko. (*Leon bierze kieliszek upuszcza go, i tłucze*). Cóżby teraz zrobić należało? co się to dzieje z Józefkiem w takim razie? Czy mam pana do końca przedrzeźniać?

LEON (*oburzony*).

Niech cię Bóg broni, tegobym nie ścierpiał!

JÓZEFEK.

Niech się też pan nie lęka, ja choć prostak, jestem wspaniały, nie mściwy; przyznaj tylko, żebyś nie był lepszym służącym odemnie.

(*Przez ten czas wchodzi do salonu stryj i przypatruje się pilnie*).

ZUZIA (*do Elizy, usługującej jéj ciągle*).

Nigdym panience tak dobrze nie usługiwała.

JÓZEFEK.

Jakaś ty szczęśliwa, moja kochana; mój służący do niczego: patrz założył ręce i stoi. Chodź-że tu bliżéj.

STRYJ (*zbliżając się*).

Moje dzieci, nauczcież mnie jaką komedyę tu gracie: udajecie służących waszych?

ELIZA.

Nie, stryjaszku, my nie udajemy?

LEON.

Ach! w jakiż dzień do nas przybywasz!

STRYJ.

W najlepszy; wasz Ojciec wczoraj przyjechał: chcę go powitać. Józefku, nie bądź-że szalony; zamiast tego rozpierania się, idź, daj znać memu bratu, żem tu przybył.

JÓZEFEK (*wskazując na Leona*).

Niech ten bieży.

STRYJ.

A toż co nowego? Cóż to znaczy?

JÓZEFEK.

Zwyczajnie, obchodzimy święto... jak je tam zowią?... Saturna.

STRYJ.

Co ty klecisz?

LEON.

Tak, stryjaszku, nieinaczéj: okropne święto Saturna.

STRYJ.

Poszaleli, czy co? Elizo, przecież ty zawsze byłaś rozsądna: powiedz-że mi?

ELIZA.

Nie mogę: ale pobiegnę po Ojca.

STRYJ.

Ale powiedz koniecznie.

ELIZA.

Cóż mam więcéj powiedzieć? obchodzimy święto Saturna.

STRYJ.

Co, i ty sobie żartujesz ze mnie? a! już tego nadto. Dzieci, powiedzcie mi prawdę, bo doprawdy gniewać się będę.

(*Stuka laską i przechadza się zniecierpliwiony*).

ELIZA.

Mój Stryjaszku, nie gniewaj się: tak jest doprawdy; król wydał rozkaz taki: przecie wszystkim wiadomy.

STRYJ.

Przewróciło wam się w głowach: co za rozkaz? gdzie? kiedy? któż go widział?

ELIZA.

Ojciec przywiózł go ze stolicy, i czytał nam... Ale otóż nadchodzi; lepiéj to wszystko opowie.

SCENA OSTATNIĄ.

WSZYSCY.

(Dwaj bracia witają się czule).

STRYJ.

Jak mi się miewasz kochany bracie, widzę po twarzy, żeś zdrów Bogu dzięki. Ale powiedzże mi, jakież to masz tajemne wyroki? zkąd ci się wziął taki figiel? Pocóż żartujesz z twych dzieci?

(*Dzieci tu szepczą między sobą i zaczynają się domyślać*).

OJCIEC.

Kiedyś nas tak zjechał znienacka, żem cię nie mógł uprzedzić, niechże się już cała rzecz odkryje. Przybywszy tu wczoraj, dowiedziałem się o nieludzkiém postępowaniu mego syna z chłopcem, którego mu dałem do usług; wiedząc że prawo *odwetu* jest najdzielniejszym środkiem, umyśliłem go użyć i ułożyłem obchód świąt Saturna.

(*Zadziwienie dzieci, Zuzia podskakuje z radości*).

JÓZEFEK *(skrobiąc się w głowę).*

Maszże tobie, już ci po twojéj gali, Józefku!

LEON.

Już ja byłbym wolał najcięższą karę od téj komedyi.

OJCIEC.

I dlatego właśnie ten sposób obrałem. Napomnień, kary obojętnéj zapomnieć łatwo: ale rany miłości własnéj zadane, nie goją się tak prędko. Wreszcie dobrze to czasem postawić się na miejscu drugich: najłatwiéj wtedy pojąć możemy, co im dolega.

JÓZEFEK *(kłaniając się pokornie).*

Wielmożny Panie, gdybym ja był wiedział że to żart; byłbym...

LEON.

Już się nie wymawiaj. Źleś się obszedł ze mną, alem ja na to zasłużył. Obaczysz, że skorzystam z téj przykréj nauki.

STRYJ.

Czemuż to ani Eliza ani Zuzia nic nie mówią?

ELIZA.

Bo Zuzia aż nadto dobrą była dla mnie.

OJCIEC.

Ta różnica skutkiem jest naturalnym odmiennego ich panów postępowania: jaką miarką mierzymy, taką nam odmierzają. Ale bardzo rad temu jestem, że Leona w dobrych

widzę chęciach. Popraw się, mój synu: serce nieludzkie i pogardy pełne, nigdy szczęścia nie odziedziczy, bo kochaném nie będzie: a wreszcie, któż to wié, co jeszcze z każdym z nas stać się może? Los ma wielkie swoje igrzyska, fortuna kołem się toczy; niejeden był wysoko, a teraz jest nisko; i ten tylko zawsze pociechę i przyjaciela znajdzie, kto zawsze w każdym człowieku widział bliźniego i brata.

ZEGAREK.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

MATKA,
KAROLINA, } jéj dzieci.
LUDWIK, }

CELINA, } przyjaciółki Karoliny.
ANNA, }

(*Scena w Warszawie*).

(Teatr wystawia pokój bawialny, gustownie przybrany.)

SCENA I.

MATKA, KAROLINA, LUDWIK.

LUDWIK.

Przyznaj, Mamo, że moja siostra bardzo szczęśliwa!

MATKA (*z uśmiechem*).

Dlatego że dostała zegarek?

LUDWIK.

Zapewne. Cóż przyjemniejszego jak wiedzieć w każdéj chwili która godzina?

KAROLINA.

Mamy przecież w każdym pokoju zegary.

LUDWIK.

To co innego. Spytaj się naszego kuzyna Edwarda, co to za różnica? Od tego czasu jak Ojciec darował mu zegarek, wszystko podług niego robi, i czasem w nocy się budzi, żeby słuchać czy idzie?

KAROLINA.

Ale bo Edward takie dziecko jak i ty.

LUDWIK.

Moja Mamo! czy uważasz, jak Karolina słuszną pannę udaje.

MATKA.

Widzę tylko, że u ciebie jeszcze pstro w głowie; bo jak można tyle nadawać ceny, rzeczy, bez któréj obejść się łatwo.

LUDWIK.

Przyznam się jednak Mamie, że gdybym miał swój własny zegarek, zrobiłbym co dziwnego z radości.

KAROLINA (*śmiejąc się*).

Babunia zatém wybornie zrobiła, że mnie, nie tobie ten podarek dała: ja go spokojnie przyjmuję.

LUDWIK.

Udajesz poważną, a w duchu jesteś uszczęśliwioną.

KAROLINA.

Szczęśliwa jestem i bardzo z tego dowodu przywiązania babuni; ale jéj uczucie i pamięć więcéj daleko od drogiego daru cenię.

MATKA.

Winnaś go staraniom, któreś miała o babuni twojéj w czasie jéj ostatniéj choroby. Jeszcześ nie czytała jéj listu: słuchaj (*czyta*). „Nie mówiłam ci, moja córko, żem oddawna chciała ofiarować Karolinie jakiś dowód mojéj wdzięczności. To dobre dziecię przyłożyło się prawdziwie do powrotu mego do zdrowia; tyle mi okazała przywiązania i pięknych przymiotów, że chętnie wracałam do życia, żeby się nią i tobą jeszcze nacieszyć.“

KAROLINA (*z rozczuleniem*).

O! dobra babunia! jak jéj tu nie kochać. I czyż moje starania zasłużyły na jaką nagrodę? Anim się spodziewała, anim wymagała żadnéj.

LUDWIK (*z przymileniem*).

Kiedyś taka wspaniała, darujże mi ten zegarek.

KAROLINA.

Wnetbyś go zepsuł, mój bracie; i wyznam ci szczerze, iż gdyby można było darować go komu, innybym uczyniła wybór.

LUDWIK.

Zręcznych dobierasz wymówek.

KAROLINA.

Niepotrzeba wymówek, ażeby zatrzymać rzecz która jest naszą. Ale jeśli chcesz prawdy, powiem, że myślę tylko nad sposobem pozbawienia się tego zegarka bez rozgniewania babuni.

MATKA.

Nie rozumiem co mówisz?

LUDWIK.

I dla mnie te słowa są zagadką.

KAROLINA *(do Matki)*.

Mama lubi Celinę?

MATKA.

Kocham ją nawet: to panienka bardzo dorzeczy, i radam temu, kiedy ją razem z tobą widzę. Jéj słodycz, skromność, ułożenie, są najlepszym wzorem. Ona jest jedyną ubogich rodziców pociechą, a jéj matka chorowita oddawna, jużby może bez jéj tkliwych starań nie żyła.

KAROLINA.

O! kochana Mamo! jak dobrze malujesz przymioty dobréj Celiny; ma ona jeszcze jeden, o którym nie wspominasz: ten, że mnie nad wszystkie swoje znajome przekłada.

LUDWIK *(śmiejąc się)*.

Prawdziwie, w mojéj siostrze skromność rzadka.

KAROLINA.

Możem źle wyraziła myśl moję, chciałam tylko powiedzieć, że umié być wdzięczną i wzajemną, bo nikt jéj pewno więcéj nademnie nie kocha.

LUDWIK.

U was dziewcząt, każda znajoma jest przyjaciółką od serca: podobne rzeczy i Annie mówisz.

KAROLINA.

Bardzo cię przepraszam: Anna jest dowcipna, zabawna, lubię ją, ale Celinę kocham.

MATKA.

I Celina zasługuje nierównie więcéj na przywiązanie twoje. Anna ma brzydki zwyczaj, dowcip jéj zawsze kosztem drugich błyska. Prawie nieustannie obmawia. Miéj się z nią na baczności, moja córko: takiemu charakterowi ufać nie można.

LUDWIK.

Ja jéj nie cierpię! Taki ma uśmiech złośliwy, że nawet jéj pochlebne słowa obrażają.

KAROLINA.

Ten sąd jest zbyt surowy. Prawda, że się czasem wesołością uniesie, ale w jéj postępowaniu więcéj jest pustoty niż złości. Pomimo tego zawsze powtarzam, że wcale jéj nie kocham tak jak Celinę; jéj tobym dała zegarek, gdyby można było.

MATKA.

Czy Celina życzy go sobie?

KAROLINA.

Nie mówiła mi tego nigdy; rozsądek nie pozwala jéj mieć życzeń z majątkiem niezgodnych; ale dla niéj ten sprzęt byłby prawdziwie przydatny. Niema zegara w ich domu;

matka o pewnych godzinach lekarstwa brać musi, i nieraz widziałam, jak po tę wiadomość do sąsiadów się udawała.

MATKA.

Prawda, że ma słuszne do posiadania zegarka prawa; ależ czyby ci nie żal było twego?

LUDWIK.

Mów szczerze, siostro.

KAROLINA.

Doprawdy, że pierwszą moją myślą, dostawszy go, była chęć dania go Celinie. Ja tyle mam pięknych rzeczy, bez zegarka tak łatwo obejść się mogę; ale boję się iść za tém serca natchnieniem, żeby nie obrazić babuni.

MATKA.

Słuszna jest twoja obawa, a jedynym sposobem pogodzenia wszystkiego jest opowiedzieć się babuni.

KAROLINA.

Ach! gdyby Mama napisała słówko! Ludwik zaniósłby liścik i byłoby.

MATKA.

Chętnie to uczynię: idę napisać.
(*Wychodzi*).

SCENA II.

KAROLINA, LUDWIK (*zasępiony*).

KROLINA.

Cóżto, gniewasz się na mnie, bracie?

LUDWIK.

Czyż może być miło, kiedy siostra woli obcą osobę od brata?

KAROLINA.

Czyż nie wiesz, jak Celinie potrzebny zegarek?

LUDWIK.

To niech jéj rodzice kupią takiż sam.

KAROLINA.

Kiedy im brakuje rzeczy nierównie potrzebniejszych. Ty będziesz miał zegarek od Ojca, skoro go szanować potrafisz. Nie zazdrość więc Celinie, nie wątpij o mojém przywiązaniu; wszak wiesz że cię kocham.

LUDWIK (*biorąc ją za rękę*).

Wybacz mi Karolino, już nie będę takiém dzieckiem. Celina godna tego podarku, ona i dla mnie bardzo grzeczna, i jeśli zechcesz, jak babunia pozwoli, ja jéj od ciebie zegarek zaniosę.

KAROLINA (*z radością*).

Otóż to tak przedziwnie, (*ściskają się*). Ale ktoś nadchodzi: słyszę głos Celiny i Anny.

LUDWIK.

Ja pójdę do Mamy po liścik i pobiegnę do babuni.

SCENA III.

KAROLINA, CELINA, ANNA.

ANNA (*we drzwiach do Celiny*).

Ale doprawdy, że tak rzecz się miała i ona teraz zgubiona!

CELINA.

Mówićby nie należało o takiéj drobnostce.

KAROLINA.

Cóż, zamiast się witać ze mną, rozmawiacie? i o czémże takiém?

CELINA.

Nic ciekawego. Jak się masz, kochana Karolino?

KAROLINA.

Przedziwnie; ale powiedzcież dlaczego Anna taką zgorszoną ma postać?

ANNA.

Któżby zgorszonym nie był, słysząc, że kto zbrodnię drobnostką nazywa?

CELINA.

Zawsze do swego powraca. — Karolino, jak się ma twój brat i twoja mama? Czy były jakie wiadomości od ojca?

KAROLINA.

Dziękuję ci, wszyscyśmy zdrowi: Ojciec wczoraj pisał, ale Anna wzbudziła we mnie ciekawość tą zbrodnią.

CELINA.

Doprawdy, że to nic ciekawego.

ANNA.

Okropnie..., ale jednak trzebaż znać ludzi i rzeczy jak są na świecie.

CELINA.

Ta cała historya jest pewno potwarzą.

KAROLINA.

Powiedzcież mi o co rzecz idzie?

ANNA.

Znasz pannę Józefę, tę wysoką blondynkę, co to bywa u Pauliny; weszła parę dni temu do sklepu na Miodowéj ulicy wraz ze swoją służącą. Prosiła o pokazanie wstążek i kwiatów, bo niezmiernie lubiła stroić się i tańcować, chociaż niebardzo zgrabna i źle zbudowana: wady, których cała sztuka krawców i szwaczek ukryć nie może.

KAROLINA.

Doprawdy, jabym tego nie była zgadła.

CELINA.

Prawda, żem jéj nie widziała tańcującéj, ale jéj kształt bardzo mi się podoba, i słyszałam wielu chwalących jéj powierzchowność.

ANNA (*z szyderstwem*).

O zapewne! osoba ułomna nie może być kształtniejszą.

KAROLINA (*z uśmiechem*)

Złośliwa!

ANNA.

To wcale nie złość żadna, jabym z duszy rada, żeby ona i ciało i umysł miała prosty; ale ani jedno, ani drugie: słuchaj tylko daléj. Panna Józefa, która miała swoje wido-

ki, przeszło godzinę wybierała kwiaty i wstążki, nie mogąc się niby namyślić. Przez ten czas coraz inne osoby przychodziły do sklepu, i kupczyki nie mogli ciągle na nią mieć oka. Nareszcie w chwili kiedy najwięcéj byli zajęci, wyszła śpiesznie; dogonił ją jednak chłopiec ze sklepu, z prośbą, żeby wróciła, bo im tego potrzeba. Panna Józefa się zlękła, wróciła jednak; zapytano jéj się grzecznie, czyby w towary, jakie kupiła, nie zabrała się sztuka wstążki?— zbladła—służąca rozgniewana, że jéj panią posądzać śmiano, rozwinęła paczkę i sztuki zgubionéj nie było.

KAROLINA.

I cóż tak strasznego?

ANNA.

Czekaj, bo też to nie koniec. Kupczyki przeprosili pięknie pannę Józefę, ona zaś tak była pomieszana, że zapomniała swego woreczka na stole... W tym woreczku nadzwyczajnie wypakowanym, sztuka wstążki się znalazła.

KAROLINA.

Czyż to być może? więc ona...

ANNA.

Ukradła... i jest na sławie zgubiona!

CELINA.

Ale powiedzże wszystko, Anno; jakże się tłumaczyła biédna panna Józefa?

ANNA.

Oczywiście, że się nie przyznała... Powiedziała, że to przypadek, że nie wié jak się to stać mogło... Ale któżby jéj też uwierzył?

CELINA.

Worek zostawiony na stole już o jéj niewinności świadczy.

ANNA.

Zmieszana, zapomniała o nim.

KAROLINA.

Nie mogę temu wierzyć: taka majętna...

ANNA.

Wielkie rzeczy! Ażebyście wiedziały co o jéj ojcu mówią? choć majętny jak on...

CELINA.

Daj téż pokój téj obmowie; co nam do ojca panny Józefy i do niéj saméj? jeśli winni, będą mieli za swoje. (*Postrzegając zegarek u boku Karoliny*). Ach! jakiż ładny masz zegarek! nowe nabycie: od kogóż?

KAROLINA.

Od babuni, w ten moment. Czy bardzo ci się podoba?

CELINA.

Niezmiernie, zwłaszcza jeżeli dobrze idzie.

KAROLINA.

Przedziwnie: Lilpop ręczył za niego.

ANNA (*do Karoliny*).

Daj mi go téż do ręki. Ach! jakiż ładny! Szczęśliwa Karolino! na niczém ci nie zbywa. (*Wzdycha*). Słusznie majątek wielbią: szczęście udziałem bogatych.

CELINA (*śmiejąc się*).

To nie pocieszające dla mnie. Widzę, Anno, że ten zegarek wielkie ma dla ciebie powaby.

ANNA.

Podobno i pannie Celinie niemniéj się podobał.

CELINA.

Zapewne: ale żadnego we mnie nie obudza żądania: tyle mam rzeczy ważniejszych do życzenia, a naprzód zdrowia dla kochanéj Matki.

SCENA IV.

Też same, LUDWIK.

Dzień dobry paniom! Celino, dziękuję ci bardzo za piękny rysunek, któryś mi wczoraj przysłała.

CELINA.

Należał ci się Ludwiku, boś taki dobry dla mego braciszka.

LUDWIK.

Mój przyjaciel Gustaw nie mógł się go napatrzyć.

ANNA (*z przyciskiem*).

O! to wielki znawca, pan Gustaw.

LUDWIK.

Może nim być łatwo, bo sam ślicznie rysuje.

ANNA.

I bez wielkiéj pracy; metr wszystko robi za niego, a on to potém udaje za swoje: każdyby tak potrafił.

CELINA.

Jak możesz tak mówić? biédny Ludwik się zasmucił.

ANNA.

Nie wiedziałam, że sława przyjaciela tak mocno obchodzi pana Ludwika. Jeśli mu o to idzie, odwołam uroczyście.

LUDWIK.

Obejdzie się, zwłaszcza że próżne słowa memu przyjacielowi talentu jego nie odejmą.

ANNA.

Pan Ludwik obrażony?

LUDWIK.

Bynajmniéj;—ale wybaczą Panie, mam coś powiedzieć mojéj siostrze.

CELINA.

I ja właśnie mam coś powiedzieć Annie.

(*Idą obie wgłąb teatru. Ludwik z siostrą zostają na przodzie*).

LUDWIK.

Wszystko układa się podług twego życzenia: byłem u babuni: pozwala ci darować zegarek Celinie, i nawet twój postępek chwali.

KAROLINA.

Czy doprawdy? Jakież to szczęście! zaraz go jéj dam...

LUDWIK.

Mnie się zdaje, że delikatniéj będzie, gdy go u siebie zastanie; powierz mi go: ja zaniosę.

KAROLINA (*dając mu zegarek*).

Dobrze mówisz: oto go masz.

LUDWIK (*wychodzi*).

SCENA V.

KAROLINA, CELINA, ANNA.

KAROLINA (*schodząc je przy cichéj rozmowie*).

Jakąż macie tajemnicę?

CELINA.

To nic. — Ale już pożegnać cię muszę.

KAROLINA.

Co, tak prędko?

CELINA.

Obiecałam Mamie że wrócę za pół godziny; mam jéj jeszcze lekarstwo sporządzić. Bywajcie zdrowe! (*Żegna się z przyjaciółkami, Annie jakieś znaki robi*).

SCENA VI.

KAROLINA, ANNA.

KAROLINA.

Wy coś kryjecie przedemną.

ANNA.

Alboż nie wiesz że Celina zawsze tajemnic pełna?

KAROLINA.

Nie troszczę się tém! taka dobra!

ANNA.

Nie przeczę: ale czemuż nie być i dobrą i otwartą razem.

KAROLINA.

Czy myślisz, że Celina tych przymiotów nie łączy?

ANNA.

Nie wiem; ale są chwile kiedy ją widzę przesadną. Naprzykład teraz, po co z taką obojętnością mówić o zegarku, kiedy go pożerała oczyma?

KAROLINA (*z uśmiechem*).

Obaczysz, jak o nim jutro mówić będzie.

ANNA.

A to czemu?

KAROLINA.

Otrzymałam pozwolenie od mamy i babuni darowania go Celinie.

ANNA.

Co? twój zegarek?

KAROLINA.

Dziwisz się temu?

ANNA.

Wcale nie.

KAROLINA.

Mógłby kto powiedzieć, że cię to martwi.

ANNA.

Bynajmniéj: zastanawia mnie tylko szczęście pewnych osób, które umieją udać się tém czém nie są; i widzę że więcéj zyskujemy przyjaciół podstępami jak prostotą.

KAROLINA.

Nie rozumiem do kogo to zmierza...

ANNA.

Nie do ciebie, Karolino; ty masz serce bez obłudy: prędzéj będziesz zwiedzioną, niźli zwiedziesz sama.

KAROLINA.

Czybyś mnie chciała ostrzedz, że Celina niegodna mojéj przyjaźni?

ANNA.

O! to nie jest w moim charakterze, różnić dawne przyjaciółki, i pozbawiać kogobądź słodkiego omamienia.

KAROLINA.

Nie pojmuję co znaczą twe słowa, lecz każde mnie miesza.

ANNA.

Biédna Karolino!

KAROLINA.

Dlaczego mnie żałujesz?

ANNA.

Gdybym śmiała..., ale nie... zbyt jesteś uprzedzona.... nie uwierzysz. Wolę odejść. Bądź zdrowa!

KAROLINA.

Nie, zostań; powiedz mi otwarcie co wiesz o Celinie, bo już widzę że o niéj chcesz mówić.

ANNA.

Prawdziwie nieszczęśliwą mam wadę: nie umiem się ukrywać.

KAROLINA.

To raczéj przymiot jak wada.

ANNA.

Nie zawsze sprawiedliwość oddaną bywa powodom do niego. Oto i teraz, gotowaś myśleć, że zazdroszczę Celinie.

KAROLINA.

Nie mam żadnéj przyczyny do takich domysłów.

ANNA.

Ja pierwsza uznaję w wielu względach zalety naszéj wspólnéj przyjaciółki. Wiem, że ma wiele starania o choréj matce; ale nikt nie jest bez wady i Celina ma dwie wielkie: obłudna jest i niewdzięczna.

KAROLINA.

Ale to są występki!

ANNA.

I z dowcipem twoim nie postrzegłaś ich sama?

KAROLINA.

Nigdy, i zdaje mi się, że ty jesteś w błędzie.

ANNA.

Radabym z duszy, ale osądź sama. Przemawiać mową przyjaźni do osoby, której się ani kocha, ani szacuje; mówić o niéj dobrze wtedy tylko kiedy ona o tém dowiedzieć się może: nie jestże to obłuda?

KAROLINA.

Nic innego: ale ja sądzę...

ANNA.

Pozwól, niech dokończę. Przyjmować tysiączne przysługi od tejże osoby, być jéj wzajemną napozór, a za oczami śmiać się z niéj: nazywać ją próżną, dumną, jedynie majątkiem bogatą: mówić, że jéj wspaniałość jedynie z próżności pochodzi.

KAROLINA (*z żywością*).

A! to czarna niewdzięczność.

ANNA.

Widzisz więc żem się nie omyliła?

KAROLINA (*niespokojna*).

I o kimżeto Celina tak mówić się poważa?

ANNA.

To sekret, którego wybaczysz, że nie zdradzę.

KAROLINA.

Więc zwierzyła ci się?

ANNA.

Mimowoli, zaręczam ci; dosyć żywo nawet wyraziłam jéj moję pogardę. Groziłam, że otworzę oczy téj wspólnéj a tak mnie drogiéj przyjaciółce; ale ona tak mnie zaklęła, żem musiała przyrzec, że jéj sekretu dochowam.

KAROLINA.

Pomimo tego, zgaduję zupełnie, że to o mnie mowa.

ANNA.

Pamiętajże Karolino, że nie ja ci o tém powiedziałam.

KAROLINA.

Ale mogłażbym sądzić, żeby kto do tego stopnia udawał?

ANNA.

Nie pojmują tego serca prawe; nigdym na nią tego posądzenia nie miała. Pierwszy raz mi o tém wspomniała z powodu jakiegoś pierścionka. Wszak dałaś Celinie pierścionek z włosami?

KAROLINA.

Dałam i bardzo jéj był miły: obiecała zachować go na całe życie.

ANNA

Obłudna! Jak téż sobie żartowała z tego pierścionka; kilka razy za drobnostkę wymienić go chciała, i podobno

darowała go komuś, przynajmniéj nie nosi go od jakiegoś czasu.

KAROLINA.

O niegodziwa!... Szydzić ze mnie, tak mnie zwodzić... Bądź pewna, że nie dostanie mego zegarka. Zatrzymam brata. Wybacz Anno...

ANNA.

I ja odejdę. Bądź zdrowa i pewna, że jeżeli chcesz żeby twój zegarek dostał się najlepszéj twojéj przyjaciółce, to nie Celinie darować go trzeba. (*Na stronie*) Może co skorzystam przy téj sposobności. Wrócę tu niedługo (*Wychodzi*).

SCENA VII.

MATKA, KAROLINA.

KAROLINA.

Mamo! wszak Ludwik nie poszedł?

MATKA.

Jużby wrócić był powinien.

KAROLINA

A! ja nieszczęśliwa!

MATKA.

Cóż ci się stało, moje dziecię?

KAROLINA.

Celina jest obłudną, niewdzięczną, zdradza mnie, śmieje się ze mnie; w moich dobrodziejstwach próżność tylko

widzi. Jaka szkoda dla niéj podarku babuni! Ale ja będę szczerą, wymówię jéj tę niegodziwość i spodziewam się, że mi zwróci zegarek.

MATKA.

Nie pojmuję tych narzekań: jakże tak nagle mogłaś zmienić zdanie?

KAROLINA.

Anna mi odkryła rzeczy...

MATKA.

W których może słowa prawdy nie ma.

KAROLINA.

O Mamo! Anna trochę lubi obmawiać, ale gdzieżby mogła zmyślać to złe, co o drugich mówi?

MATKA.

Z obmowy do potwarzy przejście łatwe; i kto przyjemność znajduje w rozpowiadaniu wad i błędów drugich, gotów dodać a nawet i zmyślić, zwłaszcza kiedy go nienawiść, albo interes pobudza.

KAROLINA.

Ale zkądżeby Anna wiedziała, żem dała Celinie pierścionek z włosami, gdyby jéj tego nie była zwierzyła sama? Wszak miał to być sekret między nami. Kiedy go tak mało ważyła, zapewne i mnie nie więcéj ceni, jak mówi Anna.

MATKA.

Może trochę gadatliwa...

KAROLINA (*z żywością*).

Nie, Mamo, wątpić nie mogę: widziałam na własne oczy znaki między niemi, które teraz tłumaczyć sobie umiem. Celina niespokojna, że jéj powiernica sama ze mną zostaje, zalecała jéj milczenie.

MATKA.

Nietrzeba być porywczą w sądzeniu źle o przyjaciołach.

KAROLINA.

Czyż mnieby pierwszą zwiedli? Wszak mówiłaś mi Mamo, żeś doznała raz zdrady od ukochanéj sobie osoby.

MATKA.

Prawda, że się to trafia; ale jednak nie należy zbyt łatwo dać się uprzedzić.

KAROLINA.

Jeżeli połowa tego co mi Anna powiedziała jest prawdą, niczego więcéj nietrzeba: i zapewne pozwolisz mi Mamo, odebrać zegarek.

MATKA.

Niepięknie odbierać co się raz dało.

KAROLINA.

Mamże tak drogi dar zostawiać niewdzięcznéj?

MATKA.

W przygodzie, któréj przed chwilą pamięć mi przywiodłaś, kiedy list przypadkiem otworzony odkrył mi zdradę przyjaciółki, pracowałam właśnie nad wyrządzeniem jéj

ważnéj przysługi. Ta wiadomość nie wstrzymała mnie, zeńściłam się przymuszając ją do wdzięczności.

KAROLINA (*rozczulona*).

Mamo! i ja podobnie uczynię. Niech Celina zatrzyma zegarek, ale widzieć jéj już nie chcę!

SCENA VIII.

MATKA, KAROLINA, LUDWIK.

LUDWIK.

Ach! siostro, dopełniłem twego zlecenia; gdybyś była widziała tę radość, to uniesienie... Celina nie mogła się wstrzymać i przyszła tu ze mną.

KAROLINA.

Co? Celina tu?

LUDWIK.

Tak jest: przyszliśmy razem.

KAROLINA.

Mamo! jakże jestem wzruszona!

SCENA IX.

CIŻ SAMI, CELINA.

CELINA (*ściskając Karolinę*).

O! kochana Karolino! jakże ci wyrażę co się w sercu ojém dzieje? Wspaniała przyjaciółko! pozbywasz się dla nie tak miłego, tak drogiego klejnotu. Czemuż i ja czém

podobném okazać ci mojéj wdzięczności nie mogę? Ale choć nie bogata, kochać umiem i kochać cię będę całe życie.

KAROLINA (*zimno*).

Zbyt wysoko cenisz tak małą przysługę.

CELINA (*zdziwiona*).

Z taką obojętnością odpowiadasz na moje uniesienia? Takie przyjęcie, po takim darze dziwić mię musi.

KAROLINA.

I mnie to dziwi, że moje postępowanie cię obchodzi.

CELINA.

A cóż nad to naturalniejszego? Czy w wyrazach mojéj wdzięczności co ci się nie podobało?

KAROLINA.

Nie wiem: wiem tylko, że są osoby, które w przysługach jakie moim przyjaciołkom czynię, próżność tylko widzą i dumę.

CELINA.

Nie wiem co chcesz mówić?

LUDWIK (*cicho do siostry*).

A tobie co, Karolino?

KAROLINA.

Dowiesz się późniéj.

CELINA.

Okrutnieś się zmieniła... w tak krótkiéj chwili.

KAROLINA.

Tak jest, zmieniłam się zupełnie; otworzyły mi się oczy. Nie chcę już być przedmiotem wyszydzania dla niegodziwych, którzy mnie zdradzają i spodziewam się, że ostatni raz ich widzę.

CELINA (*do Matki*).

Wątpić nie mogę że te słowa do mnie wymierzone; zaklinam cię Pani, niechże się dowiem ich powodu: co ta sprzeczność znaczy?

MATKA.

Masz prawo żądać wytłumaczenia.

KAROLINA.

Serce twoje wszystko ci wyjawi, jeśli się go spytasz. Co do sprzeczności mego postępowania, dowiedz się że można zerwać z obłudną przyjaciółką i razem dać jéj dowód, że się lepszéj godną było.

CELINA.

To więc obłudnéj przyjaciółce darowałaś zegarek?

KAROLINA.

Po co się pytać o to?

CELINA.

Odbierz go, nie był on dla mnie. (*Z szlachetną dumą*) Jestem uboga, Karolino, ale ubóstwo moje nikomu prawa do znieważania mnie nie daje!

KAROLINA (*cokolwiek wzruszona*).

Czyż ja cię znieważam?

CELINA (*wstrzymując łzy z trudnością*).

Przysłać mi podarek, a odebrać przyjaźń, nie jestże to zniewagą? Dowiedz się, że ile mi są drogie dary tych, których kocham, tyle się strzegę dobrodziejstw osób, których nie szacuję. Przyzwyczaili mnie cnotliwi rodzice stosować życzenia do majątku, i największy dowód mojéj przyjaźni ku tobie, była ta łatwość w przyjmowaniu twoich dobrodziejstw. Nie wiem jakie są powody twego postępowania ze mną, ale wiem, że serce moje srodze zmartwione... (*Płacze i oczy chustką zakrywa*).

KAROLINA (*rozrzewniona*).

Celino... Ty płaczesz... Ach! gdybym zwiedzioną była!...

MATKA

Jesteś nią bez wątpienia, córko moja; mam więcéj doświadczenia od ciebie, znam się na mowie prawdy: Celina nie potrafiłaby cię zdradzić.

KAROLINA.

Jeśli tak jest, jakże winną się być czuję; ale gdybyś mi była mniéj drogą, nie obeszłaby mnie tak żywo mniemana twoja niewdzięczność.

CELINA (*podając jéj rękę*).

Ktoś chciał mnie zgubić w twoim umyśle, ale jakżeś mogła uwierzyć?

LUDWIK.

Założę się, że to sprawka Anny.

CELINA.

To być nie może! Ona wié najlepiéj jak kocham Karolinę, jak się zaszczycam dowodami jéj przyjaźni. To uczu-

cie powiodło mnie nawet do tego, że pomimo układu naszego, zwierzyłam jéj tajemnicę pierścionka z włosami; Anna ma go dotychczas u siebie, bo jéj brat podjął się naprawić plecionkę.

KAROLINA.

Niegodziwa! przecież to ona...

CELINA.

Wielki Boże! co mówisz?

KAROLINA.

Dajmy już temu pokój; wolę daleko przez nią, niż przez ciebie być zawiedzioną. Ale ty będziesz że mnie mogła kochać jak dawniéj?

CELINA (*ściskając ją*).

Wszak widzę żal twój szczery!

SCENA X.

Ciż sami, ANNA (*spostrzegając obie przyjaciółki w uściśnieniu*).

Co widzę?

LUDWIK.

Rzecz bardzo przykrą dla zazdrosnéj.

KAROLINA.

Czy znowu z jaką potwarzą przychodzisz?

CELINA.

Gdyby dobrzy nie porozumiewali się tak łatwo, źli zbyt wielką wzięliby górę.

ANNA.

Proszęż mi wyjaśnić...

MATKA.

Czyż nie zgadujesz mościa panno, że skoro te dwie przyjaciółki się zeszły, przekonały się, że ty sama zasługujesz na ich pogardę? Wyraz to przykry, ale słabo jeszcze maluje uczucia, które potwarcy i obmówcy wzbudzać powinni. Idź, roznoś gdzieindziéj pełne jadu słowa: choćby moja córka ci przebaczyła, ja jéj nie pozwolę przestawać z tak niebezpieczną osobą. (*Anna zawstydzona wychodzi*).

SCENA XI i OSTATNIA.

WSZYSCY, prócz ANNY.

LUDWIK.

Ucieka jak zmyta, możeć spamięta tę naukę.

MATKA.

Wielkiém byłoby dla niéj szczęściem, gdyby ją poprawić mogła. Obmówcy są zarazą towarzystwa. Nietylko roznoszą co wiedzą złego, ale jeszcze najniewinniejszym czynom pozór dają występny.

KAROLINA.

Wymawiam sobie teraz, żem często złośliwość Anny uśmiechem i słowami zachęcała.

MATKA.

Prawda, że ci, którzy podobnych rzeczy z upodobaniem słuchają, wchodzą w spółkę do szkodzenia bliźniemu. Wiele osób zaprzestałoby obmawiać, gdyby brakło takich, którzy ich słuchając śmieją się. Kiedy więc później, dzieci moje, będziecie miały jakie w świecie znaczenie, oziębłością waszą i pogardą zamykajcie usta obmówcom.

MŁODY NAUCZYCIEL

CZYLI

KORZYŚCI EDUKACYI.

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH.

OSOBY:

PANI BOGACKA.
HENRYK, jéj syn.
DOBRUCKI.
KAROL, TEODOR, } jego synowie.
KRYSTYNA, jego córka.
MACIÉJ, ogrodnik pani Bogackiéj.
MARCINEK, syn Macieja.

Scena w pierwszym akcie na wsi u pani Bogackiéj, w drugim, na Przedmieściu Warszawskiém w domku pana Dobruckiego.

AKT I.

SCENA I.

(Teatr przedstawia pięknie ozdobione miejsce, przed letniém pańskiém mieszkaniem).

PANI BOGACKA, HENRYŚ (*z książką w ręku*).

HENRYŚ.

Ale kochana Mamo! zaklinam cię!

P. BOGACKA.

Nie, mój synu, nadaremne są wszystkie prośby twoje; nie mogę nagradzać dziecięcia, które mnie martwi; powiedziałam ci: pojedziesz ze mną na te imieniny, jeżeli się dobrze lekcyi geografii nauczysz: nie umiesz ani słowa, muszę jechać bez ciebie.

HENRYŚ.

I Mama będzie miała serce zostawić mnie tu samego?

P. BOGACKA.

Czemu nie? Ty masz serce martwić mnie codzień twojém lenistwem. Nie uważasz na prośby, łajania; może ci więcéj kara pomoże.

HENRYŚ (*z płaczem*).

Mama mnie nie kocha.

P. BOGACKA.

Owszem, dla tego tak czynię, że cię kocham, i to niemało mnie kosztuje; bo niema dla Matki większéj przyjemności, jak módz dogodzić dzieciom.

HENRYŚ.

Mój Boże! te imieniny będą obchodzone tak paradnie, w takim ślicznym warszawskim ogrodzie, ma być i fajerwerk.

P. BOGACKA.

Prawda, że dobrze zabawić się będzie można, tém miléj, że ta cała uczta jest jakoby nagrodą, którą moja przyjaciółka zgotowała dla dzieci swoich; wszystkie bowiem

otrzymały w szkołach pochwały. Gdybyś tylko uważał, mój synu, widziałbyś że uciechy są zawsze pracy nagrodą.

HENRYŚ.

Ale ja, jeszcze dziecko, cóżbym podobnego mógł zrobić?

P. BOGACKA.

Słuchać. Rodzice nie wymagają nigdy zanadto od dzieci swoich. Czyżbyś nie mógł naprzykład uczyć się dobrze i miłe sprawić zdziwienie Ojcu za jego powrotem?

HENRYŚ.

Czy był list od Ojca? a o mnie co pisze?

P. BOGACKA.

Wiész, że mu wszystko wiernie donoszę: martwi się więc bardzo tém, że się uczyć nie chcesz, i pisze mi, że myśli o nauczycielu.

HENRYŚ.

O! Mamo! wszak prawda, że z tego nic nie będzie?

P. BOGACKA.

A to dlaczego, mój synu?

HENRYŚ.

Czyż nie dosyć na naukach, które mi dajesz?

P. BOGACKA.

Widać że nie dosyć, kiedy z nich nie korzystasz; zresztą ten nauczyciel będzie w domu: zostaniesz przy mnie.

HENRYŚ.

Pewno to będzie jaki stary zrzęda, który mi nie da pokoju.

P. BOGACKA.

Przeciwnie. Twój Ojciec mi pisze, że upatrzył sobie młodego człowieka wielkich przymiotów. Rodzina jego mieszka w skromnym domku w Warszawie, między lipami; poznasz go sam wkrótce.

HENRYŚ.

Wiele też lat mieć może?

P. BOGACKA.

Podobno dwadzieścia cztéry.

HENRYŚ.

To już nie tak bardzo młody.

P. BOGACKA.

O! mój synu, gdybyś mógł w tym wieku już być użyteczny!

HENRYŚ.

To on mi każe bardzo się uczyć.

P. BOGACKA.

Żleby odpowiedział naszemu zaufaniu, gdyby tego starania zaniedbał.

HENRYŚ.

Jakato smutna rzecz uczyć się bez ochoty.

P. BOGACKA.

Zapewne, że dla tych którzy mają ochotę, nauka przyjemnością się staje; i mnie też ten twój wstręt do niéj najwięcéj martwi.

HENRYŚ.

A jak Mama była taka mała jak ja, czy ją bawiła nauka?

P. BOGACKA.

Nie oceniałam tyle jéj korzyści, ale słuchałam tego co mi o niéj rodzice mówili: na ich słowo uczyłam się, i teraz wdzięczną im jestem. Spodziewam się, że i ty kiedyś tak o mnie powiész.

HENRYŚ

O! co ja, jak będę miał dzieci, nie każę im się uczyć niczego.

P. BOGACKA.

Bardzobym żałowała i ich i ciebie, a późniéj złorzeczyłyby tobie. Lecz nie obawiam się tego; wzrastając w lata, poznasz sam korzyści edukacyi: ujrzysz, że człowiek, który z własnéj winy nic nie umié, pogardzanym bywa.

HENRYŚ.

Jeśli mam kiedyś tak myśléć, to czekajmy z nauką téj chwili.

P. BOGACKA.

Jużby wtedy było zapóźno. Czy nie zważałeś, że siać w każdéj porze nie można? że jedna jest na to chwila, a kto jéj zaniedba, nic nie ma. Pamiętasz tego parobka, co zachorował na wiosnę?

HENRYŚ.

Pamiętam, nie zasiał sobie jęczmienia, i potém go nie miał.

P. BOGACKA.

Co z ziemią to i z ludźmi się dzieje. Nauki późne nie przynoszą korzyści; rzadkie są przynajmniéj tego przykłady.

LOKAJ (*wchodzi*)

Powóz czeka!

P. BOGACKA.

Dobrze, zaraz jadę. Bywaj zdrów mój synu; bądź tu grzeczny i naucz się dobrze téj lekcyi. Niech ci ta kara na dobre wyjdzie.

HENRYŚ (*wpół z płaczem*).

Mamo, daruj! już nigdy nie będę.

P. BOGACKA.

Zbyt często dawałam się przebłagać. Dziś nic nie pomoże. (*Patrzy na zégarek*). Już piąta, nie wrócę jak jutro na obiad; niechże mi bona powié, żeś tu był grzeczny. Nie idź za mną, zostań tu. (*Wychodzi*).

SCENA II.

HENRYŚ (*sam*).

Mamo... Mamo... Nie słucha mnie... jaki ja nieszczęśliwy!.. Ale ona nie pojedzie bezemnie, nie pojedzie. (*Bieży i patrzy w tę stronę, w którą Matka odeszła*). Stoi przed domem! rozmawia z Boną, zapewne przyśle ją po mnie! O! tak, nieinaczéj, w tę stronę wskazuje... Ale nie... otwierają powóz, Mama wsiada, jedzie... już pojechała! (*Słychać*

turkot powozu; Henryś powraca płacząc). Pojechała! a ja zostałem. Piérwszy raz to się zdarzyło; pewno mnie już nie kocha! Nie będę więc na tych imieninach, któremi tak się cieszyłem! nie będę widział fajerwerku, nie będę jadł ciastek, cukierków. (*Rzuca książkę z gniewem*). Niegodziwa książko! tobiem winien moje nieszczęście. Przeklęty ten co cię napisał, ten co wydrukował, i ten co przedał. Wiele dbam o te brednie co w sobie zawierasz. Co mi tam do tego, czy ziemia okrągła, czy czworograniasta? Przeklęta, niegodziwa, szkaradna książka! (*Depcze ją*).

SCENA III.

HENRYK, MACIÉJ (*ogrodnik*).

MACIÉJ (*śmiejąc się*).

A to znowu coś nowego? Panie Henryku! (*Henryś trochę zawstydzony podnosi książkę*). Gdzież można takie cudaki wyrabiać z książką. A pewno w niéj prześliczne są rzeczy?

HENRYŚ (*z gniewem*).

Ucz ich się za mnie.

MACIÉJ.

Gdybym-ci czytać umiał! O! czemuż mnie nie uczono! Dałbym sobie chętnie uciąć ten oto palec, żebym mógł gładko w każdéj książce czytać.

HENRYŚ.

Gdybyś wiedział jak nudno się uczyć, nie dałbyś i paznogcia.

MACIÉJ.

Wierzę, iż to z początku trudno, ale jakież korzyści?

HENRYŚ.

Jak będę panem swojéj woli, spalę wszystkie książki.

MACIÉJ.

Owszem, wtedy zbierzesz paniczu, owoce dzisiejszéj pracy i pokochasz księgi.

HENRYŚ.

Nic z tego, spalę co do jednéj: jaki to śliczny ogień będzie!

MACIÉJ.

A jednak panicz lubi powieści.

HENRYŚ.

Lubię słuchać, ale nie czytać.

MACIÉJ.

Lecz kogóż to zawsze mieć, żeby opowiadał, a książka na doręczu. Wreszcie, nigdy to nikt tak opowiedzieć nie potrafi (*wskazując na książkę*). Pewny jestem, że tu same ciekawe rzeczy?

HENRYŚ.

Gdzie tam! nudy same; to geografia.

MACIÉJ.

Cóż to jest?

HENRYŚ.

Opisanie ziemi.

MACIÉJ.

I czegóż to uczy?

HENRYŚ.

Że ziemia jest okrągla, że są morza, a na nich wyspy; że są góry bardzo wysokie, ogromne rzeki, kraje gdzie zawsze ciepło, i inne gdzie zawsze zimno: gdzie dzień i noc po sześć trwa miesięcy.

MACIÉJ.

I panicza to nie raduje, że tylu osobliwości sam z tak małéj książki dowiedzieć się może?

HENRYŚ.

Cóż, kiedy tego uczyć się każą, a przytém wiele innych rzeczy; dulczyć, pracować trzeba.

MACIÉJ.

To tém przyjemniéj, nabyć czego pracą; kiedy się zmęczę, śpię najsmaczniéj. I cóż téż jest na świecie bez jakiéjś przykrości; jak panicz się bawi w ogrodzie z swemi przyjaciołmi, czy się nie umęczy, nie utrudzi?

HENRYŚ.

Tego i nie czuję, bo się bawię.

MACIÉJ.

A ta piękna sałata, którą panicz miał na swoim zagonku, małoż to było z nią roboty?

HENRYŚ.

O prawda! trzeba ją było pleć, podlewać.

MACIÉJ.

I nie deptał jéj nikt tak, jak książki.

HENRYŚ.

A bom wiedział dobrze, że urośnie, będzie smaczna, że rodzice mi podziękują, jak ją kiedy dam do obiadu.

MACIÉJ.

Toż samo byłoby w podobieństwie z nauką, a pan z panią jeszczeby lepiéj dziękowali jak za sałatę.

HENRYŚ.

Mój Macieju! już ty przynajmniéj nie mów za nauką: wszak sam nic nie umiesz?

MACIÉJ.

Panie Henryku! kiedy kto nie z własnéj winy nic nie umie, nietrzeba gardzić jego radami. Ubogi choć pieniędzy nie ma, zna się przecie na czém dobrém. Ja sobie od gęby odejmuję, a syna posyłam do szkoły. Biéda tylko, że nie poczciwy chłopak, woli się bawić jak uczyć.

HENRYŚ.

Dobrze robi.

MACIÉJ.

Wstydziłby się panicz takiéj mowy. Mój Boże, służyłem kilka lat u jednego pana, miał on syna wcale nie takiego jak panicz. Prawda, że był starszy, ale co téż rze-

czy umiał! Jak lubił się uczyć, rozpowiadać co znalazł ciekawego w książkach. Gdym narzekał przed nim, że czytać nie umiem, przynosił książkę, i czytał mi w godzinach, kiedym sobie spoczywał po pracy.

HENRYŚ.

I cóż ci czytał?

MACIÉJ.

Prześliczne powieści. Pamiętam szczególnie jednę, o Józefie; płakaliśmy nad nią oba. Czytał mi także różne rzeczy o ogrodnictwie, i śmiało mogę powiedzieć, że ten kochany pan Karol chociaż młody, wielu rzeczy mnie starego nauczył. Ale przyszły nieszczęścia na jego rodzinę. Ojciec przegrał sprawę, musiał wieś sprzedać, i teraz słyszałem, że są w wielkiéj biedzie... Niech ich Bóg wybawi, godni szczęścia; i ja choćbym żył sto lat, nigdy pana Karola nie zapomnę. Już teraz musi być słuszny.

HENRYŚ.

A ja, Macieju, mogłbym cię téż czego nauczyć?

MACIÉJ (*śmiejąc się*).

Jak teraz, to wątpię; nie takim to podobno sposobem korzystają z książek (*Udaje jakby co deptał*).

HENRYŚ (*rozgniewany*).

A tobie co do tego, idź lepiéj, pilnuj ogrodu (*Wychodzi*).

SCENA IV.

MACIÉJ, MARCINEK.

MARCINEK.

Ojcze! cóż to panu Henrykowi? jakiś rozgniewany?

MACIÉJ.

Tobie nic do tego: powiedzno mi pierwéj, czemu tak późno wracasz ze szkoły; już po zachodzie słońca, a miałeś jeszcze ulicę wygrabić?

MARCINEK.

A czemuż nas Dyrektor wcześniéj nie wypuścił?

MACIÉJ.

Zmyślasz: już godzina jak inne chłopaki wrócili.

MARCINEK.

Ale bo mnie w drodze ból nogi napadł.

MACIÉJ.

I to nieprawda! Zapewneś się balamucił z tym nic dobrego Piotrkiem. Jeśli tak jest, kości w tobie połamię!

MARCINEK.

A jeśli tak nie jest?

MACIÉJ.

Niech cię Bóg broni, żebyś się z tym Piotrkiem miał wdawać. Do złego cię tylko namawia. Dyrektor narzeka że nie chcesz się uczyć, jedno figle płatasz. Za cóż ja to płacę? O! biédni rodzice z témi dziećmi; najlepiéjby to lichostwo porzucić. (*Wychodzi*).

SCENA V.

MARCINEK (*sam*).

O zapewne! dzieci to biédne, bo zawsze pełne uszy łajania mają. A gdzieś był? a coś robił? a po co tak?

a daj pokój! Bez końca tego; a nieraz i co gorszego oberwać trzeba. Prawda, że możnaby ujść tych łajań... ale...

SCENA VI.

MARCINEK HENRYŚ.

HENRYŚ.

Jesteś przecie, Marcinku: dziś późno wróciłeś?

MARCINEK.

Trochę, ale panicz co tu robi? myślałem, że oddawna na imieniny pojechał?

HENRYŚ.

Gdzietam!

MARCINEK.

A Panią spotkałem.

HENRYŚ.

Mama pojechała, ale bezemnie.

MARCINEK.

Musiał panicz co zrobić?

HENRYŚ.

O! wielką rzecz! nie umiałem rano lekcyi, Mama powiedziała: Henrysiu, naucz się na poobiedzie, bo inaczéj nie pojedziesz. Przyszedłem tu z książką—alem zobaczył motyla, i dalejże gonić za nim; goniłem, chwytałem; jużem go miał kilka razy w ręku, zawsze uleciał: tymczasem upłynął czas do nauki, motyl i zabawa uciekły.

MARCINEK.

I zapewne lekcya była trudna?

HENRYŚ.

Niebardzo, alem ją ledwie raz przeczytał.

MARCINEK.

O czémże była?

HENRYŚ.

O rzekach całéj Polski, pamiętałem tylko Wisłę, a reszty nic.

MARCINEK.

Wielka rzecz, tamte dlatego jak płynęły tak i płyną.

HENRYŚ.

Dobrze mówisz.

MARCINEK.

Rodzice żadnéj litości nad biédnemi dziećmi nie mają. Kładą im w głowę tysiące nudnych i niepotrzebnych rzeczy, gderzą, łają i mówią że to wiek najszczęśliwszy: najgorszy, bo nie można nigdy robić co się nam podoba!

HENRYŚ.

Twoje uwagi trafiają zupełnie do mego przekonania; czemużto rodzice tak nie myślą! bo czy wiesz jaki ja nieszczęśliwy! będę miał nauczyciela!

MARCINEK.

A toż znowu po co? Bogatym będąc i jedynakiem, co też po nauce; czyż pieniądze nie staną za wszystko?

HENRYŚ.

Ja tak samo myślę.

MARCINEK.

A ja, czy będę umiał czytać czy nie, czyż mi zawsze ręce do pracy nie zostaną?

HENRYŚ.

Twój Ojciec zaś zupełnie w téj mierze tak myśli jak moi rodzice. O! ta niegodziwa nauka, gdyby nie ona, byłbym na imieninach, widziałbym fajerwerk. Tego mi żal najwięcéj!

MARCINEK.

Wie panicz co, wszak ztąd do Warszawy pół mili gościńcem, a manowcami daleko bliżéj. Ja wiem ścieszkę, która nas prosto między lipy zaprowadzi.

HENRYŚ.

Co mówisz? czyby to być mogło?... Ale Mama?

MARCINEK.

Nie będzie wiedziała o niczém! Pójdziemy, zobaczymy fajerwerk i wrócimy.

HENRYŚ.

Ale to będzie źle bardzo?

MARCINEK.

Ej! nic tak bardzo złego, a zobaczymy fajerwerk.

HENRYŚ.

Gdybym tylko mógł wiedzieć, że Mama się nie dowié.

MARCINEK.

Któżby jéj miał powiedzieć; za godzinkę tu wrócimy i Bona o niczém wiedzieć nie będzie. Tylko idźmy prędko, już się ziemnia.

HENRYŚ.

No, to idźmy.

(*Wychodzą*).

AKT II.

SCENA I.

(Teatr wystawia pokój skromnie urządzony, okno jedno otwarte).

TEODOR, KRYSTYNA.

(*Wychodzą na palcach z pobliskiego pokoju*).

TEODOR.

Ojciec śpi, bądźmy cicho, siostro; pisał do północy: spoczynek mu potrzebny.

KRYSTYNA.

O! gdybyć wstał swobodny i wesoły!

TEODOR.

Trudno się tego spodziewać! kto jak on przez takie przeszedł nieszczęścia!

KRYSTYNA.

Czy my téż kiedy będziemy bogaci?

TEODOR.

Bardzo wątpię; sprawa choć niesłusznie, ale bez nadziei przegrana: jedyna ucieczka zastąpić majątek pracą.

KRYSTYNA.

Zapewne; ale jeszcze daleko do tego, żeby nam ta praca co przynieść mogła.

TEODOR.

Ale przyniesie kiedyś, jeżeli teraz przykładać się będziemy. A z naszym bratem Karolem, czyż nie tak się stało? Na nim teraz cała nadzieja naszego Ojca spoczywa. O! gdybym to ja dojść mógł prędko do tego wieku!

KRYSTYNA.

Tak? i opuścisz nas tak jak Karol; już trzy miesiące jak go w domu niema, teraz zapewne w obowiązki wejdzie, i widywać go nie będziemy, a ja sama zostanę.

TEODOR.

Zostaniesz i będziesz jedyną, codzienną Ojca pociechą. Takie to przeznaczenie kobiety. My synowie będziemy na niego zarabiać, ty będziesz słodzić mu życie.

KRYSTYNA.

Dobrze mówisz i mój los nie będzie do pożałowania; tak miło do czyjego przyczynić się szczęścia. Wiesz, że dopókiśmy bogatemi byli, i połowy tych uczuć nie doznawałam.

TEODOR.

Bo dobrze nasz Ojciec mówi, że ubóstwo w duszach szlachetnych rozwija zdolności i cnoty. Ale my rozmawiamy, a to czas zasiąść do nauki: rano umysł najwolniejszy.

(*Przysposabia na stoliku książki, pióra, papier*).

KRYSTYNA.

Dobrze, ty czytaj i pisz; ja użyję trochę świeżego powietrza pod lipami; czas śliczny, a potém zatrudnię się śniadaniem. (*Wybiega*).

SCENA II.

TEODOR (*sam zbliżając się do okna*).

Prawda, że czas śliczny. Możebym i ja mógł przejść się trochę, pobiegać z siostrą... Ale jak miło będzie Ojcu, kiedy wstawszy zastanie dowód mojéj pracowitości. Podobnie przyjemne zdziwienia zawsze Karol mu gotował, kiedy był w moim wieku: trzeba iść za tym przykładem. Do pracy więc! (*Siada przy stoliku i otwiera książkę*). Mam przetłumaczyć na łaciński język bajkę Krasickiego: PTASZKI W KLATCE (*bierze pióro i myśli*). Kiedy to ten Krasicki tak wiele rzeczy w krótkich słowach mówił... Ale mam już wiersz pierwszy... (*pisze*).

SCENA III.

TEODOR (*pisze*), KRYSTYNA, HENRYŚ (*roztargany z podartą suknią*).

KRYSTYNA.

Proszę wejść do pokoju, nasz Ojciec śpi jeszcze, ale mój brat przyjmie.

TEODOR (*wstając*).

Któż to, siostro?

KRYSTYNA.

Przechadzając się pod lipami, zobaczyłam tego chłopczynę w rowie: siedział i płakał: powiedział, że całą noc tak przebył, że nie wié gdzie jest, że nieszczęśliwy.

HENRYŚ (*płacząc*).

To cud, że ja żyję. Od wczorajszego wieczora błąkam się po tych lipach. Nie śmiałem zaczepić nikogo, potém też nie było żywéj duszy; głód, zimno, a najwięcéj strach tak mi dokuczał, żem oka zmrużyć nie mógł, tylkom płakał ciągle.

KRYSTYNA.

Biédny chłopczyk! pospieszę ze śniadaniem, żeby się posilił. (*Wychodzi*).

SCENA IV.

TEODOR, HENRYK.

TEODOR do HENRYSIA (*który ciągle płacze*).

Pociesz się, już zakończona twoja niedola. Opowiedz tylko kto i zkąd jesteś, gdzie mieszkanie twoje, a skoro Ojciec pozwoli, zaraz cię odprowadzę. Ja znam całą Warszawę. Ale jakimże sposobem zbłądzić tak mogłeś? Dzieci twego wieku nie zwykły chodzić wieczór same.

HENRYŚ.

I ja téż nie byłem sam, towarzyszył mi niegodziwy Marcinek, syn naszego ogrodnika; przechodziliśmy przez jakiś wał wysoki, jam się właśnie spuszczał z niego, kiedy Marcinek mi szepnął: „uciekaj co żywo, dozorca idzie!“ Ja

też uciekać przed siebie zacząłem, a potém i Marcinka i drogę straciłem.

SCENA V.

TEODOR, HENRYŚ, KRYSTYNA

(*niesie szklankę mleka i kawałek chleba*).

KRYSTYNA.

Musi ci się bardzo jeść chcieć, mój chłopczyku: posil się.

HENRYŚ.

Dziękuję. Już mi się odechciało. O! to okropna rzecz taką noc przebyć, jużbym wolał dziesięciu lekcyi się nauczyć.

TEODOR.

A to szczególne porównanie; wszak uczyć się jest wielką przyjemnością.

HENRYŚ.

Tak myślisz? winszuję, bo co ja, to innego jestem zdania.

TEODOR.

Prawda, że czasem napotkać można trudności, ale jak miło je pokonać! Wreszcie w naszym wieku, w naszym stanie, nauka wchodzi do obowiązków naszych; a któżby mógł być szczęśliwy nie pełniąc obowiązków swoich?

HENRYŚ.

Jednak daleko miléj grać w piłkę, albo w ślepą babkę, jak nad jeografią siedzieć.

TEODOR.

O! ja bardzo bawić się lubię — często bardzo wraz z siostrą używamy różnych rozrywek, ale nauczył nas Ojciec, żeby zawsze zabawę poprzedziła praca.

KRYSTYNA.

Nasz Ojciec zaleca nam także naukę dlatego, że majątek zastąpić może...

HENRYŚ.

A kiedy kto bogaty?

KRYSTYNA (*wzdychając*).

Można spotkać bogatych, którzy już nie są nimi!

TEODOR.

My sami z tych liczby jesteśmy. Nasz Ojciec miał piękne dobra, był majętny; przez nieszczęśliwie przegraną sprawę wszystko stracił, i gdyby nie brat nasz starszy Karol, który mu przysyła co tylko zarobi, nie mielibyśmy czém opłacić tego ubogiego mieszkania.

KRYSTYNA.

A brat nasz jedynie pilności w naukach winien to szczęście swoje; gdyby w dzieciństwie nie był się uczył tylko bawił—dziś byłby Ojcu ciężarem.

HENRYŚ.

Jam nigdy nie myślał, żeby kto raz jest bogatym, ubogim mógł zostać.

TEODOR.

Boś jeszcze młody; i my tak dawniéj myśleli; ale te-

raz Ojciec nam przedstawia i u innych takich zmian losu przykłady.

HENRYŚ.

To i moi rodzice mogliby kiedy ubogiemi zostać! Ach Boże! jakieżby wtedy ze mną umartwienie mieli. Oj! będę i ja się uczył.

TEODOR.

Dobrze uczynisz, w każdym razie nauka się przyda; a tymczasem przez pilność twoję, pociechę, sprawisz rodzicom.

KRYSTYNA.

Nasz Ojciec nam tak często powtarza, że w ręku dzieci jest smutek rodziców i ich radość.

HENRYŚ (*biorąc oboje za ręce*).

O, moi kochani! jak mnie rozrzewnia, co wy mówicie! Jacy wy dobrzy! a ja!... ale doprawdy, że będę innym... Gdybyście wiedzieli...

TEODOR.

Bardzobym chciał, żebyś nam mógł wszystko o sobie powiedzieć... Ale słyszę hałas w pokoju Ojca; biegnę mu pomódz do ubrania: niema teraz innego służącego! (*Wychodzi*).

SCENA VI.

KRYSTYNA, HENRYŚ (*płacze*).

KRYSTYNA.

Płaczesz? powiedz mi czego... to ci ulży.

HENRYŚ.

Jak nie mam płakać... Byłem nieposłuszny... Sam winien jestem memu nieszczęściu. Poszedłem za złą radą, rozgniewałem najlepszą Matkę... ani wiem, czy ona mi przebaczy.

KRYSTYNA.

Miéj nadzieję, matki wszystkie dobre: ja trzy lata miałam, jak mi moja umarła, a jeszcze jéj dobroci zapomnieć nie mogę.

HENRYŚ.

O! drugi raz, żeby nie wiem co mówił Marcinek, nie usłucham go.

KRYSTYNA.

Cóżto za Marcinek?

HENRYŚ.

To syn Macieja, naszego ogrodnika.

KRYSTYNA.

I my także mieliśmy ogrodnika tego imienia.

HENRYŚ.

Może ten sam: bo właśnie wczoraj wspominał mi o jednym panu Karolu, który tak dobrze się uczył, a wszak takie imię waszego brata? Zachęcał mnie, żebym był takim.

KRYSTYNA.

O! ja pamiętam tego Macieja, to bardzo rozsądny człowiek... Ale któż to nadchodzi?

SCENA VII.

KRYSTYNA, HENRYŚ, KAROL.

KAROL (*ściskając siostrę*).

Kochana siostro! jakże mi miło cię widzieć.

KRYSTYNA.

Kochany Karolu! jakież to niespodziane szczęście! a na długoż do nas przybywasz?

KAROL.

Na bardzo krótko; znasz jakie są moje obowiązki, dopełnienie ich jeszcze pierwsze od przyjemności; wszystko obowiązkom ustąpić powinno. (*Spostrzegając Henrysia*). Cóżto za chłopczyk?

KRYSTYNA.

To mały wędrownik, który tu dziwnym zabłąkał się sposobem... Ale otóż nasz Ojciec.

SCENA VIII.

PAN DOBRUCKI, KAROL, TEODOR, KRYSTYNA, HENRYŚ.

P. DOBRUCKI.

Co widzę? mój drogi Karol! (*ściskają się*).

KAROL (*całując go w rękę*).

Kochany Ojcze! jaka radość dla mnie, że w dobrém oglądam cię zdrowiu! Jak się masz Teodorze?

TEODOR.

Zdrów i szczęśliwy w téj chwili, kiedy ciebie widzę. Wcaleś tu nie był spodziewany.

KAROL.

Opowiem wam wszystko...

P. DOBRUCKI.

Momencik, trzeba z tym chłopczykiem coś zrobić, on potrzebuje spoczynku. Dzieci, proście naszéj kucharki, żeby go położyła w łóżko i dała mu herbaty; jak się prześpi, oddamy go rodzicom. (*Teodor i Krystyna wyprowadzają Henrysia*).

SCENA IX.

P. DOBRUCKI, KAROL.

P. DOBRUCKI.

Cóż kochany synu! czyż ci niebo nagradza twoje cnoty? posada którą zajmujesz odpłacać ci pracę twoję? Boś ty jest teraz jedyną ojca i rodzeństwa podporą. Nie upokarza to mnie jednak bynajmniéj; chlubię się takim synem i nieraz mam ochotę cieszyć się z mego ubóstwa, bo wydało na jaw twe cnoty.

KAROL.

Mój Ojcze, czyż godzien pochwały ten, który nic więcéj nie czyni, tylko obowiązki wypełnia Wszak to powinnością każdego człowieka. Dajmy więc temu pokój. Co się zaś mojéj posady tyczy, tę zapewnę utracę; ten od którego zależę, żąda odemnie postępowania niezgodnego z temi za-

sadami któreś we mnie wpoił... przybyłem opowiedzieć ci się, poradzić...

P. DOBRUCKI.

Skoro tylko o honor, o sumienie idzie, rada niepotrzebna: wiesz jak myślę: wolałbym żebyśmy tu wszyscy z nędzy pomarli, jak gdyby syn mój jaką podłością się splamił!

KAROL.

Jedynie z przywiązania do ciebie Ojcze i do rodzeństwa, wahałem się jednę chwilę, ale ta krótką była. Jednak rzeczy nie są stracone: kto chce szczerze, zawsze sposób utrzymania się znajdzie: zalecają mi miejsce nauczyciela w domu bardzo bogatym, gdzie jest syn jedyny.

P. DOBRUCKI.

Piękne to powołanie, ale uciążliwe. Wiem jednak, że skoro mój Karol podejmie się czego, dopełni niezawodnie. Znanyż to przynajmniéj dom? pozwoląż ci prowadzić dziecię podług twojéj woli: matka jako do jedynaka, czy ci przeszkodą nie będzie?

KAROL.

Ręczą mi, że to dom z rozsądnych ludzi złożony; że ojciec najgodniejszy człowiek, a matka bynajmniéj jedynaka nie psuje. Oni w zimie w Warszawie mieszkają, a w lecie w pięknéj wiosce niedaleko będącéj.

SCENA X.

P. DOBRUCKI, KAROL, TEODOR, P. BOGACKA.

TEODOR.

Otóż mój Ojciec i brat starszy!

P. BOGACKA.

Proszę wybaczyć, że tak rano przychodzę, ale nie mieszkając ciągle w mieście, tylko przyjeżdżając niekiedy, zawsze mam natłok zatrudnień. Interes który mnie tu sprowadza wielki jest. Ten młodzieniec życzy sobie miejsca nauczyciela... zaleconym został jak najlepiéj memu mężowi... (*Karol kłania się*). Mamy jedynego syna, chcielibyśmy kiedy widzieć go człowiekiem... Bóg nam użyczył majątku... umielibyśmy się wywdzięczyć temu, któryby nam w tak ważnéj pracy dopomógł.

KAROL.

Jeżeli zdołam na ich zaufanie zasłużyć... będzie moją chęcią najszczerszą odpowiedzieć mu godnie... Ale nie wiem...

P. BOGACKA

Tyle dobrego o całéj rodzinie Dobruckich słyszałam, a zwłaszcza o jéj starszym synu, że za największe szczęście mieć sobie będę, widzieć jedynaka mego w jego ręku. Czy może być dzielniejsza nauka od przykładu?

KAROL (*ze skromnością*).

Nie zasłużyłem na te pochwały.

P. BOGACKĄ.

Pochodzą one z serca przejętego jego przymiotami; właśnie wczorajszy wieczór strawiłam w domu, gdzie najwięcéj o nim mówiono; o korzystnie powziętych naukach, o mocy duszy w zniesieniu zmiany losu; o podporze jaką niesiesz ojcu, o przyczynach odrzucenia zyskownéj posady wiem wszystko i nie mamże pragnąć takiego wzoru dla syna? (*do p. Dobruckiego*). Proszę nie kryć tych łez: z tak pięknego płyną powodu!

P. DOBRUCKI.

O Boże! Ty sam, z niedoli podobną radość wyprowadziś możesz! Czyż był kiedy ojciec szczęśliwszy odemnie?

SCENA XI.

Ciż sami, KRYSTYNA.

KRYSTYNA.

Ojcze! mały chłopczyk nie chce ani jeść, ani spać, tylko płacze: chce do domu.

P. DOBRUCKI (*do p. Bogackiéj, która słucha ciekawie*).

To dziecię nieznajome, które się tu zbłąkało: przyprowadź go Krystyno; wypytamy się go dobrze o rodziców, o mieszkanie; a ty Karolu odprowadzisz go: zapewne tam matka o niego się troszczy.

P. BOGACKA.

Może jabym go odwieźć mogła. Niech tu przyjdzie. Proszę. (*Krystyna odchodzi*, p. *Bogacka do Karola*). Jeśli chęci jego zgodne z naszemi, zechcesz do nas zawitać, rozmówimy się jeszcze lepiéj.

SCENA OSTATNIA.

Ciż sami, KRYSTYNA, TEODOR, HENRYŚ.

P. BOGACKA.

O Boże! mój syn!

HENRYŚ.

Mama tu? gdzież się schowam?
(*Każdy wyraża zdziwienie*).

P. BOGACKA (*do p. Dobruckiego*).

Któż mi powie, jakim to sposobem stać się mogło?

P. DOBRUCKI.

Ja wiem tylko, że to dziecię zabłądziło między lipami, i że go dziś moja córka płaczącego w rowie znalazła.

HENRYŚ.

O Mamo! daruj! przebacz! wszystkiemu winno nieposłuszeństwo moje; chciałem widzieć fajerwerk, poszedłem z Marcinkiem, on mnie porzucił, trafić sam nie mogłem. — O! gdybyś wiedziała jaką noc przebyłem!

P. BOGACKA.

O! dziecię niegodziwe! O! my nieszczęśliwe matki, chwili spokojnéj mieć nie możemy. W jakiéjż tam trwodze musi być dom cały, biédna bona; a tobież mój synu, jak wiele nieszczęść stać się mogło!

HENRYŚ.

Mamo! a czy kochasz mnie jeszcze?

P. BOGACKA (*ocierając łzy*).

Nie powinnabym okazywać ci tego. Ale niespokojność...

HENRYŚ.

Mamo! nie będziesz na mnie się gniewać?

P. BOGACKA.

Nie będę, ale jeśli się poprawisz.

HENRYŚ.

To już przyrzekłem. Ten chłopczyk i ta panienka tyle mi napowiadali rzeczy, że muszę być lepszym i pilnie się uczyć.

P. BOGACKA.

Jakie to osobliwsze szczęście, żeś do nich trafił; prawdziwa Opatrzność! Czy wiesz? (*wskazując na Karola*) ten młodzieniec podejmuje się być twoim nauczycielem.

HENRYŚ.

Co? brat Teodora i Krystyny! O! jakież to szczęście! Jakże ja go kochać będę!

KAROL (*ściskając go*).

Spodziewam się, że to przywiązanie wnet wzajemném się stanie.

TEODOR (*śmiejąc się*).

Ale co na ten raz wyścignęliśmy cię bracie: twój uczeń pierwéj był naszym.

P. DOBRUCKI.

Widzi Pani jak przedziwnie układają się rzeczy.

P. BOGACKA.

Widzę i wielbię Opatrzność, błogosławić nie przestanę dnia tego. Niech przyjaźń najtkliwsza panuje odtąd między nami, będzie to nieocenioną dla mego syna korzyścią; pozwól mu bywać tu często; dom gdzie cnota i praca panuje, najlepszą jest szkołą.

WIGILIA NOWEGO ROKU.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

PAN NORYŃSKI, lekarz.
KAZIO, syn jego.
HELENKA, córka.
ADOLF, przyjaciel Kazia.
STARY INWALIDA.
ELŻBIETKA, TOMEK, } dzieci jego.
PETRONELA, służąca pana Noryńskiego.
WŁOCHI z zabawkami.
CHŁOPIEC.

(*Miejsce sceny w Warszawie, w domu p. Noryńskiego*).

(Teatr wystawia pokój, Petronela z miotełką w ręku okurza sprzęty; Kazio rozparty w krześle duma głęboko).

SCENA I.

KAZIO, PETRONELA.

PETRONELA.

Wielka to mitręga utrzymywać tam porządek gdzie są dzieci. Rozrzucają wszystko, śmiecą, a biegając nieustannie, kurz tylko porzucają.

KAZIO (*zawsze w krześle*).

Cicho też bądź, moja Petronelo: przeszkadzasz mi do myślenia.

PETRONELA, (*spoglądając na niego z uśmiechem, mówi dalej*).

Z ostatniéj służby wychodząc, przyrzekłam sobie, że nigdy nie wejdę w obowiązki w dom gdzie będą dzieci; a przecież nie dotrzymałam słowa. Jakże było odmówić panu Noryńskiemu? on takie miał staranie o mojéj biédnéj Matce! I wreszcie (*nieco ciszéj*), chociaż mnie często dzieci gniéwają, ja przecie to lichostwo lubię.

KAZIO (*wstając nagle*).

Dobrze Ojciec mówi: „Łatwiéj wstrzymać wodę w pędzie niż język niewieści.“ (*do Petronelí*). Czyż mi nie dasz myśleć?

PETRONELA.

I któż paniczowi przeszkadza?

KAZIO.

Ty, twojém wieczném paplaniem.

PETRONELA.

Któż każe słuchać? Ja do siebie mówię.

KAZIO.

Słyszę cię, choćbym nie chciał i to mi przeszkadza.

PETRONELA.

O! jaka wielka rzecz przeszkadzać w myślach panu Kazimierzowi! Jakież to tak ważne sprawy?

KAZIO.

Zapewne że ważne. Myślę co zrobić z pieniędzmi, które nam Ojciec da na kolendę.

PETRONELA (*śmiejąc się*).

Mnie je dać, i już kłopotu nie będzie.

KAZIO.

Właśnie téż! nic z tego.

PETRONELA.

Żarty na stronę, czyż to wam pan nie kupuje sam kolendy w tym roku?

KAZIO.

Nie; jakeśmy mu dziś rano z siostrą winszowali jako w wigilią Nowego roku, powiedział nam, że już mamy tyle rozsądku, iż sami kupić sobie co możemy; a zatém, każde z nas ma u niego po dwa dukaty, które on wypłaci na pierwsze zawołanie nasze: od téj chwili myślimy jedynie jak tego skarbu użyć?

PETRONELA.

Dobrze robicie, bo trzeba dowieść panu, żeście godni jego zaufania. Możebym i ja do tych namysłów dopomódz mogła? Panna Heleną wyszła z domu, zapewne już sobie co obmyśli nim wróci.

KAZIO.

O! nie; obiecała, że nic bez mojéj wiedzy nie zrobi.

PETRONELA.

Dobrze i to; brat i siostra zawsze wspólnie czynić po-

winni; ale wątpię jednak, żebyście się w tém zgodzili? co bawi chłopców, najczęściéj nie przystoi dziewczętom.

KAZIO.

Wszystko zależy od wyboru. My nie myślimy żadnych drobnostek kupować, ani zabawek dobrych dla pięcioletnich dzieci.

PETRONELA (*żartobliwie*).

Zapewne! dziesięcioletni chłopiec i panna w dwunastym roku, to już nie dzieci.

KAZIO.

Proszę się nie śmiać; wszak i nasz Ojciec już nas jak słuszne osoby uważa.

PETRONELA.

Kiedy tak, mój panie Kazimierzu, darujże komu ten bęben, którym tyle hałasu robiłeś wczoraj.

KAZIO.

Chciałem go już zepsuć do reszty.

PETRONELA.

To więc w tym roku nie będziemy mieli ani żołnierzy, ani lalek, ani gospodarstwa?

KAZIO.

Broń Boże!

PETRONELA.

Cóż więc kupicie?—Na suknie?

KAZIO.

Po co? mamy ich dosyć.

PETRONELA.

Może książki?

KAZIO.

Gdzietam, jest ich podostatkiem.

PETRONELA.

Za dwa dukaty szkodaby samych nakupić ciast i cukierków.

KAZIO.

O nie! i tak najemy się ich dosyć przez te dnie; wreszcie nie byłby to dobry pierwszych pieniędzy użytek: my chcemy coś trwałego.

PETRONELA.

Śliczna myśl, zamiar chwalebny; ciekawam jednak bardzo, jak się te pieniądze obrócą?

SCENA II.

KAZIO, HELENKA, PETRONELA, STARY INWALIDA.

HELENKA.

Czyż jest mój Ojciec w domu?

PETRONELA.

Jeszcze nie wrócił.

HELENKA.

Szkoda; ten stary żołnierz chciał z nim mówić: powiedz, proszę, w przedpokoju, żeby nam zaraz znać dano

jak Ojciec przyjdzie; bo czasem prosto idzie do swego gabinetu.

PETRONELA.

Powiem, ale wątpię żeby pan wrócił tak prędko. Wojciech przyjechał z powozem, mówiąc, że pan godzin kilka u chorego zabawi. (*Wychodzi*).

SCENA III.

HELENKA (*do Inwalidy*).

Słyszałeś pan, mego Ojca niema w domu; ale powiedz nam czego żądasz od niego: my wiernie to powtórzymy.

INWALIDA.

Przyszedłem tu złożyć mu dzięki i życzenia od pewnéj rodziny, która od jakiegoś czasu utrzymuje się jedynie dobrodziejstwy jego.

KAZIO.

Cóżto za rodzina?

INWALIDA.

Moja, mój dobry paniczu.

HELENKA.

Alboż w takiéj jesteś potrzebie?

INWALIDA.

W niezmiernéj. Nigdym nie był bogatym, ale przecież do téj jesieni, przy szczupłéj pensyjce, trzymałem się jak mogłem; moja praca żonę i dwoje dzieci żywiła. Lecz trzy miesiące temu żona mi nagle umarła, a ja rozchoro-

wałem się z żalu. Dla wyrobnika nędza tuż za chorobą idzie; zadłużyłem się i byłbym może umarł z niedostatku, gdyby nie dobroczynność waszego Ojca.

KAZIO.

Nigdy nam nie wspomniał o was.

INWALIDA.

Osoby dobroczynne zwykły taić dobre uczynki swoje; ja sam długo nie wiedziałem jego nazwiska.

HELENKA.

A jakimże sposobem on trafił do was?

INWALIDA.

W czasie mojéj choroby, jednego dnia byłem już bardzo źle; zawołałem na dzieci i tak do nich mówiłem: „Już umieram, nie odchodźcie odemnie... póki mogę, miło mi patrzeć na was...“ One prosiły mnie z płaczem, żebym nie umierał, a jam odpowiedział: „Życie i śmierć człowieka w ręku Boga: niech się dzieje wola Jego.“

KAZIO (*rozrzewniony*).

Ty płaczesz, Helenko?

HELENKA.

I ty podobno. Ale mów daléj, dobry starcze!

INWALIDA.

Mój syn Tomek spytał mi się wtedy, czemu nie poślę po lekarza? jam mu odpowiedział, że nie mam czém mu zapłacić; potém przestałem mówić, bo większa przyszła gorączka. Dzieci odeszły od łóżka strwożone, a Tomek powiedział siostrze, że pobiegnie szukać lekarza i sprowadzić

go musi. Poszedł, i przechodząc koło jednego pałacu, obaczył pana wysiadającego z powozu, w którym poznał lekarza; spytał się siedzącéj opodal przekupki, ta go w tém sądzeniu potwierdziła, i dodała, że był to lekarz bardzo biegły. Tomek uszczęśliwiony czatował na powrót jego; gdy wychodził z pałacu, rzucił mu się do nóg i prosił, żeby do mnie przyjechał. Nie tail mu, iż nagrody innéj mieć nie będzie prócz wdzięczności naszéj.

KAZIO (*rozrzewniony*).

Jaki to dobry chłopiec, ten Tomek!

HELENKA.

Jak godzien kochania!

INWALIDA.

Nie chwaląc się, moich dzieci największy pan-by się nie powstydził: poczciwe dzieciska. Wasz Ojciec, bo zgadujecie, że to on był, kazał wsiąść z sobą Tomkowi do powozu i wskazać woźnicy drogę do mego mieszkania. Starania jego i dobroczynność przywróciły mnie do życia i zdrowia, winienem jemu szczęście swoje i dzieci; nie mogłem więc przenieść na sobie, ażeby mu dziś nie powinszować, jako w wigilią Nowego roku.

KAZIO.

Dlaczego nie przyprowadziłeś dzieci, mój poczciwy człowieku?

INWALIDA.

Nie śmiałem; ale kiedy pozwalacie przyjdę ja tu kiedy z moim Tomkiem i z moją Elżbietką.

HELENKA.

A teraz jakże ci się powodzi?

INWALIDA.

Dosyć zdrów jestem, ale jeszcze nie mogę tyle pracować co dawniéj; nie wiem czy już tak kiedy potrafię, i jak długo żyć będę: chciałbym więc zawczasu dziatkom moim jaki kawałek chleba zapewnić.

KAZIO.

O, dobrze myślisz! i naszemu Ojcu się to spodoba.

INWALIDA.

Jużem mówił względem Tomka z jednym stolarzem, bardzo poczciwym człowiekiem: wziąłby go za chłopca i to darmo, ale trzeba koniecznie pierwéj oporządzić go od stóp do głowy: toż samo i z Elżbietką będzie. Ja zaś ani wiem, jak sobie w tém poradzę, bo pieniędzy nie mam, a wszystko tak wiele kosztuje.

KAZIO (*biorąc siostrę na bok*).

Helenko! co myślisz?

HELENKA.

Ty wiesz dobrze na co ja mam ochotę.

KAZIO.

Dajmy mu połowę naszéj kolendy.

HELENKA.

Połowę? to mało; cóż on kupi za dwa dukaty dla dwojga dzieci? Dajmy mu wszystko.

KAZIO.

Tak chcesz koniecznie?

HELENKA.

I tak uczynię; dam mu wszystkie moje pieniądze. Ty ze swemi możesz zrobić co ci się podoba.

KAZIO.

O! ja pojdę za twoim i Ojca przykładem.

HELENKA.

Ale namyśl się, żebyś potém nie żałował.

KAZIO.

Już się namyśliłem.

HELENKA.

Uściskaj mnie, kochany, dobry Kaziu. O! jak ten biédny Ojciec będzie szczęśliwy. (*Do Idwalidy*). Nie troszcz się już oporządzeniem twoich dzieci, poczciwy człowieku. Nasz Ojciec obiecał nam dać po dwa dukaty na kolendę, my je chętnie ofiarujemy na wyprawkę dla Tomka i Elżbietki.

KAZIO.

I więcéj nas to cieszy, jak gdybyśmy najpiękniejsze zabawki za te pieniądze kupili.

INWALIDA.

Gdybym nie znał waszego Ojca, kochane paniątka, dziwiłbym się nad tak dobrém sercem, ale jak mówi przysłowie: jaka mać, taka nać. Na jakie cnoty dzieci od kolebki się zapatrują, w takich téż i rosną. Nie dziwię się więc, ale wam dzięki szczere składam. Powiadają, że Bóg słucha błogosławieństw starców; nie wątpię, że moje nad wami wypełni.

HELENKA.

Jeszcze nie mamy tych pieniędzy w ręku, ale przyjdź za godzinę albo za dwie, to już pewno będziemy je mieli.

KAZIO.

Obaczysz, żeśmy słowni.

INWALIDA.

Ani wątpię; ale chciałbym jednak pierwéj rozmówić się z waszym Ojcem,

KAZIO.

O! bądź pewny, że się nam w tém nie sprzeciwi.

HELENKA.

Owszem, pochwali nas.

INWALIDA.

Jakże godzien tak dobrych dzieci! Bywajcie zdrowe, moje śliczne paniątka! *(kłania im się do nóg)*. Nie zapominajcie o starym Inwalidzie; on do końca życia razem modlić się będzie i za was i za własne dzieci. *(Odchodzi, dzieci wołają kilka razy za nim)*: Bądź zdrów! do zobaczenia!

SCENA IV.

HELENKA, KAZIO.

HELENKA.

Wiesz co bracie, nigdym tak z żadnéj kolendy szczęśliwą nie była jak teraz, chociaż żadnéj mieć nie będę.

KAZIO.

Jak dobrze, że nam Ojciec dał pieniędzmi.

HELENKA.

Poczciwy starzec! jaki on nam wdzięczny; ja Elżbietką zupełnie opiekować się będę.

KAZIO.

A ja Tomkiem. Będę często bywał u stolarza, u którego on będzie; będę go zachęcał do pracy podarunkami, a jak urośnie i rzemieślnikiem zostanie, uproszę u naszego Ojca, żeby jemu dawał robotę: zalecę go przyjaciołom naszym: będzie mi winien swój byt, udzieli i siostrze pomocy.

HELENKA.

O! Elżbietka niczyjéj pomocy potrzebować nie będzie: umieszczę ją u Św. Kazimierza: nauczy się tam ślicznie szyć; jak urośnie, poproszę Ojca, żeby jéj wyszukał dobrego męża; będzie najlepszą szwaczką, będzie szczęściem swojéj rodziny, a to szczęście będzie mojém dziełem: sprawią go te dwa dukaty.

KAZIO.

Nie posiadam się z radości.

HELENKA.

Żeby też Ojciec wrócił jak najprędzéj.

SCENA V.

CIŻ SAMI, PETRONELA.

PETRONELA.

Nauczyciel polskiego języka przyszedł.

HELENKA.

Myślałam, że nam oznajmiasz przybycie Ojca. Szkoda że go nie widać. Kaziu, pójdźmy do nauki.

KAZIO (*do Petroneli*).

A my już wiemy co zrobić z pieniędzmi.

PETRONELA.

Cóż? jakaż będzie kolenda?

HELENKA (*cicho do Kazia*).

Niedosyć naśladować Ojca w jego dobroci, trzeba jeszcze umieć milczeć jak on. Wszak nic nie wiedzieliśmy o biednym Inwalidzie?

KAZIO (*do Petroneli*).

Nie powiem ci nic, ale zgadnij jeśli potrafisz? (*Wybiega z siostrą wesoło*).

SCENA VI.

PETRONELA (*sama*).

Zgadnij! zgadnij! trzpiot! Łatwo to zgadnąć co przez głowę dziecięcia przechodzi, zmienia się jak chorągiewka na dachu. Ten wiek taki płochy, taki niestały... Ale jednak każdy go lubi, każdy miłe własne dzieciństwo wspomina... Trzeba też przyznać, że nie wszędzie takie są dzieci jak w tym domu; grzeczne, miłe, służących za ludzi mają. O! dałby im nasz pan, gdyby się ważyli być innemi. A wieleż to domów, gdzie nic na dzieci powiedzieć nie można, choćby do najgorszego zrobiły. Cóż się też dzieje? z takich dzieci wyrastają źli panowie i nikt u nich służyć nie chce, nikt ich nie kocha.

SCENA VII.

PETRONELA, ADOLF.

ADOLF.

Jak się masz, Petronelo? Chciałbym się widzieć z Kaziem.

PETRONELA.

Uczy się.

ADOLF.

Powiedz mu, że bardzo mam pilny interes, i że tylko moment zabawię. (*Petronela wychodzi*).

SCENA VIII.

ADOLF (*sam*).

Oblecę dziś pół Warszawy, żeby widzieć kolendy moich przyjaciół. To bardzo zabawnie, a przytém wszędzie coś dobrego zjeść można. Mój Ojciec uważa mnie za słusznego kawalera i już od kilku lat cukierków mi nie daje. Żal mi tego serdecznie. Ale otóż i Kazio.

SCENA IX.

ADOLF, KAZIO.

ADOLF.

Cóż ty sobie myślisz? uczyć się w wigilią Nowego roku?

KAZIO.

Czemu nie? nasz Ojciec nam zawsze mówi, że nigdy tracić czasu nie wypada.

ADOLF.

Ale gdzież dziś czas do nauki; ja na co innego moje chwile obracam: chodzę po mieście, przypatruję się obrazkom, zabawkom, piernikom...

KAZIO.

Prawda, że to przyjemnie być musi.

ADOLF.

Byłem u wszystkich naszych znajomych, obaczyć co też który z nich dostał? O! prześliczne rzeczy.

KAZIO.

Powiedz mi jakie?

ADOLF.

Widziałem najprzód u Leosia, konia tak wysokiego! gniady, śliczny, a zupełnie się buja jak prawdziwy. Uzdeczka, czaprak, strzemiona, siodło, nic mu nie brak: przepyszny!

KAZIO.

Co też kosztuje?

ADOLF.

Pięć dukatów.

KAZIO.

Cóżeś widział więcéj u Leosia?

ADOLF.

Siostra jego dostała śliczne sprzęty dla swojéj lalki: mahoniowe, kanapkę...

KAZIO.

Mniejsza o to... dziewczętom takie rzeczy.

ADOLF.

Pewno, lepiéjby ci się podobał murzyn Tadzia. Wystaw sobie, za pomocą sprężyny gra ślicznie na cymbałach. Ubrany po turecku.

KAZIO.

A ten wiele kosztuje?

ADOLF.

Trzydzieści złotych.

KAZIO.

To śliczna kolenda!

ADOLF.

A cóżbyś dopiero powiedział na teatrzyk Gustawa? Ma sześć odmian: jest pokój, las, widok nad wodą, pałac, ogród, chatka; do tego aktorowie bardzo dobrze zrobieni.

KAZIO.

A ten teatr wiele kosztuje?

ADOLF.

Cztery dukaty.

KAZIO.

Strasznie drogo!

ADOLF.

Jakże chcesz co pięknego za tanie pieniądze; wreszcie

ja też o pomniejszych nie wspominam, o żołnierzach, obrazkach, grach różnych i t. p.

KAZIO.

A Ludwik co też w tym roku dostał?

ADOLF.

Same prawie cukierki prześliczne; różne kwiaty, drzewa, zwierzęta: wszystko z cukru.

KAZIO.

O to się nie pytam, to rzeczy nietrwałe.

ADOLF.

Ale smaczne. A ty nie pokażesz mi swoich dzisiejszych podarków?

KAZIO.

Jeszcze nic nie mam.

ADOLF.

To być nie może?

KAZIO.

Doprawdy. Ojciec ma nam dopiero dać kolendę. Lecz i ty nic mi nie mówisz coś dostał?

ADOLF.

Nie mam się czém pochwalić: dano mi same książki.

KAZIO.

Boś ty już nie dziecko.

ADOLF.

Skwitowałbym z tego zaszczytu. Bywaj zdrów! zoba-

czę czy też twój bratunek Staś szczęśliwszym był odemnie? (*wychodzi*).

SCENA X.

KAZIO (*sam zadumany*).

Murzyn, który sam gra na cymbałach?... Mogłbym go kupić, jeszczeby mi się sześć złotych zostało... (*Wzdycha*). Trochęśmy się pospieszyli z rozporządzeniem naszéj kolendy... Za cztery dukaty byłby teatr, może i koń... Pewnieby Helenka nie chciała. (*Przechadza się z roztargnieniem*). A wreszcie nie jesteśmy jeszcze w wieku żeby zabawek nie lubić. Ci wszyscy o których Adolf mówił, prócz Ludwika starsi odemnie. (*Wzdycha*). Trzebać to iść do nauki. (*Chce wychodzić, spotyka się z Włochem z zabawkami*).

SCENA XI.

KAZIO, WŁOCH (*z koszem zakrytym*).

WŁOCH.

Ja przeprasza *il Signore*, ja weszla, drzwia byl otwarty. Tu ktoś kiwala na mnie.

KAZIO.

Pewno nie ja.

WŁOCH.

Si, si, z druga piętra ktoś kiwala.

KAZIO.

A to pierwsze; zmyliłeś się, mój panie.

WŁOCH.

E vero, ja zmyliłem się. Ale może il Signore będzie co kupowało? Ja mam rzeczy śliczna, cose rare.

KAZIO.

Nie kupię, nie mam pieniędzy... mego Ojca niema w domu.

WŁOCH.

Nie szkodzila... zobaczyla, i occhi nie nie kosztują; ja lubila dzieci... (*Odkrywa kosz i rozkłada różne zabawki na stole*).

KAZIO.

Ach! jakie piękne rzeczy! (*Na stronie*). Czemu też przed Inwalidą nie przyszedł.

WŁOCH.

W tego pudelka jest wielka Villa, Genua la superba sto palaców, a jedna piękniejsza byla jak drugiego.

KAZIO.

A to co?

WŁOCH.

E un' circo, bitwa z gladiatory; oni zaraz będą musieli tańcowali. Ja będę nakręcić. O! proszę wiedzieć. Jak się biją. A spektatori wokolo. Tego na środku, w duża plaszcza, to cesarza rzymska, un imperatore romano.

KAZIO.

Jabym temu cały dzień się przyglądał. A niemasz, mój panie, Murzyna z cymbałkami?

WŁOCH.

Tego ja nie miała. Ale była Arlekino na jednego okcia wysoka, skakała ze swoja linia i ruszała i occhi jak żywego. *(Dobywa go).*

KAZIO.

Ach! jakiż prześliczny! Już wszystko schować możesz, mój panie, ja nic więcéj nie chcę. Doprawdy, zdaje mi się że żywy, że na mnie patrzy.

WŁOCH.

A il Signore nie widziała jak skakała. (*Tu porusza sprężynę i pokazuje Kaziowi jak się obchodzić. Kazio to samo robi i jest zdumiony*). O! już tak umiała dobrze jak ja samego. Per il signore, zrobiona mego Arlekino.

KAZIO.

A cóż kosztuje?

WŁOCH.

Una bagatella. Dwa dukaty.

KAZIO (*na stronie*).

Co tu począć?

WŁOCH.

Kiedy il Signor nie chciała, poniesła ja na drugiego piętra: tam będą kupować.

KAZIO (*na stronie*).

O Boże! chce odejść.

WŁOCH.

Może myślała il Signor, że zadrogi.

KAZIO.

O nie! tak śliczny, ale... (*na stronie*). I choćbym też nic nie dał Tomkowi tego roku, to dam na przyszły; taki mały, może czekać.

WŁOCH.

Ale kiedy nie chciała, to prosze oddawać: ja nie miała czasu.

KAZIO.

Mówiłem ci, mój panie, że mego Ojca niema w domu.

WŁOCH.

Czy to ambarasować il Signor? wziela, wziela; ja tu będę wrócić za para godzin i będę odebrać pieniądze.

SCENA XII.

PAN NORYŃSKI, KAZIO, WŁOCH.

KAZIO.

Ach! Tato! jak to przedziwnie. Oto ten kupiec właśnie chce mi przedać prześlicznego Arlekina. Jak żywy!

P. NORYŃSKI.

W saméj rzeczy, bardzo ładny. Czy stargowany?

KAZIO.

Dwa dukaty.

P. NORYŃSKI.

A właśnie tylem ci obiecał. Ale czy to już nic utargować nie można?

WŁOCH.

Ani jedna denara. Ja zawsze mówiła ostatniego słowa.

P. NORYŃSKI.

I ty Kaziu, przystajesz chętnie, jużeś się dobrze namyślił?

KAZIO.

O Ojcze! niczegom w życiu tak nie pragnął jak tego Arlekina.

P. NORYŃSKI (*płacąc Włochowi*).

Zgoda mój synu, oto jest należytość. A Helenka czy także wybór swój uczyniła?

KAZIO.

Ona nie wié, że tu jest kupiec.

P. NORYŃSKI.

Trzeba jéj dać znać... Ale zdaje mi się, że ją słyszę w sieni: zapewne odprowadza Nauczyciela..... Helenko, Helenko!

SCENA XIII.

Ciż sami, HELENKA.

(Kazio na przybycie siostry chowa Arlekina za siebie).

HELENKA.

A! wrócił kochany Tata. *(Całuje go w rękę).*

P. NORYŃSKI.

Czy nie kupisz co u tego Włocha?

HELENKA.

Nie, Tato: dziękuję.

WŁOCH.

Niech la Signora patrzala troche; byly lalka takiego wysoka jak ona, wedlug ostatniego moda ubrana. *(Dobywa pięknéj lalki).*

HELENKA.

Bardzo dziękuję, już rozrządziłam memi pieniędzmi.

WŁOCH *(pokazuje lalkę).*

U nikogo nie byla piękniejszego lalka; la Signora kupila, ja tanio będę oddać.

KAZIO *(do Helenki).*

Kup, jeszcze nigdy nie miałaś tak pięknéj.

HELENKA *(do Kazia).*

Teraz Elżbietka stanie mi za lalkę.

WŁOCH.

Może la Signora za wielka na lalka, ale ja miala toileta przecudnego, z calego potrzeba. *(Dobywa szkatułki).*

HELENKA.

Prawda, że ładna i wygodna... ale jéj przecież nie kupię.

KAZIO (*cicho do Helenki*).

A bardzoby ci się przydała.

HELENKA (*cicho do Kazia*).

Koszule i sukienki jeszcze się lepiéj Elżbietce przydadzą.

WŁOCH.

O wiedziala, wiedziala co dobra per la Signora; ona lubila robotka; oto malego lodzia z perlowego macica, a tam cudna rzecza.

HELENKA (*przypatrując się łódce*).

Śliczne i jakie przedziwne rzeczy, nożyczki, naparstek...

KAZIO.

A jaka cena?

WŁOCH.

Warta byla trzy dukaty, ale per la Signora będę oddać za dwa.

KAZIO (*cicho do Helenki*).

Kup, to znalezione.

HELENKA (*cicho*).

Żartujesz sobie ze mnie; a Elżbietka? (*do Włocha*).

Śliczne rzeczy masz panie kupiec, ale ja nie mam pieniędzy na nie.

WŁOCH.

Ja będę kredytowała.

HELENKA.

Bardzom wdzięczna, ale doprawdy nie mogę.

WŁOCH.

No, to na druga raza, ja tu znowu będę przychodzić... Adio, i signori. (*Zabiera zabawki i odchodzi*).

SCENA XIV.

PAN NORYŃSKI, HELENKA, KAZIO.

P. NORYŃSKI.

Masz wiele stałości, Helenko, to dobrze. Czy doprawdy rozrządziłaś już pieniędzmi?

HELENKA.

Już... Chcę dać te dwa dukaty córce tego starego żołnierza, który tobie Tato życie winien... Dziwisz się... Już to nie raz pierwszy odkrywa się podobny uczynek.

P. NORYŃSKI.

Któż ci powiadał o tym żołnierzu?

HELENKA.

On sam. Przyszedł tu z powinszowaniam Nowego Roku; tak nas rozrzewnił opowiadaniem nędzy swojéj i twojéj dobroci, Tato, żeśmy umyślili dać mu naszą kolendę.

P. NORYŃSKI.

Pocóż mówisz: *my*, Kazio innego jest zdania.

HELENKA.

I owszem, on się podjął oporządzenia Tomka.

P. NORYŃSKI.

Nie wiem jak tego dokaże, bo już za całe dwa dukaty kupił Arlekina.

HELENKA (*do Kazia, który zawstydzony spuścił oczy*).

Co słyszę? Kaziu! zapomniałeś tak łatwo przyrzeczenia swego. Wstydź się. Dlategoto chciałeś mnie namówić, żebym i ja cacko jakie kupiła.

SCENA XV i OSTATNIA.

Ciż sami, INWALIDA, TOMEK, ELŻBIETKA.

INWALIDA (*do p. Noryńskiego*).

Może się wydam natrętny, alem nie mógł dnia tego przebyć bez złożenia szczerych życzeń dobroczyńcy memu. Niech ten rok przyszły będzie najszczęśliwszy!

P. NORYŃSKI.

Już i ten był takim, kiedym mógł zachować życie tak poczciwemu człowiekowi.

INWALIDA.

Prawda, że Wielmożny Pan już szczęśliwy, bo ma dobre dzieci. Zapewne oświadczyły, co chcą dla moich sierot uczynić?

KAZIO (*na stronie*).

Gdzie ja się skryję?

ELŻBIETKA (*całując Helenkę w rękę*).

Wielmożna Panna chce mi sprawić sukienkę, a potém chce mnie uczyć. O, niech Bóg nagrodzi! (*Helenka całuje ją w czoło*).

TOMEK (*do Kazia*).

A panicz mną opiekować się będzie. Jak Ojca kocham, tak będę wdzięcznym i pracowitym.

KAZIO (*wyrywając mu rękę*).

Daj mi pokój, nie masz za co dziękować.

INWALIDA.

Niech panicz pozwoli tym dzieciom tak dziękować jak umieją. Skoro urosną, potrafią lepiéj.

KAZIO.

Tato, zlituj się nademną i pozwól żebym wyszedł.

P. NORYŃSKI.

A czyby nie lepiéj było przyznać się do winy?

KAZIO.

Jestem w rozpaczy.

INWALIDA.

Cóż takiego paniczowi się stało?

KAZIO.

Popełniłem błąd wielki, będziesz mną pogardzał, dobry człowieku.

INWALIDA.

Ja, to być nie może.

KAZIO (*dobywając Arlekina*).

Dla takiego cacka zapomniałem obietnicy; kupiony został za dwa dukaty... i już nic nie mam dla Tomka. (*Płacze*).

INWALIDA.

Mój Boże! i jam przyczyną tego zmartwienia. Pocoż em tu przyszedł? Ale pociesz się paniczu, w tym wieku jeszcze zbłądzić tak łatwo.

(*Tomek i Elżbietka patrzą ciekawie na Arlekina*).

KAZIO.

Nie, ja nie mogę się pocieszyć! Trzeba mi było oprzeć się tak pokusom jak Helenka. (*Płacze*).

HELENKA.

Biédny Kaziu! nagradza winę, kto tak szczerze żałuje.

KAZIO (*do Ojca*).

Tata jeden nagrodzić ją może. Niech ten biédny chłopczyk na mojéj płochości nie traci. Chciéj oporządzić go i oddać do stolarza. Już ja dosyć ukarany, że się nie przyłożę do tego dobrego uczynku, że nic nie dam Tomkowi... Ale przynajmniéj weźcie tego Arlekina, daruję go wam na kolendę.

TOMEK (*do Elżbietki, biorąc Arlekina*).

Słyszysz siostro! toż to dopiero bawić się będziemy. A Franek jak się będzie dziwił!

INWALIDA (*odbierając im Arlekina*).

Oddajcie moje dzieci, nie dla was takie zabawki; (*do p. Noryńskiego*). Ja nie ścierpię, żeby...

P. NORYŃSKI.

Musisz, przyjacielu. Przyrzekłem moim dzieciom, że im pozwolę użyć téj kolendy jak im się podoba. Sprzeciwiać się nie mogę. Przytém rad jestem temu, że syn mój ukarał się za winę swoję, widać w tém żal jego szczery: wiesz dobrze, że człowiek uczciwy nic nie ma droższego nad słowo dane, i że obietnica najlepsza na nic się nie przyda, jeśli jéj nie dotrzymamy.

PODWIECZOREK W BIELANACH.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE. *)

OSOBY:

BABUNIA,
CIOTKA,
MADAME,
JULISIA, KASIA } wnuczki;
IZABELKA,
WACŁAWKA.
KAZIMIRA,
CESIA, } pensyonarki.
Kilka młodszych pensyonarek, osoby nieme.
DZIEWCZYNKA wiejska,
Przekupka z ciasteczkami,
TEKLA, ANTONINA, } młodsze.

Miejsce sceny w lesie Bielańskim od strony Młocin.

Teatr przedstawia łączkę wśród drzew — w głębi dąb okolony kanapką z darni.

SCENA I.

BABUNIA, CIOTKA.

BABUNIA (*wychodząc z za drzew z parasolką i w kapeluszu*).

Jakżem ci wdzięczna moja córko, żeś mnie namówiła do téj przechadzki; krok za krokiem i zaszłam z Młocin

*) Tę komedyjkę wystawić najlepiéj w ogrodzie na trawniku wśród drzew

do Bielańskiego lasu. Może to już ostatni raz przed śmiercią.

CIOTKA.

Co tam Mama zawsze mnie martwi i o téj śmierci mówi: jeszcze my tu i za kilka lat przyjdziemy.

BABUNIA.

Przy tobie, przy twoich staraniach, moje dziecię, chętnie i długo żyć można. Niech ci to Bóg za mnie stokrotnie odda!

CIOTKA.

Ale Mama się zmęczyła; usiąść trzeba: jest stołek; na darninie bałabym się wilgoci. (*Rozstawia stołek składany, który niosła pod ramieniem*).

BABUNIA (*siadając*).

Dziękuję ci.—Jak tu ładnie! las poprzecinany, ścieżki wydeptane.

W dzieciństwie przychodziłam tu często z rodzeństwem; wiész, że nas było ośmioro w domu: co my téż w tym lesie nie dokazywali... Co za gonitwy, gry, wyścigi, a jakie orzechy tu były doskonałe?.. Mój Boże! dziś z ośmiorga rodzeństwa ja sama zostałam; z czworga dzieci ty żyjesz jedynaczka, a z tylu wnucząt Julisia i Kasia tylko zostały; i to ojciec nie pozwala, żeby przy nas się chowały, ale na pensyi w Warszawie je trzyma.

CIOTKA.

Dziwić mu się nie można. Małoby nauczyły się u nas; a wreszcie na dobréj są pensyi, i widujemy je czasami.

BABUNIA.

Ach! to dziś czwartek; Madame wywozi w te dnie swoje panny za miasto: jeszcze tego roku w Bielanach nie była.

CIOTKA.

Gdyby też dziś przyjechała i z naszemi dziewczątkami... Ale jakieś służące tu idą!

SCENA II.

Też same, Tekla, Antonina, w głębi teatru z dwoma wielkiemi koszami.

TEKLA do ANTONINY.

Juścić to miejsce, nie inne: murawa, dąb z kanapką: o tém wszystkiem Madame wspominała. (*Stawia kosz na ziemi*).

ANTONINA (*stawiając swój*).

Dobrze ciężki, nie czuję ręki: niby to miał nas mleczarz podwieźć do samego kresu, a on nas na początku lasu wysadził. Już mnie drugi raz nie złapią. (*Tu Babunia z Ciotką na boku siedzące coś sobie szepczą pokazując na sługi*).

TEKLA.

Parę też to razy tylko do roku się trafia, a dobrze przecie drzewa i trawę zobaczyć i chłodu leśnego użyć. W tém mieście, aż coś dusi; ja za wsią, ja wieśniaczka.

CIOTKA do BABUNI.

Prawdziwie, że to służące z pensyi naszych dziewczątek. (*Zbliżając się*). Dobry dzień wam, moje panny!

ANTONINA (*poznając ją*).

Padam do nóg pani! O! jakby panna Julja i Katarzyna były kontente, gdyby wiedziały o paniach!

BABUNIA.

Czy są w Bielanach i z Madame i z innemi pannami?

TEKLA.

Są: wysiadłszy z powozu miały przejść się po lesie, a potém przyjdą tu na podwieczorek. Oto nasze zapasy! (*Wskazuje na kosze*).

BABUNIA.

Córko! Jam już wypoczęła, pójdźmy naprzeciwko nich. Rychléj uściskam wnuczki.—A czy zdrowe są?

ANTONINA.

Zdrowiuteńkie i codzień ładniejsze.

BABUNIA.

Bogu chwała! ale idźmy, córko. (*Wychodzą stroną ku Warszawie*).

SCENA III.

TEKLA, ANTONINA.

TEKLA.

Spieszmy się, nasze panny tu przybiegną z wilczym apetytem; trzeba żeby wszystko zastały gotowe. (*Dobywają*

z koszów talerzy, sztuców, szklanek, serwet i t. d. i ustawiają część na murawie, część na kanapce).

ANTONINA.

Podobno niemamy się czego tak spieszyć: Madame chciała grzybów uzbiérać w lesie. Dobra byłaby potrawa na jutro, a bez kosztu. Ona to bardzo lubi taką gratkę.

TEKLA.

Właśnie znajdzie je w takim lesie! Orzechy, to jeszcze! jabym sama szukać poszła.

ANTONINA (*odwijając pakiet*).

Wybornie pachnie ta pieczeń cielęca. (*Kładzie ją z papierem na trawie*).

TEKLA.

Za chwilkę nic z niéj nie będzie, prócz kości.

ANTONINA.

Zacznę krajać i skosztujemy, bo może nam nic nie zostawią.

TEKLA (*Wyjmując szynkę, sér i masło*).

Daj pokój, jest jedzenia dosyć: będziemy miały do woli.

ANTONINA.

Jeszcze jest i ryż na zimno z konfiturami. (*Bierze trochę na palec i kosztuje*). Przedziwny! naszéj kucharce Maryśce, to czasem się co i uda upietrasić nieźle.

TEKLA.

O! słychać szelest: nadchodzą!

SCENA IV.

Też same, MADAME i wszystkie pensyonarki.

(Dziewczynki idą po parze, naprzód młodsze, potém starsze; ale wchodzą stroną od Młocin: zdaje się jakby minąć chciały teatr).

MADAME.

Tu Moście Panny; czy nie widzicie, że tu zastawiony podwieczorek? (*Dziewczynki rozbiegając się*). O! podwieczorek, podwieczorek!

ANTONINA.

Już my tu wszystko przydźwigały i przyrządziły. (*Dziewczynki przyglądają się podwieczorkowi*).

MADAME (*do Julisi i do Kasi, które później od drugich przychodzą*).

A panny gdzie były? Czemuto nie razem ze wszystkiemi?

JULISIA.

Ale bo mnie noga boli.

KASIA.

Ale bo trzewik mi się odwiązał.

MADAME.

Żadnych *ale*, bo nie przyjmuję. Trzeba zawsze być w rzędzie i w parze, porządnie i przyzwoicie. — Moście Panny! od czegoż zaczniemy? czy gry pierwéj? czy podwieczorek?

WSZYSTKIE DZIEWCZYNKI.

Podwieczorek! podwieczorek!

MADAME.

Dobrze i tak. Posiadajcie ostrożnie na trawie; Antonina i Tekla podawać wam będą. Sukien nie gnieść ani walać. Niech każda weźmie talerz i serwetę. (*Dziewczynki tak robią: Madame siada na darniowéj kanapce: sługi krają przy niéj chléb i mięsiwa, i podają dziewczynkom pytając co która chce: czy pieczeni, czy szynki?*)

CESIA.

Jaka dobra szynka!

IZABELKA.

A jaka pieczeń wyborna!

WACŁAWKA.

Jak téż pakuje! jakby trzy dni nie jadła!

KASIA do JULISI.

Ty coś nie jesz?

JULISIA.

I ty tylko udajesz.

KASIA.

Ja myślę o orzechach, cośmy widziały tu idąc.

JULISIA.

Smaczniejsze od tego wszystkiego.

KĄSIA.

Gdybyto można się wymknąć, dobiedz, a narwać!

JULISIA.

Jak gry się zaczną, prędzéj będzie można.

MADAME.

Może napijecie się trochę wody z winem; na piwo za gorąco.

DZIEWCZYNKI.

O! prosimy! tak pić się chce. (*Każda nadstawia szklaneczkę a służące nalewają*).

MADAME (*przysuwając mydelek z ryżem*).

Kto chce ryżu z konfiturami?

DZIEWCZYNKI.

Ja! Ja! (*podają talerze, sługi dają każdej łyżeczkę. Madame rozdaje: wszyscy jedzą*).

IZABELKA (*podając drugi raz talerz*).

Czyby nie można jeszcze? Taki przedziwny!

MADAME.

Nie, moje dziecię; trzeba też zostawić trochę dla Antoniny i dla Tekli. (*Słychać płacz i krzyk*). Cóż to takiego? jakieś nieszczęście? Czy są wszystkie panny? (*Wszyscy powstają; dziewczynki mówią: „Jesteśmy"*).

SCENA V.

Też same, dziewczynka wiejska; ma w ręku dzban stłuczony i płacze.

DZIEWCZYNKA.

O! Boze, Boze! oj będes ja bita! (*Panienki ją otaczają*).

MADAME.

Cóż ci się to stało, moje dziecię?

DZIEWCZYNKA (*skrobiąc się w głowę*).

O! Boze, Boze! oj będes ja bita!

KASIA.

Powiedzże nam, co tobie jest?

JULISIA.

Możebyśmy ci poradziły.

DZIEWCZYNKA (*dygając*).

Dziękuję bardzo Wielmoznym panienkom za ich dobroć; ale nikt temu nie pokura... Tatulo mnie wybije... (*płacze*).

KASIA.

Za cóż cię ma bić?

DZIEWCZYNKA.

Tatulo jest cieśla i tam w lesie słupy obrabia; posłał mnie do Młocin po piwo; a ja trąciłam o kamień, dzban się stłukł i piwo się wylało. O! będzies mnie bił... (*płacze*). (*Przez ten czas niektóre z panienek słuchają dziewczynki, inne się śmieją, a inne między sobą gadają. Julisia tylko z Kasią zajęte nią zupełnie*).

JULISIA.

Jak mnie jéj żal!

MADAME.

Byłby sposób zaradzenia twemu nieszczęściu, moje dziecię... Parę złotych...

KASIA.

Wiele kosztuje taki dzbanek?

JULISIA.

Jak wiele było w nim piwa?

DZIEWCZYNKA.

Matula dała za dzbanek dwadzieścia groszy, a piwa było garniec, kwarta po pięć groszy.

JULISIA.

To razem czterdzieści groszy. Mam złotówkę w woreczku. (*Dobywa*). Weź, proszę, i kup dzbanek nowy.

KASIA.

I ja mam złotówkę samemi piętaczkami. Naści! Kupisz piwa.

DZIEWCZYNKA.

Wielki Boze! to całe nadto. (*Chce oddać 20 groszy*).

JULISIA i KASIA.

Weź, weź, schowasz sobie resztę na bułeczki. (*Dziewczynka ściska im kolana i odchodzi wesoło mówiąc*). „Bogu „dzięki! Bogu dzięki! Nie będę bitą! nie będę bitą!“

MADAME.

Bardzo ładnie, moje panienki; widzicie jak odeszła szczęśliwa: ileto łez para złotych osuszyć może?

SCENA VI.

TEŻ SAME prócz DZIEWCZYNKI.

(Przez tamtę i tę scenę służące zjadają reszty i sprzątają).

MADAME.

Teraz bawcie się moje panny, w co chcecie, grzecznie i pięknie: tylko nie odchodzić z tego miejsca i ostrożnie z sukniami. Ja sobie tu siądę w cieniu i poczytam trochę. (*Siada i dobywa z woreczka książki*).

KAZIMIRA.

W cóż bawić się będziemy?

IZABELKA.

W cztéry kąty.

WACŁAWKA.

O, nie! w ślepą babkę.

CESIA.

Nie: lepiéj w lisa: to tak zabawnie.

IZABELKA.

Albo w cztéry kąty, albo się nie bawię!

WACŁAWKA.

Jeśli nie w ślepą babkę, to w nic nie chcę!

CESIA.

Jakie wy téż jesteście... Zejdzie nam czas na sprzeczkach, i będzie po wszystkiém. Najlepjéj, niech będą te wszystkie gry, każda sobie wybierze co zechce. Ja chustkę skręcam. Do lisa! Kto chce ze mną? (*Kilka panien woła Ja! Ja! i stają wkoło*).

IZABELKA.

Wybornie. Kto chce w cztéry kąty. (*Toż samo—cztery panienki stawają pod drzewami, piąta w środku i grają*).

WACŁAWKA.

Komu zawiązać oczy? Oto chustka — daléj w ślepą babkę! (*Wiąże jednéj panience oczy i gry idą ochoczo*).

KASIA do JULISI (*cicho*).

Oto teraz nikt nie spostrzeże: chodźmy na orzechy.

JULISIA.

Jakoś się boję; Madame nie kazała odchodzić z tego miejsca.

KASIA.

Wielka rzecz; wilki nas zjedzą, czy co?

JULISIA.

Wilki jak wilki, ale Madame gniewać się będzie.

KASIA.

Zaczytała się; nim się obejrzy, to my wrócimy.

JULISIA.

A trafiszże ty?

KASIA.

Jak najłatwiéj: tu w bok, przez drogę, i potém zaraz orzechy. Chodźmy! (*Ciągnie ją za rękę i wychodzą*).

SCENA VII.

Też same prócz Kasi i Julisi.

MADAME (*przerywając czytanie*).

Jakito nieoceniony pisarz ten Brodziński! jaka rzewność, jakie wysokie myśli, a obok tego co za prostota! Na-

czytać się go nie mogę: on zawsze ze mną. Wiesława umiem prawie na pamięć, a przecież odczytuję go z największém upodobaniem; a inne jego poezye jakiż wdzięk mają! (*Czyta dalej.—Przez ten czas panienki na prawdę bawić się w gry powinny, biegać, gonić się śmiać, mówić, krzyczeć*).

ANTONINA do TEKLI (*dojadając reszty*).

No! tom się najadła do sytości.

TEKLA.

I ja tęgo: miałyśmy prawdziwy bal!

ANTONINA.

Ale zapomniałyśmy téż na śmierć o Babuni i o Ciotce panny Juljanny i Katarzyny: ostrzyły może zęby na podwieczorek, a tu już nic niema.

TEKLA.

Trzebaby przynajmniéj powiedzieć Madame, że tu były.

ANTONINA.

Jakaś ty śmieszna; łajałaby, żeśmy piérwéj nie powiedziały.

TEKLA.

Otóż i wlecze się Babinka: jakże się zmęczyła nieboga!

SCENA VIII.

Też same, BABUNIA i CIOTKA, (*obie zmęczone*).

ANTONINA.

Gdzież panie tak długo chodziły, Madame z pannami tu już dawno. Myślałyśmy, że panie nie wrócą?

BABUNIA.

Widać, w przeciwną stronę poszłyśmy i zminęłyśmy się.

CIOTKA.

Mama bardzo się zmęczyła; żeby tylko nie szkodziło?

BABUNIA.

Nic mi nie będzie; chódźmy do Madame: przywitam się i siądę.

ANTONINA do MADAME (*która ciągle czyta*).

Madame ma gości.

MADAME (*spostrzegając Babunię i Ciotkę*).

A... cieszę się mocno, witam! Jakie szczęśliwe spotkanie! Powinszować zdrowia, że wystarczają siły Jejmości na taką przechadzkę.

BABUNIA.

A pani zdrowie jak?

MADAME.

Dziękuję; dosyć dobre, jakto przy pracy, i przy kłopotach.

BABUNIA.

Wszak wnuczki moje tu są?

MADAME.

Są, a jakże? Kasiu, Julisiu, przyjdźcie się przywitać z Babunią i z Ciocią. Tak się zagrały, że nie słyszą. Kasiu! Julisiu! (*Słychać różne głosy powtarzające: Kasiu! Julisiu! Babunia!*)

MADAME.

To dziwna rzecz, że nie przychodzą: Kasiu! Julisiu!

CIOTKA.

Zagrały się, jak pani mówisz, ależ nadejdą.

KAZIMIRA (*przybiega zadyszana*).

Julisi i Kasi niema z nami! zginęły!

MADAME (*przelękniona*).

Niema ich z wami? Co mówisz! Przyjdźcie tu wszystkie panny parami, z kolei. (*Panienki ustawiają się parami*). O, Boże! Boże! nie masz ich!

CIOTKA.

Nie trzeba się troszczyć, przecież nie zginą; może trochę w las poszły.

MADAME.

A tak prosiłam, żeby nie odchodziły; ale to panny nieusłuchane.

BABUNIA.

Proszę nie łajać je bardzo, jak się znajdą.

MADAME.

Byle tylko się znalazły jak najprędzéj. Jakto z temi dziećmi, ani na moment spuścić je z oka nie można; parę kartek przeczytałam i już nieszczęście. (*Na stronie*). I jeszcze jak na złość właśnie Babka i Ciotka przyszły. (*Chodzi na różne strony i wygląda. Teklę i Antoninę w las wysyła*).

BABUNIA.

Mnie samą niespokojność bierze.

CIOTKA.

Ale wrócą: niech Mama posiedzi tu trochę, a ja pochodzę po lesie i pewno je przyprowadzę.

BABUNIA.

Tylkoż i ty nie zgiń, moja kochana.

CIOTKA.

Niech się Mama nie boi. (*Fanienki przez ten czas stoją i rozmawiają między sobą*).

SCENA IX.

Też same prócz Ciotki.

MADAME (*wracając*).

Ani ich widać, to rzecz dziwna; aż mi się w głowie mąci... (*Do panienek*). Ależ przecie bawiły się z wami dopiéro co?

IZABELKA.

W cztéry kąty nie grały.

WACŁAWKA.

Ani w ślepą babkę.

CESIA.

I ja w lisie ich nie widziałam; a byłabym pamiętała, bo Julisia mocno bije. (*Madame okazuje zadziwienie i niespokojność*).

BABUNIA.

To nie dobrze, iż z drugiemi się nie bawią, tylko osobno.

MADAME.

Tę wadę mają; dobre dziewczątka, serce nieoszacowane, ale jest z niemi robota, bo nie słuchają, osobliwie Julisia.

BABUNIA.

O! Jużto Kasia z samego dzieciństwa lepsza była; wykapana Matka! starsza więcéj w Ojca się wdała.

MADAME.

O, Boże! Boże! i nie widać ich i nie widać.

WACŁAWKA.

A! gdybyśmy wszystkie się rozbiegły na różne strony, przecieby jedna z nas je zdybała.

MADAME.

Broń że Boże! jeszczebyście wszystkie zabłądziły: proszę posiadać sobie na trawie i czekać spokojnie. Dosyć na jednym kłopocie. (*Pąnienki siadają rozmaicie, jedne bawią się w trawki, drugie kwiatki układają, inne rozmawiają.*

TEKLA (*wracając z lasu*).

Na téj stronie ich niéma: chodziłam dosyć daleko, wołałam, i nic nie pomogło. Pójdę jeszcze w inną stronę. (*Wychodzi*).

MADAME.

Coto będzie z tego wszystkiego? zachód słońca nie-

daleki. Oszaleć przyjdzie. O! ciężki to chleb, matkować cudzym dzieciom. Ani chwili wypoczynku!

ANTONINA (*wracając z drugiéj strony*).

Niema, nigdzie niema: jakby w ziemię wpadły.

BABUNIA (*składając ręce*).

Ś. Antoni Padewski módl się za niemi!

SCENA X i OSTATNIA.

Też same, CIOTKA, KASIA, JULISIA, DZIEWCZYNA wiejska.

CIOTKA.

Otóż są zguby nasze. Gdyby nie ta poczciwa dziewczynka, Bóg wié, coby się z niemi było stało. Zachciało się pannom orzeszków i zbłądziły.

DZIEWCZYNKA.

Zupełnie w pseciwną drogę i w najgęściejsy bór panienki się puściły; ale ja wracałam z piwem, zobacyłam je w tym kłopocie, poznałam odrazu i naprowadziłam je tutaj do Imości.

MADAME (*do Kasi i Julisi, które ciągle stoją z spuszczonemi oczyma i tylko ukradkiem z Babunią się przywitały*).

Łajaćbym chciała i mocno za nieposłuszeństwo, ale mnie to zdarzenie rozbraja.

BABUNIA.

Niech już pani nie łaje; miały one strachu dosyć.

KASIA (*całując Madame w rękę*).

Już nigdy nie będziemy; doprawdy!

JULISIA.

Niech Madame się nie gniewa.

DZIEWCZYNKA (*ściskając kolana Madame*).

O! moja kochana Imościulku, niech tez tym panienkom nic nie będzie. A to istne Anioły!

MADAME.

Przebaczam wam z całego serca, i wszystkim pannom tę okoliczność za przykład i naukę stawiam. Kasia i Julisia nie usłuchały, złakomiły się na orzeszki i nabawiły się strachu i wstydu; Kasia i Julisia dobroczynne były, wszystkie swoje pieniądze podarowały dziewczynce w kłopocie i ona je wyciągnęła z biédy. Strzeżcie się złego, naśladujcie dobre, za piérwszém kara, za drugiém nagroda, jak cień za człowiekiem chodzi.—Ale już się ściemnia, zabiérajmy się i jedźmy!

ODJAZD NAUCZYCIELA.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

REKTOR instytutu.
PAN STANISŁAW, nauczyciel.
FELIKS,
KAROL,
LUDWIK,
GUSTAW,
MAURYCY,
EMIL,
EDWARD,
LEON,
uczniowie instytutu z klassy pod dozorem pana Stanisława będącéj.
Służący, osoba niema.

Miejsce sceny w instytucie edukacyjnym we Lwowie.

Teatr wystawia salę naukową. Na środku długi stół z kałamarzami i piórami. Daléj pod ścianą biórko nauczyciela; naprzeciwko wielka tablica. Karty jeograficzne i inne porozwieszane — stołków kilka, zwierciadło, zegar ścienny.

SCENA I.

GUSTAW, KAROL, EDWARD, FELIKS, LEON, EMIL, LUDWIK.

(Leon pisze; inni stoją; Emil piłkę obszywa, Feliks czamarkę czyści, Karol szczotką glans daje obuwiu swemu, Ludwik poprawia włosy przed zwierciadłem; Edward kapelusz gładzi, i t. p.).

GUSTAW.

Spieszcie się; druga wnet wybije, a pan Stanisław obiecał zaprowadzić całą naszą klassę na łąkę za miasto i tam grać z nami w zajączka, w piłkę i w wojnę. Tylko co go nie widać.

FELIKS *(kładąc czamarkę).*

Ja gotów.

KAROL.

I ja. Już myślałem, że moje trzewiki wcale się świecić nie będą.

LUDWIK *(przed zwierciadłem).*

To tak, jak z temi utrapionemi włosami: dziś leżeć nie chcą.

EDWARD.

Co za elegant i strojniś! przegląda się jak kobiéta.

GUSTAW *(śmiejąc się).*

Dajże już pokój tym włosom, Ludwiku. Doprawdy, będziesz zbyt piękny. *(Do Emila).* Jeszcześ twojéj piłki nie skończył?

EMIL.

Już tylko dwa ściegi, a będzie doskonała.

EDWARD.

Pewno nie lepsza od moiéj — *(rzuca ją)* patrzcie jak się odbija?

GUSTAW.

Ostrożnie, ostrożnie, koło zwierciadła.

LUDWIK.

O! jak też się będziemy bawili! z całego serca.

LEON. (*mrucząc*).

O! tak! z całego serca.

EDWARD.

Zapewne, że nie ty, bo musisz zostać i kończyć zaległe roboty.

KAROL.

A co, panie Leonie, to wcale nie zabawne?

LEON.

Dla mnie tam wszystko jedno, byłbym i tak został w domu: biegać nie lubię.

KAROL.

Tak mówisz jak lis w bajce: „Niedojrzałe winogrona.“

GUSTAW.

Ale przyznacie, że pan Stanisław dobry jest jak anioł; dziś mógłby pójść sobie do swoich przyjaciół: nie, on idzie bawić się z nami.

FELIKS.

Jak go też kochamy serdecznie; ja tu żadnego nie lubię, ani tego Francuza z brodą, ani tego Niemca z okularami, a najgorzéj tego starego professora greckiego języka, co zawsze gdéra, a jego...

GUSTAW.

Dosyć, dosyć, chwaląc jednego nie krzywdźmy drugich; poczciwi i tamci.

LUDWIK.

Już ja sam przy tém stoję, że pan Stanisław najlepszy, i mam sobie za szczęście widzieć go nad naszą klassą.

LEON.

Śliczne szczęście: dziękuję za nie.

LUDWIK.

Któż temu winien, że ty go nie kochasz, żeś jest niewdzięczny?

FELIKS.

A jednak gdyby nie pan Stanisław, ktoś byłby wypędzony z instytutu: on jeden uprosił jeszcze pół roku u Rektora.

LEON.

Tak. ale mnie piérwéj sam wydał przed Rektorem.

GUSTAW.

Zrobił swoję powinność.

LEON.

I ja, za taką małą rzecz tydzień byłem o chlebie i o wodzie!

LUDWIK.

Mała rzecz! wybiłeś do krwi biednego Adasia, i na

mnieś to chciał złożyć. (*Z gniewem*). Daj pokój, bo doprawdy...

GUSTAW.

Już stare dzieje, przeprosiliście się... ale druga wybiła, a pana Stanisława nie widać; i Maurycego niéma: lecz otóż przybiega.

SCENA II.

Ciż sami, Maurycy wbiegając zmieszany.

MAURYCY.

O Boże! Boże!

GUSTAW.

Co się stało?

MAURYCY.

Jakie nieszczęście!

EMIL.

Cóż, suknią rozdarłeś?

LUDWIK.

Czy kto nogę złamał?

FELIKS.

Czy już nie pójdziemy za miasto?

MAURYCY.

O gorzéj! sto razy gorzéj!

GUSTAW.

Cóż tedy? mówże przecie!

MAURYCY (*prawie ze łzami*).

Pan Stanisław nas rzuca!

WSZYSCY prócz LEONA.

Ach! Boże!

GUSTAW.

Ale to rzecz niepodobna?

LEON (*z złośliwym uśmiechem*).

A! pojedzie sobie ten ukochany pan Stanisław.

LUDWIK (*z gniewem*).

Złośniku, ty się cieszysz podobno?

LEON.

Ja? wolnoć mówić, że pojedzie.

LUDWIK.

Niewolno z takim tonem; i proszę ani mi słówka o panu Stanisławie, bo zobaczysz!

LEON (*pod nosem*).

Zobaczysz i ty.

LUDWIK.

Co tam mruczysz! Za siebie anim cię tknął; ale za pana Stanisława... nie uszłoby ci płazem.

GUSTAW do MAURYCEGO.

I któż ci tę nowinę powiadał?

MAURYCY.

Słyszałem, jak służący mówili.

GUSTAW.

I wiesz, co za przyczyna?

MAURYCY.

List przyszedł, że ktoś chory. Ale otóż i pan Stanisław z Rektorem, najlepiéj się dowiemy.

SCENA III.

Ciż sami, Rektor i p. Stanisław bardzo zasmucony.

FELIKS.

Czyż to prawda? Rzucasz nas, p. Stanisławie?

REKTOR.

Prawda, moje dzieci: tracimy go: odjeżdża dziś jeszcze.

GUSTAW.

Jam temu wierzyć nie chciał. O! jakież to nieszczęście!

LUDWIK.

Wszyscyśmy tak zmartwieni...

P. STANISŁAW (*rozczulony*).

Poczciwe chłopcy! Wierzajcie! i mnie bolesno was rzucać... lecz święta powinność woła mnie nagle do rodzinnego miasta. (*Wzdycha*).

MAURYCY.

Ale z powrotem do nas; niedługo?

REKTOR.

Wcale nie, moje dzieci, i boję się bardzo, abyśmy go nie utracili na zawsze. Ojciec jego chory niebezpiecznie, już nie własną ręką pisze. Żąda uściskać syna przed śmiercią i chce, żeby nie opuszczał nadal sędziwéj matki. (*Do p. Stanisława*). Pozwolisz przeczytać im list, któryś odebrał?

P. STANISŁAW.

Jak najchętniéj; nie mam sekretów przed uczniami moimi.

REKTOR (*czyta*).

*Z Krakowa, 15 Kwietnia 183**

„Kochany synu! Przyszła na mnie ostatnia choroba „i jak po wszystkiem miarkuję, wnet umrzeć mi przyjdzie. „Nie martw się bardzo, kochany Stanisławie; nażyłem się „już dosyć, mam lat 72, siostry twoje są postanowione, „i ty wyszłeś na człowieka. Żona wprawdzie zostanie sama, „i z domem sobie rady dać nie potrafi; dlatego też wzywam „cię, abyś jaknajprędzéj do nas przyjechał i już został „przy matce, dopókąd żyć będzie. Ty staniesz się jéj po- „ciechą i pomocą, przybywaj tylko jak najrychléj, abym „i ja ciebie jeszcze obaczył i pobłogosławił. Wiém, że nie „bez przykrości opuścisz Zakład edukacyjny, w którym zo- „stajesz, zacnego Rektora i ukochanych uczniów; ale powin- „ności synowskie przed innemi idą, i wiem że w poczciwém „sercu twojém piérwsze mają miejsce. Bywaj zdrów i przy- „bywaj jak najprędzéj.“

Twój Ojciec.

(*Wszyscy uczniowie prócz Leona słuchają tego listu z rozczuleniem*).

GUSTAW (*ocierając niezauważnie oczy*).

Po takim liście trudnoby niejechać.

FELIKS.

I kiedy wyjazd?

P. STANISŁAW.

Za dwie godziny. Dyliżans do Tarnowa właśnie odjeżdża. Jeszcze pakować się muszę.

KILKU Z UCZNIÓW.

Będziemy pomagali.

P. STANISŁAW.

Dziękuję wam, moje chłopcy. Mało rzeczy biorę z sobą; resztę furmanem odeśle mi p. Rektor.

LUDWIK i KAROL.

Przecież może się na co przydamy, pójdziemy z panem. (*Idą z p. Stanisławem i z Rektorem do drugiego pokoju, ale wracają niedługo*).

SCENA IV.

LEON, GUSTAW, EMIL, FELIKS, EDWARD, MAURYCY, później LUDWIK, KAROL.

MAURYCY.

Za dwie godziny! Prawdziwie, tak nagle się to stało, że aż mi się w głowie przewraca.

EMIL.

A nasza przechadzka, nasz zajączek, nasza wojna, nasze piłki; wszystko za nic.

FELIKS.

Ktoto z nami chodzić będzie po górach i łąkach, kto będzie ślizgał się w zimie i jeździł sankami?

EDWARD.

Kto nam w czasie odpoczynku piękne i uczące historye opowiadać będzie?

LUDWIK.

Komu się to zwierzyć przyjdzie, kogo poradzić w razie trudnym?

KAROL.

Kto nas od surowości Rektora wypraszać będzie?

GUSTAW.

O, szkoda! szkoda! czém więcéj myślę, tém mój żal większy. Ale cóż robić, moi kochani? trzeba się zgadzać z losem. Oto zamiast próżnych narzekań, wynajdźmy sposób okazania p. Stanisławowi naszéj wdzięczności. Złóżmy się i dajmy mu jaką pamiątkę.

WSZYSCY przez LEONA.

O, dobrze! dobrze! ale cóby to?

LUDWIK.

Może tabakierkę?

KAROL.

Tabakierkę z widokiem Zakładu naszego i z imionami naszemi wkoło.

EMIL.

Aleście drzwi nie zamknęli, usłyszy wszystko. (*Zamyka drzwi*).

GUSTAW.

Tabakierki nie można: ma ich kilka, a wreszcie taką, jak mówicie, nakazaćby umyślnie trzeba.

EDWARD.

To pugilares z jego cyfrą?

GUSTAW.

I takiego nie dostaniemy zaraz.

MAURYCY.

Możeby laskę piękną?

GUSTAW.

On nigdy z laską nie chodzi.

MAURYCY.

Wymyślże co sam, kiedy ci w nic trafić nie możemy.

GUSTAW (*pomyślawszy*).

Podobnożem i wymyślił. Wiecie co? Oto Dzieła Krasickiego w jednym tomie, wydania Barbezata. Pamiętacie kiedy Rektorowi na imieniny taki egzemplarz darowano, jak go pan Stanisław chwalił, oglądał, jak się z nim pieścił?

WSZYSCY.

Wybornie, wybornie, zgoda!

EMIL.

Trzeba iść do księgarza i kupić zaraz.

KAROL.

Ale cóż to kosztuje?

GUSTAW.

Podobno 80 złp. Jest nas ośmiu, to damy po 10 złp. i będzie. Ktoby tyle nie miał, to ja zastąpię: wszak wiecie, że mi Ojciec niedawno przysłał pieniędzy.

LEON.

Już na mnie proszę nie rachować. Nie dam ani grosza.

LUDWIK *(na stronie)*.

Bezecnik! Świętéj cierpliwości trzeba, żeby go pięścią nie nauczyć rozumu.

GUSTAW do LEONA.

Nie godzi się wyłączać; jesteś z naszéj klassy, dać musisz. Wstydziłbyś się!

LEON.

Mniejsza o wstyd, ja wolę pieniądze.

LUDWIK.

To się obejdziemy; ja dam za niego.

GUSTAW.

Idźcie, idźcie, niech każdy przyniesie część swoję. Przynieście i wasze pugilaresy. Pan Stanisław tyle wierszy

i zdań umie, to może każdemu co napisze na pamiątkę. Ludwiku, ty wiesz gdzie moje pieniądze i mój pugilares; przynieś mi, proszę. (*Uczniowie wychodzą, a każdy przechodząc koło Leona krzyczy mu w nos jednę z tych obelg*):

Leon skąpiec;
Leon niewdzięczny;
Leon bezecnik;
Leon nieużyty;
Leon mściwy;
Leon szkaradny. (*On udaje, jakby téj litanii nie słyszał i ciągle pisze*).

SCENA V.

GUSTAW, LEON.

LEON (*przechadzając się po pokoju*).

Ale w jakito sposób ofiarować mu tę pamiątkę? Z nim sprawa niełatwa, bo delikatny i dumny. Możeby przytém mówkę powiedzieć; krótką, prostą, ale szczérą... Tak, trzeba oracyjki....

SCENA VI.

Ciż sami: LUDWIK, KAROL, MAURYCY, EDWARD, FELIKS, wracają po jednemu.

LUDWIK (*wchodząc*).

Oto pieniądze za mnie i za pana Leona i mój pugilares. A oto twoje, Gustawie.

FELIKS.

Oto moja składka i pugilares.

MAURYCY i EMIL.

A to nasze pieniądze i pugilaresy.

EDWARD.

Weź i moje; brak podobno dwóch złotych, chciéj dodać; ja ci oddam na piérwszego.

GUSTAW.

Jak najchętniéj, ale wiécie co, moi kochani, dziwnie byłoby wręczyć tak książkę po prostu; zdaje mi się, że oracyjkaby nie zawadziła?

LUDWIK.

Bez wątpienia. A ponieważ tobie koncepta jak z rękawa lecą, napisz.

GUSTAW.

A który z nas ma pamięć najlepszą?

WSZYSCY. (*prócz Edwarda i Leona*).

Edward, Edward!

GUSTAW.

On sobie odczyta i powie z pamięci.

EDWARD.

Zgoda, byle niedługa była.

KAROL (*który najpóźniéj wrócił*).

Ledwiem się dorachował moich dziesięciu złotych;

miałem pieniądze w różnych papiérkach i w różnéj monecie, ale otóż są. A kto kassyerem?

WSZYSCY.

Ty, oczywiście, jak zawsze.

KAROL (*rachuje na stole pieniądze, które Gustaw mu oddaje z kolei*).

Dwadzieścia, dziesięć, to trzydzieści; znowu dwadzieścia, to pięćdziesiąt; ośm i dwanaście, to siedemdziesiąt a moje dziesięć, ośmdziesiąt. Jest wszystko!

GUSTAW.

Teraz, rozbierzmy co każdy ma robić.

FELIKS.

Ja zaniosę pugilaresy i poproszę p. Stanisława, żeby napisał: to najpilniejsze. (*Zbiéra pugilaresy i wychodzi*).

KAROL (*wiążąc pieniądze w chustkę*).

Ja idę kupić książkę; Ludwiku, Emilu, chódźcie ze mną. (*Wychodzą*).

GUSTAW.

Ja idę do ogrodu napisać oracyjkę.

EDWARD.

A ja za tobą—bo skoro wymyślisz, nauczyć się muszę. (*Wychodzą oba*).

MAURYCY.

Kiedy dla mnie żadnéj roboty niéma, pójdę do pana Stanisława, napatrzę się go jeszcze choć trochę.

SCENA VII.

LEON, sam.

Nudni są z tym swoim p. Stanisławem. Bogu dzięki, że odjeżdża. Ten człowiek dla mnie nieznośny. (*Wstaje od pisania i przechadza się*). Doprawdy, jak on się oddali, to może lepiéj ze mną będzie. Już wziąłem z nim na kieł; a im mocniéj sumienie mi mówi, żem winien, tém wstyd większy się przyznać.... A wreszcie on mnie musi nieciérpieć; tylko udaje dobrego. Jakkolwiekbądź, ja go żałować nie myślę, i zaśpiewam mu z serca:

A kiedy odjeżdżasz, bądźże zdrów!
O mojéj przyjaźni, jak chcesz mów!

SCENA VIII.

LEON, REKTOR, późniéj FELIKS i MAURYCY.

REKTOR (*który usłyszał piosnkę Leona*).

A! chwytam waść na uczynku: tak to szanujesz nauczycieli?

LEON (*zuchwale*).

Cóż złego... śpiewać sobie?...

REKTOR.

Milczéć!.. Nie pogorszaj zuchwałością winy; złe masz serce i wstyd czynisz memu domowi. (*Do wchodzących Feliksa i Maurycego*). Panowie! nie bawcie się z Leonem, ani mówcie do niego: uczucia w nim niéma.

SCENA IX.

Ciż sami prócz Rektora, Leon siedzi przy stole i ręką twarz zasłania.

FELIKS.

O! już dawno nie widziałem Rektora tak rozgniewanego! Musiał Leon coś zbroić?

MAURYCY.

To mu się często zdarza, nie chciałbym ja być w jego skórze. Wszyscy na niego, aż mi go żal czasem. Biédny Leon. (*Idzie do niego i odsłonić chce mu twarz*).

LEON (*z gniewem*).

Daj mi pokój, co tobie do mnie!

MAURYCY (*odskakując*).

Już nie będę, panie Niedotykalski.

FELIKS.

Ale coś ani książki, ani konceptu nie widać, a czas upływa.

MAURYCY (*patrząc ku drzwiom*).

Idzie Gustaw i Edward.

SCENA X.

Ciż sami, Gustaw, Edward z papierem, późniéj Karol, Ludwik, Emil.

FELIKS do GUSTAWA.

A co panie pisarzu, oracya gotowa?

KAROL.

A czy się udała?

GUSTAW.

Gotowa i bardzo prosta.—Teraz koléj na Oratora.

EDWARD.

O! z łatwością się nauczę. Raz przeczytałem i już prawie umiem. (*Przechadza się i deklamuje półgłosem*).

KAROL (*wbiegając z Ludwikiem i z Emilem*).

Krasicki! Krasicki! (*Otaczają go uczniowie prócz Leona*).

GUSTAW (*biorąc w rękę książkę*).

Waży więcéj, niż pieniądze.

KAROL.

Patrzcie, co za portret piękny! Antoniego Oleszczyńskiego roboty!

FELIKS.

Jaki sztych delikatny!

LUDWIK.

Jaki druk czysty, i papiér gładki!

MAURYCY.

Jak téż pan Stanisław będzie kontent!

GUSTAW.

Ale nie walajmy, nie gniećmy; owińmy w arkusz papiéru i niech leży spokojnie. (*Kładzie książkę na stole, owinąwszy ją*).

EDWARD.

Otóż i pan Stanisław.

SCENĄ XI.

Ciż sami. P. STANISŁAW.

Służący z kuferkiem i z pudełkiem na kapelusz, które postawiwszy na ziemi odchodzi.

P. STANISŁAW.

Przychodzę pożegnać się z wami, kochane dzieci.

KAROL.

Co, już?

P. STANISŁAW.

Dyliżans na nikogo nie czeka, a jeszcze mam parę odwiedzin i sprawunków po drodze.

MAURYCY.

Jak też mnie jutro smutno będzie jak się obudzę!

LUDWIK.

I jutro, i zawsze.

P. STANISŁAW.

O! i mnie bardzo będzie smutno: wierzajcie.

GUSTAW.

Ale pan będzie do nas pisywał?

P. STANISŁAW.

Niezawodnie, i spodziewam się odpisu.

EMIL.

Pisywać będziemy co tydzień.

P. STANISŁAW (*z rozczuleniem ściskając bliższych siebie*).

Poczciwe chłopcy! Nie zapomnę was nigdy!

GUSTAW do EDWARDA (*podając mu książkę*).

Już zacznij: sama pora.

EDWARD (*przystępując do p. Stanisława z książką w ręku*).

Kochany panie Stanisławie! Uczniowie Twoi, przejęci Twoją niezmęczoną dla nich dobrocią, nie wiedzą jak Ci wyrazić w téj uroczystéj chwili uczucia swoje. Mnie wybrali, abym Ci w prostych słowach powiedział: że Cię z duszy kochają, i głęboką czują stratę, takiego jak Ty Nauczyciela. Bywaj zdrów! szczęśliwy, nie zapominaj o nas, i racz przyjąć ten podarek na pamiątkę wdzięczności, szacunku i żalu uczniów, którzy składając go Tobie, mówią z Kochanowskim:

Dar po prawdzie niewielki, lecz cię o to prosim,
Chęć naszą więcéj uważ, niż to, co przynosim.

P. STANISŁAW (*ściskając Edwarda i biorąc książkę*).

Przyjmuję jak najchętniéj, kochani moi, i dziękuję wam serdecznie.

MAURYCY (*naiwnie*).

To Krasicki, paryzkiego wydania.

P. STANISŁAW (*otwierając książkę*).

Krasicki! Ale to zanadto. Zrujnowaliście się dla mnie, moje dzieci. Niektórzy z was zwłaszcza, przez kilka miesięcy, pieniędzy na fraszki miéć nie będą.

KAROL.

To się obejdziemy, wielka rzecz!

MAURYCY.

A co nam teraz miło, to miło!

SCENA XII i OSTATNIA.

Ciż sami, REKTOR, który w końcu ostatniéj sceny słuchał.

REKTOR.

Dobrze, moi chłopcy, kontent z was jestem. I ja też mam podarek dla waszego zacnego nauczyciela. (*Kładzie na szyję p. Stanisława łańcuch złoty z takimże zégarkiem*). Kochany panie Stanisławie! przyjmij mój zégarek i niech Ci prawdziwego przyjaciela przypomina!

P. STANISŁAW.

Prawdziwie, nie zasłużyłem sobie na tyle dobroci. (*Do uczniów*). Kochane dzieci! Teraz pugilaresy wasze oddać wam muszę; nie pochlebstwa, ale rady, nauki, zdania w nie wpisałem naprędce, jako prawdziwy wasz przyjaciel. (*Do Gustawa*). Tobie wiersze ulubionego ci Kochanowskiego:

Starajmy się; ponieważ zniszczéć musi ciało,
Aby imię cnotliwe po nas tu zostało.

(*Do Emila*). Dla ciebie, który czasem rozpaczasz niesłusznie o zdatności swojéj, wybrałem tę prawdę z Krasickiego:

Wiek mało dla nauki, powoli przychodzi;
Długo trzeba pracować, nim pracę nagrodzi.

Maurycemu, co takie tkliwe ma serce i tak łatwo kocha każdego, wypisałem to zdanie Mickiewicza:

Świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Ludwikowi, nie powiem dlaczego, nakreśliłem następujące wierszyki starego poety:

Niech nie lubi ucho twe cnotliwe
Pochlebstwa, które jako zwierciadło fałszywe
Różną twarz twych postępków tobie ukazuje.

Mojemu Edwardowi, u którego chęci są zawsze tak piękne, ale niezawsze trwałe, jeden tylko wiérsz biskupa Warmińskiego daję: jak go wykona, będzie doskonałym:

Chcieć i czynić, to cnoty prawidło istotne.

(*Do Feliksa*). Dla kogoś, co czekać nie umié, trafiłem w Kochanowskim na takie godło:

Krótki wiek, długiéj nadziei nie lubi.

A rządnemu i rozsądnemu Karolowi, tę dawną prawdę, jakby z niego napisaną:

To pan, zdaniem mojém,
Kto przestał na swojém.

(*Każdy z uczniów odbierając pugilares swój ściska p. Stanisława, on mówi dalej.*) Leon nie dał mi pugilaresu, ja przecież rozstać się z nim nie chcę, nie zostawiwszy mu upominku. Daję mu przeto mój własny, a w nim te słowa z Ewangelii: „Zaprawdę powiadam wam: większe będzie wesele w niebie nad jednym grzesznikiem pokutującym, niż nad dziewięćdziesiąt dziewięć sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty.“ Leonie chodź, i uściskajmy się. (*Leon, który od czasu, jak wspomniał p. Stanisław o nim, powstał od pisania swego i wielkie okazywał wzruszenie, biegnie i rzuca się do ręki Nauczyciela*).—Już tego nadto, już wytrzymać nie mogę... Czyż to być może? przebaczasz mi...

Ale pan Rektor... czy pozwoli na to? przed chwilą tak zgrzeszyłem...

P. STANISŁAW.

Rektor nasz kochany przebaczy także: wszak prawda?

REKTOR.

Tobie, przyjacielu, w téj chwili nic odmówić nie mogę, chociażby może należało być surowszym. (*Leon mówić nie może, całuje tylko ręce Rektora i pana Stanisława i ściska stojących koło siebie uczniów: Maurycy i Ludwik rzucają mu się na szyję*).

P. STANISŁAW.

To prawdziwy tryumf dla mnie, to najsłodsza nagroda! Ale czas nagli, jechać muszę: bywajcie zdrowi!

UCZNIOWIE WSZYSCY.

Odprowadzimy pana do dyliżansu; (*do Rektora*) wszak można?

REKTOR.

Idźcie, i niech wam zawsze będą w pamięci drogie i szacowne skutki rzetelnéj dobroci.

PSOTA.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

MADAME,
PANNA DOBRZYCKA, } nauczycielki.
PANNA SUCHOCKA, }
ANIELA,
HELENKA,
RÓZIA,
JADWISIA, } pensyonarki.
KAROLINA,
ZOSIA,
POLUSIA,
KAŚKA, dziéwka wiejska.
Pensyonarki różnego wieku.

(*Miejsce sceny na pensyi panien w Krakowie.*)

Teatr wystawia ogród z ławkami — w głębi altana zamknięta.

SCENA I.

KAŚKA (*sama*).

KAŚKA.

Te panny to istne czorty! wszystko do góry nogami. Uczą się teraz Bogu dzięka swojéj jeografii, trzeba tymczasem posprzątać. (*Porządkuje i ustawia*). To gorsze od

chłopaków wiejskich; żadenby psot więcéj nie narobił. Kwiaty podeptane, ławki zaśmiecione! Oj! będzież się gniewał ogrodnik. Bo to jakby dosyć miejsca nie było na ścieszkach, zawsze po trawie i po grządkach deptać muszą. A najgorsza—najstarsza, ta panna Aniela. To szpak nie dziewczyna. Konceptów jak maku; psoty sypie kieby z rękawa. Każdemu dokuczy, a najbardziéj téj biednéj Zosi, którać prawdę rzekłszy głupiusieńka. Ale bo téż i ta Madam na sługi to zrzędzi i dziwności od nich wymaga, a dzieciom nic nie mówi. Wartałoby posłuchać panny Suchockiéj, która zawsze do pokut namawia; ale Madam radziéj słucha panny Dobrzyckiéj; boć téż to i dobre pannisko, nikomu w drogę nie wlizie. (*Słychać dzwonek*). Dla Boga! ja tu gadu, gadu, a to już po lekcyi i nie sprzątnęłam do szczętu. Naśmiecąć tu one znowu w czasie rekracyi; żal się Boże roboty!

SCENA II.

KAŚKĄ, ANIELA, HELENKA, RÓZIA, JADWISIA, KAROLINA, ZOSIA, POLUSIA i innych pensyonarek kilka.

JADWISIA do KAŚKI.

O! moja Kaśko, stłukłam szklankę pijąc teraz wodę; kup mi inną, żeby panna Suchocka się nie dowiedziała.

RÓZIA.

Kasieńko kochana! patrz, rozdarłam sukienkę; naprawisz mi dziś w wieczór?

KAŚKA.

Tak, zawsze tylko Kaśko! Kasieńko! sześć rąk i wór pieniędzy-by mieć trzeba.

JADWISIA.

Kup, kup, moja jedyna: ja ci oddam z górą.

RÓZIA.

A ja ci kupię ślicznych korali na imieniny.

KAŚKA.

Tak, będzie to na święty nigdy.

POLUSIA (*wyciągając do niéj ręce*).

Ja nie mam ci co dać, ale bardzo cię kocham!

KAŚKA.

Wiémci ja dobrze o tém, i milszaś mi od drugich, boś dobre dziecko. (*Podnosi ją i całuje. W czasie téj rozmowy inne panienki biorą się do zabaw; jedne grają w wolanta, drugie ciskają obręcze. Zosia chce skakać przez sznurek, ale jéj się nie udaje; śmieją się z niéj. Inne jeszcze panienki chodzą parami rozmawiając z sobą. Polusia lalką się bawi*).

ANIELA (*śmiejąc się i ruszając ramionami*).

Jadwisiu, patrzno na Zosię, jak skacze; nie czystyż to niedźwiedź z Smorgońskiéj akademii!

ZOSIA.

Przecież nauczyć się muszę — zawsze mi się ktoś sprzeciwia.

KAŚKA (*sprzątając i ścierając ławki*).

Prawda, że téż jéj nigdy nie dacie pokoju.

JADWISIA.

Ale bo taka niezgrabna! Polusia młodsza, a skacze daleko lepiéj.

RÓZIA.

Chódź Polusiu, będziemy cię chuśtać.

POLUSIA.

Dobrze, dobrze, tylko nie bardzo wysoko, bo moja lalka się boi. (*Sadzają ją na chuśtawce i bujają*).

KAŚKA.

A ostrożnie, panienki, o nieszczęście nie trudno!

ANIELA (*biorąc na bok Helenkę i Jadwisię*).

Co wam się zdaje, dobry mój koncept?

HELENKA.

Dobry, śmieszny... ale trochę złośliwy... Może to będzie zbyt wielka psota?

ANIELA.

Pocóż taka głupia, sama sobie winna.

JADWISIA.

Przecież nic złego nie zrobiła ci nigdy?

ANIELA.

Prawda, ale mnie gniewa swojém głupstwem i obżarstwem; wszystkiemu wierzy, i tylkoby jadła. Żeby jéj kto powiedział, że wieżę Panny Maryi schował do woreczka, toby mu uwierzyła, a za specyalik zrobi wszystko. Trzeba ją nauczyć rozumu.

SCENA III.

Też same, MADAME i NAUCZYCIELKI.

MADAME.

Czemu panny nie idą na podwieczorek? Już dawno gotów.

PANNY.

Idziemy. (*Wychodzą wszystkie*).

KAŚKA.

Trzebaćto i mnie iść, ale nie jeść tylko robić. Zwyczajnie jak sługa. (*Wychodzi*).

MADAME do NAUCZYCIELEK.

Niéma nikogo — pomówmyż sobie trochę o naszych dziewczątkach. Jak poszły dziś nauki?

PANNA DOBRZYCKA.

Historya polska i język polski bardzo dobrze; w czasie gramatyki niemieckiéj było trochę nieuwagi, poskromiłam delikatnie.

PANNA SUCHOCKA.

O! panna Dobrzycka, to zawsze z tą swoją delikatnością; ja za rachunki i jeografią złajałam tęgo; bardzo źle idzie, i właśnie domagać się chciałam pokuty.

DOBRZYCKA.

Najlepjéj słodyczą i pobłażaniem.

SUCHOCKA

Najlepjéj groźbą i surowością.

MADAME.

A sprawiedliwość nad wszystko—ale słyszę—wracają już panny, idźmy do mego pokoju: rozsądzimy sprawę z namysłem.

SCENA IV.

(Wszystkie pensyonarki przychodzą jedna po drugiéj z podwieczorkiem w ręku — siadają sobie, chodzą i jedzą. Zosia siada sama na boku, łakomo zajada).

ANIELA (*cicho do Helenki i Jadwisi*).

A co, powiedziałyście im?

HELENKA.

Jeszcze nie: nie było można, bo Kaśka się kręciła.

ANIELA.

To powiedzcież teraz: ja tu Zosię zagadam: niéma chwili do stracenia.

JADWISIA.

Czy tylko ci się uda? Zwodziłaś ją tyle razy; jużby wierzyć nie powinna.

ANIELA.

A! zobaczycie, jak ją w minucie w pole wywiodę. (*Helenką i Jadwisia zwołują pocichu panienki i mówią im coś misternie. Panienki słuchają uważnie i śmieją się. Aniela zbliża się do Zosi*). Czemu tak siedzisz sama?

ZOSIA (*z pełną gębą*).

Siedzę sobie, bo chcę zjeść spokojnie, a wy mi zawsze dokuczacie.

ANIELA.

Bo też nie trzeba gniewać się za każdą rzecz. Między przyjaciołmi żarty są pozwolone. I ja czasem z ciebie żartuję, a przecież cię kocham. Oto na dowód, wstań, powiem ci wielką nowinę!

ZOSIA.

Nowinę—a jaką?

ANIELA (*misternie*).

Wystaw sobie: Poseł króla Bakalii przyjechał do Krakowa.

ZOSIA.

Co to król Bakalii?

ANIELA.

Wszak wiesz dobrze, co to są Bakalie.

ZOSIA.

O! wiem doskonale! takie wyborne rzeczy! rodzenki, migdały, figi, daktyle.

ANIELA.

Otóż kraj Bakalii, graniczący z państwem Tureckiém, jest to kraj gdzie tych wszystkich wybornych rzeczy jest tyle, że garściami zbiérać je można. Poseł króla téj smacznéj krainy jadąc do Wiednia zatrzymał się tu w Krako-

wie, a sekretarze jego po wszystkich pensyach rozdają specyały, jakich nawiózł. Jeden z nich już jest tu w altanie, i dwa wielkie wory bakalii murzyni za nim przynieśli.

ZOSIA.

I kiedyż się to stało?

ANIELA.

Jakeśmy lekcye brały.

ZOSIA.

Ja nikogo nie widziałam, a murzynów takbym była ciekawa.

ANIELA.

Zobaczysz ich jeszcze. (*Tu Jadwisia niepostrzeżona od Zosi wchodzi tylnemi drzwiami do altany*).

ZOSIA.

A tyś widziała tego pana sekretarza?

ANIELA.

Widziałam z daleka, i drugie widziały.

ZOSIA.

Czy tylko mnie nie zwodzicie: może to wszystko żarty?

ANIELA (*do panienek*).

Chódźcież tu — Zosia wierzyć nie chce, że sekretarz Posła króla Bakalii jest w altanie.

WSZYSTKIE.

Jest! Jest!

RÓZIA (*szepnąwszy coś piérwéj do ucha Anieli*).

Jeśli nie wierzy, niech idzie do drzwi, i przemówi do niego—to jéj odpowie. Wcale dobrze mówi po polsku.

ANIELA.

Zapewne to sposób przekonania jéj najlepszy. (*Chce ją zaprowadzić do drzwi altanki*).

ZOSIA.

Ja nie chcę: ja się boję!

HELENKA.

To ja przemówię. (*Idzie śmiało do drzwi*). Jaśnie Wielmożny Sekretarzu Jaśnie Oświeconego Posła Najjaśniejszego Króla Bakalii! My pensyonarki tutejsze pozdrawiamy Was!

JADWISIA (*z altanki grubym głosem*).

I ja was pozdrawiam, moje ładne panienki!

HELENKA.

I pytamy się Was, o któréj godzinie posłuchanie dać nam raczysz?

JADWISIA.

Za minut dziesięć; ale tylko po jednéj wchodzić będziecie: która zaś wejdzie najpiérwsza, trzy funty bakalii dostanie; drugie po jednemu.

ZOSIA (*oblizując się*).

Na trzy dni byłoby co jeść.

HELENKA.

Uczynimy według woli twojéj, Jaśnie Wielmożny Sekretarzu. (*Oddalają się od drzwi*).

ANIELA do ZOSI.

A cóż? bajki?—Ale która wejdzie piérwsza?

WSZYSTKIE prócz POLUSI.

Ja! ja!

ANIELA.

Tak nie idzie: trzeba ciągnąć na losy.

WSZYSTKIE.

Dobrze! dobrze!

ANIELA.

Dajcie wasze chustki. (*Półgłębkiem*). Koniec ze znakiem—węzełek. (*Głośno*). Daléj, która wyciągnie węzełek, ta będzie szczęśliwa i wejdzie najpiérwsza do altany.

ZOSIA (*wyciąga węzełek, skacze i klaszcze w ręce*).

Ach! ja! ja będę miała trzy funty bakalii!

HELENKA (*do drugich panienek pocichu*).

Tak, będziesz miała figę. (*Z trudnością śmiech wstrzymują, Aniela mruga na nie, żeby cicho były, i mówi do Zosi*): Proszę, jaka to szczęśliwa dziewczyna; ale wiesz, trzeba ci się ubrać trochę ładniéj: oto Helenka pójdzie z tobą i pomoże ci. (*Cicho do Helenki*). A nie wracajcie, aż przyjdziemy po was.

ZOSIA.

A którą mam włożyć sukienkę? czy niebieską czy różową?

ANIELKA.

Którą chcesz, byle prędko.

SCENA V.

WSZYSTKIE PANIENKI prócz HELENKI i ZOSI.

WSZYSTKIE (*śmiejąc się*).

O, dudek! dudek!

KAROLINA.

Już się oblizuje na bakalie; biédna dziewczyna, uwierzyła zupełnie.

POLUSIA.

Ja młodsza, a takbym się zwieść nie dała. Król Bakalii! a gdzież jego królestwo? przecieżby panna Suchocka o niém wiedziała.

KAROLINA.

Prawda, i dziś była lekcya geografii, a o królestwie Bakalii nie było ani słowa.

ANIELA.

Ale tu nie czas rozmawiać, trzeba się wziąć do dzieła. Musimy ubrać wielką lalkę i postawić ją w altanie. Już ja wszystko obmyśliłam. Karolino! za altaną jest słoma i dwa kije od szczotek: idź i przynieś. W inspektach wi-

działam kapelusz i starą kapotę ogrodnika: pójdź po nie co tchu, Róziu. A ty Jadwisiu, pobiegnij do umywalni i przynieś parę ręczników; ale zręcznie, żeby panna Suchocka nie zobaczyła. (*Wychodzą wszystkie i wnet z kolei wracają*).

POLUSIA (*na stronie*).

Mnie doprawdy żal téj Zosi — niech one tam robią co chcą, ja sobie z moim wózkiem bawić się będę. (*Wysuwa wózek z pod ławki, sadza weń lalkę i bawi się*).

KAROLINA (*wracając z kijami i ze słomą*).

Oto figurka Jaśnie Wielmożnego sekretarza, Jaśnie Oświeconego posła, Najjaśniejszego króla Bakalii.

RÓZIA (*wracając z kapeluszem i z kapotą*).

Oto płaszcz i turban jego.

JADWISIA.

Oto ręczniki, a w dodatku stara peruka i maska, które znalazłam w szafie.

WSZYSTKIE.

To wybornie! (*Zabierają się do ubrania lalki—Aniela na czele jest wszystkiego. Składa kije nakrzyż, owiązuje jednym ręcznikiem, a pierwéj wkłada kij jeden w rękawy kapoty*).

KAROLINA.

Jak ślicznie pan sekretarz ręce trzyma!

ANIELA (*okręca słomą i drugim ręcznikiem koniec kija w kształcie głowy wiąże maskę i mówi*).

Dajcie perukę i kapelusz. (*Potém stawia figurę wprost, a wszystkie wołają:* Wybornie! wybornie! (*i śmieją się*).

POLUSIA.

Istne straszydło na ptaki! Już jeżeli Zosia uwierzy, że to pan sekretarz...

HELENKA (*bierze z rąk Anieli figurę, i tak robi jakby się kłaniała mówiąc*):

Kłaniam wam, kłaniam!

PANIENKI (*kłaniają się także i mówią*):

Witamy Jaśnie Wielmożnego Sekretarza...

SCENA VI.

Też same, KAŚKA wchodzi niewidziana.

KAŚKA (*na stronie*).

Założyłabym się, że te psotnice coś brują. Widziałam Jadwisię, jak coś wynosiła z domu... Muszę ja to wyśledzić. (*Spostrzega figurę*). Już wiem wszystko.

ANIELA.

Otóż Jaśnie Wielmożny sekretarz zupełnie ubrany. Idźmy po Zosię. Jadwisiu, ty dokonaj reszty. Zanieś go do altanki, stój za nim: jak my tam puścim Zosię, rzucisz strachа na nią, sama uciekniesz tylnemi drzwiami, a my tu wszystkie koło drzwi będziemy wołały: Figa! figa! i będzie miała obżarta dziewczyna bakalie. (*Aniela odchodzi z Różią*).

KAROLINA.

Doskonale! Będzież to strachu i krzyku. (*Śmieją się wszystkie*).

POLUSIA.

Mnie aż coś przechodzi. Boję się i przykro mi.

KAŚKA (*zawsze na stronie*).

O! nic dobrego, dziewczęta! śmiejcie się! śmiejcie! będzie z tego śmiechu płacz. (*Wychodzi*).

JADWISIA.

Pomóżcież mi, nie potrafię wnieść sama szanownego sekretarza.

(Panienki pomagają jéj wnieść otwartemi drzwiami do altany figurę i ustawiają ją).

JADWISIA (*już w altanie mówi*).

Ale niech ja tu długo nie siedzę, bo się znudzę. Pójdźcie wszystkie po Zosię, żeby się to prędzéj skończyło.

KAROLINA (*zamykając drzwi*).

Z dwoma worami bakalii, ktoby się znudził.

POLUSIA.

Już jabym tam, na miejscu Jadwisi nie chciała być. Pójdę z niemi: boję się tu zostać sama. (*Wszystkie wychodzą*).

SCENA VII.

MADAME, P. DOBRZYCKA, P. SUCHOCKA, KAŚKA.

MADAME (*wchodząc z niespokojnością*).

Powiadasz, Kaśko, że panny chcą nastraszyć biédną Zosię, i że Aniela na czele téj psoty?

KAŚKA.

Dalipan, prawda; i już jedna z panien, nie wiem która, zamknięta jest w altanie ze straszydłem.

MADAME.

Co to za głowy, i ile konceptów do psoty!

SUCHOCKA.

Nie takie ochocze do nauki, jak do figlów.

DOBRZYCKA.

Dzieci też to jeszcze, wybaczyć im trzeba.

SUCHOCKA.

Tak, Aniela śliczne dziecko; lat trzynaście. **Ukarać** surowo należy.

MADAME.

Na ten raz masz słuszność za sobą, Suchosiu. **Łatwiéj** wybaczyć nieuwagę w nauce, jak złośliwość. Nie dopuścimy téj psoty i zażartujemy sobie z panien. (*Mówi cicho do obydwóch*).

KAŚKA.

Oj! radam okrutnie temu, co im pójdzie po nosie.

MADAME.

Zrozumiałyście mnie? uczyńcież tak, proszę.

SUCHOCKA (*wesoła*) DOBRZYCKA (*smutno mówią*):

Dobrze.

MADAME.

A ty Kaśko pilnuj, żeby nikt z altanki się nie wymknął; jak panny nadchodzić będą, schowaj się.

KAŚKA.

Już niech się Imość nie troska. (*Madame odchodzi w głąb teatru, nauczycielki ukryte są za drzwiami*).

SCENA VIII i OSTATNIA.

WSZYSTKIE PANIENKI, MADAME, NAUCZYCIELKI, KAŚKA w ukryciu.

(Prowadzą Zosię wystrojoną).

ZOSIA (*przychodząc na przód sceny*).

Spodziewam się, żem się pięknie ubrała do pana sekretarza; powinien mi dać ze sześć funtów bakalii.

ANIELA.

Bez wątpienia. Ale już dziesięć minut dawno upłynęło. Idźmy. (*Ustawiają się po jednéj i idą; Aniela porządku pilnuje. Zosia najpiérwsza staje*).

KAROLINA.

Bodaj téż tę Zosię, że ona piérwsza.

HELENKA.

Czemu-to nie ja?

ZOSIA (*już niedaleko drzwi*).

Ale jakiż on jest ten pan sekretarz? czy taki człowiek jak my, czy Murzyn?

ANIELA.

Trochę czarniawy, ale zresztą jak my, i prześlicznie ubrany.

ZOSIA.

Ale bo taki ma głos gruby.

ANIELA.

Patrzcie tylko, moje kochane, boi się. A trzy funty bakalii dobre? Nie chcesz, to kto inny pójdzie.

ZOSIA.

O! chcę, chcę! (*Idą jakby processyą. Dochodzą do drzwi. Aniela się pyta*): Jaśnie Wielmożny Sekretarzu, Jaśnie Oświeconego Posła Najjaśniejszego Króla Bakalii! Oto szczęśliwie wybrana losem panna, pyta się Waszéj Wysokości, czy obiecane posłuchanie miéć może? (*Gdy to mówi Aniela, Nauczycielki i Kaśka wychodzą z kryjówek; a skoro mowę swoją kończy, drzwi altany się otwierają i pokazuje się Madame z twarzą surową. Panienki w krzyk, chcą uciekać. Zosia patrzy zdumiona, Polusia na boku siedząca płacze. Kaśka i Nauczycielki uciekające dziewczęta chwytają. Aniela zmieszana opiera się o drzewo, a załamując ręce mówi*): A! ja nieszczęśliwa!

MADAME (*biorąc Anielę za rękę*).

Nie spodziewałyście się mnie? Na takie-to psoty obracacie czas przeznaczony uczciwéj zabawie? Jam sądziła, że się tu sprawiacie przyzwoicie, i dlatego zostawiałam wam więcéj wolności. Kiedy tak, ściśléj odtąd panny pilnowane będą i nigdy z pod oka starszych nie zejdą. Czyż się godziło dlatego, że Zosia łatwowierna i pozwala żartować z siebie, taki spisek na nią zrobić? A wiécie, że zachorować mogła z przestrachu i na całe życie być nieszczęśliwą. Brzydkie takie zabawy, które ze szkodą drugich się odbywają... Nie pytam się kto tu najwinniejszy? czyj to koncept?

Wszystkieście należały do téj psoty i wszystkie będziecie karane. Nie wyłączam nawet Zosię, bo zgrzeszyła obżarstwem. Jednę Polusię kara minie, bo wiem z pewnością, że się nie mieszała do niczego. (*Wszystkie panny słuchają tych słów z oczyma spuszczonemi, niektóre płaczą*).

ANIELA.

Mnie tylko ukarać trzeba: to moje namowy, moja robota.

MADAME.

Szczerość twoja godną jest pochwały, i dowodzi mi, że nie serce masz złe ale głowę: przecież przyznanie się do winy, nie maże jéj zupełnie. Jesteś tu najstarsza, i zamiast zachęty do złego, dobrego przykładu mam prawo wymagać od ciebie. Przez trzy dni nie będziesz się bawiła z towarzyszkami; robota i samotna przechadzka zajmą godziny odpoczynku. Panny wszystkie przez trzy czwartki rekreacyi miéć wcale nie będą. (*Dzwonią*). Ale otoż godzina wieczornego czytania. Idźcie do klas, i niech pilność wasza zjedna wam moje przebaczenie.

WESELE MARYSI I JASIA.*)

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH.

(Zabawa wiejska).

OSOBY:

KWIATOSZ, Ojciec.
KWIATOSZOWA, Matka.
MARYSIA, BASIA, } ich córki.
JASIO RUSAK, zalotnik.
GOGOLINA, naprzód swacha, potém starościna.
STAROSTA weselny z chorągwią.
DRUŻBA z palmą.
MARSZAŁEK czyli najstarszy drużba.
Drużbowie, druchny, grajkowie, gospodynie, ludu wiejskiego obojéj płci jak najwięcéj.

NB. Dla zachowania przepisów jedności czasu i miejsca, ubliża się prawdzie. Obrzędy umieszczone tu w kilku godzinach, potrzebują w istocie dni siedmnastu. Zwyczajnie *zalotnik* we czwartek *swachę* posyła do *dziewki*, do jéj chaty; w sobotę wieczór odprawiają się *zaręczyny*: w niedzielę dają na *zapowiedzie*, a we dwa tygodnie odprawia się *wesele*. Wieczorem zabawa jest albo w karczmie, albo we dworze; uczty godowe czasem cały tydzień trwają. Miejsce sceny, w wiosce województwa Lubelskiego.

---

*) Takie są we wszystkich weselnych piosnkach państwa młodych imiona.

AKT I.

SCENA I.

(Teatr wyobraża szerokie miejsce między chatami; po jednéj stronie karczma, nieco w oddaleniu kościół. Przed najbliższą chatą jest ogrodzenie z fórtką).

GOGOLINA (*wychodząc z najbliższéj chaty*).

A! już téż-to prawdziwie biédni ludziska, ci Kwiatoszowie; chyba urzekła ich która czarownica: niedawno grad wybił im zboże, dziś ostatnie bydlę im padło.... Prawdać, kogo Bóg probuje, znać że go miłuje: a tych Kwiatoszów musi miłować, bo z kośćmi poczciwi. Nie dlatego, że kumowie moi, boć-em z całą wsią pokumiona; nie dlatego, że mi ich Marysia na tę oto zawijkę tak cienkiéj przędzy dała, bo z łaski Pana Boga, mam dosyć: ale dlatego, że dobrzy i poczciwi, kocham ich duszą i sercem; i jakoś mi się to dziwno widzi, że chociaż ja ich kocham, im się przecież źle dzieje. Ale przy pomocy Boskiéj, ta zła dola przesilić się musi... już ja w tém... a przecież ja jestem piérwszą tu *swachą?* Ja wsią całą, jakby tym rękawem trzęsę; wszystko w niéj po mojéj woli idzie: kogo chcę pogodzę, kogo chcę pokłócę; chłopaki się żenią z kim im poradzę, a dziéwki tutejsze bezemnie siedziałyby do dnia sądnego... I w oczach pańskich mam téż niejakie znaczenie: znają mnie jak zły szeląg, i łaskawi na mnie: wczora przechodziłam koło saméj pani, ja im mówię: *Niech będzie pochwalony!* a oni mi natychmiast odpowiedzieli: *Na wieki.* Ale któż się tu skrada?

SCENA II.

GOGOLINA, JASIO.

JASIO (*wolnym głosem, idąc na palcach*).

Pani Gogolino, pani swacho, a przecież was zdybuję.

GOGOLINA.

A! to wy Jasiu, poczciwy Rusaku, a czegożto chcecie?

JASIO (*skrobiąc się w głowę*).

Z wielką do was przyszedłem prośbą, już was z nią od południa szukam, ale jak się wygadać—nie wiem.

GOGOLINA.

Zapewneście co zrobili w karczmie, i chcecie przebaczenia od dworu? Ale zkądżeby to nieszczęście na was padło? musiałyby to chyba być czary: przecieżeście czołem naszych chłopaków. Mówcie jednak, mnie tam trafić bardzo łacno.

JASIO.

Nie zgadliście: wcale rzecz inna.

GOGOLINA.

A... domyślam się. Chcecie iść na wędrówkę, pewno flisem zostać, a Ojciec grosza dać nie chce. Bogiem a prawdą mógłby wam kęs chleba użyczyć, ma go po uszy; jest wójtem i najbogatszym gospodarzem we wsi, a wy u niego jedynakiem.

JASIO.

Ej! pani Gogolino, trafiacie jak kulą w płot; zawsze

o was mówiono, jakobyście wielki rozum mieli; a to jak widzę...

GOGOLINA.

Patrzcie go! jaki mi wej!... powiedz, to zgadnę. — Ba!

JASIO.

Ba! wielka sztuka: pokaż, to zobaczę... Nie możecież się domyślić, czego mi potrzeba?... Mam lat dwadzieścia, Ojciec mnie na gospodarstwie chce osadzić, jużci mi potrzeba żony.

(*Na te słowa twarz Gogoliny się rozjaśnia, prostuje się: przybiera uroczystą postać swachy i mówi*):

Żony? a to dziarski chłopak!... już teraz wiem; ale bo nie łacno było się domyślić, kiedyście o tém z taką nieśmiałością mówili... wszakci to słomiany zalotnik, złotéj panny dostanie, cóż dopiéro wy? Jakbym widziała, że skoro o was najładniejszéj dziéwce szepnę, jak iskra z zapieca wyskoczy.

JASIO.

Dziękuję wam za tę dobrą myśl o mnie; i kiedy tak, nastręczcież mi jaką dorodną, dobrego gniazda, pracowitą dziewczynę—a przytém téż i ojczewiczkę.

SWACHA (*która podczas pierwszych słów się uśmiéchała, ze smutkiem*).

Tam do licha, ojczewiczkę!... a jużci mamy Bogu dzięka i takich dziewcząt nie mało. Jest ci tu niedaleczko, córka dawnego wójta, Kasia Banuchówna, będzie miała pięćset złotych i dwie krowy.

JASIO.

To wybornie!.. idźcież do téj z wódką... byle tylko pić od was chciała?

SWACHA.

W téj chacie, tu po lewéj ręce, jak wiecie Parka mieszka; starsza Parczanka, wcale niczego... dziatek wprawdzie dosyć, ale rodzice rządni, i tam nie złe wiano będzie.

JASIO.

Tam mi się jeszcze lepiéj podoba, bo i Ojciec mój w zażyłości z Parką. Tam idźcie.

SWACHA.

Tu, po téj stronie, w téj nowéj chacie, Koczmara ma trzy córek na wydaniu, syna żadnego, a wiecie, że zasobny i w łaskach u dworu.

JASIO.

Dalipan, wszystkie trzy radbym wziął, bo hoże dziewczęta; idźcież do nich, pani swacho.

SWACHA (*misternie*).

Mam ci ja tu jeszcze jednę, ale która? jak się zowie? nie powiem. Dobra jak anioł dziewucha, niewinna jak niemowlątko, pracowita kieby pszczółka.

JASIO.

Oj! to mi coś do serca trafia, bieżcież do niéj, co jedno tchu macie.

SWACHA.

Lat ma szesnaście, prosta jak świéca, rumiana jak jagoda, kieby łania dziéwczę...

JASIO.

Mówcież prędko jak się zowie, ogniściem ciekawy...

SWACHA.

Dobrego gniazda, poczciwych rodziców.

JASIO.

Nuże, powiedzcie, bo jak widzę, niczego jéj nie brakuje, i ja tę mieć chcę.

SWACHA.

Zdoprawdy, niczego jéj nie brakuje?.. powtórzcie to raz jeszcze, a dopiéro powiem, co za jedna.

JASIO.

Już mnie do ostatniéj niecierpliwości przywodzicie. Cóż może brakować niewinnéj, pracowitéj, dorodnéj dziewczynie? mówcież... ja powtarzam, tę mieć chcę...

SWACHA.

Już wam powiem: oto chrzestna moja córka, Marysia Kwiatoszówna.

JASIO.

Kwiatoszówna, owych Kwiatoszów, co tak zubożeli, córka? jużem teraz mądry, domyślam się czego jéj brakuje.. szkoda... aleć wielka prawda, że dobra i przystojna dziewucha... i takie zawdy mówi łagodne słóweczka.

SWACHA.

Wierzaj mi Jasieńku, że w żonie to najwięcéj znaczy. Bogdaj tylem lat żyła, ilem skojarzyła małżeństw, ale zaw-

sze te były i są najszczęśliwsze, gdzie się na wiano nie oglądali... Tego jedno nie wiem, czy dziewce już kto inny nie zajechał głowy: Kuba Smyk tęgo jéj się zaleca, a wiécie, że to Smyk przystojny i dziarski chłopak.

JASIO.

Że mi też zawsze ten Kuba zajść drogę musi. Możeć Bóg dopomoże go odsadzić; już mi się też i przykrzy: zawdy w karczmie rej wodzi, i do najurodziwszych dziewcząt się bierze. Pani swacho, idźcie natychmiast do Marysi Kwiatoszównéj: oto flasza wódki: oświadczcie moje chęci.

SWACHA.

A gdyby się u niéj nie powiodło?

JASIO.

To pójdziecie do Kasi Bonuchównéj, i téjci niczego; a gdyby nieszczęście już tak mieć chciało, wstąpcie do Koczmary: alboż jedna z trzech jego córek, wódkę do was wypije. Sprawcie mi się jedno dobrze, pani swacho, jak to wy umiécie, a suty kuban was nie minie. (*Odchodzi*).

SCENA III.

SWACHA *sama, potém* OJCIEC, MATKA, MARYSIA, BASIA.

Starać to, ale wielka jak widzę prawda, że Bóg z jednéj strony martwi, a z drugiéj pociesza; i słuszniem przed chwilką mówiła: za moją opieką musi się tym Kwiatoszom odmienić. No! i proszę! owa ubożuchna dziewucha, najbogatszego chłopaka, z rodu Rusaków dostanie; a prócz tego spokojny, nie bałamut, pracowity, plamki na nim niéma. Oj! będęż ja miała co słuchać za to od innych Matek,

a zwłaszcza od Banuchowéj; gotowe baby powiedzieć, żem chłopaka oczarowała; bo jużci pewna jestem, że nie pójdę nigdzie dalój z tą wódką: prawiem z umysłu tak Jasiowi prawiła... nie dzisiejsza ja, nie dzisiejsza... wiem ja, że co człowiekowi łacno przyjdzie (a osobliwie żona), to sobie lekceważy... Ale trzebać się zabrać do tych swatów; potém obiedz wieś całą z tą nowiną. (*Poprawia czepka, zawijki, przybiéra postać uroczystą, i kołacze do chaty z któréj wyszła*).

MATKA (*się odzywa*).

Kto tam? Cóż znaczy to dziwne kołatanie?

SWACHA (*uroczyście*).

Ja nie do was, do waszéj dziéwki przychodzę.

MARYSIA (*z chaty*).

I czegożto chcecie, pani Gogolino?

SWACHA.

Przychodzę jako swacha, przychodzę z wódką: nagotuj kieliszek dziéweczko.

MARYSIA (*krzyczy przeraźliwie*).

Przebóg! dla Boga!

SWACHA (*na stronie*).

O! jak tęgo wrzasła, pewno już za piec wlazła i płacz udaje; bo to odwieczny u nas obyczaj; nasze dziewuchy od małości tę piosnkę śpiéwają:

A gdy swacha przyjdzie,
Ja za piecem siędę;
Niby płakać zacznę:
W rzeczy rada będę.

(*Głośno*).

Marysiu! Marysiu!

MARYSIA (*z głębi chaty*).

Nie chcę, nie wyjdę: niéma kieliszka w domu.

SWACHA.

Dowiedzże się przynajmniéj, kto mnie do ciebie przysyła: oto Jasio Rusak, syn wójta, on cię chce mieć żoną...

MARYSIA.

Nie chcę, nie pójdę!

SWACHA.

On we wsi najbogatszy, młody, urodziwy, dziarski; z nim będziesz opływała w szczęściu jak rybka w wodzie: wszystkie dziéwki zazdrościć ci będą twojéj doli.

MARYSIA.

Nie chcę, nie pójdę!

SWACHA (*z gniewem*).

No! dziewczyno! dosyć do trzech razy tych korowodów. Pani Kwiatoszowa, panie Kwiatoszu! jeślić nic przeciw Jasiowi Rusakowi nie macie, wyciągnijcież dziéwkę waszą z za pieca. (*Słychać krzyk i szamotanie się w chacie*). (*Na stronie*). Dobrze dziéwczę udaje, zna się na rzeczy; choć to Bogiem a prawdą, nie byłaby dziwota, choćby się i zestrachała trocha; tak nagle... przed chwilką jeszcze jéj to w myśli nie postało... a nie sameć to róże w tym małżeńskim stanie... są w najszczęśliwszym wielkie kłopoty, które gorzéj od ciernia kolą. (*Głośno*). No, Marysiu, krnąbrne dziewczę — wyjdźże, bo nie będziesz ty, będzie inna; prosto ztąd pójdę do Kasi Banuchównéj, a ta pewno tak harda

nie będzie, chociaż ma wiano uczciwe. (*Otwierają się drzwi chaty, oboje rodzice i mała Basia ciągną Marysię pomieszaną, zapłakaną, z spuszczoną głową*). Już nadto tych korowodów, dziewczyno! dziękuj Bogu, że ci niespodzianie taką dolę zsyła, i podaj kieliszek.

MARYSIA.

Ale kiedy ja nie chcę męża, nie chcę Jasia Rusaka.

SWACHA.

Znam ja się na tych figlach, wszystkieście takie... Każda jedną ręką odpycha i mówi: *nie chcę cię:* a drugą kiwa i woła: *pójdź sam!* I ja tak robiła przed laty... tak sama przyzwoitość każe, bo któraby też uczciwa dziewucha drożyć się nie miała; ale skończ raz, i niechże wypiję do ciebie. (*Wypycha ją do chaty*).

MATKA.

Dalipan, pani kumo, gdybym was nie znała, myślałabym, że sobie żarty z nas stroicie.

OJCIEC.

Przed chwilką byliście u nas, i zaś w strapieniu naszém nie rzekliście nam ani słówka o téj szczęsnéj doli.

SWACHA.

Baj bardzo, a wiedziałam o niéj? Jasio mnie tu zdybał, gdym od was wyszła; chce się żenić: prosił mnie w swaty, a jam mu zręcznie waszą córkę naraiła.

OJCIEC I MATKA (*razem*).

Bóg wam zapłać, pani kumo!

SWACHA.

Wszakeś wam powiedziała, że was Bóg pocieszy i to przezemnie...

OJCIEC.

Właśnie wkrótce po waszém odejściu, moja kobiéta okrutnie płakać zaczęła; ja jéj mówił: nie troszcz się; Bóg ma więcéj niźli rozdał! a wyście też zastukali. Ale cóż ta szalona dziéwka nie wraca.

BASIA.

Pewno znowu za piec wlazła.

SWACHA.

Pójdę ja po nią.

MATKA.

Dla Boga! jak też to cała wieś dziwować się będzie... Ale drugie dziéwki, to chyba ślipie naszéj Marysi wyłupią, bo każdziuteńka miała na Jasia oko.

OJCIEC.

Zawszem ja był pewny, że nasza dziéwka dobrego męża dostanie, bo staranna i posłuszna; alem jednak o Jasiu nie myślał.

(Swacha wraca. Marysia już nie z takim idzie oporem—podaje kieliszek, Swacha nalewa wódki, i pije do niéj, mówiąc piérwéj).

W tym kieliszku kropel ile,
Daj Boże szczęścia lat tyle.

(Nalawszy drugi, podaje Marysi: ta bierze, odwraca się, wypija trochę ze wstydem i oddaje).

SWACHA.

Wypijże do dna dziewczyno,
Bo gdy kieliszka nie spełnisz,
Przykrą dolą go dopełnisz;
A to swoją własną winą.
(Marysia wypija).

(*Swacha do rodziców, pijąc do nich*).

I ku wam schyli się flasza,
Jeśli taka wola wasza.

RODZICE (*razem*).

Kiedyć Boska, to i nasza. (*piją*).

SWACHA (*do Basi*)

A ty, wypijesz dziewczyno?

BASIA.

Chętnie, a gdy za piec sięgę,
Ja tak drożyć się nie będę.

SWACHA.

No! Boguż dzięki! toć się i stało; biegnę do Jaśka, biegnę do kumoszek: bywajcie zdrowi!

MATKA.

Raz jeszcze, Bóg wam zapłać, pani kumo!

OJCIEC.

Daj Panie Boże odsłużyć
(*Swacha wychodzi*).

SCENA IV.

CIŻ SAMI prócz SWACHY.

OJCIEC.

Dobrać to kobiéta ta Gogolina... Pan Bóg wiele człeku odjął, ale mu przynajmniéj zostawił przyjaciół; skarb to nie mały: kupićby go trudno.

MATKA.

Słusznie mówicie... Ale ja zdoprawdy, nie wiem co się zemną dzieje; może to czary, może to sen, (*spluwa, przeciera oczy*). Ale nie... toć na jawie się dzieje... kiedy tak, pójdźże dziéwko moja i ogarnij się trochę: spleć te kosy, upstrzyj się nieco; boć jedno patrzeć, rychło tu na *zarę-czyny* przyjdą.

MARYSIA.

Dobrze Matulu, i pobiegnę do Sobczanki, ona ma grządkę kwiatów prześlicznych, ustroję sobie głowę.

MATKA.

Pójdź, a ja tu z Basią poprzątnę trochę (*Marysia odchodzi. Matka z Basią zabiera się do sprzątania*). Cieszyć się dusza moja nie pomału, że téj dziéwce naszéj tak dobrze się trafiło, ale jednak boleje serce... już jéj w domu mieć nie będę... (*zamyśla się*).

OJCIEC.

Kobiéto... kobiéto! albóż to rodzice dla siebie dzieci rodzą i chowają? najprzód dla Boga, a potém dla ludzi! Patrzyć na dobrą dolę dziatek, to nasza pociecha! Wreszcie, wszak masz drugą córkę; dziecię to jeszcze: nacieszysz się z nią lat kilka.

BASIA (*przestając zamiatania*).

Matulu! obaczycie jak wam usługować będę: i łóżko pościelę, izbę zamiotę i jeść ugotuję, i ogród obrobię; gdyby była krowa i ją wydoję, i wszystkiemu dam radę. A będziecież mnie tak kochali jak Marysię kochacie?

MATKA.

Jeśli jedno podołasz taką być dobrą jak ona, mnie mojéj miłości starczy. Ale wątpię... jedna moja Marysia na

świecie, jedna to moja jagódka... (*płacze*). Pójdę do chaty, roztworzę skrzynię, obaczę czyby jéj dać czego nie można?

OJCIEC (*który stał zamyślony*).

Oj! i mnie też to ona myśl trapi! Cóż damy niebożęta? Nigdy mi się biéda nasza tak ciężką jak w téj chwili nie zdawała... A i częstować Jasia i swachy należy. Basiu, bieżno do karczmarki, powiedz co się stało, i proś o kwartę wódki i o dwa garce piwa. Zapłacę jéj lub odrobię, jak będę mógł najrychléj.

(*Oboje do chaty wchodzą*).

BASIA.

Biegnę tatulu, po drodze wstąpię do Walkównéj, pożyczyłam jéj pawie piórko, odbiorę i dam Marysi, niech się w nie ustroi.

(*Wybiega w przeciwną stronę*).

SCENA V.

MARYSIA.

(*Idzie pomału z pękiem kwiatów*).

Wierzyć nie chciała Sobczanka, że była *swacha* u mnie, żem już kieliszek podała, że zamąż idę i to za Jasia Rusaka. Niedziwota, mnie saméj nie łacno temu uwierzyć. Nie czemu też-to sroczka krzeczała na płocie, i złodzieje dziś mi się śnili?... Oj, ukradnie mnie Jasio Mateńce, ukradnie... Będę sobie gospodynią... Którąm jedno dziewkę spotkała, to się dziwuje, to mi zazdrości... Będę rodzicom pomocą... ja się też raduję, bardzo raduję... jedno mi trocha ciężko na sercu... nie dziwota, tak wielkie szczęście... Ten Kuba Smyk wcale chłopak przystojny... ale i Jasiowi Ru-

sakowi niczego... jednak nie tak gracko w tańcu wywija... Wierz tu wróżbom: w wieczór Ś. Jana, Kuba mi się przyśnił. Ale o Kubie źle mówią, bałamut, napić się lubi... Jasia wszyscy chwalą... Sobczanka powiada, że Smyk i do niéj się udawał, a przecież swachy nie przysłał... o Jasiu, ani o żadnym Rusaku nic takiego słychać nie było. O! już mi lżéj na sercu. *(Słychać skrzypka).* Ale otóż i Jasio ze swachą i z drużbami.

SCENA VI.

MARYSIA, SWACHA, JASIO, DRUŻBOWIE, *późniéj* OJCIEC, MATKA I BASIA *z kwarty i ze dzbanem; dziewcząt i chłopaków grono.*

SWACHA.

Oto Jasieńko przybył tu do ciebie.
Spodobałaś mu się, jakby Anioł w Niebie.

JASIO (*stojąc przed Marysią*).

Otom z drużyną przybył tu do ciebie,
Spodobałaś mi się, jakby Anioł w Niebie.

MARYSIA.

Zkądżeście to wy przybyli
Moi mili goście?
Kiedy się wam spodobałam,
Ojca, Matki proście.

(Zbliżają się ku chacie. Ojciec i Matka wychodzą. Jasio kłania się Matce, ona przyzwala i błogosławi go. Ojciec się wzdraga. Przez ten czas drużyna Jasia śpiéwa).

Dajcież Marysię Jasiowi
Ku wiecznemu ślubowi.

JASIO (*do Ojca*).

Pani Matka pozwoliła,
A pan Ojciec nie chce?

OJCIEC.

Boć mi moja córusieńka
Progów nie przedepce,
Sukienki nie przedrze,
Wody nie nanosi,
Niechże się tóż Jasiuleńko,
Wprzód o nią naprosi.

SWACHA.

Już ci się was prosi,
Już ci się wam klania,
Niechże się pan Ojciec,
Tak długo nie wzbrania.

DRUŻYNA.

Dajcież Marysię Jasiowi
Ku ich wiecznemu ślubowi.

SWACHA.

Niechże Jaś z Marysią
Wezmą się za ręce,
Zróbmy zaręczyny:
Niech żyje ta para!

(*Ojciec zezwala. Swacha łączy ręce Jasia i Marysi; stają przed rodzicami, otacza ich drużyna wołając: „Niech żyje ta para!“ i zasłona spada*).

AKT II.

SCENA I.

OJCIEC, MATKA, MARYSIA, BASIA, DRUCHNY.

(Marysia otoczona druchnami, siedzi na ziemi wśród kwiatów, i wianek z zielonych gałązek wije; jedne druchny jéj pomagają, drugie układają równianki, snopki kwiatów wiążą. Matka na stołku siedzi przy nich zamyślona; Ojciec opodal stoi).

DRUCHNY (*śpiéwają smutnie*).

Wila Marysia wianeczek,
Z drobnéj ruteńki serdeczek;
Okrasa sioła, ta miła,
Z swemi druchnami go wiła;
Jedna ruteńkę szczypała,
Druga równianki równiała,
Trzecia snopeczki wiązała.
Wyszła Maryś do ogroda,
Rumiana kieby jagoda.

MARYSIA (*z niemi smutnie*).

Z ziółkiem tak się rozmawiała:
„Nie będę cię przesadzała,
„Zimną wodą podlewała,
„Zimną wodą podlewała.“

BASIA (*sama wesoło*).

Jest ci tutaj młodsza siostra,
Jeszcześć ona nie dorosła;
To go będzie przesadzała,
Zimną wodą podlewała.

DRUCHNY *(do Marysi).*

Marysiu! weź wianek w dłonie,
Oddaj go Matce w pokłonie.

MARYSIA *(podając wianek Matce).*

Moja Mateńko, kochanie,
Przyjm ten wianek córki w danie.

(Matka odpycha naprzód wianek, potém go bierze i przypina córce, która klęczy przed nią i śpiéwa):

Mateńka wianka nie bierze,
Bo od żałości nie zdoła:
Serce moje, żałość moja,
Czemuż ty mi nie zapłaczesz?

(Marysia skłania jéj się do nóg z uczuciem, a za sceną wesoła muzyka słyszeć się daje, i odgłos daleki tych słów):

Śpieszmyż swacia, bracia!
Jedźmyż żywo po nią,
Po dobrą gosponią.

DRUCHNY *(powstają i śpiewają żałośnie).*

Brzęczą kowane wozy — brzęczą,
Jadą po Marysieńkę — jadą.
Jadą po Marysieńkę — jadą.

(Słychać znowu śpiew wesoły, już nieco bliżéj).

Śpieszmyż swacia, bracia!
Jedźmyż żywo po nią,
Po dobrą gosponią.

MARYSIA (*porywa się od stóp Matki, i bieży z płaczem do Ojca*).

Mój Tatuniu, mój rodzony,
Nie daj mnie od siebie;
Niechże schodzę te *zamszowe**)
Trzewiczki u ciebie.

OJCIEC.

Moja córusiu, moja rodzona,
Jużeś się u mnie nabyła;
Jużeś niejedne takie trzewiczki,
U twych rodzonych schodziła.

(*Słychać śpiew wesoły coraz bliżéj*).

Śpieszmyż swacia bracia!
Jedźmyż żywo po nią,
Po dobrą gosponią.

DRUCHNY (*do Marysi strwożonéj*).

Znasz-ci Jasieńka,
Chłopca dziarskiego,
Znasz-ci młodego,
Co po cię jedzie?
Ojca przeprosił,
Konia osiodłał,
Ubrał się pięknie,
Zaraz tu będzie.

(*Słychać śpiew wesoły już bardzo blizko*).

Śpieszmyż swacia, bracia!
Jedźmyż żywo po nią,
Po dobrą gosponią.

---

*) Zamsz, skórka dobrze wyprawna, safian.

RODZICE (*do Marysi*).

Wyjdźże Marysiu
Do saméj bramy:
Przywitaj gości.

DRUCHNY (*patrząc w stronę zkąd odgłos*).

Wyjdźże Marysiu,
Piękni ci goście przybyli,
Nadobnie ci wystąpili.

(*Marysia słucha ich poniewolnie, i wychodzi naprzeciw wesela*).

SCENA II.

CIŻ SAMI, WESELE CAŁE.

(Na czele Starosta weselny z chorągwią w ręku, na któréj ten napis „Młoda Marysia od swéj Mateńki odstanie," za nim Drużba, Marszałek czyli najstarszy, z pierścionkami na tacce. Obok Pana Młodego Drużba*) z palmą z choiny, przy któréj cztéry świéczki, dzwonek i dwa wianki. Cała drużyna weselna postępuje wesoło przy odgłosie marszu i ustawia się w porządku).

MARYSIA (*stając koło druchen*).

O! biédaż mnie nieboże!

DOMOWI (*do przybyłych*).

Przywitaj téż was Boże!

---

*) Ten Drużba zupełnie gra rolę *pajaca* czyli błazna. Podczaś całego wesela przed państwem młodém tańcuje, skacze, i tą palmą wywija. Wianków zaś często w miejscu obrączek używają, i dla tego choć są pierścionki, muszą być i wianki.

JASIO (*do Marysi kłaniając jéj się*).

Już słoneńko za sadami,
Młoda Maryś, jedźże z nami.

MARYSIA (*składając ręce*).

Proszę ja was o to,
Proszę ja was o to,
Żebyście mnie poczekali;
Niechże ja się przejdę,
Do rodzonych na poradę,
Jeśli każą—to pojadę.

JASIO z DRUŻBAMI.

Jużeśmy u nich byli,
Już nam cię pozwolili.

(*Rodzice dają znak zezwolenia, Swacha czyli Starościna śpiéwa do Marysi*).

Kłaniaj się Marysiu,
Kłaniaj-że się młodo;
Padnij raz i drugi
Rodzonym pod nogi.

MARYSIA.

Pocóż mam się kłaniać?
Za co mam dziękować?
Kiedy mnie rodzeni
Nie chcą u się chować.

STAROŚCINA.

Przeproś Marysiu,
Swoją Mateńkę,

W czemeś ją przegniewała;
Jak nie przeprosisz,
Jak nie przebłagasz,
Nie będziesz doli miała.

(*Marysia pąda Matce do nóg*).

Przeproś Marysiu
Swoją Siostrzenkę, i t. d. *)
(*Marysia Basię całuje*).

(*W czasie tych przeprosin, druchny rozdają drużbom snopki z kwiatów i przypinają takież sobie. Najstarszy drużba i druchna występują na środek sceny, drużba oddaje druchnie pierścionki i śpiewają*):

Pośród sioła,
Kuźnia stała,
A w téj kuźni,

(*Całe wesele z wielkim okrzykiem*):

Ładо, Ładо!

DRUŻBA z DRUCHNĄ.

Biją młoty,
W pierścień złoty,
Z młodym Jasieńkiem
Ku ślubowi.

(*powtórnie*).

Ładо, Ładо! **)

*) Choćby rodzina panny młodéj najliczniejszą była, każdego z osobna tak przepraszać musi, Prawdziwie tkliwy obyczaj.

**) Ładо czyli Lado, bogini miłości u Słowian. Tę śpiewkę może jeszcze przed Mieczysławem śpiewano.

STAROŚCINA.

No! kiedy już wszystko gotowe, i co Bóg przykazał spełnione, trzeba nam iść do kościoła. Już tam ksiądz ze stułą czeka. Marysiu, pożegnaj Matkę, już tu Jasia żoną wrócisz.

(*Marysia skłania się Matce, która na głos płacze*).

MARYSIA (*do weselnéj drużyny*).

Już idźcie, poganiajcie,
Z mojéj Mateńki domu!
Niech ja nie widzę,
Niech ja nie słyszę,
Mojéj Mateńki żalu.
Boć Mateńka tak płacze,
Boć Mateńka żałuje,
Jako kukułka,
Jako kukułka,
W zielonym gaju kuje.

(*Ustawia się cała drużyna weselna, Marysię druchny, Jasia drużbowie prowadzą, i idą poważnie ku kościołowi, przy odgłosie marszu śpiewając*):

Od terema do terema,
My do ślubu dziś idziema,
Wié to Pan Jezus,
Matka Najświętsza,
Czy go weźmiema?
Od Boga ślub,
Od ludzi sąd.

(*Ten śpiew słychać długo, dopóki weselna drużyna do kościoła nie wejdzie*).

SCENA III.

(Drużyna weselna w oddaleniu, Matka, później kobiét wiejskich czyli gospodyń kilka, które z chat swoich wychodzą, duże misy w ręku trzymając).

MATKA (*powtarzając ostatnie drużyny słowa*).

Od Mateńki wesele?
Oj! chcecie wy za wiele.
Wesela? serce płacze,
Skrzynia pustką kołacze.

O prawda! i żal i bieda — weselić się trudno a przecież trzeba i należy. Wnet wrócą, przygotować wszystko muszę. (*Zaczyna się krzątać*).

JEDNA GOSPODYNI.

Jak się macie, pani kumo; przynoszę na gody waszéj Marysi kęs jadła: pierogi z tatarczanéj mąki z sérem.

DRUGA GOSPODYNI.

Ja kapuśniaku ze szperką, bo serdecznie kocham Marysię waszą.

TRZECIA.

Odemnie przyjmiecie te potrząchane kartofle, suto skraszone.

CZWARTA.

Ja się mego daru nie powstydzę: oto mięsiwo, parę wieprzowych pieczonek.

PIĄTA.

Jam przyniosła różnéj wędliny, boć przy godach różności potrzeba.

SZÓSTA (*z nieśmiałością*).

Mnie niestało na wiele, sama tu zielenina, ale czysto sporządzona.

MATKA.

Bóg wam zapłać, dobre sąsiady, Bóg wam zapłać kumy; daj Panie Boże w takowym razie odsłużyć. Postawcie na stole wasze podarki; wszak je pożyjecie z nami?

WSZYSTKIE.

Pożyjemy, boć nas państwo młode prosili na wesele.

JEDNA Z GOSPODYŃ.

Czy już drużyna weselna do kościoła poszła?

MATKA

Już; w téj chwili zapewne ksiądz im ręce wiąże i błogosławi. Oby Pan Bóg serca ich lepiéj jeszcze związał, i pobłogosławił.

DRUGA GOSPODYNI.

Ani wątpiéć, Rusaków rodzina z dawna jedna z najpoczciwszych w Lubelskiém. Waszéj też dziewce nic nie brak, Bogu dzięka. Winszować wam jedno pani kumo, winszować!

TRZECIA.

Chciałabym ja z moją Kaśką rychło takowego doczekać kłopotu.

MATKA.

Nie żądajcie, nie żądajcie; przyjdzie sam jakby piorun i nie będziecie mu koniecznie rade. — Ja sama nieraz pomyślałam: Panie Boże, któż tę moję dziewczynę weźmie? a teraz mi się widzi, że mi ją Jasieńko zarychło bierze.

CZWARTA GOSPODYNI.

Ależ ustawmyż stół, urządźmy jadło i napoje, bo wiem, że ślub wiąże na czas długi, ale sam bardzo krótki.

(*Biorą się do nakrycia i zastawy stołu i śpiewają*):

Roztaczajmy bielone obrusy,
Na stole,
Rozstawiajmy misy i talerze:
Nie ubędzieć tych sprzętów na stole,
Bośmy uczciwi goście w tym domie.

(*Kiedy tak zajęte, słychać z daleka śpiew wesoły*):

Pod czereśniami,
Pod kalinami,
Barwinek zielony;
Śpiesz się Mateńko,
Już Jaś ożeniony.
Od terema do terema,
Jużeśmy po ślubie,
Wzięty on według zakonu.
Od Boga był ślub,
Od ludzi jest sąd,
Od Matki będzie wesele.

(*Słysząc śpiew, Gospodynie mówią*):

Otoż już wracają.

(*Matka wchodzi śpiesznie do chaty, zamknąwszy fórtkę*).

SCENA IV i OSTATNIA.

Gospodynie, Matka w chacie, cała weselna drużyna. Jaś trzyma Marysię za rękę.

GOSPODYNIE DO MARYSI.

Marysiu młoda,
U ślubuś była,
Kogożeś się radziła?

MARYSIA.

Radziła ja się,
Boga miłego,
Boga miłego,
Matki i Ojca swego. *)

GOSPODYNIE *(wskazując kolejno na chatę i na Jasia).*

Zimna, zimeńka,
Bardzo bieleńka,
Czy nas rano napadniesz?
Pytajmyć ci się,
Młoda Marysiu,
Do kogoż ty przystajesz?

MARYSIA.

Przystałaćbym ja,
Do méj Mateńki,
I do Tateńka,
I do siostrzeńki,
Ale nie chcą mnie zimować,
Dłużéj w chacie chować.

*) Oby każda panna młoda tak powiedzieć mogła!

JASIO (*biorąc ją*).

Przystań więc do Jasieńka,
On cię będzie zimował,
Na wiek u się chował.

DRUŻBY I DRUCHNY.

Czas, czas, godzineńka schodzi,
Matka niech z chaty wychodzi.
(*Otaczają zagrodę i dobijają się*).

MATKA (*z chaty*).

Zkądeście dwór najechali?
Cisowe wrota złamali?
Zielone podwórko złamali?

(*Na każde to zapytanie drużyna weselna odpowiada okrzykiem*):

Łado! Łado!

MARYSIA.

Nie frasujcie się Matuniu,
Jutro rano przyjedziemy,
Waszą szkodę naprawiemy.
Łado! Łado!

DRUŻBY I DRUCHNY.

Niechże kto wyskoczy,
Wódki nam utoczy.

(*Słychać, że drzwi silniéj zamyka*).

Oj! zamkneni nam, zamkneni,
Nie chcą nas puścić do sieni.
Łado! Łado!

MARYSIA (*z czułością*).

Otwórz, Mateńko otwórz!
To twoja córeńka.

(*Matka otwiéra—ściska państwa młodych, którzy jéj się do nóg skłaniają, wita się ze wszystkiemi, mówiąc*: **Niech będzie pochwalony!**).

MARYSIA.

Moja Mateńko,
Radziżeście gościom?

MATKA.

Radam z duszy, radam,
Byle dobrym i na dobrym.
Siadajcie za stołem,
Sobie z Panem Bogiem.

(*Tu Marszałek weselny miejsca wskazuje, a Starościna mówi:*

Drużebko, za stół ich proście,
Rzędem, rzędem ich sadowcie.

MARYSIA DO MARSZAŁKA.

Moję Mateńkę,
Moję rodzoną,
Posadź przeciw mnie;
Niech jéj się napatrzę.
Jako gwiazdeńki,
Jako jaśnieńki,
Na Niebie,
Tak ja Mateńko,
Tak ja rodzono,
Dziś ciebie.

(*Siada Matka naprzeciw Marysi, obok niéj Jasio, zasiadają wszyscy oprócz Marszałka i Drużby z palmą*).

MARSZAŁEK DO OJCA I DO MATKI (*kłaniając im się*).

Niech będzie pochwalony! Panie Ojcze i pani Matko, czy z wolą waszą mamy używać tego Boskiego daru?

OJCIEC I MATKA (*powstając*).

Z wolą!

MARSZAŁEK.

Przeżegnajcież go! (*Ojciec i Matka żegnają*).

(*Tu jedzą; Marszałek każdy półmisek stawia przed państwem młodem i mówi za każdym*):

Przyjmijcie mało,
Za wiele,
Bo się to stało,
Naprędce wesele.

(*Jak już z półmisków znikać zaczyna, Drużba z palmą, który przez ciąg cały błaznować powinien, mówi*):

Z daleka ci goście byli,
Dobrze oni jedli, pili;
Ni na stole skóreczki,
Ni pod stołem kosteczki.

(*Jak już wszystko zjedzą*).

MARSZAŁEK.

Powstańcie Panowie,
Powstańcie Pankowie;
Dziękujcie za ucztę,
Bogu i Mateńce.

(*Wstają wszyscy i dzięki składają Bogu i Matce*).

Ej! do koła, druchny, drużbowie do koła!
Żebyć nam była Panna młoda wesoła.

(*Otaczają Marysię, i tańcują koło niéj śpiewając różne pieśni, jak· n. p.*):

Juźcić, Maryś, juźci,
Bóg was nie opuści;
Obojeście młodzi,
Kochać się wam godzi.

Na Lubelskiém bagnie,
Rybka wody pragnie;
Ożenił się Jasio,
Czyż mu tak nie ładnie?

Dudni woda, dudni,
Na podworcu w studni:
Zakochać się łatwo,
Odkochać się trudniéj.

JASIO.

Stójcie tu koniki, ja się ani ruszę,
Bo mi Marysieńka zapaliła duszę;
Ani słomą ani ogniem,
Tylko słoweczkiem łagodném.

JASIO I MARYSIA.

Płyną gąski płyną, wodeńki nie mącą,
Zjedzą kata ludzie, jeśli nas rozłączą.

STAROŚCINA (*do tańcujących*).

Zaniechajcie tańców, trzeba obaczyć jaka będzie Młodych dola?

(*Daje obojgu po bochenku chleba; ci toczą każdy*

swój—jeśli rązem idą i razem upadną. wszyscy wołają wesoło: Pomyślna dola, pomyślna! *Jeśli przeciwnie, milczenie panuje, Marszałek go przerywa wołając*):

Ej do koła, druchny, druźbowie, do koła!
Żebyć nam była Panna młoda wesoła.

(*Znowu tańcują, a wśród tańców, Starościna wkoło się wciska z dzieżą, i z nią tańcuje: na ten widok Marysia wymyka się i ucieka do chaty*).

DRUŻBOWIE.

Kędyż się Młoda podziała,
Co tu z nami wywijała?

DRUCHNY.

Poszła do komory nowéj,
Zamknęła zamek cisowy.

Wszyscy zbliżając się do chaty.

Już ci precz, Maryś, już ci precz!
Zdejm wianeczek,
W pół skrzyneczek,
Pójdź, włóż, czepiec.

(*Matka i Starościna idą po nią, przyprowadzają, i sadowią na dzieży na środku sceny postawionéj. Marysia już bez wianka. Druchny ją otaczają, rozczesują kosy, i śpiewają smutnie*):

W kalinowym lesie,
Woda kamień niesie;
Maryś na nim stała,
Swe kosy czesała.
Co włosek upadnie,
To woda zagarnie.

„Płyńcie moje włosy,
„Do Matki w roskoszy;
„Jak tam przypłyniecie,
„Przed wroty staniecie;
„Pytajcie odemnie:
„Nie tęskniąż bezemnie?“

(*Gospodynie*, *Matka*, *Starościna*, *podają czepek*, *zawój i zawijkę*).

Matuniu moja,
Dodaj zawoja!
Matka do skrzynie,
Zawój rozwinie.

(*Gdy się kładą te ubiory*):

Przykryło się niebo obłokami,
Przykryła się Marysia rąbkami,
Okrył się jawor zielonym listeńkiem
Młoda Marysia bielonym czepeńkiem.

(*Jak już ubrana*, *Ojciec przychodzi*, *przypatruje jéj się*):

Marysiu, koraliku mój złoty,
Gdzieś działa pozłociste uploty?

MARYSIA.

Dałam ich Matuleńce schować—już!
Boć mi czas gospodynią zostać—już.
(*płacze*).

DRUCHNY (*smutne*).

Zakukała zuzuleńka za borem,
Zapłakała Marysieńka za stołem.
Nieszczęśliwe godzineńka i chwila,
Jużci ona kawalerom nie miła.

(*Tu różne następują ceregiele*, *Panna młoda się chowa*, *Starościna siada na dzieży*, *i ją udaje*. *Pan młody takiéj żo-*

ny nie chce, swojéj szuka. Następuje taniec, w którym Panna młoda kuleje. W czasie tego tańca Drużbowie jéj śpiewają):

Prowadzili Bratkowie siostrę ze dwora,
Nie wiedziała,
Którą drożeńką iść miała?
Stanęła jak biała lilja przy drodze,
Patrzyła którędy rodzina jéj pójdzie?
Rodzina jedzie — białę lilję mija,
Ona wstała—zapłakała,
Nie wzięli ją.
Młody Jasieńko jedzie,
Białéj lilii nie mija,
Ona wstała — rozśmiała się:
Wziął ci ją.

(*W końcu téj piosnki, Jaś bierze Marysię do tańca: potém ona ze starszym Drużbą chodzi do przytomnych z tacką, i proszą:* Na nowy klasztor. *W czasie tego zbierania, Basia na boku śpiewa):*

Ej! na weselum była,
Nicem nie użyła;
Trzewiczynkim zdarła
Głodu się namarła.

(*Po odbytém zbieraniu rozpoczynają się ochocze tańce z różnemi śpiewkami, ostatnia jest następująca):*

Oj wesele! wesele!
Było i nie będzie;
Była ci Maryś biéda,
Jeszcze większa będzie.
Wesela godzina,
Biédy wiek — biédy wiek *)

*) Nie wiem, jakie o poprzednich piosnkach zdanie Czytelników będzie, ale ostatniéj bodajby żaden z nich prawdy nie przyznał.

O GRACH ĆWICZĄCYCH UMYSŁ.

Niezawodną jest prawdą, że człowiek przy uwadze i staranności, z każdéj rzeczy, z każdéj chwili korzyść odnieść potrafi; i tak zabawa, godziny rozrywce poświęcone, owa część dnia jakby na stratę puszczona, może stać się bardzo użyteczną. Bo wtedy umysł wolny, nie natężony, nie przymuszony, łatwo i nieznacznie światło przyjmuje, a w pożytek iść zwykło to, co chętnie, dobrowolnie i wesoło czynimy; jak pokarm, który przy dobréj myśli pożywany, zdrowszy się staje. Wszyscy wiemy, iż wielkim dla każdego jest wdziękiem gładkie wysłowienie się, bądź ustnie, bądź na piśmie; właściwe rzeczy każdéj nazwanie, odpowiedź prędka i trafna, sąd i zdanie sprawiedliwe, a tych wszystkich przymiotów niemal igrając nabyć można. Wprawdzie nauka otwiera do nich wrota. W niéj spoczywają ich zapasy, ale bądźmy tego pewni, książki dają tylko wiadomość rzeczy każdéj, obcowanie z ludźmi w ćwiczenie ją zamienia; niech mi wolno będzie dowieść téj prawdy w następującym przykładzie: podobno dla przytoczenia go wzięłam pióro w rękę?... wykryła się prawda, ale wstydzić jéj się nie mam potrzeby. Wiele jest domów, gdzie rodzice trzymają dzieciom nauczycieli języka polskiego, a jednak mało jest chłopczyków, a tem mniéj dziewcząt, gładko i czysto po polsku mówiących. Dlaczego? bo do wiadomości ćwiczenia nie łączą, bo w godzinach nauki czytają i piszą po polsku, ale w chwilach rozrywki i obcowania z ludźmi, inna mowa jest w ich

ustach. Rozmowy poufałe, gry, zabawy, w obcym odprawiają się języku, i czyż dziwną być może owa biegłość w cudzéj mowie, ze szkodą ojczystéj nabyta?... O! jakżebym szczęśliwą była, gdyby ten przykład, te proste uwagi przekonały was, dzieci drogie! i poprawić zdołały... Dopomódz cokolwiek do tego, jest celem życia, wszystkich moich prac i zabiegów; a wierzajcie mi, póty język ojczysty trudnym dla was będzie, póki w stosunkach z rodzeństwem, z przyjaciołmi, w zabawach waszych, obcą mową, uczucia i myśli wasze wyrażać nie przestaniecie. Wiem ja, że najtrudniéj jest nałóg pokonać, ale w saméj trudności zwycięztwa istotna chluba, sprobujcie tylko, a skutek usiłowania wasze uwieńczy. Oto przynoszę wam na chwile zabawy, na te chwile, które jak mówiłam, tak snadnie pożytecznemi uczynić można, małą wiadomość *o Grach ćwiczących umysł:* niektóre bez wątpienia już wam są znane, ale znacie je w francuzkim języku; przybrane w strój ojczysty, na sposób w jaki w pewném towarzystwie, (gdzie po polsku mówić lubią) były używane, niech wam się nowe i milsze wydadzą! używajcie ich i wy w lubéj rodowitéj mowie, a niezawodnie wprawy wam do niéj użyczą. *Gry ćwiczące umysł* dzielę na dwie części: *ustne i pisane;* zaczynam od bardzo łatwych.

I.

GRY USTNE.

GRA ZMYSŁÓW.

Do téj gry sześciu potrzeba osób, wszystkie zasiąść powinny wkoło; pięć przybiera nazwiska: *wzroku, słuchu, smaku, powonienia i dotykania*, a szósta nazywa pierwszą rzecz

zmysłową która jéj na myśl przyjdzie, lub pod oczy wpadnie. Jeśli ta rzecz jest taką, iż ją tylko jednym zmysłem rozpoznawać możemy, osoba ten zmysł przedstawiająca podnieść się i wykręcić powinna; jeśli dwoma, trzema, wreszcie wszystkiemi, dwie, trzy, wreszcie wszystkie wstać muszą, a każda powinna powiedzieć dlaczego wstaje, lub nie wstaje? kto nie uważa, i albo nie wstanie, albo téż nie potrzebnie się podniesie, fant daje.

Przykłady.

Wiadoma osoba wyrzekła: *Księżyc.*

Wzrok wstaje, wykręca się i mówi: Wstałem, bo księżyc widać.

Słuch siedzi. Księżyca słyszéć nie można, hałasu nie sprawia.

Smak. Księżyca kosztować niepodobna.

Powonienie i dotykanie. Księżyc zbyt daleko, trudno go powąchać, albo się dotknąć.

Wiadoma osoba mówi: *Jabłko.*

Wszystkie zmysły wstają i wykręcają się prócz *słuchu*, i tak się tłumaczą.

Wzrok: Jabłko smakuję.

Smak: Jabłko widzę.

Powonienie: Jabłko pachnie.

Dotknienie: Jabłka się dotykam.

Słuch: Jam nie wstał, bo jabłko samo z siebie hałasu nie sprawia.

Podobnąż grę można z *pięciu części świata* ułożyć: są rzeczy wszystkim wspólne, są inne niektórym tylko właściwe: tak na wyraz *zboże*, wszystkie wstać mogą, bo zboże wszędzie się udaje; na wyraz *drogie kamienie*, Azya i Ameryka same powstaną i t. p. Kiedy mniéj osób, można

wziąść *cztery żywioły* albo *trzy królestwa przyrodzenia*; kiedy zaś grono większe, każda osoba przybiera nazwisko innego narodu: tak między nowożytnemi, za wymienieniem *Karola*, Szwedzki, Francuzki, Angielski i inne które tego nazwiska monarchów miały, wstają i wykręcają się, Polski siedzi i tak następnie. Dowcipne dzieci na ten wzór niemal codzień stwarzać mogą gry nowe, a przy zabawie uczyć się i rzeczy i języka.

ZAGADKI.

Jedna osoba wychodzi z pokoju, pozostałe obierają tymczasem rzeczownik jaki; wraca, dziesięć zapytań czynić jéj wolno; jeśli z dziesięciu odpowiedzi kolejno przez obecnych dawanych, wyrazu obranego nie zgadnie, fant daje.

PRZYKŁAD.

1) *Pytanie:* Jakiego rodzaju?
   Odpowiedź: żeńskiego.
2) *P.* Z jakiego królestwa?
   O. Wszystkie trzy mieścić w sobie może.
3) *P.* Na co się przyda?
   O. Oświeca.
4) *P.* Gdzie jéj miejsce właściwe?
   O. W ręku.
5) *P.* Jakiego koloru?
   O. Wszystkie mieć może.
6) *P.* Jakiego wieku?
   O. Nie jedna ma tysiąc lat, nie jedna wczoraj się urodziła.
7) *P.* Czy jest ze złych czy z dobrych rzeczy?
   O. Z dobrych, ale złą być może.
8) *P.* Czy jest nieodzownie potrzebną?
   O. Jak komu.

9) *P.* Rzecz to duża czy mała, ważna czy lekka?
O. Różnie: są wielkie, są małe, są ważniejsze od złota, są lżejsze od piórka.
10) *P.* Czy to rzecz stworzona, czy zrobiona?
O. Zrobiona, ale nic nie warta, kiedy przez rzemieślnika.

Dwuznaczne wyrazy.

Do téj gry podobnież się przystępuje jak do tamtéj, ale dobór wyrazu trudniejszy, gdyż nasz język tak jest bogaty, iż prawie rzecz każda właściwy sobie ma wyraz; jednakże przy namyśle znaleźć podobnych kilkanaście można, jakoto: Zamek, Pająk, Koza, Klucz, Grono, Warta, Gwoździk, Bat, Bal, Para i t. d.

PRZYKŁAD.

1) *Pytanie:* Jakiego rodzaju?
Odpowiedź: żeńskiego.
2) *P.* Z jakiego królestwa?
O. Z żadnego, bo to rzecz umysłowa.
3) *P.* Na co się przyda?
O. Łzom i cnocie dopomódz może.
4) *P.* Gdzie jéj miejsce właściwe?
O. Kiedy tkliwa w uściech, kiedy szlachetna w sercu, kiedy nadęta w głowie.
5) *P.* Czy jest ze złych czy z dobrych rzeczy?
O. Bywa przyjemną, bywa nieznośną i potrzebną.
6) *P.* Czy się bez niéj obejść nie można?
O. Pytaj się o to Ukrainy i szlachty.
7) *P.* Gdzie jéj szukać?
O. U gminu, w książkach, w człowieku.
8) *P.* Jakie jéj skutki?
O. Rozrzewnia, podnosi, a czasem rozśmiesza.

9) *P.* Jak dawna?
O. Jak człowiek, smutek i poczya.
10) *P.* Polacy czy w nią bogaci?
O. Może więcéj od wszystkich narodów *).

Wyraz umieszczony.

Podobnież jak w poprzednich grach obiera się *wyraz* z którejbądź części mowy; ale już nie taić, umieścić go trzeba, bądź w opowiadaniu, bądź w wierszach. Uważać należy, aby w tém co się mówi, dwa przynajmniéj wyrazy powtarzane były, bo inaczéj zgadnąć bardzo łatwo; ostatnia z osób mówiących może téj ostróżności zaniechać.

PRZYKŁAD.

1.

Kowalski Korabczyk, w bitwie chorągiew ratując, gdy jednę utracił rękę, bronił się drugą, a gdy i ta była mu odciętą, owinął się jak mógł tym świętym znakiem i tak dopiero dał się rozsiekać.

2.

Bolesław Śmiały nim jeszcze świętego Stanisława zabił, i kiedy dla osobliwéj hojności imieniem szczodrego słynął, raz taką z łakomcy zrobił sobie igraszkę. Z zazdroszczonéj i bogatéj zdobyczy pozwolił mu brać co chciał; prawdziwy chciwiec wtedy dopiero brać przestał, gdy się ciężarem przerwał i umarł.

---

*) Podobno niema potrzeby wymieniać, że wyraz zagadki jest *książka*, a dwuznaczny *duma*.

3.

Piękny przykład miłości synowskiéj zostawił nam Krzywousty: pięć lat po śmierci ojca minęło, a on dopiero zdjął żałobę; przez całe życie wizerunek jego jak święty zakład na piersiach nosił, a przypatrując mu się codzień, mawiał: „uchowaj mnie Boże, abym co przeciw sławie Ojca popełnił".

4.

Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, siostra Jana III mawiała: grzeczna Francya, piękna Hiszpania, wesołe Włochy, bogate Niemcy, ale święta dla mnie Polska.

DRUGI PRZYKŁAD W WIERSZACH.

1.

Król i Pisarze.

Król jeden, pełen myśli i projektów dumnych,
Kazał spisać szczęśliwych rejestr i rozumnych;
Ten co pisał szczęśliwych, znalazł bardzo mało,
Pisarzowi rozumnych papieru niestało.

Krasicki.

2.

O uspokojeniu z cnoty.

My bardzo krótko żyjemy,
I nic o jutrze nie wiemy:
Za cóż ten kwasić czas mały,
Nieba nie na to go dały.
Niech niewolników złota strach obleci,
Czego się trwożyć mają Boskie dzieci?

Karpiński.

3.

Kłopot.

Ty mi dałeś serce twoje,
Abyś moje wziął w zamianę;
Teraz chcesz je mieć oddane:
Otóż daję ci oboje,
Bo już nie wiem które moje.

Brodziński.

4.

Nagrobek Liszki.

Mnie, com tłuste gęsi i kury kradała,
Mnie, com i wilkom wielkich łowów pomagała;
Teraz przy marnych skwarkach stępica zabiła,
Nie zawsze wielka kradzież złodzieja straciła *).

Szymonowicz.

Wyrazy składane **).

Obiera się jedna *syllaba*, i do niéj raz na początku, drugi raz na końcu, dodają się drugie, które równie jak cały wyraz znaczenie mieć muszą. Osoba odgadująca, wszystkie wyrazy podane wymienić powinna.

---

*) Każdy już zgadł zapewne, że pierwszy wyraz umieszczony jest *święty*, drugi *nie*.

**) Wyrazy do téj gry bardzo obfite, oprócz tu dodanych do syllaby *wy*, jako to: *wygody, okowy, wybór, kulawy, wylew, morwy, wyrok, wyspa, obawy;* można jeszcze do téj sámej syllaby dobrać kilka; np. *wybieg, wykręty, wysoki, worawy, wylot, wyprawa;* nareszcie sam *wyraz.* Taż sama jest obfitość i na inne syllaby.

Przykłady.

Do obranéj syllaby dodawszy:
— *Wesołą ucztę*—będzie, czego chory potrzebuje.
— *Zwierciadło duszy*—będzie brzęk i ciężar.
— *Miejsce cienia i ochłody*—będzie rzecz arcytrudna.
— *Narzędzie śmierci*—będzie kaleka.
Do *Zwierzę*—będzie klęska.
— *Zarazę*—będzie owoc.
— *Miarę czasu*—będzie miara sprawiedliwości.
— *Sławne wody*—będzie część ziemi.
— *Dwóch*—będzie czego pełne serce matki.

II.

GRY PISANE.

Te napozór są trudniejsze, ale ponieważ dłużéj zastanawiać się w nich wolno, w rzeczy saméj podobno łatwiejsze.

Sekretarz.

Ta gra znana powszechnie, nie potrzebuje zapewne opisu, tém bardziéj przykładu. Każdy wié, że przytomni piszą naprzód zapytania na małych karteczkach; te jednakowo zwinięte, kładą się w jakie naczynie; każdy na los bierze taką liczbę jaką włożył: jeśli swoje wyciągnie, zamienia, a na te które mu się zostają, jak może najlepiéj i najkrócéj odpowiada.

Czyje lepsze.

Jest to inny sposób grywania w sekretarza; gra bardzo zajmująca i zupełna, bo pieniężna.—Zaczyna się od staw-

ki; każdy umówioną kwotę pieniędzy składa, a potém wszyscy zapytania piszą. Przy głośném ich czytaniu mniéj trafne odkładają się na bok. Jedno zaś z lepszych, wielkiemi literami napisane, wystawione jest na widok publiczny, i wszyscy na nie na piśmie odpowiedzieć winni. Gdy już odpowiedzi gotowe, sąd z trzech osób złożony, które do téj pracy nie należały, zasiada, i czytane są głośno wszystkie odpowiedzi. Najlepszéj, sąd stawkę przyznaje, lepszym ustne daje pochwały.

PRZYKŁADY.

ODPOWIEDZI NA ZAPYTANIE:

Co jest podobném do bańki na wodzie?

O. 1) Chwila radości.
2) Szczęście śmiertelnika, co jak bańka znika.
3) Uśmiech fortuny.
4) Łaska możnych.
5) Sekret u kobiety.
6) Życie bez pożytku skończone.

ODPOWIEDZI NA ZAPYTANIE.

Jakie światło najwięcéj razi?

1) To, co prawdę nagą wystawia.
2) To, co skrytości serca niebacznie wykrywa.
3) Jeśli występnego—to światło niebieskie.
4) Słabego—niemal każde.
5) Z oczów osoby obrażonéj, a drogiéj.

ODPOWIEDZI NA ZAPYTANIE.

Jak się obchodzić z nieprzyjacielem?

1) Przebłagać go dobrodziejstwy.
2) Przebaczyć i zapomnieć.

3) Przywieść go do tego, aby sam żałował.
4) Zamienić go w przyjaciela.
5) Najlepiéj, nie być nigdy w tym przypadku.
6) Nieprzyjacielowi twojemu daruj, dumnego wyśmiéj, podłego unikaj, nieprzyjaciela samego siebie ratuj, nieprzyjaciela płci pięknéj żałuj, w nieprzyjaciół Boga nie wierz.

ODPOWIEDZI NA ZAPYTANIE.

Jaka rana najwięcéj boli?

1) Ta, która przez sumienie serca dotyka.
2) Ta, którą przyjazna ręka zadała.
3) Która nadziei uleczenia nie ma.
4) Ta, którą zazdrość swym jadem jątrzy.
5) Ta, któréj żadna łza nie zrosiła *).

SZARADY.

Z gry *Czyje lepsze* łatwo można grę szarad ułożyć; i tak, każdy pisze szaradę na wyraz, który sobie sam obmyśla, a najlepszéj sąd *stawkę* przyznaje.

1) *Pierwsze* przeczy, *dwie drugie* płyną:
Wszystkiem i zdrowie i majątki giną.

2) Me *pierwsze* Persami włada,
Drugie każdy cnotliwy po śmierci posiada;
Wszystkiego mogę rzecz śmiele
Między ludźmi znajdziesz wiele.

3) *Pierwsze* jest rzeki nazwisko,
Drugie dokucza, zwłaszcza ognia blisko;

---

*) Umieszczane pod liczbami 6. 5. 6. 5. odpowiedzi, są te które w wspomnianém Towarzystwie uwieńczone zostały.

Wszystko zaś razem
Jest albo przykrym, lub miłym obrazem.

4) *Pierwsze* wraca *drugiemu* moc i zdrowie całe,
Wszystkiego godłem piórko i serce niestałe *).

Porównania.

Na brzegu założonym karteczki, pisze każdy nazwisko sławnéj lub głośnéj osoby, i podaje ją sąsiadowi. Ten nie wiedząc nazwiska, powinien napisać rzeczownik jaki i oddać trzeciemu; ten zaś musi między osobą i rzeczą, *podobieństwo* i *różnicę* wynaleść, a przynajmniéj jaki taki stosunek upatrzyć, byleby się wywinął.

PRZYKŁADY.

KARPIŃSKI.

Koło.

Koło godłem wieczności,
Karpińskiego pamięć nieśmiertelna (*podobieństwo*).
Ślady *koła* lada wiatr zaciera,
Śladu pism *Karpińskiego* nie zatrze (*różnica*).

STASZIC.

Oręż.

Oręż swą siłą kraje podbija,
Staszic dobrodziejstwy serca podbił (*podobieństwo*).
Oręż rany zadaje,
Staszic je goił—(*różnica*).

NAPOLEON.

Strzała.

Wysoko lecieli — trafili na skałę.

*) Wyrazy szarad: Niestatek, Szachraj, Postać, Lekkość.

KOPERNIK.

Dym.

Dym ku Niebu się wznosi.
Tam wpatrywał się *Kopernik* (*podobieństwo*).
Dym ulatuje i ginie,
Kopernik uleciał, nie zginął (*różnica*).

BIELAWSKI (dawny wierszokleta).

Miotła.

Zgarniają śmiecie w Parnasie.

Końcówki.

Zadaje się każdemu cztery rymowane końcówki i każdy obowiązany wierszyki z nich ułożyć, jakiéj chce miary.

PRZYKŁAD.

1.

Jak młody wiek — *dzieci*
Za motylkiem — *leci*,
Tak my gonim *nadzieję*;
Ona z nas się *śmieje*.

2.

Zosia piękna, *hoża*,
Jak kwiatów *królowa:*
Czy dłużéj jak *róża*
Piękności *dochowa?*

3.

Szczęsny kto dogadzając szlachetnéj *ochocie*,
Całe swe *życie*
skrycie
Poświęca *cnocie*.

4.

Szczęśliwe te *narody*,
Gdzie cenione myśli *płody*:
Tam się krzewią piękne *sztuki*,
Kwitną nadobne *nauki*.

III.

SKARBONKA GLINIANA.

Powieść
(na zadany tytuł).

Niema zapewne nikogo, któryby nie znał *skarbonek glinianych*; pełno ich różnéj wielkości na targach naszych i u każdego garncarza, ale może nie każdemu wiadomo, jaki to sprzęt nieoceniony! jakiego źródła pomyślności nabyć można za kilka groszy.

Skarbonka gliniana ma niepospolite zalety: ona godłem wierności, wstrzymałości być winna; w prostocie swojéj zawstydza najpiękniejsze sakiewki, woreczki, najobronniejsze kufry, kantorki, szkatuły, najściśléj zawarte trzosy; zawstydziéby mogła może i ludzi. Grosza raz jéj powierzonego, nikt jéj nie wydrze, chyba ją samą wprzód zniszczy: wierna do końca, dopóki jéj bytu, dopóty nie wyda oddanego sobie skarbu; rozedrzeć trzeba to łono, ażeby wydobyć zawartą w niém tajemnicę. *Skarbonka gliniana* nie jest har-

da: ona zarówno grosz i dukat przyjmuje, rzetelna, tyle odda ile wzięła, nic nie uroniwszy: skromna, nigdy ani się nadyma, ani podnosi, zawsze jednakowa; a jakby rozumną była istotą, im pełniejszą, tém mniéj głośną. Nie sążto nieocenione i niestety! mało naśladowane przymioty?

A teraz zważmy jakie w niéj źródło pomyślności; jakie korzyści tym niesie, u których przyjaciółką, towarzyszką domową się stanie, którzy nabywszy ją, wiernie ją napełniają i dobrze strzegą; którzy dopiero w ostatecznéj chwili kończą jéj byt bezinteresowny. Napatrzyłam się wielu takich przykładów, a ponieważ powinnością jest chrześciańską, dzielić się światłem i doświadczeniem jak chlebem, spiszę tu kilka tych przykładów.

Różne są czasy i pory w życiu człowieka; niejednostajnie koło fortuny się toczy, nie zawsze słońce jednakowo świeci; komu dziś łatwo, acz uczciwie pieniądze przychodzą, ten ręczyć nie może, czy podobnie za lat kilka dziać mu się będzie? czy zdrowia wystarczy? czy inne jakie przeciwne okoliczności nie zajdą? — Tę uwagę zrobiło wcześnie dwóch znajomych moich, obrońca prawny i lekarz; kiedy w największéj byli wziętości, każdy z nich kupił sobie *glinianą skarbonkę:* ograniczał ile możności wydatki swoje, a zbywające pieniądze powierzał téj wiernéj przyjaciółce. Dziś, obrońca czując umysł spracowany, oddalił się od możolnego urzędu; jest sędzią pokoju, żyje przyzwoicie z procentu od oszczędzonych funduszów; lekarz, widząc że mu zdrowia ubywa, kupił piękną wioskę, w niéj mieszka, włościan i domowych lecząc.

Znam ojca, którego córka szczęście swoje winna *skarbonce glinianéj:* od jéj urodzenia postanowił on odkładać dla niéj część dochodów swoich, zwłaszcza że stałego nie miał majątku: postanowił i dotrzymał. Uzbierała się nieznacznie sumka wcale znaczna, a gdy dorosłéj już pannie trafił się uczciwy człowiek z głową, i ta jedna była prze-

szkoda do małżeństwa, że pan młody nie miał czem dorabiać się chleba, ojciec nie szukający dla córki losu w zamężciu, ale szczęścia, roztłukł wtedy skarbonkę; pieniądze w niéj zawarte dał jedynaczce: pobrała się kochająca para a przy miłości i pracy skarb ten mały w wielki się zamienił.

Znam matkę, która los i edukacyą czworga dzieci przypisuje glinianéj skarbonce. Mąż jéj był na zyskownym urzędzie i sypał pieniędzmi; chciał, żeby dzieci jego w zbytkach rosły, żeby zabawek i strojów miały podostatkiem. Inaczéj rozsądna matka myślała. Skoro mąż chciał kupić co niepotrzebnego dzieciom, ona pieniądze na to przeznaczone w *skarbonkę* chowała. Minęło lat kilkanaście, mąż umarł, zmieniła się fortuna; z dochodów pozostałych ledwie utrzymać się mogła, ale pieniądze zebrane posłużyły jéj do ukończenia edukacyi dzieci, i dziś każde z nich ma byt uczciwy.

Znam pana, który rzadkie szczęście posiada; ma zawsze dobrych służących, i już nie jeden wyszedł od niego na człowieka! całą wdzięczność za to szczęście *skarbonce glinianéj* odnosi. Przyjmując służącego, pokazuje mu takową, i mówi: „Prócz zasług tobie regularnie płaconych, oznajmiam ci, że tu miesięcznie składać będę pewną kwotę pieniężną, nie na imie twoje, ale na tytuł jaki masz w domu moim (lokaja, woźnicy, kucharza, i t. p.) Jeżeli mi będziesz służył lat dziesięć, te pieniądze dostaną się tobie, i będziesz mógł albo daléj służyć, alboli téż odejść i coś dla siebie innego przedsięwziąć.“ Ta nadzieja zbawienne sprawia skutki, służący garną się do niego, służą mu dobrze i długo.

Znam filozofa, który ze *skarbonki glinianéj* taki użytek czyni. Ma ludzkie i dobre serce, ale żebraków nie cierpi. Kiedy który naprzykrza się mu na ulicy, on z zimną krwią dobywa pięć groszy z jednéj kieszeni, ale zamiast je dać

żebrakowi, do drugiéj kieszeni kładzie; przyszedłszy do domu, oszczędzone tym sposobem pieniądze wrzuca do *skarbonki*. Kiedy się dowie o jakiéj prawdziwie nieszczęśliwéj rodzinie, która żebrać się wstydzi, rozbija *skarbonkę* i daje jéj uzbieraną summę, albo też za pieniądze próżniactwu odjęte, sposobi do pracowitego życia kilkoro dzieci ubogich, które teraz do szkoły posyła, późniéj do jakiego odda rzemiosła.

Spis tych przykładów, którychbym więcéj przytoczyć mogła, przerywa mi następująca uwaga: człowiek sam jest jakby glinianą skarbonką; wartość w nim ukryta, to dusza; roztłucze śmierć naczynie, skarb w niéj będący zostanie; a jeśli znaczny i rzetelny, nie zginie na wieki.

IV.

DWANAŚCIE SYNONIMÓW.

1. Chęć wyścigu, zazdrość.

Powodzenie lub zasługi drugich, rodzą w nas *chęć wyścigu* i *zazdrość*, ale te dwa uczucia z jednych wypływające przyczyn, w skutkach bardzo są odmienne.

Chęć wyścigu jest dobrowolną, szlachetną, serce nią napojone korzysta z przykładów, które uwielbia i często przewyższyć je potrafi; *zazdrość*, jest ponura, gwałtowna, zaprzecza cnotę i zaprzecza bliźniego, a gdy zmuszona do ich uznania, odmawia mu pochwał, radaby wydrzeć nagrodę. Namiętność podła, która człowieka nim samym napełnia, do wszelkich postępów zagradza mu drogę; czyni go obojętnym na prace i czyny drugich; sprawia, że się dziwi i smuci, gdy w kimkolwiek co dobrego ujrzy: która hańbi

duszę w któréj mieszka, truje życie. *Chęć wyścigu* żąda współubiegających się z sobą, przebacza temu, który ją wyprzedzi; *zazdrość* lęka się zapaśników, znienawidzieć zwycięzcę swojego gotowa.

Chęć wyścigu znakomitych, *zazdrość* podłych ludzi utwarza.

Młodzieniec, który w swéj duszy *chęci wyścigu* nie czuje, któremu jest obojętném, choć go wyminą spółucznie, szkolni towarzysze, godzien pożałowania, już on nigdy w niczém celować nie będzie; ale ten, który nikczemną miotany *zazdrością* pragnie, aby wszyscy zostali w tyle, a on sam jeden przodkował, godzien pogardy.

2. *Ciężki, trudny.*

Mało które wyrazy w potocznéj mowie tak mieszane bywają, a przecież mało między któremi taka różnica. *Ciężki* stosuje się właściwie do ciał, *trudny* do umysłowych rzeczy. Trzeba siły ciała do zniesienia rzeczy *ciężkiéj*, trzeba mocy umysłowéj do pokonania *trudnéj*.

Człowiek słabowity *ciężkiém* znajdzie to, co byłoby dla zdrowego lekkiém; zdatnemu łatwo przyjdzie praca, którąby nieuk za *trudną* osądził.

Podnieść kamień wielki jest *ciężko*, wyrobić z niego piękny posąg jest *trudno*.

Niższych stanów *cięższa* jest praca, wyższych *trudniejsza*.

3. *Dobroć, łagodność, słodycz.*

Dobroć jest jedną z tych cnót, które prawdziwą wartość człowieka stanowią: *łagodność* jest nadobnym przymiotem, najwłaściwiéj względem podległych nam użytym; *słodycz* jest darem, wdziękiem ścisłego pożycia, kobiet ozdobą.

Dobroć może być udziałem mało oświeconéj osoby; *łagodność* bywa najczęściéj owocem rozsądku i światła; *słodycz* dobrego wychowania piętnem.

Prawdziwa *dobroć* nie zna granic, rozciąga się na wszystkie żyjące istoty, przyszłe nawet pokolenia ogarnia, pragnie żeby wszystko co czuje, szczęśliwém było; *łagodność i słodycz* w szczuplejszym działając zakresie, podległym, bliskim, umilają życie.

Dobroć wymaga woli, światła i siły; *łagodność* i *słodycz*, rozsądku i cierpliwości.

Łatwo udać *łagodność:* szczęśliwy wyraz twarzy, dźwięk miły głosu, *słodyczy* barwę nadać potrafi; *dobroć* jedna zmyśloną być nie może, bo w czynach i w uczuciach się wykrywa.

Te zalety zrodzone do siebie, nie zawsze razem się mieszczą; można być *dobrym* nie mając *łagodności* w charakterze i *słodyczy* w ułożeniu, można być *łagodnym* i *słodkim*, nie będąc czynnie *dobrym*.

Ten kto istność *dobroci* pojął, przyzna, że jest jedną z najdoskonalszych cnót, gdyż nią zbliżamy się do Boga, który jest *dobrocią* samą. *Łagodność* i *słodycz* które w szczęściu przymiotami są tylko, w niedoli zmieniają się także w cnoty, gdyż wtedy bardzo trudne. *Dobroć* ma stopniowania i odmiany swoje, które dwom drugim zaletom nie służą; i tak w bohatérze jest wspaniałością, w możnym dobroczynnością, w cnotliwym poświęceniem się, w doskonałéj istocie pobłażaniem, w niewieście litością, w dziecięciu cnoty nadzieją. — *Dobroć* jest samą pięknością, *łagodność* jéj ubiorem, *słodycz* okrasą.

Jak we wszystkiém, tak i w tych przymiotach miarę rozsądku przejść można, wtedy *dobroć* staje się słabością, *łagodność* zmienia się w bezkarność, a *słodycz* w nudną przesadę.

Ktokolwiek prawdziwie cnotliwy, kto się dla szczęścia

drugich poświęca, ten zapewne *dobrym* być musi; kto rozkazów przyjemnie udziela, władzy swojéj z umiarkowaniem używa, ten bez wątpienia *łagodny*; kto naganę bez gniewu przyjmie, na słowo obrażające przykro nie odpowie, ten *słodki*.

Byłoby do życzenia, ażeby ci wszyscy, na których szczęście towarzystwa polega, przy rozsądku *dobroć* mieli, żeby panów *łagodność* była przymiotem, *słodycz*, niewiast i dziatek udziałem.

4. *Niedostatek*, *ubóstwo*, *nędza*.

Niedostatek jest chwilowym brakiem możności lub sposobów, *ubóstwo*, jest stanem człowieka w społeczeństwie, którego cechą skąpy udział darów fortuny; *nędza* nieszczęściem: z niéj się rodzi niemożność zaspokojenia pierwszych nawet warunków życia.

Niedostatek poprzedza niekiedy *ubóstwo*; *nędza* jest ostatecznym końcem obojga.

Do *niedostatku* zwykle doprowadza nieprzezorność lub zbytek, do *ubóstwa* los najczęściéj przeznacza; do *nędzy* przywodzi słabość, niewola, próżniactwo, a często występek.

Ręka dobroczynna chętniéj da *obol* Belizaryusza *ubóstwu* niźli *nędzy*, bo znośniejszym dla niéj widok zmienności losu, niż okropnych skutków zapomnienia lub zbrodni.

Niedostatek może mieć miejsce przy największych bogactwach, *ubóstwo* potrafi się zgodzić z cnotą i z szczęściem; *nędza* promyka pomyślności nie przypuszcza, jestto brak wszystkiego co pociesza: jedyną jéj ulgą, smutna pamięć na wspólnie cierpiących.

Gdyby przyszło uosobić te trzy rzeczy, możnaby wystawić *niedostatek* w kosztownéj szacie dziurawéj, lub grubą tkanką łatanéj; *ubóstwo*, w prostéj lecz chędogiéj odzieży; *nędzę* w odrażających łachmanach.

W dzisiejszych czasach nie wstydzi nikogo *niedostatek* pieniędzy, a wstydzi *ubóstwo*, może dla tego, że ubodzy zanadto naśladują bogatych, a bogaci zamało ważą ubogich.

Niedostatkowi zaradzić może oszczędność, rzadko jest godnym litości; w *ubóstwie* ratuje praca, i daje prawo do szacunku, z *nędzy* czynna tylko, gorliwa i ciągła opieka wyprowadzić zdoła.

Gdzie dobrych praw *niedostatek*, gdzie *ubóstwo* w pogardzie, tam pewno *nędza*.

Jeśli prawda, że niepowodzenie jest najlepszą drogą do szczęścia, każdy człowiek zaczynający szkołę świata, powinienby kiedy niekiedy doznać *niedostatku*, by cenić umiał wartość majątku, i swobodę niepodległego bytu; powinien chować się w cnotliwém *ubóstwie*, by lepiéj wierzył jaką ma wyższość na świecie osobista godność, jaki szacunek, talent i nauka, jakie korzyści praca? lecz bodajby nigdy nie doznał *nędzy*, która zawsze poniża, czasem upadla, częściéj psuje niż naprawia, i na całe życie niezatarte ślady goryczy w sercu człowieka zostawia.

5. *Nizki*, *nikczemny*, *podły*.

Te trzy wyrazy przeciwne wielkości, wszystkie razem poniżenie znaczą, ale zachodzi między niemi wielka różnica. *Nizki* stosuje się najwięcéj do wzrostu i stanu, *nikczemny* do powierzchowności, *podły* jedynie do duszy.

Nie czyni to bynajmniéj krzywdy, kiedy o kim powiedzą: ten człowiek *nizkiego* jest urodzenia, *nikczemnéj* postaci; ale biada temu, którego czyny dowodzą że *podły*.

Powołanie rzemieślnika, jest *nizkie*, twarz schorzała, ubogiego postawa *nikczemna*, są bogactwa *podłe*, kiedy niegodnym sposobem nabyte.

Nizkim i nikczemnym można być mimowolnie, *podłym* jest tylko ten, który chce nim zostać.

Nizkim i nikczemnym pogardzać nie należy; *podły* powinien być w ohydzie.

Stokroć lepiéj *nizkiego* być urodzenia, *nikczemnie* wyglądać, niżeli jednę myśl mieć *podłą*.

Poeta bez jeniuszu, zawsze *nizko* zostanie; pisarza bez talentu *nikczemne* są płody: przy największym jeniuszu i talencie autor podłym będzie, jeśli jego dusza i pióro przedajne.

Kto mówi: ten lub ów *podłego* jest stanu, przeto że nie szlachcic, albo że własne ręce go żywią, bardzo źle mówi; bo nie urodzenie, praca, ale występek ludzi *upadla*.

Pan zamożny licznych naddziadów i wielkie bogactwa liczący, często *podlejszym* bywa od *nizkiego* kmiotka, od *nikczemnego* żebraka.

Nizkiego był urodzenia Klemens Janicki, jeden z pierwszych poetów naszych, a przecież zyskał piękne w świecie uczonym imię; *nikczemnie* wyglądał pełny sławy nasz król Łokietek; królowa Bona *podłe* myślała, a pomimo wysokiéj dostojności, w powszechnéj jest dotąd pogardzie.

6. *Odzież, ubiór, strój.*

Wszystko, czém okrywamy się w celu nieobrażenia skromności i uchronienia się od zmian powietrza, nazywa się *odzieżą*. Odzież wygodna, kształtna i ochędożna jest *ubiorem*. Ubior modny i kosztowny, choćby niegustowny staje się *strojem*. Pierwszą rządzi potrzeba, drugim przyzwoitość i dobre wychowanie, trzecim zbytek, próżność i moda.

Odzież bardzo mało kosztuje; *ubiór* chociaż większego wydatku wymaga, mieć go jednak na cały rok można za jeden *strój* wykwintny.

Odzież nie jest dla osób majętnych, biédnym ją zostawić trzeba. *Ubiór* prosty lecz starowny, każdemu,

a szczególniéj téż młodości więcéj przystoi niźli wszystkie *stroje*.

Najuboższy *odziewać* się musi; *ubierać* się porządnie powinnością jest każdego; *stroić się* i upatrywać niewyczerpane źródło zatrudnienia, rozmowy i zabawy w tak błahym przedmiocie, jest wadą oddawna kobietom przyznaną.

Płeć nasza przechodzi zwykle z jednéj ostateczności do drugiéj; powszechnie niewiasty po wsiach na *odzież* tylko pamiętne, nic o *ubiorze* nie myślą; w miastach zanadto *strojem* są zajęte. Wiele jest takich wszędzie, które byle czém przyodziane w domu, nietylko *ubrane* ale i *wystrojone* na publicznych zgromadzeniach widzimy, i tak ich ta zmiana odmienia, że nieraz trudno poznać, że ów brudny kopciuszek i ta wyświeżona modnisia jednę osobę składają. W podobném postępowaniu, wiele żon, jak mówią, początek i usprawiedliwienie jakieś niewierności mężów znaleśćby mogły.

Odzież kmiotkom, wyrobnikom i biédnym przystoi; *ubiór* nietylko miernemu stanowi, ale wszystkim i codzień; *strój* zaś bogaczom i to nie często.

Żebrak aby się *przyodział* kilku minut potrzebuje; *ubrać się* za pół godziny można; dla kokietki, któréj *strój* ma albo podwoić wdzięki, albo zakryć niepowetowane wieku i natury wady, dzień prawie za krótki.

Te trzy wyrazy mogą nam dać poznać różnicę potrzeb i żądań w rozmaitych stanach ludzkich. Kmiotek i nędzarz *odzieży* tylko pragną, kawał sukna grubego, albo płótna zadosyć uczynią ich życzeniom. Ci którzy kieszeń i głowę dobrze opatrzoną mają, chcą *ubioru*, i te chęci zgodne z ich możnością nie niszczą ich, a utrzymują rękodzielnie. Kobiety zaś, które nieszczęsny gust do *stroju* napadnie, nie znają granic w swych żądaniach, największy

majątek pochłoną, a jeszcze się nie zaspokoją, bo nigdy wszystkiego co kosztowne i modne zakupić nie potrafią.

Człowiek rozsądny, wybierający małżonkę, szuka takiéj, którejby *ubiór* prosty, ochędożny, gustowny, wykwintniejszym był od *odzieży*, a skromniejszym od *stroju*. Prawie równie strzeże się téj, która jedynie dbała o *odzież*, wcale nie myśli o swoim *ubiorze*, jak téj, na którą spojrzawszy, więcéj *strój* niż wdzięki i ułożenie uderza, bo wié, że jednaby nieporządek, druga nierząd w dom jego wprowadziła.

7. *Oklaski*, *pochwały*.

Oklaski i pochwały są to dwie nagrody wszelakiéj zasługi, dwa sposoby oddania jéj czci winnéj i wyrażenia ukontentowania naszego. Lubo te dwa wyrazy stosują się i do rzeczy i do osób, możnaby jednak powiedzieć, że *oklaski* są właściwsze rzeczom, *pochwały* osobom.

Tak: gra dobra aktora, słowo dowcipne, piękna mowa w publiczności miana, czyn śmiały, *oklaski* zyskują; osoby piękne, rozumne, przyjemne, cnotliwe, jednają sobie *pochwały*.

Skoro rzecz jaka żywą przyjemność komu sprawi, natychmiast daje jéj *oklaski:* wykrzyknik, klaśnięcie w dłonie, tłómaczami są jednego. *Pochwała* większego zastanowienia wymaga, słowami wyrażaną bywa.

Oklaski są głośne, ale ginie prędko szumny ich odgłos; *pochwały* cichsze, trwalszemi bywają.

Witał lud Sobieskiego z *oklaskami*, kiedy Wiedeń oswobodził; dziejopis *pochwałę* męztwa jego zapisał.

Dziewczęta młode, chcecie być szczęśliwemi, niech żadna z was o *oklaski* nie dba; lecz niech się stara zasłużyć na *pochwały* ludzi dobrze myślących.

8. *Pomyłka*, *błąd*, *wina*.

Pomyłka zwyczajnie mimowolna bywa, jest ona skutkiem roztargnienia lub nieuwagi; *błąd* jest zboczeniem

z drogi rozsądku, czyn zupełnie prawdzie przeciwny; *wina*, ten udział słabości ludzkiéj, jest postępkiem sprzeciwiającym się zasadom powinności.

Pomyłka najczęściéj drobnych tycząca się rzeczy, niewiele złego sprawia i łatwo sprostowaną być może; *błąd* jeden, czasem wielu nieszczęść i obłąkań początkiem się staje, i trudno go wynagrodzić; częste *winy* w występek zamienić się mogą, a zawsze żal tylko zmazać je zdoła.

Bądź zawsze uważnym i ostrożnym, a ustrzeżesz się *pomyłki*; idź z młodu drogą prawdy, a ujdziesz *błędu;* nie ufaj zupełnie sobie, słuchaj doświadczeńszych, a mało *win* popełnisz.

W pożyciu z ludźmi, umiéj zagładzać trafiające się drugim *pomyłki*, nie daj się uwieść ich *błędami*, przebaczaj *winy*.

9. Prostota, prostactwo.

Podobne w brzmieniu dwa te wyrazy, w znaczeniu swojém zupełnie są odmienne; już półtora wieku temu, odznaczył ich różnicę Fredro, kiedy w wybornych przysłowiach swoich napisał: „Bądź *prostym*, nie bądź *prostakiem*.“ Ale my pomimo téj jego przestrogi mieszamy je często, i jeden w miejscu drugiego kładziemy.

Prostota jest przymiotem, *prostactwo* wadą; *prostota* obejmuje jednakowo zewnętrznego i wewnętrznego człowieka, *prostactwo* więcéj powierzchowności się tyczy.

Nic milszego nad *prostotę*, własność dziecięcia i niewinności, towarzyszka nieoddzielna szczerości, skromności i dobroci; ułożeniu, czynom, mowie, pismom, niepojęty wdzięk nadaje; nic przykrzejszego od *prostactwa*, cecha złego wychowania, szpeci piękność i cnotę samą.

Prostota każdemu wiekowi, największéj godności przystoi, wszystkich wabi, zniewala, przywiązuje; *prostactwo* ni-

komu nie jest do twarzy, wszystkich razi, odstręcza, odpycha.

Wymów otwarcie lecz delikatnie przyjacielowi uchybienie jakie, wyda się serca twojego *prostota;* wyrzucaj mu go obrażającemi słowy, będzie to *prostactwem.*

W piśmie, w mowie, nie wyszukanych, ale szlachetnych używaj wyrazów; tłómacz się jasno, bez przesady, a twój sposób pisania i mówienia będzie *prosty;* mieszcząc gminne, nieprzystojne wyrażenia, będziesz pisał i mówił jak *prostak.*

Niech twój ubior będzie schludny, gustowny, zgadzający się z majątkiem twoim, a nazwą go ubiorem *prostym;* nieporządną i nieprzyzwoitą odzieżą, wydasz *prostaka.*

10. Śmiech, uśmiech.

Śmiech jest oznaką wesołości; sam smutek *uśmiechać* się niekiedy może.

Śmiech jest głośny, ciągnie się i trwa długo, całą postać człowieka odmienia; *uśmiech* zawsze cichy, w mgnieniu oka rodzi się i niknie: z lekka usta porusza, oczy ożywia.

Dowcipne słówka, żart jaki, zabawne zdarzenie, widok pociesznéj figury, drobnostka do *śmiechu* pobudzi; zaspokojenie, czułość, litość, słodycz, *uśmiech* na twarzy rodzą.

Pustota się *śmieje*, niewinność się *uśmiecha.*

Biada dziecięciu, które z rad i napomnień starszych się *śmieje*; nigdy postępki jego ust rodziców słodkim nie ozdobią *uśmiechem.*

11. Szlachectwo, szlachetność.

Bogactwo języka i serca ojców naszych, dzielnie w tych dwóch wyrazach się wydaje, i podobnie chlubnego zabytku nie może nam stawić ów uwielbiony język francuzki. W nim wyraz ogólny *noblesse* wszystko ma tłómaczyć,

Znać, że mniéj od nas w téj mierze dotkliwi Francuzi, nie tak czuli tych wyrazów różnicę.

Każdemu wiadomo, że w bardzo dawnych czasach już było *szlachectwo*, czyli przywilój pewnych ludzi, którzy bądź zasługami, bądź możnością wzięli przewagę i osobną klassę złożyli; ale dawniéj jeszcze była *szlachetność*, bo tę cnota w świat wprowadziła.

Kto ma herb przy nazwisku, ma *szlachectwo;* kto ma piękną duszę, *szlachetność* posiada.

Wieśniaków, mieszczan i żydów ciemiężyć, nie płacić podatków, garnąć łaski dworu, te były dawniéj w Polsce rodu *szlacheckiego* swobody; nie dopuścić się podłości, dobrodziejstwy płacić urazy, to będzie zawsze duszy *szlachetnéj* przywilejem.

Szlachectwo jest więc darem przypadku i losu. *Szlachetność* owocem cnoty: masz-li piérwsze, nie chełp się ale staraj się tém pilniéj o drugą, bo zdaje się, że ród *szlachecki* koniecznie *szlachetnego* sposobu myślenia wymaga.

12. Względność, pobłażanie, łaskawość.

Są to przymioty rozwijające się między ludźmi w stanie towarzyskim żyjącemi; wszystkie trzy, równie dla dobra całéj społeczności jak i dla szczęścia osobistego ważne. Początek biorą w dobroci serca, wzmagają się w miarę nabywania doświadczenia i światła.

Dobra chęć choćby bez sposobności, wiek zgrzybiały i dziecinny, kalectwo lub ułomność przyrodzenia, a nad to wszystko zasługa, cnota i nieszczęście dają prawo do *względności:* i dla tego powiedziećby można, iż to jest mowa dobroci lub szacunku. Słabości, lekarskie błędy, przewinienia, niedostatek wiadomości, zasługują na *pobłażanie:* trzeba być dobrym, rozsądnym, umiarkowanym, trzeba mieć głęboką serca ludzkiego znajomość i własne znać błędy, żeby

pobłażać. Wina przy szczerym żalu, obraża możniejszego; więcéj żywości lub chwilowego uniesienia niźli złości celem będąca, do *łaskawości* prawo daje.

Względność jest skutkiem dobrego wychowania; *pobłażanie* dobroci i doświadczenia, *łaskawość* szlachetności duszy.

Względność jest ozdobą towarzyskiego życia, *pobłażanie* przymiotem niezbędnym do szczęścia; *łaskawość* cnotą możnych i panujących.

Bez wymierzenia *względności* nie będziesz ani wziętym, ani lubionym; bez *pobłażania* nie będziesz kochanym; *łaskawość* jeśli w mocy twojéj jest, do wdzięczności da ci prawo.

Starajmy się o szacunek ludzi, jeśli chcemy prawdziwie miléj doświadczyć *względności*; chrońmy się czynów, któreby nas w potrzebie *łaskawości* pozbawić mogły; *pobłażania* miejmy zapas wielki, bo może nikt tyle go nie rozdał, ile sam potrzebuje.

Różnica między słońcem i ogniem.

Słońce wszystkim ludziom przyświeca, bez cudzych prac i zabiegów. *Ogień* starań, trudów, żywiołów wymaga.

Słońce daje żyzność ziemi, owocom dojrzałość, a przeto jest dobroczyńcą przyrodzenia; *ogień* najwięcéj sztuce pomaga.

Ogień pożera, nieustannie pastwić się musi; *słońce* żywiołów nie potrzebuje, owszem dostarcza ich i rozwijaje.

Słońce rzadko kiedy szkody czyni, *ogień* częste sprawia pożary.

Ognia wszyscy mieć nie mogą, *słońce* zarówno królowi jak nędzarzowi przyświeca.

Bez *słońca* światby się nie ostał; możnaby żyć bez *ognia*.

Ogień rozpala się i gaśnie, *słońce* od początku swym blaskiem bez przerwy jaśnieje.

Ogień człowiek może wzniecić, *słońce* Bóg jeden złożyć potrafił.

Nie może być *ognia* bez kopcia i dymu, *słońca* czyste są promienie.

Miliony rozpal ogniów, wznieś lamp, świéc i kagańców krocie, niechże się okaże promień wschodzącego *słońca*, nikczemnie się wydadzą zabiegi twoje.

Czyżby *słońca* do prawdziwéj religii, ognia do fałszywéj filozofii przyrównać nie można?

Na zadane wyrazy.

Dziś, Wiatr, Twarz, Człowiek, Rana.

Dziś wstawszy rano, zachęcona pogodném słońcem, ile że w nocy była ulewa, wyszłam do ogrodu i pod drzewami przechadzać się zaczęłam. Wtém *wiatr* powstał, wstrząsnął poważną lipą i zostałam skropiona rzęsistym deszczem. Ocierając *twarz* i ręce, pomyślałam sobie: „podobny temu drzewu jest *człowiek* srogiém ugodzony nieszczęściem; chociaż burza minie i pomyślności słońce świecić się już zdaje, za najmniejszém wzruszeniem otwiera się *rana* i łzy płyną obficie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

POWIEŚCI MORALNE DLA STARSZYCH DZIECI.

Część druga.

	Strona
Papuga. Powiastka z niemieckiego	6
Garbaty	10
Kapelusz	19
Suknia perkalowa	29
Niewidoma	36
Magdusia i Julisia	48
Chrzciny	56
Smutne skutki niemądrego figla. Powiastka w liście Babuni do wnuczki	67
Tydzień bytu dwuzłotówki. Opisany przez nią samą	72
Ludwika i Helena. Powieść	83
Złotówka. Powiastka	91
Listy Monisi *** do przyjaciółki swojéj Karoliny	98
Matka i Syn. Powieść w listach	118
Kamień grobowy	128
Tęcza	134
Palma kwietniowa. Powiastka	144
Paweł Koczmara	146
Przeczucie. Powiastka	150
Łoże śmiertelne starego Szymona	157
Syn koszykarza	167
Pogrzeb kościelnika	174
Rodzina występna	180
Cnotliwe ubóstwo	188
Kominek	200

Strona

Anegdoty prawdziwe o dzieciach. . . . . . od str. 210 –229

KOMEDYJKI.

Obchód urodzin. Zabawa naprędce. 231
Szkółka. Komedyjka w jednym akcie. 241
Dobre serce Stasia. Komedyjka 254
List i piosnka. Komedya w jednym akcie 270
Odwet. Komedyjka w dwóch aktach 294
Zegarek. Komedya w jednym akcie 327
Młody nauczyciel, czyli korzyści edukacyi. Komedya w dwóch aktach. 355
Wigilia Nowego Roku. Komedya w jednym akcie 385
Podwieczorek w Bielanach. Komedyjka w jednym akcie . . . 414
Odjazd nauczyciela. Komedyjka w jednym akcie. 433
Psota. Komedyjka w jednym akcie 456
Wesele Marysi i Jasia. Komedya w dwóch aktach. (Zabawa wiejska) 474

O grach ćwiczących umysł 508
I. Gry ustne 509
II. Gry pisane 516
III. Skarbonka gliniana. Powieść na zadany tytuł 521
IV. Dwanaście synonimów 524

BINDING ... FEB 28 1973

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

PG
7158
H64
1875
t.2

Hofmanowa, Klementyna (Tańska)
Dzieła